

Patricia Shaw
OGNIE FORTUNY

Evangeline Holly Shaw,
Lynne i Garry'ego
oraz Desiree Shaw
Tytuł oryginału Fires of Fortune

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Oczyma duszy Ben widział siebie jako żeglarza, dumnego i nieustraszonego marynarza, który prowadzi okręt w dół rzeki aż do zatoki Moreton, by stamtąd z postawionymi żaglami popłynąć z wiatrem po bezkresnym błękicie oceanu. W słońcu i w deszczu stałby przy sterze: dzielny kapitan, budzący podziw całej lojalnej załogi.

Nosiłby czapkę z daszkiem i wspaniały mundur z mosiężnymi guzikami, jak dziadek Beckman na portrecie znad kominka. Biedny kapitan Beckman! Poszedł na dno razem ze swym statkiem w ciemną sztormową noc na Morzu Koralowym. Ben wyobrażał go sobie, jak do ostatnich chwil stoi na mostku, wyprostowany, niewrażliwy na smagające go strugi wody, i krzyczy na swych ludzi, żeby się ratowali, sam jednak woli stracić życie, niż zhańbić się ucieczką z tonącego statku. To właśnie była dla Bena najbardziej ekscytująca część historii, opowiedanej mu przez Omę Beckman tak wiele razy. Jakże wspaniale mieć w rodzinie prawdziwego bohatera.

Wdrapawszy się na skraj pomarańczowego klifu, Ben zeskoczył na skalną półkę, swój ulubiony punkt obserwacyjny, z którego roztaczał się widok na Brisbane i długie ruchliwe portowe nabrzeże. Było to najwspanialsze miejsce na całym świecie. Żaden statek nie mógł przepłynąć nie zauważony. No... może prawie żaden, niektórym udawało się jakoś prześliznąć. Ben strasznie się denerwował, kiedy z powodu obowiązków w domu i w ogrodzie lub ciągnących się w nieskończoność lekcji Omy umykał mu jakiś statek. Te lekcje! Oma nigdy nie popuściła, a kiedy zaczynał narzekać, matka groziła, że pośle go do szkoły i wtedy już w ogóle nie będzie miał czasu, by gapić się na te swoje statki.

Tytuł oryginału Fires of Fortune

Opracowanie graficzne
Mariusz Banachowicz

© 1995 Patricia Shaw

The right of Patricia Shaw to be identified as the Author of the Work has been asserted by her in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

First published in 1995 by HEADLINE BOOK PUBLISHING

For the Polish edition

© by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1999

ISBN 83-7132-351-4

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Oczyma duszy Ben widział siebie jako żeglarza, dumnego i nieustraszonego marynarza, który prowadzi okręt w dół rzeki aż do zatoki Moreton, by stamtąd z postawionymi żaglami popłynąć z wiatrem po bezkresnym błękicie oceanu. W słońcu i w deszczu stałby przy sterze: dzielny kapitan, budzący podziw całej lojalnej załogi.

Nosiłby czapkę z daszkiem i wspaniały mundur z mosiężnymi guzikami, jak dziadek Beckman na portrecie znad kominka. Biedny kapitan Beckman! Poszedł na dno razem ze

swym statkiem w ciemną sztormową noc na Morzu Koralowym. Ben wyobrażał go sobie, jak do ostatnich chwil stoi na mostku, wyprostowany, niewrażliwy na smagające go strugi wody, i krzyczy na swych ludzi, żeby się ratowali, sam jednak woli stracić życie, niż zhańbić się ucieczką z tonącego statku. To właśnie była dla Bena najbardziej ekscytująca część historii, opowiadanej mu przez Omę Beckman tak wiele razy. Jakże wspaniale mieć w rodzinie prawdziwego bohatera.

Wdrapawszy się na skraj pomarańczowego klifu, Ben zeskoczył na skalną półkę, swój ulubiony punkt obserwacyjny, z którego roztaczał się widok na Brisbane i długie ruchliwe portowe nabrzeże. Było to najwspanialsze miejsce na całym świecie. Żaden statek nie mógł przepłynąć nie zauważony. No... może prawie żaden, niektórym udawało się jakoś prześliznąć. Ben strasznie się denerwował, kiedy z powodu obowiązków w domu i w ogrodzie lub ciągnących się w nieskończoność lekcji Omy umykał mu jakiś statek. Te lekcje! Oma nigdy nie popuściła, a kiedy zaczynał narzekać, matka groziła, że pošle go do szkoły i wtedy już w ogóle nie będzie miał czasu, by gapić się na te swoje statki.

5

PATIUCIA SHAW

Na myśl o tym uśmiechnął się, obserwując stary parowiec płynący w górę rzeki. „Louisa James” — nic nadzwyczajnego. Wozila towary i pasażerów z osad na południowym wybrzeżu w górę rzeki i z powrotem. Dla kapitana takie życie musi być czymś okropnym. Ben zawsze pozwalał „Louisie James” przepłynąć. Wobec innych statków nie bywał taki łaskawy. Czasami mierzył do nich z kawałka glinianej rury, będącego jego działem, i znosił je z powierzchni wody za przepływanie obok jego portu bez zezwolenia. Był przecież całą flotą wojenną Queensland, dowódcą fortu i niezwykle podejrzliwym celnikiem w jednej osobie. Posłać go do szkoły! Też pomyśl. Ben orientował się, równie dobrze jak matka, że nie może iść do szkoły. Powiedziały mu to pałętające się po nabrzeżu dzieciaki. Ale zawsze udawał, że strasznie boi się tej kary, bo wiedział, że mamie sprawia to przyjemność. Kochał ją. Była bardzo ładna i bardzo wysoka, lecz on ją już doganiał. Razem z Orną często go mierzyły, przykładając mu do czubka głowy linijkę i na sosnowej ścianie nacięciami znacząc jego postępy. Babcia, to znaczy Oma Beckman, twierdziła, że mama strasznie go rozpieszcza, choć sama pędziła na ratunek, ilekroć mama traciła cierpliwość i groziła użyciem pasa. Wymyślała najróżniejsze wytłumaczenia jego występków i w efekcie stary pas do ostrzenia brzytwy nadal wisiał w pralni, nie tknięty od czasów, kiedy podróżował po świecie z Kapitanem. Korzystając z dobrego humoru przewoźnika, Ben zabierał się niekiedy na przejażdżkę na gapę, a potem wędrował po nabrzeżu i z fascynacją zagłębiał się w hałaśliwe życie portu, obserwował załadunek i rozładunek statków, wsłuchiwał się w dziwne głosy pasażerów stłoczonych na pokładach i niecierpliwie wyczekujących chwili zejścia na ląd albo wołających przez łyzy do swoich rodzin i przyjaciół, podczas gdy statek coraz bardziej oddalał się od nabrzeża. Choć Ben nie bardzo rozumiał, po Co te łyzy. Postanowił, że w przyszłości, kiedy już będzie miał własny statek, zabierze dwie kobiety swego życia — mamę i Omę — w podróż dookoła świata. Być może nawet popłyną przez Pacyfik aż do Spanish Main, gdzie na śmiałków czekają bezcenne skarby. Kiedyś mu się przyśniło, że w jaskini znalazł ogromną skrzynię pełną złota, i był to sen tak cudowny, że często przywoływał go w myślach, mimo że wraz z upływem czasu pamiętał go coraz słabiej.

W dole tymczasem przy akompaniamencie skrzeczenia mew przepływały łodzie rybackie, pomachał więc do rybaków, którzy sprawnie

6

OGNIE FORTUNY

sortowali zdobycz, szykując ją do sprzedaży. Jak zawsze wesoło mu odpowiedzieli, nie musieli więc obawiać się jego śmiercionośnego działła. Obiecywał sobie solennie, że kiedy zostanie korsarzem i będzie miał swój żaglowiec — który zamyslił nazwać „Czarnym

Łabędziem", od łabędzi pływających po jego rzece niczym maleńkie dostojne galeony — będzie starał się ich ochraniać.

Ilekoć zdarzyło mu się zbyt długo zabawić na nabrzeżu, wpadał w poważne tarapaty, albowiem promy były zatłoczone, a to oznaczało konieczność długiego marszu aż do mostu Wiktorii, później zaś kilkumilowego biegu, częściowo przez cuchnące, przerażające uliczki południowego Brisbane. Czasami pijacy łapali go za ramię, wołając:

— Dokąd się tak śpieszysz, mały?

— Śliczny z ciebie chłoptaş. Chodź no tu na chwilę.

— Chodź, mały, łyknij sobie rumu.

Chociaż wzbudzali w nim lęk, byli niczym w porównaniu z wybuchami gniewu Diamond, którym musiał stawiać czoło, spóźniając się na obiad. Diamond, jego mama, tak bardzo się o niego martwiła, że kiedy wpadał pędem do domu, znajdowała się na skraju paniki. Ileż to razy wytargała go za uszy! Nie lubiła, kiedy włóczył się po nabrzeżu, twierdziła, że to nie jest odpowiednie miejsce dla dzieci. Popęnił poważny błąd, mówiąc jej, że nie kradnie jak inne dzieciaki ani też nie próbuje wchodzić na statki; to tylko pogorszyło stan rzeczy.

— Ostrzegam cię, trzymaj się z dala od nabrzeża! — krzyczała. — Nie ruszaj się stąd, siedź po swojej stronie rzeki. To są źli ludzie.

Szukając wsparcia, zwrócił się do Omy:

— Przecież Kapitan też był marynarzem! Dlaczego miałbym się bać marynarzy?

Oma wszakże w pełni podzielała zdanie Diamond.

— Kapitan by! dobrym bogobożnym człowiekiem. Nie znasz tych ludzi, nie wiesz, jacy są naprawdę.

— Ale chcę wiedzieć. Tutaj jest nudno. Nie ma co robić. Kolejny błąd. Diamond nie trzeba było dwa razy powtarzać,

natychmiast znalazła mu nowe obowiązki. Mimo to często wymykał się z domu, wsiadał na prom i płynął na drugi brzeg na spotkanie z przyjaciółmi, wymizerowanymi chłopakami i dziewczuchami o dzikich oczach. Większość z nich nie miała domów, znajdowała więc schronienie w wielkich składach wełny, magazynach albo szopach na zapleczach sklepów. Kręcili się po nabrzeżu nie bez powodu: czasami zarabiali drobne sumy, czasami kradli. Ben uważał ich za świetne towarzystwo. Nosili łachmany i podśmiewali się z jego schludnych

7

PATRICIA SHAW

koszul, krótkich spodni i podkolanówek, lecz go akceptowali. Wiedzieli, że nie jest maminsynkiem. A on widział, czym się parają. Złodziejstwo, brudne miłostki z nieznajomymi, sprytnie przestawianie skrzynek z grogiem dla zmylenia celników, a przede wszystkim niezliczone kradzieże kieszonkowe, których ofiarami padali podekscytowani pasażerowie statków. Patrzył na to wszystko i choć zdumiewała go ich śmiałość, z wynędzniałych twarzy potrafił wyczytać, że robią to wszystko z konieczności. Jego babcia dbała, by spiżarnia była zawsze dobrze zaopatrzona, tak więc ilekoć pomiędzy posiłkami poczuł choćby najmniejsze ukłucie głodu, natychmiast mógł go zaspokoić. Często korzystał ze sposobności i napychał kieszenie jedzeniem zwędzonym z półki, by podzielić się z przyjaciółmi.

Jego najlepszym kumplem był Willy Sloane, rówieśnik Bena i przywódca bandy. Sypiał w kryjówce na jakimś dachu, w której, jak często się chwalił, nie było ani jednego szczura. Orientował się, że Ben mieszka na drugim brzegu rzeki, ale podobnie jak pozostali nigdy nie pytał, gdzie dokładnie. Oni nie mieli czasu na takie drobiazgi.

Nieraz w trakcie policyjnej obławy Willy ratował Bena, odciągając go gdzieś na ubocze.

— Przecież nie zrobiłem nic złego — sprzeciwiał się Ben.

— A ich to akurat dużo obchodzi, stary. Jak tylko ich widzisz, znikaj albo zarobisz tak samo jak każdy inny.

Ben często marzył, że na jego statku Willy zostanie pierwszym oficerem. Nigdy nie spotkał nikogo tak sprytnego jak Willy. Chętnie by go zaprosił do siebie, lecz bardzo rzadko przyjmowali goście, a poza tym bałby się, że ktoś tak ruchliwy i niespokojny jak Willy zanudzi się u nich na śmierć.

Za to sąsiedzi przyjmowali całe tłumy gości. Tylko że oni mieli ogromną posiadłość. „Pałac” — nazywała go Oma. W sercu Bena jednak nie było miejsca na zazdrość. Odwrócił się i spojrzął na własny dom. Był to niewielki parterowy budynek z pobielonych desek. Stał blisko ulicy i miał duży ogród. Wewnątrz znajdowały się trzy sypialnie, które w pełni zaspokajały ich potrzeby. Wieczorami, siedząc w oknie swojego pokoju, wpatrywał się w odległą, oświetloną gazowymi latarniami bajkową krainę Brisbane i wyczarowywał w myślach coraz to nowe historie.

Dom sąsiadów miał dwa piętra. Ben przypuszczał, że z balkonu na piętrze musi się roztaczać wspaniały widok. Mieszkańcy „pałacu”, doktor Thurlwell i jego żona, byli bardzo ważnymi osobistościami, więc oczywiście nie mieli zwyczaju rozmawiać z Beckmanami. Trzy-

8

OGNIE FORTUNY

mali się z dala od ich posesji i jak podawały gazety, gościli najznamienitsze osoby, nawet gubernatora, chociaż jego akurat Ben nigdy nie zauważył.

Thurlwellowie nazwali swój pałac Somerset House, a Ben znał każdy cal ich posiadłości nie gorzej niż własną kieszeń. Od lat zakradał się wzdłuż klifu, przeciskał pod żywoplotem i wdzierał na teren wielobarwnych ogrodów, ocienionych przez majestatyczne sosny i szumiące palmy. Trawniki i krzewy były starannie przystrzyżone, wzdłuż krętych ścieżek ciągnęły się rabaty kolorowych kwiatów. Ogród frontowy był jeszcze wspanialszy. Pod osłoną soczystej zieleni Ben podziwiał powozy oraz gigi, które z chrzęstem pokonywały długi podjazd i zatrzymywały się przed drzwiami frontowymi, patrzył na służących, jak otwierają drzwi, kłaniając się możnym państwu. Zawsze zachwycał się tym pokazem i przepięknymi wytwornymi ludźmi, zamieszkującymi Somerset House. Od strony klifu, z tyłu domu, mieściła się wytworna weranda, na której damy w olśniewająco białych sukniach oraz elegancko ubrani dżentelmeni zażywali świeżego powietrza, przesiadując ospale na sofach i fotelach.

Zdarzało się, że któryś z ogrodników zauważył i przepędził Bena, nikt jednak nie robił zamieszania, gdyż było wiadomo, że to chłopak z sąsiedztwa.

Ben westchnął, rzucając kamyczkami do wody. Zaraz po nabrzeżu Somerset House był jego drugim ulubionym miejscem. Wiedział, że kiedy wypłynie w morze, będzie za nim tęsknić. Podobnie jak za tą dziewczyną, za Phoebe Thurlwell, mimo że nigdy z nią nie rozmawiał ani nawet się nie zdradził, że kryje się w jej ogrodzie.

Miał wrażenie, że Phoebe mieszka tam od zawsze. Najpierw bawiła się lalkami, a kiedy trochę podrosła, czytała książki i spacerowała z dziewczynkami, których rodzice odwiedzali Somerset House. Żadna jednak nie mogła się z nią równać. W delikatnej letniej sukni, z długimi, starannie zaplecionymi blond warkoczami, zakończonymi kolorowymi kokardami zawsze tej samej barwy co szarfa, którą była przewiązana w talii, Phoebe wyglądała jak lalka. Ben poznał na nabrzeżu mnóstwo dziewcząt, pyskatek i piskliwych głościków, lecz traktował je tak samo jak chłopaków. Potrafiły przecież kraść, bić się, a w razie potrzeby pędzić na złamanie karku. Nie, dziewczęta w zasadzie nie robiły na nim wrażenia — mieszkał w końcu z dwiema kobietami — ale ta panna Phoebe dosłownie położyła go na łopatkach. Drażniło go, że głupia dziewczucha

9

PATRICIA SHAW

potrafi przemienić jego nogi w trzęsącą się galaretę i onieśmielić go tak bardzo, że nigdy dotąd nie odważył się do niej odezwać.

Czasami bywała niegrzeczna, przechodziła przez żywopłot i zapuszczała się aż na klif. Czujne służące natychmiast rzucały się w pogoń, prowadziły ją z powrotem i groziły, że poskarżą matce. W takich sytuacjach Ben wyobrażał sobie, że jest jej wybawcą. Gdyby stojąc na skraju klifu, znalazła się nagle w niebezpieczeństwie, na pewno ocaliłby jej życie.

Rzuciłby się w jej stronę, nie zważając na osuwające się pod stopami kamienie, i odciągnął ją w bezpieczne miejsce. A wtedy ona z wdzięcznością spytałaby go o imię, on zaś odparłby, że nazywa się Ben Beckman i jest jej sąsiadem. Ona oczywiście o wszystkim opowiedziałaby matce, pani doktorowej Thurlwellowej, która zaprosiłaby go na szklanekę napoju gazowanego, by podziękować za ocalenie córki. On jednak grzecznie by odmówił. Przecież zna swoje miejsce. W zupełności by mu wystarczyło, że uznano by go za bohatera...

Rozległo się wołanie Diamond, odwrócił się więc, kiedy jednak chwycił kępę trawy, spostrzegł obserwującego go węża. Ciekawe, od jak dawna tam leży, zwinięty na ciepłej skale, wpatrzony w tył jego głowy. Ben zaczął się zastanawiać, czy wąż to honorowy facet, który mgdy nie atakuje z tyłu, tylko czeka, aż wróg spojrzy mu w oczy, i dopiero wtedy go zabija. Tak czy owak nie ulegało wątpliwości, że spotkanie z wężem musi oznaczać poważne kłopoty.

? Jeśli już o to chodzi — pomyślał, tkwiąc w bezruchu z dłonią zaciśniętą na kępie trawy i stopami pewnie opartymi na skalnej półce

— to czy zdarzyło się kiedyś, by spotkanie z tajpanem nie oznaczało kłopotów?" Dobrze wiedział, że to tajpan: metaliczna żółto-czarna skóra, kołyszący się łeb i rozdwojony język znajdujący się zaledwie kilka stóp od twarzy Bena nie pozostawiały cienia wątpliwości.

Jakby próbując wyprowadzić go z równowagi, zmusić do wykonania ruchu, wąż spokojnie trochę się rozwinął, choć głowa nawet mu nie drgnęła, a oczy wciąż wpatrywały się w ofiarę. Ben czuł, jak drętwieje mu ramię, wiedział, że długo w tej pozycji nie wytrzyma, że wkrótce będzie musiał puścić kępę, lecz te wszechmocne oczyska powstrzymywały go przed najmniejszym ruchem. „Może próbuje mnie zahipnotyzować? — pomyślał z przerażeniem.

— Żeby nie był w stanie obmyślić sposobu ucieczki?" A sposób był tylko jeden. Ben mógł rzucić się do tyłu, w dół urwiska. Skręcić sobie kark, połamać ręce i nogi, co bolałoby pewnie jeszcze bardziej niż ukąszenie.

10

OGNIE FORTUNY

Gdzie jest mama? Przecież go wołała, czemu nie próbuje go odnaleźć? Ma strzelbę, mogłaby zastrzelić tę bestię, której głowa kołysze się na boki, jakby zasłuchana w jego myśli, spokojnie wyczekującą, prowokującą go, by spróbował szczęścia.

Niewielki miodojad wyfrunął spłoszony pomiędzy gałęzi wielkiego, rozłożystego drzewa rosnącego obok muru. Wprawdzie drzewo znajdowało się na terenie Somerset, ale jego konary sięgały do ogrodu Beckmanów. Ben często z nich korzystał, skracając sobie drogę do domu. Zastanawiał się, co takiego spłoszyło ptaka, kiedy nagle pomiędzy gałęziami ujrzał córkę sąsiadów w białej plisowanej sukience, która przypatrywała mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Miał ochotę krzyknąć, lecz nie śmiał, a im dłużej zwlekał, tym bardziej drażnił go jej widok, chociaż wiedział, że na to stare sękate drzewo bez trudu wdrapie się nawet dziewczyna.

Zdesperowany, skupił całą uwagę na wężu, który najwyraźniej próbował go zmęczyć, właśnie tak, jak to robią koty z ptakami, strasząc je tak długo, aż te, do cna wyczerpane, nie są już w stanie odlecieć. Zdawał sobie sprawę, że jeśli będzie tak stał, jeżeli natychmiast nie znajdzie sposobu, by zejść wężowi z drogi, wszystkie członki zupełnie mu zdętwieją i nie będzie zdolny wykonać żadnego szybkiego ruchu. Tymczasem ta głupia dziewczyna kontynuowała

wspinaczkę. Szła po gałęziach zwisających ponad murem, trzymając się tych znajdujących się nad jej głową. Najwyraźniej zamierza przejść na drugą stronę!

Jeśli to zrobi, zabije ją. O ile sam jeszcze będzie żył, ukąszony przez wystraszonego węża. Skamieniały ze zgrozy patrzył, jak dziewczyna przechodzi na następny konar. W pewnym momencie falbana jej sukienki zahaczyła o jakąś gałąź, odsłaniając majtki. Phoebe szykowała się do zeskoku na trawę.

Chciał jęknąć, licząc, że może to ją powstrzyma. Tymczasem staruszek tajpan wciąż się w niego wpatrywał. Jego oczy lśniły złowrogo, odsuwając na dalszy plan wszystko inne. Ben miał ochotę zamknąć swoje, ponieważ jednak obawiał się, że wąż może to odebrać jako sygnał do ataku, otworzył je jeszcze szerzej, postanawiając przeczekać niebezpieczeństwo. Może mu się uda. A może nie. W tej samej chwili ujrzał Diamond. Nie miał pojęcia, skąd się tu wzięła. Nie słyszał jej kroków, po prostu nagle stwierdził, że stoi nad nim, jego kochana mama, ubrana w czarną suknię muskającą delikatnie jej bosc stopy.

„Ha! — pomyślał. — Teraz to pan ma poważne kłopoty, szanowny panie wężu! Myślę, że moja mama zaraz odstrzeli panu łeb!”

ii

PATRICIA SHAW

Zebrał się w sobie, kiedy zauważył, że Diamond nie ma ze sobą broni. Tak liczył, że ta dziewczyna, Phoebe, zorientowała się w jego rozpaczliwej sytuacji i pobiegła po pomoc, ale widocznie się mylił. Pewnie popędziła do domu bawić się swoimi głupimi lalkami, a jego zostawiła na łasce losu.

Zamiast wszakże wrócić do domu po broń, Diamond usiadła po turecku za wężem.

Przeżarty Ben chciał krzyknąć, żeby uciekała, bo grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ona jednak przyłożyła palec do ust, dając mu znak, żeby był cicho i się nie ruszał. Wówczas jego oczy wypełniły się łzami, zdał sobie bowiem sprawę, że mama chce odciągnąć od niego uwagę tajpana.

Nagle zaczęła śpiewać, bardzo cicho, jakąś dziwną pieśń o powtarzających się słowach, dłonie ułożywszy płasko na ziemi, jakby próbowała pokazać temu straszemu wężowi, że nie ma broni. Ben był wściekły na mamę za jej brak rozsądku, nie chciał, by umarła, kochał ją. Diamond i Oma były dla niego wszystkim. Pieśń przypominała teraz kołysankę, a wąż coraz mocniej kołysał się na boki, wskazując swoim rozdwojonym jęzorem to jedno z nich, to drugie, jakby nie potrafił się zdecydować, które ma zaatakować.

Oczy matki, ciemne, lecz przezroczyste, przykuły wzrok węża. Słodki wyraz jej twarzy wstrząsnął Benem. Powinna chwycić jakiś drąg i rozpląszyc potwora, ona tymczasem siedzi bez ruchu i uśmiecha się do przekłętego gada. Chłopiec puścił kępę trawy i powoli, bardzo powoli opuścił rękę, podczas gdy wąż odsuwał się od niego, zasluchany w śpiew Diamond. Pierścienie niespiesznie się rozwinęły, złowrogi język zniknął i tajpan zaczął się kołysać, całkiem jakby chciał sprawić jej przyjemność.

Uśmiechnęła się — teraz to ona była widownią — podziwiając jego taniec, aż w końcu, po chwili, która Benowi wydawała się wiecznością, wąż odpełzł.

— Szybko, mamó — wykrzyknął Ben, wdrapując się na górę. — Zabij go, zanim zdąży uciec!

— Nie. On tu mieszka. Widziałam go już wiele razy. To jego dom, a ty go przestraszyłeś.

— Ale przecież mógł mnie ukąsić i byłoby po mnie!

— Możliwe. Następnym razem uważaj. Mówiłam ci przecież, żebyś trzymał się z dala od klifu. Wiele małych zwierząt i ptaków ma tutaj swoje nory i gniazda. Dla nich jesteś intruzem, boją się ciebie.

Nadbiegła Oma, powiewając spódnicą na wietrze, i wzięła Bena w ramiona.

12

OGNIE FORTUNY

— Ta dziewczynka była taka przerażona! Zobaczyła węża i przybiegła do nas z płaczem. Nic ci się nie stało, biedaku? Och, Diamond, weźmy go szybko do domu.

— Gdzie ona jest? — spytał Ben. — Ta dziewczyna?

— Poszła do domu — wyjaśniła Oma. — Strasznie wstydziła się podartej sukienki.

Powiedziałam jej, że ją pozszywam, tak że nikt niczego nie zauważy, ale nie chciała zostać.

Coś mi się wydaje, że ta panna Phoebe bardzo lubi naszego małego Bena.

— Aha! — obruszył się Ben. — Nie jestem żadnym małym Benem, a ona nikogo nie lubi. — Chociaż zdumiało go, że Oma zna jej imię.

Co za wstyd! Tyle razy marzył, że zostanie jej wybawcą, tymczasem to ona uratowała mu życie. Pewnie uważa go teraz za straszego głupka.

Z biegiem czasu zmienił jednak zdanie. Panna Phoebe okazała się na tyle bystra, że popędziła po jego matkę, nie płosząc węża, stał się więc jej dłużnikiem. Któregoś dnia, kiedy będzie go potrzebowała, przybędzie jej na pomoc, on, kapitan piratów, ocali ją z tonącego okrętu...

Panie były oczarowane. „Długi” pokój Lalli Thurlwell był wprost przecudowny. Jak im wyjaśniła, w Somerset House były już dwa salony, kiedy więc po raz pierwszy ujrzała to pomieszczenie, nie bardzo wiedziała, co z nim począć.

— Na pokój dzienny też by się nie nadawał. Jest zbyt duży, ciągnie się przez całą szerokość domu. A ponieważ zasłania go weranda, nie jest zbyt widny. Z tymi szklanymi drzwiami na całą ścianę kojarzył mi się z cieplarnią, postanowiłam więc zdobyć się na odwagę i urządzić go właśnie w takim stylu.

— Efekt jest wyśmienity — zachwycała się pani Sutcliffe, małżonka przewodniczącego Izby.

— Te przepiękne białe bambusowe meble i wspaniałe rośliny, zwłaszcza wysokie palmy, sprawiają, że to prawdziwe studium bieli i zieleni. I tak tu chłodno. Muszę pani szczerze pogratulować, pani Thurlwell.

— Dziękuję pani — rozpromieniła się Lalla. — Byłoby mi niezręcznie zaprosić panie do „cieplarni”, dlatego nazwałam ten pokój „długim”.

Pani Buchanan podzielała entuzjazm pani Sutcliffe.

— Wspaniałe chodniki i białe figurki jeszcze bardziej podkreślają piękno całości, pani Thurlwell, ale czy będę niegrzeczna, jeśli spytam,

13

PATRICIA SHAW

gdzie udało się pani dostać wszystkie te meble? Jak na bambus, wydają się bardzo solidne. I takie obszerne.

Jej matka, znana z surowości Belle Foster, bywalczyni najznamienitszych salonów Brisbane, posłała jej groźne spojrzenie.

— Claro! Zastanów się, co ty wygadujesz! Oczywiście, że jesteś niegrzeczna.

— Po prostu przyszło mi do głowy — broniła się Clara nieśmiało

— że przed powrotem na farmę powinnam porozmawiać z mężem. Przecież potrzebne są nam nowe meble, a trudno się zdecydować, co kupić. Wkrótce może się tam zrobić strasznie gorąco.

— Tak, rzeczywiście — łaskawie zgodziła się Lalla. — Przyślę pani katalog, Claro.

Wszystkie krzesła, stoły i stojaki sprowadziliśmy z Hongkongu. Ale muszę pani powiedzieć

— dodała, zniżając głos do szeptu — że kiedy otrzymaliśmy tę przesyłkę, William doznał szoku.

— Na widok rachunku? — huknęła pani Foster. Lalla roześmiała się.

— Och, nie. Był przygotowany na taki wydatek. Meble też mu się bardzo spodobały, zwłaszcza te ogromne fotele, ale kiedy oświadczyłam, że chcę je pomalować na biało... mogą to sobie panie wyobrazić! Powiedziałam mu jednak, by mi zaufał, i zrobiłam, co zaplanowałam. Już się pogodził z losem.

— I słusznie — stwierdziła pani Foster, rozglądając się wokół.

— Szary bambus nie robiłby takiego wrażenia.

Kiedy w drzwiach stanął doktor Thurlwell, wszystkie panie zwróciły się w jego stronę. Lalla podeszła do męża, haftowany jedwabny tren sukni zaszeleścił cicho na lśniącej podłodze.

— Moja droga — pocałował ją w policzek — wyglądasz wspaniale. Na te słowa wszystkie panie westchnęły z uznaniem, gdyż Lalla

rzeczywiście prezentowała się niezwykle wytwornie. Upięte pukle gęstych jasnych włosów okalały jej twarz, pojedyncze niesforne luźne kosmyki zmiękczały i tak delikatne rysy. Biała suknia, podkreślająca pełne kształty, była istnym marzeniem. Bardzo kosztownym marzeniem, co oczywiście nie uszło uwagi pań, zwieńczonym szmaragdową broszką, spinającą wysoki koronkowy kołnierz. W towarzystwie mówiło się, że Lalla Thurlwell zawsze ubiera się pod kolor salonu, w którym przyjmuje gości, i oto miały tego naoczny dowód.

— Panie właśnie wychodzą — zwróciła się do męża, na co on zrobił zawiedzioną minę.

14

OGNIE FORTUNY

— Widać takie już moje szczęście, że kiedy się zjawiam, trzy piękne damy wychodzą. Ale cóż począć, obowiązki. Mam nadzieję, że spędziły panie miłe popołudnie.

— Ależ oczywiście, doktorze. Herbata była wspaniała! — wykrzyknęła pani Sutcliffe.

Pani Foster, wysoka kobieta o dużych piersiach, natychmiast skorzystała z okazji, by z niej zadzwic i dać wszystkim do zrozumienia, że stanowisko piastowane przez pana Sutcliffe'a nie robi na niej najmniejszego wrażenia. Politycy, zdaniem pani Foster, to tylko słudzy ludu i tak właśnie powinni być traktowani. Jak słudzy.

— U pani Thurlwell raczej trudno się spodziewać innej! — zauważyła z wyższością.

Kiedy służąca prowadziła gości do drzwi, William delikatnie szturchnął Lallę i spytał szeptem:

— I jak poszło?

— Świetnie — odparła z uśmiechem. — Biddy! — zawołała inną służącą. — Gdzie jest Phoebe? Chcę, żeby się pożegnała z paniami.

— Nie mogę jej nigdzie znaleźć, psze pani — jęknęła Biddy. — Wszędzie jej szukałyśmy i nic.

— W takim razie poszukajcie jeszcze raz! — syknęła Lalla i posuwistym krokiem wyszła do białego korytarza.

Przed drzwiami frontowymi zatrzymały się tymczasem dwa lekkie powozy. Lalla wciąż prowadziła rozmowę z gośćmi, choć nie potrafiła ukryć poirytowania. Gdzie się podziewa ta smarkula? Przecież kazała jej wynieść się z domu na czas wizyty i wrócić, kiedy panie będą odjeżdżać. Ale Phoebe zawsze znikwała właśnie wtedy, kiedy była potrzebna. Jeden Bóg raczy wiedzieć, dlaczego pokarał Lallę Thurlwell córką, która nie dość, że sepleni i nie ma ani cienia uroku, to jeszcze jest pyską, wiecznie się matce przeciwstawiającą buntownicą...

— Dobry Boże! — wykrzyknęła pani Foster na widok Phoebe, która zbliżała się do nich, przecinając okrągły trawnik, centralny punkt podjazdu.

Lalla zamarła. Schludność była niemalże jej obsesją. Wszystko w jej domu miało swoje miejsce oraz obowiązek na tym miejscu się znajdować. Z dokładnością do jednego cala. Strój każdego członka rodziny musiał być nienaganny i nieskazitelnie czysty. Nie było mowy, by zwiśla zeń jakaś luźna nitka.

Tymczasem spójrzcie no tylko na jej córkę! Zgubiła wstążkę, jeden warkocz zdażył się więc rozpleść. Co gorsza, podarła gdzieś sukienkę:

15

PATRICIA SHAW

rękaw trochę zwiślał, falbana wlokła się po ziemi niczym splugawiona chorągiew.

— Dzień dobry! — odezwała się dziewczynka wesoło, ciągnąc niczym magnes w kierunku pani Foster, bieguna najpotężniejszego ze wszystkich. — Czy miło spędziliście panie dzień?

— Tak, dziękuję ci, dziecko — odparła kobieta. — Co ci się stało? Spadłaś z drzewa? Phoebe uśmiechnęła się do niej szeroko.

— Tak, spadłam. Skąd pani wie?

— Zdarza się — stwierdziła pani Foster, wzruszając ramionami, i wsiadła do pierwszego powozu, po czym dodała: — Następnym razem sprawdzaj gałęzie, dziecko. Zawsze sprawdzaj gałęzie.

Stojąc obok tej przeklętej smarkuli z wymuszonym uśmiechem na twarzy, Lalla pożegnała gości, a kiedy powozy odjechały, syknęła:

— Co ci się stało?

— Spadłam z drzewa.

— Ile razy ci mówiłam, że prawdziwe damy nie chodzą po drzewach!

— Tak, ale...

Lalla chwyciła ją za ramiona i mocno potrząsnęła.

— Nie chcę słyszeć żadnych ale. Lepiej mi powiedz, co robiłaś za bramą w takim stanie?

— Byłam u sąsiadów. Zobaczyłam tego chłopaka, który mieszka obok, i...

— Co?! Byłaś u tych obok?! — Odkąd Thurlwellowie sprowadzili się do Somerset House, ignorowali sąsiadów. William wielokrotnie próbował skłonić ich do sprzedaży domu, lecz ta Niemka, właścicielka, uparcie odmawiała, tak więc mała wiejska chata na końcu cypla nie przestała szpecić posiadłości Thurlwellow.

— Musiałam — broniła się Phoebe, na co rozwścieczona matka bez namysłu uderzyła ją w twarz.

— Marsz do domu, ty wstrętne smarkulo. Biddy! Wykap ją, tylko dokładnie! Później się nią zajmę. Czemu tak na mnie patrzysz? — zwróciła się do męża, spostrzegłszy mars na jego czole. — Wolałbyś może, żeby zaczęła z nimi przestawać? No, słucham?

— Nie, oczywiście, że nie — odparł cicho.

William nigdy nie potrafił otwarcie przeciwstawić się żonie. Była drobną kobietą, pełną gracji, którą podkreślała jeszcze bladość cery i kosztowne stroje, a chociaż kochał ją i podziwiał, przerażała go agresja, z jaką reagowała na najmniejszy nawet cień sprzeciwu.

16

OGNIE FORTUNY

W ciągu wspólnie spędzonych lat nauczył się, że lepiej ustąpić, aniżeli narażać się na słowne z nią utarczki.

Tym bardziej teraz, kiedy mieli do przedyskutowania sprawy znacznie istotniejsze. William pochodził z rodziny pionierów z północno-wschodniego Queensland i był zagorzałym antyfederalistą. Wiedział, że jeśli grupa reformatorów, którzy zamysłili sobie połączyć samodzielne kolonie we Wspólnotę, dopnie swego, pociągnie to za sobą dość istotne ograniczenie znaczenia jego, a także wielu spośród jego przyjaciół, jak również, co oczywiste, natychmiastowy i gwałtowny wzrost podatków. Rząd federalny nie może istnieć w próżni, a skąd ma czerpać pieniądze, jeśli nie z kieszeni ludzi, którzy już i tak zasilają władze kolonii? Dla Williama perspektywa taka była nie do przyjęcia, cieszył się więc niepomiernie, że żona zaangażowała się w tę sprawę z typową dla siebie energią.

— Co powiedziała pani Foster? — zapytał.

— Nie miałam z nią żadnych problemów. Nie znosi polityków, więc na samą myśl, że miałyby wybierać następnych, o mało nie dostała ataku serca. Z radością, przyłączy się do naszego ruchu i śmiem przypuszczać, że nie będzie żałować wysiłków ani pieniędzy, by osiągnąć cel.

— Wspaniale — skinął głową. — A pani Sutcliffe?

— To idiotka. Wygadała się, że Harold Sutcliffe jest za federacją.

— Czyżby? To ciekawe. Sprawia wrażenie, że jest jej przeciwny, a przecież, na Boga, wchodzi w skład komisji mającej przygotować raport w tej sprawie.

— Być może zmieni zdanie — uśmiechnęła się Lalla. — Pani Foster okropnie zbesztła jego żonę, nawet nie musiałam się odzywać. Zanim Belle Foster skończyła, pani Sutcliffe była całym sercem po naszej stronie i obiecała porozmawiać z mężem.

— O ile on w ogóle zechce jej wysłuchać.

— Zechce, jeśli żona nie zapomni mu powiedzieć, że Fosterowie trzymają w garści sporą grupę wyborców w jego okręgu. Ale jest jeszcze jeden problem. Kiedy panie Foster i Sutcliffe poszły do ogrodu porozmawiać, Clara Buchanan zdradziła mi, prosząc, bym nie wspominała o tym jej matce, że także jej mąż jest gorącym zwolennikiem zjednoczenia.

— Powtórzyłaś to pani Foster?

— Ależ skąd. Ben Buchanan zawsze miał polityczne ambicje i może się okazać przydatny.

2 Ognie fortuny

17

PATRICIA SHAW

rękaw trochę zwisał, falbana wlokła się po ziemi niczym splugawiona chorągiew.

— Dzień dobry! — odezwała się dziewczynka wesoło, ciągnąc niczym magnes w kierunku pani Foster, bieguna najpotężniejszego ze wszystkich. — Czy miło spędzili panie dzień?

— Tak, dziękuję ci, dziecko — odparła kobieta. — Co ci się stało? Spadłaś z drzewa?

Phoebe uśmiechnęła się do niej szeroko.

— Tak, spadłam. Szkał pani wie?

— Zdarza się — stwierdziła pani Foster, wzruszając ramionami, i wsiadła do pierwszego powozu, po czym dodała: — Następnym razem sprawdzaj gałęzie, dziecko. Zawsze sprawdzaj gałęzie.

Stojąc obok tej przeklętej smarkuli z wymuszonym uśmiechem na twarzy, Lalla pożegnała gości, a kiedy powozy odjechały, syknęła:

— Co ci się stało?

— Spadłam z drzewa.

— Ile razy ci mówiłam, że prawdziwe damy nie chodzą po drzewach!

— Tak, ale...

Lalla chwyciła ją za ramiona i mocno potrząsnęła.

— Nie chcę słyszeć żadnych ale. Lepiej mi powiedz, co robiłaś za bramą w takim stanie?

— Byłam u sąsiadów. Zobaczyłam tego chłopaka, który mieszka obok, i...

— Co?! Byłaś u tych obok?! — Odkąd Thurlwellowie sprowadzili się do Somerset House, ignorowali sąsiadów. William wielokrotnie próbował skłonić ich do sprzedaży domu, lecz ta Niemka, właścicielka, uparcie odmawiała, tak więc mała wiejska chata na końcu cypla nie przestała szpecić posiadłości Thurlwellowów.

— Musiałam—bronila się Phoebe, na co rozwścieczona matka bez namysłu uderzyła ją w twarz.

— Marsz do domu, ty wstrętna smarkulo. Biddy! Wykap ją, tylko dokładnie! Później się nią zajmę. Czemu tak na mnie patrzysz? — zwróciła się do męża, spostrzegłszy mars na jego czole. — Wolałbyś może, żeby zaczęła z nimi przestawać? No, słucham?

— Nie, oczywiście, że nie — odparł cicho.

William nigdy nie potrafił otwarcie przeciwstawić się żonie. Była drobną kobietą, pełną gracji, którą podkreślała jeszcze bladość cery i kosztowne stroje, a chociaż kochał ją i podziwiał, przerażała go agresja, z jaką reagowała na najmniejszy nawet cień sprzeciwu.

16

OGNIE FORTUNY

W ciągu wspólnie spędzonych lat nauczył się, że lepiej ustąpić, aniżeli narażać się na słowne z nią utarczki.

Tym bardziej teraz, kiedy mieli do przedyskutowania sprawy znacznie istotniejsze. William pochodził z rodziny pionierów z północno-wschodniego Queensland i był zagorzałym antyfederalistą. Wiedział, że jeśli grupa reformatorów, którzy zamysłili sobie połączyć samodzielne kolonie we Wspólnotę, dopnie swego, pociągnie to za sobą dość istotne ograniczenie znaczenia jego, a także wielu spośród jego przyjaciół, jak również, co oczywiste, natychmiastowy i gwałtowny wzrost podatków. Rząd federalny nie może istnieć w próżni, a skąd ma czerpać pieniądze, jeśli nie z kieszeni ludzi, którzy już i tak zasilają władze kolonii? Dla Williama perspektywa taka była nie do przyjęcia, cieszył się więc niepomiernie, że żona zaangażowała się w tę sprawę z typową dla siebie energią.

— Co powiedziała pani Foster? — zapytał.

— Nie miałam z nią żadnych problemów. Nie znosi polityków, więc na samą myśl, że miałyby wybierać następnych, o mało nie dostała ataku serca. Z radością, przyłączy się do naszego ruchu i śmiem przypuszczać, że nie będzie żałować wysiłków ani pieniędzy, by osiągnąć cel.

— Wspaniale — skinął głową. — A pani Sutcliffe?

— To idiotka. Wygadała się, że Harold Sutcliffe jest za federacją.

— Czyżby? To ciekawe. Sprawia wrażenie, że jest jej przeciwny, a przecież, na Boga, wchodzi w skład komisji mającej przygotować raport w tej sprawie.

— Być może zmieni zdanie — uśmiechnęła się Lalla. — Pani Foster okropnie zbesztła jego żonę, nawet nie musiałam się odzywać. Zanim Belle Foster skończyła, pani Sutcliffe była całym sercem po naszej stronie i obiecała porozmawiać z mężem.

— O ile on w ogóle zechce jej wysłuchać.

— Zechce, jeśli żona nie zapomni mu powiedzieć, że Fosterowie trzymają w garści sporą grupę wyborców w jego okręgu. Ale jest jeszcze jeden problem. Kiedy panie Foster i Sutcliffe poszły do ogrodu porozmawiać, Clara Buchanan zdradziła mi, prosząc, bym nie wspominała o tym jej matce, że także jej mąż jest gorącym zwolennikiem zjednoczenia.

— Powtórzyłaś to pani Foster?

— Ależ skąd. Ben Buchanan zawsze miał polityczne ambicje i może się okazać przydatny.

2 Ognie fortuny

17

PATRICIA SHAW

— Cholerny dureń. Lepiej by siedział w buszu i zajmował się własnymi sprawami.

— Ostatnio nie powodzi mu się zbyt dobrze. Musiał sprzedać farmę na północy i kupić nową, w okolicach Charleville. Clara mówi, że to jakieś pięćset mil na zachód. Jak na początek całkiem nieźle, tyle tylko że grozi im susza. Poza tym Buchanan wolałby mieszkać w mieście.

— Jest przeciwko nam — zauważył William.

— Niekoniecznie. Moim zdaniem powinniśmy znaleźć sposób, by wprowadzić go do parlamentu. Oczywiście pod warunkiem że się do nas przyłączy. Na pewno nie zechce przegapić takiej okazji.

William roześmiał się.

— Wiesz co, moja droga? Sama powinnaś zająć się polityką.

— Nie. Nawet gdyby kobiety miały prawo zajmować ważne stanowiska, nie miałabym na coś takiego dość cierpliwości. Buchanan to żaden przeciwnik. Łatwo nim pokierować. Musimy go jakoś zachęcić, może więc byłoby dobrze zaprosić jego i Clarę na kilka dni? Sądzę, że to wystarczy.

— Posłuchaj mnie, kochanie — mówiła Bidy, szcztokując włosy Phoebe. — Nie wolno ci pyskować matce. Musisz siedzieć cicho.

— Ona mnie uderzyła! — warknęła Phoebe.

— Nie przejmuj się tym. Przestraszyła się na widok twojej podartej sukienki. Pewnie myślała, że ktoś cię napadł.
— Czy to powód, żeby mnie bić po twarzy? Ona jest potworem. Nienawidzę jej.
— Na Boga, nie wolno ci opowiadać takich rzeczy. I nie denerwuj się, bo znowu zapomnisz o swoim „s”. Powtarzaj za mną: los, włos, kłos, nos.
Phoebe bezbłędnie powtórzyła, na co Biddy posłała jej ciepły uśmiech.
— Sama widzisz, że potrafisz, tylko kiedy się zdenerwujesz, po prostu zapominasz.
— Mama... sądzi inaczej — odparła Phoebe, wymawiając „sądzi” ze szczególną uwagą. — Ma mnie za tumana.
— Ależ skąd! — zapewniła Biddy, dobrze jednak wiedziała, że to prawda. Zawijając fartuch dziewczynki, Biddy zamyśliła się. Dobrze powiedzieć, że kiedy zjawia się goście, dziecka ma nie być słycać ani widać, ale tej biedaczce nie wolno nawet odezwać się w towarzystwie. Dlatego przez całe popołudnie snuła się po ogrodzie, by w chwili

18

OGNIE FORTUNY

odjazdu gości pojawić się niczym jakaś lalka wystawiana na pokaz. To właśnie pani Thurlwell i jej metody zastraszania córki były powodem jej seplenienia. Rozmawiając z ojcem albo ze służbą, Phoebe nie miała aż takich problemów z wymową, kłopot wszakże polegał na tym, że im bardziej matka ją prześladowała, tym zacieklej dziewczynka się broniła. Była małą, wrażliwą istotą, w pełni świadomą swoich praw. Biddy westchnęła. Z własnego doświadczenia wiedziała, ile człowiek musi się wycierpieć, zanim w końcu nauczy się milczeć. Trudno to jednak wytłumaczyć żyjącemu w luksusie dziecku. Biddy nie miała jeszcze trzydziestu lat, lecz przy małej Phoebe czuła się jak matu-zalem.

Będąc w jej wieku, Biddy Donovan, córka irlandzkich emigrantów, mieszkała w obskurnym miasteczku na południowym wybrzeżu. Jim Donovan długo ciułał grosz do grosza, by zabrać tam rodzinę i zapewnić jej lepszy byt, a chorej na gruźlicę żonie łagodniejszy klimat. Jednakże długa podróż okazała się zbyt wyczerpująca i matka Biddy zmarła, kiedy statek wpływał do zatoki Moreton.

Starając się dotrzymać słowa danego umierającej żonie, Jim robił, co mógł, by zapewnić córkom godziwy byt. Szybko znalazł pracę przy budowie dróg i wynajął dwuizbową chatę. Spał na maleńkiej werandzie, a jego trzy dziewczynki — szesnastoletnia Maureen, trzynastoletnia Tess i dwunastoletnia Biddy — w sypialni, strzeżone przez swojego dzielnego tatusia.

Maureen została sprzedawczynią, natomiast Tess i Biddy poszły do szkoły. Nauka była niezwykle kosztowna i dla rodzin takich jak Donovanowie stanowiła nie lada luksus, dlatego też Maureen musiała się liczyć z każdym pensum, co nie było łatwe w krainie dostatku, jaką był sklep. Pragnąc jakoś jej wynagrodzić sukcesy w gospodarowaniu skromnym budżetem domowym, Jim zobowiązał młodsze siostry, by odrabiały lekcje razem z nią, żeby ona też się czegoś nauczyła. Zawsze im towarzyszył, słuchał uważnie i „dla zabawy” pytał dziewczęta, czy też może poprobować, one zaś traktowały to poważnie, zdawały sobie bowiem sprawę, że tata nigdy nie nauczył się czytać ani pisać i że czuje żądzę wiedzy dużo większą niż one. Biedny tata.

Aż któregoś dnia wrócili do domu, a tam czekały na nich zimny piec, pusty stół i skatowana, zakrwawiona Maureen, skulona na ich wspólnym łóżku.

Gniew Jima był przerażający. Sąsiedzi starali się go uspokoić, lecz bez rezultatu. Wówczas po raz pierwszy, chociaż nie ostatni, Biddy usłyszała słowo „gwałt”. Często sama w domu, Maureen była wprost

19

PATRICIA SHAW

wymarzoną ofiarą gospodarza, który wszedł pod pozorem kontroli, po czym rzucił się na bezbronną dziewczynę.

Biddy wciąż w uszach brzmiał płacz ojca, który wyrzucał sobie, że nie zapewnił córce należytej ochrony, oraz szepty kobiet, że Maureen powinna była ulec, że lepiej by na tym wyszła, że nie zostałyby tak okropnie pobita. Minęło wiele czasu, zanim gniew Biddy minął, zanim się nauczyła, że lepiej się nie bronić, tylko spuścić głowę i z pokorą przyjąć swój los. Kiedy w końcu udało się jej znaleźć lepszą pracę, nie było w niej już woli walki. Grzecznie dygała i mówiła „Tak, proszę pana, nie proszę pana”, niezależnie od tego, co naprawdę myślała. I tego właśnie próbowała teraz nauczyć małą Phoebe.

Nie mogła zapomnieć Maureen, leżącej na szpitalnym łóżku, jej obandażowanej głowy, twarzy jak sinofioletowy balon, biednych przekrwionych oczu, dzikich i przerażonych. Nigdy już nie doszła do siebie, sześć lat później zmarła w szpitalu dla obłąkanych. Jak mawiali sąsiedzi, jej oprawca, Tom Cranston, potężny stary rzeźnik, wybił z niej zdrowe zmysły. Kiedy Jim oskarżył go o gwałt na córce, wypierał się wszystkiego, nawet zadrapań na twarzy, aż w końcu Jim nie wytrzymał i zerwał z niego koszulę, odsłaniając długie krwawe pręgi na torsie i plecach, ślady po rozpaczliwej obronie. Tak jak wszyscy się spodziewali, ojciec uderzył rzeźnika pięścią w twarz, ten zwał się na ziemię i na tym się skończyło. Potem Jim wrócił do szpitala, gdzie czekali na niego kręcący głowami lekarze oraz Maureen, która nikogo nie rozpoznawała. Już nigdy nikogo nie rozpoznawała.

Jim Donovan wrócił do domu po strzelbę, po czym zastrzelił Cranstona przed jego sklepem. A teraz odsiadywał dożywocie w więzieniu w Brisbane.

Przez jakiś czas sąsiedzi przekazywali sobie dwie córki Donovana z rąk do rąk, szkoła na zawsze poszła w zapomnienie, później trafiły do sierocińca, a w końcu zamieszkały w piwnicy w ubogiej dzielnicy. Biddy nigdy nie potrafiła pojąć, dlaczego Tess została ulicznicą i zaczęła czerpać zyski z tego, co zabiło Maureen.

Jeszcze zanim Biddy nauczyła się radzić sobie jako służąca, wiedziała, że nie chce mieć nic wspólnego z seksem ani mężczyznami; wszystko, czego pragnęła, to praca, czysty pokój i godziwe zarobki... bezpieczne życie. A kiedy inni wyśmiewali się z niej, że zostanie starą panną, nie zwracała na to uwagi. „Lepiej uważać, niż potem żałować” — powtarzała. Regularnie odwiedzała ojca, do dnia kiedy poprosił, by tego więcej nie robiła, bo ojciec przestępca na pewno nie poprawi jej

OGNIE FORTUNY

opinii. Pobłogosławił ją, kazał na siebie uważać i poprosił, by się za niego modliła. Wtedy już nie wspominał o Tess, zresztą Biddy nie miała z nią żadnego kontaktu.

Ale jak kiedyś powiedziała Cook: „Nieszczęście nie wybiera. Czyś bogaty czy też biedny, ciebie też może spotkać. I moim zdaniem biedna mała Phoebe jest tak samo nieszczęśliwa jak my, kiedy byliśmy dziećmi. A ten jej ojciec nawet jej nie broni. Co za patałach.”

Drzwi otworzyły się, wyrывая Biddy z zamyślenia.

— Już gotowa, psze pani. Całkiem jak nowa. — Biddy pozwoliła sobie na bystrą uwagę, została wszakże zignorowana. Pani natychmiast zaczęła wydierać się na córkę.

— Jak śmiesz łązić po drzewach!

— Musiałam ściągnąć piłkę.

— Mamy ogrodników. Dlaczego nie zawołałaś któregoś z nich?

— Zapomniałam.

Matka chwyciła Phoebe za ucho i zaciągnęła pod okno.

— Kłamiesz. Specjalnie wspięłaś się na drzewo, żeby wejść do tych obok. Ściągaj ubranie! Wiedząc, co się szykuje, Biddy zebrała całą odwagę i rzekła:

— Przepraszam, psze pani, ale ona spadła z drzewa. Całe szczęście, że się nie potłukła.

— Czy ktoś cię pytał o zdanie? — syknęła Lalla. Przytupując czekała, aż córka zdejmie fartuch i sukienkę i stanie

przed nią w samej bieliźnie.

— No więc? — odezwała się złowrogim tonem. — Jak to się stało, że kiedy wróciłaś, nie miałaś ze sobą piłki? Możesz mi łaskawie wyjaśnić, gdzie ona jest?

— Zosztła na drzewie — odparła dziewczynka.

— Natychmiast przestań seplenić! Wcale nie spadłaś z drzewa, nie masz ani jednego siniaka, żadnego śladu! Przeszłaś na drugą stronę, żeby zrobić mi na przekór. Może nie mam racji?

— Nie! — wykrzyknęła Phoebe. — Zobaczyłam tego chłopca i węża i ten chłopiec był bardzo przestraszony, i nie mógł się ruszyć, więc pobiegłam do jego mamy, żeby jej powiedzieć, a wtedy ona tam poszła i ta pani z Niemiec też, i...

— Ha! Słyszałaś? — zwróciła się Lalla do Bidy. — Wcale nie spadła z drzewa. — Gwałtownie potrząsnęła Phoebe. — Więc w końcu spadłaś czy nie?

— Nie. Zeskoczyłam. Musiałam zeskoczyć. Musiałam zawołać jego mamę.

21

PATRICIA SHAW

- No i proszę, mamy już połowę prawdy, ty wstrętna smarkulo! Któż by pomyślał, że taka z ciebie bohaterka. Waż! Nawet jeśli rzeczywiście tam był, to chyba ci się nie wydawało, że te kobiety bez ciebie sobie z nim nie poradzą?

— Musiałam im powiedzieć.

— Rozumiem — odparła Lalla jedwabistym głosem. — A więc zobaczyłaś węża w ich ogrodzie i zamiast zostać w bezpiecznym miejscu, przeszłaś na drugą stronę, tak? A potem? Phoebe najwyraźniej dała się nabrać na spokojniejszy ton matki. Wziąwszy go za oznakę szczerego zainteresowania, zaczęła opowiadać podekscytowanym głosem, całkiem zapominając o seplenieniu:

— Szkoda, że tego nie widziałaś, mamó. Ten chłopiec nie mógł się ruszyć, bo zaraz przed nim kołysał się ten ogromny wąż. W każdej chwili mógł go ukąsić, więc pobiegłam do jego domu i wtedy wyszły te dwie panie...

— Panie! — prychnęła Lalla, wznosząc wzrok ku niebu. Phoebe jednak nie zwracała na nią uwagi.

— Powiedziałam im o wężu — ciągnęła — a wtedy mama tego chłopca poszła tam, usiadła na trawie niedaleko węża i zaczęła mu śpiewać taką cichą piosenkę, którą ledwo słyszałyśmy.

— Słyszałyśmy? Kto? — spytała Lalla.

— No, ja i ta pani z Niemiec. Przecież wiesz...

— Właśnie że nie wiem.

Biddy stłumiła westchnienie. Thurlwellowie byli sąsiadami pani Beckman od ponad dwunastu lat.

— No więc jego mama siedziała obok tego węża — mówiła Phoebe — i śpiewała mu, a on słuchał, a potem przestał straszyć chłopca, odwrócił się ku niej i długo kołysał na boki, a w końcu schował język i odpełzł. Tak jakby po prostu szedł do domu.

— Rozumiem. A więc ta kobieta powiedziała mu, że ma iść do domu?

— Tak.

Błyskawicznym ruchem Lalla spoliczkowała Phoebe tak mocno, że dziewczynka poleciała do tyłu i uderzyła głową o parapet.

Biddy aż podskoczyła, jakby to ją uderzono, była jednak zbyt mądra, by się wtrącać.

— Stek kłamstw! — syknęła Lalla. — Wydaje ci się, że w to wszystko uwierzę? Poszłaś tam bawić się z tym chłopakiem. Dotykał cię? — Potrząsała córką. — No mów, gdzie cię dotykał?!

— Nigdzie! — krzyknęła Phoebe.

22

OGNIE FORTUNY

— A więc bawiłaś się z nim?

— Nie.

Lalla podeszła do szafy i wyjęła z niej różgę. Położyła małą na krześle i biła tak długo, aż wreszcie jej gniew trochę ustąpił.

— Powinam wezwać lekarza — zwróciła się do Biddy — żeby ją dokładnie zbadał.

— Och nie, psze pani — odezwała się Biddy błagalnym tonem. Podczas egzekucji Phoebe nie wydała z siebie ani jednego dźwięku,

za to teraz krzyknęła w stronę matki:

— Nienawidzę cię!

Lalla westchnęła, niespiesznie poprawiając włosy przed lustrem.

— Nieprawda. Kolejna bzdura. Nigdy jeszcze nie spotkałam dziecka, które by wymyślało tak niewiarygodne historie jak ty. Teraz, kiedy zaczynasz dorastać, będę musiała bardziej na ciebie uważać. Wydaje się jej, Biddy, że jest strasznie pokrzywdzona, ale jako matka mam obowiązek na nią uważać. Dobrze wiem, na co stać dziewczyny w jej wieku.

— Chyba z własnego doświadczenia — mruknęła Biddy.

— Słucham? Co powiedziałaś?

— Że nigdy nic nie wiadomo, psze pani.

— Właśnie. Połóż ją spać. Bez kolacji.

— Ale nie jadła nawet podwieczorku.

— W takim razie daj jej chleba i wody.

Biddy delikatnie szturchnęła Phoebe, wkładając jej koszulę nocną. Dziewczynka wiedziała, że oprócz chleba i wody na tacy w kieszeniach służącej znajdują się jakieś smakołyki, zawinięte w którąś z adamaszkowych serwetek matki. Phoebe uwielbiała Biddy i dobrze rozumiała, dlaczego ani ona, ani żadna inna służąca nie może przeciwstawić się matce, choćby ta nie wiadomo jak źle je traktowała. Za to Phoebe mogła. Matka musiałaby ją zabić, by zamknąć jej usta.

Kiedy została sama, Phoebe położyła się na brzuchu i cicho pojękiwała. Ucho ją bolało, pupa okropnie piekła. Postanowiła, że kiedyś, gdy już upora się z tym seplenieniem, ośmieszy matkę na oczach wszystkich najważniejszych znajomych. Kiedyś...

Jej myśli znów powędrowały ku sąsiadom. Nie mogła pojąć, dlaczego matka tak strasznie ich nienawidzi. Matka chłopca była bardzo dystygowana i miała piękne ciemne oczy. Kiedy Phoebe przybiegła i powiedziała jej o wężu, wcale nie wpadła w panikę, tylko delikatnie się uśmiechnęła i przekazała Phoebe pod opiekę starej Niemki, która powoli i jakby ze strachem ruszyła na miejsce dramatu.

23

PATRICIA SHAW

To było takie wspaniałe uczucie, wtulić się w spódnicę tej pulchnej kobiety, pachnącej świeżo jak przed chwilą wyprasowany len, a nie mocnymi perfumami, które tak drażniły Phoebe.

— Dobra z ciebie dziewczynka — odezwała się Niemka, kiedy niebezpieczeństwo zostało zażegnane. — Chodź do nas, zeszyję ci sukienkę, tak że nie będzie śladu.

— Nie, nie! Dziękuję pani, ale muszę już iść — odparła Phoebe i czym prędzej uciekła.

Mijając bramę i biegnąc po trawiastej ścieżce prowadzącej do domu, w ogóle nie myślała o podartej sukience. Aż do chwili gdy stanęła przed matką i spostrzegła jej lodowate spojrzenie.

— Biddy — spytała, kiedy służąca wróciła z tacą z wodą i chlebem oraz zapasem kanapek z kurczakiem i herbatników z masłem orzechowym. — Dlaczego moja matka nie lubi sąsiadów?

— Nie wiem — odparła Biddy, nie chcąc wdawać się w wyjaśnienia.

— To, co jej powiedziałam, to wszystko prawda. O tym wężu.

— Ja tam ci wierzę, ale lepiej dajmy już temu spokój, kochanie. Dajmy już spokój.

Przygoda z wężem dawno odeszła w zapomnienie. Mijały lata, a Diamond coraz bardziej martwiła się o przyszłość syna.

— Ma już czternaście lat — rzekła. — Musimy mu znaleźć jakąś pracę. Nie może do końca życia siedzieć w domu, jakby był naszym ogrodnikiem albo złotą rączką. Potrzebuje prawdziwej pracy.

— Wiem, moja droga, wiem — odparła Gussie Beckman tonem nie mniej zatroskanym. — Dowiadywałam się w paru miejscach, ale jak słyszeli, że jest kolorowy, natychmiast się wycofywali. Choć im tłumaczyłam, że jest wykształcony i dobrze mówi po angielsku, nie chcieli słuchać.

— Zobaczysz, coś się w końcu znajdzie — pocieszała ją Diamond. — Pamiętasz, dla mnie pracę znalazłaś, kiedy miałam tyle samo lat co on.

— Też mi praca. Służąca — prychnęła Gussie. — Zasługiwałaś na coś lepszego.

— Nic lepszego nie mogłaś znaleźć dla czarnej dziewczyny, a poza tym jakoś sobie poradziłam. Jest zimna noc, a ty na pewno jesteś zmęczona. Kładź się do łóżka, zrobię ci gorące kakao.

Gussie odłożyła haftowanie i podniosła się z krzesła.

— No nie, moja droga, to prawda, że się starzeję, ale kakao jeszcze potrafię sobie zrobić.

24

OGNIE FORTUNY

— Wiem, że potrafisz, ale nie musisz. No już, idź do łóżka, już ci je pościeliłam.

Gussie zarzuciła szal na ramiona.

— Jesteś dla mnie za dobra. Rozpieszczasz mnie.

— Za dobra? — powtórzyła Diamond. — Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś? Daj spokój.

Poszła do kuchni i dołożyła do pieca, żeby zagotować mleko, a potem stała w oknie i wpatrywała się w światła Brisbane, wspominając, jak przed laty, jako dwunastoletnie aborygeńskie dziecko, została przygarnięta przez tych dobrych ludzi — Kapitana i Gussie Beckman.

Kiedy przyprowadzili ją do domu, była śmiertelnie przerażona i pierwszej nocy schowała się w komórcie na drewno, skąd za żadną cenę nie chciała wyjść. Oni jednak byli cierpliwi i stopniowo zdobywali jej zaufanie. Gussie często powtarzała, że Diamond wniosła do jej domu nowe życie, odsuwając w niepamięć ciągłą samotność słomianej wdowy, żony marynarza. Na imię dali jej Diamond, na cześć hrabiny Diamantiny, żony gubernatora Queensland. Hrabina pochodziła z Europy, tak więc dla Gussie, która zmagiała się z trudami życia w obcym, dziwnym kraju, była prawdziwą bohaterką. Mąż Gussie był kapitanem statku handlowego, kursującego pomiędzy Melbourne a Jawą, z portem macierzystym w Brisbane. Ponieważ przez długie miesiące przebywał poza domem, początkowo jej życie było pasmem smutków. Do dnia kiedy w jej życiu pojawiła się Diamond. Z pasją kobiety przez długi czas pozbawionej kogoś, o kogo mogłaby się zatroszczyć, zabrała się za wychowywanie dziecka. Nauczyła ją angielskiego, którym Diamond dotąd posługiwała się z lekkim niemieckim akcentem, uczyła ją gotować, szyć, a kiedy stały się sobie naprawdę bliskie, zabrała się za edukację dziewczyny. Przed powrotem ukochanego Kapitana ogarniało je radosne podniecenie, albowiem Diamond powtarzała mu ćwiczenia i zadania, które robiła sama albo z Gussie. Oczywiście odbywało się to dopiero po wystawnej kolacji na jego cześć.

Diamond westchnęła na wspomnienie tamtych powitalnych kolacji. Byli szczęśliwą rodziną — aż do dnia tragedii. Szczęśliwa trójka, podobnie jak obecnie. Dawniej Kapitan, Gussie i ona, teraz Gussie, ona i Ben. Lecz Diamond wiedziała, że to nie potrwa wiecznie. Wiedziała tyle rzeczy, których nie potrafiła wyjaśnić innym. Były to opowieści ziemi, plemienne myśli przejęte z innej płaszczyzny wiedzy, którym nauczyła się ufać. Nie mogła przekazać ich Benowi, ponieważ pozbawiony dziedzictwa rodzinnych tradycji i tak nie byłby w stanie

25

PATRICIA SHAW

tego wszystkiego pojąć. W wyuczonym języku Diamond nazywała te myśli intuicją, ale było to coś więcej. Tak czy owak widziała już czarne chmury gromadzące się nad rodzinnym szczęściem. Czasami pół nocy siedziała na skraju klifu, wyglądając na cudownie uporządkowanym niebie jakiejś wskazówki, układu gwiazd, który wskazałby właściwą drogę życia dla Bena.

Aż podskoczyła, kiedy zasyczało kipiące mleko, zerwała się na równe nogi, by ratować resztki, a następnie wyczyściła płytę i zrobiła kakao.

Oma, jak nazywał ją Ben, gdyż po niemiecku znaczy to babcia, klęczała w koszuli nocnej obok łóżka i odmawiała pacierz. Jak zawsze Diamond wypowiedziała z nią ostatnie słowa:

— Pobłogosław, Panie, naszego Kapitana i spraw, aby z nieba patrzył na nas i strzegł nas od wszelkiego zła. Amen.

Kiedy Gussie usadowiła się w łóżku, Diamond podała jej tacę.

— Wydaje mi się, że Ben postanowił zostać marynarzem tak jak Kapitan — rzekła, na co starsza kobieta pokręciła głową.

— Nie wolno ci na to pozwolić. I to wcale nie dlatego, że statek Kapitana poszedł na dno, bo taka widocznie była wola Boga. Ale kolorowy chłopak miałby na statku okropne życie, traktowano by go jak śmiecia. Zostałby co najwyżej zwykłym marynarzem pokładowym i miałby wielkie szczęście, gdyby udało mu się przeżyć. Diamond, Ben jest przystojnym... Diamond roześmiała się.

— Wiem. Jestem bardzo dumna, bo to naprawdę śliczny chłopak. Ma precudną oliwkową cerę i proste włosy po ojcu, nie takie pokręcone jak ja. Kiedy dorośnie, będzie z niego przystojny mężczyzna. Czy to powód do obaw? — Mówiąc to, dojrzała w oczach Omy przerażenie. — Powiedz, o co chodzi?

— Czy możesz mi podać różaniec? — poprosiła staruszka, po czym ściskając go w dłoniach, wyszeptala: — Kapitan nigdy o tym nie mówił, ale jak wiesz, czasami z nim podróżowałam. Kiedy w pobliżu nie ma kobiet, mężczyźni robią dziwne rzeczy. Kiedyś widziałam, jak Kapitan kazał wychłostać jednego z członków załogi za to, że zaatakował marynarza, później odwiedziłam tego chłopca w szpitalu i byłam wstrząśnięta. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałam, przejrzałam więc dziennik okrętowy, szukając podobnych przypadków. No i znalazłam. Wszyscy oni byli chłostani za... gwałt. Więc... wysłuchaj mnie uważnie. Na statku Ben nie byłby bezpieczny, a jako kolorowy nie mógłby liczyć na ochronę ze strony oficerów.

26

OGNIE FORTUNY

— Na kogoś, kto by zrobił mojemu synowi coś takiego, rzuciłabym taką kłatwę, że zgniłyby mu wszystkie wnętrzności — stwierdziła Diamond.

— Tylko że poniewczasie — odrzekła Gussie. — Nie mogę sobie darować, że napchałam mu głowę tymi wszystkimi opowieściami o Kapitanie. W efekcie Ben zna morze widziane jedynie z mostku kapitańskiego.

— Ależ nie! Właśnie te opowieści uczyniły z nas prawdziwą rodzinę. Jeśli Ben będzie się upierał przy swoich zamiarach, jakoś mu to wytłumaczę. Kiedy wydorosłeje, zrobi to, co uzna za najwłaściwsze.

Wracając do kuchni, Diamond zajrzała do Bena, który spał smacznie pod puchową pierzyną w zapinanej na guziki powłoce. Z ramieniem odrzuconym w bok wydawał się taki bezbronny. Czy może nauczyć go więcej? Że istnieją sposoby samoobrony? Tylko jakie? W żyłach Bena płynie krew białego człowieka. Czy jej wiedza, ów mistyczny zmysł, ma szansę przeniknąć do niego? Wszak nie potrafił sobie poradzić nawet z tamtym węzem. Gdyby w porę nie przybyła i nie uspokoiła zwierzęcia, prawdopodobnie Ben zostałby ukąszony.

Przypomniała sobie pewne zdarzenie z okrutną gospodynią. Nigdy nie opowiedziała o nim Gussie.

Po śmierci Kapitana ich świat rozpadł się na kawałki. Nie mając żadnych środków utrzymania, Gussie zmuszona była wrócić do Niemiec, do rodziny. Niestety, bez Diamond. — Zrobiła dla mnie, co mogła — mruknęła Diamond.

Gussie załatwiła jej pracę w pralni i dała wszystkie pieniądze, jakie jej zostały.

„Właściwie byłam wtedy jeszcze na wpół dzika” — pomyślała Diamond, wspominając bolesne razy, które zbierała codziennie z rąk okrutnej gospodyni. Wciąż jeszcze dręczyły ją wyrzuty sumienia, że się na to zdecydowała. Gospodyni zmarła ukąszona przez węża, który do jej sypialni trafił wcale nie przypadkowo...

Nie, Gussie z pewnością nie spodobałaby się ta historia. Wiedziała za to właściwie o wszystkim innym. O tym, jak Diamond pojechała na północ, gdzie nauczyła się bronić przed mężczyznami i białymi, i czarnymi, aż w końcu poznała Bena Buchanana, właściciela farmy Caravale, którego pokochała. To był cudowny romantyczny okres. Ben został jej kochankiem i miała nadzieję, że w końcu znalazła dom, jakże się jednak myliła. Ben postanowił poślubić białą kobietę i bez żadnych skrupułów kazał Diamond odejść.

27

PATRICIA SHAW

Przez kilka lat walczyła o przetrwanie, imając się każdej pracy, aż w końcu przyłączyła się do grupy przyjaciół ruszających na północ, na złotonośne pola nad rzeką Palmer. Pragnęła odnaleźć członków swego plemienia, ludu Irukandji. To właśnie oni pokazali jej, gdzie powinna szukać złota, którego znalazła dość, by wystarczyło jej do końca życia.

Wkrótce dowiedziała się, że również Ben Buchanan wybrał się na poszukiwania złota, ale zmogła go malaria. Diamond odnalazła go i pielęgnowała, a następnie przetransportowała na wybrzeże, niecierpliwie czekając na moment, kiedy będzie mogła podzielić się z nim radosną nowiną, opowiedzieć o bryłkach złota, które zakopała w bezpiecznym miejscu. Kiedy wszakże Ben doszedł do siebie, zaczął się zachowywać tak jak dawniej, traktować ją jak swoją niewolnicę, aż w końcu zostawił ją w jakimś portowym miasteczku bez żadnych środków do życia. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Ponownie porzucona, ze złamanym sercem, a na dodatek nosząc jego dziecko, Diamond wróciła do Brisbane, przekonana, że żadna ilość złota nie jest jej w stanie wynagrodzić utraty mężczyzny, którego tak bardzo kochała.

Zamknęła drzwi do pokoju syna i wróciła do kuchni.

Czas leczył rany; nie odczuwała już goryczy, narodziny syna przyjęła z ogromną radością, a złoto oczywiście bardzo jej pomogło. Kupiła dom, choć nie obyło się bez problemów, gdyż sprzedawcy natychmiast się wycofywali, kiedy tylko okazywało się, że klientka jest czarnoskóra. Poradziła sobie jednak z tym problemem, pisząc do Gussie i zapraszając ją z powrotem do Australii. Gussie Beckman nie posiadała się z radości, kiedy otrzymała zaproszenie. Od lat żyła na łasce krewnych, którzy nią pogardzali, bez chwili namysłu wsiadła na pierwszy statek płynący do Brisbane.

Czarna kobieta posiadająca taką ilość złota musiałaby wzbudzić niezdrową sensację i niepotrzebne podejrzenia, ich prawnik, Joseph Mantrell, sprzedawał więc złoto stopniowo, bryłkę po bryłce. Otworzył konto bankowe na nazwisko Augusta Beckman i właśnie na to nazwisko kupił dom. Kiedy Diamond powiedziała mu, że upłynie dużo czasu, zanim zasoby pół złotonośnych na północy zostaną wyczerpane, zainwestował w działki dla niej, a także dla siebie samego. Przedsięwzięcie okazało się bardzo dochodowe. I dla nich, i dla niego. Tylko Joseph Mantrell wiedział, że te jego dwie ciche i spokojne klientki są w rzeczywistości bardzo bogate.

28

OGNIE FORTUNY

Od strony wzgórz zbliżała się burza i Diamond pozamykała okna. Była coraz bardziej podenerwowana. Także w ich życiu zanosilo się na burzę, a ona nie umiała temu zaradzić.

— Musimy znaleźć dla Bena jakąś pracę — wyszeptła. — A także sposób, by wskazać mu drogę, która pozwoli mu uniknąć wszystkich tych upokorzeń, jakie sama musiałam znosić. Kiedy Gussie wróciła do domu z wieścią, że udało się jej znaleźć pracę dla Bena, Diamond spytała podekscytowana:

— Gdzie? Opowiadaj, proszę.

— To nic specjalnego — stwierdziła Gussie, zdejmując kapelusz.

— Zobaczyłam kartkę „Potrzebny pracownik” i weszłam do środka. Zastałam tam miłego człowieka, niejakiego pana O’Neilla, który jest właścicielem dużych stajni i siodłami.

— Co Ben miałby u niego robić?

— Na początku byłby stajennym, nauczyłby się zajmować końmi, a jeśliby dowiedział, że dobry z niego chłopak...

— Oczywiście powiedziałas mu, że tak właśnie jest? — przerwała jej Diamond.

— Naturalnie. Powiedziałam też, że pochodzi z porządnej rodziny i że sporo już potrafi. Pan O’Neill bardzo się zdziwił, kiedy usłyszał, że Ben umie czytać i pisać, chociaż...

— Jest kolorowy?

— Tak. Nie ma co zwieszać głowy, kochanie. O’Neill powiedział, że sam ma syna, trochę starszego niż nasz Ben, i że okropnie się natrudził, by go zmusić do nauki. Widziałam tego młodzieńca, ma na imię Cash czy jakoś podobnie. Pracuje teraz w siodłami i dlatego pan O’Neill potrzebuje nowego stajennego. Powinien się zaprzyjaźnić z Benem.

— O ile go zaakceptuje.

— Daj spokój! Pewnie że tak. Dla chłopców w ich wieku kolor skóry nie ma znaczenia. A właśnie, gdzie on jest?

— Nie wiem. Po lunchu gdzieś wyszedł. Przypuszczam, że znowu wałęsa się po nabrzeżu. — Dostrzegła dezaprobatę w oczach Gussie.

— Przecież nie zamknę go w domu. Nie jest już małym dzieckiem.

— Tak, wiem. Ale już wkrótce pójdzie do pracy i nie będzie miał czasu na włóczęgi. — Wyjęła portmonetkę i położyła na stole kilka suwerek. Co miesiąc podejmowała gotówkę i sprawdzała stan konta. Czasami Diamond szła razem z nią, czekała przed bankiem, a potem przez całe popołudnie spacerowały po ogrodzie botanicznym,

29

PATRICIA SHAW

jej ulubionym miejscu. Kiedy Ben był młodszy, z utęsknieniem wyczekiwał tego dnia, później wycieczki do miasta przestały go pociągać, chociaż nadal lubił im towarzyszyć w wyprawach na targ, gdzie wsłuchiwał się w okrzyki handlarzy, objadał toffi i rozmawiał z przyjaciółmi.

To właśnie na targu Diamond poznała ubranych w łachmany żebraków, przyjaciół Bena, i chociaż była dla nich miła, nie usłyszy jej uwagi ich chytre spojrzenia. Odtąd bała się o Bena jeszcze bardziej. Od czasu do czasu starała się tłumaczyć synowi, że nie powinien się z nimi zadawać, on jednak jej nie słuchał. Wszystkie białe dzieci z ich ulicy miały zakaz zabawy z Benem, on zresztą też się nimi nie interesował. Dla niego najlepszym miejscem zabaw i źródłem przyjemności było nabrzeże i właśnie tam znajdował sobie przyjaciół. Tak mu się przynajmniej wydawało.

— Przyniosłam wyciąg z konta — odezwała się Gussie. Usiadły i dokładnie przestudiowały starannie wykaligrafowany

dokument, szukając rozbieżności, przekonane, że bankierzy mogą próbować je oszukać. Obecnie nie rozmawiały o złocie Diamond, a jedynie o wspólnych oszczędnościach, które dzięki ich wstrzeźliwości i sukcesom na rynku akcji wciąż wynosiły z górą dziesięć tysięcy funtów.

— Jeszcze nie zbankrutowałyśmy — odezwała się Diamond z uśmiechem, kiedy sprawdziły wyciąg. Był to stały żart dwóch kobiet, które tak strasznie obawiały się nędzy. — Cieszę się,

Gussie, że znalazłaś pracę dla Bena. Zaczynałam się już obawiać, że będziemy musiały stąd wyjechać i kupić mu farmę.

— Dobry Boże! Jest za młody na właściciela farmy, ja jestem za stara, by ją prowadzić, a ty się na tym po prostu nie znasz.

Diamond wzruszyła ramionami.

— To był na razie tylko pomysł. Gdyby był trochę starszy, kupiłabym dom i ziemię. To byłoby dla niego idealne rozwiązanie.

— Wszystko ma swój czas — pouczyła ją Gussie. — Lepiej niech się najpierw czegoś nauczy.

Diamond nie odrywała wzroku od tylnych drzwi, czekając na powrót Bena, podczas gdy popołudniowe słońce przybierało coraz bardziej pomarańczową barwę.

— Jeśli coś mi się stanie, Gussie — odezwała się cicho — opiekuj się nim. Tylko proszę, nie oddawaj mu pieniędzy.

— Nic ci się nie stanie. To moje kości robią się coraz starsze. Spisałam testament i oddałam go panu Mantrellowi. Wszystko

3°

OGNIE FORTUNY

przekazuję tobie. Prowadzisz teraz stateczne życie i nikt więcej nie będzie zakłócał ci spokoju. Najchętniej już teraz przepisałabym wszystko z powrotem na twoje nazwisko.

— Nie, Gussie. Ben nie potrafi jeszcze właściwie oceniać obcych ludzi, same to widziałyśmy — odparła Diamond ze śmiechem. — Pewnie dlatego że nie dostał od życia takiej szkoły jak ja. Na pewno się zorientujesz, kiedy nadejdzie właściwy moment, żeby mu to wszystko przekazać. Kiedy będzie już na tyle odpowiedzialny, że potrafi się zatroszczyć o siebie i o siebie.

Gussie pokręciła głową.

— Dość tego ponuractwa. To przez to, że Ben znowu się spóźnia. Nie wolno ci się tak zamartwiać. To dobry chłopak, na pewno niedługo wróci.

Dla Bena był to wspaniały dzień. Z Plymouth przyplłynął wielki statek, „Gwiazda Południa”, i po nabrzeżu kręciły się tłumy pasażerów, obok ładowano parowiec płynący na południowe wybrzeże, nieco dalej spora grupa bogatych elegantów wybierających się na piknik czekała na barkę, która miała przetransportować ich na jedną z wysepek.

Ben wspiął się na bele wełny, by lepiej wszystko widzieć. Imigranci, odziani w ciężkie północne stroje: ciemne płaszcze, szale i czapki, ściskali swoje tobołki i wpatrywali się z otwartymi ustami w uczestników pikniku, mężczyzn w białych surdutach i piękne kobiety w letnich sukniach, bawiące się kolorowymi parasolkami.

W miarę jak gęstniał tłum, na nabrzeżu narastały zgiełk i podniecenie. Spoceni tragarze przepychali się między ludźmi, wykrzykując: „Z drogi! Z drogi!” W pewnym momencie Benowi przyszło do głowy, że nadarza się świetna okazja, żeby zarobić kilka pensów, zeskoczył więc na ziemię i torując sobie drogę łokciami, podszedł do korpulentnego mężczyzny, który, wyraźnie sfrustrowany, stał z rodziną i bagażami. Nigdzie nie było wolnego tragarza.

— Może panu pomóc? — zawołał Ben, lecz się okazało, że ubiegł go Willy Sloane.

— To mój klient, ale jak chcesz, możesz mi pomóc. Dzień dobry panu — grzecznie się uklonił. — Mój kolega i ja możemy ponieść ten wielki kufer. Po pensie dla każdego.

Mężczyzna zignorował niechlujnego urwisa, a jego żona i córka zaczęły nerwowo się rozglądać, lecz Willy nie zamierzał tak łatwo

31

PATRICIA SHAW

zrezygnować. Spojrzał w stronę pierzastych chmur gromadzących się w oddali i powiedział:

— Lepiej się pośpieszyć, bo zaraz zaczniesz lać i wszystko przemoknie...

Ben spojrział w niebo. Chmury były zupełnie nieszkodliwe, takie same jak co dzień o tej porze, ale imigrant połknął haczyk.

— No dobrze — zgodził się. — Weźcie jeszcze to i to. — Położył na kufrze śpiwór i torbę podróżną. — Resztą zajmiemy się sami.

— Odprawa celna i biuro imigracyjne są tam — wyjaśnił Willy, dobiwszy targu. — Chwytaj z drugiej strony, Ben.

Kufer ważył chyba z tonę, jednakże chłopcy wczepili się obiema rękami w skórzane pasy i dzielnie dźwigali ogromny ciężar, boleśnie objijając kostki i starając się nie zrzucić dodatkowych pakunków.

— Powinienem był zażądać po dwa pensy na głowę — wysapał Willy. — Założę się, że napakowali tam kamieni.

Rodzina znacznie ich wyprzedziła, bez trudu radząc sobie z pozostałymi bagażami. Kiedy Willy i Ben zatrzymali się, żeby chwilę odpocząć, ich pracodawca wrzasnął, że mają się pośpieszyć. Najwyraźniej ich wysiłki nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

— I nie poobijajcie mi kufra! Był bardzo drogi!

— Jeśli się nie zamknie, zaraz wrzucę to wszystko do rzeki

— mruknął Willy.

— Jeszcze tylko kawałek — uspokajał go Ben. — Możesz zatrzymać te dwa pensy. Ja znajdę sobie jakąś inną pracę.

— Fajny z ciebie kumpel — stwierdził Willy, kiedy potykając się, weszli do baraku, w którym tłumy ludzi ustawiały się w kolejkę.

— Wystarczy. — Postawili ciężki kufer, a mężczyzna bez słowa wręczył Benowi pieniądze.

— Zostańcie tutaj — poinstruował żonę i córkę — a ja zobaczę, co się dzieje.

— Cześć, do zobaczenia — powiedział Ben, oddając Willy'emu pieniądze.

W progu odwrócił się i spostrzegł, że kobiety zamiast pilnować bagażu, niecierpliwie rozglądają się dookoła. A potem wypadki potoczyły się tak szybko, że nie był nawet pewien, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę. Torba, która stała na kufrze, zniknęła, a wraz z nią Willy. Czyżby ją ukradł? Ben nie wierzył, że jego kolega mógłby być aż tak głupi.

Prawdopodobnie któraś z kobiet zestawiła ją na ziemię. Wzruszył ramionami. Na wszelki wypadek wołał nie sprawdzać.

32

OGNIE FORTUNY

Tymczasem na zewnątrz zapanowało poruszenie. Jakaś starsza kobieta zasłabła i leżała na przesiąkniętych słoną wodą deskach, podczas gdy wokół niej kłębił się tłum ciekawskich, krzycząc, że trzeba się rozstąpić, by miała czym oddychać.

Ben przepchnął się do przodu.

— Czy ta pani umiera? — spytał.

— Nie, to z gorąca — odparła inna kobieta, klękając obok. — Czy mógłbyś przynieść trochę wody?

Wody? Wprawdzie wszędzie były krany, lecz nie miał żadnego kubka. Przypomniawszy sobie jednak, że na wozach transportujących wełnę i inne towary z magazynów są bukłaki z wodą, popędził więc przez barak, ściągnął bukłak z najbliższego wozu i biegiem wrócił.

Kobieta siedziała wyprostowana, podtrzymywana przez dwie inne, chociaż nadal wyglądała na bardzo oszołomioną. Potulnie wypła kilka łyków.

— Dziękuję — zwróciła się do Bena. — Nie wiem, co mi się stało. Dramat dobiegł końca i ludzie powoli się rozeszli, tylko Ben czekał,

żeby odebrać bukłak. Nie mając już szans na znalezienie pracy, odniósł skórzany worek na miejsce. Kobieta nie wypła zbyt wiele, nie musiał uzupełniać zapasu wody. Przewoźnikom nie przeszkadzało, kiedy jakiś dzieciak wypła parę łyków, ale potrafili się wściec, jeśli bukłak został opróżniony do ostatniej kropli.

Na nabrzeżu zapanował zupełny spokój. Ben doszedł do wniosku, że chyba najlepiej będzie wracać do domu i chociaż raz zdążyć na kolację przed czasem. Tym bardziej że obiecał mamie wyczyścić tę przeklętą klatkę na kurczaki. Mieli kilkanaście kur, które trzymali w najdalszym kącie ogrodu, i Ben uważał, że więcej jest z nimi kłopotu niż pożytku.

— Tam jest! — wykrzyknął jakiś mężczyzna. Ben odwrócił się, by zobaczyć, o co chodzi tym razem, i ze zdumieniem spostrzegł zbliżającą się grupę mężczyzn, na czele której z rozwianymi połami płaszcza pędził korpulentny jegomość ze statku.

— To ten! — krzyczał. — To on! Łapcie go! Ukradł moje bagaże!

— Nieprawda! — odparł Ben, jednakże dwaj celnicy chwycili go pod ramiona i szarpnęli tak mocno, że o mało nie wbił się głową w brzuch swego oskarżyciela.

Rozsierzony mężczyzna z całej siły pociągnął Bena za ucho. Chłopiec zobaczył wszystkie gwiazdy na niebie.

— Ty przekłety złodzieju! — ryczał. — Gdzie ona jest?! Ukradłeś mi torbę, ale na Boga, przysięgam ci, że mi ją oddasz!

3 Ognie fortuny

33

PATRICIA SHAW

Coraz bardziej przerażony Ben zrozumiał, co się stało, lecz ta wiedza nie mogła mu już pomóc.

— Nawet jej nie tknąłem, proszę pana — zapewnił. — Przysięgam na Boga, że nawet jej nie dotknąłem.

— Nie dodawaj bluźnierstw do swoich grzechów! — Ponownie zamachnął się na Bena, który wszakże zdołał się uchylić, gdyż celnicy nieco poluznili uścisk.

Ben stwierdził, że najlepiej będzie wziąć nogi za pas, lecz było na to za późno. W ich stronę zmierzał policjant.

— Obrabowano mnie, konstablu — rzekł mężczyzna. — Jestem wielebny Craddock z Plymouth. Ledwo zdążyłem postawić stopę na tej ziemi, a już mnie okradziono. Straciłem torbę pełną kosztowności. To hańba, o której z całą pewnością nie omieszkam poinformować biskupa, ale oto i sprawca. Chcę, by go przykładowo ukarano, a przede wszystkim, żeby natychmiast zwrócił moją własność.

— Niczego nie ukradłem — powtórzył Ben, na co konstabl złapał go za ucho.

— Gdzie masz tę torbę? Tylko nie próbuj łąć. Mam już po dziurki w nosie młodocianych bandziorów kradnących wszystko, co nawinie się im pod rękę. Powiedz mi, gdzie schowałeś torbę, albo gorzko pożałujesz.

— Nawet jej nie dotknąłem — powtórzył Ben, martwiąc się, co powie mama, jeżeli się dowie.

— Łże! — wykrzyknął wielebny. — Razem z jakimś innym smarkaczem niósł moje bagaże. Zapłaciłem mu całe dwa pensy, a kiedy tylko się odwróciłem, zniknął razem z moją własnością. Co za niewdzięczne psubraty!

— Czy widział pan, jak brał tę torbę?

— Ależ oczywiście, że tak.

— Przecież przed chwilą powiedział pan, że się odwrócił — bronił się Ben. — Więc jak mógł pan widzieć? Zdążyłem dojść do drzwi, kiedy ta starsza pani...

— Zamilcz! Natychmiast! — przerwał mu policjant. — Nie próbuj mnie przechytrzyć! Kim był ten drugi? Z kim pracowałeś?

— Nie wiem. Jakiś chłopak. Nawet nie wiem, jak ma na imię.

— Akurat nie wiesz! — Konstabl zwrócił się do poszkodowanego. — Obawiam się, że pańską torbę należy spisać na straty, wielebny Craddock. Oni pracują parami. Ten smarkacz był tylko przynętą, miał

34

OGNIE FORTUNY

odciągnąć pańską uwagę. Ale nie ujdzie im to na sucho. Zabiorę tego ptaszka na posterunek i ręczę panu, że wkrótce wyśpiewa, kim był jego współnik. Ci smarkacze przestają udawać bohaterów, kiedy pokazać im celę od środka. Proszę mi jeszcze powiedzieć, gdzie mogę pana znaleźć?

— Kościół Świętego Jana w Fortitude Valley — odparł Craddock.

— I nie przyjmuję do wiadomości, że torbę należy spisać na straty, jak pan to raczył ująć. Chcę, żeby się odnalazła i żeby ci łajdacy zostali przykładowie ukarani.

Odszedł wzburzony, podczas gdy konstabl, przeklinając i okradzionego, i złodziei, zakuł Bena w kajdanki i wypchnął na ulicę.

— Dlaczego nie chce mnie pan wysłuchać? — skarżył się Ben. — Ja naprawdę nawet nie dotknąłem tej jego torby. Niech pan poczeka, jak tylko dowie się o tym wszystkim moja mama. — Miał nadzieję, że wspomniawszy o kimś dorosłym wyrówna szanse. — Będzie naprawdę zła, a pan odpowie za aresztowanie niewinnego człowieka.

Konstabl aż wytrzeszczył oczy.

— Jezu! Ależ z ciebie pyskаты smarkacz — powiedział, po czym wybuchnął śmiechem. — Powiadasz, że przyjdzie po ciebie mama, tak? Więc niech lepiej uważa, żebym jej też nie zamknął. — Dał Benowi potężnego kopniaka. — Szybko, idziemy!

Wrzuciwszy dzieciaka do celi wypełnionej całodziennym urobkiem, na który składali się złodzieje, pijacy i awanturnicy, konstabl Ray Dolan zwrócił się do oficera dyżurnego:

— Nazywa się Ben Beckman. Wygląda na to, że jego ojciec był Niemcem. I gotów jestem się założyć, że wszelki ślad po nim zaginął. Oskarżenie: kradzież torby z kosztownościami, należącej do niejakiego wielebnego Craddocka. Swoją drogą to jakiś strasznie nawiedzony jegomość. Darł się na mnie, że mam mu zwrócić jego własność. Ten smarkacz miał współnika, pewnie któregoś z tych hultai, co włóczą się po nabrzeżu.

— Tamten zdążył już pewnie posprzedawać rzeczy wielebnego

— stwierdził oficer dyżurny i ciężko westchnął.

— Trzeba przyznać, że smarkacze uczynili ze złodziejstwa prawdziwą sztukę. Ale posłuchaj tylko, ten cały Beckman odgrażał mi się, że jego mama wejdzie z nami na ścieżkę wojenną.

— Konstabl Dolan uśmiechnął się pogardliwie. — Możemy się więc spodziewać, że zaraz wtoczy się tu jakaś wściekła Aborygenka.

— Poważna sprawa — roześmiał się drugi policjant. — Jak myślisz, ona też kradnie?

35

PATRICIA SHAW

— Pewnie. Z tego, co się zorientowałem, po sprzedaży zawartości tej torby ona i jej współnicy będą mogli pić przez parę długich miesięcy. Jak tylko się tutaj zjawi, ją też przymkniemy.

Diamond była rozgniewana na Bena, że się spóźnia, a jednocześnie dręczył ją niepokój. Miała przeczucie, że stało się coś bardzo złego. Już dawno przyplłynął ostatni prom, a jego nadal nie było.

— Nie martw się — pocieszała ją Oma. — To rozsądny chłopiec, na pewno kręci się gdzieś w pobliżu. Poza tym jest jeszcze jasno. Zaczekajmy trochę z jedzeniem.

Coraz bardziej zaniepokojona Diamond wyszła przed dom, później podeszła do bramy, aż w końcu postanowiła przejść się kawałek ulicą, licząc, że zobaczy go w oddali. Córka sąsiadów, Phoebe, spacerowała bez celu po podjeździe Somerset House.

— Czy nie widziałas przypadkiem Bena? — spytała Diamond. Zaskoczona Phoebe uniosła wzrok.

— Nie, psze pani.

— Myślałam, że może gdzieś tu jest. Spóźnia się na kolację.

— Będzie miał kłopoty? Diamond uśmiechnęła się.

— A uważasz, że powinien mieć?
— Jeżeli ma dobre wytłumaczenie, to nie — odparła Phoebe.
— Zawsze ma. Jest bardzo wygadany.
— Ja nie. Ja się zawsze denerwuję, a wtedy język mi się płacze i zaczynam seplenić.
— Teraz nie seplenisz.
— Bo się nie denerwuję. Pamiętam, że pani potrafi zaczarować węża.
— Aha, rozumiem. — Diamond ułamała suchą gałąź i narysowała na piasku węża. — Myślę, że gdyby wąż umiał mówić, może by też seplenił, ale wcale by mu to nie przeszkadzało.
— Na pewno nie — roześmiała się Phoebe.
— No widzisz. Kogo to obchodzi? — Pogłaskała Phoebe po policzku. — Zapomnij o seplenieniu, to na pewno ci przejdzie.
— Kiedy?
Diamond przez chwilę się zastanawiała.
— Kiedy zapomnisz.
W tym momencie pojawiła się Biddy.
— Tutaj jesteś! Kolacja gotowa! — zawołała. — Och, przepraszam bardzo, nie zauważyłam pani.

36

OGNIE FORTUNY

— Pani Beckman szuka syna. Spóźnia się na kolację. — wyjaśniła Phoebe.
— Chłopcy tacy już są! — rzuciła wesoło Biddy.
— Cały czas się tego uczę — stwierdziła Diamond i na pożegnanie posłała Biddy ciepły uśmiech.
Biddy była pod wrażeniem urody sąsiadki.
— Jest naprawdę piękna — odezwała się do Phoebe. — Pomimo koloru skóry mogłaby się równać z najładniejszymi.
Phoebe wszakże jej nie słuchała.
— Muszę zapomnieć, że seplenię — powiedziała.
— No właśnie, musisz — odparła Biddy nieco oschle. — A teraz pędź na kolację, bo rodzice czekają.
Oma Beckman nerwowo obserwowała, jak słońce stanowczo zbyt szybko znika za horyzontem. Zawsze mówiła Benowi, że śpieszy się ono, by oświetlić północną półkulę, ale teraz wolałaby, żeby trochę poczekało i zostawiło im chociaż odrobinę światła, chłopca bowiem wciąż nie było.
— Przejdę się i sprawdzę, czy nie ma go gdzieś w pobliżu — zaproponowała. — Może gdzieś się bawi.
— Nie — odrzekła Diamond. — Ja pójdę. Jest już prawie całkiem ciemno, będę szła tak długo, aż go znajdę.
— Przecież ci nie wolno. Jeszcze nie wyzdrowiałaś.
— Bzdura. To tylko przeziębienie. Spacer na pewno dobrze mi zrobi.
— Może jeszcze trochę zaczekaj? Nie powinnaś chodzić sama w nocy.
— Oma! Nie przesadzaj. Potrafię się o siebie zatroszczyć. Nie jestem już małą dziką dziewczynką.
Weszła do sypialni i na bluzkę oraz długą spódnicę włożyła luźny zakiet, po czym zdjęła z głowy kolorową opaskę i zastąpiła ją szarą chustą, którą związała na karku. Oma miała oczywiście rację, ciemne ulice Brisbane mogły okazać się niebezpieczne dla samotnej czarnej kobiety, lecz Diamond mieszkała już w gorszych miastach i potrafiła o siebie zadbać. Wiedziała, że musi mieć na sobie jak najmniej kolorowe ubranie, żeby nie rzucać się w oczy, chodzić zaś krokiem szybkim i zdecydowanym. Poza tym — stanęła za drzwiami, tak by Oma jej nie widziała — należało przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności. Co prawda za dnia

poruszała się po mieście bez żadnych obaw, ale jeśli teraz ma się udać w okolice doków, musi bardzo uważać.

37

PATRICIA SHAW

Otworzyła drewniane pudło, które trzymała pod łóżkiem, i przeglądała jego zawartość tak długo, aż znalazła zawiniątko, którego szukała. Następnie postawiła lewą stopę na brzegu łóżka i skórzanym paskiem przypięła do kostki nóż. „Na wszelki wypadek” — pomyślała, wspomniawszy tamte niespokojne dni, kiedy szybki cios nie raz wybawił ją z poważnych opresji.

— Tylko że wtedy byłaś piękna i młoda — westchnęła. — A teraz zrobiła się z ciebie zwykła nieciekawa kobieta, matka szukająca syna.

Biegła ulicą, rozglądając się na każdym rogu i wypatrując Bena. Na Vulture Street, w dzielnicy czerwonych latarni, zwolniła, przemykała pomiędzy grupami włóczęgów i sprawdzała wszystkie ciemne zaułki oraz bramy. Podeszła do kilku prostytutek i spytała, czy nie zwróciły przypadkiem uwagi na czarnego chłopca, lecz nie były w stanie jej pomóc. Zaczęła zaglądać do mrocznych tawern. Ben często wracał do domu zadowolony, że udało mu się zarobić kilka pensów na nabrzeżu, chociaż dobrze wiedział, że Diamond bardzo się to nie podoba. Niewykluczone więc, że tym razem znalazł sobie zajęcie w którymś z tych podejrzanych lokali. W końcu zaczynał dorastać i jak każdy chłopak rwał się do niezależności.

Ponieważ i tam jej się nie poszczęściło, skierowała się w stronę mostu, przeciskając się obok powozów jadących w stronę centrum.

„Gdzie on jest?” — zastanawiała się, pełna obaw, że może został ranny i teraz leży w jakiejś ciemnej alei. A może potrafił go jakiś pojazd pędzący ulicą? Minęła ogrody, zakładając, że raczej nie spacerowałyby po nich o tej porze, i trzymała się co ruchliwszych uliczek w pobliżu rzeki. Wkrótce znalazła się w jeszcze mroczniejszej dzielnicy, a w końcu na wyludnionym nabrzeżu.

Mijały godziny. Było jej gorąco i czuła, że twarz jej płonie — ze zmartwienia i z wysiłku. Powoli zaczynała tracić nadzieję, że zdoła go odnaleźć. A może się z nim minęła i smarkacz siedzi sobie teraz w najlepszym domu? Przez chwilę rozważała, czy nie zgłosić się po pomoc na policję, wątpiła jednak, by chciało im się szukać kolorowego dziecka. A poza tym miała wrodzony lęk przed policją. Na szczęście nigdy dotąd nie miała z nimi kontaktu i wolała go unikać także teraz.

Zanim ruszyła w drogę powrotną, przyszło jej do głowy, że może powinna zajść do szpitala, jednakże w samą porę przypomniała sobie, że byłaby to strata czasu. W szpitalu nie leczono kolorowych. Westchnęła. Od tak dawna żyła spokojnie w świecie białych ludzi, że prawie zapomniała, iż tak naprawdę wcale do niego nie należy. Przed barierami nie do przeskoczenia chroniła ją Oma Beckman.

38

OGNIE FORTUNY

Ze smutkiem wspominała Bena Buchanana, którego ostatnio widziała na polach złotonośnych. Tak bardzo go kochała i taka była z nim szczęśliwa. Tymczasem kiedy już się szykowała, by mu oznajmić, że znalazła złoto, on sprowadził ją z obłoków na ziemię.

— Zapominasz, że jesteś czarna, Diamond. Nie mógłbym się z tobą ożenić!

Zostawił ją i wrócił na swoją farmę. Czasami zadawała sobie pytanie, jak by się potoczyły sprawy, gdyby pobiegła za nim i powiedziała mu o złocie. Wówczas nie pozwoliła jej na to duma.

„Zastanawiaj się, ile chcesz — strofowała się, idąc przed siebie. — I tak by tobą gardził. Byłaś jego nałożnicą i tylko tyle.”

Zatopiona w rozmyślaniach, Diamond wpadła na dwóch mężczyzn, którzy celowo zagrodzili jej drogę. Jeden z nich złapał ją za ramię.

— Szukasz mężczyzny, kochanie?

— Zostaw mnie — syknęła i odtrąciła jego rękę, ale w tym momencie zatoczył się na nią ten drugi. Poczowała jego cuchnący oddech.

— Nie chcesz zarobić paru szylingów?

Chwycił ją za pasek i przyciągnął do siebie, na co ona odruchowo zdzieliła go kantem dłoni prosto w krtań.

Kiedy upadł, krztusząc się i trzymając za gardło, jego kompan rzucił się na Diamond, która wprawdzie bez trudu uniknęła ciosu, za to wpadła prosto w ramiona wymachującego pałką policjanta.

— Co tu się dzieje?

— Nic — odparła Diamond. — Są tylko trochę za weseli.

— Akurat! — wrzasnął napastnik. — Ta cholerna czarna dziwka rzuciła się na mojego kolegę.

Policjant chwycił Diamond i stuknął ją pałką w plecy, nie pozwalając odejść.

— Nie tak szybko, panienko. Co mu się stało? — Wskazał na drugiego mężczyznę, który wciąż ślaniał się na nogach, nie mogąc złapać oddechu.

— Już panu mówiłem — odezwał się jego kompan. — Rzuciła się na niego. Chybaby go zabiła, gdybym jej nie powstrzymał.

— To nieprawda! — wykrzyknęła Diamond. — Przechodziłam tędy, bo szukam syna...

— Przestań bujać — warknął stróż porządku. — To ty go tak załatwiłaś?

— To ulicznica, do tego kompletnie dzika — wrzeszczał mężczyzna. — O mało go nie zabiła!

39

PATRICIA SHAW

— Nieprawda! — broniła się Diamond. — Nic mu nie będzie. Bardzo pana proszę — zwróciła się błagalnie do policjanta. — Naprawdę muszę już iść.

W odpowiedzi policjant zdzielił ją pałką.

— Zamknij się wreszcie! Te cholerne czarnuchy to istna plaga! Jak się nazywasz? Nazwisko!

Cios był silny, Diamond zatoczyła się, prawie padając na kolana, i wtedy pojęła, że w walce na argumenty nie ma żadnych szans. Zanurkowała przed siebie i wyrwała się z uścisku prześladowcy. Zanim zdążył zareagować, Diamond pędziła ciemną ulicą.

Jako młoda dziewczyna potrafiła przebiec wiele mil po niebezpiecznych terytoriach przylegających do pól złotonośnych, teraz jednak przeszkadzała jej długa spódnica i osłabienie spowodowane ciągnącym się od tygodnia przeziębieniem. Na najbliższym rogu skręciła, tymczasem wściekły policjant nie dawał za wygraną. Gorączkowo próbowała obmyślić jakiś sposób ucieczki. I nagle sobie przypomniała! Przebiegła przez ulicę, mijając zdziwionych przechodniów i słysząc nawoływania policjanta:

— Łapać ją! To złodziejka!

Pognała w dół wąskiej alejki prowadzącej w stronę ruchliwej Queen Street i skryła się w ciemnej szczelinie pomiędzy zabudowaniami. Ze wstrzymanym oddechem poczekała, aż policjant ją minie, potem podbiegła szybko do tylnych drzwi jednego z budynków i zaczęła walić w nie pięścią, słysząc swoje serce, które biło chyba równie głośno.

— Kto tam? — zapytała jakaś kobieta.

— Proszę mnie wpuścić! — krzyknęła Diamond, a przerażenie w jej głosie sprawiło, że kobieta odsunęła ciężką zasuwę i uchyliła drzwi na kilka cali. Nie czekając na zaproszenie, Diamond wcisnęła się do środka i szybko zatrzasnęła drzwi.

— Niech pani je zamknie! Szybko! — wysapała Diamond. — Ściga mnie policja.

Wybawczyni pośpiesznie pozamykała zamki, po czym odwróciła się, by w słabym świetle przyjrzeć się niespodziewanemu gościowi.

— Kim pani jest?

— Czy Goldie j est w domu? — odpowiedziała Diamond pytaniem.

— Tak.

— Muszę się z nią zobaczyć. Jestem jej znajomą.

Kobieta była pulchną blondynką, jej karminowe usta kontrastowały z bladą cerą.

40

OGNIE FORTUNY

— Nigdy pani nie widziałam — stwierdziła, poprawiając luźne kimono i nieufnie wpatrując się w Aborygenkę.

— Szybko! — rozkazała Diamond.

— Dobrze już — wzruszyła ramionami kobieta. — Spokojnie. Niech pani tu zaczeka.

Diamond oparła się o drzwi, zadowolona z chwili odpoczynku. Znała Goldie od dawna, w przeszłości pracowały w chińskim lupana-rze w Charters Towers. Goldie pozostała w zawodzie i była obecnie właścicielką znanego w Brisbane przybytku o dźwięcznej nazwie Błękit Niebios.

Diamond najchętniej wyrzuciłaby z pamięci tamten trudny okres, nie mogła jednak zapomnieć, że Goldie polubiła czarną dziewczynę i wyświadczyła jej niejedną przysługę.

Kiedy nadarzyła się sposobność, Diamond się odwdzięczyła.

Przed pięcioma laty, idąc z Orną na prom, ponownie spotkała Goldie.

— Witaj, Diamond, co u ciebie? — spytała Goldie wesoło. Zawsze była bystra, zauważyła więc ostrzegawcze spojrzenie Diamond i natychmiast się domyśliła, że w towarzystwie białej kobiety, o której sądziła, że jest pracodawczynią Diamond, nie powinna wspominać wspólnej przeszłości.

— Dobrze, dziękuję — odparła Diamond, wstrząśnięta wyglądem Goldie. Dziewczyna była wychudzona i wyraźnie osłabiona.

— Au ciebie? Nie wyglądasz najlepiej.

— Jakoś leci — westchnęła Goldie. — Jak myślisz — wyszeptwała po chwili — czy ta pani mogłaby mi pożyczyć parę szylingów?

— Pewnie, że tak — odparła Diamond, poprosiła Omę o funta i wręczyła go starej przyjaciółce. — Gdzie mieszkasz?

— Tam — odparła Goldie, wskazując na wałący się budynek.

— To straszna rudera, ale chwilowo musi mi wystarczyć. Dziękuję pani bardzo — zwróciła się do Omy. — Dobra z pani kobieta. Oddam pieniądze, jak tylko zdobędę parę groszy.

— Nie, nie trzeba — pośpiesznie zapewniła Oma. — Proszę je zachować.

— O rany, dziękuję. Lepiej już pójdę. Miło było cię znowu zobaczyć, Diamond.

Kiedy wsiadały na prom, Oma obejrzała się przez ramię.

— Ależ to smutna kobieta, Diamond. Za dobrych czasów musiała być piękna. Z tymi rudymi włosami...

41

PATRICIA SHAW

— Tak.

— Wygląda mi na prostytutkę. Mam rację? Diamond skinęła głową.

— Pomogła mi, kiedy miałam kłopoty.

Więcej już o niej nie rozmawiały. Następnego dnia Diamond samotnie wybrała się na poszukiwania przyjaciółki.

— Chcę, żebyś to przyjęła — powiedziała, kiedy ją w końcu odnalazła.

— Co? — Goldie otworzyła kopertę. — Przecież to pieniądze! — wykrzyknęła. —

Przynajmniej pięćdziesiąt funtów! Skąd je wzięłaś? Zwędziłaś?

— Nie — roześmiała się Diamond.

— Czy to od tej Niemki?

— Nie, Goldie, to ode mnie. Martwiłam się o ciebie i zależy mi, żebyś przyjęła te pieniądze. Zgoda?

— O Jezu, zawsze mówiłam, że z ciebie świetna przyjaciółka. Ta pożyczka wyciągnie mnie z bagna.

— To nie jest pożyczka, tylko prezent. Muszę już iść, Goldie. Uważaj na siebie.

— Ale skąd ty wzięłaś tyle pieniędzy?

Jedynie prawnik i Oma wiedzieli, że niepozorna Aborygenka należy do tych nielicznych, którym powiodło się na złotonośnych polach, i Diamond wołała, żeby tak pozostało.

— O nic nie pytaj — odparła z uśmiechem. Nie wątpiła, że Goldie na pewno zrozumie.

Niedługo potem, wiedząc aż za dobrze, że życie na ulicach Brisbane jest zbyt ciężkie, Goldie otworzyła własny dom publiczny, a zarobione pieniądze zainwestowała w ten niepozorny ustronny dwupiętrowy budynek.

W miasteczku tak niewielkim jak Brisbane dalsze spotkania dawnych przyjaciółek były nieuniknione, kiedy więc Goldie trochę się dorobiła, z dumą oprowadziła Diamond po przytulnym i przynoszącym niezłe dochody domu. Generalnie jednak nie odwiedzały się, ograniczając się do przypadkowych spotkań, a Goldie nigdy nie zapytała, jak to się stało, że Diamond jest teraz szanowaną damą.

— Diamond! — wykrzyknęła, biegnąc korytarzem i szeleszcząc spódnicą z tafty. — To ty? Co tu robisz? Coś się stało?

Kiedy szły na piętro do salonu, Diamond pokrótce wyjaśniła Goldie, co zaszło.

42

OGNIE FORTUNY

— To idiotyczne. Przecież tylko próbowałam odnaleźć syna, a skończyło się na awanturze z jakimiś pijakami i policją. Czarna kobieta na ulicy to łatwy łup — dodała z goryczą.

— Zawrócą, jak tylko zobaczą, że nie ma cię na Queen Street

— stwierdziła Goldie. — I założę się, że zaraz zaczną się tutaj dobijać. Pewnie pomyślą, że jesteś jedną z moich dziewczyn.

— W moim wieku powinnam to chyba uznać za komplement

— roześmiała się Diamond. — Masz tutaj sporo naprawdę ładnych dziewczyn.

— Tobie też nie można niczego zarzucić. Ale dość gadania. Muszę cię stąd wydostać. A przecież nie możesz o tej porze chodzić sama po ulicach.

— Mogę. Wypuść mnie frontowymi drzwiami, do mostu stąd niedaleko.

— Nie ma mowy. Zostaw to mnie. — Goldie wybiegła z pokoju, wołając jedną z dziewcząt.

— Włóż ten kapelusz — poleciła Diamond, kiedy po chwili wróciła.

Był to ostatni krzyk mody z szerokim rondem i gęstą woalką. Diamond zdjęła chustę i włożyła kapelusz, który przynajmniej częściowo skrył jej ciemną skórę.

— Wyglądam w nim idiotycznie. Ale nie szkodzi. Co dalej?

— Zaraz przyjedzie po ciebie bryczka. Chodźmy. Jak się nazywa twój syn? Spróbuję czegoś się dowiedzieć.

— Ben. Ben Beckman. Ma dopiero czternaście lat, ale jak na swój wiek jest bardzo wyrosnięty.

Wyszły za próg. Bryczka już czekała. W tej samej chwili rozległo się się walenie do tylnych drzwi.

— Pędź! — poleciła Goldie. — Szybko! Wskakuj!

Parę minut później na moście zastukotały kopyta. Diamond siedziała w toczącej się bryczce i zastanawiała się, czy Ben jest już w domu. Bolały ją głowa i gardło, w klatce piersiowej odczuwała jakąś dziwną pustkę, jakby zamiast płuc miała dziurawe miechy, niezdolne

utrzymać powietrza. Obiecała sobie, że jeśli Ben jest w domu, nie będzie na niego krzyczeć, tylko wysłucha jego argumentów, bo to przecież dobry kochany chłopiec...

Kiedy zeskoczyła na ziemię i zapłaciła woźnicy, zakręciło się jej w głowie. Jakoś jednak utrzymała równowagę.

— Czy mógłby pan chwileczkę poczekać? Być może będę pana jeszcze potrzebowała.

— Nie da rady. Koń jest wykończony. Wracamy do domu.

43

PATRICIA SHAW

— Trudno — odparła Diamond. Kiedy odjechał, zdjęła kapelusz, który zaczynał jej ciążyć niczym ołów, po czym ruszyła w stronę otwartych drzwi.

— I co? Jest? — spytała Omę, która wybiegła jej na spotkanie.

— Nie. Tak długo cię nie było, że zaczynałam się już martwić także o ciebie. Nic ci nie jest? Jesteś jakaś dziwnie zarumieniona.

— Nie, wszystko w porządku. Zaszłam tak daleko, że musiałam wrócić bryczką — skłamała, nie chcąc martwić starszej kobiety. — Szukałam go wszędzie, ale nigdzie nie znalazłam. — Wrzuciła do sypialni kapelusz i żakiet, ciesząc się w duchu, że Oma nie zwróciła uwagi na ten pierwszy. — O Boże. Gdzie on może być? Na pewno stało się coś niedobrego.

— Nic mu nie będzie — pocieszała ją Oma. — Chodź, napij się kawy. Chłopcy w jego wieku są lekkomyślni. Pewnie zasnął u któregoś ze swoich kolegów...

— Jakich kolegów? — odparła Diamond posepnie, napawając się ciepłem przytulnej kuchni. Z trudem powstrzymywała łzy. Tak bardzo chciała wierzyć w to, co mówiła Oma, że Ben gdzieś zasnął i jak tylko wstanie świt, zaraz wróci do domu. Może zbyt długo kręcił się po nabrzeżu i po zmroku bał się wracać przez ciemne miasto. Był w końcu kolorowy.

Lecz przecież Ben nie uważał siebie za kolorowego. Chociaż był świadomy, że nie może chodzić do szkoły właśnie ze względu na kolor swojej skóry, Diamond przypuszczała, że ogrom tego problemu nie bardzo do niego dociera. „Przynajmniej na razie” — pomyślała ze zgrozą.

Własne doświadczenia tej nocy umocniły Diamond w przekonaniu, że postąpiła słusznie, trzymając swą rodzinę z dala od wszelkich klanów Aborygenów, licznych nawet w niewielkim przecież Brisbane. Obawiała się, że mogliby posądzić ją o protekcyjność. Zresztą sami też nie chcieliby mieć z nią nic wspólnego, żyła bowiem w obcym im świecie białych i było tak właściwie od zawsze, od dnia kiedy została adoptowana przez Gussie i Kapitana. Nie miała w Brisbane żadnych krewnych. Jej plemię Irukandji, żyjące na dalekiej północy, rozproszyło się po wyniszczającej wojnie z białymi.

Dziesięć lat wcześniej popłynęła statkiem do Cooktown, by spotkać się z matką i ukochanym niewidomym bratem.

— Wrócisz ze złamanym sercem, lepiej nie jedź — przestrzegala ją Oma, lecz ją zignorowała. — Zniknęłaś z ich życia, kiedy wyjechałaś

44

OGNIE FORTUNY

z okręgu Palmer. Nie spodziewają się twojego powrotu. Kochają cię, co nie zmienia faktu, że dla nich jesteś biała.

— Ale minęło już pięć lat! — argumentowała Diamond.

W niektórych sytuacjach Oma Beckman bywała bardzo bezpośrednia.

— Chyba nie jedziesz szukać złota? — spytała podejrzliwie. — To zbyt niebezpieczne.

— Nie. Po prostu chcę się z nimi zobaczyć. Ojciec umarł wiele lat temu, ale mama i brat wciąż tam mieszkają.

Myliła się. Bojaźliwi członkowie plemienia, którzy zamieszkali na obrzeżach Cooktown, dali w końcu za wygraną i powiedzieli Diamond, że jej matka zginęła podczas ataku białych ludzi, a brat, nie będąc w stanie walczyć, rzucił się w przepaść.

Wpatrywała się w jaskrawe światła Brisbane z nadzieją, że gdzieś tam spokojnie śpi jej syn. Los uchronił Diamond przed zawieruchą, której ofiarą padło jej plemię. Pozostałe przy życiu kobiety plemienia Irukandji patrzyły na nią jak na cudowne zjawisko, osobę, która wkroczyła w inny wiek, by prowadzić szczęśliwe życie i być matką wielu dzieci.

„Gdyby tylko znały prawdę — rozmyślała Diamond. — Nigdzie nie wkroczyłam, jestem tolerowana tylko dlatego, że stać mnie na to, by kupić spokój, i trzymam się na uboczu. Nie ostrzegłam nawet własnego syna, bo nie chciałam go przestraszyć. Chciałam, by dorastał pewny siebie i naszej miłości, zanim się o tym wszystkim dowie. Zresztą co miałabym mu powiedzieć? I czy w ogóle zechciałby słuchać?” Kilkakrotnie próbowała mu opowiedzieć o swoim plemieniu, lecz on zdecydowanie bardziej interesował się białymi ludźmi, gdyż to ich miał za „swoich”. Ben uważał się za białego, nie czarnego.

Już sama ta kwestia stanowiła nie lada problem. Ojcem Bena był Ben Buchanan, miłość życia Diamond, arogancki hodowca bydła. Zawsze ją intrygowało, że to angielskie nazwisko tak bardzo przypomina nazwisko Omy. Oma twierdziła jednak, że nie ma między nimi żadnego związku, a przecież nazwiska białych ludzi nie mają tłumaczeń, jak to jest w przypadku imion Aborygenów. Po prostu są. Zdaniem przesądnej Diamond wszakże podobieństwo nie było przypadkowe. Tak widocznie chciała natura. Z biegiem lat wymazała Buchanana z pamięci i teraz istniało dla niej jedynie nazwisko Beckman. Tak oto Ben został wnukiem Kapitana Beckmana, kochanym i rozpieszczanym przez wdowę po Kapitanie. Chłopiec przy-

45

PATRICIA SHAW

mował za pewnik, że jego ojciec też był marynarzem, synem sławnego Kapitana, a kobiety wolały nie wyprowadzać go z błędu.

— Kładź się do łóżka — odezwała się Oma, przerywając ponure rozmyślania Diamond. — Teraz ja posiedzę.

— Nie mogę. — Diamond chwyciła ją za rękę i rozplakała się.

— O Boże, co będzie z Benem? Tak strasznie się o niego boję. Gussie Beckman odgarnęła jej z czoła kręcony kosmyk.

— Moja droga, kiedy zginął Kapitan, zostałam bez pieniędzy i musiałam wracać do Niemiec, a ciebie zostawić tutaj. Nawet nie wiesz, jak wtedy cierpiałam. Podczas podróży przepłakałam wszystkie noce. Miałas zaledwie o parę lat więcej niż Ben.

— Ale miałam też pracę.

— Diamond, zastanów się. Młodzi ludzie są silni i odporni. Miałas zaledwie kilka funtów, byłaś sama. Czarna dziewczyna w mieście białych ludzi. A Ben ma nas. Zbudowałyśmy dla niego fortecę. Ma dom i nigdy nie będzie tak ubogi jak ty wtedy. A przecież tobie udało się przetrwać.

— Miałam szczęście.

— Ale i tak musiałaś walczyć — stwierdziła krótko Gussie.

— Próbuję ci wytłumaczyć, że twój syn jest w o niebo lepszej sytuacji niż ty w jego wieku i dlatego na pewno sobie poradzi.

— Czubkiem kaptura pogładziła łydkę Diamond. — Modlę się, żeby Ben nigdy nie musiał wychodzić z domu z nożem przywiązany do nogi.

— A więc wiesz? — wyjąkała zdumiona Diamond.

— Od tylu lat mieszkamy razem i miałabym nie wiedzieć? —: Nigdy o tym nie wspominałaś.

— Powtarzam sobie, że masz powody. Zawsze byłaś rozsądną dziewczyną i szybko się uczyłaś. Ben jest taki sam. Skoro nie wrócił do domu, widocznie ma jakiś ważny powód. Kiedy byłaś w jego wieku, nigdy nie przysparzałaś mi zmartwień. On też nie będzie ci ich przysparzał. No dobrze już, jesteś przeziębiona, więc kładź się spać. Na wszelki wypadek zostawię światła pozapalane.

Diamond nie zmrużyła nawet oka. Pościel miała moką od potu, w głowie kłębiły się jej dzikie, dziwaczne obrazy. Wstała razem z ptakami i poszła do łazienki schłodzić rozpalone gorączką ciało.

— To wszystko ze zmartwienia — powiedziała sobie. — Ze zwykłego zmartwienia. Jak tylko odnajdę Bena, od razu poczuję się lepiej.

46

OGNIE FORTUNY

Kiedy przyplłynął pierwszy prom, czekała na przystani Kangaroo Point, zanim jednak zdążyła wejść na pokład, zaczepił ją jakiś wychudzony wyrostek.

— Dzień dobry, psze pani. Czy pani jest mamą Bena?

— Tak. Gdzie on jest?

Chłopak poprowadził ją ku wąskiej ścieżce wzdłuż klifu.

— Aresztowali go. Niech pani lepiej szybko wpłaci za niego kaucję.

— O czym ty mówisz? Ben aresztowany? Za co? — Diamond ogarnęła panika, spotęgowana jeszcze wrodzoną nieufnością wobec policji. — Kim jesteś?

— Mam na imię Willy. Jestem jego kolegą. Znam panią z widzenia. Przyplłynąłem, żeby panią odnaleźć. Wiedziałem, że Ben gdzieś tutaj mieszka.

— Gdzie on jest?

— Pewnie w areszcie Valley.

— Skąd o tym wiesz? Kiedy to się stało?

— Ktoś mi powiedział, że go wczoraj przymknęli. Spojrzała na prom.

— Chodź ze mną. Muszę go odnaleźć.

Chłopak natychmiast odsunął się na bezpieczną odległość.

— Nie. Mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia. — Wyglądało na to, że traktuje policję z taką samą nieufnością jak ona. Wręczyła mu szylinga.

— Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś.

— Aha — mruknął i pobiegł w swoją stronę, zanim zdążyła zadać mu następne pytanie.

Deszcz bębnił o pokład małego promu, zmagającego się z prądem szerokiej rzeki, lecz Diamond nawet tego nie zauważyła. Dlaczego aresztowali Bena? Co takiego zrobił? Przecież nie popełnił przestępstwa. Musiała zająć jakąś pomyłka.

Usilnie szukała jakiegoś rozwiązania, ale ze zdenerwowania kręciło się jej w głowie. Zeszła na ląd, nie podjąwszy jeszcze żadnej decyzji. W normalnych warunkach zebrałyby się w sobie, czym prędzej popędziła na posterunek policji i zażądała widzenia z synem. Co by się jednak stało, gdyby natknęła się tam na policjanta, któremu uciekła ostatniej nocy? Nie byłaby w stanie pomóc Benowi, gdyby sama wdała się w konflikt z prawem. Może więc powinna jak najszybciej zobaczyć się ze swoim prawnikiem, panem Mantrellem? Poprosić go, by spróbował wyjaśnić tę sprawę i wyciągnął Bena z kłopotów? Nie.

47

PATRICIA SHAW

Poprosi go tylko, żeby dowiedział się, o co chodzi, a potem sama wkroczy do akcji.

Otwierając kancelarię, młody Barnaby Glasson spostrzegł wprawdzie wysoką czarną kobietę, ale nie zwrócił na nią uwagi. To był niezwykle ważny dzień w jego życiu. Mantrella miało nie być dzisiaj w kancelarii — wyjechał do Ipswich, by bronić interesów jednego ze swoich najbogatszych klientów — tak więc Barnaby, jego pracownik, miał całe biuro do własnej dyspozycji. Przez chwilę pobrzękiwał kluczami, następnie otworzył szufladę swojego biurka i nabożnie schował je do przegródki. Mantrell pokazałby mu, gdzie raki zimują, gdyby przypadkiem je zgubił. Zrobiwszy to, rozsiadł się beztrudno, wyjął fajkę i zapalił.

Normalnie za nic w świecie nie odważyłby się tego zrobić, mimo że Mantrell sam pykał fajkę przez cały boży dzień. Ale jeżeli Barnaby ma zostać prawnikiem z prawdziwego zdarzenia, musi nauczyć się ubierać i zachowywać jak jego szef. A więc także palić fajkę. Niestety, na

razie nie doszedł w tej sztuce do mistrzostwa. Siedział, gwałtownie wciągał powietrze, by podtrzymać żar, i wzorem szefa postukiwał palcem w cybuch, chociaż właściwie nie bardzo wiedział, dlaczego należy tak robić.

Kiedy skrzypnęły drzwi, natychmiast wyjął fajkę z ust. Okazało się jednak, że to tylko ta Aborygenka.

— Czym mogę pani służyć? — przywitał ją Barnaby, wstając z miejsca.

„Niewiele warta — pomyślał — ale zasady dobrego wychowania obowiązują wobec wszystkich.” Tak życzył sobie Mantrell.

— Dzień dobry — odrzekła, wprawiając go w osłupienie. To był głos wykształconej kobiety.

— Kiedy mogłabym zobaczyć się z panem Mantrellem?

— Nie będzie go aż do przyszłego tygodnia — wyjaśnił Barnaby, na wszelki wypadek nie proponując jej ponownej wizyty. Przypuszczał, że Mantrell pewnie by go za to nie pochwalił. O ile dobrze się orientował, a przecież pracował w tej kancelarii już od pół roku, szef nie miał żadnych kolorowych klientów.

Kobieta wyglądała na tak załamaną, że Barnaby'emu zrobiło się jej żal.

— Czy mogę pani jakoś pomóc? Zawahała się.

48

OGNIE FORTUNY

— Sama nie wiem. Mój syn został aresztowany i muszę porozmawiać z panem Mantrellem. On by na pewno wiedział, co robić. Czy mogę usiąść? Nie czuję się zbyt dobrze.

— Ależ proszę bardzo. — Barnaby przystawił do biurka drugie krzesło. Więzienia były pełne czarnych, wątpił jednak, by któryś z nich zwracał się o pomoc do prawnika, a tym bardziej by szanujący się prawnik zgodził się świadczyć taką usługę. Było to dla niego coś całkiem nowego. — Co takiego zrobił pani syn? — spytał.

— Nie wiem. Ma zaledwie czternaście lat i wczoraj nie wrócił do domu. Dopiero przed paroma godzinami dowiedziałam się, że został aresztowany. Jest w areszcie Valley.

— Aha, rozumiem. No cóż, najlepszym wyjściem byłoby chyba, gdyby poszła tam pani i spytała oficera dyżurnego. On na pewno wszystko pani wyjaśni.

— To raczej nie wchodzi w grę. Może pan mógłby to zrobić? Pan Mantrell na pewno by się zgodził, skoro jednak go nie ma...

— Głos się jej załamał i tylko spojrzała na niego błagalnie.

— Przykro mi, ale nie mogę. — Chyba się nie spodziewała, że jakikolwiek prawnik zgodzi się iść z tak absurdalną misją dla pierwszej lepszej kobiety z ulicy.

— Czy to znaczy, że nie chodzi pan na posterunek policji?

— Ależ nie — odparł ze smutnym uśmiechem. — Chodzę, i to całkiem często. Na zlecenie naszych klientów. Kiedy pan Mantrell mi każe. Na zlecenie klientów — powtórzył z naciskiem.

— Nazywam się Diamond Beckman — odpowiedziała ostro

— i jestem klientką pana Mantrella. Jestem jego klientką od wielu lat, chociaż od bardzo dawna go nie widziałam. — Wpatrywała się w niego zdecydowanym spojrzeniem ciemnych oczu i Barnaby poczuł się tak, jakby nagle role się odwróciły, a inicjatywa znalazła się w jej rękach. — Chcę, żeby poszedł pan w moim imieniu na posterunek i dowiedział się o Bena Beckmana. Jestem gotowa zapłacić.

— To byłoby kosztowne — odrzekł łagodnie, jakby starał się wytłumaczyć jej zasady prowadzenia interesów.

— Nie mam przy sobie dużej sumy — zaczęła, Barnaby zaś pokiwał głową, jakby tego właśnie się spodziewał — ale na początek mogę wystawić zobowiązanie zapłaty pięćdziesięciu funtów. Czy tyle wystarczy?

Barnaby westchnął.

4 Ognie fortuny

PATRICIA SHAW

— Pani Beckman, chętnie bym pani pomógł, naprawdę. Ale ja tutaj tylko pracuję. Nie mogę przyjąć sprawy na podstawie zobowiązania zapłaty. Musiałbym mieć na to zgodę pana Mantrella.

— Dlatego że jestem obca, tak?

— Tak.

Przez chwilę się zastanawiała, po czym zsunęła mokre rękawiczki i położyła je na biurku. Następnie otworzyła torebkę, wyjęła niewielką portmonetkę, a z niej małą kartkę papieru.

— Na wszelki wypadek zawsze noszę go przy sobie — wyjaśniła. — To podpisany czek.

— Rzeczywiście — odparł zaciekawiony Barnaby.

— Czy mogę prosić o pióro?

Starannie wypełniła czek i wręczyła go Barnaby'emu.

— Bank jest dwie przecznice stąd. Czy zechciałby pan zrealizować ten czek w moim imieniu?

Gapił się na kartkę, nie wierząc własnym oczom.

— To... to czek na sto funtów!

— Tak. A ja bardzo się śpieszę. Jestem czarna, więc jeśli sama pójde do banku, będą się na mnie gapić i marnować czas tak samo jak pan.

— Nie potrzebuje pani takiej sumy. Nawet pięćdziesiąt funtów to zbyt wiele.

— Niech pan wreszcie idzie! — rozkazała, wstając, żeby zrobić mu przejście.

Po drodze do banku Barnaby dokładnie obejrzał czek. Nosił on podpis niejakiej Augusty Beckman, skreślony inną ręką niż ta, która wypełniła czek. Barnaby spodziewał się, że wyrzucą go z banku, tymczasem banknoty zostały przeliczone i trafiły do jego rąk bez słowa komentarza.

— A więc — odezwała się Diamond, kiedy wrócił — skoro problem zapłaty przestał istnieć, proszę zabrać się do pracy, panie...?

— Glasson — wyjąkał. — Jeśli pójde, będę musiał zamknąć kancelarię.

— Zaczekam na zewnątrz — odparła spokojnie. — Tylko proszę, niechże się pan pośpieszy. Wróciwszy po godzinie, zastał ją niemal dokładnie w tym samym miejscu, pod markizą.

— Widział pan mojego syna?

- Tak — odparł, szukając kluczy.

OGNIE FORTUNY

— Nic mu nie jest?

— Jest wystraszony i chyba dostał parę kuksańców, ale poza tym jest cały i zdrowy. —

Barnaby wolał jej nie tłumaczyć, że samo towarzystwo bandziorów i pijaków o zakazanych twarzach wystarczy, żeby przerazić każde dziecko. — Proszę wejść, pani Beckman, wszystko pani dokładnie opowiem.

Usadowiwszy się za biurkiem, Barnaby wyjął notes.

— Ben Beckman został zatrzymany wczoraj na nabrzeżu w związku z kradzieżą wartościowej torby, należącej do niejakiego wielebnego Craddocka — przeczytał.

— Ben na pewno tego nie zrobił! — wykrzyknęła Diamond.

— Aresztował go konstabl Ray Dolan — kontynuował Barnaby. — Rozmawiałem z chłopcem. Twierdzi, że jest niewinny.

— Oczywiście, że jest!

— Nie mogłem złożyć wniosku o zwolnienie za kaucją, ponieważ nie stanął jeszcze przed sędzią pokoju. To może potrwać nawet kilka dni.

— Rozumiem. Aha, kiedy pana nie było, przyszedł jakiś mężczyzna. Powiedziałam mu, że pana Mantrella nie będzie przez cały dzień, a pan udał się w pewne miejsce z misją dobroci.

Barnaby jęknął. „Bóg raczy wiedzieć, kto to był” — pomyślał.

— To wszystko, co mogłem na razie zrobić — rzekł. — Oplata wynosi w tej chwili cztery gwinee. Dowiem się, kiedy chłopiec zostanie doprowadzony do sądu, i wtedy złożę wniosek o zwolnienie za kaucją.

— Nie — odparła Diamond zdecydowanie. — Chcę, żeby pan napisał list polecający. Ben jest dzieckiem i nie powinien siedzieć w takim miejscu.

— Obawiam się, że to niewiele pomoże.

— Wiem, za to pieniądze pomogą. Akurat tę lekcję zdażyłam przerobić bardzo gruntownie. Niech pan napisze o nim jak najlepszą opinię, wspomni, że nigdy dotąd nie miał kłopotów z prawem, że pochodzi z dobrej szanowanej rodziny...

— Przepraszam — przerwał jej Barnaby. — Mam nadzieję, że nie poczuje się pani urażona, ale muszę zauważyć, że chłopiec ma białego ojca. Nie da się ukryć...

— Że jest mieszzańcem — dokończyła spokojnie. — I byłoby znacznie lepiej, gdyby przyszedł po niego ojciec. Racja, tyle tylko że jego ojciec nie żyje. A jeżeli pójdę tam ja, nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Dlatego musi to być pan. Zapewniam, panie Glasson, że dobrze panu wynagrodzę tę stratę czasu.

51

PATRICIA SHAW

— To niepotrzebne — wyjąkał.

— Sądzę, że po namyśle zgodzi się pan ze mną — uśmiechnęła się, wprawiając go w zdenerwowanie. — Ben nie jest złodziejem. Mieszkamy przy River Road na Kangaroo Point. To porządne miejsce, o czym oczywiście napisze pan w opinii. Proszę więc zabrać się do dzieła. Może pan również wspomnieć, że jest dobrze wykształcony. Pan Mantrell będzie zadowolony.

Pisząc opinię, Barnaby zapomniał, że jego klientka jest czarna. Miał wrażenie, jakby stała nad nim nauczycielka, grożąca srogą karą, jeżeli tylko odważy się unieść wzrok znad kartki.

— Dobrze — rzekła, kiedy osuszył kartkę bibułą i złożył ją na pół, po czym odliczyła pięć banknotów dziesięciofuntowych i wsunęła je do listu.

— Co pani robi? — wykrzyknął Barnaby. — Chce pani, żebym ich przekupił?

— Tak.

— Na Boga! Nie mogę!

— Panie Glasson, mój syn jest niewinny. Nie musi kraść toreb starym obmierzłym kaznodziejom. W ten sposób doprowadzi pan jedynie do zwycięstwa sprawiedliwości. I pan, i ja dobrze wiemy, że dla policji kolorowy to zwykły śmieć, nawet jeśli to dziecko. Ale za pięćdziesiąt funtów można kupić przyjaźń każdego policjanta. Znajdzie więc pan odpowiedniego człowieka, kupi dla Bena jego przyjaźń i wydostanie go stamtąd. Jeżeli będzie trzeba, podwoję stawkę.

— Pięćdziesiąt funtów to i tak ogromna suma!

— Rzeczywiście. Nie zostawię syna w brudnej celi i nie dopuszczę, by w tak młodym wieku stanął przed sądem. Jego obrońca, z całym szacunkiem dla pana i pana Mantrella, mógłby przegrać sprawę, gdyby przypadkiem trafił na bigoteryjnego sędziego.

— Widzę, że dobrze się pani orientuje w prawach rządzących tym światem — stwierdził, nie kryjąc uznania dla jej zdrowego rozsądku — ale naprawdę nie mogę zrobić tego, o co pani prosi.

— Człowiek nigdy nie wie, co może, a czego nie, dopóki nie spróbuje — odparła. — Wątpię, czy na tym posterunku jest policjant, który chociaż raz w życiu widział pięćdziesiąt funtów. Chcę jedynie, żeby zarzuty zostały wycofane. Niech pan spróbuje odnaleźć tego konstabla Dolana.

Pokręcił głową.

— Rozumiem panią, ale naprawdę nie mogę. Nie potrafię. Diamond położyła na biurku drugie pięćdziesiąt funtów.

52

OGNIE FORTUNY

— Wydostanie pan Bena z aresztu, opłaci należność pana Mantrella, a resztę zachowa dla siebie.

— Teraz to mnie próbuje pani przekupić! — zaskowyczał.

— Po prostu błagam pana o pomoc — stwierdziła krótko. — Nie ma innego sposobu.

Zaczekam tu. Niech pan przyprowadzi mojego syna.

— Spróbuję — ustąpił w końcu. — Ale nie powinienem przyjąć tych pieniędzy.

— Jeszcze ich pan nie zarobił. Tylko proszę nie mówić Benowi, że jego wolność została kupiona. Mogłoby to źle wpłynąć na jego charakter.

Barnaby roześmiał się.

— A o mój pani nie dba?

— Niech pan potraktuje tę sprawę jako ważną lekcję.

Wszystko poszło jak z płatka, jeszcze łatwiej, niż przypuszczał. Odszukał Dolana i wręczył mu list, gotowy w razie czego twierdzić, że zaszła fatalna pomyłka. Suma była w końcu ogromna. Barnaby był pewien, że nikt nie daje tak wielkich łapówek niskim rangą policjantom. Jednakże na widok banknotów oczy Dolana rozbliły.

— Co to jest? — spytał konstabl.

— List polecający. Ten chłopak pochodzi z porządnej rodziny. Jest bardzo młody. Chcę, żeby zarzuty zostały wycofane. — Barnaby nie wspomniał ani słowem o pieniądzach.

— List polecający? — Dolan uśmiechnął się. — Jest tak przekonujący, że gotów byłbym wycofać znacznie poważniejsze zarzuty. Zaraz każę przyprowadzić tego małego.

Kiedy do pokoju wszedł Ben, Dolan szturchnął Glassona w bok.

— Barnaby, chłopie — szepnął. — Daleko zajdziesz. Jeśli kiedyś będziesz czegoś tutaj potrzebował, zawsze możesz na mnie liczyć.

Barnaby wypisał pokwitowanie na cztery gwinee, a resztę pieniędzy włożył do kieszeni, zastanawiając się, czy w ten sposób przestał być obrońcą prawa i wkroczył na drogę występku. Sprowadził powóz dla swojej czarnej klientki i jej syna, a potem długo stał w drzwiach, odprowadzając ich wzrokiem.

Po drodze do biura wysłuchał opowieści chłopca i nie miał powodu wątpić w jej prawdziwość. Może poza jednym drobiazgiem: Ben twierdził, że nie wie, kto naprawdę ukradł tę torbę. Na pewno wiedział, ale nie zamierzał donosić. Dobry chłopak.

53

PATRICIA SHAW

— Na przyszłość trzymaj się z dala od nabrzeża — poradził malcowi z całą powagą osoby doświadczonej przez dziewiętnaście lat życia. — Nie wiem, czy następnym razem umiałbym ci pomóc.

— Mówi pan jak moja mama — burknął Ben.

Aborygenka zaintrygowała Barnaby'ego. Po ich odjeździe wziął klucze, otworzył szafkę w kancelarii i tak długo przeglądał teczki, aż znalazł tę z napisem „Beckman”.

— O niech mnie licha! — wyszeptał, przerzucając kartki, z których pierwsze miały ponad dziesięć lat. — Ona nie nazywa się Beckman, tylko po prostu Diamond! — Kiedy po raz pierwszy odwiedziła biuro Mantrella, przyniosła cztery bryłki złota. Księgi Mantrella prowadzone były bardzo starannie. — Sprzedaż złota — czytał Barnaby linijka po linijce. — Przez te wszystkie lata musiała zostawić u Mantrella całe góry złota. Ciekawe, skąd je wzięła?

Ze zdumienia aż zagwizdał. Transakcje ciągnęły się bez końca. Mantrell sprzedawał złoto, a pieniądze wpłacał do pobliskiego banku na rachunek Augusty Beckman. Z dokumentów wynikało, że dom w Kangaroo Point również do niej należał, aczkolwiek pokwitowania za złoto, czyli źródło, nieodmiennie wystawiane były na Diamond. Przystudiował zapisy dotyczące zakupu i sprzedaży działek złotonośnych oraz pakietu udziałów w bardzo dochodowym Newcastle Coal Company. Poza tym w teczce znajdowały się dwa zapieczętowane testamenty: Augusty Beckman i Diamond.

„Kim do licha jest ta Diamond?” — zastanawiał się. Czekają go jednak sporo pracy, a zarobione pieniądze dosłownie wypalały mu dziurę w kieszeni. Postanowił, że raczej ich nie wyda, lecz gdzieś zachomikuje, obawiał się bowiem, że jego gospodyni albo Mantrell coś zwęszą. Nie wątpił, że czarna kobieta zachowa poranną transakcję w ścisłej tajemnicy. Kiedy Joseph Mantrell wrócił z Ipswich i stwierdził, że Barnaby pomógł pani Diamond Beckman, doprowadzając do wycofania zarzutów postawionych jej synowi, i zarobił w ten sposób cztery gwinee, pokiwał tylko z uznaniem głową. Nie zdradził w żaden sposób, że zna Diamond, czym wzbudził w Barnabym szczerzy podziw. Te dwie tajemnicze kobiety mogły być spokojne o swoje interesy, powierzwszy ich prowadzenie temu uczciwemu prawnikowi. Przygnębiony i zawstydzony Ben z chęcią uciekł od smutnych myśli do pracy, którą znalazła mu Oma. Diamond, szczęśliwa, że udało jej się wyciągnąć syna z opresji, przez całą drogę tuliła go tak mocno, że

54

OGNIE FORTUNY

z trudem łapał oddech. Nie skrytykowała go ani słowem, chociaż nie ominęło go nieuniknione: „Przecież ci mówiłam”. Także Oma wyszeptwała:

— Musisz słuchać mamy. Ona wie, co jest dla ciebie najlepsze. Pamiętaj, żebyś w przyszłości trzymał się z dala od tego nabrzeża. Tam czyhają na ciebie tylko kłopoty. Nie musiała mu tego powtarzać. Nie zamierzał tam wracać. Wciąż był wstrząśnięty oburzającą niesprawiedliwością aresztowania, a jeszcze bardziej tym wszystkim, co spotkało go w areszcie. Poszturchiwany i popychany, został wrzucony do celi razem z brudnymi mazącymi się pijakami i jakimś dzikim Aborygenem, który wrzeszczał przez większą część nocy, nie dając mu zasnąć. Nie dostali jeść, a kiedy spragnionym współwięźniom podano wiadro wody, po chwili prawie cała jego zawartość znalazła się na podłodze. Ben nie wywalczył dla siebie ani kropelki. To była najdłuższa noc w jego życiu. Przetrwał ją, skulony w kącie cuchnącej celi.

Kiedy Oma zaproponowała, że odprowadzi go do stajni O'Neilla, gwałtownie zaprotestował.

— Przecież nie jestem dzieckiem! Wiem, gdzie są te stajnie.

— Ale spóźniłeś się o jeden dzień. Musisz przeprosić. Do kuchni weszła Diamond.

— Mam nadzieję, że mimo wszystko go przyjmą.

— Jeśli nie, to trudno — pocieszyła ją Oma. — Będziemy musiały znaleźć mu coś innego. A ty miałaś leżeć w łóżku, a nie łązić po domu. Jesteś chora.

— Czuję się dużo lepiej. To wszystko ze zmartwienia. Poza tym nie mogłam nie pożegnać się z synem w dniu, kiedy zaczyna pracę. — Pocałowała go w policzek. — Czyż to nie wspaniałe?

Ben wyrwał się z jej objęć.

— Och, mam, to przecież tylko praca.

— To nie jest tylko praca. Musisz robić wszystko, co ci każą, i jak najwięcej się uczyć...

Nie czekał na dalszą część wykładu. Porwał pudełko z drugim śniadaniem, w które Oma napakowała tyle jedzenia, że wystarczyłoby mu na tydzień, i popędził, by zdążyć na pierwszy prom.

W stajniach szybko odnalazł pana O'Neilla, potężnego mężczyznę z imponującą, lekko siwiejącą czarną brodą i głosem donośnym niczym portowa syrena.

— A więc to ty jesteś Benny?

— Tak, psze pana. Przepraszam, że nie przyszedłem wczoraj, ale...

55

PATRICIA SHAW

— Lepiej późno niż wcale, kolego — przerwał mu nowy szef, po czym zawołał chłopaka, który właśnie otwierał wysokie podwójne wrota. — Hej, Cash! Chodź no tutaj. To jest Benny, nasz nowy stajenny. — Spojrzał z uśmiechem na Bena. — To mój syn i spadkobierca. Pokaże ci, co masz robić.

Ben przyjrzał się chłopakowi. Przypuszczał, że Cash jest o parę lat starszy od niego. Był też wyższy, miał czarne kręcone włosy, miłą twarz, olśniewający uśmiech i wesołe ogniki w niebieskich oczach. Ben dostrzegł w nich odrobinę łotrostwa, tak jakby w towarzystwie Casha należało się spodziewać wszystkiego, nawet niemożliwego. Przypominał nieco Willy'ego z najlepszych dni, tylko że Willy nie był taki przystojny ani pewny siebie.

Syn i spadkobierca okazał się sympatyczny i Ben szybko go polubił. Nie minął tydzień, a Cash O'Neill był dla niego wzorem.

— Tutaj zaczniesz — oznajmił Cash. — Najpierw przedstawię cię koniom. Znasz się trochę na koniach?

— Nie.

— No tak. W takim razie muszę ci przede wszystkim powiedzieć, że konie to nie są zwykłe zwierzęta. Są jak ludzie, tylko jeszcze mądrzejsze. Będziesz je dobrze traktować, to one ciebie też. I ja. Pamiętaj, nie chcę nigdy usłyszeć, że skrzywdziłeś konia, bo jeśli to zrobisz, dam ci taką nauczkę, że popamiętasz do końca życia.

Bez pośpiechu szli pomiędzy rzędami boksów. Cash mówił do zwierząt, głaskał je, sprawdzał, czy wszystko w porządku, Ben zaś patrzył, zafascynowany nie tylko uczuciem, jakim Cash darzył konie, lecz także nimi samymi. Sprawiały wrażenie, że wiedzą, że jest nowy. Przyglądały mu się, jakby próbowały go oszacować.

— Wygarniesz szuflę nawóz na taczkę i wywieziesz na stertę za stajnię — tłumaczył Cash.

— Później sprzątniesz stajnie. Cały oznaczony teren trzeba dokładnie podlać. Świeże siano i świeża woda do poidła. Ale najpierw trzeba je wyczyścić, tak żeby nie było śluzu. A potem pomożesz Dennisowi przy koniach.

— Kto to jest Dennis?

— To twój szef. Wie absolutnie wszystko o koniach. Niektóre z nich to konie wyścigowe, pozostałe to zwykle pod siodło. Ich właściciele to w większości okropne typy, więc lepiej schodź im z drogi.

— To znaczy, że te konie nie są wasze?

— Pewnie, że nie. Tata i ja mamy swoje konie na wybiegu. Te są pod naszą opieką. Należą do mieszkańców miasta, którzy nie mają własnych stajni.

56

OGNIE FORTUNY

Czyszczenie stajni i pomaganie Dennisowi, który okazał się starszym mężczyzną równie miłym dla podwładnych jak Cash, było dla Bena przyjemnością, a nie pracą. Poza tym przez cały dzień w stajniach zjawiały się tłumy ludzi, zawsze więc znalazło się jakieś zajęcie: polerowanie siodła, prowadzenie koni do kuźni, w ulubione miejsce Bena. Uwielbiał patrzeć na pracę kowala, fascynowały go czerwone podkowy wyłaniające się z pieca, podwójne uderzenia młota o kowadło, wreszcie pełna zrozumienia cierpliwość koni.

Kiedy o siódmej przypląnął promem, Oma i Diamond stały na przystani, niecierpliwie wypatrując jego powrotu.

— Co tu robicie? — jęknął zmieszany. Traktowały go jak dziecko, podczas gdy właśnie stał się mężczyzną. Zarabiał na swoje utrzymanie. Trzy szylingi tygodniowo.

W piątek po południu Dennis pokazał mu jeszcze raz, jak zakładać uprzęż i siodło, po czym posadził go na konia.

— Najwyższy czas, kolego, żebyś się nauczył porządnie jeździć — oznajmił. — Będziemy ćwiczyć aż do skutku.

Tego wieczora Ben wrócił do domu z triumfującą miną, ściskając w dłoni pierwsze zarobione pieniądze.

— Umiem jeździć na koniu — pochwalił się Omie. — A stary Dennis powiedział, że mam to we krwi.

— Och, to wspaniale — odparła. — Ale proszę, zachowuj się cicho. Mama źle się czuje. Znowu ma gorączkę. To przez ten upał. A teraz siadaj do stołu i zjedz coś.

Sobotę spędził niezwykle pracowicie, a kiedy poszedł do siodłami, żeby zanieść coś Dennisowi, usłyszał, jak Cash kłóci się z ojcem.

— Nigdzie nie pójdziesz! — krzyczał O'Neill. — Zostaniesz tutaj i będziesz pracował.

— Przecież dzisiaj biegną Ransom i Lady Lou!

— Nic mnie to nie obchodzi! Mamy kupić roboty!

— Jeżeli myślisz, że zamierzam całe życie zszywać jakieś stare siodła, to się mylisz! Chcę zostać trenerem.

O'Neill roześmiał się w głos.

— Dużo ci to da! I tak przegrasz każdego funta, którego uda ci się zarobić. Nie pójdziesz na te wyścigi i koniec. Wracaj do pracy!

Kiedy wszakże O'Neill poszedł na lunch, Ben spostrzegł, że Cash, wystrojony jak spod igły, wykrada się na ulicę. Dennis pokręcił głową.

57

PATRICIA SHAW

— Ten smarkacz znowu poszedł na wyścigi. Jak wróci jego ojciec, będziemy mieli straszne piekło.

— Co się stanie? — spytał Ben zaniepokojony.

— Ot, będzie dużo wrzasku, pan O'Neill będzie wszystkich poganiał, ale przecież nie wyrzuci z pracy własnego syna. Lepiej weźmy się szybko do roboty i sprawdźmy każdy najmniejszy drobiazg, bo inaczej nam też się oberwie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Lalla gotowa była nie liczyć się z kosztami, żeby zrobić na gościach jak największe wrażenie. Już teraz było tajemnicą poliszynela, że jej suknia kosztowała ponad dwieście funtów.

— Można by za to kupić cztery domy i jeszcze by zostało — zrzędziła Biddy. — To przecież zbrodnia, kto to widział, żeby wydawać tyle pieniędzy na ubrania?

— Lepiej trzymaj język za zębami — ostrzegła ją Cook. — Słyszałam, jak pani mówiła krawcowej, że nie życzy sobie, by ktoś się dowiedział, ile kosztuje ta suknia.

— Aha! Akurat nie chce! Wie równie dobrze jak my, że ta jej madame Grace to największa papla w mieście. Poza tym jak tylko pojawi się w tej sukni na schodach, każdy od razu będzie wiedział, że wydała na nią majątek. Nawet głupiec się tego domyśli.

Chociaż Biddy wyrażała się o ekstrawagancji Lalli Thurlwell z ogromną dezaprobatą, nie potrafiła także ukryć szczerego podziwu. A Cook była pod ogromnym wrażeniem.

— O Boże, alebym chciała ją zobaczyć.

— Nie mogę ci jej pokazać. Wisi na specjalnym stojaku przykryta prześcieradłami, żeby się, nie daj Boże, nie zakurzyła. Gdybym ruszyła chociaż jedno, od razu by zauważyła, przecież ją znasz. Ale mówię ci, to suknia jak na królową. Jest uszyta z grubego białego jak kość

słoniowa atlasu i pokryta od stóp do głów perłami i małymi srebrnymi koralikami. Przysięgam ci, zaćmi swoim blaskiem wszystkie żyrandole!

— Dobry Boże! — stęknęła Cook, wybałuszając ze zdumienia oczy.

— Ale perły to łzy — parsknęła Bidy.

59

PATRICIA SHAW

— Naprawdę? Nie wiedziałam.

— Założę się, że ona też nie. Ani pan Edgar, brat pana. Podarował jej na urodziny diamentowe kolczyki z perłowymi łożkami. Założę się, że będzie je dzisiaj miała na sobie.

— Dlaczego dał jej taki kosztowny prezent? Przecież ona ich nie potrzebuje. Ma całe sterty klejnotów.

— Dlatego że cały ten bal przygotowała właśnie dla niego. Jest gościem honorowym.

Rzeczywiście był, a Lalla nie cofnęłaby się przed niczym, byleby tylko przyjęcie się udało.

Wszak stawka była niebagatelna — gra toczyła się o fortunę Thurlwellów.

Siedziała za niewielkim biurkiem w swoim buduarze, przeglądając listę ostatnich rzeczy do sprawdzenia, i od czasu do czasu zerknęła przez ramię na suknię okrytą prześcieradłami.

Wprost nie mogła się doczekać chwili, kiedy wreszcie pojawi się na schodach, ubrana w jedną z najpiękniejszych sukien, jakie kiedykolwiek widziano w kolonii Queensland.

Zdawała sobie sprawę, że w tym wypadku nie wystarczy wyglądać oszałamiająco i przyćmić wszystkie inne obecne kobiety. Należy jeszcze porazić gości bogactwem Thurlwellów. Wszak inwestorzy idą śladem pieniędzy, niczym gończe psy pędzą, szczekając i ujadając, by rzucić się na łup, jednakże najmniejszy nawet cień zagrożenia może sprawić, że rozpierzchną się na wszystkie strony, zgubią trop i zaczną się oddalać od nagrody, którą przygotował dla nich Edgar. Jeśli natomiast będą mieli dość rozsądku, żeby się go trzymać, zrobi z nich milionerów.

Lalla westchnęła. Edgar był wielkim człowiekiem wielkich czynów, a przy tym porywającym mężczyzną, silnym, szczodrym i zdecydowanym. Dokładnym przeciwieństwem Williama, skupionego na swojej praktyce lekarskiej, i snującego się w cieniu starszego brata, który zajmował się ich inwestycjami kapitałowymi w różnych przedsiębiorstwach.

To właśnie Edgar wybrał się w podróż do Ameryki, gdzie poznał bajecznie bogatych kolejowych magnatów, zwiedził stalownie, podróżował prywatnymi salonkami, a w końcu powrócił do domu z kompletem informacji niezbędnych do rozpoczęcia budowy własnej linii. Lallę oczarowały jego relacje z podróży i związki z tymi, których znano powszechnie jako baronów amerykańskich kolei żelaznych, a opowieści o przepychu i bogactwie panujących w ich domach rzuciły ją na kolana.

??

OGNIE FORTUNY

— To dziecinnie proste — tłumaczył Edgar bratu — i właśnie dlatego musimy zabrać się za to, zanim ktoś nas uprzedzi. Mam już przygotowane wszystkie potrzebne dokumenty.

Wystarczy twój jeden podpis i Western Railroad Company zostanie powołana do życia.

— Mnie się to wcale nie wydaje takie proste — mruknął William. — Wygląda mi na to, że czeka nas ogrom ciężkiej pracy, której efekt wcale nie jest taki pewny.

— Jak w ogóle możesz opowiadać takie bzdury? — wykrzyknęła Lalla. — Czyż Edgar nie przywiózł do domu namacalnego dowodu opłacalności prywatnych kolei?

Tak jakby zastrzeżenia Williama nie były dla niego zaskoczeniem, Edgar wręczył Lalli jakieś papiery.

— Ciesz się mnie bardzo twój entuzjazm, tym bardziej że pozwoliłem sobie umieścić cię na liście udziałowców. Jeżeli tylko chcesz, masz do dyspozycji tysiąc udziałów.

— Naprawdę? — Była zachwycona, chociaż w pełni zdawała sobie sprawę z subtelnej chytrłości manewru Edgara. Skoro ona też stała się zwolenniczką tego projektu, William po

prostu nie mógł odmówić współpracy. — Jesteś taki troskliwy, Edgarze. Udział, choćby nawet najskromniejszy, w tak wspaniałym przedsięwzięciu będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem.

— Możesz mi jeszcze raz powtórzyć, jakie są główne elementy całego planu? — poprosił William, coraz bliższy kapitulacji.

— Już ci mówiłem — odparł Edgar. — Najpierw wybierzemy trasy. Na początek mogłaby to być linia z Rockhampton na zachód, aż do Longreach. To niezwykle istotne połączenie. Później rozpoczniemy budowę odnogi trasy przybrzeżnej, łącząc Brisbane z Bundabergiem. Rządowi budowa linii z Brisbane do Charleville zajęła dwadzieścia lat. My udowodnimy, że prywatne przedsiębiorstwo jest w stanie uruchomić podobną w ciągu zaledwie paru lat! Przypuszczam, że podobnie jak w Ameryce rząd aktywnie wesprze to przedsięwzięcie i przekaze nam nieodpłatnie grunty wzdłuż planowanych linii, żebyśmy mogli zabrać się do dzieła, nie marnując cennego czasu.

William wciąż miał zastrzeżenia.

— Zaczekaj. To jasne, że nie płacąc za ziemię, firma zaoszczędziłaby ogromną sumę, tylko skąd pewność, że rząd zechce oddać nam te grunty za darmo?

Lalla straciła cierpliwość.

— Williamie! Czy do ciebie nie dociera, że Western Railroad Company wyświadczy im ogromną przysługę, otwierając zachód

61

PATRICIA SHAW

przed duszpasterzami i osadnikami? O ileż łatwiej będzie im podróżować i przewozić bagaże koleją, zamiast zdawać się na niepewne usługi dyliżansów i wołów na tamtejszych okropnych drogach. Nie mogą, po prostu nie mogą odmówić.

— Nie zapominaj — dodał Edgar — że wokół stacji powstaną nowe miasta. Znając lokalizację stacji możemy wykupić pobliskie grunty i osiągnąć dodatkowe zyski z handlu nieruchomościami. W ten sposób stalibyśmy się rzeczywistymi właścicielami tych wszystkich miast. To nasza życiowa szansa, Williamie. Zachowamy większość udziałów, ale dla tak ogromnego przedsięwzięcia musimy pozyskać zewnętrznych inwestorów. Załatwiłem już dostawę surowców z brytyjskich stalowni, tak więc właściwie niedługo możemy zaczynać. Potrzeba nam jedynie więcej gotówki, a jak już ją zdobędziemy, będziemy mogli przedstawić nasz plan rządowi. Nie ma prawa odmówić!

„Nie ma prawa odmówić” — pobrzmiwały echem słowa Edgara, kiedy Lalla rozplatała włosy, szykując się do kąpieli. Kiedy tylko Edgar poinformował o swoim projekcie banki i biznesmenów, natychmiast objawiły się całe rzesze Jeremiaszy. Biadolili, że w Queensland mieszka za mało ludzi, żeby tak ogromne przedsięwzięcie miało rację bytu, zapominając przy tym, że koleje sprowadziłyby nowych osadników. Z bezinteresownego skąpstwa i pseudosprawiedliwości zżymali się na myśl o przekazaniu w prywatne ręce tak ogromnych obszarów ziemi. Niektórzy nazywali nawet amerykańskich przyjaciół i doradców Edgara „baronami rabusiów”, co doprowadzało Lallę do szału. Jakże byli nierozsądni, nie mieli pojęcia, co dla nich dobre. A teraz, jakby tych wszystkich kłopotów było za mało, pojawił się jeszcze problem federacji!

Edgar miał po swojej stronie spore grono polityków, gdyby wszakże doszło do federalizacji, musiałby przekonać kolejnych. Albo — jeśli okazałoby się to konieczne — przekupić.

Tymczasem coraz częściej rozlegały się głosy, że jeśli poszczególne kolonie zagłosują za zjednoczeniem, transport kolejowy powinien zostać domeną władz federalnych.

— Za dużo tego wszystkiego — mruknęła, wciskając guzik, by przywołać służącą. To, co zaczęło się jako porywający i ekonomicznie genialny plan, teraz powoli się oddalało, a wszystko przez te bzdurne pomysły zjednoczenia. Potencjalni inwestorzy przyjęli postawę wyczekiwania i grali na zwłokę, Edgar zebrał więc wszystkie siły, by walczyć o większe

wsparcie dla projektu, i tu właśnie liczył na wydatną pomoc Lalli. Miała się ona skoncentrować na zniechęcaniu do idei

62

OGNIE FORTUNY

zjednoczonej Australii, która w rzeczywistości oznaczałaby uzależnienie kolonii o niższym zaludnieniu, takich jak Queensland czy Australia Zachodnia, od Melbourne i Sydney. Teraz już nawet William stał się jakby bardziej aktywny. Uwierzywszy w końcu, że Edgar ma rację, zżymał się na polityków, którzy zamiast słuchać ludzi będących solą tej ziemi, wsłuchiwali się w głos biedoty i stawiali im na drodze kolejne, coraz trudniejsze do pokonania przeszkody. A przecież, jak często mawiał: „Dobroczynność zaczyna się w domu. Wystarczy zatroszczyć się o Queensland i pozwolić, by inni zatroszczyli się o siebie samych”. Tego wieczora przy stole miało zasiąść czternaście osób. Więcej mężczyzn aniżeli kobiet, lecz to było nieuniknione. Lalla konsekwentnie opierała się utartym zwyczajom i nie zamierzała pstrzyć stołu kobietami-ozdobami, a już na pewno nie przy okazjach takich jak ta, kiedy Edgar potrzebował czasu, by skutecznie wprowadzić dwie bliźniacze kwestie — budowy kolei oraz antyfederalizmu. Zgodził się z nią, że próby rozmów o interesach po kolacji, kiedy panie opuszczą towarzystwo, są z góry skazane na niepowodzenie. O tej porze mężczyźni, wypiwszy kilka kieliszków wina, nie są w stanie zrozumieć, a tym bardziej zapamiętać istoty dyskutowanej sprawy.

Ponieważ Buchananowie byli gośćmi domu, Lalla nie miała innego wyjścia, jak tylko uwzględnić na liście gości Clare, a także zaprosić jej owdowiałą matkę.

Lalla zachichotała. Edgar, kawaler, obawiał się pani Foster, która zdawała się traktować go jak potencjalnego kandydata na trzeciego męża, aczkolwiek tym razem był niestety skazany na jej towarzystwo. Lalla miała nadzieję, że siedząc obok Edgara, ta okropna gaduła będzie się zachowywać trochę spokojniej niż zwykle. Był on jedyną osobą zdolną powstrzymać ją przed zmonopolizowaniem rozmowy przy stole.

Lalla orientowała się, że szokuje miejscowe towarzystwo, wyprawiając przyjęcia, na które nie zaprasza kobiet. Nazywano je „wiezorami dymu”, jej to jednak ani trochę nie obchodziło. Podawała dania tak wystawne, że żaden z zaproszonych gości nigdy się nie skarżył, a sama zawsze zniknęła z pola widzenia, zostawiając mężczyzn z ich brandy i cygarami, gdy tylko udało się jej skierować rozmowę na odpowiednie tory, co nie było zbyt trudne, zważywszy na brak idiotycznych komentarzy głupich kobiet.

Takich jak na przykład Clara Buchanan. Jak w ogóle mężczyzna klasy Bena mógł wziąć sobie za żonę takie czupiradło, Lalli po prostu

63

PATRICIA SHAW

nie mieściło się w głowie. Być może chodziło o majątek Fosterów, chociaż krążyła plotka, że stara Belle to straszna liczykrupa. Poza tym w razie suszy żaden majątek nie pomoże Buchananom i ich farmie. Przecież deszczu nie da się kupić. Lalla zadrżała, myśl o suszy i padającym z głodu oraz pragnienia bydle okropnie ją przerażała. „Biedny Ben — pomyślała. — Jest taki przystojny.” W przeciwieństwie do swej żony, ten potężny blondyn, typowy farmer, był zawsze uśmiechnięty i potrafił rozbawić każde towarzystwo.

Nie raz widziała, jak się jej przygląda. No, nie ukrywajmy, podziwiał — tak jak wielu innych mężczyzn. Lecz w jego przypadku chodziło o coś jeszcze. Była w nim jakaś namiętność, która ogromnie Lallę ekscytowała. Zwłaszcza że William stał się ostatnio nie do zniesienia. Kiedy go poznała, był mężczyzną radosnym i pełnym wigoru, teraz zmienił się w pompatycznego nudziarza, dla którego liczyła się tylko opinia najlepszego lekarza w Brisbane.

— Niech mu tam będzie — westchnęła. — Może przynajmniej będzie miał zajęcie i da mi święty spokój.

Tego wieczora zamierzała posadzić Bena obok siebie, pośrodku stołu, a Williama i Edgara na końcach. Clara mogła zająć miejsce obok Williama, dzięki czemu reszta towarzystwa, politycy i urzędnicy, znajdowałaby się blisko gospodyni. Zaiste, pomysł genialny w swej prostocie.

Ben Buchanan był zachwycony, kiedy wraz z innymi gośćmi wszedł do salonu i stwierdził, że przypadło mu miejsce obok Lalli, tym bardziej że coś mu mówiło, iż to jej świadomy wybór. Fascynowała go. Była to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkał, elegancka i spokojna, on jednak wiedział, że pod tym spokojem kryją się siła, zdecydowanie i namiętność.

Salon wyglądał cudownie. Żyrandole i srebro lśniły w blasku świec, róże o srebrnych liściach zdobiły stół. Przyszło mu do głowy, że taka sceneria idealnie pasuje do przepięknej białej sukni Lalli, kontrastującej z ciemnymi surdutami mężczyzn. Nieco gorzej prezentowała się Belle Foster w sukni z tafty w dużą kratę. Natomiast Clara... no cóż, w swojej beżowej koronce była właściwie niewidoczna. Kiedy goście zajęli miejsca, Ben po prostu wzruszył ramionami. Nie interesowało go, co wkłada na siebie Clara. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Otwierały się przed nim drzwi do kariery i nie zamierzał przegapić takiej okazji.

64

OGNIE FORTUNY

Przed laty sam gubernator powiedział mu, że powinien zająć się polityką, i pewnie dawno by tak zrobił, gdyby nie zrzędzenie złośliwego losu. Nagła śmierć brata zmusiła go do wzięcia na własne barki całego ciężaru prowadzenia farmy, ponieważ ojciec także już nie żył. Miało to jednak również dobre strony. Ben zasłynął jako człowiek sukcesu, wzenił się w bogatą rodzinę i bywał w najbardziej elitarnych kręgach Sydney i Brisbane. W wieku trzydziestu ośmiu lat czuł się dużo lepiej przygotowany do wejścia na arenę polityczną, aniżeli wówczas, gdy — co tu kryć — był nie opierzonym dwudziestojednoletkiem. Nie miał wątpliwości, że ci wszyscy kombinatorzy z Brisbane próbują mydlić mu oczy. To samo dotyczyło wygadanego Edgara Thurlwella, który sugerował, że on i jego kumple mogą się postarać, by Ben zajął w parlamencie wolne miejsce. Ben gotów był z nimi współpracować, musiał się tylko przekonać, czy marchewka, którą machają mu przed oczyma, jest tego naprawdę warta. Wiedział, że parlamentarzystom zwraca się jedynie poniesione wydatki. Kiedy był młody, nie przeszkadzało mu to, była to stosunkowo niska cena sławy, lecz doświadczenie nauczyło go, że wielu ubogich polityków zostaje właścicielami gazet albo poważnymi udziałowcami wielkich koncernów. Chociaż Ben w żadnym wypadku nie zaliczał się do biednych, Fairmont, jego nowa farma nieopodal Cherleville, nie była inwestycją, na jaką liczył. Dom od razu zwrócił jego uwagę: duży, chłodny i pięknie położony, wydawał się idealnym miejscem na przyjęcia, ogromne znaczenie miała też bliskość chłonnego rynku zbytu, jakim było Brisbane. Po latach spędzonych na dalekiej północy farma położona zaledwie około pięciuset mil od Brisbane wydawała się Benowi darem Boga, kupił ją więc bez chwili namysłu. Skąd miał wiedzieć, że nadchodzi susza?

Odrzucił wątpliwości. Susza może nawiedzić każdy region Australii, nie popełnił żadnego błędu. A poza tym niewykluczone, że pod jego nieobecność spadł tam deszcz.

Ben stał i czekał, aż gospodyni o niepokojąco zielonych oczach i przepięknym uśmiechu różowych ust podejdzie do niego, tak odległa, a jednocześnie tajemniczo zachęcająca. Poczł ciepło jej ciała, kiedy siadała obok niego, a jej dłoń niby przypadkiem otarła się o jego. Ale o żadnym przypadku nie mogło być mowy.

— Cieszę się niezmiernie, że pani Foster znalazła czas, by nas odwiedzić — odezwała się słodkim tonem.

Ben skinął głową. „Akurat się cieszysz — pomyślał. — Lepiej nie próbuj się ze mną droczyć.”

5 Ogień fortuny

65

PATRICIA SHAW

— Lzuje się bardzo zaszczycona tym zaproszeniem — odparł.

gje<Lziała skromnie, podczas gdy jej mąż zabawiał gości, a Ben zaglądał ukradkiem w głęboki dekolt jej sukni, ukazujący pełne kształtrte piersi. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że gospodyni ma niezwykle dużo do zaoferowania.

«Najpiękniejszy widok w całym domu» — pomyślał. Ten owoc był nie tylko wystarczająco dojrzały, by go zerwać, na dodatek mógł się okazać niezwykle dla niego przydatny.

Zebrał się w sobie, oderwał wzrok od dekoltu i nawiązał rozmowę ze swoim drugim sąsiadem, Royce'em Daviesem, parlamentarzystą z Ipswich.

Rzędy kryształowych kieliszków ożyły, kiedy kelnerzy napełnili je winem i podali pierwsze danie, smakowitego łososia w delikatnym sosie cytrynowym. Z końca stołu dobiegał tubalny głos teściowej Bena, Clara natomiast w ogóle się nie odzywała. Gospodyni z wyuczoną pewnością siebie zabawiała tych, którzy znajdowali się w zasięgu jej radosnego głosu. Jednocześnie delikatnie pocierała stopą o nogę Bena.

Celowo ignorował tę pieśczętę, chociaż był coraz bardziej rozpalony. „Jeżeli naprawdę masz na mnie ochotę, moja droga — pomyślał — będziesz musiała uczciwie się napracować. To będzie twój pomysł!”

Z wtięki dobiegły tymczasem dźwięki cichej romantycznej melodii, granej przez trio skrzypcowe, na które prawie nikt nie zwrócił uwagi. Kelnerzy zabrali puste talerze, podali zupę i uzupełnili zawartość kieliszków. Gospodarz wznosił toast za zdrowie królowej. Ben nie zdziwił się, kiedy rozmowa zesłała na temat kolei. Gdyby tylko miał dość pieniędzy, sam chętnie wziąłby udział w tym przedsięwzięciu. Musiał przyznać, że Edgar wpadł na epokowy pomysł. Może rzeczywiście warto by zaciągnąć jakąś pożyczkę?

Jednakże Royce Davies okazał się większym sceptykiem. Dopił wino i przerwał siedzącemu naprzeciwko prezydentowi Turf Club, Buckowi Henry'emu:

— Nie bardzo rozumiem. Moim zdaniem to rząd powinien budować linie kolejowe.

Lalla pochyliła się w jego stronę.

— I*anie Davies, jako mieszkaniec Ipswich należy pan do tych nielicznych szczęśliwców, którzy kolej już mają. Ale proszę pomyśleć o innych. Jeżeli budową będzie zajmował się rząd, minie ze sto lat, zanim kolej dotrze także do nich. Chyba nie jest pan aż tak okrutny, by świadomie pozbawić ich takiego dobrodziejstwa?

66

OGNIE FORTUNY

Benowi przyszło na myśl, że Davies powinien zapuścić brodę. Miał wyraźne cienie pod oczyma, przez co sprawiał wrażenie chorego i przemęczonego. Ben gładził swoje gęste jasne wąsy, patrząc, jak Davies mięknie, bardziej pod wpływem słodkiego uśmiechu gospodyni aniżeli troski o los innych mieszkańców Queensland.

— Chyba rzeczywiście ma pani rację, pani Thurlwell — przyznał.

— Będę musiał się nad tym głębiej zastanowić.

— Niech pan wesprze ten projekt — zagrzmiała Belle Foster z końca stołu. — Brońmy Queensland, zanim pochłonie nas ta zgraja federalistów!

— Ich propozycje to tylko czcza gadanina — odparł Davies, przywołując kelnera, aby napełnił mu kieliszek.

— Nie byłabym tego taka pewna — sprzeciwiła się Belle. — Ptaki śpiewają, że nasz premier szykuje się do podróży do Hobart, by wziąć udział w konferencji kolonii. A co więcej, według południowej prasy należy do najgorętszych zwolenników federacji.

— To niemożliwe! — Oczy wszystkich zwróciły się ku Henry'emu Tempelmanowi, bogatemu hodowcy bydła i parlamentarzysty z północnego okręgu Gladstone. — Chyba mnie zastrzela, jeśli wrócę z taką wiadomością. Już i tak oskarżają mnie, że ich sprzedałem. — W takim razie niech pan lepiej szybko porozmawia z premierem — uśmiechnął się Davies, po czym spojrział na Edgara. — Federalizacja zniweczy pańskie plany, panie Thurlwell.

Ben doszedł do wniosku, że najwyższy czas stanąć po stronie gospodarzy, którzy zdradzali chęć wsparcia go w karierze politycznej.

— Royce — odezwał się z uśmiechem. — Mogą sobie gadać o federacji, ile tylko dusza zapragnie, ale mój wuj, premier Australii Zachodniej, twierdzi, że oni za nic w świecie na coś takiego się nie zgodzą. Są zdecydowani odrzucić każdą próbę nacisku. — Świadom był, że słuchają go teraz wszyscy goście. — Australia Zachodnia to chyba największa kolonia na świecie, na dodatek bogata w ogromne zasoby złota i innych minerałów. W jakim celu mieliby się jednoczyć z tymi z północy?

Siedzący na końcu stołu William wydawał się z lekka skonfundowany.

— A czy to ma znaczenie? — spytał. — Może powstać federacja pozostałych kolonii. Chociaż Ben nie patrzył na Lallę, wyczuł, że uwaga męża bardzo ją poirytowała. Po co próbował wpychać klucz w tryby pracu-

67

PATRICIA SHAW

jącej maszyny, jakby był przekonany, że federalizacja to coś nieuniknionego? Przecież stawką jest Western Railroad Company Edgara.

Aby zneutralizować brak politycznego taktu, jakim wykazał się gospodarz, Ben powiedział:

— Trudno byłoby taki twór nazwać federacją, mój drogi, skoro brakowałoby w niej z górą połowy kontynentu. Wątpię, czy miłościwie nam panująca królowa zechciałaby poprzeć taki ułomny twór.

— Właśnie, właśnie! — rozległy się głosy, po czym rozmowa przeszła na zawsze aktualny temat Wiktorii, ukochanej monar-chini.

Lalla dotknęła ramienia Bena.

— Nie mogę pojąć, Ben, dlaczego mając takie wyczucie i znajomość ważnych spraw, nie zająłeś się polityką znacznie wcześniej.

— Nie miałem na to czasu — odparł, patrząc jej prosto w oczy, a potem błędząc wzrokiem w okolicach głębokiego dekoltu. — Czy nie będę niegrzeczny, jeśli powiem, że nasza gospodyni wygląda dzisiaj jeszcze bardziej czarująco niż zwykle?

— Dziękuję — mruknęła. — Jesteś bardzo miły.

Lalla uwielbiała flirtować. Pozornie jej wesołość przeznaczona była dla wszystkich gości, kiedy jednak pojawili się kelnerzy, pchając przed sobą wózki z daniem głównym, i wokół rozległy się pełne zachwyty głosy: „Co my tu mamy?“, przybliżyła się do Bena. Na dźwięk jej głosu wróciły ciepło i podniecenie. Pragnął tej kobiety, nie miał zamiaru zadowolić się przelotnym ostrożnym kontaktem i wiedział, że prędzej czy później...

— To specjalność naszej kuchni, którą obiecałam panu Daviesowi — mówiła Lalla. — Goście zawsze bardzo ją sobie chwala. Do wyboru mają państwo pieczoną kaczkę w koniaku nadziewaną pasztetem i kaczkę z nadzieniem z homarów. Prawdę powiedziawszy, nie bardzo się orientuję, która jest która — dodała ze śmiechem — ale służba na pewno będzie wiedziała. — Czy możemy spróbować jednej i drugiej? — spytał Davies, dyskretnie ocierając pot z czoła.

— Ależ proszę uprzejmie, panie Davies. Jesteśmy zaszczytzeni, że możemy pana gościć. Tak rzadko jest pan osiągalny.

Kelnerzy obchodzili stół, niosąc parujące srebrne półmiski z chrupiącym złocistym drobiem i apetyczne sałatki, a goście, którym dosłownie ślinka ciekła, śmiali się i rozmawiali. To był naprawdę miły wieczór. Kolejny sukces Lalli Thurlwell.

I wtedy nadszedł kataklizm!

68

OGNIE FORTUNY

Drzwi do salonu otworzyły się, zajrzał przez nie służący i zaraz potem wpadł do środka. Początkowo Ben sądził, że służący goni kota albo psa, był bowiem bardzo nisko pochylony. Okazało się jednak, że do pokoju wbiegł jakiś chłopak, który krzyczał, że koniecznie musi rozmawiać z doktorem, i zrećcznie unikał wyciągniętych rąk lokaja. Potracił kelnera, któremu półmisek niebezpiecznie zachwiał się w dłoniach. Już się wydawało, że nieszczęśnik zdoła jakoś opanować sytuację, gdy Templeman, reagując na dziwne poruszenie za swoimi plecami, gwałtownie zerwał się z miejsca. Belle huknęła na niego, żeby uważał, ale było za późno. Zahaczył ramieniem o półmisek, który przechylił się do przodu i dwie pieczone kaczki w smakowicie pachnącym sosie znalazły się na śnieżnobiałym obrusie, roztrzając na boki kieliszki z winem.

Chłopak przecisnął się obok Bena, roztaczając wokół siebie kwaśny koński odór, i zderzył się z innymi kelnerami. Ktoś próbował go złapać, lecz bezskutecznie. Zabrzęczało srebro i kolejny półmisek wylądował na podłodze. Goście patrzyli jak oniemiaли, delikatny kryształ żyrandola drżał z przerażenia.

William zerwał się na równe nogi. Chłopak krzyczał coś o swojej matce, doktor powtarzał, że intruz ma natychmiast wyjść. Edgar trząsał się z oburzenia, wytrzeszczając oczy, a zbulwersowana Lalla ścisnęła z całej siły blat stołu.

W stajni znowu zapanował spokój. Cash wrócił do pracy z triumfalną miną, ponieważ Ransom wygrał bieg, dzięki czemu chłopak wzbogacił się o dwadzieścia funtów. Ben uśmiechnął się. Chyba już wszystko rozumiał. Sam z chęcią poszedłby na wyścigi, żeby zobaczyć, jak Ransom wygrywa. Cóż to by było za przeżycie! Wziął jabłko, poszedł do boksu Ransoma i delikatnie podał je zwycięzcy.

— Wspaniały z ciebie koń! — rzekł z podziwem. — Kiedyś na pewno przyjdę ci pokibicować.

Ben czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Chyba lepiej nie mógł trafić. Miał coraz więcej przyjaciół, i to nie tylko pośród pracowników stajni, lecz także wśród dżokejów, tych wspaniałych jeźdźców, którzy kręcili się po stajni przez całe przedpołudnie. Postanowił poprosić mamę o czapkę. Nigdy dotąd nie nosił nakrycia głowy, ale ponieważ wszyscy jego nowi dorośli przyjaciele nosili, doszedł do wniosku, że on również powinien.

69

PATRICIA SHAW

Jednakże stan zdrowia Diamond coraz bardziej się pogarszał. Wsparta na poduszkach wyglądała okropnie. Była przeraźliwie blada i strasznie kaszłała.

— Czy mama wyzdrowieje? — pytał zaniepokojony Ben.

— Tak, kochanie, na pewno — zapewniała Oma, nalewając wrzątku do miseczek. Po chwili w powietrzu uniósł się ostry zapach eukaliptusa. Ale Ben widział, że ona też bardzo się martwi.

— Czy mogę jakoś pomóc?

— Tak. Weź z mojej portmonetki pieniądze i biegnij obudzić sklepikarza. Potrzebuję jeszcze trochę tej mikstury na kaszel. Tylko szybko!

Gussie Beckman rzeczywiście była coraz bardziej zatroskana. Przez lata przywróciła do zdrowia wiele ofiar grypy i także Diamond zdawała się dochodzić z wolna do siebie, lecz tego wieczora gorączka nagle skoczyła, a pacjentka słabła z godziny na godzinę. Gussie nie miała wątpliwości, że grypa przechodzi w zapalenie płuc.

Kiedy kładła Diamond na piersi gorący okład, żeby ułatwić jej oddychanie, ta chwyciła ją za rękę.

— Opiekuj się Benem — wyszeptala. Gussie pogładziła ją po głowie.

— Nie opowiadaj takich rzeczy. Niedługo wyzdrowiejesz. Musisz tylko leżeć i odpoczywać.

— Widziałam matkę — szepnęła Diamond, na co Gussie pokiwała głową.

— Możliwe, przecież dużo spałaś. Musisz jak najwięcej odpoczywać.

Kiedy Ben przyniósł miksturę, Oma czekała na niego z jakimś listem.

— Musisz załatwić jeszcze jedną sprawę. Zanieś ten list do doktora. Tego z Vulture Street, wiesz którego?

— Doktora McNaba? Tak, wiem, gdzie mieszka. Czy ma przyjść do mamy?

— Tak, jak najszybciej. I uważaj na siebie, Ben, z nikim nie rozmawiaj.

— Dobrze — zapewnił uroczyście, ciesząc się, że może pomóc, a jednocześnie coraz bardziej martwiąc się o mamę. Doktor — to musi oznaczać niebezpieczeństwo. Nigdy wcześniej nie wzywali do Diamond lekarza, a do Omy ledwie parę razy.

Pędził bez chwili odpoczynku, aż wbiegł w Vulture Street, pomiędzy dwa rzędy niewielkich domków. Nawet jeśli po drodze

70

OGNIE FORTUNY

kogoś minął, nie zauważył go, przejęty swoją misją. Dotarłszy na miejsce, zaczął walić z całej siły w drzwi.

Otworzyła jakaś kobieta. Ben był tak zdyszany, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa, wpechnął jej więc w dłoń kartkę od Omy.

Odwróciła się do światła, przeczytała i uśmiechnęła się do Bena.

— Doktora teraz nie ma, ma dziś bardzo dużo pacjentów. Jak tylko wróci, zaraz go do was wyślę.

— Kiedy to będzie? — dopytywał się Ben.

— Późno — odparła — ale obiecuję, że na pewno przyjdzie. Powiedz pani Beckman, żeby spróbowała zbić gorączkę. — Pogładziła go po głowie. — Dobry z ciebie chłopiec, że o tak późnej porze przybiegłeś z wiadomością.

Upewniwszy się, że doktor przyjdzie, Ben poczuł ulgę. Teraz już nie miał wątpliwości, że mama wyzdrowieje. Wrócił do domu, by podzielić się z Orną dobrą wiadomością.

— Późno? — wykrzyknęła Oma. — Jak późno? Ona potrzebuje lekarza teraz. Natychmiast! Ledwo oddycha!

Siedział bez słowa i przerażony słuchał ciężkiego charczącego sapania matki, z coraz większym trudem walczącej o oddech. Oma robiła, co mogła, żeby jej pomóc.

— Dobry Boże! — wykrzyknęła nagle. — Ależ jestem głupia! Przecież obok nas mieszka lekarz. Chirurg! On na pewno zdoła jej pomóc. Idź tam! Szybko, Ben. Powiedz doktorowi Thurlwellowi, że twoja mama umiera!

Ben wytrzeszczył oczy. Co Oma powiedziała?! Jego mama? Diamond? Ona nie może umrzeć. Przecież patrzyła na niego, a on widział w jej oczach czuły uśmiech. To nie może być prawda!

Oma siłą podniosła go z krzesła.

— Słyszysz mnie? Idź do sąsiadów, Ben. Powiedz doktorowi Thurlwellowi, że to bardzo pilne. Potrzebuję go!

W jednej chwili był na dworze, minął bramę i popędził po imponującym podjeździe do drzwi wielkiego, pięknie oświetlonego domu. Ze środka dobiegały głosy, dużo radosnych głosów. A więc przynajmniej ten doktor jest w domu. Od razu powinien być tu przyjść. Stukał masywną mosiężną kołatką, stukał i stukał.

Drzwi otworzyły się i na moment oślepiło go białe światło. U nich w domu za drzwiami znajdował się mroczny wąski korytarz z drzwiami po bokach, prowadzący prosto do kuchni. Tutaj tymczasem jego oczom ukazał się wielki hol wyłożony białymi płytkami, z zawieszono-

71

PATRICIA SHAW

nym pod kopułą ogromnym żyrandolem. Dalej widać było złociste kręte schody...

— Czego chcesz? — warknął mężczyzna ubrany w dziwaczny atlasowy strój, białe pończochy i trzewiki ze sprzączkami.

— Ja do doktora! — wyszeptał przerażony Ben.

— Wynoś się!

Ben zebrał się w sobie.

— Nie! Muszę rozmawiać z panem doktorem! To pilne!

— Pan doktor Thurlwell przyjmuje gości — odparł mężczyzna wyniośle. Chciał zamknąć drzwi, lecz Ben oparł się o nie.

— Niech pan nie zamyka — błagał. — Moja mama jest ciężko chora. Muszę sprowadzić lekarza.

— Twoja mama? — Mężczyzna uśmiechnął się drwiąco i z całej siły chwycił Bena za ramię.

— Wynocha stąd! Ty chyba postradałeś rozum.

Chociaż Ben kopał go, próbując się wyrwać, pewnie zostałby wypchnięty za drzwi, gdyby nagle nie rozległ się głos:

— Wpuść go!

Ben myślał najpierw, że to głos pani Thurlwell, ten sam rozkazujący głos, który wydawał polecenia ogrodnikom, kiedy się wszakże wyprostował, zobaczył, że to ta dziewczyna, Phoebe. Stała na schodach w białym szlafroku i wyglądała jak anioł.

Ku jego zaskoczeniu, służący natychmiast go puścił i cofnął się o krok.

— Moja mama jest bardzo chora! — zawołał Ben do dziewczyny. — Gdzie jest doktor?

— Tam — odparła, wskazując mu drogę. Ben rzucił się pędem przez hol i z hukiem otworzył podwójne drzwi, nie zważając na to, że odźwierny biegnie za nim.

Przy długim stole siedzieli ludzie. Rzędy ludzi o białych niewyraźnych twarzach.

Zaskoczonych twarzach. Czuł smakowite aromaty, widział blask naczyń i sztuców, słyszał krzyki przerażenia, lecz nie zwracał na to wszystko uwagi. Rozpaczliwie szukał doktora.

Wszyscy mężczyźni mieli na sobie ciemne surduty i białe koszule, wydawali się więc bardzo do siebie podobni.

Jednakże doktor sam się objawił. Siedział na końcu stołu i na widok intruza zerwał się z miejsca.

— Co to ma znaczyć?

Odetchnąwszy z ulgą, Ben podbiegi do niego i złapał za ramię.

72

OGNIE FORTUNY

— Panie doktorze, Oma mówi, żeby pan szybko przyszedł. Zaraz obok. Moja mama jest bardzo chora!

— Dobry Boże! — zawołał ktoś.

— Bert! — wrzasnął doktor na służącego. — Natychmiast wyrzuć stąd tego smarkacza albo przysięgam na Boga, ja wyrzucę was obu!

— Nie! — krzyknął Ben, wczepiając się w doktora, który bezskutecznie próbował oswobodzić się z uścisku. — Pan nie rozumie! Moja mama umiera!

— W takim razie zabierzcie ją do szpitala! — krzyczał gniewnie Thurlwell. Ben, pojawiwszy nagle, dlaczego Oma nie mogła tego zrobić, wyrwał się jeszcze zacieklej, kiedy z odsieczą

koledze przyszedł drugi służący. Ktoś krzyknął „czarnuch”, ktoś inny prychnął z pogardą, potem rozległ się głos samej pani Thurlwell, odpowiadającej na pytanie:

— Ależ skąd. Oczywiście, że ich nie leczy. Broń Boże! Wstawiła się za nim tylko jedna osoba.

— Może jednak powinieneś zobaczyć, co się stało, Williamie?

— Zamknij się, Claro! — uciszył ją ktoś gniewnie.

Ben ujrzał przez łyzy dobrą twarz kobiety mniej więcej w wieku Diamond, która próbowała mu pomóc, lecz po prostu nie była w stanie. Na zawsze zapamiętał jej głos. Na zawsze zapamiętał też doktora Thurlwella, kroczącego obok odźwiernego, który włókł Bena za kołnierz.

— To skandal! — mrucał doktor pod nosem, czerwony ze złości.

— Ty przekłety smarkaczu! Jeśli jeszcze raz twoja stopa postanie na mojej ziemi, każę cię aresztować!

Przez ramię dostrzegł, że pani Thurlwell ciągnie Phoebe na górę, nie było już więc żadnej nadziei na odsiecz. Stłumił łyzy i podczas gdy odźwierny prowadził go do wyjścia, zdołał raz jeszcze odwrócić się w stronę doktora.

— Panie doktorze, błagam pana! Tylko na chwilę. To nie potrwa długo. — Jego głos odbijał się echem od wysokich ścian. — Oma mówi, że mama umiera!

— Wyprowadź go aż za bramę, a potem zamknij wejście na klucz!

— warknął Thurlwell. — To skandal, żebym musiał znosić coś takiego we własnym domu, i to przy gościach!

— Ty cholerny bękarcie! — wrzasnął służący. Wyrzucił Bena za bramę i dał mu kopniaka. Ben powlókł się do domu, starając się po drodze doprowadzić swój strój do jakiegoś takiego porządku.

73

PATRICIA SHAW

— Gdzie jest doktor? — spytała Oma.

— Później — mruknął Ben. Duma nie pozwoliła mu przyznać, że wyrzucono go za drzwi. Że stało się tak, dlatego że ich sąsiad, wszechmocny doktor William Thurlwell, nie leczy czarnuchów.

Było już po północy, kiedy przed dom zajechał gig, z którego wysiadł zmęczony doktor McNab. Drzwi były otwarte, nikt nie odpowiadał na pukanie. Doktor wszedł do środka i po chwili odnalazł sypialnię, gdzie na łóżku starsza kobieta tuliła w ramionach czarną kobietę. Obok siedział wpatrzony w nie czarny chłopak.

Doktor delikatnie odsunął Omę i zbadał leżące na łóżku ciało.

— Tak mi przykro — wyszeptał. — Przez cały wieczór nie było mnie w domu. W mieście panuje epidemia tej grypy. Dopiero przed chwilą dostałem pani wiadomość. — Spojrzał na Diamond. — Niech Bóg ma w opiece jej duszę.

Pochowali ją w twardej, kamienistej ziemi z tyłu cmentarza, za setkami nagrobków.

— Nie martw się — rzekła Oma, tuląc Bena. — Tutaj czy gdzie indziej, i tak postawimy jej piękny nagrobek.

Ben nie rozumiał, co miała na myśli, był przekonany, że po śmierci każdemu stawia się marmurowy nagrobek, wtedy jednak w ogóle niewiele rozumiał. Czuł się tak, jakby sam nie żył, nadal nie docierało do niego, że jego ukochana mama umarła. Zawsze wydawała mu się niepokonana. Często opowiadała o swoich przygodach na północy. Pracowała na wielkich farmach, na polach złotoносnych i w wielu dzikich osadach, lecz zrezygnowała z włóczęgi i osiadła w Brisbane, by wychowywać syna.

— To obowiązek matki — mówiła i oczywiście miała rację. Co więc się stało? Powinna być tu bezpieczna. Ben nie potrafił myśleć o niczym innym. Czy to on ją zawiódł?

Na pogrzeb przyszło tylko kilka osób. Państwo Watkins ze sklepu, pewien stary siwy kaznodzieja, jakaś piękna kobieta o imieniu Goldie, której Ben nigdy przedtem nie widział, a także pan O'Neill ze stajni, który zjawił się trochę spóźniony na swoim starym gniadoszu. Ben pomyślał, że to bardzo ładnie z jego strony, nie mógł jednak iść z nim porozmawiać, bo bał się, że znowu zacznie płakać i zrobi z siebie głupca.

Pojawił się jeszcze jeden obcy, pan Mantrell, który zdawał się wszystko nadzorować.

— To prawnik — wyjaśniła Benowi Oma. — Bardzo ważna osoba.

74

OGNIE FORTUNY

Pan Mantrell był pracodawcą Barnaby'ego Glassona. Przyjechał po nich swoim gigiem, a po ceremonii, kiedy wszyscy się już rozeszli, odwiózł ich do domu. Teraz siedział w salonie i rozmawiał z Omą. Ben nigdy przedtem nie widział, by płakała, teraz wszakże najwyraźniej nie mogła się opanować. Biedna Oma, po śmierci Diamond była skazana na nieznośną samotność. Na myśl o tym Ben także się rozpłakał. On też będzie teraz bardzo samotny.

— Muszę spisać nowy testament — rzekła Oma przez łzy.

— Nie trzeba się śpieszyć.

— Owszem, trzeba — załkała Oma. — Moja biedna Diamond umarła w kwiecie wieku.

Dlaczego Bóg nie zabrał mnie?

Ben wstał z krzesła i zaczął kręcić się bez celu po domu.

— To bardzo ważne — nalegała Oma. Nie zwróciła uwagi, że Ben wyszedł. — Te pieniądze należały do Diamond. Wie pan o tym. Musi pan jak najszybciej sporządzić nowy testament, w którym wszystko zostanie zapisane Benowi. Nie zmrużę oka, dopóki dokument nie będzie gotowy.

— Dobrze, pani Beckman. Czy jeszcze coś mógłbym dla pani zrobić?

— Nie, ale bardzo panu dziękuję — uśmiechnęła się blado. — Jest pan dobrym człowiekiem. Diamond zawsze była głęboko wdzięczna, że utrzymał pan sprawę jej majątku w tajemnicy. Trudno jest żyć na tym świecie, kiedy ma się czarną skórę.

— Pani Diamond była bardzo rozsądną osobą — zauważył. — Wiedziała, gdzie czyhają największe niebezpieczeństwa, a ja w zasadzie tylko wykonywałem jej polecenia. Ten młody człowiek ma szczęście, że jego matka była tak dalekowzroczna.

— Niech Bóg ma go w swojej opiece — szlochała Oma. — To kochany chłopak. Teraz został mi już tylko on. Będę się nim opiekować najlepiej, jak tylko potrafię.

Ben poszedł na klif i długo siedział pomiędzy suchymi, kruszącymi się skałami, nie wiedząc, co ze sobą począć. Zrozpaczony śmiercią matki, czuł się za nią współodpowiedzialny.

Promienie słońca odbijały się od ochrowych skał, mocno je rozgrzewając, ale Ben na nic nie zwracał uwagi. Skubał bezmyślnie poółkłą trawę, rosnącą w szczelinach pomiędzy skałami.

Nagle spostrzegł węża, który wygrzewał się na słońcu zaledwie kilka jardów od jego stóp w wyjściowych trzewikach.

— Ukaś mnie! — mruknął Ben. — No już, ukaś! Co mi tam! Jej już nie ma. Nie może zaśpiewać i odciągnąć cię ode mnie, a ja nie potrafię. Jestem tylko pół-Aborygenem i nie wiem, jak to robić. Ona wiedziała.

75

PATRICIA SHAW

Lecz wąż go zignorował. Uniósł tylko głowę i popatrzył tak, jakby Ben był powietrzem, a potem popełził po zakurzonej skale i zniknął za krzewem rosnącym na skraju klifu.

Chłopca znowu ogarnęła rozpacz. Całkiem jakby wąż był jego jedynym kompanem, jakby tylko on jeden potrafił zrozumieć, jak Ben okropnie się czuje. Jakie wyrzuty sumienia go gryzą. Coś nie dawało mu spokoju, coś, co sam powiedział. I co wąż na pewno zrozumiał. Wzruszył ramionami. Przecież Diamond była czarna. I o to właśnie chodziło. Czarni znają przyrodę. Dużo lepiej niż biali.

Czarnuch!

To słowo uderzyło go całkiem niespodziewanie i przypomniało tamtą straszną noc, kiedy Diamond umierała, a ten przeklęty lekarz nie chciał przyjść jej z pomocą. Nie leczy czarnuchów! Nagle dotarła do niego cała potworność tej zbrodni. Doktor Thurlwell mógł ocalić jego matkę. To on jest winien, nie Ben! Czyż doktor McNab nie przeproszał, że przyjechał tak późno, że nie był w stanie przybyć wcześniej? A to przecież musiało oznaczać, że gdyby wcześniej udzielił jej pomocy, Diamond by przeżyła. Ben załkał. Powinien był zmusić doktora Thurlwella! Ale przecież zrobił wszystko, co mógł. Wciąż pamięta, jak służący, trzymając go za kołnierz, wyprowadził go z lśniącego salonu, a potem z domu. Jak psa...

Powlókł się ciężko do domu. Mantrella już nie było. Ben chciał mu wszystko opowiedzieć, lecz jego już nie było. W kuchni siedziała tylko Oma. Ben czuł, jak wzbiera w nim gniew. Omie nie mógł powiedzieć, przecież i bez tego była wystarczająco załamana, postanowił więc powiedzieć samemu Thurlwellowi. Że mama nie żyje. Że to właśnie on, doktor Thurlwell, doprowadził do jej śmierci.

Zdeterminowany, wybiegł za bramę, minął ogrodzenie i wszedł na podjazd. Po drodze podniósł z ziemi kamień, dobry ciężki kamień, po czym cisnął nim prosto w okno. Brzęk tłuczonego szkła sprawił mu ogromną satysfakcję, wykrzykując więc obelgi pod adresem doktora, chwycił następny kamień i rzucił nim w następne okno. Czuł się coraz lepiej, zbierał kamienie i ubliżając doktorowi, bezbłędnie celował. Zbił wszystkie szyby wokół drzwi wejściowych, a potem pobiegł do tyłu i zaczął tłuc szyby w innych oknach, przynajmniej w taki sposób biorąc odwet na podłym doktorze.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Pokojówki wybiegły na dwór i stanęły przerażone, wpatrując się w obraz zniszczenia. Ogrodnicy złapali Bena i wyrwali z rąk ostatnie kamienie.

— Co ty wyprawiasz? Oszalałeś?

76

OGNIE FORTUNY

— Niech ktoś wezwie policję!

— Zabił moją mamę! — wykrzykiwał Ben, kiedy wlekli go do komórki, w której związali go i zostawili samego aż do przyjazdu policji. Nawet nie zobaczył doktora ani nikogo z jego rodziny. Przyjechała policja i zabrała go do aresztu.

William Thurlwell był wstrząśnięty ogromem zniszczeń, jego żona aż posiniała ze wściekłości.

Zanim wrócili do domu, służący zdążyli pozamiatać szkło, lecz z potłuczonymi szybami we wszystkich frontowych oknach dom wyglądał okropnie, niczym stara wałaca się rudera, opuszczona i zaniedbana od wielu lat. Lalla Thurlwell wyskoczyła z powozu i wrzasnęła na Berta:

— Kto to zrobił?

— Ten chłopak od sąsiadów, proszę pani.

— Ty idioto! — rozdarła się. — Ty przeklęty durniu! Dlaczego go nie powstrzymałeś? Bert skulił się.

— Przepraszam, psze pani, ale nie było mnie w domu. Miałem dzisiaj wychodne.

— A gdzie byli pozostali? Czy ja już nie mogę na chwilę się odwrócić, żeby czegoś nie zdemolowano?

— Pokojówki były z tyłu domu. Nie wiedziały, co się dzieje, skąd dobiega hałas. Dopiero ogrodnicy złapali tego chłopaka i zamknęli w komórce.

— Gdzie on jest? Obedrę go żywcem ze skóry!

— Zabrała go policja. Zawsze mówiłem, że z niego nic dobrego nie wyrośnie.

Phoebe, która wróciła do domu razem z rodzicami, chodziła po werandzie i oglądała dzieło Bena.

— O rany! — szeptała z podziwem. Czubkiem skórzanego trzewika popchnęła kawałek szyby, żeby choć w taki sposób zmanifestować poparcie dla działań sąsiada. Rozległ się brzęk.

— W tej chwili przestań! — wrzasnęła Lalla Thurlwell, po czym skierowała swój gniew na męża. — Nie stój tak! Zrób coś!

— A co mogę zrobić? Wygląda na to, że sprawą zajęła się policja.

— Tak? Ciekawe, czy policja zechce nam zapłacić za te wszystkie zniszczenia? Tyle razy ci mówiłam, żebyś pozbył się stąd tej hołoty, a teraz zobacz! Ale zapłacą nam za to, zapłacą za wszystko. Co do pensa.

77

PATRICIA SHAW

— Sporo to będzie kosztować — zauważył doktor. — Takie wielkie okna są warte majątek. Nie wydaje mi się, żeby te kobiety mogły sobie pozwolić na zapłacenie tak wysokiego rachunku. Tak czy owak wszystko i tak spadnie na mnie.

— Teraz jest już tylko jedna kobieta — odezwała się Phoebe. — Ta czarna pani umarła. Została tylko pani Beckman, jej matka.

— Nie opowiadaj bzdur! — warknęła Lalla. — Ta Niemka nie jest jej matką, to niemożliwe. Czarna była jej służącą. — Zwróciła się do Williama. — Zażądaj zapłaty od Niemki, a jeśli nie będzie w stanie zapłacić, tym lepiej dla nas. Zajmiemy jej dom i zaproponujemy, żeby go nam sprzedała. Wtedy będzie miała pieniądze na odszkodowanie. Odpowiada za tego chłopaka, więc musi zapłacić. — Lalla spojrzała w stronę domu Omy Beckman. — Ta kobieta jest właścicielką sporego kawałka ziemi. Jeżeli go przejmemy, będziemy mieli piękny ogród i dopiero wtedy nasz dom będzie widoczny w całej okazałości.

William nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z sąsiadką, wysłał więc do niej Bertę, wcześniej udzieliwszy mu szczegółowych instrukcji.

Gussie Beckman siedziała w pokoju, przeglądając zawartość pudełka z pamiątkami po swojej ukochanej Diamond. Fotografia Diamond z niemowłkiem, świecidełka, suszone kwiaty, program jakiegoś koncertu, jej ulubiona chusta... Sięgnęła do szuflady nocnej szafki i wyjęła wycinek z gazety. Trzymała go od paru tygodni, czekając, aż Diamond wyzdrowieje, by jej go pokazać i spytać, czy ma go zachować. Artykuł opisywał w samych superlatywach niejakiego Bena Buchanana oraz jego małżonkę Clare, którzy przyjechali do Brisbane ze swej ogromnej farmy na zachodzie. Zatrzymali się w pięknej posiadłości powszechnie znanych w Brisbane doktorostwa Thurlwell z Kangaroo Point.

Gussie była ogromnie zaskoczona i jeszcze bardziej zaintrygowana, wiedziała bowiem, że Buchanan jest ojcem małego Bena. Nigdy go nie widziała, lecz często czytywała o nim w rubrykach towarzyskich gazet.

— Kiedyś powinnaś powiedzieć Benowi, kto jest jego ojcem — mówiła czasami.

— Tak, ale jeszcze nie teraz. Jak będzie starszy — odpowiadała Diamond.

Gussie westchnęła i włożyła wycinek do pudełka. Kiedyś będzie musiała powiedzieć Benowi. Sama. Dopiero wtedy jednak, gdy chłopak będzie w stanie pojąć zawilóści tego świata.

7«

OGNIE FORTUNY

— A co będzie — pytała samą siebie — jeśli wcześniej umrę na serce, tak jak moja ukochana Mutter }

Gussie rozplakała się. Znalazła ogryzek ołówka, zakreśliła w artykule nazwisko Bena Buchanana i po długiej chwili namysłu napisała z boku: „Ojciec Bena Beckmana”. Czuliła, że to za mało, że powinna dodać coś jeszcze, ale nie miała pojęcia co i w końcu, ani trochę nie uspokojona, schowała wycinek na samo dno pudełka.

Ktoś dobijał się do drzwi, mimo że przywiązała do kołatki czarną wstążkę. Przeszła przez korytarz, urażona tym brakiem dobrych manier.

Przed drzwiami stał Bert, służący sąsiadów. Wysłuchiwała, co miał jej do przekazania, nie wierząc w ani jedno słowo, po czym wybiegła z domu. Jak wcześniej właściciele posesji, ona też zamarła w bezruchu, wstrząśnięta obrazem zniszczenia.

— Mój Ben na pewno tego nie zrobił!

— A właśnie że zrobił, psze pani — odparł Bert. — Wszyscy widzieli. Pewnie by podpalił dom, gdyby nie złapali go ogrodnicy. Był jak oszalały, jakby postradał rozum. Z tymi czarnuchami nigdy nie wiadomo, co nowego wymyślą. Państwo mówią, że nie da się ich ucywilizować...

— Proszę natychmiast przestać! — syknęła Gussie. — Chcę rozmawiać z panem Thurlwellem.

— Pan nie życzy sobie pani widzieć. Mówi, że przyśle rachunek za naprawę szkód i że będzie pani musiała za wszystko zapłacić.

— Gdzie jest chłopiec?

— Zabrała go policja. Nie będzie pani już musiała martwić się jego występkami, ale pan powiedział, że odpowiada pani za niego. Musi pani zapłacić.

Gussie była zdruzgotana. Stała nieruchomo, załamując ręce, nie wiedząc, co ma teraz robić. W głowie się jej nie mieściło, że Ben był zdolny do czegoś takiego. Dlaczego zachował się tak bezmyślnie? Być może zrobił to wstrząśnięty śmiercią matki, może po prostu musiał się na kims albo na czymś wyładować. Gussie była świadkiem wielu wybuchów złości, wielu gwałtownych reakcji, lecz ten akt był dla niej czymś absolutnie niezrozumiałym i ani trochę nie pasował do Bena. „Chyba że — rozmyślała — Ben wini doktora Thurlwella za to, że nie przyszedł z pomocą dostatecznie szybko. Co on właściwie wtedy powiedział?” Była tak oszołomiona, że w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć.

— Wyrzucie tę kobietę z mojego domu!

PATRICIA SHAW

W drzwiach frontowych stała pani Thurlwell, wskazując palcem w stronę bramy. Gussie czym prędzej podbiegła do rozgniewanej kobiety.

— Proszę pani! Jeżeli to naprawdę zrobił mój chłopak, natychmiast pokryję wszystkie koszty. Ale błagam, niech państwo każą policji go wypuścić. To dobry chłopiec.

— Czy to ma być pani zdaniem dzieło dobrego chłopca? — Pani Thurlwell rozłożyła ramiona w dramatycznym geście. — Najpierw zepsuł nam przyjęcie, a teraz zrobił coś takiego! Nie zniosę jego obecności w moim sąsiedztwie, słyszy pani? Zostanie stąd wygnany, a jeśli to pani nie odpowiada, może pani iść za nim!

— Był po prostu bardzo zdenerwowany — tłumaczyła Gussie.

— Pochowaliśmy dzisiaj jego matkę. Błagam panią jako chrześcijankę, niech pani nie osądza go aż tak srodze.

— Co się stało?

Obok pani Thurlwell stanął jakiś mężczyzna.

— Och, Ben... — zwróciła się do niego omdlewającym głosem.

— Ja już naprawdę nie mogę tego wszystkiego znieść. Chyba zaraz zemdleję.

Gussie zmrużyła oczy, słysząc nagle zmianę tonu — z aroganckiego i dominującego na coś, co ona zawsze nazywała „oplatającą winoroślą”. Jej niechęć do Lalli Thurlwell jeszcze się wzmogła. A równocześnie zwróciła uwagę na imię Ben i domyśliła się, że to pan Buchanan we własnej osobie. Doszła do wniosku, że także ona powinna zmienić ton.

— Czy mogłabym z panem porozmawiać? — spytała grzecznie.

— Proszę bardzo — zgodziła się Lalla Thurlwell, wachlując twarz koronkową chusteczką. — Zechcesz się tym zająć, Ben? Ani ja, ani doktor nie jesteśmy już w stanie znosić dłużej tych wszystkich afrontów.

To rzekłszy, zniknęła za drzwiami.

Phoebe jak zwykle podsłuchiwała. Biddy nacierała jej uszu, ilekroć ją na tym przyłapała.

— Tylko niegrzeczne pannice podsłuchują dorosłych! — mówiła.

— Nieładnie tak robić, bardzo nieładnie.

Ładnie czy nie, Phoebe niewiele to obchodziło. Przecież w tym domu jedyne naprawdę interesujące rzeczy działy się właśnie wtedy, gdy jej nie było w pobliżu. Na przykład plotki w kuchni. Tata Biddy siedział w więzieniu. Córka kucharki była przy nadziei, chociaż nie miała męża. Tata razem ze stryjem Edgarem kombinowali, w jaki

80

OGNIE FORTUNY

sposób wyciągnąć pieniądze od jakichś ludzi. A na górze pan Buchanan kłócił się ze swoją żoną. Ona chciała, żeby wrócili do swej posiadłości, gdzie jak twierdziła, jest teraz bardzo potrzebna, on zaś bronił się przed tym ze wszystkich sił. Twierdził, że trzymają go w mieście ważne interesy, i krzyczał na żonę, żeby wreszcie dała mu święty spokój.

„Na jej miejscu — rozmyślała Phoebe — spakowałabym się i pojechała bez niego. W końcu farma to coś dużo ciekawszego niż życie w mieście.” Clara jednak nie wyjeżdżała. Być może zorientowała się, że matka Phoebe flirtuje z jej mężem. Musiałaby być ślepa, by nie zauważyć, jak dziecinnie i głupio zachowuje się Lalla Thurlwell, kiedy tylko w zasięgu wzroku pojawi się pan Buchanan. A przecież jest taka stara! Czy może liczyć, że ktoś tak przystojny jak pan Buchanan zwróci na nią uwagę? Phoebe ponad wszystko pragnęła odwiedzić jego farmę, dokąd ich zaprosił. Na razie skoncentrowała się na nauce jazdy konnej, by przygotować się do życia na wsi, a tata obiecał, że za jakiś czas kupi jej konia.

Zmarszczyła brwi, kiedy pani Beckman usiadła na werandzie. Szybko przemknęła do salonu w nadziei, że może uda się jej coś usłyszeć przez wybite okno.

— Proszę mi wybaczyć — odezwała się kobieta — ale muszę chwilę odetchnąć. Bardzo dzisiaj gorąco, a ja w pośpiechu nie założyłam kapelusza.

— Służący odprowadzi panią do domu — odparł Ben Buchanan, nie siadając. Nie wyglądał na zadowolonego, że musi rozmawiać z tą kobietą, i Phoebe wcale mu się nie dziwiła.

Przecież to nie jego sprawa.

— Nie, rtie. Proszę przekazać panu doktorowi Thurlwellowi moje najszczerze wyrazy ubolewania i zapewnić, że zapłacę za wszystkie zniszczenia.

— Dobrze. Obiecuję, że to zrobię. A teraz, jeśli mi pani wybaczy...

— Proszę zaczekać! A co z moim chłopcem? Nie mogą państwo zostawić go w rękach policji. Chcę, żeby wrócił do domu. Przyprawdzą go tutaj i każę przeprosić doktora Thurlwella. Widzi pan, jego matka... 1

— Obawiam się, że w tej sprawie doktor nie będzie mógł pani pomóc. Chłopak został złapany na gorącym uczynku. Taki wandalizm to poważne przestępstwo. Moim zdaniem smarkacz zasłużył na solidną chłostę. I na więzienie. Dobrze mu to robi.

— Na Boga, nie!

6 Ognie fortuny

81

PATRICIA SHAW

— Droga pani... — Ben Buchanan zaczynał tracić cierpliwość. — Na pani miejscu poszedłbym do domu i odpoczął. Sprawa jest teraz w rękach sądu.

— Jest pan wpływowym człowiekiem. Gdyby się pan za nim wstawił, na pewno by pana wysłuchano.

Buchanan nie krył zdumienia.

— Dobry Boże! A w imię czego miałbym to zrobić? Coś takiego absolutnie nie wchodzi w rachubę.

Oma Beckman zebrała się w sobie, wyprostowała ramiona i wypięła pierś, niczym karłowata kura.

— Pan nazywa się Ben Buchanan, prawda? I mieszkał pan na farmie Caravale?
— Rzeczywiście, byłem jej właścicielem.
— I szukał pan złota nad rzeką Palmer, czyż nie?
— Skąd pani o tym wie? — spytał zaskoczony.
— Od Diamond. Pamięta pan Diamond? Zaczerwienił się i cofnął o krok, jakby go ktoś uderzył.
— Nie mam pojęcia, o czym pani mówi! Myślę, że na panią już czas!
Jednakże ona nie ustępowała.
— Diamond opiekowała się panem, pielęgnowała pana w czasie choroby.
— Nie znam nikogo o tym imieniu — odparł gniewnie, lecz cicho, jakby ukradkowo.
— Proszę pana, nie przyszedł tu po to, by sprawiać panu jakiegokolwiek problemy. Ale chłopiec, Ben, potrzebuje pańskiej pomocy. To syn Diamond. I pana.
— Jak pani śmie przychodzić tu i opowiadać takie kłamstwa! — warknął. — Dobrze pani radzę, niech się pani stąd wynosi, bo i panią zabierze policja.
— O nie, tego pan nie robi — odrzekła cicho. — Nigdy więcej o nic pana nie poproszę, jeżeli tylko pójdzie pan na policję i wstawi się za nim. Nie musi pan przecież mówić dlaczego.
— Pani próbuje mnie szantażować! — Zdawało się, że na nią krzyczy, był to jednak tylko szept. — Niech się pani stąd wynosi! Natychmiast! Nie życzę sobie mieć z panią więcej do czynienia. Ani z tą drugą kobietą, którą nazywa pani Diamond.
Pani Beckman wstała.
— Dzisiaj rano pochowaliśmy Diamond. Była porządną kobietą i zasługiwała na kogoś lepszego niż pan.

82

OGNIE FORTUNY

Ben Buchanan odwrócił się i odszedł, a po chwili Phoebe usłyszała, jak woła Berta. Nic z tego wszystkiego nie rozumiała. O co właściwie chodzi? I co to jest szantaż? Zabrzmiało to w każdym razie bardzo groźnie. Biedna staruszka tak bardzo się zdenerwowała, że całkiem straciła panowanie nad sobą i zaczęła opowiadać jakieś niestworzone rzeczy. To niemożliwe, żeby pan Buchanan był ojcem Bena, przecież mieszka tak daleko od Brisbane. Ale zachował się bardzo nieładnie, traktując ją w taki sposób. Sympatia Phoebe do gościa szybko stopniała. Była wstrząśnięta, że nie obchodzi go, że Ben siedzi w więzieniu, a jego mama nie żyje. Okropne!

Ben Buchanan poszedł na policję, i to tak szybko, jak tylko zdołał. W rozmowie ze starszym sierżantem, którą przeprowadził w imieniu państwa Thurlwell, poinformował, że Ben Beckman — wymawiając to imię o mało się nie udławił — chłopak oskarżony o wandalizm, jest dziki i nieokiełznany. Istny diabeł, który nawet przed śmiercią matki często sprawiał poważne kłopoty, tak więc ta wymówka nie ma sensu. Smarkacz powinien poczuć na własnej skórze potęgę prawa.

Chociaż pani Beckman zapłaciła za wszystkie szkody, a Bena reprezentował w sądzie Joseph Mantrell, chłopak dostał wysoki wyrok: osiemnaście miesięcy ciężkich robót.

— Nie mogą tego zrobić! — łkała Gussie. — Jest niepełnoletni.

— Już nie — wyjaśnił Joseph. — Ma piętnaście lat. Spytałi go o wiek, a on powiedział prawdę. Skończył piętnaście lat kilka dni po śmierci matki.

— Więc pójdzie do więzienia? O mój Boże! Czy mogę się z nim zobaczyć? Był taki dzielny.

— Przykro mi, pani Beckman, ale to niemożliwe. Zabrali go do obozu pracy. Nie ma tam niestety odwiedzin. Może pani do niego pisać, sądzę też, że przekażą mu paczki.

Ben nigdy nawet nie zobaczył ani listów, ani paczek, które tak starannie pakowała. Harował w rozgrzanych do białości kamieniołomach, ona zaś mieszkała samotnie w Brisbane,

zdecydowanie odmawiając sprzedaży domu nie dającym za wygraną sąsiadom. Ten dom należał do Bena i zamierzała go dla niego zatrzymać.

— Jak to miło ze strony Clary, że zabrała Phoebe na przejażdżkę — zwróciła się Lalla do Bena Buchanana. — Jestem jej bardzo wdzięczna. Phoebe twierdzi, że Clara jest wyśmienitym jeźdźcem.

83

PATRICIA SHAW

— To prawda — zgodził się Ben. — Nadaje się na nauczycielkę Phoebe.

— Cudownie. Osobiście nigdy zbyt dużo nie jeździłam, wydaje mi się, że to... takie mało kobiece, chociaż wiem skądinąd, że mężczyźni lubią kobiety z... mocnym dosiadem. — Uśmiechnęła się filuternie i obróciła na pięcie, celowo szeleszcząc turniurą szarej jedwabnej sukni.

Ben roześmiał się, szczerze rozbawiony tym double entendre.

— Rzeczywiście, lubią. Nawet bardzo. Problem w tym, że odkąd zapanowała moda na turniury, trudno mówić o sprawiedliwej ocenie.

— Nie lubisz turniur?

— Nie mogę powiedzieć, że nie lubię. Są bardzo atrakcyjne i świetnie podkreślają takie piękne wąskie talie jak twoja, ale za czasów młodości mojej matki linie były nieco łagodniejsze. Często skarżyła się, czy może raczej udawała, że się skarży, że mężczyźni ukradkiem poklepują ją po pupie. Teraz byłoby to raczej niemożliwe, nieprawdaż?

— Być może turniurę wymyślono jako ochronę. Osobiście nie życzyłabym sobie, żeby poklepywał mnie pierwszy lepszy mężczyzna.

— W takim razie módl się, żeby turniurą nie wyszła z mody.

— Dlaczego? Sądysz, że byłabym zagrożona?

— Z całą pewnością tak. Miło się nam gawędzi, ale niestety będę musiał cię przeprosić. Wybieram się do miasta. Muszę mieć jakieś stałe lokum, kiedy będę odwiedzał Brisbane, wynająłem więc pokoje przy George Street i chciałbym się im dzisiaj przyjrzeć.

Przypuszczam, że konieczne będą pewne przeróbki.

— Czy pokoje są umeblowane?

— Tak, choć nie w moim guście. Chcę tam parę rzeczy pozmieniać.

— Chyba mogłaby ci w tym pomóc Clara?

— Ona raczej nie będzie tam przebywać. Ktoś powinien być na farmie, a Clara czuje się tam znacznie szczęśliwsza. Dla niej prawdziwe życie to życie na wsi.

— Ale to taka delikatna, nieśmiała osoba. Czy na pewno poradzi sobie bez ciebie?

Ben uśmiechnął się.

— Clara jest nieśmiała tylko w towarzystwie. Na farmie, mimo że mamy zarządcę, sama wszystkiego dogląda. Nie zapominaj, że wychowała się na farmie Tarraburra. To ogromna posiadłość. Za czasów jej ojca hodowali tam sześćdziesiąt tysięcy sztuk bydła.

— Czy dlatego się z nią ożeniłeś?

84

OGNIE FORTUNY

Ben nie dał się sprowokować.

— Ja też pochodzę ze wsi. Nie zabrałbym do buszu kobiety z miasta.

— Ależ oczywiście. To bardzo rozsądne z twojej strony. — Wzięła z półmiska jujubę i wsunęła ją do ust. — Poczęstuj się. Są wyśmienite.

— Nie teraz, dziękuję. — Chwycił kapelusz. — Na mnie już czas. Popłynę promem.

— Nie bądź taki niezależny. Każę Bertowi posłać po gig. Ale czy ty na pewno wiesz, na co się porywasz? Nigdy nie słyszałam, żeby dżentelmen zajmował się urządzaniem pokoi.

Dobrze wiedział, do czego Lalla zmierza, udawał jednak nieświadomego. Chciał, żeby to ona wykonywała najważniejsze ruchy. Musiał ją od siebie uzależnić, ponieważ bardzo

potrzebował jej pomocy, ta rozmowa zaś mogła okazać się decydująca. Gdyby po prostu zaprosił ją do siebie, uznałaby go za łatwy łup i szybko porzuciła.

— Poradzę sobie — odparł. — Muszę tylko pozbyć się paru zasłon, draperii czy jak je tam zwał, i kupić kilka dywanów, ot co.

— A lampy i całe oświetlenie? A miliony innych drobiazgów? Muszą pasować do wystroju.

— Na Boga! To zaledwie cztery pokoje! Nie potrzebuję żadnego wystroju. Muszę tylko kupić parę rzeczy, żeby czuć się tam dobrze.

— Absolutnie się z tobą nie zgadzam. Jako parlamentarzysta, którym z pewnością zostaniesz, i to już wkrótce, musisz mieć odpowiednie mieszkanie. Przecież będziesz przyjmować gości, a nie można zapraszać ważnych osobistości do byle jakiego mieszkania.

— Wcale nie będzie byle jakie! Jestem przekonany, że sobie poradzę.

— Nonsens! Zaczekaj chwilę. Pojadę z tobą. Ben sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

— Jesteś pewna, że William nie będzie miał nic przeciwko temu?

— Och, William! Oczywiście, że nie. Przecież wie, że uwielbiam przemeblowywać i urządzać.

— A ja? — nie ustępował. — Wcale nie jestem pewien, czy chcę, żeby moje pokoje zostały upiękzone.

— Przestań już! Zostaw to mnie. Musisz mieszkać i elegancko, i wygodnie.

85

PATRICIA SHAW

Czekając na nią, Ben uśmiechał się. Elegancko i wygodnie. I z dala od wścibskich. To ostatnie miał zapewnione. W jego nowym lokum znajdowało się tylne wejście, bardzo odpowiednie dla damy, która zapragnęłaby złożyć mu wizytę, nie zwracając niczyjej uwagi.

— No, no! Niczego sobie! — chwaliła Lalla, przemierzając hol prowadzący do salonu. — Porządne wysokie sufity, ściany w świetnym stanie...

— Tak. Budynek ma zaledwie kilka lat.

— To jest jadalnia, tak? Trochę za mała, Ben, pomieści najwyżej osiem osób. A gdzie jest kuchnia?

— Nie potrzebuję kuchni. Musiałbym zatrudnić służbę. Na co dzień i tak będę jadał poza domem, a dozorca powiedział, że jeśli chcę, mogę zamawiać posiłki. Z drugiego pokoju, tego, w którym będzie gabinet, jest wyjście na tylną klatkę schodową.

— Wymarzone mieszkanie dla kawalera — uśmiechnęła się. — Poprawki jednak są konieczne. Miałaś rację, przede wszystkim trzeba zlikwidować bure zasłony i dywan, jest okropnie zniszczony. Musisz też pozbyć się z salonu tych mebli. Jak dla mężczyzny są stanowczo za dużo afektowane.

Nalegała, żeby notował jej uwagi, zaproponowała, że pożyczycy mu obrazy i przywiezie swoje służące, aby zmierzyły i uszyły nowe zasłony. W końcu dotarli do sypialni.

Stał w niej mahoniowy komplet: podwójne łóżce, szafa na ubrania i komoda.

— O Boże, ależ jestem zmęczona — westchnęła, siadając na brzegu łóżka. — Do tego pokoju nikt nie będzie zaglądał, na razie możemy więc zostawić tu wszystko, tak jak jest. Najpierw trzeba się zająć pokojami, w których będziesz przyjmował gości. Jesteś dla mnie taki miły. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko tym wszystkim zmianom?

— Ależ skąd. Jestem ci bardzo wdzięczny.

— Mógłbyś to jakoś okazać. Przez ostatnie pół godziny sprawiałeś wrażenie okropnie znudzonego.

— Nie jestem znudzony. Jest mi po prostu głupio, że mam pusty barek i nie mogę cię niczym poczęstować. Następnym razem będę lepiej przygotowany.

— Następnym razem będą ze mną służące.

— W takim razie jeszcze następnym.

OGNIE FORTUNY

Lalla zdjęła kapelusz i przyglądała włosy, po czym wstała i podeszła ku niemu.

— A będą następne, Ben? — Jej usta znalazły się niebezpiecznie blisko jego.

— Nie śmiem na to liczyć — wyszeptał, lecz zamknęła mu usta pocałunkiem, uniemożliwiając jakiegokolwiek udawane protesty.

Kochali się na jego nowym sprężystym łóżku. Ben zachwycony był jej namiętnością, którą nadrabiała brak doświadczenia. „Na pewno jest odważna — rozmyślał — i bardziej interesująca od Clary, ale jako kochanka wiele musi się jeszcze nauczyć.” Postanowił zostać jej nauczycielem. Nie wątpił, że będzie to zadanie niezwykle ekscytujące, a na dodatek w ten sposób uda mu się przywiązać ją do siebie bardziej niż w jakikolwiek inny sposób.

Pojękiwała namiętnie, kiedy całował jej małe piersi, biorąc ją delikatnie, czule, dając jej to, czego nie potrafił dać William, mrucząc do ucha, że jest piękna, że ma cudowne gładkie ciało, zdumiony, że przez cały czas myśli o Diamond.

Diamond była z nich wszystkich najlepsza. Od tamtego romansu na północy nie spotkał kobiety, która by potrafiła kochać się tak jak Diamond, która tak jak ona kochałaby go i umiała zadowolić.

Lecz Diamond umarła. A jego to nic nie obchodziło. Była tylko historią, wspomnieniem. Ta stara Niemka przypomniała mu dawne czasy. Pamiętał, że Diamond opowiadała mu o jakichś Niemcach, którzy adoptowali ją, kiedy była dzieckiem, wówczas jednak nie zwrócił na to uwagi, bo go to nie interesowało. A teraz okazało się, że ma z nią syna! O imieniu Ben!

Chociaż oskarżył Niemkę o kłamstwo, wiedział, że Diamond na pewno by nie skłamała, bo chociaż czarna, była prostolinijna. Nie umiała kłamać. Jezu! Dzieciak. I do tego mieszaniec. Ten, który wdarł się do salonu Thurlwellów, domagając się, by doktor poszedł ratować jego matkę. Co by właściwie wtedy zrobił, gdyby wiedział, że to jego syn?

Nic. Absolutnie nic. Wielu mężczyzn na zachodzie ma nieślubne dzieci, aczkolwiek żaden się do nich nie przyznaje. Ben nie mógł jednak zaprzeczyć, że mały okazał się godnym potomkiem. Syn Diamond! Ona nikogo się nie bała. Dziwne tylko, że smarkacz nie nosi noża, jak jego matka.

— Uśmiechasz się, najdroższy — odezwała się Lalla, tuląc do niego. — Jesteś szczęśliwy?

— Tak — mruknął. — Jesteś cudowna.

PATRICIA SHAW

— Nie musimy jeszcze wracać — wyszeptała, leżąc pod nim bezwładnie.

— Dobrze.

Tym razem zapomniał o delikatności, wszedł w nią brutalnie, starając się wskrzesić prawdziwą pasję. Nie zważał na to, że ciche pojękiwania Lalli przeszły w pełne przerażenia posapywanie.

Z Clarą nie miał dzieci. Ona nigdy nie narzekała, choć nie porzuciła nadziei, on natomiast czuł się upokorzony i zadawał sobie pytanie, czy to nie jego wina. Teraz już znał odpowiedź. Przecież ma dziecko. Być może nawet więcej, ale jak dotąd żadna czarnoskóra ani prostytutka nie ośmieliły się oskarżyć go o ojcostwo. Tylko ta Niemka się na to odważyła. A, niech idzie do diabła, a bachor razem z nią. Skoro Diamond zaszła w ciążę, to już jej prywatny problem. Za to on przynajmniej może być pewny, że nie jest bezpłodny, i jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, potrafi udowodnić Clarze, że to jej wina. Wprawdzie nie miał na razie takiego zamiaru, ale zawsze dobrze o czymś takim wiedzieć.

— Przepraszam—rzekł, zdając sobie sprawę, że potraktował Lallę niedelikatnie.

— Kochany, naprawdę nie ma za co. Chyba że się nagle rozmyśliłeś?

— Ależ skąd.

— No to uciekaj. Zostaw mnie na chwilę samą. Chcę się ubrać. Jej ton poirytował go, choć bynajmniej nie zdziwił. Przywykła rządzić i robić to, na co ma ochotę, a on nie zamierzał pozbawiać jej tej iluzji, dopóki nie kolidowało to z jego planami.

W drodze powrotnej stała się znowu bardzo rzeczowa.

— Jeśli chodzi o twoje kandydowanie z Padlow, chcę cię zapewnić, że możesz liczyć na wsparcie Edgara.

— Doceniam to, aczkolwiek myślałem raczej o Radzie Legislacyjnej. Łatwiej byłoby zaakceptować nominację do Izby Wyższej, niż stanąć do wyborów do Zgromadzenia Legislacyjnego.

— To nie ma sensu. Żeby dostać się do Izby Wyższej, musiałbyś czekać na czyjąś śmierć. Oni wszyscy dosłownie przyrastają do stołków. A poza tym to tylko żywe pieczętki. Prawdziwą władzę ma Izba Niższa.

— Tylko że premier to zagorzały federalista. A w opozycji nie bardzo widzę dla siebie miejsce.

— Nie bądźże takim pesymistą. Nie doceniasz siebie ani swoich przyjaciół. Być może premier Griffiths ma teraz swoje pięć minut, ale

88

OGNIE FORTUNY

to tylko początek, bo ludzie dopiero się budzą i zaczyna do nich docierać, co naprawdę oznaczałaby federalizacja.

— Nie wiem, dlaczego jesteś jej tak bardzo przeciwna. Przecież w sprawie kolei na pewno dałoby się coś zrobić.

— Tak sądzisz? A gdzie zostanie ulokowany cały kapitał federacji? Oczywiście w Sydney. Nie muszę ci przypominać, że na ostatniej konwencji federaliści dawali jasno do zrozumienia, że zamierzają zagarnąć koleje, imigrację, obronę, podatki, dosłownie wszystko. Dziwię się, że w ogóle bierzesz pod uwagę możliwość sprzedania im Queensland.

Ben nie mógł przyznać, że niewiele się nad tym zastanawiał, poza tym że początkowo pomysł wydawał mu się godny uwagi. Aż do chwili gdy się okazało, że przeciwstawia mu się cały wielki kapitał.

— Staram się być adwokatem diabła — odparł spokojnie. — Uważam, że należy brać pod uwagę każdy punkt widzenia.

— W takim razie powinieneś posłuchać nowozelandzkich farmerów. W ogóle nie chcą mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Nie biorą nawet udziału w konwencjach. — Dotknęła jego dłoni. — Nie wolno ci przepuścić tej okazji. Edgar potrafi być bardzo szczodry.

— Co masz na myśli? — W jego głosie zabrzmiała nuta znużenia.

— Jest gotów przepisać na ciebie pięć tysięcy udziałów w kompanii kolejowej.

— To rzeczywiście bardzo ładnie z jego strony. Nie wątpię, że za kilka lat przyniesie mi to duże zyski, przede wszystkim jednak muszę znaleźć sposób na powetowanie sobie strat spowodowanych długą nieobecnością na farmie.

— Edgar w pełni zdaje sobie z tego sprawę, a ja sędzę, że mogę się postarać, by zaproponowano ci stanowisko w zarządzie Południowej Korporacji Węglowej. Czy byłbyś tym zainteresowany?

Co takiego?! Ben był oszołomiony. Członkostwo w zarządzie jednej z najbardziej prestiżowych korporacji! Góry pieniędzy. Ukrył euforię, pytając, czy Edgar też jest w zarządzie.

— Nie, ale są w nim jego przyjaciele. Więc jak, interesuje cię to?

— To dla mnie prawdziwy zaszczyt, byłbym bardzo zobowiązany. Dzięki takiej posadzie łatwiej by mi było ubiegać się o miejsce w Izbie Niższej jako reprezentantowi i farmerów, i właścicieli kopalń.

— O tym samym pomyślał Edgar — stwierdziła z zadowoleniem. — Czy w takim razie mam mu przekazać, że będziesz kandydować?

— Oczywiście — uśmiechnął się. — A jeśli jeszcze zgodzisz się zostać szefową mojej kampanii, to na pewno nie przegram.

89

PATRICIA SHAW

W dzień Bożego Narodzenia Phoebe obudziła się o piątej rano, kiedy tylko pierwsze promienie słońca zaświeciły jej w okno. Zamiast zamknąć oczy i jeszcze trochę pospać, zerwała się na równe nogi, by przejrzeć swe skarby.

Święty Mikołaj nie przychodził do niej już od wielu lat — matka twierdziła, że to dobre dla małych dzieci — dlatego też wyznaczyła sobie jego rolę i przygotowała prezenty dla wszystkich domowników.

Poprzedniego dnia ojciec po wielu namowach dał jej portmonetkę pełną pieniędzy i pozwolił samej popłynąć promem do miasta, żeby mogła kupić prezenty. To była naprawdę wyborna zabawa. Po ulicach chodziły tłumy radosnych ludzi, życzących sobie wzajemnie wesołych świąt. Na rogu Queen Street kolednicy przebrani za anioły śpiewali znajome pieśni, powiewając w powietrzu skrzydłami z papieru, podczas gdy szcudrzy przechodnie wrzucali monety do stojącego u ich nóg kosza. Phoebe też wrzuciła trochę drobnych, żeby poczuć się pełnoprawną uczestniczką uroczystości.

Przeszła przez całą Queen Street, by nie przeoczyć żadnego wesoło udekorowanego sklepu, a potem zawróciła i wstąpiła do kawiarenki, gdzie pochłonęła dwie porcje lodów truskawkowych. Później z wydatną pomocą sprzedawczyń rozpoczęła świąteczne zakupy, starannie wybierając prezenty. Nie zapomniała również o wstążkach i kolorowym celofanie, w który zamierzała to wszystko zapakować.

Teraz ogromnie podekscytowana dotykała każdą paczuszkę, wypowiadając imię obdarowanego, by się upewnić, że o nikim nie zapomniała.

Były tam skarpetki dla ojca, perfumy dla matki; długo się zastanawiała, zanim podjęła ostateczną decyzję, wydawało się bowiem, że mama ma wszystko, ale pani w sklepie zapewniła ją, że kobiety zawsze cieszą się z perfum, a te, o nazwie Deep Violets, są podobno bardzo popularne. Nic dziwnego, pomyślała Phoebe, kosztowały całe dwa szylingi i dwa pensy i były najdroższe ze wszystkich zakupów. Kupiła też czekoladki dla Biddy — Biddy uwielbiała czekoladki — oraz chusteczki dla Cook, białe pończochy dla pomywaczki, tabakę dla ogrodników i dużą męską chustkę dla Berta. Szczerze nienawidziła tego służącego, doszła jednak do wniosku, że byłoby nieładnie go pominąć. Dziękowała Bogu, że mama nie wynajęła dodatkowych kelnerek na świąteczną kolację, bo wtedy chyba nie starczyłoby jej pieniędzy.

Bert ustawił w holu duże drzewko, które Biddy i Phoebe pięknie udekorowały. Tajemnicze prezenty leżały pod choinką i miały zostać

90

OGNIE FORTUNY

stamtąd wyjęte dopiero po świątecznej wieczery, ale Phoebe, nie mogąc doczekać się tej chwili, postanowiła rozdać swoje już teraz, żeby każdego domownika jak najszybciej spotkało coś miłego.

Ponieważ służba zjawiała się bardzo wcześnie, Phoebe zbiegła na dół i poukładała kolorowe pakuneczki, także ten dla Berta, na prostym kuchennym stole, a następnie popędziła na dwór i zawiesiła podarki na drzwiach ogrodowej szopy. Na żadnym z prezentów nie było karteczki i gdyby ktoś próbował odgadnąć, skąd pochodzą, zamierzała powiedzieć, że na pewno przyniósł je Święty Mikołaj.

Prezent dla taty bez przeszkód położyła przed drzwiami jego sypialni, za to z mamą nie miała tyle szczęścia.

— Co tu robisz o tej porze?
— Och... nic — uśmiechnęła się Phoebe.
— No to wracaj do swojego pokoju i jeszcze trochę pośpij. Szykuje się gorący dzień.
— Święty Mikołaj zostawił ci chyba jakiś prezent. — Phoebe wskazała barwną paczuszkę na kłamce.
— Wielkie nieba! Rzeczywiście — odparła Lalla, po czym wzięła paczkę i poszła do łazienki.
— Wesołych świąt, mamó! — zawołała za nią Phoebe.
— Tak. Nawzajem — odrzekła Lalla półprzymtomnie otwierając prezent. — Och! Perfumy! Phoebe poszła za nią i patrzyła, jak mama odkręca buteleczkę i wącha jej zawartość.
— Dobry Boże — wzdrygnęła się. — Ty to kupiłaś? Phoebe skinęła głową.
— Uważaj, bierze się tylko małą kropelkę. Pani w sklepie powiedziała, że są bardzo mocne.
— Kogo ty pouczasz? — Lalla zakręciła flakonik i wręczyła go córce. — Życzyłabym sobie, żebyś nie wyrzucała pieniędzy na takie byle co. Daj którejś służącej. A najpierw idź i powąchaj sobie moje francuskie perfumy, a sama się przekonasz, na czym polega różnica. Takie rzeczy po prostu należy wiedzieć.
— Przepraszam — wymamrotała Phoebe.

Pobiegła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko, a po jej twarzy popłynęły łzy zawodu. Ścisnęła flakonik z perfumami, z którego dobywał się delikatny zapach. To były wspaniałe, cudowne perfumy, tylko matka starała się ją pognać. Phoebe żałowała teraz, że w ogóle cokolwiek jej kupiła. Tylko zmarnowała pieniądze. Postanowiła, że nie

91

PATRICIA SHAW

da perfum żadnej ze służących, tylko komuś naprawdę wyjątkowemu. Ale komu? Trochę to potrwało, lecz w końcu podjęła ostateczną decyzję. Tej starszej pani z sąsiedztwa, pani Beckman. Widywała ją czasami, choć nigdy nie rozmawiały. Musiała czuć się okropnie samotna, odkąd Ben poszedł do więzienia. Upłynął już ponad rok od dnia, kiedy powybiłszy szyby. Tak, zanieś jej perfumy jeszcze dzisiaj, zaraz po świątecznej wieczerzy. Tata dał jej perłową broszkę, stryj Edgar przysłał raketę tenisową oraz dwie bransoletki, złotą i srebrną. Phoebe nie posiadała się z radości. Prezent od matki zostawiła na sam koniec, rozpakowała go, dopiero kiedy obejrzała koronkowe rękawiczki, podarek od służących, i mały złoty zegarek od pani Foster, która najwyraźniej ją polubiła. Powoli otworzyła pudełko i przeczytała karteczkę: „Wesołych świąt życzy matka”. W środku znajdował się przepiękny słomkowy kapelusz w kolorze miedzi, ozdobiony maleńkimi pączkami żółtych róż i konwaliami. Phoebe była zachwycona, ale zebrała całą siłę woli i odłożyła kapelusz do pudełka.
— Kochanie, spójrz tylko, jaki wspaniały! — zachęcał ją ojciec. — Przymierz go.
— Nie.
— No już. Zobaczymy, jak będziesz w nim wyglądać — nalegał. Posłała matce lodowate spojrzenie.
— Nie. Nie podoba mi się.
— Trzeba ci wiedzieć, moja droga — odezwała się Lalla — że to bardzo kosztowny kapelusz. Kupiłam go w Chic Boutique.
Twarz Phoebe była jak z kamienia.
— Nie szkodzi, nie zmarnuje się. Nawet jeżeli ja nie będę go nosić, na pewno dam którejś służącej.
Kiedy tego popołudnia przyjmowali goście, Phoebe wymknęła się z domu.
— Panienko Phoebe! — wykrzyknęła staruszka. — Cóż za miła niespodzianka. Proszę wejść.
— Och, nie — wyjąkała Phoebe, ściskając flakonik perfum, który wcześniej na nowo zapakowała. — Przysłałam tylko życzyć pani wesołych świąt.

Wyciągnęła rękę do pani Beckman, pełna obaw, że się ośmieszy.

92

OGNIE FORTUNY

— To dla mnie? Dziękuję ci bardzo...

— Po prostu pomyślałam — wyjąkała Phoebe — że teraz, kiedy pani wnuk... — Zarumieniła się, nie potrafiąc wydusić z siebie tego słowa, choć przecież wszyscy wiedzieli, że Ben jest w więzieniu. — Że pewnie czuje się pani samotna...

— Co za kochane dziecko. Proszę, wejdz. Musisz zjeść kawałek ciasta.

Zanim Phoebe zdążyła zaprotestować, została wprowadzona do maleńkiego salonu, gdzie stanęła twarzą w twarz z przystojnym młodzieńcem, który na jej widok zerwał się z krzesła, rozlewając przy tym herbatę.

Phoebe cieszyła się z tego zamieszania, gdyż dzięki niemu udało się jej ukryć zaskoczenie. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że pani Beckman może mieć gościa, którym w dodatku był przystojny młodzieniec o piaskowych włosach i wesołym uśmiechu. Nazywał się Barnaby Glasson.

— Dwoje miłych młodych ludzi! — Pani Beckman uśmiechała się, otwierając prezent od Phoebe. — Najpierw czekoladki od Barnaby'ego, a teraz... och, cóż za wspaniałe perfumy! Phoebe z wielką ulgą stwierdziła, że zachwyty starszej kobiety jest jak najbardziej szczery. Taką przynajmniej miała nadzieję, czuła bowiem wyrzuty sumienia, że pomyślała o niej tak późno. I do tego na złość matce.

— Deep Violets! — entuzjazmowała się pani Beckman. — Przecież to teraz szczyt mody! Zachowam je na wyjątkowe okazje.

Kiedy w końcu usiedli, by zjeść ciasto i wypić herbatę, pani Beckman wyjaśniła obecność Barnaby'ego.

— Uczy się na adwokata — tłumaczyła. — Iz pewnością będzie w tym fachu bardzo dobry. Próbuje pomóc Benowi. Wiesz, że Ben nadal jest w więzieniu?

— Tak, przykro mi.

— Niewiele mogę zrobić — wzruszył ramionami Barnaby.

— Widziałeś go i zawiozłeś mu koszyk ze świątecznym jedzeniem.

— Tak.

— A to już coś. Ale nie będę zamęczać panienki Phoebe swoimi kłopotami.

Pani Beckman starała się, jak mogła, opowiadała o swoim zmarłym mężu kapitanie i o świętach Bożego Narodzenia w Europie, ale Phoebe widziała, że to bardzo smutna kobieta, która naprawdę cieszy się, że ma gości.

93

PATRICIA SHAW

Barnaby odprowadził Phoebe do domu.

— Jak długo zostanie w więzieniu? — spytała.

— Obawiam się, że długo. Już dwa razy próbował uciec, ale go złapali.

— Naprawdę? — Phoebe była zafascynowana. — Czy więzienie jest naprawdę takie straszne, jak mówią?

— Gorsze. Sąd skazał go na ciężkie roboty. Na szczęście jest zdrowy i jakoś to wytrzymuje, chociaż obawiam się, że może załamać się psychicznie.

W przeciwieństwie do większości ludzi ten młody człowiek traktował ją jak równą sobie, bez protekcjonalizmu, za co była mu szczerze wdzięczna.

Kiedy do4szli do bramy jej domu, zatrzymała się.

— Co masz na myśli?

— Dobrze go znasz?

— Nie, prawie wcale. Po prostu mieszkał obok.

— Tak. No cóż, wychowały go dwie kobiety i nie jest przyzwyczajony do takich warunków życia, jakie są w więzieniu.

— Oczywiście. To okropne. Barnaby pokiwał głową.

— Mój pracodawca, pan Mantrell, starał się go wybronić, ale bez skutku. Nie miał żadnych szans. — Nagle zamilkł zmieszany. — Czy to nie wasze okna powybił?

— Tak. — Phoebe przez chwilę czuła się winna, zaraz jednak uśmiechnęła się do Barnaby'ego. — Spisał się naprawdę świetnie. Był strasznie wściekły.

— Możliwe. Tylko że przez taką postawę pcha się w coraz gorsze kłopoty. Znałaś jego matkę?

— Nie.

— Ja miałem okazję ją poznać. Była bardzo silną kobietą. Odniosłem wrażenie, że lepiej z nią nie zadzierać, bo nie da sobie dmuchać w kaszę. Ten chłopak jest trochę do niej podobny. Zamiast uspokoić się i jakoś dotrzeć do końca wyroku, walczy o każdy drobiazg.

— To dobrze — stwierdziła Phoebe.

— Może i tak, ale jeżeli nie zmądrzeje, obawiam się, że może nie doczekać zwolnienia.

— Nie mówiłaś tego pani Beckman, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— A gdybyś porozmawiał z moim ojcem i przekonał go, by wycofał oskarżenie i oświadczył, że to była pomyłka?

94

OGNIE FORTUNY

— Już za późno. A poza tym czy naprawdę myślisz, że by się zgodził?

— Nie sądzę. — Odwróciła się gwałtownie. — Jak go znowu zobaczysz, pozdrów go ode mnie. Cieszę się, że powybił im te szyby!

Barnaby patrzył, jak jego nowa znajoma biegnie po podjeździe. Stwierdził, że to najbardziej frapująca dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkał, poza tym wrzuciła go jej troska o panią Beckman. Phoebe Thurlwell! Śliczna jak z obrazka i do tego promieniująca inteligencją. Poza tym niezwykle pewna siebie — pewnością kupioną za pieniądze — ale jakże inna od większości dziewcząt w tym wieku. Nie było w pannie Thurlwell ani krzty pensjonarskiej infantylności. Chętnie porozmawiałaby z nią dłużej. Wydawała się starsza, niż była w rzeczywistości, a dziecięca sukienka, w którą została wciśnięta, w ogóle do niej nie pasowała. Mantrell zrobił, co mógł, sprawa została zamknięta, mimo to Barnaby czuł, że to za mało. Diamond pokazała mu siłę pieniądza, kiedy więc Ben poszedł do więzienia, on zaczął dawać łapówki, by się z nim zobaczyć. Tutaj dał funta, tam dwa, aż w końcu dopiął swego i stanął twarzą w twarz z chłopakiem. Czuł, że jest to winien Diamond, że tak właśnie należy wydać pieniądze, które od niej dostał.

Ponowne spotkanie z Benem bardzo nim wstrząsnęło. Po dzieciaku, jakiego zapamiętał, nie został nawet ślad, a jego miejsce zajął śniady więzień o hardym spojrzeniu i głębokim dźwięcznym głose.

— Czego pan chce?

— Twoja babka prosiła, żebym cię odwiedził. Martwi się o ciebie.

— Niech pan jej powie, że u mnie wszystko w porządku.

— Dostałeś paczki, które ci wysłała? Ben wrzucił ramionami.

— A jak pan myśli? Niech pan jej powie, że dostałem. — Nagle trochę złagodniał. — Proszę jej powiedzieć, żeby się o mnie nie martwiła. Niedługo wrócę do domu.

— Ben, nie wrócisz, jeśli nie będziesz nad sobą panował. Już i tak masz fatalną reputację.

— Ale przynajmniej wciąż żyję. Trzech kolorowych, którzy trafili tu razem ze mną, już pożegnało się z tym światem, a paru innych postradało zmysły.

95

PATRICIA SHAW

— Więc nie pozwól, by to samo spotkało ciebie.

— Pan nie wie, o czym mówi, panie Glasson. Skoro tak się pan troszczy o mój los, niech mi pan pomoże stąd uciec.

— Nie mogę.

— W takim razie niech pan tu zostanie do czasu, aż zjem tyle, ile mi przejdzie przez gardło, bo jak tylko pan zniknie za drzwiami, strażnicy wszystko mi zabiorą. Co do okruszka. Może kawałek ciasta?

Barnaby wiedział, że pani Beckman nie zalicza się do osób ubogich. Kto wie, być może odpowiednio duża łapówka doprowadziłaby do uwolnienia Bena, lecz gdyby to on zaproponował coś takiego, położyłby na szali całą swoją przyszłość. A na tak ogromne poświęcenie nie mógł sobie pozwolić. W żadnym razie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Naczelnik więzienia Buli Baker nie miał pojęcia, że to już ostatni dzień jego bytowania na ziemskim padole.

Gdyby miał, może padłby na kolana i pokornie błagał Boga o przebaczenie, starając się w tej ostatniej chwili, póki jeszcze czas, oczyścić z grzechu swe plugawe życie. A może przeciwnie, nie widząc w swoich postępkach niczego zdrożnego, modliłby się, żeby to okazało się pomyłką, żeby następnego ranka wstał i rozpoczął kolejny dzień, jak zawsze z bykowcem w dłoni, gotów siłą zmusić podwładnych i więźniów do jeszcze cięższej pracy. Z pewnością jednak jako osobnik bardzo przesądny nie oddałby się właśnie tego dnia jednej ze swych najohydniej szych uciech. Nawet Baker wiedział, chociaż nigdy się nad tym nie zastanawiał, że akurat ten grzech bez wątplenia wywoła gniew Pana Boga.

Buli Baker obserwował atrakcyjnego mieszańca już od wielu miesięcy, lecz się nie śpieszył, bo nie miał powodu. Skazaniec, niejaki Benny Beckman, odsiedział przecież dopiero połowę swojego przedłużonego wyroku. Bullowi chłopak bardzo się podobał, był wysoki i szczupły, a kiedy pracował na skalnych półkach, jego gładkie mięśnie wspaniale grały pod brązową skórą.

Niektórzy byli łatwym łupem, obawiali się sprzeciwić naczelnikowi albo może liczyli na specjalne względy, ten wszakże okazał się inny. Po trzech latach kamieniołomów śliczny chłopiec przeistoczył się w twardego mężczyznę, który gotów był walczyć o wszystko, buntował się przeciw przełożonym i dopominał o należne mu prawa. Mawiano o nim, że gadałby nawet pod wodą — istny małpi prawnik! Buli pilnie obserwował tę przemianę, nie zawracał sobie bowiem głowy dzieciakami, i z rozbawieniem stwierdzał, że zuchwalec daje się we znaki

7 Ognie fortuny

97

PATRICIA SHAW

strażnikom i brygadzystom i naraża przy tym na same kłopoty. Głupi gówniarz sam pchał się w ręce Bulla Bakera.

Po kolejnej awanturze pomiędzy Bennym i jego kilkoma kumplami a uzbrojonymi w pałki brygadzystami Buli zszedł na dół osobiście zaprowadzić porządek.

— Mam już po uszy tego przekłętego bękarta! — wrzasnął, wskazując Benny'ego. — Dawać go tutaj! Cholerny wichrzyciel! Już ja mu pokażę, kto tu rządzi! — Kiedy Bena wyciągnięto z tłumu, Buli zdzielił go bykowcem po plecach. — Może następne parę dni karceru nauczy go wreszcie porządku.

Ignorując pełne niepokoju spojrzenia więźniów, gwizdnął na swoich dwóch najbardziej zaufanych strażników, żeby zaciągnęli Bena na szczyt wzgórza. Wejście do akcji tej pary było znakiem, który nie mógł ująć uwagi więziennego wygi w rodzaju Bena Beckmana. Chłopak szarpał się i walczył, ponieważ jednak na nogach miał kajdany, w konfrontacji z twardymi pięściami oprawców był bez szans.

Na skraju zarośli, gdzie nie sięgał wzrok więźniów, Buli dał podwładnym znak głową. Minęli pozbawioną okien kamienną cełę, służącą jako karcer. Benny znowu zaczął się wyrывać, na co idący z tyłu Buli roześmiał się:

— Nie martw się, kolego. Wszystko w swoim czasie. — Był w przednim nastroju. — Jeszcze nigdy nie widziałem więźnia, który z takim zapałem pchałby się do karceru.

Wciągnany przez próg chaty, chłopak walczył jak dzikie zwierzę, co jeszcze bardziej podnieciło Bulla. Stał na zewnątrz, paląc niedbale papierosa, tymczasem w chacie knebel stłumił krzyki Bena, kajdany brzęknęły o podłogę. Buli drżał z żądy, wiedział, że smukłe jędrne ciało jest już całkiem nagie. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie bliżej mu się przyjrzy.

Strażnicy wyłonili się z chaty i bez słowa poszli w swoją stronę, lecz Buli wciąż czekał. Postanowił dać chłopakowi trochę czasu, żeby się uspokoił.

W końcu przekroczył próg.

Po godzinie wyszedł, bardzo zadowolony, okrążył krzaki i stanął na skalnej półce, z której mógł spokojnie obserwować całe swoje królestwo, wszystkie te pracowite mrówki, jak zwykł nazywać więźniów i podwładnych, harujące w pełnym słońcu. Kiedy tam stał, czuł się potężny. Jego władzy nad więźniami i pracownikami nikt nigdy nie próbował kwestionować. No, może z wyjątkiem paru durniów, między innymi Benny'ego.

98

OGNIE FORTUNY

Na myśl o Bennym Buli zadrżał. Ten zakneblowany bękart odwrócił głowę i wpatrywał się w niego z taką wściekłością, z taką nienawiścią, że przez moment Bulla ogarnął prawdziwy strach. Brązowe oczy wydawały się płaskie i jadowite, niczym oczy węża. Buli okropnie bał się węży, których w kamieniołomach nie brakowało.

Wzruszył ramionami. Jeśli o niego chodzi, smarkacz może sobie wytrzeszczać te oczyska, aż osłepnie. Tydzień w karcerze pozbawi je dzikiego ognia. Wyjdzie na pół ślepy, a zaraz potem trafi na dno kamieniołomu, gdzie słońce odbija się osłepiającym blaskiem od piaskowca.

— To go pozbawi tego jadu — mruknął Buli. Gdyby tylko miał szansę, inny więzień, Jim Donovan, ostrzegłby może Bulla Bakera, żeby trzymał się z dala od Benny'ego Beckmana. Córka Jima, Biddy, napisała do ojca, prosząc, by odnalazł syna jej sąsiadki i spróbował się nim zaopiekować.

Minęło sporo czasu, zanim Jimowi udało się skontaktować z chłopakiem. Starsi mężczyźni pracowali zwykle na drogach, ale skazany na dożywocie Jim jakoś załatwił sobie pracę furmana, transportującego bloki piaskowca z kamieniołomów na rzeczne barki.

Od razu zauważył, że chłopak nie potrafi pogodzić się z warunkami życia w więzieniu. Należał do tych nielicznych żółtodziobów, którzy łudzą się, że mają prawo do sprawiedliwego traktowania, wiecznie buntując się przeciwko brutalnym strażnikom. Ponieważ dwukrotnie próbował uciec, miał opinię krnąbrnego, a strażnicy szczerze go

nienawidzili i korzystali z każdej okazji, by go pognać. Jego zachowanie idealnie pasowało do powszechnie znanego, łatwo rozpoznawalnego wzorca.

Jim rozmawiał z nim, ostrzegał, żeby się uspokoił i przestał zwracać na siebie uwagę, ale chociaż Benny przyznał, że próby ucieczki były bezsensowne, gdyż tylko wydłużyły mu wyrok, i tak wciąż pozostawał swoim najgorszym wrogiem, upartym, nawiedzonym i hardym. Ilekroć Jim dowiadywał się, że Beckmana ukarano kolejną chłostą albo karcerem, ogarniała go rozpacz. Jak miał pomóc temu chłopakowi, skoro on sam sobie szkodził?

Rozmawiał też ze współtowarzyszami Benny'ego, białymi mężczyznami, z którymi chłopak pracował, lecz oni tylko się śmiali. Benny „Pyskacz” był dla nich źródłem rozrywki.

Podjudzali go, cieszyli się, że ktoś buntuje się przeciwko strażnikom, i dawali w ten sposób ujście własnej frustracji. Jim zwrócił się więc do czarnych więźniów, okazało się jednak, że ci z kolei czują respekt wobec „białego” chłopaka, który

99

PATRICIA SHAW

ma jaśniejszą niż oni skórę i mówi jak biały. W końcu poznał siwego Aborygena, Mooraka, starego recydywistę. Spędził on pół życia w więzieniu, a przed stryczkiem uchroniło go przekonanie sędziów, że jest pomyłony.

Któregoś dnia Moorak zawołał przechodzącego obok Jima.

— Nie ma co nad nim płakać, nad tym białym chłopakiem — powiedział, kucając na piasku i wystukując monotony rytm dwiema rzeźbionymi pałeczkami, swoim najcenniejszym skarbem.

— To znaczy nad Beckmanem?

Starzec potwierdził, a Jim chcąc się dowiedzieć czegoś więcej kucnął przed nim.

— Czemu tak myślisz?

W odpowiedzi Moorak uśmiechnął się szeroko, obnażając połamane i popsute zęby.

— Chłopak ma w oczach zło. — Pokiwał głową, jakby sam do siebie. — Umie się odwdzięczyć.

— Nic o tym nie wiem — odparł Jim. — Jak na razie to głównie jemu się odwdzięczają.

Dostaje więcej batów niż żarcia.

Starzec kiwał głową i wybijał rytm, jakby chciał dać do zrozumienia, że jakiegokolwiek dalsze słowa są zbędne, Jim wzruszył więc ramionami i wstał. Już odchodził, kiedy Moorak zawołał:

— Co się stało z panem Crotty? — Jego głos brzmiał teraz inaczej, brzydko, głęboko i szorstko.

— Z Crotty? — powtórzył Jim. — Nie mam pojęcia. Co to za jeden? — Nagle sobie przypomniał. Crotty był brygadzystą i miał opinię wyjątkowo wrednego drania. — A tak, już wiem. Ale jego już tutaj nie ma. Miał wypadek, spadł z półki skalnej i złamał nogę.

— Dużo wypadków — zaskrzeczał głos.

— Sporo — przyznał Jim, przypomniawszy sobie, że niedawno jeden ze strażników został ciężko ranny, po tym jak obsunęły się na niego kamienie.

Moorak pokiwał w stronę Jima sękatym palcem i jakby czytał w jego myślach, rzekł:

— Facet stłukł tego twojego chłopaka, a zaraz potem, buch, i kamienie stłukły jego.

— Posłuchaj — warknął Jim. — Beckman nie ma z tym nic wspólnego. Ma już i tak dosyć kłopotów, więc lepiej nie próbuj go obwiniać. Poza tym nie było wtedy go w pobliżu.

Starzec ponownie zaczął kiwać głową i wybijać rytm, a po chwili mruknął:

IOO

OGNIE FORTUNY

— Tu są potężne duchy. Czarny człowiek to wie.

— Tak — zgodził się Jim, żeby poprawić starcowi humor.

— Zgadza się.

To rzekłszy, poszedł w swoją stronę, a wkrótce zapomniał o całej rozmowie.

Parę miesięcy później udało mu się odwiedzić brudne baraki, w których, oddzieleni od białych, mieszkali czarni więźniowie. Jako kolorowy, Benny został zakwaterowany właśnie tam. Jim na próżno prosił brygadzystów, żeby przenieśli chłopaka do białych, zresztą, co dziwne, samemu Benny'emu najwyraźniej wcale na tym nie zależało.

— A co to ma za znaczenie? — spytał. — Tak czy owak, to przecież więzienie.

— Ma, synu, dla twojego zdrowia. Będę się dalej starał. Nasze baraki to okropne wszarnie, ale jest tam przynajmniej trochę czystiej. Te budy nikogo nie obchodzą. Próbuję utrzymać cię przy życiu.

— Nie martw się o mnie, Jim. Przeżyję. Mam sporo ważnych spraw do załatwienia.

— Jeśli nie nauczysz się panować nad językiem, nigdy stąd nie wyjdiesz.

Benny przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— Ty masz więcej szans ode mnie. Nawet nie jesteś skuty. Dlaczego nie spróbujesz się stąd wydostać?

— Moje życie jest w rękach Boga — odrzekł Irlandczyk. — Zabiłem człowieka i spodziewałem się, że czeka mnie za to stryczek. Ze względu na okoliczności łagodzące żyję, ale ponieważ nie czuję skruchy, muszę przyjąć Jego karę.

— W takim razie powinieneś czym prędzej poczuć skruchę

— stwierdził zuchwały młokos — a potem zjeżdżać stąd, ile sił w nogach.

„Czego mi brakuje w tym chłopaku?” — zastanawiał się Jim. Kiedy patrzyło się na niego, nie biorąc pod uwagę okrutnego świata, który ich otaczał, zdawało się, że to sympatyczny dzieciak, przegradający się w przyzwoitego mężczyznę. Wiele jego problemów brało się stąd, że często stawał w obronie innych, głównie czarnoskórych, których los był nie do pozazdroszczenia. Niesprawiedliwość stała się jego obsesją, zresztą nie bez powodu, albowiem wyrok, który dostał za wandalizm i zniszczenie mienia, był zdecydowanie zbyt surowy. Jednakże w więzieniach Queensland znajdowało się wielu ludzi, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, skazanych za czyny jeszcze mniej groźne, na przykład kradzież odrobiny jedzenia albo kilku łyżek.

IOI

PATRICIA SHAW

Więzienia miały rzekomo być świetnymi ośrodkami resocjalizacji. Cóż za żart!

Lecz ten chłopak miał też swoje ciemne strony. Nigdy nie rozmawiał o swojej rodzinie ani o świecie za kratami, a przy tym był całkiem nieźle wykształcony, czym wyróżniał się na tle innych mieszkańców oraz tłumów białych analfabetów. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ma głęboko zaszczeploną, typową dla Aborygenów zasadę „oko za oko”.

Starając się zreformować swojego protegowanego, Jim próbował mu tłumaczyć, że w życiu należy się kierować chrześcijańską zasadą nadstawiania drugiego policzka, dosłownie jednak zaniemówił, kiedy w odpowiedzi Benny wypalił:

— I ty tak właśnie postąpiłeś, Jim? Nadstawiłeś drugi policzek? Daj sobie spokój z tymi kazaniami.

Któregoś dnia pewien zdenerwowany Murzyn zaprowadził Jima do Benny'ego, który leżał na macie — w czarnym sektorze nie było prycz ani nawet hamaków — mocno poturbowany, z zaschniętą krwią na twarzy i uszach.

— Co mu się stało? — spytał Jim. Aborygen wzniosł oczy ku niebu.

— Taffy Welk, nasz brygadzysta, stłukł go za buntownictwo.

— Jakie znowu buntownictwo?

— Jeden z naszych niósł za duży ciężar. Przewrócił się, a wtedy Taffy zaczął wrzeszczeć i okładać go pałką. Na to Benny krzyknął, żeby przestał, i wtedy sam oberwał.

— O Jezu! — jęknął Jim. — Przynies mi wody, to go umyję.

— Czy ty się nigdy niczego nie nauczysz? — spytał z rezygnacją.

— Nic mi nie będzie! — odparł chłopak, odpychając Jima.

— Akurat! Do diabła, Beckman, tyś chyba oszalał! Skończysz z dożywociem jak ja, o ile w ogóle przeżyjesz!

Benny wyrwał mu z ręki ścierkę.

— Wyjdę stąd — wycedził — a wtedy się przekonamy, kto przeżyje. Jeszcze pożałują.

— Kto? Kto pożałuje? Na litość boską, dzieciaku, co ciebie gryzie?

Benny wszakże nie miał już na ten temat nic więcej do powiedzenia.

— W porządku, żadnych złamań — stwierdził Jim, kiedy obmył twarz Benny'ego. Zwrócił uwagę, że pomimo fatalnego odżywiania chłopak ma zdrowe białe zęby, nieomylny znak, że w dzieciństwie

102

OGNIE FORTUNY

niczego mu nie brakowało. Jim stracił większość zębów już w młodości.

— Przyniosę ci coś do jedzenia — rzekł i ruszył w stronę kolejki czarnych, którzy z menażkami w dłoniach cierpliwie czekali na jedzenie.

Z boku chyłkiem podszedł do niego Moorak.

— Biały chłopiec oberwał?

— Tak — odparł Jim i wręczył mu menażkę Bena. — Odbierz dla niego żarcie.

— Będzie więcej wypadków — uśmiechnął się Moorak. — Pan Taffy w niebezpieczeństwie. Złe oko patrzy na niego. Potężne moce obudzone. Zobaczysz. — Zamachał Jimowi palcem przed nosem, po czym spokojnie odebrał dwie porcje pomyj z baraniny i natychmiast zabrał się za pochłanianie swojej.

Jim dowiedział się po kilku tygodniach, że jeszcze tej samej nocy Taffy Welk dostał wysokiej gorączki. Rano majaczył, a przed zachodem słońca został przetransportowany do szpitala więziennego w Brisbane.

Chociaż Jim Donovan dobrze wiedział, że to tylko zbieg okoliczności, wiadomość była dla niego ogromnym wstrząsem, przeprowadził więc dochodzenie. Jakie były okoliczności wypadku Crotty'ego? Jak wyglądała sprawa w przypadku tamtego drugiego mężczyzny, którego przygniotły kamienie? Wszyscy oni nadzorowali brygady Benny'ego Beckmana. Więcej nie pytał. Wolał nie wiedzieć. Wierzył w dobro, wierzył więc też w zło. Skoro istnieją anioły, muszą też istnieć diabły. Ale to wszystko działo się stanowczo zbyt blisko niego. Ilekroć mijał Mooraka, wykonywał znak krzyża, poza tym starał się go unikać. Nie wierzył wprawdzie w te pogańskie brednie, lecz rozsądek podpowiadał mu, że ramię zbiegu okoliczności też ma ograniczony zasięg. Zaczął bliżej przyglądać się oprawcom Benny'ego. Gdyby miał pewność i sposobność po temu, być może ostrzegłby Bulla Bakera przed tym, co czarni nazywają złym okiem.

Właśnie zaprzęgał konie, szykując się do drogi powrotnej znad rzeki, kiedy nadjechał strażnik, po to tylko, by mu powiedzieć, że Buli Baker ma w swojej chacie nowego „klienta”.

— Dobry Boże, nie! Kogo dopadł tym razem?

— Twojego kumpla — roześmiał się strażnik szyderczo. — Benny'ego mieszańca.

— Wy bydlaki! — wrzasnął Jim. — Kiedy w końcu położycie kres tym świństwom?!

103

PATRICIA SHAW

— A co nam do tego? Przecież on tu jest szefem.

— Gniew Boży i tak was nie ominie! — krzyknął Irlandczyk za oddalającym się jeźdźcem. Przez całą drogę powrotną martwił się o Benny'ego.

— To wystarczy, żeby dzieciak postradał zmysły — mruzczał do siebie i popędział konie, łudząc się, że może informacja była nieprawdziwa albo że Benny zdołał jakoś wydostać się z czarcich szponów. Postanowił, że jeśli Buli Baker rzeczywiście wybrał Benny'ego na swoją następną ofiarę, nie pozwoli, by ta zbrodnia uszła mu płazem. Kaze Benny'emu napisać

formalną skargę do gubernatora, a on, Jim Donovan, podpisze się na dole. Przemycenie listu nie będzie problemem, papier i coś do pisania też na pewno uda się załatwić.

Podczas gdy Jim Donovan snuł gniewne plany, Buli Baker raz jeszcze spojrzął na kamieniołomy, po czym odwrócił się i bardzo z siebie zadowolony ruszył po skałach.

Nagle stanął, tłumiąc okrzyk przerażenia.

Tuż przed nim kołysał się ogromny wąż tygrysi, gotując się do ataku. Sparaliżowany ze strachu, Buli Baker wpatrywał się w złe, okrutne, brązowe oczy o jaskrawopomarańczowych obwódkach.

Doskonale wiedział, że próba ucieczki nie ma sensu. Skupił się więc na rękojeści bykowca, ukradkiem przesuwał po niej palce i jednocześnie starając się ocenić dystans dzielący go od węża.

Błyskawicznie zaatakował, przekonany, że cios zadany rękojeścią zmiecie mu z drogi ten lubieżny łeb. Wąż jednak okazał się szybszy. Buli odskoczył, kiedy gad uderzył go w klatkę piersiową i zatopił zęby we flanelowej koszuli, szukając skóry.

Wrzeszcząc z przerażenia, starał się odepchnąć bestię batem, lecz na próżno, wąż był zdumiewająco silny. Ponowił atak, jego głowa wystrzeliła w stronę szyi ofiary niczym pocisk i ciało Bulla przeszył potworny ból.

Obiema rękami zdołał odrzucić potwora i z krzykiem zbiegł ze wzgórza, nieświadomie wspomagając trucizną w jej śmiertelnej podróży, aż w końcu padł na ziemię u stóp wracających z pracy podwładnych.

Nie byli w stanie mu pomóc. Opaska uciskowa nie wchodziła w grę, a nie mieli pojęcia, jak wycisnąć jad, krzyczeli więc, wołali o pomoc, przytrzymywali szefa, tłumiąc jego spazmy. Wreszcie skonał z pianą na ustach.

Benny słyszał, że na zewnątrz zapanowało jakieś dziwne poruszenie, lecz na to nie zważał. Wciąż leżał nagi, przywiązany do pryczy,

104

OGNIE FORTUNY

czekając na ostateczne upokorzenie, wstydząc się łez, których ślady wciąż widniały na jego twarzy.

Parę godzin później nadal tam leżał, przez wszystkich zapomniany. Próbował przypomnieć sobie krzyki, które wcześniej słyszał, i doszedł do wniosku, że pewnie doszło do jakiejś bójki, co przecież nie było niczym szczególnym w tym zbiorowisku niewolników i ich nadzorców.

Zmagał się z krepującymi go rzemieniami. Po godzinie nadgarstki mu krwawiły, a kiedy przyszedł Jim Donovan, zdołał uwolnić stopy.

Jim znalazł jakiś nóż, rozciął więzy, po czym podał Benny'emu ubranie.

— Chodź, chłopcze, wynośmy się stąd.

Unikając wzroku Jima, Benny włożył spodnie i koszulę, zawstydzony, że starszy mężczyzna ogląda go w takim stanie.

— Buli Baker nie żyje — odezwał się Jim. — Ukąsił go wąż. Wracaj do swojego baraku, jakby nic się nie stało. Wszyscy biegną jak bezgłowe kury i na pewno nikt o tobie nie pamięta.

Kiedy Benny zatrzymał się w drzwiach chaty, Jim ostrzegł go:

— Nie poniesie cię?

— Nie — wyszeptał Benny, zwieszając ramiona.

— Nic ci nie jest?

Benny zadrżał, a Jim próbował go uspokoić:

— Nikt o niczym nie wie — powiedział cicho. — Są pewni, że wąż ukąsił go, zanim tu przyszedł.

— Tak — załkał Benny.

Wydawał się ślepy na wszystko, co dzieje się dookoła, całkiem zdezorientowany, Jim odprowadził go więc do baraków, gdzie więźniowie świętowali śmierć znenawidzonego naczelnika. Wydarzenie to kompletnie przyćmiło drobne kłopoty Beckmana, na którego nikt nie zwrócił uwagi.

Jednakże Benny Beckman bardzo się zmienił. Jim obawiał się, że chłopak został na zawsze napiętnowany. Hałaśliwy więzień stał się nagle ponury i spokojny, przestał sprawiać kłopoty, mogło się więc wydawać, że ostatecznie go pokonano. Jim odnalazł jakieś książki, żeby w niedziele mógł czytać. Były to głównie jakieś strasznie poniszczone romansidła oraz tomik poezji, niemniej chłopak sprawiał wrażenie zadowolonego. Po jego dawnej beczelności nie został nawet ślad. Inni sądzili, że w końcu zmądrzał i pogodził się z koniecznością odsiedzenia wyroku, Jim wiedział jednak, że chłopak nosi w sobie i starannie pielęgnuje gniew, i z obawą myślał, co Ben może uczynić, kiedy wyjdzie na wolność.

105

PATRICIA SHAW

Więźniów zebrano na mszy w intencji duszy zmarłego nadzorcy, lecz nikt nie uronił ani jednej łzy. Po ceremonii do Jima podszedł stary Aborygen, Moorak.

— Następny wypadek, co? — wy sapął. Przypomniawszy sobie jego hipotezy, Jim pokiwał głową.

— Może tak, a może nie. W każdym razie ten bydlak dostał to, na co zasłużył.

— Potężne moce opiekują się białym chłopcem.

— Będą mu teraz bardzo potrzebne — warknął Jim.

— Nic mu nie będzie — uśmiechnął się Moorak. — Poradził sobie nawet z wielkim szefem. Donovan pokręcił głową.

— Nie sądzę, bracie. Dostał za duże lanie.

Barnaby kochał się w pannie Phoebe Thurlwell już od tamtych świąt Bożego Narodzenia przed trzema laty, kiedy to po raz pierwszy ją spotkał. Musiał to być jednak proces stopniowy, albowiem minęło trochę czasu, zanim zdał sobie sprawę ze swoich uczuć.

Początkowo dziewczyna po prostu pojawiała się czasami w jego myślach. Krótkie słoneczne chwile przyjemności, kiedy znowu widział jej uśmiech i słyszał dziewczęcy głos, bezpośredni i radosny, wystarczały, by rozjaśnić jego pracowite dni. A potem, w lecie, spotkał ją na kortach tenisowych i co zabawne, nie poznał, bo jej rysy rozmyły się w jego pamięci.

— Barnaby Glasson! — zawołała, szturchając go rakieta. — Jestem zdruzgotana! Ty mnie już nie pamiętasz.

Cóż z tego, że serce aż podskoczyło mu z radości, skoro obraz, jaki sobą przedstawiał, musiał być żaloszny. Zerwał z głowy kapelusz, upuścił rakieta, którą Phoebe niezwłocznie podniosła, i wydukał, że wcale jej nie zapomniał. Jąkał się. Mamrotał. Spytał, jak się ma.

— A jak wyglądam? — odpowiedziała pytaniem, jakby znali się od zawsze. — Mam teraz dłuższe włosy i nie muszę ich rozpuszczać na noc. Wolno mi też wreszcie samej decydować, w co się ubierać. Jak sądzisz, czy ta sukienka jest naprawdę za krótka? Staruchy w pawilonie dziwnie mi się przyglądają. A co z tego, że widać mi kostki? Chyba lepsze to niż deptanie po sukni? Jak uważasz?

— Tak, oczywiście — wyjąkał, nie mając odwagi przyjrzeć się jej zgrabnym kostkom. Jak to możliwe, że piętnastoletnia smarkula potrafi wprawić go w zakłopotanie tak wielkie, że zachowuje się jak prostak? Przecież właśnie zaczynał karierę prawnika i przynajmniej i ??

OGNIE FORTUNY

kilka dziewcząt w stanie wolnym chętnie pokazywało się w jego towarzystwie. Ot, nawet teraz Lucy Morrow macha do niego, zapraszając na herbatę.

— Konam z pragnienia — odezwała się Phoebe. — Skończyłeś już grać?

— Tak — odparł, zastanawiając się, dlaczego właściwie jego głos brzmi tak, jakby chciał ją za coś przeprosić. — Nie poszło mi zbyt dobrze.

— Mnie też nie. Powinniśmy kiedyś zagrać bez siatki. Przecież ona tylko przeszkadza i okropnie spowalnia grę.

Barnaby roześmiał się. Kiedy szli w stronę pawilonu, z przyjemnością słuchał jej cokolwiek dziwnych opinii o rozczarowanych partnerach, których większość dobrze zresztą znał. Jej wesołość była tak zaraźliwa, że kiedy Phoebe spytała, gdzie usiądą, udał, że nie widzi Lucy.

— Chyba tam — odparł, wskazując chybotliwy stolik po drugiej stronie sali.

Później często się spotykali, a Phoebe zawsze znalazła chwilę, żeby z nim pogawędzić.

Zaproszenie do posiadłości Thurlwellów na jej osiemnaste urodziny przyniósł mu do biura posłaniec, lecz nieszczęsny Barnaby umarłby chyba z rozpaczy, nie wiedząc, jak się ubrać ani tym bardziej jaki prezent kupić, gdyby pani Mantrell nie przysłała mu z odsieczą. Pochlebiało jej, że ich pracownik z taką łatwością utorował sobie drogę do wyższych sfer, i uważała, że powinien jak najlepiej wykorzystać nadarżającą się sposobność.

Barnaby zjawił się na przyjęciu w swoim najlepszym wieczorowym surducie i czarnym krawacie i zdecydowanie, bez żadnego wstydu wręczył solenizantce prezent. Został on wybrany z prawdziwym znawstwem i Barnaby był szczerze wdzięczny pani Mantrell za pomoc, aczkolwiek zakup uszczuplił jego zasoby finansowe o całe pięć szylingów i sześć pensów. Był to pięknie oprawiony egzemplarz wierszy Shelleya, które Barnaby przejrzał w domu — w rękawiczkach, żeby nie zostawić śladów na kartkach — na wypadek gdyby ktoś go o nie zapytał. Ponieważ nigdy nie miał zbyt wiele czasu na lektury inne niż opasłe prawnicze tomy, wiersze wydały mu się trudne, przyjął jednak do wiadomości, że są modne i popularne.

Przyjęcie było ogromnym wydarzeniem, doskonale zorganizowanym wieczorem dla kilkuset gości, ze wspaniałymi potrawami, mo-

107

PATRICIA SHAW

rzem szampana i wędrownymi śpiewakami, występującymi w oświetlonym chińskimi latarniami przepięknym ogrodzie z widokiem na rzekę. Barnaby zdołał wszakże tylko złożyć Phoebe życzenia i wręczyć prezent, gdyż zaraz potem została porwana przez tłum podekscytowanych przyjaciół. Czuł się niczym pospolity trzmiel w ulu elegancji, którego królowa znajduje się poza jego zasięgiem.

Rozmawiał za to z jej stryjem, Edgarem Thurlwellem, choć bynajmniej nie z własnego wyboru. Edgar posadził go w cichym kącie salonu i zaczął się rozwodzić na temat zalet swojej firmy, Western Railroads, najwyraźniej szczęśliwy, że w końcu udało mu się znaleźć młodego człowieka, któremu nie jest obce pojęcie udziałów.

— Rozpoczynamy teraz sprzedaż akcji w ofercie publicznej

— opowiadał Edgar, paląc cygaro. — Ten przeklęty federalizm wystraszył wielu potencjalnych inwestorów i opóźnił realizację moich planów, ale to, co robię, robię dla dobra kraju i kiedy w końcu rozpoczniemy działalność, ci, którzy stchórzyli, pożałują. Gorzko pożałują! Żeby cokolwiek osiągnąć na tym świecie, człowiek musi mieć wizję. Sprawy nareszcie zaczynają toczyć się po naszej myśli. Do Brisbane płyną już statkiem dwa nowoczesne silniki parowe.

— Silniki parowe statkiem! — Barnaby był pod wrażeniem.

— A wydawałoby się, że pod takim ciężarem każdy statek powinien pójść na dno.

— Ludzie morza znają się na rzeczy. Możesz wspomnieć panu Mantrellowi, że jeśli któryś z jego klientów cierpi na nadmiar gotówki, na pewno nie straci, jeżeli zainwestuje w Western Railroads, tylko że musi się szybko zdecydować.

— Przekażę mu to, proszę pana—chętnie zobowiązał się Barnaby.

Rozmowę przerwał im członek parlamentu z Padlow, Ben Buchanan. Barnaby znał go z widzenia, lecz nigdy dotąd nie spotkał. Buchanan był barczystym blondynem, elegancko ubranym, aczkolwiek jak mawiał Mantrell, człowieka można zabrać z buszu, ale busz i tak na zawsze w nim zostanie. Buchanan był właśnie kimś takim, jego pochodzenie od razu zdradzały śniada twarz i potężne silne dłonie.

— Mogę cię prosić na słówko, Edgarze? — spytał, a Barnaby natychmiast zrozumiał, że powinien się oddalić.

Odchodząc, usłyszał ich podniesione głosy i zastanawiał się, o czym tak rozprawiają.

Do domu wrócił około północy, kompletnie zdruzgotany. Nie, nie zdruzgotany, powtarzał sobie, ściągając elegancki strój, już raczej

108

OGNIE FORTUNY

zawiedziony. Od tygodni czekał na dzień, kiedy będzie się bawił w towarzystwie Phoebe, tymczasem ona sprawiała wrażenie, że w ogóle go nie zauważa. Właśnie tego wieczora Barnaby zdał sobie sprawę z głębi swych uczuć i następnego ranka, zamiast rozpamiętywać gorzki zawód, zaczął snuć plany, w jaki sposób zaskarbić sobie miłość tej dziewczyny. Wśród znajomych uchodził za osobę niezwykle ambitną i rzeczywiście, gotów był uczynić wszystko, byleby zdobyć Phoebe Thurlwell. Stała się ona jego kolejną ambicją, równie ważną jak inne. Postanowił, że prędzej czy później ożeni się z nią, będzie ją kochać miłością szaleńczą i uczyni z niej najszczęśliwszą istotę pod słońcem.

Do pewnego stopnia realizacja tych planów szła po jego myśli. Przede wszystkim Phoebe była zbyt młoda, by pozwolono jej prowadzić się bez przyzwoitki z jakimś młodym dżentelmenem, choć i tak wielu chętnie dotrzymywało jej towarzystwa.

Barnaby pozostawał w tle, na przyjęciach jednak zawsze starał się być blisko Phoebe i zazwyczaj po jakimś czasie podchodziła do niego, pozornie po to, by pogawędzić, a w rzeczywistości dlatego że chciała się z nim podzielić kąśliwymi uwagami na temat towarzystwa. Miała okropnie cięty język, a ponieważ wiedziała, że Barnaby'emu odpowiada jej poczucie humoru, uczyniła z niego swoją widownię. A po pewnym czasie powiernika.

— Mama uważa, że powinnam jakoś ośmielić Richarda Masefiel-da, bo pochodzi z bogatej rodziny, ale na Boga, Barnaby, on tak okropnie wytrzeszcza oczy!

Barnaby uśmiechnął się.

— Nie dziwi mnie to. Nie przywykłam do młodych dam o tak zdecydowanych poglądach.

— Pewnie myślisz, że jestem w sobie zadufana?

— Nie. Ale bywasz bardzo dogmatyczna.

— Skądże znowu! Zresztą to bez znaczenia. Chodzi o to, że ponieważ skończyłam już osiemnaście lat, wolno mi iść na bal do gubernatora, a Richard zaoferował się, że będzie mi towarzyszyć. Ale mu powiedziałam, że przyjęłam zaproszenie kogo innego.

— Któż to taki?

— W tym właśnie cały kłopot. Nikt. Musisz mi pomóc. Pójdiesz ze mną?

Pokręcił głową.

— Przykro mi, Phoebe, nie mogę. Nie zostałam zaproszony.

— Postaram się o zaproszenie i pójdiesz, dobrze?

109

PATRICIA SHAW

— Dobrze — odparł lekko, choć serce dudniło mu jak dzwon. — Nie ma co, Phoebe, potrafisz wpakować się w tarapaty.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek.

— Och, Barnaby, jesteś kochany! Mam tylko nadzieję, że umiesz tańczyć.

Chociaż nikt nigdy nie zasugerował, że ze sobą „chodzą”, Barnaby bywał z nią na różnych balach i przyjęciach, na ogół wtedy gdy musiała się bronić przed towarzystwem jakiegoś

zalotnika. Jej rodzice zdawali się nie mieć nic przeciwko temu. Traktowali jego obecność jako coś naturalnego, zwłaszcza od czasu kiedy Phoebe oświadczyła — ku jego konsternacji — że Barnaby to jej najlepszy przyjaciel. Nie do tego dążył, nigdy jednak z nią nie flirtował ani nie ośmielił się jej dotknąć w obawie, że mogłoby to popsuć ich stosunki. Zmuszony był więc słuchać opowieści o jej młodzieńczych miłostkach do tego czy innego chłopaka. Na szczęście początkowe zauroczenie zwykle szybko jej mijało, mimo to Barnaby ze strachem myślał o dniu, kiedy zjawi się jakiś mężczyzna i na zawsze zabierze mu Phoebe.

Zdawał sobie sprawę, że wkrótce będzie musiał jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, lecz chwila ta wymagała starannych przygotowań. Kiedy byli razem, Phoebe nigdy nie zachowywała się poważnie. Wraz z licznymi przyjaciółmi bawili się tak wspaniale, że trudno było stworzyć romantyczny nastrój. A co będzie, jeśli Phoebe go wyśmiej? Barnaby drżał na samą myśl o tym i czekał. Najlepszy przyjaciel. Niech to diabli.

Phoebe orientowała się, że Barnaby coś do niej czuje, że bardzo ją lubi. Przy nim mogła być sobą, a nie osobą z salonu, czego z reguły od niej oczekiwano. Ponieważ zabawianie towarzystwa szybko się jej znudziło, stała się — i dobrze o tym wiedziała — zbyt otwarta i skłonna do psikusów. Matka, zrozpaczona jej zachowaniem, oskarżała ją o ekshibicjonizm i ostrzegała, że popsuje sobie opinię.

„A niech sobie gada!” — zżymała się Phoebe. Domyślała się, że matka ma romans z Benem Buchananiem, chociaż nie potrafiłaby tego udowodnić, nawet nie miała zamiaru tego robić. Udawała, że nic nie widzi, i zastanawiała się, czy ojciec czyni to samo. Wszyscy poza Barnabym zdawali się nie dostrzegać, że Phoebe Thurlwell bywa poważna, aczkolwiek jemu też nie mogłaby się zwierzyć, jak bardzo ją boli, że Ben Buchanan przyprawia ojcu rogi. Jej stosunek do Buchanana diametralnie się zmienił, traktowała go chłodno, chociaż nigdy otwarcie niegrzecznie, ponieważ bała się, że wystarczy jeden nieodpowiedzialny ruch i doktor przejrzy nagle na oczy. Zagubiona w tym
no

OGNIE FORTUNY

wszystkim, pozostawała rozpaczliwie lojalna wobec ojca, który pozwalał żonie prowadzić się za rękę. Był słaby i nie potrafił sobie radzić z napadami złości Lalli Thurlwell.

Czasami, w poczuciu urażonej dumy, Phoebe zastanawiała się, czy nie wrzasnąć na niego, żeby się wreszcie obudził i zobaczył, co ci dwoje wyprawiają, wiedziała jednak, że tylko by się ośmieszyła. Ojciec by jej nie uwierzył, a Lalla wygrałaby kolejną rundę, oddalając ją od niego.

Już teraz niczym echo powtarzał słowa matki: że najwyższy czas, by rozejrzała się za jakimś porządnym młodym człowiekiem i rozpoczęła dorosłe życie przykładowej żony.

— Chciałabyś tego, prawda? — odpowiadała matce. — Chciałabyś, żebym wyszła za mąż i zeszła ci z drogi.

— Nie wiem, o czym mówisz. Jako matka mam obowiązek zadbać, by moja córka znalazła sobie odpowiedniego męża.

— A potem wyprowadziła się z domu, w którym zdarza jej się widzieć zbyt wiele. Prawda? Lalla odwróciła się od swojej toaletki.

— Ależ ty masz wyobraźnię, Phoebe. Naprawdę, czasami jesteś niemożliwa. Ale i tak jestem z ciebie bardzo dumna, mimo że nie zawsze zachowujesz się tak, jak przystoi damie. Wyrosła z ciebie piękna młoda kobieta.

Phoebe zauważyła, że przy tych słowach Lalla patrzy w lustro, podziwiając własne rysy, najwyraźniej zadowolona, że córka zdołała zachować wysokie loty.

— Kilku młodych mężczyzn, odpowiednich młodych mężczyzn — kontynuowała Lalla — dało jasno do zrozumienia, że chętnie staraliby się o twoje względy, a ich matki też byłyby z tego bardzo zadowolone.

— Kto na przykład?

— Na przykład Richard Masefield, John Sherrington, a także Gavin Fortescue. Matka Gavina sama mi o tym powiedziała, poinformowała mnie również, że Gavin odziedziczył dużą posiadłość w Nowej Południowej Walii. To jedynak.

— Richard Masefield to idiota, John strasznie pije, a Gavin jest okropnie zarozumiały.

— No cóż, w takim razie mogłybyśmy pojechać na wakacje do Sydney...

— Nie dam się obwozić po Sydney, nie jestem towarem na sprzedaż.

ni

PATRICIA SHAW

— Och, rób, jak chcesz! — uśmiechnęła się Lalla. — A może wolisz zostać starą panną?

— Zawsze mogę wyjść za Barnaby'ego Glassona — zagroziła Phoebe.

Matka spojrzała na nią z kamiennym spokojem.

— O nie, tego nie zrobisz. Wykorzystujesz go. Chowasz się za nim jak za żywopłotem, a on to toleruje. Tacy jak on zadowolają się okruchami ze stołu. Jak sądzisz, dlaczego pozwalam, by tak często tutaj bywał? Dlatego że on cię nie skompromituje. Dzięki niemu bezpiecznie doczekasz dnia, kiedy zjawi się odpowiedni kandydat.

Phoebe rozplakała się i zamknęła w swoim pokoju. Zjadliwe uwagi matki dopiękły jej do żywego. Było jej wstyd, że Lalla całkowicie ją przejrzała, bolało ją również, że z jej powodu Barnaby został tak okropnie poniżony.

— Kto jeszcze będzie? — spytał Barnaby w następnym tygodniu, kiedy zaproponowała, żeby popłynęli parowcem „River Queen” na wieczorny rejs po rzece.

— Nikt — odparła. — Pomyślałam sobie, że byłoby miło dla odmiany pójść gdzieś tylko we dwoje, a odkąd zaczęły się te rejsy, zawsze chciałam popłynąć.

— Dobrze, w takim razie sprawdźmy, czy warto. A potem Phoebe Thurlwell będzie mogła opowiadać wszem wobec, że taki rejs to dobry albo fatalny pomysł.

Phoebe długo przed lustrem dobierała odpowiedni strój i w końcu zdecydowała się na różową suknię z delikatnego jedwabiu z koronkowym stanem, podkreślającą jej drobną kształtną figurę. Włosy uczesała w puszystą grzywkę z przodu i długie loki z tyłu. Żeby wiatr ich nie rozwiewał, założyła cieniutką chustę ozdobioną drobnymi paciorkami, jarzącymi się w wieczornych światłach. Rezultat był olśniewający, co oczywiście nie uszło uwagi Barnaby'ego.

— Phoebe! — wykrzyknął. — Wyglądasz dzisiaj po prostu przecudownie. Wszyscy się na ciebie gapią.

— Wcale nie — skłamała skromnie.

Na dworze było ciepło, usiedli więc na zewnętrznym pokładzie.

— Podają szampana — szepnęła, gdy parowiec odbił od nabrzeża. — Napijemy się?

— Jest okropnie drogi — odparł. — A niestety nie wliczają go w cenę biletu.

— Och, Barnaby, naprawdę mam ochotę się napić. Ja zapłacę.

112

OGNIE FORTUNY

— O nie. Aż takim skąpcem nie jestem. Poza tym dzisiaj jest moje święto.

— A co takiego świętujesz?

— Zdałem egzaminy i zostałem pełnoprawnym adwokatem.

— To cudownie! — Pocałowała go w policzek. — Strasznie się cieszę.

— A co więcej, wkrótce rozpoczynam pracę w Ministerstwie Sprawiedliwości. Jako radca prawny.

— Wspaniale! Co na to wszystko pan Mantrell?

— Dał mi pełne błogosławieństwo. Ciesz się, że jego podopiecznemu zaproponowano tak prestiżowe stanowisko.

Przez cały rejs popijali szampana, śmiali się, rozmawiali i pochłonęli dwa talerze smakołyków, słuchali też ckliwej muzyki cygańskiego skrzypka.

Barnaby, podekscytowany nową pracą, wciąż o niej opowiadał. Jego nowe biuro mieściło się tuż obok siedziby premiera, sir Samuela Griffithsa, odtąd więc będzie się obracać w wyższych sferach. Co się tyczy jego nowych obowiązków, miały się one koncentrować na prawie konstytucyjnym, gdyż Queensland było coraz bliższe wejścia do federacji.

— Musimy bardzo uważać, by po przystąpieniu do federacji nasza kolonia nie została pozbawiona należnych jej praw — tłumaczył Phoebe, a ona starała się słuchać, w myślach przygotowując swoją własną niezwykle ważną przemowę.

W końcu wszakże jej nie wygłosiła. Być może sprawił to szampan, a może zdenerwowanie, w każdym razie po prostu wyrzuciła to z siebie. Ledwo słyszała, jak Barnaby mówi, że zanim podejmie pracę, pojedzie odwiedzić rodziców. Mieli małą farmę na wybrzeżu, zaledwie osiemdziesiąt mil od Brisbane. Zamierzał im o wszystkim sam opowiedzieć, nie wątpił, że będą wniebowzięci. Tak istotną wiadomością nie chciał się z nimi dzielić listownie.

— Barnaby — odezwała się nagle Phoebe. — Ożenisz się ze mną?

Przerwał w połowie zdania i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Co powiedziałaś?

— Przecież słyszałeś — wyszeptwała, bawiąc się nerwowo chustą. Był pewien, że się z nim droczy, zdobył się więc na uśmiech.

— Nie przypuszczałem, że mój awans zrobi na tobie aż takie wrażenie. A co mi proponujesz, kiedy zostanę ministrem sprawiedliwości?

8 Ognie fortuny

113

PATRICIA SHAW

— Mówię poważnie. Nie żartuj sobie.

Barnaby przyjrzał się jej uważnie. W zasadzie powinien się radować, że jego marzenie o małżeństwie z tą piękną dziewczyną ma szansę w końcu się ziścić, lecz rozsądek podpowiadał mu, że nic z tego nie wyjdzie. Na czoło wystąpiły mu kropelki lodowatego potu, a on wciąż walczył z przemożną chęcią, by wziąć ją w ramiona i po prostu powiedzieć „tak”.

Zamiast tego ujął drobne dłonie, które wciąż bawiły się cieniutką chustą.

— Skąd ten pomysł? — spytał.

— Myślałam, że mnie kochasz.

— Phoebe, kocham cię i Bóg jeden wie, jak bardzo pragnąłem ci to wyznać. Tylko czy ty mnie kochasz? Powiedz mi prawdę.

— Uraziłam cię. Nie powinnam być taka bezpośrednia. Będziesz miał mnie teraz za kompletną idiotkę.

— Wcale nie. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Wzburzona, wyrwała dłonie z jego uścisku.

— Skąd mam wiedzieć? Wydaje mi się, że tak. Oczywiście, że tak, w przeciwnym razie nie zadałabym tego idiotycznego pytania i nie naraziła się na śmieszność.

— Phoebe, kochana. Na nic się nie naraziłaś. Po prostu wydaje mi się, że ten pomysł przyszedł ci do głowy pod wpływem chwili i że być może jutro będziesz żałować tego, co powiedziałaś.

— Wspaniale! A więc dajesz mi kosza!

— Nie, wcale nie. Chętnie wziąłbym z tobą ślub choćby nawet jutro, ale uważam, że potrzebujesz trochę czasu, by to dokładnie przemyśleć.

Nie dodał, że obawia się, iż przemawia przez nią wypity szampan. Przez cały wieczór sprawiała wrażenie podenerwowanej i wlewała w siebie trunek niczym sok.

Wzruszyła ramionami.

— Dobrze. Skoro tak chcesz, przemyślę to.

— No, nie musisz od razu tracić humoru. Uśmiechnij się, proszę. Przenieśli się na rufę i stali przy barierce, wpatrzeni w biały kilwater, burzący lśniąca aksamitną powierzchnię wody. Oboje byli zatopieni we własnych myślach, Barnaby wyrzucał sobie, że przepuścił być może największą okazję swego życia, Phoebe natomiast nie mogła sobie darować, że wszystko tak pokomplikowała. Nie spodziewała się, że Barnaby spyta ją prosto z mostu, czy go kocha, a przecież wcale nie była tego pewna. Lubiła go. Czy to za mało?

114

OGNIE FORTUNY

Jakaś kobieta stojąca za nimi z grupą przyjaciół roześmiała się na głos, a Phoebe aż podskoczyła. Ten śmiech bardzo przypominał śmiech jej matki.

Kiedy zeszli na ląd, Barnaby chwycił ją za ramię.

— Może porozmawiamy, jak wrócę z wakacji?

— Dobrze, Barnaby. Tak, dziękuję ci — odparła, lecz jej głos był bardzo odległy i bardziej przypominał westchnienie.

Innym gościem, który do końca życia nie zapomniał przyjęcia urodzinowego Phoebe, był Benjamin Buchanan. Nie zamierzał darować Edgarowi Thurlwellowi dotkliwego upokorzenia.

Aż do tego dnia Benowi się zdawało, że jego życie toczy się dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Jego sytuacja finansowa bardzo się poprawiła, mimo że susza nadal doskwierała farmie i według Clary powodowała coraz większe spustoszenie wśród bydła.

— Prędzej czy później zaczniesz padać — uspokajał ją, nie zgadzając się na sprzedaż stada po obniżonej cenie. Urodzony i wychowany na północy, gdzie pora deszczowa była naturalną kolejną rzeczą, wciąż nie przyjmował do wiadomości, że susza może trwać przez całe lata. W ciągu zaledwie paru lat Ben Buchanan stał się znaczącą postacią w parlamencie, choć nadal pozostawał w opozycji do partii premiera. Okazał się dobrym zdecydowanym mówcą, popularnym zarówno pośród innych parlamentarzystów, jak i w kołach finansjery, związanych z górnictwem i hodowlą, albowiem bronił ich interesów z uporem, którym zjednał sobie przyjaciół po obu stronach Izby.

Nawet sam premier zaprosił go kiedyś na pogawędkę.

— Wydaje mi się, panie Buchanan, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Powinniśmy połączyć siły.

Benowi schlebiała ta propozycja, wiedział jednak, że musi mieć się na baczności.

— Pan wybaczy, sir, ale pańska determinacja, by włączyć Queens-land do federacji, jest dla mnie niezrozumiała. To zbyt wielkie ryzyko. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo niepopularny byłby taki ruch. Dyskusje ciągną się już tak długo, że wszyscy mają dosyć tego tematu. To naprawdę próżny wysiłek.

— Wiem, że pańscy ludzie są przeciwni tej idei, ale życzyłbym sobie, byście spojrzeli na nią nieco szerzej. Dzięki temu moglibyśmy stać się jednym państwem. Narodem! Australia miałaby szansę zdobyć sobie należną jej pozycję w świecie, a wszystkie nasze narodowości

115

PATRICIA SHAW

nazywano by po prostu Australijczykami. Dostają dreszczy, kiedy słyszę, jak niektórzy nazywają się Anglo-Australijczykami.

— Dlaczegoż to? Przecież właśnie nimi jesteśmy. Moi rodzice byli Brytyjczykami.

— Ale urodził się pan tutaj. To pańska ojczyzna. Dlaczego nie chce pan tego zaakceptować? Ben dobrze znał tę śpiewkę. Dosiedział do końca tego wykładu, po czym grzecznie przeprosił i wyszedł. Zjednoczenie stało się obsesją Griffithsa, na tyle silną że gotów był sprzedać Queensland silniejszym południowym koloniom. Przyłączenie się do jego drużyny oznaczałoby — Ben nie miał co do tego żadnych wątpliwości — polityczne samobójstwo.

Bawiło go, że na przyjęciu u Phoebe Thurlwell znalazł się w centrum zainteresowania dam. A były wśród nich wyjątkowe piękności. Wychodził z siebie, by je rozbawić, z kilkoma zatańczył, ignorując gniewne spojrzenia Lalli.

Kiedy w końcu udało się jej do niego zbliżyć, szepnęła:

— Robisz z siebie głupca, flirtując z tymi wszystkimi idiotkami.

— Moja droga — mruknął w odpowiedzi — przecież nie możemy sobie pozwolić, by widziano nas razem. Musimy zachować niezbędne środki ostrożności.

Jednakże kochanka nie dała się udobruchać.

— Mógłbyś spędzać nieco więcej czasu w palarni, z innymi mężczyznami. Przynajmniej umocniłbyś swoją pozycję.

— Nie potrzebuję — uśmiechnął się. — Chyba zasługuję na chwilę wytchnienia. Najpóźniej w przyszłym tygodniu zostanę liderem opozycji. Mogę liczyć na wystarczająco dużo głosów.

— W tej zbieraninie? Na twoim miejscu nie byłabym tego taka pewna.

Buchanan skłonił się przechodzącej damie.

— Nie nadążasz za biegiem wydarzeń, moja droga — rzekł cicho do Lalli.

— Czyżby? — warknęła. — Czy możesz mi w takim razie wyjaśnić, dlaczego Edgar popiera Royce'a Daviesa?

Ben podszedł do Edgara, który rozmawiał z jednym z przyjaciół Phoebe, niejakim Barnabym Gassonem. Na szczęście chłopak od razu zrozumiał, że powinien się oddalić.

— Podobno popierasz kandydaturę Royce'a Daviesa na lidera opozycji? — zaatakował Ben.

— Przecież to socjalista.

Edgar posłał mu lodowate spojrzenie.

116

OGNIE FORTUNY

— Ten człowiek sam nie ma pojęcia, kim jest. A socjalisty nie rozpoznałby, nawet gdyby na niego nadepnął.

— Posłuchaj, Edgarze. Socjalista pozwoli ci zbudować linie kolejowe, a potem w imieniu ludu skonfiskuje je, nie pytając o zgodę.

— Dajże spokój, Ben — westchnął Edgar, paląc cygaro. — Zastanów się, co opowiadasz.

Żeby do tego doszło, musielibyśmy mieć rząd złożony z samych socjalistów, a to na szczęście nierealne. Nie wiem, dlaczego tak się denerwujesz.

— Denerwuję! — Ben zniżył głos i opadł na krzesło obok Edgara. — Dobrze wiedziałeś, że staram się o tę funkcję. Celowo podkopujesz moją pozycję.

— A masz przewagę?

— Tak, ale twoja ingerencja może zmienić układ sił i wtedy przegram.

— To niestety nieuniknione ryzyko. Z wiarygodnych źródeł wiem, że Davies skłania się ku porozumieniu z partią rządzącą. Chyba nie możemy na to pozwolić? Nigdy nie wiadomo, kogo taki Royce za sobą pociągnie.

Ben wpadł w furję.

— To już sprawa parlamentarzystów i tobie nic do niej. Nie pozwolę na takie ingerencje. Edgar skrzywił się i zgasił cygaro.

— Waż słowa, Buchanan. I nie opowiadaj mi andronów o ingerencji. Nie mówiłeś o niej, kiedy kupiłem ci stołek w Izbie. Nie przeszkadzała ci też, kiedy zostałeś członkiem zarządu Southern Coal Mining, z czego, o ile dobrze się orientuję, czerpiesz całkiem spore dochody.

— Doceniam to, ale...

— Jeszcze nie skończyłem — warknął Edgar. — Zbijasz majątek na udziałach w kolejach, które dostałeś tylko dzięki mojej szczodrości, zwłaszcza odkąd wystawiliśmy akcje na sprzedaż. Mam więc chyba prawo oczekiwać wdzięczności i lojalności.

— I możesz na nią liczyć — syknął Ben. — Ale gdybym został liderem opozycji, miałbyś znacznie większą swobodę działania niż w przypadku Royce'a Daviesa.

— To prawda, Ben, ale ty już jesteś po mojej stronie. Davisa muszę dopiero okiełznać. I unieszkodliwić. Jest tak podekscytowany, że nawet zamówił sobie porządny garnitur.

Pierwszy w życiu.

— I uważasz, że jeśli zostanie liderem opozycji, będzie unieszkodliwiony?

117

PATRICIA SHAW

— Naturalnie. Ten facet już padł na kolana. Choć gada coś o ideałach, jest tak samo głodny sukcesu jak wy wszyscy.

Aluzja była czytelna, Ben na chwilę aż zaniemówił. Na szczęście pojawił się kelner z szampanem.

— Nie podchodź do tego tak poważnie, Ben — odezwał się Edgar z krzywym uśmiechem.

— Możesz zostać jego zastępcą.

— Twoje niedoczekanie — wybuchnął Buchanan. Edgar wzruszył ramionami.

— Jak chcesz. Wszystko albo nic. Dałem ci posadę w zarządzie i w każdej chwili mogę cię z niego usunąć. — Pochylił się w jego stronę.

— Chyba nie chciałbyś, żeby po mieście rozniosła się wieść, z kim romansujesz? Wiesz, nie zamierzam zdradzać tej tajemnicy, ale mój kochany brat jest w Brisbane bardzo popularny, a poza tym aż trzęsę się na myśl, jak zareagowałaby twoja teściowa, gdyby się o wszystkim dowiedziała. Stara jędra gotowa byłaby zacząć się na ciebie ze śrutówką. — Gestem przywołał parę, która właśnie weszła do salonu.

— A teraz, mój drogi, idź już i baw się dobrze.

Obecnie Ben był zastępcą lidera opozycji, składającej się z indywidualności nie mających ze sobą wiele wspólnego i absolutnie nie zgranych, między innymi z powodu braku przywódcy, albowiem Royce Davies, szczęśliwy, że znalazł się w centrum nie zasłużonego zainteresowania, z całą pewnością nim nie był.

Ben zdawał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę Edgara, i ucieczka z niej nabrała dla niego pierwszorzędного znaczenia. Koniecznie musiał wydostać się ze sfery wpływów tego człowieka. Pierwszym ruchem było oczywiście zerwanie z Lallą. Oświadczył jej, nie podając żadnego powodu, że między nimi wszystko skończone, i konsekwentnie ignorował błagalne listy, które jednak zachował na czarną godzinę. Opuścił wynajęte mieszkanie, na pewien czas sprowadził Clare do miasta i ku radości swej teściowej, Belle Foster, kupił dom niedaleko jej posiadłości na spokojnych przedmieściach Hamilton. Podczas zimowej przerwy w obradach pojechał na farmę, gdzie wstrząśnięty obrazem zniszczeń pracował ciężiej niż kiedykolwiek dotąd, kopiąc studnie w szaleńczych poszukiwaniach wody. Posłał poganiaczy z bydłem na tak zwany długi wybieg, licząc, że dzięki temu zwierzęta choć trochę przybiorą na wadze. Zgodnie z jego planami wszystko to zrobiło ogromne wrażenie na Belle Foster. Nastawienie teściowej było bardzo ważne, Ben bowiem uważał, że jedynym sposobem odzyskania kontroli nad własną karierą będzie całkowite przearanżowanie spraw finansowych.

118

OGNIE FORTUNY

Przez pewien czas zastanawiał się, czy nie powiedzieć Belle, że Edgar zagroził mu, że jeśli nie będzie spełniał jego żądań, usunie go z zarządu Southern Coal Mining. Doszedł jednak do wniosku, że jest to kobieta zbyt impulsywna, z całą pewnością zechce obedrzeć Edgara ze skóry. A to oznaczałoby katastrofę. Drżał na myśl, co by zrobiła Belle, gdyby dotarła do niej wiadomość o romansie z Lallą.

Na szczęście w końcu to właśnie ona dała mu możliwość wykonania ruchu.

— Czy nie sądzisz, Ben, że byłoby najlepiej, gdybyś rzucił tę politykę i skoncentrował się na swojej posiadłości?

— Nie mogę. Mama nie zdaje sobie chyba sprawy, jak wielkie spustoszenia poczyniła ta przeklęta susza. Clara zachowuje się tak, jakby wszystko było w porządku, bo kocha Fairmont, ale utrzymanie farmy kosztuje mnie majątek. A nie da się sprzedać ziemi, na której nie ma ani źdźbła trawy. Dlatego koniecznie muszę pozostać w parlamencie, bo w ten sposób mogę liczyć na nominację do zarządu dużej firmy, takiej jak Southern Coal Mining.

— Tak, chyba masz rację — przyznała Belle. — Mam nadzieję, że jako dyrektor otrzymasz odpowiednie wynagrodzenie?

— To następny problem — odparł i uraczył ją kłamstwem, które ćwiczył już od pewnego czasu. — Mam bardzo nieprzyjemne wrażenie, że niektórzy członkowie zarządu pozwalają sobie na cokolwiek podejrzane poczynania.

— Co to znaczy „podejrzane”? Bądź łaskaw używać zrozumiałych słów. Masz na myśli nieuczciwe?

— To bardzo prawdopodobne — wyznał. — Nie jestem na tyle wtajemniczony, by ogłosić to publicznie, nie narażając się przy tym na proces sądowy, tym bardziej jednak mnie to niepokoi.

— Dobry Boże! W takim razie musisz natychmiast złożyć rezygnację.

— Dopóki farma znajduje się w tak fatalnej sytuacji, nie mogę tego zrobić. W Southern dyrekcja zarabia bardzo dobrze. Być może nawet zbyt dobrze — dodał ponuro.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęła Belle Foster. — Nie potrafię zrozumieć, jak wy, młodzi, możecie pakować się w takie tarapaty! Masz natychmiast wycofać się z tego zarządu. Uzasadnij to, jak chcesz, a ja tymczasem spróbuję się zorientować, co da się zrobić.

W zaledwie parę tygodni po odejściu z SCM Ben otrzymał intratną posadę w świetnie prosperującym Browarze Brisbane.

119

PATRICIA SHAW

Prowadził teraz naprawdę dostatnie życie. Pod nieobecność żony opiekowała się nim Belle, uwalniając go od wydatków na organizowanie przyjęć. Jej kolacje, wieczorki towarzyskie i pogawędki były wystawne, acz śmiertelnie nudne, brakowało jej bowiem polotu Lalli Thurlwell. Ponieważ jednak Belle tryskała zadowoleniem, pogodził się ze swoją nową rolą dobrego zięcia. Przynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz.

Dysponując dodatkowymi funduszami, kupował coraz więcej udziałów w Western Railroad Company. Zrządzeniem losu spotkał pewnego Amerykanina, przebywającego w Queensland na zaproszenie parlamentu, który potwierdził wszystko, co Edgar powiedział mu na temat kolei.

— Inwestując w koleje, nie może pan stracić, sir — zapewnił gość.

— Sam sporo na nich zarobiłem. Proszę mi wierzyć, koleje to nie tylko środek transportu, ale również maszyna do produkcji pieniędzy, kopalnia złota na stalowych kołach.

To świeże zainteresowanie akcjami kolei ucieszyło Edgara, który nie skomentował ani słowem jego decyzji o odejściu z Southern Coal Mining, tak więc Ben zdołał zachować dobre stosunki z Thurlwellami, a nawet wytłumaczyć Lalli, że oboje są teraz nazbyt znani, by kontynuować romans, mimo że strasznie za nią tęskni. Było to kolejne kłamstwo — tak naprawdę w skrytości ducha cieszył się, że udało mu się wreszcie uwolnić od jej zaborczości. Jego życie zmieniło się na lepsze, a dziewczyny z Błękitu Niebios dawały mu znacznie więcej rozkoszy, tym bardziej że wiedział, iż właścicielka domu schadzek, znana Goldie, to po prostu chodząca dyskrekcja.

Goldie posiadała sporą stajnię atrakcyjnych dziewcząt, a wśród nich dwie zmysłowe Aborygenki, dwie Chinki i jedną japońską akrobatkę.

Buchanan był jednym z wielu polityków, którzy odwiedzali Błękit Niebios, jednakże jego pociąg do Aborygenek zwrócił uwagę Goldie. Czy ona go już przypadkiem gdzieś nie widziała? I gdzie? Wprawdzie nie miało to najmniejszego znaczenia, ale irytowało ją, że nie potrafi sobie przypomnieć. Była jednak przekonana, że to tylko kwestia czasu. W końcu sobie przypomni. Wszak nie darmo szczyci się świetną pamięcią.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Benny wyszedł na wolność! Wprost nie mógł w to uwierzyć. Bez żadnych wyjaśnień przeniesiono go do więzienia w Brisbane i osadzono w zatłoczonej celi, gdzie czekał, tak przynajmniej sądził, na transport do innych kamieniołomów albo czegoś równie nieznosnego. Cieszył się jednak z tej przerwy i spał, ile tylko się dało, na kocu w kącie celi, reagując agresją na wszelkie próby przeszkadzania mu w tym.

Pozostali więźniowie szybko się nauczyli, że nieroztropnie jest niepokoić tego posępnego mieszańca. Wielki Tom Jenkins przekonał się o tym na własnej skórze, zaczepiając nowo przybyłego, który drzemał w słońcu na spacerniaku.

— Czy ten facet to niemowa? I do tego głuchy? — spytał pozostałych, kiedy Benny zignorował jego próby nawiązania rozmowy. — Przecież on się w ogóle nie odzywa! Powiedz coś, czarnuchu!

Ponieważ Benny nadal nie reagował, Jenkins pchnął go buciorem, przewracając na ziemię. W następnej chwili stłoczyli się wokół nich więźniowie i strażnicy, żeby obejrzeć niebywałe widowisko, albowiem mieszaniec błyskawicznie rzucił krzepkiego Jenkinsa na ziemię. Kompletnie zaskoczony Jenkins zerwał się na równe nogi i próbował podjąć walkę, lecz przeciwnik tylko na to czekał. Chwycił swego prześladowcę i wykręcił mu ramię tak mocno, że ten aż zawył z bólu.

— A teraz odczep się ode mnie! — wrzasnął, wpychając go w otaczający ich tłum. Obawiając się stracić twarz i sławę jednego z największych twardzieli w więzieniu, Jenkins raz jeszcze zaatakował Beckmana serią

121

PATRICIA SHAW

szybkich ciosów, na które ten odpowiedział jednym uderzeniem w żołądek, tak silnym, że olbrzym zgiął się wpół i ponownie padł na ziemię.

— Dołóż mu! Dołóż! — krzyczeli radośnie pozostali więźniowie, spodziewając się, że mieszaniec zwieńczy dzieło kilkoma dobrze wymierzonymi kopniakami. Jednakże ku powszechnemu zaskoczeniu Ben wyciągnął rękę i pomógł Jenkinsowi wstać. Tłum rozszedł się, bardzo zawiedziony.

— Przepraszam — odezwał się Ben. — Za dużo razy sam oberwałem, żeby sprawiało mi przyjemność bicie innych.

— Jezu! Więc ty jednak mówisz! — sapnął Jenkins, zbierając się z ziemi. — Ale walczysz nie fair.

— A co jest fair? — odpowiedział Ben pytaniem.

— Nic, bracie, nic! — roześmiał się Jenkins.

Wiadomość wysłał Jim Donovan, który mozolił się nad nią przez wiele dni, pisząc ogryzkiem ołówka na kawałku papieru. Tym razem nie mógł poprosić nikogo o pomoc, sprawa musiała pozostać w tajemnicy. Chociaż przypuszczał, że większość współwięźniów domyśla się, co spotkało Benny'ego, wołał tego nie wskrzeszać. Zwrócenie się do kogoś z zewnątrz także nie wchodziło w grę, gdyż chłopak, który wciąż bardzo — za bardzo — przeżywał ów incydent, mógłby poczuć się zhańbiony. Był w tak fatalnym stanie psychicznym, że nie rozmawiał nawet z Jimem. W ogóle z nikim nie rozmawiał.

Jim uznał, że najlepiej zrobi, jeśli napisze do Biddy i poprosi ją, żeby odwiedziła sąsiadów i przekazała wiadomość o chorobie chłopaka. Powinni zrobić wszystko, by doprowadzić do jego uwolnienia. Chciał napisać: „żeby został przedterminowo zwolniony”, lecz to sformułowanie przerosło jego umiejętności pisania.

Było tego zaledwie kilka linijek, które jednak bardzo zmartwiły Biddy. Przecież prawie nie znała pani Beckman. Phoebe owszem, czasami nawet tam bywała, ale Biddy nie mogła pokazać tego listu córce pracodawców, gdyż w ten sposób przyznałaby się, że jej ojciec siedzi w więzieniu za morderstwo. Chociaż lubiła Phoebe, wyższe sfery traktowała z dużą dozą nieufności. W końcu nigdy nie wiadomo, na co ich stać.

Przez kilka dni nic nie robiła, później wszakże sumienie zwyciężyło i któregoś wieczora wymknęła się ukradkiem z domu, by spełnić prośbę ojca.

Nieszczęsna Biddy była bardzo zdenerwowana.

122

OGNIE FORTUNY

— Ale nie powie pani nikomu, że mój ojciec też tam jest? — błagała starszą kobietę.

— Nie, kochanie, oczywiście że nie. Twój ojciec musi być bardzo dobrym człowiekiem, niezależnie od tego, co zrobił.

— Czy da pani radę coś załatwić?

— Skoro nasz Ben jest chory, będę musiała — odparła pani Beckman. — Tylko co? Już od tylu lat staram się go stamtąd wydostać.

— A pan Glasson? Przyjaciel panienki Phoebe. On podobno zna pani wnuka.

— Tak. Rano zaraz do niego pójde.

— I nie pozwoli pani, żeby komuś powiedział o tym liście? Tata i ja znaleźlibyśmy się w nie lada tarapatach.

— Nie obawiaj się. Nic takiego się nie stanie — zapewniła pani Beckman i wybuchnęła płaczem. — Czuję się taka bezużyteczna. Chyba zawiodłam Diamond. Odkąd umarła i ta straszna rzecz spotkała Bena, nie wydałam prawie nic z jej pieniędzy. Trzymam je wszystkie dla niego. Zarabiam na życie, robiąc te kwiaty do kapeluszy. — Wskazała stół, na którym leżały jedwabne dowody jej pracowitości. — I szyję kaftaniki dla niemowląt.

Biddy wzięła do rąk prześlicznie haftowaną szatkę do chrztu.

— Och, pani Beckman, jaka piękna!

Pochłonięta podziwianiem robótek sąsiadki i marzeniami, żeby samej nauczyć się tak wspaniale szyć — pewnie, otworzyłyby wtedy własny zakład! — nie zwróciła uwagi na wzmiankę o pieniądzech Diamond. Przypomniała sobie o niej dopiero po drodze do domu, kiedy na palcach wchodziła do pokoi służby. Pieniądze Diamond? To przecież kompletna bzdura. Diamond była czarna, a czarni nie mają pieniędzy. „Być może — pomyślała Biddy — byłam tak zajęta własnymi obawami, że coś źle zrozumiałam.” W każdym razie zrobiła, co do niej należało, i koniec.

Barnaby zupełnie nie miał czasu, był to jego ostatni tydzień pracy u Josepha Mantrella, lecz widząc zdenerwowanie pani Beckman, zgodził się z nią porozmawiać.

— Niezależnie od tego, co panią sprowadza — rzekł — jestem pewien, że pan Mantrell będzie mógł się tym zająć.

— Nie, nie — wyszeptała. — Mam wiadomość, ale bardzo poufną, i chciałabym, żeby pan mi pomógł. Musi pan to dla mnie zrobić. Dowiedziałam się, że Ben jest chory i koniecznie trzeba załatwić, żeby przeniesiono go do szpitala.

— Dobrze — odparł. — Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

123

PATRICIA SHAW

Kilka dni później, zaraz po wyjściu z pracy, odwiedził panią Beckman.

— Sam nie wiem, czy to dobra wiadomość czy zła, ale Ben nie jest chory. Wprost przeciwnie, jest zdrowy jak ryba.

— To nieprawda! — wykrzyknęła Oma Beckman. — Oni kłamią! Pokażę panu list, który dostałam, tylko musi mi pan obiecać, że nikomu nie powie, kto jest jego autorem.

— Kto to napisał? — spytał Barnaby, przeczytawszy skrawek papieru.

— Nazywa się Jim Donovan.

— A kto to jest Biddy? Adresatką jest jakaś Biddy.

— Tego nie mogę zdradzić. Ale ufam temu człowiekowi bardziej niż strażnikom. Zapłacę panu, panie Glasson, niech pan spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej.

Zanim Barnaby zdołał w końcu dotrzeć do Jima Donovana, skończył pracę u Josepha Mantrella i powinien był jechać do rodziców. Doszedł jednak do wniosku, że jeśli posiedzi w Brisbane o parę dni dłużej, nic złego się nie stanie. Wsiadł na barkę płynącą w dół rzeki do Pitts Landing, a tam jakiś znudzony brygadzysta powiedział mu, że jeśli poczeka, ma szansę spotkać Donovana, który powinien się zjawić z nowym ładunkiem piaskowca. Barnaby czuł się niezręcznie, stał bowiem wygodnie w cieniu, podczas gdy zakuci w kajdany, wychudzeni więźniowie chodzili tam i z powrotem, ładując na barkę bloki piaskowca. Miał tylko nadzieję, że nie ma wśród nich Beckmana. Ruszył drogą i po chwili zatrzymał nadjeżdżający wóz.

— Zna pan Jima Donovana?

— To ja—odparł mężczyzna, a Barnaby uważnie mu się przyjrzał. Był to drobny mężczyzna o szczeciniastych siwych włosach i ogorzałej twarzy, a jego uśmiech wydawał się, przynajmniej jak na uśmiech mordercy, wyjątkowo łagodny. — Co mogę dla pana zrobić?

— Chciałbym porozmawiać o Benie Beckmanie.

— Aha, rozumiem. W takim razie niech pan lepiej wróci na nabrzeże. Nie mogę się tutaj zatrzymać, bo szpicle zaraz zaczną podejrzewać, że próbuję ukraść ich wspaniały piaskowiec. Pociągnął za wodze i dwa wielkie konie ruszyły. Donovan miał bardzo mało czasu. Podbiegł do Barnaby'ego, kiedy inni więźniowie rozładowywali wóz.

— Kim pan jest?

— Adwokatem Beckmana.

124

OGNIE FORTUNY

Donovan uniósł krzaczaste brwi.

— To ci dopiero — odrzekł zaskoczony. — Nigdy bym nie pomyślał, że tego chłopaka stać na wynajęcie adwokata. Ale to dobrze. Niech pan robi, co do pana należy, i załatwi chłopakowi zwolnienie. Jest naprawdę chory.

— Panie Donovan, dowiadywałem się o niego i poinformowano mnie, że jest zdrowy jak ryba. Więc w czym rzecz?

Więzień rozejrzał się niespokojnie dookoła.

— Jak ktoś się będzie pytał, powie pan, że rozmawialiśmy o mojej sprawie, dobra?

— Zgoda. Ale chcę znać prawdę.

— No to ją pan pozna, chociaż Benny nie będzie z tego zadowolony. To nie jest coś, o czym mężczyzna chciałby opowiadać. Benny jest naprawdę chory. Chory na głowę. Z rozpacz. Siedzę tu już od dawna i nie raz widziałem takie oznaki. On nie wytrzyma i będzie go cholernie szkoda.

— Czy on oszalał? — Barnaby'emu więzienie wydawało się miejscem, w którym młody chłopak w rodzaju Bena z pewnością może postradać zmysły.

— Pan by tego nie zauważył. Ale on miał kłopoty, i to bardzo poważne. Jest dość silny, by wytrzymać chłostę albo długie dni tego piekielnego karceru...

— O dobry Boże! — jęknął Barnaby, myśląc o chłopięcej twarzy, którą widział przed laty.

— Ale tu nie o to chodzi.

Barnaby był wstrząśnięty i oburzony, kiedy Donovan opowiedział mu o tym, co się zdarzyło w chacie Bulla Bakera. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

— To prawda — zapewnił Donovan. — Dlatego musi pan coś zrobić, żeby go wypuścili. Warto go uratować, bo to naprawdę dobry chłopak. Ale niech pan pamięta, że nie byłby mi wdzięczny za to, że panu powiedziałem. Muszę już iść.

Barnaby wyjął z kieszeni kilka pudełek z tytoniem.

— To dla pana, panie Donovan. I dziękuję. Zrobię, co w mojej mocy.

Przez całą drogę do domu Barnaby rozmyślał nad tą sprawą i zdawało mu się, że słyszy głos Diamond powtarzającej, że na pewno jest jakiś sposób. „Pięćdziesiąt funtów kupi mojemu synowi przyjaciela na policji — brzmiało mu w uszach. — Pan tylko pomaga sprawiedliwości.”

125

PATRICIA SHAW

Dopóki pracował u Mantrella, nie miał prawa się wtrącać i nigdy by się zresztą nie ośmielił. Lecz przecież od kilku tygodni był panem własnego losu. Z niepokojem myślał o tym, co być może będzie musiał zrobić, i sam siebie chciał przekonać, że lepiej zaczekać, aż zacznie prace w ministerstwie, i wtedy spróbować załatwić tę sprawę legalnymi kanałami. To by jednak trwało. A gdyby przegrał, sprawa na długo przylgnęłaby do niego, stawiając całą jego karierę pod ogromnym znakiem zapytania. Żadne łapówki też by nie wchodziły w grę. Drżał na samo wspomnienie tego słowa. A równocześnie drżał na wspomnienie tej zmarłej kobiety, całkiem jakby stała tuż obok niego. Jakby go nawiedziła. Czując się jak przestępca, odbył z panią Beckman rozmowę na temat możliwości uwolnienia Bena.

— Szanse są znikome, ale mogę spróbować — rzekł.

— Więc niech pan to zrobi — odparła. — Jak najszybciej. Skoro mój chłopak jest chory, powinien być tutaj, ze mną.

Barnaby odchrząknął i w końcu wyrzucił to z siebie.

— To, o czym mówię, jest nielegalne, proszę pani.

— A czy było legalne, kiedy wsadzili go na tyle lat do więzienia? Barnaby westchnął.

— Pani Beckman, to będzie kosztowało dużo pieniędzy. Obawiam się, że bardzo dużo. I proszę mi wierzyć, że ja nie wezmę ani pensa. Trzeba działać bardzo ostrożnie, a pani musi to dokładnie przemyśleć. Zastanowić się...

— Ile? — spytała z nagłym zdecydowaniem.

— Znam policjanta, który byłby gotów pomóc za pięćdziesiąt funtów, ale obawiam się, że na tym się nie skończy.

— Powiedzmy pięćset — odparła pośpiesznie. — A jeśli będzie trzeba więcej, dostanie pan.

Dolan zdążył już awansować na sierżanta. Zapraszając go na parę kieliszków do Valley Pubu, młody prawnik uświadomił sobie, że ma do czynienia z katolikiem. Natychmiast doszedł do wniosku, że wtajemniczenie Dolana w szczegóły może się okazać najskuteczniejszym sposobem, zwłaszcza jeśli ma on rodzinę.

— W domu wszystko w porządku? — spytał, starając się zdobyć niezbędne informacje.

— Świetnie, dziękuję.

— Masz już dzieci?

— Czterech silnych chłopaków — odparł dumnie Dolan.

— W takim razie chciałbym ci coś opowiedzieć.

126

OGNIE FORTUNY

Tak jak Barnaby przypuszczał i na co bardzo liczył, Dolan był oburzony.

— Jezu! Co za bydlę! Nie wiedziałem, że Buli Baker to taki szubrawiec. A niech zgnije w piekle!

— Tak. O nim możemy zapomnieć, ale chłopak jest zdruzgotany.

— A ty byś nie był? Na Boga, niechby taki Baker albo podobna kanalia tknęła moje dziecko...

— W takim razie chyba sam rozumiesz, że musimy go stamtąd wyciągnąć.

— Aha! Zastanawiałem się, po co mi to opowiadasz. Co to za dzieciak?

— Ten sam co wtedy. Ben Beckman.

— Czy ty wiesz, o co prosisz? To niepoprawny buntownik.

— Już nie, Ray. Baker go złamał. A poza tym dzieciaka wsadzili za to, że stłukł kilka szyb. Nie zasłużył na taki los. Niczyj syn na coś takiego nie zasługuje — dodał. — A jego rodzina gotowa jest zapłacić, byleby tylko go uratować. Zależy im, żeby cała ta historia pozostała tajemnicą.

— Pewnie — zgodził się Dolan. — To się da zrobić, ale będzie kosztować.

— Na początek pięćdziesiąt dla ciebie. A potem ile będzie trzeba.

— U nich chyba pieniądze rosną na drzewach.

— A ty nie zrobiłbyś tego samego dla swojego syna?

— Jasne, że bym zrobił. Trzeba będzie posmarować w sądzie. No i podać jakiś powód.

— To proste. Przedterminowe zwolnienie za dobre sprawowanie. Następne pięćdziesiąt funtów dla kogoś z więzienia, kto napisze odpowiednią opinię i raport. Wszystko musi być związane na ostatni guzik. Tylko błagam cię, nikt nie może się dowiedzieć, że mam z tym wszystkim cokolwiek wspólnego.

— A ty co będziesz z tego miał?

— Nic. Znałem jego matkę. I mam takie dziwne uczucie, że gdybym teraz, kiedy wiem, co go spotkało, nie pomógł mu, do-sięgnęłaby mnie nawet z zaświatów.

Dolan roześmiał się.

— Chyba cię nawiedziła. Ile masz przy sobie?

— Dwieście.

— Powinno wystarczyć. — Dolan dopił piwo i wstał. — Jeszcze jedno dla mojego przyjaciela — odezwał się do barmana, kładąc na ladzie kilka monet, po czym poklepał Barnaby'ego po plecach.

127

PATRICIA SHAW

— Musisz się jeszcze sporo nauczyć, bracie. Tą sprawą zająłbym się nawet za darmo, ale za innych nie mogę ręczyć.

Nie poznała go, brudnego, bosego włóczęgi, który zapukał do jej drzwi i stał skromnie w progu.

Już miała spytać, co go sprowadza, kiedy z jej oczu popłynęły strumienie łez.

— Matko Boska, to mój Ben! I pomyśleć, że przyszło ci pukać do własnych drzwi! Aleś ty wyrósł... — Oma płakała z radości i smutku. — No, no! Masz już chyba ponad sześć stóp wzrostu. Ale w końcu twoja matka...

Bez słowa wziął ją w ramiona i mocno przytulił, rozkoszując się niemal zapomnianym aromatem lekko perfumowanego mydła oraz magicznym zapachem domu.

Siedzieli przy kuchennym stole, Oma opowiadała, a on słuchał. Po prostu siedział, jadł cudownego kurczaka na zimno i grube kromki świeżego chleba i słuchał, słuchał. Bo przecież w gruncie rzeczy sam nie miał wiele do opowiedzenia. Cóż mógł powiedzieć tej kochanej kobiecie o minionych kilku latach poza krótkim: „Jakoś minęło”.

Za to Oma szybko zabrała się za niego.

— Przede wszystkim przygotuję ci gorącą kąpiel, żebyś zmył z siebie ten brud. Później spokojnie się wyśpisz, a ja przyszykuję przyzwoitą kolację. Jesteś stanowczo za chudy, muszę cię utuczyć. No i będą ci potrzebne ubrania. Sprowadzę krawca, żeby wziął miarę.

— Mogę przecież iść do sklepu.

— O nie, nie, nie. Będziesz miał najlepsze ubrania, chociażby po to, żeby sprawić mi przyjemność. A teraz szykuj się do kąpieli. W twoim pokoju wszystko wygląda tak, jak kiedy byłeś w nim po raz ostatni.

„Łóżko — pomyślał. — Prawdziwe łóżko. W końcu." Wymoczywszy się w gorącej wodzie, przespał całą noc, ale obudził się o świcie, niespokojny i zdezorientowany. Upłynęła jeszcze cała rzeka czasu, zanim zdołał w końcu uwolnić się od demonów, które nawiedzały jego sny, wskrzeszały wspomnienia o najgorszych chwilach w więzieniu i sprawiały, że budził się roztrzęsiony i przerażony. Nawet gdy jego szafa wypełniła się już ubraniami, z jakich dumny byłby każdy mężczyzna: nowymi butami, surdutami z aksamitnymi klapami i jedwabnymi koszulami, Ben nadal przesiadywał całe dni w domu, aż w końcu Oma stwierdziła, że powinien gdzieś pójść i się zabawić.

128

OGNIE FORTUNY

— Jestem z ciebie taka dumna, Ben. Jak tylko trochę utyjesz, będzie z ciebie nie lada przystojniak. Musisz rozpocząć normalne życie.

Pomimo oporów Ben zgodził się z Omą, nie chciał bowiem psuć jej humoru mówieniem, że przecież nie ma żadnych przyjaciół, że na pewno nikt go już nie pamięta.

— Mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś mi pożyczyć trochę pieniędzy? Chciałbym kupić konia.

— Pożyczyć? — wykrzyknęła. — A cóż to ma znaczyć? Przecież to wszystko należy do ciebie. Dom również. Żyliśmy za pieniądze Diamond. Pochodziły ze sprzedaży złota, które znalazła, pamiętasz? Zostawiła mi je pod opieką, ale one są twoje. Nie jesteś biedakiem, Ben. Przez pierwszy tydzień był tak oszołomiony wolnością oraz krzątającymi się wokół niego krawcem i jego czeladnikami, że w ogóle nie myślał o pieniądzach. Dopiero teraz przypomniał sobie zagadkową uwagę jednego ze strażników, który stwierdził, że został wykupiony.

— Czy dałaś łapówkę, żeby mnie wypuścili? — spytał.

— Tak. I to niejedną. Gdybym musiała, zrobiłabym to jeszcze raz — odparła z uśmiechem.

— Dziękuję ci, Oma. Jestem ci bardzo wdzięczny. Ale to musiało sporo kosztować. Musiałaś też za coś żyć przez te lata. Możesz mi powiedzieć, ile pieniędzy zostało?

— Wliczając akcje i wszystkie inne solidne inwestycje, pan Man-trell twierdzi, że masz około jedenastu tysięcy funtów. Są zapisane na moje nazwisko, ale należą do ciebie, Ben. Pokiwał głową oszołomiony. Jedenaście tysięcy. To przecież fortuna. Trudna do ogarnięcia. Zastanawiał się, ile warci są Thurlwel-lowie. Na pewno więcej, dużo więcej.

Oma źle zrozumiała jego milczenie i posmutniała.

— Robiłam, co mogłam. Jak najszybciej przepiszę wszystko na ciebie.

Ben przytulił ją i ucałował.

— Nie, wybacz mi. Nie o tym myślałem. Zastanawiałem się nad czymś innym. Chcę, żeby wszystko zostało tak, jak jest. Ja muszę sam zarobić na życie.

Musiał zarobić więcej, dużo więcej. Choć jeszcze nie wiedział jak.

— W takim razie będziemy je nazywać naszymi pieniędzmi, dobrze? A jeśli będziesz ich potrzebował, części czy nawet wszystkich,

9 Ognie fortuny

129

PATRICIA SHAW

po prostu mi powiesz. Przecież nie możesz chodzić z pustymi kieszeniami.

W pokoju Diamond Oma urządziła sobie niewielki warsztat krawiecki. „To takie moje hobby” — tłumaczyła Benowi. Jemu ten pokój wydawał się smutny i przygnębiający. Kiedy poczuł się na tyle silny, żeby myśleć o matce, poszedł na skały przybrzeżne dokonać symbolicznego aktu pożegnania. Dowiedział się o tym rytuale od Aborygenów, których poznał w więzieniu. Wiedział, że nadszedł czas, by skończyć z „płaczem”.

Wiał porywisty wiatr od morza, niosący krople deszczu, lecz Ben stał bez ruchu, rozkoszując się wolnością. Nad jego głową skrzeczały stada szukających schronienia ptaków, w dole płynęła rzeka. Magia ustąpiła. Już go nie interesowała.

Z uczuciem ulgi uświadomił sobie, że potrafi teraz myśleć o Diamond z dumą, bez tamtej bezbrzeżnej rozpacz, i doszedł do wniosku, że Aborygeni mieli rację. Jednakże pozostało w nim jeszcze coś. Odwrócił się i spojrzał ku imponującej posiadłości za płotem.

— Obiecuję ci, Diamond, że za to zapłacę. Jak mi Bóg miły, zapłacę!

Po siódłami O'Neilla pozostało jedynie wspomnienie, za to stajnie wciąż funkcjonowały, co więcej, bardzo się rozrosły. Prowadziły do nich wybiegi otoczone pomalowanym na biało ogrodzeniem.

Ben wyszedł na wybrukowane podwórko, gdzie zaczepił go jakiś młody stajenny.

— Szuka pan kogoś, psze pana?

— Nie. Chciałbym kupić konia.

— Hej, Cash! — krzyknął chłopak. — Jest tu facet, który chce kupić konia.

Z biura wyłonił się Cash O'Neill. Wcale się nie zmienił. Nadal miał tak samo kręcone włosy i ten sam frantowski błysk w oku.

— Chodzi panu o konia? W takim razie dobrze pan trafił. Ile jest pan gotów zapłacić?

— Jeszcze się nie zdecydowałem.

— I bardzo słusznie, to najlepszy sposób. No to chodźmy.

Ben ruszył za Cashem i spokojnie patrzył, jak pomocnik stajennego wyprowadza z boksu wspaniałego ogiera, który tańczył i stawał dęba, wyraźnie niezadowolony, że przerwano mu odpoczynek po porannym biegu. Ben uśmiechnął się do siebie na myśl, że najprawdopodobniej jest to najdroższy koń w całej stajni.

130

OGNIE FORTUNY

— Widział pan kiedyś lepszego? — mówił Cash. — Oto koń dla prawdziwego mężczyzny, istny ogień. Trzylatek, zaniesie pana, dokąd pan tylko zechce.

— Nie. Za bardzo rzuca się w oczy. — Ostatnia rzecz, na której Benowi zależało, to zwracać na siebie uwagę. — Chcę zwykłego silnego konia.

— Nie ma sprawy. Jeszcze nigdy nie odprawiłem klienta z kwitkiem. Lenny, przyprowadź Majora. — Zwrócił się do Bena. — Człowiek pańskiej postury na pewno nie chce jeździć na kucyku. Major ma już cztery lata, ale jest wyjątkowo silny i wytrzymały. — Przerwał i spojrzał na Bena. — Czy my się przypadkiem nie znamy?

— Tak. Pracowałem tutaj.

Cash cofnął się o krok i uważnie przyjrzał klientowi.

— A niech mnie licho! Przecież to Benny! Benny Beckman! Gdzieżeś ty był przez te wszystkie lata?

Ben zawahał się, stwierdził jednak, że nie ma sensu kłamać. Wszak Brisbane to niewielkie miasto.

— W więzieniu — odparł cicho.

— Rzeczywiście! Mój starszy, świeć, Panie, nad jego duszą, uważał, że to skandal.

Podobno wyrok był cholernie niesprawiedliwy.

— Nie żyje?

— Atak serca. Za miesiąc miną dwa lata. Jestem tu teraz szefem. Pozbyłem się tej przeklętej siodłami i rozbudowałem stajnie. Jak ci się podoba?

— Robi wrażenie. Trenujesz konie wyścigowe?

— Jasne. Przez nie ciągle brakuje mi pieniędzy. Ale i tak je Kocham.

Lenny przyprowadził imponującego kasztana.

— To właśnie Major. To dobry koń, Benny. Nie sprzedałbym ci byle szkapę. Jest trochę dziki, lepiej więc nie ufaj tym jego pięknym oczyskom. Jeśli nie będziesz miał się na baczności, możesz być pewien, że skorzysta z pierwszej okazji, by wbić w ciebie zęby. Sprzedam ci go za trzydzieści.

— A więc powiadasz, że jest źle ujeżdżony? — Ben zawiesił głos.

— Dam dwadzieścia pięć.

— Stoi, w końcu czego się nie robi dla przyjaciół.

W biurze dokonali transakcji, a Ben dokupił jeszcze pled, siodło i uprząż.

— Przez jakiś czas będę musiał trzymać go u ciebie — powiedział.

— Nie mam stajni.

131

PATRICIA SHAW

— W porządku — pokiwał głową Cash. — Pięć szylingów tygodniowo z żarciem. Wiesz, jak tu jest. Najwyższa jakość. — Wyjął butelkę whisky. — Napijmy się.

— Nie piję — odparł Ben. Cash roześmiał się.

— Nie przypuszczam, żeby w więzieniu prowadzili bar. Ale jednego możesz wypić.

Rozluźnij się, Benny, coś taki spięty?

— Nie. W więzieniu widziałem, co alkohol potrafi zrobić z czarnymi.

— Z czarnymi! To ci dopiero! Przecież ty jesteś prawie biały. Nie chciałbym cię obrazić, bo nie ulega wątpliwości, że płynie w tobie trochę aborygeńskiej krwi, ale jesteś stanowczo za jasny, żeby nazywać się czarnym.

Ben był wdzięczny Cashowi za szczerość, niemniej nie mógł się z nim zgodzić.

— Moja matka była czarna i szczyliła się tym, a ja nie chcę sprawić jej zawodu.

— Za to twój ojciec był biały — zauważył Cash. — Do niego nie czujesz lojalności?

— Nie wiem — odparł Ben z zadumą. — Nigdy o tym nie myślałem. Umarł, kiedy byłem małym brzdącem.

Po trzeciej whisky Cash wpadł w doskonały nastrój, a Ben przestał się śpieszyć. Miał przyjaciela, przynajmniej na razie, i nie chciał przerywać tych paru miłych chwil.

— Co teraz porabiasz? — spytał Cash. — Wyglądasz, jakby więzienie ci nie zaszkodziło, a twoje ubranie wygląda na piekielnie drogie.

— Zapłaciła za nie moja babka. Cash, czy mogę cię o coś spytać? Jak zarobić pieniądze?

— Na pewno nie jako stajenny, jeśli to masz na myśli.

— Nie, prawdziwe pieniądze. Chodziłem po mieście, trochę się rozglądałem i zauważyłem, że pełno tu bogaczy. Skąd oni biorą pieniądze?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. Sam siedzę po uszy w długach. Nikomu przedtem się do tego nie przyznałem, ale ojciec miał rację. Obstawiać na wyścigach to wrzucać pieniądze w studnię bez dna. Jak to możliwe, by człowiekowi sprawiało taką przyjemność trwonienie pieniędzy?

— Nie wiem — odparł Ben skonsternowany. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś, kto ma tak wspaniałe stajnie, może narzekać na brak gotówki.

132

OGNIE FORTUNY

— Mam kilka pomysłów — odezwał się Cash. — Gdybym miał wspólnika, może coś by z nich wyszło. Chodźmy się zabawić, to pogadamy.

Tak oto trafili do Błękitu Niebios. Ben rumienił się, kiedy przedstawiono mu po kolei wszystkie tamtejsze piękności, Cash natomiast zrywał boki, widząc zakłopotanie przyjaciela. Atmosfera, jaka tam panowała, kojarzyła się raczej z przyjęciem, goście śpiewali przy akompaniamencie pianina albo siedzieli wygodnie rozparci w ekscytującym towarzystwie dziewcząt. Ben wypił trochę wina dla kurażu, po czym wybrał sobie dziewczynę o imieniu Lily, która okazała się po prostu wspaniała. Zapłacił jej potrójną stawkę, by mieć ją dla siebie jak najdłużej, albowiem w jej ramionach udało mu się wymazać z pamięci złe wspomnienia, chociaż nie okoliczności, w wyniku których znalazł się w tarapatkach.

— Co za mężczyzna! — chwaliła się Lily, kiedy zeszli na dół. — Przyjdiesz tu jeszcze, prawda, Benny? I znowu mnie wybierzesz, dobrze?

Cash wcale nie był zniecierpliwiony długim czekaniem, bo i on świetnie się bawił.

Przedstawił Bena madame Goldie.

Była to kolejna niespodzianka. Ben znalazł chwilę, żeby z nią porozmawiać.

— Nigdy nie miałem okazji, żeby pani podziękować. Pamiętam, że była pani na pogrzebie mojej mamy.

— A jak się nazywała pana mama?

— Diamond. Goldie posmutniała.

— Ach, drogi chłopcze. Twoja mama była moją najlepszą przyjaciółką. Wiele razem przeżyłyśmy, ale zawsze miała dobre serce. Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebował, Benny, przychodź bez wahania.

Kiedy zjawił się Buchanan, który jak zwykle wybrał jedną z czarnych dziewcząt i od razu ruszył na górę, w końcu skojarzyła, skąd go zna. Pamięć jej nie zawiodła. Buchanan, hodowca bydła z północy. Biały mężczyzna, który był z Diamond w Cooktown. Miłość jej życia.

Spojrząwszy na chłopaka siedzącego z Cashem O'Neillem, zauważyła podobieństwo i zaczęła przypominać sobie wydarzenia sprzed lat. Była pewna, że Ben to syn Buchanana. Musi nim być. Diamond dała mu nawet imię ojca. Mężczyźni jednak minęli się obojętnie, wyglądało na to, że się nie znają.

133

PATRICIA SHAW

Nie było w tym nic nadzwyczajnego; prawdopodobnie Diamond nigdy nie zdradziła synowi prawdy. Ani ojcu. To byłaby strata czasu i Diamond wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Wszystko to było bardzo interesujące, ale Goldie, jak zawsze dyskretna, zostawiła swoje przypuszczenia dla siebie. Gdyby wszakże kiedykolwiek coś się zdarzyło, na pewno stanęłaby po stronie syna Diamond. Nie lubiła Buchanana, był szorstki wobec dziewcząt, czasami nawet brutalny. Ostatnim razem Goldie ostrzegła go, żeby więcej tego nie robił, i zmusiła do pokrycia kosztów leczenia dziewczyny.

Zarówno kochanek Diamond, jak i jej syn byli bardzo przystojni.

Wyruszyli we dwóch na zachód, pełni entuzjazmu i żądni przygód. Pomysłodawcą wyprawy był Ben, który po prostu chciał wyjechać z miasta, znaleźć się na ogromnych otwartych przestrzeniach, zdążać donikąd, na zawsze zmyć z siebie szcęk łańcuchów i pozbyć się natrętnej klaustrofobii.

A Cash postanowił wyruszyć razem z nim. Dowiedział się skądś, że podobno w pobliżu miasteczka Dalby kręca się stada dzikich koni, i uznał, że dobrze by było spędzić ich trochę i oswoić.

— Do Dalby jest tylko około stu mil. Możemy założyć obozowisko w buszu, postawić drewniane parkany i spróbować zagonić je w pułapkę. Podobno krucho tam z wodą. Jeśli znajdziemy wodopój, nie może się nam nie udać.

— Ale one są całkiem dzikie. Jak je tutaj sprowadzimy?

— Wystarczy, że założymy im uździenice i spętamy na noc. Poza tym dobry ujeżdżacz potrzebuje najwyżej trzech tygodni, by je oswoić, a my mamy przecież czas.

— A co z twoimi stajniami?

— Callaghan, facet, którego poznałeś za pierwszym razem, poradzi sobie nie gorzej niż ja. Dzikie konie to majątek, łapiesz je za darmo, a sprzedajesz za grube pieniądze. To konie z charakterem, zawsze mówię ludziom, że kupują prawdziwego dzikusa.

— Tak jak mnie? — spytał Benny, szeroko się uśmiechając. Najpierw pojechali do Toowoomba, centrum handlu, w którym spotykali się hodowcy bydła z całej okolicy, i rozbili obozowisko na skraju stromych klifów, skąd podziwiali cudowny krajobraz przybrzeżnych równin.

— Chętnie postawiłbym tutaj dom — stwierdził Cash, lecz Ben miał inne plany.

134

OGNIE FORTUNY

— Moja babka ma domek na Kangaroo Point. Jak tylko zarobię duże pieniądze, zbuduję tam piękny wielki dom. Taki, że przyćmi wszystkie inne!

— Będziesz musiał nałapać sporo koni.

— Znajdę jakiś sposób.

Jechali dalej na zachód, a susza doskwierała im coraz bardziej. Wszystko to było dla Bena nowością. Zafascynowany obserwował stada kangurów i długonogich emu i nie mógł wyjść z podziwu dla wielości gatunków ptactwa. Tysiące kakadu, sroczych gęsi i wiele innych codziennie im towarzyszyły, karłowate indyki stanowiły łatwy łup, kiedy w pobliżu nie było rzeki albo chociaż źródelka, w którym dałoby się nałapać ryb.

W Dalby, niewielkim miasteczku, zatrzymali się w zajeździe i zawarli znajomości z miejscowymi, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o okolicy. Usłyszeli, że w buszu wokół Dalby grasują stada dzikich koni, a także, co ważniejsze, że w Sailor's Drift, kawałek za Charleville, ktoś trafił na potężną żyłę złota.

— Złoto! — entuzjazmował się Cash. — Pojedźmy tam. Może zbijemy fortunę! Zawsze chciałem tego spróbować.

— Pola złotonośne są daleko stąd, Cash. Jak je znajdziemy?

— Musimy po prostu jechać tam, gdzie wszyscy. Przy odrobinie szczęścia może i nam uda się znaleźć taką żyłę.

Ben był znacznie bardziej powściągliwy. Jakoś nie wierzył w uśmiech fortuny.

— A co z końmi?

— Końmi możemy zająć się później.

Po kilku dniach włączyli się w tłum rozgorączkowanych poszukiwaczy złota, podążający ruchliwym traktem prowadzącym przez maleńkie wioski Miles, Roma i Mitchel do Sailor's Drift. W końcu zmęczeni łowcy szczęścia dotarli do celu.

Początkowo odnieśli wrażenie, że wszędzie panuje kompletny chaos. Pośród wyschniętych włóknistych drzew stały labirynty bezładnie porzucanych namiotów i szałasów.

Brakowało jedzenia, za to alkohol płynął strumieniami, a roje much katowały kopaczy, niemniej Cash i Ben zdobyli dwie działki, na których harowali, zachęceni przez radosne okrzyki tych, którym udało się coś znaleźć.

W nocy siedzieli przy ognisku, słuchając opowieści o wybrańcach, którzy trafili na bogate żyły złota, oraz mrozących krew w żyłach historii o rabusiach. Poszukiwacze złota domagali się przysłania oddziałów, które eskortowałyby ich w drodze powrotnej do cywiliza-

135

PATRICIA SHAW

cji, ponieważ jednak przynajmniej na razie były to wołania bezskuteczne, podróżni zdani byli na łaskę złoczyńców. Najgorszą sławą cieszył się niejaki Kapitan Jack, który, w

przeciwieństwie do innych bandytów pracujących w gangach, z jednym tylko, nikomu zresztą nie znanym kompanem, terroryzował cały okręg.

Za głowę Jacka, który oprócz niezliczonych napadów miał na sumieniu także kilka morderstw, wyznaczono wysoką nagrodę, jednakże policja nie była w stanie go pojmać, bo błyskawicznie zmieniał miejsce pobytu i pojawiał się wszędzie tam, gdzie znaleziono złoto. Co ciekawe, poszukiwacze nie tylko się go bali, lecz i darzyli szczerym podziwem jako człowieka odważnego, grającego władzom na nosie.

Długi miesiąc koszarnej harówki w pocie czoła dał Benowi i Cashowi zaledwie kilka uncji aluwiального złota, doszli więc do wniosku, że konie to jednak zdecydowanie lepszy interes. Podczas gdy Cash nadal kopał, Ben dosiadł konia i pojechał porozmawiać z Aborygenami, którzy, pełni ponurej urazy wobec białych poszukiwaczy, mieszkali około mili od pól złotonośnych, na zakręcie leniwie płynącej rzeki.

Pracując przez tyle lat z czarnymi więźniami, Ben nauczył się kilku narzeczy na tyle dobrze, że był w stanie się w nich porozumiewać, kiedy wszakże położył u stóp wodza kapciuch tytoniu, został zignorowany.

Spytał, do jakiego plemienia należą, lecz zamiast odpowiedzieć, wódz zapytał o jego plemię.

— Moja matka była Irukandji — odparł, lecz nie zrobiło to na Aborygenach żadnego wrażenia. Zauważył, że kobiety cofają się o kilka kroków, a ich miejsce zajmują nadzy mężczyźni o kamiennych twarzach, dzierżący w dłoniach długie włócznie. W dalszym ciągu nie zaproponowano mu, by usiadł.

— Plemię Irukandji — wyjaśnił szybko — żyje daleko stąd, w gorących stronach. Żeby tam dojść, trzeba iść przez wiele księżyców. — Nie miał pojęcia, co jeszcze ma im powiedzieć, nie wątpił natomiast, że popełnił niewybaczalny błąd. Aborygeni najwyraźniej nie lubili kopaczy złota. I zapewne mieli po temu powody.

— Czego chcesz? — spytał wódz.

— Przyszedłem z wizytą — odparł Ben, starając się uchwycić jakieś zasady protokołu. Domyślał się, że jest jeszcze stanowczo zbyt wcześnie, by prosić ich o pomoc, a równocześnie zbyt późno, by się wycofać.

136

OGNIE FORTUNY

Jeden z mężczyzn wyszedł ze zwartego szeregu.

— Dotkniesz naszych kobiet, to cię zabijemy.

— Nie, nie. Kobietom nic nie grozi — zapewnił Ben mężczyznę o pomalowanej twarzy.

Żaden z Aborygenów, których poznał, nie malował twarzy, przynajmniej w więzieniu. Powoli odpiął pas z rewolwerem i rzucił go na ziemię. — Przyszedłem w pokojowych zamiarach.

Czy możemy porozmawiać?

Wódz wciąż nie był zdecydowany.

— Mówisz trochę w naszym języku. Gdzie się go nauczyłeś? Ben szuka! odpowiedniego słowa i nagle zdał sobie sprawę, że w ich

narzeczcu nie ma takiego słowa. Aborygeni nie mieli przecież więzień. Przez chwilę rozglądał się bezradnie dookoła, a w końcu odpowiedział po angielsku:

— W więzieniu.

Wódz zrozumiał. Przez chwilę wpatrywał się w Bena, po czym przetłumaczył odpowiedź. Na twarzach Aborygenów pojawił się lęk.

— W zamknięciu? — spytał ten, który wcześniej mu groził.

— Tak. W zamknięciu.

— Kłamiesz. Tam są tylko czarni, a nie biali — odparł tamten. — W tobie płynie za dużo krwi białych.

Kiedy tylko było to możliwe, Ben starał się nosić skarpetki. Wstydził się głębokich blizn po kajdanach, które od razu zdradzały jego przeszłość. Na polach złotonośnych nie miało to wielkiego znaczenia, podobne blizny zauważył na kostkach wielu poszukiwaczy, za to w każdej innej sytuacji musiało powodować przynajmniej zażenowanie. Jednakże nie tutaj. Szybkim gniewnym ruchem ściągnął buty i pokazał blizny.

— Aaaach! — Okrzyk wydany przez tłum pełen był szczerego współczucia. Wszak najstraszniejsza chyba rzecz, mogąca przydarzyć się Aborygenowi, dla którego dachem jest niebo nad głową, to utrata wolności. Najwyraźniej wszyscy dobrze wiedzieli, jak niesłychanie dotkliwą karę może wymierzyć biały człowiek.

— Usiądź. — Wódz odłożył włócznię i dał pozostałym znak, by uczynili to samo.

Ben wrócił do obozu z dobrą wiadomością.

— Skontaktowałem się z tym plemieniem. Powiedzieli mi, że na południe stąd kręcą się stada dzikich koni. Są gotowi nam pomóc. Znają nawet źródła, z których te konie piją.

— Niby dlaczego chcą nam pomóc?

137

PATRICIA SHAW

— Dla przyjemności. Zawsze to jakieś zajęcie. Poza tym większa część tej okolicy została zajęta przez hodowców bydła, których Aborygeni nie znoszą jeszcze bardziej niż kopaczy złota.

— Jezu! Komu zależy na takiej ziemi? Powinni oddać ją czarnym. Jest sucha jak wiór.

— Tak. Bo panuje okropna susza. Czarni sobie radzą, wiedzą, gdzie płyną podziemne źródła, i śmieją się, że nie wiedzą tego biali.

— I wcale nie zamierzają im powiedzieć? — roześmiał się Cash.

— Zgadłeś.

— I tak za nic w świecie nie założylbym tutaj farmy. W życiu nie widziałem tyle gnijącej padliny.

— No cóż, kiedy ich poznasz, nie mów im tego, bo oni kochają ten kraj. Uważają, że tu jest pięknie. Poza tym twierdzą, że w przyszłym roku deszcze powrócą, bo kangury znowu zaczęły się mnożyć.

— A co to ma do rzeczy?

— Kangury nie rozmnażają się w czasie suszy.

— Nie robisz ze mnie głupka?

— Tak mi powiedzieli.

— Jezu, nie było cię przez dwa dni. Myślałem, że zjedli cię na kolację. Mam nadzieję, że nie zwiejesz mi do buszu?

Ben roześmiał się.

— Jestem chyba największym kolorowym ignorantem, jakiego w życiu spotkali. Pewnie strasznie ich bawię. Na początku w ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać, ale uratowały mnie blizny.

— Jakie blizny?

Ben raz jeszcze zsunął skarpety.

— O Chryste, bracie! Nigdy nie zwróciłem na nie uwagi.

— Powinienem więc chyba ci powiedzieć, Cash, że w więzieniu nie traktowali mnie jak białego. Ponieważ jestem mieszańcem, trzymali mnie razem z czarnymi.

— Jezu! Przecież byłeś wtedy pełnym dzieciakiem.

— Z nimi byłem bezpieczniejszy — burknął Ben. — Poza tym oni wszystkim się dzielą.

— Czy to tam nauczyłeś się ich języka?

— Nie języka — wyjaśnił Ben. — Języków. Narzeczy. Tak od siebie różnych jak francuski i angielski. Ten kraj jest większy i starszy niż jakikolwiek europejski, więc to chyba naturalne.

— Robisz mi wykład?

138

OGNIE FORTUNY

!

— Nie, po prostu zaczyna do mnie docierać, że to, czego się nauczyłem w więzieniu, może mi się do czegoś przydać.

— Wolę sobie radzić bez przejścia takiej szkoły — wzdrygnął się Cash.

*

Jak okiem sięgnąć, wszędzie unosił się brunatny pył. Skarlałe krzaki o rzadkich pożółkłych liściach przywarły do jałowej gleby, nieustępliwe drzewa zdawały się pochylać ku jeźdźcom i wołać o pomoc, która nie nadchodziła z bezlitośnie błękitnego nieba. Jakby szydząc z ich próśb, horyzont pozostawał podstępny mirażem lśniącego srebra.

Na całej równinie wznosiły się bezładnie stare skały w kolorze rdzy, jakby jakiś pomyleniec wpadł w szał i rzucił się na potężne monumenty, starając się zmieścić je z powierzchni ziemi.

Cash zawiązał chustkę na twarzy, by ochronić się przed duszącym kurzem, i klął na czym świat stoi, kiedy gorący wiatr unosił jeszcze gęstsze tumany zdradliwego pyłu. Z

rozdrażnieniem skonstatował, że Beckmanowi kurz i upał zdają się nie przeszkadzać,

podobnie jak dwóm prawie nagim Aborygenom, którzy szli obok nich z długimi włóczniami w dłoniach i bumerangami zatkniętymi za sznurkowe pasy. Ich jedyny strój stanowiły

futrzone opaski na czołach oraz skórzane okrycia na genitalia, mające je zasłaniać albo może chronić — Cash nie wiedział dokładnie i niewiele go to obchodziło. Nie ufał tym dwóm

tubylcom o kamiennych twarzach i ciałach czarnych jak węgiel. Zaczynali mu działać na nerwy, miał już serdecznie dosyć wędrówki przez spaloną słońcem krainę.

Mijał już drugi dzień, a ciągle nie było śladu dzikich koni, które Aborygeni obiecali pomóc im znaleźć. O zachodzie słońca Cash był zdecydowany zawrócić.

Miejsce błękitnego sklepienia zajęły jaskrawoczerwone i żółte grzbiety, przypominające strumienie rozgrzanej lawy. Ben był zachwycony.

— Zdumiewające kolory, prawda? — odezwał się do Casha, podziwiając widok.

— Jak w piekle — burknął Cash. — Jutro znowu będzie ten cholerny upał. Ci dwaj prowadzą nas donikąd. Rano zawracamy.

— Zaszliśmy tak daleko, że szkoda by było zawracać.

— Pomyślże trochę! Przecież konie to nie wielbłądy. Od poprzedniego źródła dzieli nas cały dzień drogi. Jeżeli wkrótce nie natkniemy

139

PATRICIA SHAW

się na następne, będziemy w niezłych tarapatkach. Musimy zawrócić, póki jeszcze nie jest za późno.

Kiedy zsiadali z koni, by rozbić obozowisko, Ben wskazał na Aborygenów, biegnących truchtem na dno wyschniętego koryta rzeki.

— Twierdzą, że tam jest woda.

— Aha, na pewno. Wygląda mi na to, że jestem jedynym, który jej nie widzi.

Oddalił się, z płóciennego bukłaka nalał miskę wody dla konia, po czym wyciągnął butelkę rumu i przyssał się do niej, z wściekłością obserwując tubylców, którzy odrzucali na bok stwardniałe bryły zeschniętego błota.

Ben zszedł do nich.

Siwobrody Mandjala okazał się człowiekiem oschłym i rzadko się odzywał, lecz jego ciemne oczy wydawały się inteligentne, Ben czuł się więc w jego obecności nadzwyczaj pewnie.

Młodszy Djumbati, którego Cash nazywał Jumbo, był bardziej towarzyski, a wędrówka najwyraźniej sprawiała mu przyjemność.

Na widok Bena Djumbati wstał i uśmiechnął się szeroko, ale starszy warknął, że ma kopać dalej.

Im bardziej się zagłębiali, wygarniając piasek gołymi rękoma, tym mocniej Ben się niepokoił. Może Cash rzeczywiście miał rację? Nawet jeśli jadą w dobrym kierunku i gdzieś dalej rzeczywiście są konie, cóż z tego? Przecież stado w każdej chwili może przenieść się gdzie indziej. Wszak konie potrafią pokonywać ogromne odległości. A czarni nie znają się na koniach, bo nie są im do niczego potrzebne.

Djumbati powiedział Benowi, że jego klan wywodzi się z narodu Kalkadoon, którego wojownicy stoczyli przed mniej więcej dziesięciu laty krwawą bitwę z białymi żołnierzami. Zdołał wytłumaczyć Benowi, że ponad sześćset mężczyzn zebrało się, by raz na zawsze przepędzić białych, jednakże wobec broni palnej byli bez szans i zaledwie kilku wojowników zdołało uciec.

— Byłem za młody, żeby walczyć — stwierdził z żalem Djumbati.

— Ale Mandjala był jednym z nich. Dlatego nie bardzo lubi białych ludzi.

— W takim razie dlaczego nas prowadzi?

— Wódz jest twoim przyjacielem — wyjaśnił Djumbati. — Kazał mu.

— A ty nie wiesz, gdzie są konie?

— Nie! — Djumbati wydawał się zdziwiony, że Ben o tym nie wie.

— Mandjala ma mi pokazać ten kraj, żebym się więcej nauczył. Moja

140

OGNIE FORTUNY

rodzina straciła swój kraj, więc wyruszyliśmy na południe i dotarliśmy tutaj.

Ben nie podzielił się tą wiadomością z Cashem. Stwierdził, że lepiej, by nie wiedział, że ich przewodnik nie lubi białych; Cash już i tak był wściekły, że w ogóle wyruszyli na tę wyprawę.

Dziura w ziemi stawała się coraz szersza i głębsza, mimo to wciąż nie było śladu wody. Ben miał właśnie zasugerować, żeby spróbowali gdzie indziej, kiedy Djumbati wydał radosny okrzyk i zaczął wygarniać mokry piach. Niedługo potem do niewielkiej studni napłynęła woda. Kryzys został zażegnany.

Nieco później tego wieczora, opróżniwszy pół butelki rumu, Cash znowu stracił humor i zrobił się okropnie drażliwy.

— Nie ufam tym bydlakom. Zabrali nas na jakąś idiotyczną przejażdżkę i wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że jeździmy w kółko. Jeżeli ci dwaj postanowią nagle zniknąć, będzie po nas. Nie znamy drogi powrotnej.

— Nie przesadzaj. Twierdzą, że jedziemy cały czas w tym samym kierunku, a jak znajdziemy konie, będziemy mieli bliżej do miasta niż do pól złotonośnych.

— Do jakiego miasta?

— Przypuszczam, że do Charleville. Na końcu linii kolejowej.

— Wierzysz im?

— Tak, bo Mandjala mówi, że od koni dzieli nas już tylko pół dnia drogi.

— Rozumiem. A one tam stoją i grzecznie czekają, aż raczymy je złapać.

— Jezu, Cash! Przestań w końcu narzekać! Powiedzieli, że jedyne przyzwoite źródło w okolicy znajduje się o pół dnia drogi stąd. Wiedzą o tym oni i wiedzą konie. Tam właśnie jest ich wodopój.

— W porządku. W takim razie zaczekam do południa. Jeśli do tego czasu nie natkniemy się na konie, zawracamy.

Ben zgodził się na to, bo nie miał wyboru. Za mało znał się na koniach, by poradzić sobie bez Casha.

— Niepokoi mnie tylko jedno — rzekł. — Do Brisbane jest stąd bardzo daleko. Jak damy radę doprowadzić tam konie?

Po raz pierwszy od kilku dni Cash ryknął gromkim śmiechem.

— Na Boga, czasami straszny z ciebie dureń, Ben! O ile w ogóle jakieś znajdziemy i o ile uda się nam je złapać, nie będziemy ciągnąć ich do Brisbane. To za daleko. Sprzedamy konie w Charleville. Potem spróbujemy pochwycić nowe stado pomiędzy Charleville a następnym

141

PATRICIA SHAW

miastem. Jeżeli los okaże się dla nas łaskawszy niż dotąd, będziemy tak robić przez całą drogę powrotną.

Taki właśnie był jego kapryśny przyjaciel, czasami ponury i złośliwy, kiedy indziej tryskający humorem i entuzjazmem. Ben starał się mu za bardzo nie narzucać i robił wszystko, żeby go zadowolić.

W towarzystwie tego człowieka, który bez problemów zawierał przyjaźnie z ludźmi ze wszystkich sfer, Ben powoli odzyskiwał pewność siebie. I był mu za to ogromnie wdzięczny. Gotów był zawsze stanąć po jego stronie, co zresztą w Sailor's Drift uczynił kilkakrotnie, ratując przyjaciela z pijackich bójek, których ten następnego ranka nawet nie pamiętał. Lecz to nie miało znaczenia. Cash O'Neill zaakceptował go takim, jakim był — nie przeszkadzało mu, że Ben jest mieszańcem i siedział w więzieniu.

Kiedy nazajutrz wyruszyli w dalszą drogę, zatrzymało ich dwóch jeźdźców.

— Dokąd jedziecie? — spytał jeden, patrząc podejrzliwie na ich czarnoskórych przewodników.

Cash uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem na pytanie:

— Dzień dobry, panowie. A z kim mamy do czynienia?

— Jesteśmy strażnikami. Wjechaliście na teren prywatny. To grunty farmy Fairmont, własność pana Buchanana.

— Naprawdę? — zdziwił się Cash i popatrzył dookoła. — To musi być piekielnie ciężka praca, prowadzić farmę w czasie takiej suszy. Chylę przed wami czoło.

Nieco udobruchany strażnik opuścił lufę strzelby.

— Nie ma co, masz rację, bracie. Bydło pada jak muchy. Dlatego nie przepadamy za obcymi, którzy zabijają nasze zwierzęta, żeby mieć co jeść.

— Nie dziwię się, ale nas nie musicie się obawiać. Jesteśmy mieszczuchami i wieziemy żarcie w puszkach.

— A oni? — spytał strażnik, wskazując na Aborygenów, którzy stali na uboczu.

— Oni zawsze sobie coś znajdą. Tylko, na Boga, nie spłoszcie nam ich, bo w życiu nie trafimy do celu.

— Skąd jesteście?

— Z Sailor's Drift. Szukaliśmy tam złota, ale z mizernym skutkiem. Ponoć niedaleko stąd ktoś natknął się na złotodajną żyłę — skłamał Cash bez zmruczenia oka — więc jedziemy tam, żeby spróbować szczęścia.

Strażnicy spojrzeli po sobie.

142

OGNIE FORTUNY

— W życiu nie słyszałem, żeby ktoś trafił w tych okolicach ha złoto.

— W takim razie oddacie nam przysługę, jeśli zachowacie tę wiadomość dla siebie. Nie chcielibyśmy, żeby zaraz za nami ruszył cały tłum poszukiwaczy. Sami chyba rozumiecie, kto pierwszy, ten lepszy.

— Jak daleko stąd są te pola?

— Jakieś pięćdziesiąt mil — odparł Cash. Ben słuchał zafascynowany. — Miejsce nazywa się Spencer Gully.
— Nigdy o nim nie słyszałem — wzruszył ramionami strażnik.
— Ci czarnoskórzy wiedzą, jak tam trafić. Zaprowadzą nas — wyjaśnił Cash.
— Łudźcie się — roześmiał się strażnik. — Tacy sami z was szaleńcy jak ze wszystkich poszukiwaczy. Ale jedźcie dalej. Kilka mil stąd jest granica posiadłości.
— A gdzie jest najbliższe źródło? — spytał Cash.
— Tu już nie ma żadnych źródeł, bracie. Lepiej posłuchajcie mojej rady i dajcie sobie spokój z tym złotem. Jedźcie w tę stronę — wskazał ręką — w kierunku Charleville albo niedługo dołączycie do całej tej padliny.
— Jezu, nie — orzekł Cash. — Musimy spróbować.
— Jak tam sobie chcecie. — Strażnik zawrócił konia. — Tylko jak najszybciej opuśćcie teren farmy.
— Dobrze — obiecał Cash. — Będziemy się modlić dla was o deszcz! — zawołał za nimi, kiedy odjeżdżali.
— Po co to wszystko? — spytał Ben. — I co to właściwie za pola?
— Miałem nadzieję, że będziesz siedział cicho — roześmiał się Cash. — Gdybyśmy im powiedzieli, że szukamy koni, pogoniliby nas aż do Sailor's Drift.
— Czy łapanie dzikich koni to kłusownictwo?
— Ależ skąd. To jak najbardziej legalne, tylko nie wydaje ci się, że sami woleliby je złapać? Zresztą teraz to bez znaczenia. Sam słyszałeś... w pobliżu nie ma żadnego przeklętego źródła. Ben podjechał do Mandjali i podzielił się z nim tą wiadomością, na co starzec pokiwał głową i bez słowa ruszył truchtem przed siebie.
— Chyba mnie nie zrozumiał — stwierdził Ben.
— A ja myślę, że ten bydlak rozumie dużo więcej, niż ci się wydaje — odparował Cash.

143

PATRICIA SHAW

Ponieważ jednak Cash nie podjął żadnej decyzji, jechali dalej za Mandjalą. Ben patrzył z rozpaczą, jak słońce przesuwają się po niebie. Piekielny ukrop coraz bardziej dawał się im we znaki.

W oddali majaczyła postrzępiona skała, kolejna pozostałość po dawnych górach, sterczące na jej szczycie ostre głązy sprawiały wrażenie, że nawet najmniejsze szturchnięcie wystarczy, by potoczyły się setki stóp w dół.

Jako że o tej porze dnia nawet tak potężna ściana nie dawała ani odrobiny cienia, jechali równolegle do niej. Bena wciąż zaskakiwały te pojawiające się nagle na równinie skały, wydawały mu się tajemnicze i ekscytujące. W przeciwieństwie do Casha, który mijając te pomniki przeszłości absolutnie beznamiętnie, Ben miał ogromną ochotę podjechać i dokładnie im się przyjrzeć, jakby kryły w sobie tajemnice plemienia jego matki, obecnie całkiem dla niego niedostępne.

Zamiast skierować się w stronę równiny, Mandjalą zaczął trawersować podnóże masywnego wzniesienia, dając im znak, by jechali za nim.

— A to co znowu? — burknął Cash, kiedy pokonawszy około ćwierci mili, wjechali na pole pokruszonych skał.

Nie chcąc ryzykować, że któryś z koni się potknie, zsiadli i dołączyli do Mandjali, ten zaś lekko się uśmiechnął.

— Konie — powiedział, wskazując ścieżki. — Konie schodzą.

— Gdzie? — spytał Cash, który nie dostrzegł niczego szczególnego.

Ben zwrócił uwagę, że Mandjalą odezwał się po angielsku.

Zostawili konie z nieco zawiedzionym Djumbati i ruszyli za Mandjalą, który przeprowadził ich przez szczelinę między skałami na dróżkę prowadzącą w głąb chłodniejszych trzewi skał.

Zbiegli po stromej ścieżce, porośniętej po bokach gęstym podszyciem, i znaleźli się w gęstym tropikalnym lesie. Dróżka wiła się pod baldachimem bujnej zieleni i nie ulegało wątpliwości, że prowadzi do jakiegoś źródła.

Ben był zachwycony tą ukrytą oazą, cudownym wybawieniem od panującej dookoła spiekoty.

— Jak się nazywa to miejsce? — spytał Mandjalą. Po angielsku.

— Winnaroo — odparł Mandjalą z porozumiewawczym uśmiechem. — To dobre miejsce Winnaroo.

Rzeczywiście, Winnaroo tętniło życiem, stanowiąc schronienie dla najróżniejszego ptactwa i zwierząt, nie tylko dzikich koni.

144

OGNIE FORTUNY

?

Cash przerwał milczenie, wołając:

— Woda! Tam, w dole!

Tymczasem Mandjalą obserwował reakcję Bena na ten ukryty świat. Gestem dłoni powstrzymał go przed dołączeniem do przyjaciela.

— Jakie twoje imię?

— Ben. Ben Beckman.

Mandjalą pokiwał głową w zamyśleniu.

— To dobre miejsce — powtórzył. — Ważne.

— Tak, oczywiście że tak — odparł Ben z namaszczaniem.

— Ty bądź dobry dla Winnaroo.

— Będziemy uważać — zapewnił Ben. — Potrzebujemy tylko wody dla koni.

Ciemne oczy wpatrywały się w jego twarz.

— My porozmawiamy dłużej. Tutaj dużo duchów. Ludu Al-lasame.

— Wierzę.

Mandjalą w dalszym ciągu tarasował mu przejście i po raz pierwszy Ben przyjrzał się uważnie jego twarzy. Włosy miał siwe, brodę gęstą i kręconą, rysy wyraziste, kiedy zaś otwierał wąskie usta, połyskiwała w nich nieskazitelna biel zębów. Głowę nosił wysoko i stał wyprostowany, jak ktoś, kto nie ma zwyczaju nikomu się kłaniać. Ben zdał sobie sprawę, że to prawdziwy wojownik, który przeżył niejedną bitwę. Ktoś, z kim lepiej nie zadzierać.

— Szybko! — wołał Cash. — Chodź i zobacz!

— Ten człowiek niedobry — odezwał się nagle Mandjalą. — Uważaj.

— Kto? Cash? — zdziwił się Ben. — Nie jest zły. Głośno szczeka, ale nie gryzie.

Mandjalą nie odpowiedział. Odsunął się na bok i Ben zbiegł po ścieżce na kamienną plażę.

Cash zdążył już zrzucić ubranie i teraz radośnie chlapał się w wodzie.

— Jest lodowata! — wykrzyknął. — Ale cudowna!

Ben szybko się rozebrał i zanurzył w kryształowo czystej wodzie, zapominając o skwarze i kurzu otaczającego ich świata.

Obejrzał się za siebie. Mandjalą stał i uważnie ich obserwował, wysokie skały również zdawały się go strzec. Ben poczuł nagle niewytłumaczalny niepokój, żołądek mu się skurczył, jakby w pobliżu czaiło się coś złego. Lecz co? Czy w tak zacisznej kryjówce mogło mu coś grozić?

10 Ognie fortuny

145

PATRICIA SHAW

Czekał ich ogrom pracy. Na razie znaleźli sekretny wodopój dzikich koni, teraz należało zabrać się ostro do roboty. Przy pomocy czarnoskórych budowali przez kilka dni ogrodzenie przy dojściu do strumienia, harując, jak to określił Ben, niczym więźniowie w kamieniołomach, odrzucili na bok ogromne kamienie, szykowali miejsce pod drewniane słupy. W pewnej odległości od pułapki, na nieco bardziej płaskim gruncie, zbudowali wybieg.

Przez cały czas widzieli kilka koni, które kręciły się w pobliżu i podejrzliwie obserwowały ich wysiłki.

— To przywódca stad — wyjaśnił Cash. — Szeffowie. Wiedzą, że to pułapka, więc trzymają się od niej z daleka.

— W takim razie po co marnujemy czas?

— Bo konie potrzebują do życia wody, a sam słyszałeś, co mówili tamci strażnicy.

Twierdzili, że w pobliżu nie ma żadnych źródeł. Albo kłamali, albo nie wiedzą o tym miejscu, w przeciwieństwie do koni. Prędzej czy później pragnienie pokona szkapy. Będą musiały zaryzykować i wejdą do środka. Módl się tylko, żeby nie rozwały ogrodzenia.

— Co? — wykrzyknął Ben. — Po tylu dniach harówki?!

Cash roześmiał się. Pojedynek z dzikimi końmi najwyraźniej sprawiał mu przyjemność.

Następnych kilka dni upłynęło im na urozmaicaniu ogrodzenia mocnymi elastycznymi pnączami, aż w końcu Cash krzyknął:

— Uwaga! Odsuńcie się na bok! Nadbiegają!

Opętańczym galopem zbliżało się dziewięć koni, z łatwością wspięły się po zboczu, a następnie minęły bramę i pognały w dół, do wodopoju.

Cash czym prędzej zamknął bramę i zawiesił na niej jakieś łachmany, by zwierzęta trzymały się z dala od najsłabszego punktu ogrodzenia. Kiedy skończył, dosłownie skakał z radości.

— Dziewięć! Tyle właśnie nam trzeba, Ben. Jeśli zobaczysz następne stado kierujące się w tę stronę, chwytaj broń i strzelaj w powietrze, żeby je przepłoszyć.

Ugasiwszy pragnienie, konie ostrożnie zawróciły. Kiedy tylko się zorientowały, że zostały złapane w pułapkę, wpadły w istną furję — rżały, wierzgały, rzucały się na ogrodzenie. Jeden z nich, nie mając dość przestrzeni, by się rozpędzić, próbował wspiąć się na ogrodzenie, ale Aborygeni zepchnęli go włóczniami.

— Nie podchodźcie za blisko! — krzyczał Cash. — One gryzą. Skorzystają z pierwszej okazji, żeby was pozabijać.

146

OGNIE FORTUNY

>

4

W końcu niektóre konie zaczęły się uspokajać, lecz przywódca stada, siwy ogier, rzucał się na nie, kopiąc tylnymi nogami, by zmusić do dalszej walki.

— To jego stado — tłumaczył Cash. — Gotów je wszystkie pozabijać, byleby tylko dalej walczyły. Jeśli się nie uspokoi, będę go musiał zastrzelić.

— Nie! — wykrzyknął Ben. — Nie wolno ci tego robić! To piękny koń.

— To morderca—odparł Cash. — A poranionych koni nikt od nas nie kupi.

— W takim razie spróbujmy go złapać jako pierwszego. Rozpakowali linę i po jakiejś godzinie prób i błędów zdołali

zarzucić lasso na szyję wierzgającej bestii, po czym dzięki pomocy własnych koni zaciągnęli ją na ogrodzony wybieg.

Jak na kogoś, kto gotów był zastrzelić ogiera, Cash okazał się zadziwiająco łagodnym ujeżdźcą. Prowadził konia na długiej lonży, od czasu do czasu pozwalając mu na dziki kłus po padoku, a potem na nowo zaczynał „lekcję”.

Podczas gdy Cash obłaskawiał stado, pozostali zajęli się budową zagrody dla spokojniejszych koni, z których kilka sprawiało wrażenie całkiem zadowolonych ze swego losu, przynajmniej dopóki znajdowały się w pobliżu siwego.

Pojawił się natomiast problem z pożywieniem dla zwierząt. Schwytane konie mogły wprawdzie paść się nad strumieniem, brakowało jednak paszy dla wierzchowców Casha i Bena. Poza tym inne dzikie zwierzęta, odcięte od wodopoju, przedstawiały zaiste żalosny widok i podchodziły coraz bliżej, niemal błagając, by wpuścić je do środka. Ben i Cash

odetchnęli z ulgą, kiedy wreszcie wyprowadzili z pułapki wszystkie schwytane konie i mogli wypuścić nad strumień inne.

— Jaka cholerna szkoda — skarżył się Cash — że nie możemy zabrać wszystkich, ale nijak nie dalibyśmy rady ich wyżywić. Już i tak mogą być kłopoty. O tym nie pomyślałem. Opór zwierząt stopniał, kiedy Cash zaprowadził każde z nich nad strumień, powoli zdobywając ich zaufanie. Ben doszedł do wniosku, że na następną wyprawę będą potrzebowali lepszego wyposażenia. Cash okazał się dobrym ujeżdżaczem, za to kiepskim organizatorem. Działał zbyt chaotycznie. Wziąwszy pod uwagę wszystkie niedogodności, które spotkały ich w tym spalonym słońcem kraju, mieli i tak sporo szczęścia, że udało im się złapać aż dziewięć koni; Ben liczył, że Cash docenił w końcu to, iż nie złapaliby nawet jednej starej szkapy, gdyby

147

PATRICIA SHAW

nie upór i siła ich czarnoskórych pomocników, gotowych zresztą nadal im towarzyszyć. Kiedy zbliżali się do miasta, Ben spytał Casha, ile spodziewa się dostać za konie.

— Jakies dziesięć funtów za łeb. Są piekielnie rozbrykane i nie do końca ujeżdżone. Za siwego może uda się wyciągnąć ze dwadzieścia.

Charleville okazało się gwarnym miasteczkiem, dotkniętym przez gorączkę złota. Na głównej ulicy tłoczyły się wszelkiego rodzaju wozy oraz tłumy pełnych nadziei poszukiwaczy złota, prowadzących konie i osły. Ci, co dopiero wysiedli z przepelnionego pociągu, nieśli nawet tobołki.

Nie chcąc zbliżać się do miasta, Mandjala i Djumbati rozbili obozowisko nad rzeką. Kiedy się rozstawali, Ben obiecał rychły powrót z prezentami.

Wkrótce wraz z Cashem znaleźli się w wylewającym się aż na dwór tłumie klientów jednego z wielu barów. Osuszyli po trzy duże kufle piwa, a ugasiwszy pragnienie, usiedli na ławce, słuchając zachłannie wszelkich wieści. Nie ucieszyli się zbyt, gdy się dowiedzieli, że w pobliżu Sailor's Drift odkryto nową żyłę złota.

Jak zawsze głównym tematem rozmów były złoto, pogoda i konie.

W pewnym momencie Cash szturchnął Bena w bok.

— Słyszałeś? W mieście brakuje koni. Podnosimy cenę. Później jednak przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Następnego dnia w samo południe wprowadzili stado do miasta. Cash stanął na beczie i rozpoczął aukcję „najświeższych i najwspanialszych koni p0 tej stronie Curragh!”

Szybko przyciągnął uwagę klientów barów oraz sklepów, żartując, czarując kobiety komplementami i rozwodząc się nad zaletami swoich koni, podczas gdy Ben po kolei je prezentował. Za szylinga na głowę zatrudnili kilku mężczyzn, którzy pilnowali zwierząt i trzymali je na uboczu, z dala od oczu ciekawskich.

Kilku doświadczonych koniarzy pozwoliło sobie na sarkastyczne uwagi na temat wspaniałych koni Casha, on jednak, zamiast wdawać się w niepotrzebne dyskusje, puścił do nich oko i sprytnie wciągnął do udziału w aukcji.

— Oto dżentelmen, który naprawdę zna się na koniach! Ile pan proponuje za tego rumaka? Czy słyszałem trzydzieści? Trzydzieści dwa z tamtej strony. To wciąż stanowczo za mało. W Sailor's Drift jest więcej złota niż koni! Konia tam nie uświadczycie, a już na-pewno nie takiego!

148

OGNIE FORTUNY

f

W końcu krytycy śmiali się razem z nimi i bili brawa, kiedy ceny pięły się w górę. Wreszcie Ben przyprowadził następnego konia, siwego ogiera. Jeden z hodowców bydła podszedł do Casha i wręczył mu czterdzieści funtów.

— Nie wystawiaj go pan na aukcję, biorę go. Obaj wiemy, że jest ujeżdżony nie lepiej niż dingo, ale byłoby szkoda, żeby się marnował w zaprzęgu.

Po zakończeniu aukcji Cash przeliczył pieniądze i okazało się, że zarobili ponad trzysta funtów.

— Chodź, staruszk, trzeba to opić — zaproponował.

— Możemy to uczcić w drodze — sprzeciwił się Ben. — Połowa tych koni w życiu nie widziała uprzęży, nie mówiąc już o siodle. Jak zaczną szaleć, rozpęta się piekło. A my będziemy musieli oddawać pieniądze.

— Eee tam. Za dużo się martwisz. Mogę im je ujeździć. Oczywiście za godziwą opłatą. W tym momencie rozległy się jakieś krzyki i ulicą pogołopował koń bez jeźdźca.

— To jeden z naszych — roześmiał się Cash. — Żrebak, którego nazwałem Strike. Piękna sztuka, no nie?

Uśmiech wszakże znikł z jego twarzy, kiedy mężczyźni, próbując złapać niesforne zwierzę, rozwścieczyli je jeszcze bardziej. Strike stawał dęba, wierzgał i kopał, a potem, lekceważąc zasady ruchu, pognał chodnikiem, roztrącając słupki podtrzymujące markizy. Zatrzymał się na widok mężczyzn zbliżających się do niego z lassem, po czym w kolejnym ataku furii rzucił się na nich z zębami, wierzgając tylnymi kopytami i tłukąc witryny sklepów.

Mężczyzna stojący obok Bena rzucił niedbale:

— Nadawałby się na rodeo. Można by przyjmować zakłady, kto najdłużej na nim usiedzi. Cash zorientował się, co się święci, szturchnął więc Bena i powiedział:

— Na nas już chyba czas.

Wpadł jeszcze do baru, żeby kupić zapas rumu, a Ben w tym czasie przyprowadził konie. Wkrótce znaleźli się za miastem i pędząc galopem, śmiali się z przygody i radowali finansowym sukcesem.

Aborygeni ucieszyli się na ich widok, zadowoleni, że wkrótce

• wznovią wędrówkę, a ich zapas jeszcze wzrósł, kiedy Ben wręczył im skórzaną torbę pełną różnorodnych zakupów. Był wśród nich tytoń,

149

PATRICIA SHAW

fasola w puszkach, brzoskwinie, owoce kandyzowane, a także dwa noże myśliwskie w skórzanych pochwach.

— Po co im je dałeś? — burknął Cash. — Jak z którymś zadrzemy, gotowi nas nimi załatwić.

— Włócznie byłyby łatwiejsze w użyciu — roześmiał się Ben. — Myślę, że lepiej będzie omijać główne trakty aż do następnego miasta. Bo chyba nie mamy ochoty na spotkanie z którymś z naszych niezadowolonych kupców?

Wyruszyli bardzo późno, kiedy więc zapadł zmierzch, byli w drodze dopiero od trzech godzin. Rozbili obozowisko w buszu.

Rano wstali w świetnych humorach. Wypali się po raz pierwszy od wielu dni, nie musieli bowiem pilnować dzikich koni. Postanowili, że Djumbati zostanie z nimi jako przewodnik, natomiast Mandjala wyruszy na poszukiwanie następnego stada.

— Tym razem — zwrócił się Ben do Casha — jeżeli Mandjala zauważy konie, kupimy cały niezbędny ekwipunek i dopiero wtedy po nie wrócimy. Powoli uczę się posługiwać lassem. Ujeździemy je jak należy, a kiedy będą gotowe, będziesz je brał do miasta i sprzedawał po kilka.

— Dobrze. W porządku — niechętnie zgodził się Cash.

Ben wiedział, że jego przyjaciel stracił serce do polowania na konie, a zarobione pieniądze wypalają mu dziurę w kieszeni. Z ogromnym żalem pojął, że Cash jest taki, jakich wielu spotkali na polach złotonośnych. Jakże często ci, którym się poszczęściło, trwonili cały majątek w najbliższym miasteczku, przepuszczając wszystko na hazard, alkohol i kobiety, po czym wracali i rozpoczynali wszystko od nowa. Dla Bena wszakże jego część zarobionych

trzystu funtów była dopiero początkiem długiej drogi. Skromnym początkiem, zamierzał bowiem zarabiać coraz więcej i wzorem matki inwestować tak długo, jak długo będzie się to opłacać. Świadom był, że nigdy nie zaspokoi swych ambicji.

Kiedy we trzech wyruszyli na wschód — Ben prowadził jucznego konia, a Djumbati biegł truchtem obok — Aborygen stał się dziwnie nerwowy. Od czasu do czasu zostawał z tyłu, w końcu podszedł do Bena i wyszeptał, jakby się bał, że ogromna przestrzeń go usłyszy:

— Ludzie za nami. Ben wstrzymał konia.

— Jacy ludzie?

Djumbati wzruszył ramionami.

— Dwóch ludzi, dwa konie.

150

OGNIE FORTUNY

Cash obojętnie zareagował na tę wiadomość. *

— No i co z tego? To przecież nie nasz teren.

— Może to nasi klienci — zażartował Ben. — Pewnie nas gonią, żeby odzyskać pieniądze.

— Musiałoby im cholernie zależeć na tych paru funciakach — roześmiał się Cash. — Jeżeli będą mi się naprzykrzać, wpakuję im po kulce w łeb.

Szli dalej w tym samym leniwym tempie, nie chcąc przemęczać koni. Późnym popołudniem zatrzymali się na nocleg w pobliżu strumienia.

— Gdzie jest ten stary? — niepokoił się Cash. — Od paru dni go nie widzieliśmy. Co będzie, jak nas nie znajdzie?

— Znajdzie — uspokajał go Ben. — Nie pytaj, w jaki sposób, po prostu przyjmij do wiadomości, że znajdzie.

Swoim zwyczajem Cash rozłożył się pod drzewem i przyssał się do butelki rumu, Ben natomiast zabrał się do roboty. Nie było jej zbyt wiele, nie przeszkadzało mu więc, że nie może liczyć na pomoc kompana. Rozsiodłał i spętał konie, a Djumbati rozpalił ognisko.

Właśnie zrzucił na ziemię worek z zapasami i zaczął go rozpakowywać, kiedy nagle usłyszał za sobą głos:

— Ręce do góry i wstawaj!

Przekonany, że to Cashowi zebrało się na żarty, wstał i z uśmiechem na twarzy spokojnie się odwrócił.

Jednakże Cash też już trzymał ręce w górze, a Djumbati kulił się przy ognisku, przed nimi stał bowiem obcy z potężną dubeltówką. Ben wiedział, że to nie żaden niezadowolony kupiec; złe oczy nad czarną chustą, zakrywającą dolną część twarzy, nie pozostawiały wątpliwości, że to prawdziwy zbir. Od razu też pojął, że z tym człowiekiem nie będzie dyskusji.

Tymczasem Cash zdawał się tego nie rozumieć.

— Czym możemy panu służyć, sir? — spytał beztrząsco, nie opuszczając rąk.

W tym momencie Ben na skraju polany spostrzegł drugiego mężczyznę, który mierzył do nich ze strzelby, i ogarnął go gniew na samego siebie. Obaj z Cashem mieli przecież broń, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie poruszał się bez niej po tych okolicach. On swój rewolwer rzucił razem z pasem na ziemię, kiedy rozjuczał konia, strzelba Casha, prawdopodobnie nie załadowana, stała oparta o pobliskie drzewo.

— Na początek wezmę waszą forszę — odparował zbir.

151

PATRICIA SHAW

— A to źle pan trafił — stwierdził Cash. — Jesteśmy ubogimi kopaczami i właśnie wracamy do domu. Nie poszczęściło się nam.

— Łżesz, ty irlandzki włóczęgo — warknął napastnik. Cash wciąż próbował go zwodzić.

— Pan też mi wygląda na Irlandczyka — powiedział z przesadnym akcentem. — Chyba nie obrabuje pan swojego? Niech pan odłoży tę broń, to się napijemy.

— Zamknij gębę i dawaj pieniądze, zanim rozwalę ci łeb.
— Przecież już mówiłem, że nie mamy pieniędzy.
— W mieście sprzedaliście stado koni i odpłynęliście z forszą. A teraz ja ją zabiorę.
— O Boże, a więc o to chodzi? — odrzekł Cash. — Jeżeli kupił pan konia i jest z niego niezadowolony, chętnie zwrócę panu pieniądze, ale mam chyba prawo się domagać, żeby najpierw oddał mi pan zwierzę.

Zbir spojrział groźnie na Bena:

— Posłuchaj no, czy ten twój koleżka oszalał? Jeśli się nie zamknie, rozwalę mu łeb.
— Skoro wiesz, że sprzedaliśmy konie, powinieneś też wiedzieć, że przegrałem całą forszę w karty — gadał dalej Cash, lecz napastnik miał już tego najwyraźniej dość.

Wycelował dubeltówkę w struchlałego ze strachu Djumba-tiego.

— Masz trzy sekundy, żeby mi dać te przeklęte pieniądze, albo czarnuch nie żyje.

— Daj mu forszę! — wrzasnął Ben.

— Co mam mu dać? — odparł chłodno Cash. — Wszystko przegrałem w karty.

— Dawaj forszę — rozkazał zbir Benowi — albo będziesz następny.

Ben nie miał pojęcia, gdzie Cash trzyma zwitek banknotów. Nie nosił sakiewki, pieniądze mogły być ukryte dosłownie wszędzie: w bagażach, pod siodłem, gdziekolwiek.

Gdzie są pieniądze? — powtórzył Ben, coraz bardziej przerażony.

Czas minął — stwierdził bandzior i przyłożył broń do oka. Jednakże Ben dobrze wykorzystał tę zwłokę, rzucił się na niego i z całej siły go popchnął.

Podczas szarpaniny dubeltówka wypaliła z potwornym hukiem. Djumbati skoczył w krzaki, podobnie jak Cash, którego wziął na cel drugi rzezimieszek.

152

OGNIE FORTUNY

Zdażył wszakże oddać tylko jeden strzał, bo zaraz zachwiał się i padł najpierw na kolana, a potem na twarz. W jego plecach tkwiła długa włócznia.

Kiedy Cash pobiegł po strzelbę, ciała walczących mężczyzn rozdzieliły się i po chwili Ben przyciskał napastnika do ziemi.

— Dobra robota, Ben! — krzyknął Cash, po czym spojrział na zbira, którego brodata twarz pozbawiona była teraz zasłony. — I co, nie jesteś już taki cholernie mądry? — zadrywił z jeńca. — Założę się, że jesteś tym słynnym Kapitanem Jackiem, ty irlandzki gnojku. A może się mylę?

Bandzior splunął krwią.

— Puśćcie mnie, a nie pożałujecie.

— Co z jego kompanem? — spytał Cash, ale odpowiedź była zbędna. Z buszu wyszedł Mandjala i bez słowa wyjął włócznię z leżącego.

— Zabity? — spytał nerwowo Ben, a Mandjala pokiwał głową.

— Dobrze. Przynajmniej ten jeden kłopot mamy z głowy — stwierdził Cash, stojąc w bezpiecznej odległości od więźnia. — Jeżeli oddamy cię w ręce sprawiedliwości, Kapitanie Jack, dadzą nam sto funtów nagrody, a to całkiem niezła sumka. A więc jak zamierzasz nas przekonać, żebyśmy tego nie robili?

— Dam wam dwa razy tyle.

— A masz ty dwieście funtów? To pokaż.

— Przy sobie nie mam. Są ukryte.

— Słyszałeś biedaczynę, Benny? Kiedy mówiłem, że nie mam forsy, on mi nie uwierzył, a teraz chce, żebym ja uwierzył jemu.

— Bo ja mówię prawdę, a ty kłamałeś, bękarcie! Ben przerwał kłótnię.

— Musimy go pochować. Jak się nazywał?

— Niech będzie John Smith — odparł zbir. — Był do niczego. Przeklęty dureń! Gdyby robił, co do niego należało, nie musiałbym teraz słuchać tego cholernego gaduły.

— Niedaleko stąd mijaliśmy stary szyb — zwrócił się Cash do Bena. — Przeszukaj faceta, zawiń w stary pled i wrzuć tam. To najgłębszy grób, jaki można sobie wymarzyć. Weź do pomocy Jumbo.

Ben uznał, że to najlepsze rozwiązanie, i tak też uczynił. Nie podobała mu się perspektywa taszczenia do miasta zwłok nie zidentyfikowanego białego, zabitego włócznią od tyłu. Mogło to spowodować dużo więcej kłopotów, niż ten bandzior był wart.

153

PATRICIA SHAW

Kiedy wrócił, okazało się, że Cash i Kapitan Jack zawarli układ. Zbir był gotów kupić wolność.

— Przecież on chciał nas zabić — zaprotestował Ben.

— Blefowałem — zapewnił Jack.

— Akurat. Nie wierz mu, Cash, możemy wpaść w pułapkę.

— Nie. Będziemy go trzymać na muszce, a twoi czarni kumple przypilnują tyłów.

— Jeśli go puścimy, jaką mamy gwarancję, że nie ruszy za nami w pościg?

— Ciekawe, jak to zrobi bez konia i broni?

— Proponuję uczciwy układ — wtrącił Jack. — Zabierzcie mi broń, ale zostawcie konia.

— Ciesz się, jeśli nie zaprowadzimy cię pod szubienicę! — warknął Cash. — A teraz gadaj, gdzie masz kryjówkę. Tylko żadnych głupich sztuczek!

Kiedy siodłali konie, Mandjala zamienił kilka słów z Benem. Starzec wiedział, gdzie znajduje się kryjówka Kapitana, gdyż już poprzedniego dnia zaczął coś podejrzewać i poszedł za nim. Ben zachował tę informację dla siebie, na wypadek gdyby bandzior rzeczywiście próbował jakichś sztuczek, i tylko od czasu do czasu zerkał ukradkiem na Mandjalę, który skinieniem głowy dawał mu znak, że zmierzają we właściwym kierunku.

Niskie wejście do jaskini było starannie zakryte krzakami i świeżymi gałęziami.

— Pójdę po pieniądze — odezwał się Kapitan Jack, zsiadając z konia. — Dwieście funtów, tak jak się umawialiśmy. I jesteście kwita, zgoda?

— Masz moje słowo dżentelmena — odparł Cash swobodnie.

— W takim razie zaczekajcie tutaj. Cash ryknął gromkim śmiechem.

— Jeszcze czego! Pewnie masz tam niezły bank. Z tylnym wyjściem i całym arsenałem. Za nic w świecie! Jumbo, wejdź tam i rozejrzyj się.

Kiedy Djumbati oznajmił, że nie ma innego wyjścia, Cash zostawił zbira z Benem, a sam wziął latarnię i zniknął w jaskini. Wyszedł szeroko uśmiechnięty i bardzo zadowolony.

— Strasznie się napracowałeś, przyjacielu — odezwał się do Jacka. — Masz tam spore zapasy, broń i amunicję, a nawet skrzyneczkę whisky. Ale gdzie jest forsa?

— Zaraz przyniosę.

154

OGNIE FORTUNY

— Co to, to nie. Jumbo, weź łopatę i chodź ze mną. « Tym razem Cash wrócił z dwiema stalowymi skrzynkami, które

z rozwalonymi zamkami spoczywały głęboko w ziemi w najdalszym kącie jaskini.

— Pamiątki po zmarnowanej młodości — zarechotał Cash, wytarł skrzynki i otworzył pierwszą. Były w niej zwitki banknotów owinięte ceratą.

— Mówiłem ci, że mam pieniądze — odezwał się Jack. — A teraz bierzcie swoją dolę i odjeżdżajcie.

— Nie ma pośpiechu. Co jest w tej drugiej? — Cash podniósł wieko i przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywał się w zawartość, a potem delikatnie, niemal z namaszczeniem wyjął dwie skórzane sakwy. Jedna wypchana była złotem aluwialnym, w drugiej znajdowało się kilkanaście samorodków. — Jezuu, człowieku!

— wykrzyknął. — Co ty z tym wszystkim chciałeś zrobić?

— Zwiąć do Ameryki — uśmiechnął się Jack — kiedy tutaj zrobi się za gorąco. Tam panuje jeszcze większa gorączka złota, a ja mam praktykę w tym, co robię.

— To na pewno — zgodził się Ben, starając się nie spuszczać więźnia z oka i tylko od czasu do czasu spoglądając z fascynacją na złoto.

— Nie mogę sobie jakoś wyobrazić — stwierdził w końcu Cash

— że miałbym wszystko zostawić takiemu złoczyńcy. Niestety, będziemy musieli to zabrać.

— Tak myślałem. Nie płynie w tobie ani kropla krwi dżentelmena.

Ben także patrzył zachłannie na ten łup. Żeby tyle zarobić, musiałby pracować przez wiele lat. Kapitan Jack nie miał do tego bogactwa prawa, a gdyby je oddali w ręce władz, musieliby się zadowolić skromną nagrodą. Jack miał pecha, że próbował obrabować właśnie ich. Teraz będzie musiał pójść w swoją stronę i zacząć wszystko od nowa.

— Weźcie pieniądze, a mnie zostawcie złoto — przekonywał Jack.

— To chyba uczciwa propozycja. Ben trzymał go na muszce.

— Stój tam, dopóki Cash nie skończy szukać. Nigdy nie wiadomo, co jeszcze tam trzymasz. I tak masz się z czego cieszyć, Jack. Nawet nie miałbyś szans na więzienie, od razu by cię powiesili.

— Ty wiesz coś o tym, co? — syknął Jack.

— O czym? — spytał zaskoczony Ben.

155

PATRICIA SHAW

— O więzieniu. Wyczuwam takich jak ty na milę. Traktujesz tego swojego kompana jak strażnika. Ciągłe tylko „Tak, sir”, „Nie, sir”. Miną jeszcze lata, zanim kajdany przestaną w końcu pobrzękiwać.

Cash i Djumbati byli w jaskini, a Mandjala stał nieco z tyłu, trzymając stopę na kolanie i opierając się o włócznię. To, co się działo, zdawało się go w ogóle nie interesować.

— On jest lepszy od ciebie — mówił Jack, patrząc na Aborygena.

— Nie będzie usługiwać twojemu kompanowi jak ten smarkacz. I ty.

— Zamknij się! — warknął Ben. — Zostawimy ci żarcie. I resztę twoich rzeczy. Na więcej nie licz.

— A ty lepiej nie odwracaj się do niego plecami, bo ciebie też kiedyś załatwi.

Ben udał, że nie dosłyszał.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że mi przykro — stwierdził.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że musielibyśmy być niespełna rozumu, żeby przyjąć twoją propozycję i zostawić ci złoto, skoro możemy zabrać wszystko. Okradałeś ludzi, więc nie jęcz, kiedy okradają ciebie. I lepiej nie próbuj się zbliżyć.

— Ty nadal nic nie rozumiesz, prawda? — Jack wydawał się teraz stary i zmęczony. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat, pod gęstą brodą widać było starą bliznę. — Posłuchaj, synu, od dawna grasuję w tych okolicach i to, co trzymam w jaskini, to nie wszystko. Po drodze, tam w dole, minęliśmy stary powykrećany figowiec z orlim gniazdem. Trzymam w nim resztę łupów. Jeżeli chcesz je dostać, pojedź ze mną.

Z jaskini wyszedł Djumbati, niosąc stary kufer podróżny, którego widok przypomniał Benowi dzień, kiedy aresztowano go za rzekomą kradzież, a jego przyjaciel Willy zostawił go na pastwę losu. Ten wygadany bydlak najwyraźniej próbuje wytrącić go z równowagi. Ben modlił się, żeby Cash się pośpieszył.

— Mamy mało czasu — ponaglał go Jack. — Zastrzel tego irlandzkiego sukinsyna, jak będzie wychodził.

— Ty chyba oszalałeś — syknął Ben. — Nic cię nie obchodziło, kiedy zginął twój kompan. Jack krzyknął coś do Mandjali w jego narzeczu, zrobił to jednak tak szybko, że Ben nic nie zrozumiał. Kiedy się rozejrzył, Mandjali nie było. Co takiego Jack mu powiedział? Że biali go

zabiją? To nie miało znaczenia. Ben był pewien, że może ufać Mandjali i że ten wkrótce wróci. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że Kapitan Jack nie zamierza tanio sprzedać skóry i że trzeba na niego bardzo uważać.

156

OGNIE FORTUNY

Ubrania znajdujące się w kufrze wylądowały na ziemi, lecz Cash nie znalazł nic cennego.

— Ja przypilnuję jego lordowską mość — odezwał się Cash, mierząc do Kapitana — a ty zapakuj, ile się da. I nie zapomnij o whisky. — Otworzył dwa juki. — Wpakuj tu złoto i pieniądze, a potem przypnij do swojego siodła.

Ben natychmiast odzyskał spokój.

— A właściwie gdzie schowałeś forszę za konie? — spytał.

— Do buta — odparł Cash ze śmiechem.

— Przecież on mógł zastrzelić Djumbatego!

— Gdzie tam. Sam słyszałeś. Tylko blefował.

Cash nawet nie zauważył nieobecności starca, bo też nie było w tym nic zaskakującego.

Mandjala prawie nigdy nie brał udziału w codziennych pracach. Mogli liczyć na jego pomoc tylko wówczas, gdy trzeba było z pnącza robić sznur albo ścinać drzewa na ogrodzenie.

Bardzo lubił pracować ostrą jak brzytwa, nową siekierą Bena.

W końcu byli gotowi do drogi.

— Mamy dwa wolne konie! — zawołał radośnie Cash. — Chcesz się przejechać, Jumbo?

Jumbo uśmiechnął się, ale pokręcił głową. Wciąż jeszcze nie przyzwyczał się do tych dziwnych zwierząt, czasami spokojnych jak psy, kiedy indziej dzikich i szalonych, choć robiły na nim wielkie wrażenie.

— Zostawiłeś Jackowi jedzenie? — spytał Ben. — Zabraliśmy wszystko, co miał. Niech przynajmniej nie głoduje.

— Pewnie — odrzekł Cash. — Przeszukałem jaskinię najdokładniej, jak tylko potrafiłem, ale niewykluczone, że ma gdzieś ukrytą strzelbę. Sprowadźmy go na dół, zyskamy pewność, że zanim zdąży tu wrócić, będziemy daleko. To przebiegłe bydlę, pewnie dlatego tak długo mu się udawało.

A więc było po wszystkim. Ben z ulgą zjeżdżał ze wzgórza z fortuną przypiętą do siodła, prowadząc mocno obładowanego konia, podczas gdy Cash zajął się dwoma pozostałymi. Obejrzawszy się, Ben poczuł przyływ szczerego podziwu dla wyboru kryjówki. Wejście do jaskini było zupełnie niewidoczne, nie było tam też nietoperzy, które przecież uwielbiają takie miejsca.

— Wystarczy — odezwał się Cash i uniósł strzelbę. — Ruszaj w swoją stronę, Kapitanie, i Bóg z tobą.

Zamiast odwrócić się i posłać im na pożegnanie stek przekleństw, Jack skulony pobiegł zygzakiem. Dosięła go druga kula. Kapitan potknął się o głaz i legł martwy, twarzą do słońca.

157

PATRICIA SHAW

— Zastrzelełeś go! — wrzasnął Ben. — Po co, do diabła, to zrobiłeś?

— Bo inaczej ruszyłby naszym śladem, ty głupcze. Do końca życia musielibyśmy mieć oczy z tyłu głowy!

Benowi zrobiło się niedobrze.

— Nie powinienesz był tego robić, Cash. Nie powinienesz.

— Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale musimy dbać przede wszystkim o własną skórę. Wracamy prosto do Brisbane. Nie potrzebujemy już koni. Jesteśmy bogaci.

Rzucił wodze zbędnego konia do Djumbatego, który chwycił je cokolwiek niepewnie.

— Prezent! — zawołał Cash. — Jest twój. Jumbo spojrział na Bena, który wciąż był w szoku.

— Ten koń mój?

— Tak — odparł Ben matowym głosem. — Wracaj do domu i zabierz go ze sobą.

Wzruszony Aborygen podszedł do Bena i uściśnął mu dłoń, dając w ten sposób sposobność dyskretnego sprawdzenia, czy rewolwer znajduje się na swoim miejscu. Prestrogi Kapitana Jacka zaczynały się sprawdzać.

Patrzyli, jak Aborygen biegnie obok konia, wciąż nie mając dosyć odwagi, by na niego wsiąść.

— Co on, do licha, z nim zrobi? — roześmiał się Cash. — O rany — dodał po chwili. —

Tracę panowanie nad sytuacją. To chyba z nadmiaru szczęścia. Powinniśmy byli go zatrzymać. Przynajmniej by wykopał grób dla jego lordowskiej mości. A tak ty to będziesz musiał

zrobić.

— Ty go zastrzeliłeś, więc ty go pochowaj — zachnął się Ben.

— Właściwie masz rację — odparł Cash — ale chyba nie poszłoby mi to zbyt dobrze. Dół musi być dość głęboki, żeby zmieściły się w nim dwa ciała. Złaz z konia — rozkazał.

Mierzył teraz do Bena, ten jednak, zrozumiawszy sens przestrogi doświadczonego zbira, nie marnował czasu. Błyskawicznym ruchem wyjął rewolwer i wystrzelił, lecz rozległ się jedynie głuchy szcęk.

— Na wszelki wypadek wyjąłem naboje — wyjaśnił Cash spokojnie — Zrozum mnie, Ben, to nic osobistego. Lubię cię. Naprawdę świetny z ciebie kompan.

Złowroga stalowa lufa strzelby wciąż wycelowana była w Bena, który nie mając żadnego wyboru, zsiadł z konia. A więc to już wszystko. Miłość i opieka Omy oraz ukochanej matki, Diamond,

158

OGNIE FORTUNY

f

4

poszły na marne. Lata nadziei i oczekiwania na wolność również. Haniebny postępek doktora, który pozwolił jego matce umrzeć, nigdy nie zostanie ukarany. Przede wszystkim jednak myślał teraz o Diamond: o tym, jak bardzo go kochała i jak w marzeniach widziała jego przyszłość. Czasami, kiedy był jeszcze małym chłopcem, mówiła o wnukach, które będą dorastać w ich domu, wprawiając go tym w nie lada zakłopotanie.

Spojrzał na Casha O'Neilla, swojego rzekomego przyjaciela, i ogarnęła go dzika furia.

Cash był chytry i nie zbliżał się do niego, nie chcąc popełnić błędu, który zgubił kapitana Jacka.

— Nie patrz tak na mnie — mówił. — Gapisz się tak, jakbyś próbował sprowadzić na mnie śmierć. Widzę to po twojej aborygeriskiej gębie, ale lepiej daj sobie spokój, bo na mnie takie czary nie działają.

Ben przypomniał sobie węża. Tego, który zabił Bulla Bakera. Starał się go wywołać.

Diamond uwielbiała węże, kochała je. Były jej totemem. Uparcie patrzył Cashowi w oczy, myśląc intensywnie o tym, by gad pojawił się i ukąsił jego wroga. Mógłby na przykład spaść na niego z drzewa.

Nic takiego wszakże nie nastąpiło, próbował więc negocjować:

— Zastanów się nad tym, Cash. Weź sobie całe złoto i wszystkie pieniądze, mnie one nie są potrzebne. Nie mówiłem ci o tym, ale tak naprawdę jestem dość zamożny. Ja już mam pieniądze. Na litość boską, nie musisz mnie zabijać!

— Nawet gdybym ci uwierzył — odrzekł Cash — to by tylko pogorszyło sytuację. Ty masz pieniądze, a ja mam na karku wierzycieli. Choćbym nawet sprzedał stajnie, nie wystarczyłoby

mi na ich spłacenie. Ale teraz, mając ten majątek, mogę spokojnie sprzedać stajnie, popłacić długi, a i tak sporo mi jeszcze zostanie.

— Więc tak zrób. Ja nie będę ci w tym przeszkadzał. Powiedziałem ci już, bierz wszystko! Nagle uświadomił sobie, że robi to samo co Kapitan Jack: próbuje negocjować z człowiekiem, do którego nie przemawiają żadne argumenty.

— Kapitan Jack wiedział, że go zabijesz — rzekł. — I ostrzegął, że mnie też będziesz chciał zabić.

— No cóż, to był mądry gość. I niezle biegał. Wiedział, że takiego bogactwa się nie dzieli, że to w ogóle nie wchodzi w grę. Tamten drugi, ten, co go wrzuciliśmy do szybu, nie zobaczyłby z tych wszystkich

159

PATRICIA SHAW

łupów złamanego szylinga. W odpowiednim momencie Jack by się go po prostu pozbył.

— Tak jak teraz ty chcesz zrobić ze mną?

- Ha! Słyszycie go? Czy to nie ty próbowałeś przed chwilą mnie zastrzelić? Z nie nabitej broni, ale zawsze.

— To była samoobrona!

- To też jest, stary. Nie mogę pozwolić, byś uszedł z życiem.

0%1^???1???i?, rozglądając się dookoła. Znajdowali się na otwartej przestrzeni, Cash stał pod samotnym drzewem, jedynym w najbliższej okolicy, które zdołało oprzeć się suszy.

- Nie wypatruj tego czarnucha - odezwał się Cash. — Nie zajdzie mnie od tyłu. Jestem poza zasięgiem włóczni. Zęby mnie trafie, musiałby wyjść zza drzew, a wtedy go zastrzelę.

— Jeśli mnie zabijesz, będzie cię ściagał. / -Nie żartuj. Najprawdopodobniej już zwiął, a nawet jeśli me,

będę uważał. Już wkrótce nie będzie tu po mnie siadu. Konia nie dogoni. A teraz bierz łopatę i kop. Ja postoję tutaj).

Ben zastanawiał się, czy się nie sprzeciwi, to jednak tylko przyspieszyłoby nieuchronną śmierć. Musiał zwlekać, walczyć o każdą sekundę i liczyć na cud, który pozwoli mu ocahe ^**J*L konia, napinając plecy w oczekiwaniu m> «^L* LjL* ekscytowany i zniecierpliwiony, że w każde, chwili mógł Pisnąć spust Sięgając po łopatę, Ben niemal czuł to ostatnie uderzenie. Ee Djumbati i Mandjala wrócą i zajądą Casha_z dw^ s^n? Lecz przecież Djumbati to ufna dusza, poza tym zabrał ??? i popędził

W 8??8?- S^-^I^rtej Pstrzeni taki atak byłby z góry skazany na niepowodzenie. W konfrontacji ze strzelbą nawet Jt dwóch nie mieliby żadnych szans. Zginęliby albo przynajmniej zostali ranni. A oprócz strzelby Cash ma jeszcze u boku rewolwer. I nie ma co liczyć, że jest me nabity. .^

Poganiany przez wywrzaskującego rozkazy Casha, Ben odszedł na bok i spojrzał na rozciągnięte w słońcu ciało Kapitana bezwładne i nieruchome, jakby nigdy nie żyło. Kiedy wbijał łopatę w ziemię, oczyma wyobraźni zobaczył siebie leżącego obok, zużyty, mepotrzebny przedmiot.

By zyskać na czasie, krzyknął w stronę Casha:

— Jest twarda jak skała! Nie mogę nawet wbić łopaty.

W promieniach słońca mignął ledwo zauważalny cień.

i ??

OGNIE FORTUNY

I

Rozległ się krzyk, okropny, przerażający okrzyk bólu.

Ben zebrał wszystkie siły i odwrócił się w stronę śmiertelnej dubeltówki. Dotąd starał się stać do niej tyłem, łudząc się, że może strzał w plecy nie będzie tak bardzo bolesny. Ze zdumieniem stwierdził, że Cash kłęczy.

Ponieważ całym swym jestestwem skupił się na tej przeklętej strzelbie, dwuokim potworze zagrażającym jego życiu, trudno było mu teraz oderwać od niej wzrok. Cash wciąż przyciskał ją do piersi, nawet kiedy upadł na ziemię, nie chciał jej wypuścić. Ben oderwał w końcu wzrok od dubeltówki i zapominając o wszystkim, co zaszło, odruchowo, bez chwili namysłu rzucił się na pomoc Cashowi, który w końcu puścił broń i zwałił się na nią bezwładnie. Niemal w tym samym momencie Ben usłyszał swój własny krzyk.

Usta Casha były szeroko otwarte, lecz poza nimi cała jego twarz była właściwie nierozpoznawalna. Została z niej jedynie krwawa rana, tam gdzie czaszkę rozpołowiła zabójcza broń.

Ben zatoczył się, chwycił za brzuch i zwymiotował.

Mandjala przeszedł obok niego, podniósł bumerang, po czym zerwał z drzewa garść liści i starannie wytarł krew z ostrego jak brzytwa drewna, które przecięło czaszkę Casha, jakby to było jabłko.

Wieczorem, siedząc kompletnie zdruzgotany przy ognisku, Ben spytał Mandjalę, co takiego powiedział mu Kapitan Jack.

— Ostrzegł mnie, że on nas wszystkich pozabija.

— A ty mu uwierzyłeś?

— Bardziej niż tamtemu, twojemu przyjacielowi.

Ben pokiwał głową. Nie potrafił się pogodzić z żalonym biegiem wydarzeń, wciąż nie mógł uwierzyć, że Cash zwrócił się przeciwko niemu. Pochowali oba trupy, a on musiał się zgłosić na policję, postanowił więc jechać do najbliższego miasta, do Mitchell.

Mając w pamięci przytyki Kapitana Jacka, że ciągle zachowuje się jak więzień, wszedł na posterunek z podniesioną głową i przez cały czas patrzył sierżantowi w oczy. Więzienny nawyk spuszczenia wzroku w obecności innych był już tylko wspomnieniem.

Pewnym tonem przedstawił własną wersję wydarzeń, w której to dzielny Cash O'Neill wykorzystał chwilę nieuwagi Kapitana Jacka i zastrzelił go, sam wszakże został zabity przez drugiego rzezimieszka, który zdołał zbiec. By dowieść, że mówi prawdę, okazał policjantom konia Jacka, jego kapelusz, maskę oraz czarną kurtkę z wysokim

11 Ognie fortuny

161

PATRICIA SHAW

sztynnym kołnierzem, która najlepsze czasy miała już dawno za sobą. Nie wspomniał ani słowem o znalezionych łupach Jacka. Ani o Aborygenach. ...

„, • , To zresztą nie miało najmniejszego znaczenia. Policjanci byli zbyt podekscytowani faktem wyeliminowania groźnego zbira, by zagłębiać się w szczegóły. Dowody przedstawione przez Bena przekonały ich, że krwawe rządy Kapitana Jacka dobiegły końca. Na wszelki wypadek pokazali mu portret złoczyńcy.

— Czy to ten?

— -r/ak — odparł Ben. — Tyle tylko że na brodzie, mniej więcej w tym miejscu, miał bliznę, na której nie rósł mu zarost.

— Na Boga, on mówi prawdę! — wykrzyknął radośnie sierżant.

— Takiś rok temu ten bydlak oberwał szablą od konnego policjanta.

Ben zaproponował, że pokaże im, gdzie są groby, jednakże nikt nie miał ochoty na wykopywanie zwłok.

— Przykro mi z powodu pańskiego przyjaciela — powiedział sierżant. — Otrzyma pan nagrodę.

— Nie chcę jej — odparł Ben. — Co prawda rodzice pana O'Neilla

nie żyją ale Cash był właścicielem stajni w Brisbane i tam prześlijcie pieniądze. To on zastrzelił Kapitana Jacka, nie ja. Nagroda należy się jego najbliższemu krewnemu.

— p0 bardzo szlachetne z pana strony — stwierdził policjant.

— Czy pochodzi pan z tych stron?

— Nie, jestem tu po raz pierwszy w życiu. Polowaliśmy na dzikie konie do stajni Casha.

— Rozumiem. Ale kogoś mi pan przypomina. Mam świetną pamięć do twarzy. Mogę spytać, czy pana ojciec był biały?

— Rzeczywiście był, ale mieszkam z babką w Brisbane.

— Może więc pana ojciec stąd pochodził?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Umarł wiele lat temu.

Sierżant pokiwał głową.

— geckman — mruknął. — Nie znam nikogo o nazwisku Beckman nie mieszka tu nikt taki. Widocznie jest pan po prostu do kogoś podobny- Dokąd się pan teraz wybiera?

— p0 domu. Jeślibyście chcieli się ze mną skontaktować, mieszkam w Brisbane. Na Kangaroo Point. Mam tam dom — dodał, chcąc, by traktowali go jako osobę zamożną. — Czy jestem jeszcze do czegoś

potrzebny?

||*• :; . !

— Nie. Zrobił pan wszystko, co mógł. Odnajdziemy te groby i postawimy na nich nagrobki. Ale to już nasze zmartwienie.

162

OGNIE FORTUNY

- >

Mandjala czekał na niego daleko za miastem. Ben pozbył się już wszystkiego, co nie było mu niezbędne w drodze powrotnej do domu, a konie, które należały do Kapitana i Casha, zostawił na policji. Raz jeszcze podziękował Mandjali i jął gotować się do drogi.

— Żegnaj, przyjacielu — powiedział, na co Mandjala machnął ręką.

— Spotkamy się jeszcze — oznajmił.

Ben uznał, że to raczej mało prawdopodobne, ale przyszło mu do głowy, że może jest to uprzejma forma pożegnania, a także okazania hartu ducha, który się nie poddaje, mimo przeciwności losu spadających na Aborygenów.

Dobrze uzbrojony, z fortuną ukrytą w jukach, wciąż wstrząśnięty i przygnębiony zdradą przyjaciela, Ben wyruszył w długą samotną podróż do Brisbane. Policja przetelegrafowała już wiadomość o śmierci Casha O'Neilla i jego bohaterskiej postawie w konfrontacji z Kapitanem Jackiem, Ben wiedział więc, że przynajmniej na razie zostanie mu oszczędzone spotkanie z pracownikami O'Neilla, a być może także z jego krewnymi.

Pytania sierżanta, dotyczące jego ojca, dały mu jeszcze jeden temat do rozmyślań. W domu nigdy o nim nie rozmawiali, jedynie o Kapitanie Beckmanie, bohaterze, który najwidoczniej przyćmił swym blaskiem syna. Ben zaczął się teraz zastanawiać dlaczego. Człowiek powinien wiedzieć więcej o swym ojcu. Postanowił zapytać Omę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

(Gussie Beckman była jedyną osobą, z którą mógł porozmawiać, pOwiedział jej więc prawdę. Całą.

początkowo była przerażona, że Ben o mały włos nie stracił życia z rąk człowieka, któremu zaufał. Zawsze twierdziła, że obszary położone w głębi kontynentu są dzikie i niebezpieczne, i oto miała

dowód-

Kiedy pokazał jej zwitki banknotów oraz złoto, o mało nie zemdląca.

— W tym drzewie była tylko załadowana strzelba — rzekł.

— Jeszcze jedna chytra sztuczka starego lisa. Tego zresztą należało się spodziewać. Poza tym to, co już miałem, i tak w pełni mi wystarczy.

— Ale przecież to nie są twoje pieniądze, Ben — wyszeptła Oma.

— Jyiusisz je zwrócić.

— Komu? To był cwany facet. Torby są nie oznaczone. Obrabował tylu ludzi, że teraz już nikt nie będzie w stanie udowodnić, że pieniądze albo złoto należały do niego.

— W takim razie powinieneś oddać je władzom.

— Równie dobrze mógłbym je wrzucić do rzeki — roześmiał się

gen — Kto wie, gdzie by skończyły? Jeżeli nie w skarbcach rządu, to z pewnością w kieszeniach jego urzędników. Nie, to wszystko należy teraz do mnie, to moja fortuna. Byłbym szalony, gdybym ją oddał.

Oma nie była zadowolona z tego rozwiązania, aczkolwiek żadne inne nie przychodziło jej do głowy. Zdała się więc na zdrowy rozsądek Bena — Tym bardziej że przecież miał rację, wątpiąc w uczciwość urzędników — czyż nie trzeba było ich przekupić, by go wydostać i więzienia? Zamiast o tym wszystkim rozmyślać, zabrała się za to, co lubiła najbardziej — za gotowanie dla swego ukochanego chłopaka.

164

OGNIE FORTUNY

— Chciałbym cię o coś spytać, Oma. O mojego ojca. — Zauważył, że zeszywniała, mimo to kontynuował. — Czy on także zginął na morzu?

— Nie lubię rozmawiać o przeszłości, Ben — odparła cicho, stojąc do niego tyłem i dalej obierając ziemniaki.

— Nie lubisz rozmawiać o swoim synu? Czy mąż był dla ciebie o tyle ważniejszy?

Westchnęła i odwróciła się ku niemu.

— Mój jedyny syn zmarł w Niemczech wiele lat temu. Nigdy nie był w Australii. I nie był twoim ojcem.

— Zaczynałem się tego domyślać — stwierdził Ben. — Ale w takim razie kto jest moim ojcem?

— Mężczyzna, którego Diamond poznała na północy. To nie był dobry człowiek, Ben, i twoja matka wcale nie żałowała, kiedy znikł z jej życia. Dlatego nigdy nie wymawiała jego imienia. Chciała, byc nosił nasze nazwisko, Beckman. — Gussie pocieszała się w duchu, że w gruncie rzeczy to nie jest do końca kłamstwo. Ben potrzebował teraz normalności, bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Ostatnia rzecz, jaka mu była potrzebna, to świadomość bliskości tego okropnego człowieka, którego nazwiska nie wspomniała nawet w myślach w obawie, że przez przypadek mogłaby wypowiedzieć je na głos.

— Kiedy widziała go po raz ostatni?

— Och, to było bardzo dawno, jeszcze zanim się urodziłeś. Mówiła, że kiedyś, gdy będziesz starszy, opowie ci o nim, ale cóż, nie było jej dane dożyć tej chwili. Zresztą tak chyba jest lepiej, Ben.

— Chyba tak — zgodził się. Oma miała rację. Tamten mężczyzna porzucił zapewne jego matkę, wszak takie rzeczy nie należą do rzadkości, po co więc się nim przejmować?

Po co w ogóle o nim myśleć?

Ben nie czuł zawodu. Poza tym miał ważniejsze sprawy do omówienia z Orną.

— Jutro będę musiał iść do stajni i porozmawiać z nimi. Nie wiem, kto odziedziczył stajnie po Cashu. Za to wiem, że ktokolwiek to jest, dostał w spadku jedynie długi.

— Jaka szkoda — stwierdziła Oma, ciesząc się, że zmienili temat.

Była w widoku rzeki jakaś niezmiennosc, która zawsze Bena przyciągała. Nigdy nie miał dość tego widoku, uwielbiał go tak, jak inni kochają obserwować ocean, a jeszcze inni słuchać cudownego szumu deszczu. Była to ta sama rzeka, którą przetransportowano go do

165
PATRICIA SHAW

kamieniołomów, lecz nią również wrócił do domu, a teraz, kiedy spoglądał w przeszłość, monotonia i udreka tamtych dni wydawały mu się niczym w porównaniu ze wstrząsem spowodowanym zdradą Casha O'Neilla.

Ben powinien go nienawidzić, tymczasem bolał nad jego śmiercią, bolał nad niespełnioną przyjaźnią, a to dlatego że po prostu go lubił. Ale czy ludzie pokroju Casha nie są właśnie tacy? Weseli, towarzyscy, wzbudzający zaufanie. To ich towar. A czy Ben dla swoich celów sam nie skorzystał z podobnej sztuczki, gdy relacjonował rzekome okoliczności śmierci Casha i Kapitana Jacka? Kamieniołomy dały mu siłę fizyczną, Cashowi zawdzięczał coś znacznie cenniejszego: pewność siebie. A jego zdrada dała mu jeszcze swoistą premię — niezłomne pragnienie sukcesu.

Oma siedziała na werandzie w swoim trzcinowym fotelu i sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej. Wzrok miała już słaby i nie potrafiła szyć przy sztucznym świetle, tak więc relaks na werandzie był spokojnym zwieńczeniem jej dnia.

Ben wystawił krzesło i usiadł obok niej.

— Kiedy przebuduję dom — rzekł — będziemy mieli na piętrze szeroką werandę z prawdziwego zdarzenia. To dopiero będzie widok.

— Chcesz przebudować dom? — zdziwiła się. — Po co? Temu przecież nic nie brakuje.

— Jest za mały. Chcę, żebyś miała piękny dom z przyzwoitą jadalnią, dużym salonem, własną sypialnią i werandą, a nie taką ciasną klitkę jak teraz.

— A co się stanie z tym domem?

— Rozbierzemy go.

— Ależ, Ben, to niepotrzebna strata pieniędzy. Po co mi duży dom? Cały dzień musiałabym sprzątać.

— Wcale nie. Miałabyś pokojówki. A nawet kucharkę. Zaslugujesz na to, by się tobą opiekowano.

— Kucharka! Jeszcze czego! — Oma była przerażona. — Nie pozwolę, żeby jakieś głupie dziewczę rządziło w mojej kuchni!

Ben postanowił porzucić na razie ten temat.

— Tak jak ci już mówiłem, jutro wybieram się do stajni. Mogłoby im się wydać dziwne, gdybym się nie pojawił.

— Tak, chyba rzeczywiście powinieneś tam iść. A ja chętnie będę ci towarzyszyć, żeby złożyć kondolencje. Nie wolno nam zapominać,

166

OGNIE FORTUNY

| *

że pan O'Neill, świeć, Panie, nad jego duszą, był tak miły i przyszedł na pogrzeb twojej matki.

— Dobrze. Będzie chyba najlepiej, jeśli pójdziemy razem. Tylko proszę cię, nie zapomnij, że dla nich Cash jest bohaterem. Będziesz pamiętać, prawda?

— Oczywiście. Sądzę, że najlepiej, jeśli pójdziemy razem. Tylko proszę cię, nie zapomnij, że dla nich Cash jest bohaterem. Będziesz pamiętać, prawda?

Stajnie wciąż jeszcze były otwarte, lecz panowała w nich cisza, a Rod Callaghan był bardzo strapiony.

— Aż do wyjazdu Casha nie miałem pojęcia, że firma bankrutuje. W banku nie mamy ani funta, dochody ze stajni wystarczają wprawdzie na paszę dla koni, ale na płace już nie. Został jedynie stary Bennis i ja, resztę ludzi musiałem zwolnić.

— A co ze sprzedażą koni?

— Sprzedałem trzy ostatnie, ale na zakup nowych nie ma pieniędzy. Wkrótce po stajniach zostanie jedna wielka ruina. Mówię ci, niech będzie przeklęty ten dzień, kiedy Cash postanowił zlikwidować siodlarnię. To była kopalnia pieniędzy, przyciągała ludzi, dzięki temu mogliśmy im pokazać konie, które chcieliśmy sprzedać. Widzieli też, że dobrze opiekujemy się powierzonymi nam końmi. — Rod zwrócił się do pani Beckman. — Przepraszam panią bardzo. Nie powinienem trzymać pani na słońcu i opowiadać o swoich kłopotach. Proszę, wejdźmy do biura. Zaraz zaparzę herbatę.

Znalazł gdzieś filizankę i spodeczek dla Gussie, która siedziała sztywno w kapeluszu i rękawiczkach. Rod przeprosił, że nie ma mleka.

— Nie szkodzi — zapewniła, podczas gdy on napełniał aluminiowe kubki dla siebie i Bena.

— Na takie upalne dni lepsza jest herbata bez mleka. Znacznie łatwiej gasi pragnienie.

— Racja — odparł. — To bardzo miło, że państwo przyszlście. Posłałem Dennisa, by powiedział Kathleen, że jesteście.

— Kim jest Kathleen?

— Jak to... siostra Casha. Z całej rodziny została już tylko ona. To właśnie ją policja zawiadomiła o śmierci Casha. Biedna dziewczyna, była zupełnie sama w domu, przeżyła potworny wstrząs. Ale powoli dochodzi do siebie. W kościele Świętego Józefa odbyła się msza za jego duszę. Przyszło tylu ludzi, że nie wierzyliśmy własnym oczom. To dlatego że został bohaterem. Jest teraz sławny, biedaczysko. Zawsze o tym marzył, szkoda tylko że musiał zginąć, by dopiąć swego.

167

PATRICIA SHAW

Rod poprosił Bena, by opowiedział mu coś więcej o bohaterskich czynach Casha, a ten uczynił to bez słowa sprzeciwu, racząc go tą samą opowieścią, którą wcześniej sprzedał policji. Gussie nie przerywała, wyglądało na to, że bardziej interesuje ją panujący w biurze bałagan, fotografie i rysunki koni wiszące na ścianach oraz dokumenty porozrzucane na byle jakim biurku.

W końcu zjawiała się Kathleen O'Neill. Była bardzo drobna, lecz przy tym tak podobna do Casha, że Ben nie wierzył własnym oczom. Czarny strój bardzo do niej pasował, podkreślając piękno ciemnych oczu, którym brakowało jedynie wesołego blasku oczu Casha. Miała kremową cerę, ciemne loki sterczące spod ciasnego czepka, a jej usta, teraz tak bardzo smutne, miały ten sam kształt, który Cash potrafił zmienić w radosny uśmiech albo pogardliwy grymas.

Gussie wstała i podała jej rękę.

— Tak mi przykro — rzekła. — Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. Moje nazwisko Beckman, a to mój wnuk Ben. Był razem z pani bratem.

Ben powtórzył mniej więcej to samo, a ona podziękowała, kiedy jednak usiedli, zapadła niezręczna cisza.

W przeciwieństwie do Callaghana Kathleen O'Neill nie chciała znać szczegółów opowieści Bena. Powtórzyła jedynie słowa Roda:

— Miło mi, że państwo nas odwiedzili. Przyjemnie wiedzieć, że Cash miał tak oddanych przyjaciół.

— Idzie do ciebie nagroda — odezwał się Rod. — Wiesz, za tego bandziora, Kapitana Jacka. Ben jej nie przyjął.

— Dziękuję — odparła głucho.

— Mam nadzieję, że to nie jest nieodpowiednia pora — zwrócił się do niej Ben. — Ale Cash i ja sprzedaliśmy konie, które złapaliśmy tam, na zachodzie. Zarobiliśmy trzysta funtów...

— Czy właśnie ich chcieli ci bandyci? — spytała.

— Tak — odrzekł Ben. — Przypuszczam, że dowiedzieli się o wszystkim w miasteczku i ruszyli za nami.

— A on dał się zabić dla pieniędzy — stwierdziła. — Dlaczego im ich po prostu nie oddał?

— To prawda, proszę pani, tak rzeczywiście było. Też nad tym ubolewam. Gdybym wiedział, gdzie Cash schował te pieniądze, sam bym im je oddał.

Kathleen wstała i podała Gussie rękę.

— Muszę już iść. Mam strasznie dużo pracy. Jeszcze raz dziękuję za wizytę, pani Beckman.
168

OGNIE FORTUNY

— Ben przyniósł te pieniądze — odezwał się Rod, próbując jakiś ją pocieszyć. — Pieniądze za konie. W szufladzie leży trzysta funtów, Kathleen.

Posłała Benowi chłodne spojrzenie.

— Wydawało mi się, że łapaliście te konie razem.

— Tak — przyznał Ben. — W takim upale i przy takiej suszy nie było to łatwe zadanie.

Podeszła do biurka, wyjęła pieniądze z szuflady i przeliczyła banknoty.

— To pańska część, panie Beckman — rzekła, wręczając mu połowę sumy. — Nie chcę jałmużny.

— Nawet nie wiedziałem, że Cash ma siostrę — mówił Ben w drodze do domu. — Nigdy o niej nie wspominał.

— Niektórzy mężczyźni tacy już są — westchnęła Oma. — Nie w smak im, kiedy prawa ręka wie, co robi lewa. Ale to miła młoda osoba. I chyba bardzo rozsądna. Ciekawe, co z nią teraz będzie?

— Nie martwiłbym się zanadto o jej los — odparł Ben. — Na pewno ma mnóstwo przyjaciół.

— Ale brakuje jej pieniędzy.

— Jest ładna — stwierdził Ben, uśmiechając się szeroko. — Na pewno ma na oku kandydata na męża.

— Ach wy, mężczyźni! Wydaje wam się, że mąż to dla panny istny dar niebios.

— A nie? — roześmiał się Ben.

— Rzadko — parsknęła Oma. — A dla dziewczyny w jej sytuacji może nawet okazać się prawdziwą tragedią.

Ben nie krył zdziwienia.

— Niby dlaczego?

— Bo ma ograniczone możliwości wyboru.

Po powrocie do domu Gussie zdjęła kapelusz i zawołała Bena:

— Chodź do kuchni, chcę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O tych stajniach. Uważam, że powinieneś je kupić.

— Po co? Dlatego że żal ci tej dziewczyny? Nie mam zamiaru wyrzucać pieniędzy w błoto.

Po co mi taki kłopot?

— To nie ma nic wspólnego z panną O'Neill. Dobrze wiesz, że to jej brat doprowadził interes na skraj bankructwa. Ale sam mówiłeś, że za czasów jego ojca stajnie przynosiły zysk. To samo powiedział pan Callaghan. Uważam, że powinieneś je odkupić, doprowadzić do

PATRICIA SHAW

porządku i przede wszystkim na nowo otworzyć siodlarnię. Musiałbyś też odnaleźć starych pracowników i przekonać, żeby wrócili.

— Sam nie wiem — wahał się Ben. — Wydaje mi się, że to się nie opłaci.

— Więc co zamierzasz ze sobą zrobić? Przecież nie możesz siedzieć przez cały dzień bez żadnego zajęcia. Zastanów się nad tym, Ben. Sama ziemia będzie sporo warta, kiedy miasto się rozrośnie. A trzeba ci wiedzieć, że miasta rosną coraz szybciej.

Chcąc sprawić jej przyjemność, Ben zastanowił się nad tym i już rano uwierzył, że ten pomysł wcale nie jest taki zły.

— Jest tylko jeden problem — rzekł. — Nie mogę zapłacić pieniędzmi, które przywiozłem. Jeśli nagle się okaże, że śpię na gotówce, ludzie zaczną się zastanawiać, skąd je wzięłem.

— Też o tym myślałam, ale na całe szczęście twoja mama zapisała swoje pieniądze na mnie. Kupię te stajnie za pośrednictwem pana Josepha Mantrella, naszego adwokata.

— Pokryję wszystkie koszty — zapewnił, na co Oma tylko się roześmiała. Po raz pierwszy od czasu kiedy zaczęły się wszystkie ich kłopoty, widział ją taką radosną, tak podekscytowaną.

— Nie żartuj sobie, Ben — odparła. — Nie możesz oddawać mi pieniędzy, które należą do ciebie. Czuję się jak konspiratorka. Jeśli będziesz potrzebował gotówki, by postawić te stajnie z powrotem na nogi, możesz po cichu skorzystać z pieniędzy, które trzymasz ukryte w pokoju. Nie będziemy już o nich rozmawiać, przyjmijmy, że to po prostu taki twój prywatny bank.

Ben uśmiechnął się.

— Wiesz co, Oma, zaczynam wierzyć, że jesteś równie przebiegła jak cały ten świat. Gussie spojrzała na niego poważnie.

— Ten świat zadał ci kilka okropnych ciosów, Ben, i najwyższy czas, żeby dał ci też odrobinę szczęścia. Nie wiem, czy pieniądze, które przywiozłeś, są brudne czy nie, naprawdę nie wiem, co o nich myśleć, ale oczekuję od ciebie, żebyś odłożył na bok przeszłość i zaczął uczciwie pracować. I jeszcze jedno. Nie chcę już słyszeć ani słowa o Cashu O'Neillu. Jeżeli kupisz te stajnie, zdejmij z bramy nazwisko O'Neill i zastąp je swoim własnym.

— Chce kupić stajnie? — spytała Kathleen. — Ciekawe, skąd wziął pieniądze? Przecież był tylko stajennym, a do tego sam mówiłeś, że siedział w więzieniu.

170

OGNIE FORTUNY

— Propozycję złożyła pani Beckman — wyjaśnił Rod. — Widocznie stać ją na to.

— Przecież on nie ma zielonego pojęcia, jak prowadzić taki interes.

— A co to ma za znaczenie? Jeśli kupi stajnie, będziesz miała kłopot z głową.

— Nie. To teraz moja własność. Poprowadzę ten interes, tak jak robił to ojciec. Nie będzie żadnych kosztownych koni wyścigowych. Jestem pewna, że potrafię sobie poradzić. Wkrótce znowu zaczniemy zarabiać.

Rod pokręcił głową.

— Kathleen, jeżeli nie sprzedasz stajni, niedługo stracisz także dom. Tak jak na reszcie posiadłości ciąży na nim hipoteka. Cash wziął pod jego zastaw pożyczkę.

Była wstrząśnięta.

— Jak mógł coś takiego zrobić? Ojciec zapisał go nam obojgu.

— Nie wiem. Sposoby działania Casha poznamy jedynie poprzez rosnącą listę wierzycieli. Miał długi dosłownie wszędzie. Musisz jak najszybciej sprzedać stajnie, a to jedyna oferta.

— A ten cały Beckman pewnie śmieje się z nas do rozpuku. W ciągu zaledwie paru lat wyrósł ze stajennego na właściciela.

— Nie sędzę, żeby się z nas śmiał. To porządny facet.

— Skoro jest taki porządny, powiedz mu, że może wejść do spółki. W ten sposób będziemy mieli pieniądze, by spłacić najpilniejsze sługi i rozpocząć wszystko od początku.

— Nic z tego. Proponowałem mu to, ale on twierdzi, że nie chce żadnych wspólników.

— A w szczególności wspólników płci żeńskiej?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Widział plany stajni i terenów i chce to wszystko kupić.

— A ja co niby miałabym robić? Siedzieć spokojnie w domu i patrzeć, jak dorobek całego życia ojca przejmuje ktoś obcy?

— Jeszcze raz ci powtarzam — odparł Rod, tracąc cierpliwość — że w ten sposób zachowasz przynajmniej dom i jeszcze zostanie ci trochę pieniędzy. Jeżeli tak bardzo drażni cię taka sytuacja, możesz sprzedać także dom i po prostu się stąd wyprowadzić.

— Nigdy! — wykrzyknęła. — To mój dom, tu się urodziłam!

— Poddaję się, Kathleen. Zostawiam ci te papiery. Podpiszesz je albo nie, decyzja należy do ciebie.

— Domyślam się, że zamierzasz u niego pracować. Dennis pewnie też?

171

PATRICIA SHAW

— Licz się ze słowami, Kathleen, i nie traktuj nas jak zdrajców. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale teraz musimy znaleźć sobie pracę, za którą będą nam płacić.

Parę tygodni później ogarnęła ją wściekłość, kiedy ujrzała nad bramą nową tablicę: „Stajnie Beckmana”.

— Rób tak dalej — mruknęła pod nosem — a wpakujesz się w jeszcze gorsze tarapaty. Tak się jednak nie stało. Zakupiono nowe konie, a także zatrudniono nowych pracowników do pracy w eleganckich stajniach, postawionych przez jej rozrzutnego brata.

A niedługo potem na torze treningowym dla koni wyścigowych Casha rozpoczęła się jakaś budowa. Ujrawszy to, Kathleen wpadła jak burza do biura Bena Beckmana.

— Co pan tam buduje? Tuż obok mojego domu?

— Siodlarnię — odparł spokojnie. — Pani ojciec miał rację, dobrzy rymarze wciąż są potrzebni.

— Nie zgodzę się na fabrykę obok mojego domu. Niech pan ją postawi gdzie indziej.

— To niemożliwe, panno O'Neill. Ale jeśli pragnie pani sprzedać dom, myślę, że przyda mi się jeszcze kawałek ziemi.

— Pan to robi specjalnie! — syknęła. — Po to, żeby mnie wyprowadzić z równowagi. Doprawdy, nie rozumiem, co Cash widział w kimś takim jak pan!

Ta obelga dotknęła go do żywego.

— A ja nie wiem, co widziałem w Cashu! — warknął, kiedy Kathleen O'Neill wybiegła z biura.

Ben zjawiał się w pracy każdego ranka punktualnie o piątej. Zatrudniał teraz siedmiu ludzi, którzy stali się niezbędni, odkąd interes stanął na nogi. Stajnie były nieskazitelnie czyste, konie dobrze odżywione i oporządzone, a pomimo znacznej podwyżki opłat za usługi żaden z klientów nie narzekał. Przejrzawszy księgi, Ben odkrył, że ceny pozostawały nie zmienione od czasów O'Neill'a ojca, podczas gdy koszty przez cały czas rosły, dlatego też szybko podniósł opłaty do poziomu, który zapewniał godziwy zysk.

Siodlarnia była już prawie gotowa, a on szukał w Brisbane najlepszych specjalistów w tym rzemiośle. Kathleen O'Neill nadal boczyła się na niego z powodu budowy, przedzielił więc obie posiadłości wysokim parkanem, co do pewnego stopnia ją uspokoiło. Przestała w każdym razie ignorować go, kiedy mijając ją, uchylał kapelusza,

172

OGNIE FORTUNY

i odwzajemniała się lekkim skinieniem głowy. Benowi bardzo zależało na poprawnych stosunkach z tą dziewczyną.

Za namową Omy — po to, by zrobić dobre wrażenie — niewielkie biuro zostało wysprzątane, pomalowane i starannie umeblowane, chociaż Ben nie spędzał w nim zbyt wiele czasu. Wolął być na dworze, pracować razem z robotnikami albo ćwiczyć konie na jedynym pozostałym wybiegu. Miał także inne plany, i to bynajmniej nie tak głupie jak wyprawa po dzikie konie. Postanowił, że kiedy już ruszy siodlarnia, znajdzie dodatkowe budynki i rozpocznie produkcję innych towarów ze skóry. Odkrył, że w dochodzeniu do bogactwa jedna rzecz prowadzi do drugiej, a on przecież zamierzał zbić ogromną fortunę. Uśmiechnął się do siebie. Diamond zapewniła mu niezły start, niech dobry Bóg ma ją w swojej opiece, dzięki łupom Kapitana Jacka wysunął się na pierwszą linię. Teraz jednak musiał sobie udowodnić, że sam też potrafi odnieść sukces, że jest w stanie podwoić czy nawet potroić posiadany kapitał.

Jedynym rozczarowaniem było dla niego to, że Oma uparcie odmawiała zgody na przebudowę domu, a właściwie zburzenie go i zastąpienie nowocześniejszym, który przyćmiłby rezydencję sąsiadów. Najchętniej trzykondygnacyjnym budynkiem, z którego mieliby wspaniały widok na okolicę, w tym także na ogrody Thurlwellów.

Minęło dopiero wpół do ósmej, lecz w stajniach zjawiała się jakaś kobieta i rozmawiała teraz z jednym ze stajennych. Jej głos brzmiał dziwnie znajomo.

Włożył kapelusze i wyszedł, by się z nią przywitać. Była to drobna kobieta, ubrana w wełniane kabary zarzucone na koszulę w kratę, moleskinowe bryczesy i buty do konnej jazdy, a jej opalenizna wskazywała, że sporo czasu spędziła w buszu. Większość kobiet jeżdżących konno okrakiem nosiła długie spódnice z głębokim rozcięciem, ta wszakże najwyraźniej bardziej dbała o wygodę aniżeli o elegancję.

— Pan zapewne jest nowym właścicielem — uśmiechnęła się. — Pan Beckman, tak?

— Tak — odparł zauroczony. — Czym mogę służyć?

— Jestem Clara Buchanan — przedstawiła się. — Mój mąż trzyma tutaj konie. Pański stajenny poszedł właśnie osiodłać Talleymana.

Ben skrzywił się. Jej mąż, podobno polityk, był wyjątkowo aroganckim typem, aczkolwiek Ben musiał przyznać, że nieźle zna się na koniach. Nie był też wcale takim mieszcuchem, na jakiego pozował. Ben orientował się, że Talleyman to silny ogier, który lubi

173

PATRICIA SHAW

chodzić własnymi drogami, dlatego zastanawiał się przez chwilę, czy nie zasugerować tej damie, by wybrała innego konia, ale dał sobie spokój. Wyglądała na kogoś, kto zna się na rzeczy.

— Będę też potrzebowała małą Gracie — mówiła. — Zabieram na przejażdżkę przyjaciółkę.

— To dobrze — odparł Ben. — Gracie od dłuższego czasu nie była pod siodłem, ale dbamy, żeby nie wyszła z formy.

— Miło mi to słyszeć, panie Beckman. — Przeszła przez brukowane podwórze, wciąż wilgotne po porannym zraszaniu, i zajrzała do pełnego lśniącego koryta.

— Ileż bym dała, żeby móc tak marnotrawić wodę — odezwała się tęsknym głosem.

— Uważa pani, że to marnotrawstwo? — spytał zaskoczony Ben.

— Dobry Boże, skądże znowu. Ale dla mnie to wprost niewyobrażalny luksus. Mieszkam na zachodzie, a tam susza jest prawdziwym koszmarem.

Phoebe przyjechała powozem jak Clara, tyle że z przeciwnej strony.

Zeskoczyła na ziemię, powiedziała stangretowi, że wraca za około godzinę, i w typowym dla siebie geście poprawiła toczek, przyglądziła niebieski aksamitny żakiet i ciężką spódnice.

Przebiegła przez bramę i ujrzała Clare, rozmawiającą z wysokim, mocno opalonym mężczyzną. Natychmiast zwróciła uwagę na tego „niebyle jakiego przystojniaka”, jak zwykła nazywać dobrze zbudowanych mężczyzn. Szeroki w barkach, miał silne ramiona, podwinięte rękawy koszuli i ciemne bryczesy, pasujące kolorem do wysokich butów.

Zanim przeszła podwórze, by spotkać się z interesującym nieznanym, jednym ruchem ręki rozpuściła długie blond włosy i nieco uniosła podbródek.

Przyjrząwszy się mężczyźnie bliżej, stwierdziła, że to nie opalenizna, tylko naturalny kolor jego skóry, co trochę ją rozczarowało, aczkolwiek nie zmieniła zdania, że jest bardzo przystojny.

— Nareszcie jesteś — przywitała ją Clara. — Kazaliśmy osiedlać dla ciebie Gracie. — Jej ogier właśnie wychodził ze stajni, czym prędzej więc pobiegła w jego stronę. — Och, Talleyman. Czyż nie jest piękny? Panno Thurlwell — rzuciła przez ramię niemal machinalnie. — To jest pan Beckman, nowy właściciel stajni.

Jego piękne brązowe oczy wpatrywały się w nią z lekkim uśmiechem.

174

OGNIE FORTUNY

— Bardzo mi miło, panno Thurlwell — rzekł cicho.

Phoebe go знаła! To musiał być ten chłopak, teraz już dorosły, ale ten uśmiech? Czy to znak, że ją rozpoznał, czy po prostu zwykła uprzejmość? Trudno było odgadnąć, co bardzo zbiło ją z tropu. Być może się myliła, lecz spoglądał na nią z taką czułością — tak, była pewna, że to czułość — jak kochający krewny, który patrzy na kogoś, kogo od bardzo dawna nie widział. Dobry Boże! Przecież to kryminalista! Jak to możliwe, że w ogóle przyszło jej do głowy, żeby z nim poflirtować!

Czym prędzej odeszła, on zaś nie próbował jej towarzyszyć, pozwalając, by zastąpił go stajenny. Clara siedziała już na Talleymanie, pewnie trzymając go w ryzach, czule poklepując i przemawiając jak do starego przyjaciela. Kiedy ruszyły, Phoebe nawet się nie odwróciła. Ben początkowo jej nie poznał, ale jej widok sprawił mu szczerą przyjemność.

Wrzecionowata pannica wyrosła na atrakcyjną młodą damę. Nie do niej żywił urazę, tylko do jej rodziców. Im za nic w świecie nie potrafiłby przebaczyć. Zmartwiło go jednak, że na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie; kiedy padło jego nazwisko, radosny blask znikł niczym starty ścierką. Była zakłopotana i miała po temu wszelkie prawa. Jako sąsiadka na pewno znała jego przeszłość i wiedziała, że siedział w więzieniu. Zresztą nigdy tego nie ukrywał.

— Noś głowę wysoko, chłopcze — tłumaczyła mu Oma, — Nie skrywaj prawdy o sobie. Kiedy człowiek próbuje coś ukryć, inni starają się za wszelką cenę to ujawnić.

Uśmiechnął się zastanawiając, kiedy Oma przestanie nazywać go chłopcem. Ależ to będzie dla niej wiadomość! Phoebe Thurlwell jest jego klientką!

Oma mówiła mu, że Phoebe była dla niej bardzo miła, czasami nawet ją odwiedzała, przynosząc drobne upominki. Ostatnio przestała się pokazywać.

— To młoda dama i życie towarzyskie staje się dla niej coraz ważniejsze.

Nie chcąc wprawiać dziewczyny w zakłopotanie, Ben trzymał się na uboczu, kiedy z panią Buchanan wróciły z przejażdżki. Ciekaw był, czy Phoebe wspomniała przyjaciółce, że go zna. Albo, co gorsza, powiedziała o jego przeszłości. Efektem mogła być rezygnacja Buchananów z jego usług. Wzruszył ramionami, nie miało to większego znaczenia. Lista oczekujących na wolne miejsca była bardzo długa.

175

PATRICIA SHAW

Phoebe nie wspomniała o nim ani słowem. Zamiast wybrać modną trasę wzdłuż rzeki, pojechały w całkiem innym kierunku i świetnie się bawiły, gawędząc o różnych drobiazgach. Jednakże wieczorem Phoebe z balkonu przypatrywała się niewielkiej chatce w sąsiedztwie. Pewnie Ben śpi teraz głęboko, podczas gdy ona tu siedzi, głęboko poruszona, kompletnie wytrącona z równowagi. Strasznie ją to drażniło. Niezależnie od tego, kim był, dobre maniere wymagały, by przynajmniej przyznała się, że go zna, mówiąc na przykład: „O tak, poznaliśmy się kiedyś”. Nie zrobiła tego. Wybrała ucieczkę. A on na pewno dostrzegł jej zakłopotanie. To okropne! Nigdy więcej nie pojawi się nawet w pobliżu tych stajni!

Zastanawiała się, czy jej milczenie sprawiło mu przykrość. Lecz przecież on też mógł coś powiedzieć, spytać, czy jest jego sąsiadką.

Nie, nie mógł, przyznała w myślach. Nie wypadło mu. W żadnym wypadku. Być może wziął ją za jedną z tych zarozumiałych kobiet, które wolą udawać, że go nie widzą.

Clara mówiła jej kiedyś, że nowy właściciel to bardzo miły człowiek, nie wspomniała jednak ani słowem o kolorze jego skóry. Ale to nic dziwnego. Mieszkając na zachodzie, obcowiała z wieloma czarnymi, pewnie więc nawet nie zwróciła uwagi, że to mieszaniec.

Phoebe wyprostowała się wstrząśnięta. Czy tym właśnie był ten chłopak? Mieszkańcem? Jako dziecko nigdy się nad tym nie zastanawiała. Nic dziwnego, że matka dostawała szału na samą myśl, że ma ich za sąsiadów. Phoebe uśmiechnęła się. Czyż Lalla nie dostałaby kolejnego ataku na wieść, że dzieciak z sąsiedztwa wyrósł na przystojnego młodzieńca i do tego został właścicielem najlepszych stajni w mieście?

Swoją drogą to dosyć zastanawiające. Skąd taki biedak wziął pieniądze na zakup interesu? Chociaż dla niej nie miało to znaczenia. Nic nie miało. Postanowiła znaleźć jakąś ciekawą książkę, położyć się i zapomnieć o Benie Beckmanie. Na miłość boską!

— Wcześniej panienka wstała? — Biddy była bardzo zdziwiona, że widzi Phoebe na schodach o tej porze.

— Tak. Niech ktoś podstawi powóz. Pani Buchanan zaprosiła mnie znowu na przejażdżkę, a to rzeczywiście najlepsza pora. Nie jest jeszcze tak strasznie gorąco.

— To bardzo rozsądne, panienko. Czy przed wyjściem zje panienka śniadanie?

176

OGNIE FORTUNY

— Zrobię sobie w kuchni herbatę i jakąś kanapkę. Ty tyfko sprowadź powóz.

Tłumaczyła sobie, że wcale nie skłamała, a jedynie na wypadek gdyby matka pytała, starała się sprawić wrażenie, że także ten poranek spędzi z Clarą Buchanan. Nie robi przecież nic złego. Wczorajsza przejażdżka sprawiła jej ogromną przyjemność, ma więc chyba prawo wybrać się na następną? I to niezależnie od tego, kto jest właścicielem stajni. Poza tym Clara sama mówiła, że klacz musi się wybiegać.

Tym razem stajenny natychmiast ją rozpoznał i czym prędzej popędził osiodłać Gracie. Nigdzie nie dostrzegła właściciela, nie pojawił się też, kiedy po godzinie wróciła. Jednakże podczas przejażdżki, tym razem wzdłuż rzeki, bawiła się naprawdę przednio. Naprawdę. Następnego dnia towarzyszyła jej Clara, która szybko zamówiła i odebrała konie, a po przejażdżce równie szybko oddała je stajennym, nie rozmawiając z właścicielem.

— Jeżdżenie weszło mi w nawyk — stwierdziła Phoebe. — Będę teraz jeździć częściej niż dotąd.

— To dobrze. Zbliżają się święta, więc nie będę miała zbyt wiele czasu, a później wracamy na zachód.

— Tak szybko? Większość ludzi z tamtych okolic zostaje dużo dłużej.

— Normalnie tak — wyjaśniła Clara. — Ale susza jest dotkliwa, musimy przemieszczać stada w poszukiwaniu wody. I jakiegoś pożywienia.

Odtąd Phoebe jeździła prawie codziennie, zazwyczaj sama.

Ben ją widywał. Czasem witał skinieniem głowy i uśmiechał się do niej, kiedy wyprowadzała konia za bramę, ponieważ wydawała mu się samotna. Przypomniawszy sobie, jak bawiła się w tym swoim ogromnym ogrodzie, najczęściej całkiem sama. A potem przypomniał sobie jej ojca. Jakże pragnął, by któregoś dnia doktor pojawił się w jego stajni! Kilka ostrużyn pod siodłem zapewniłoby mu przejażdżkę, na jaką zasłużył.

Któregoś ranka wróciła, kulejąc i prowadząc konia, wyszedł więc jej na spotkanie.

— Panno Thurlwell! Co się stało?

— Spadłam — odparła drżącym głosem. — Jakiś mężczyzna wyjechał prosto na nas na swoim przeklętym rowerze. Nie wiadomo skąd, po prostu nagle znalazł się tuż przed Gracie. Przestraszyła się

12 Ognie fortuny

177

PATRICIA SHAW

i odskoczyła, a ja zleciałam. Takich jak on powinno się wsadzać do więzienia.

— Nic się pani nie stało?

— Nie. Obtarłam sobie skórę na dłoniach i stłukłam łokieć, ale nic mi nie będzie.

— Może przy następnych przejażdżkach powinien pani towarzyszyć któryś z moich stajennych?

— Nie ma takiej potrzeby — syknęła.

— Dobrze. Powóz czeka przed bramą. Zabiorę Gracie i uspokoję ją. Co rano wyczekuje teraz pani przyjazdu, wygląda z boksu i bardzo się niecierpliwi. Odniosłem wrażenie, że wyczuwa, kiedy pani nie przyjdzie.

— Naprawdę? — spytała Phoebe i poklepała klacz. — Dobra z ciebie dziewczynka! Cieszę się, że ten okropny człowiek nic ci nie zrobił. — Nagle przypomniała sobie o powozie. — Robi się późno. Pan wybacz, lepiej już pójdę.

W drodze do domu czuła się strasznie głupio. Przecież do powozu dosłownie pobiegła! Ciekawe, czy pomyślał, że przed nim ucieka. Naprawdę powinna przestać odwiedzać te stajnie. Tym bardziej że samotne przejażdżki zaczęły ją ostatnio nudzić. Lecz teraz on obarczył ją odpowiedzialnością za Gracie. Tak jakby jej dłuższa nieobecność miała zmarnować tę klacz. Gracie nie należała do niej. Była własnością Buchananów, którzy zawsze pozwalali Phoebe jeździć na swoich koniach, gdyż w Somerset House nie było stajni, a konie pociągowe trzymano w wozowni na końcu ulicy.

Co za bzdura! Powinna jeździć na tym koniu coraz rzadziej i powoli go od siebie odzwyczaić. Następnego ranka wszakże, jak co dzień, Phoebe zjawiała się w stajni.

Kiedy wyruszała na przejażdżkę, dogonił ją Beckman we własnej osobie na ogromnym kasztanie.

— Pomyślałem, że może pojedzie dzisiaj z panią, na wypadek gdyby Gracie była niespokojna.

— Nie ma potrzeby — odparła Phoebe. — Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku.

— Jeżeli nie życzy sobie pani mojego towarzystwa, nie ma sprawy.

— Nie o to mi chodziło. — Nie miała pojęcia, o co jej chodziło. Siedząc na koniu i czekając na jej decyzję, wydawał się taki atrakcyjny, że żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

W końcu wzruszyła ramionami.

178

OGNIE FORTUNY

— Dobrze, więc jedźmy. Możemy pojechać w stronę Break*fast Creek?

— Ależ oczywiście, dokądkolwiek pani zechce.

Przez dłuższy czas milczeli, aż w końcu Phoebe nie wytrzymała.

— Czy mogę pana o coś zapytać?

— Proszę bardzo. Niech pani strzela.

— Czy pan jest Benem Beckmanem, który mieszka obok nas?

— Trafiała pani za pierwszym razem! — roześmiał się.

— Więc dlaczego wcześniej pan o tym nie wspomniał?

— A dlaczego pani nie zapytała?

— Nie chciałam.

— No właśnie.

Phoebe była zdumiona, że mimo swojej przeszłości Ben Beckman jest bardzo pewny siebie. Ponieważ zdawało się to stawiać ją w niekorzystnej sytuacji, próbowała wziąć odwet:

— Powybijał nam pan okna!

— I srodze za to zapłaciłem — odparł obojętnie.

— Tak. Przykro mi.

— Niepotrzebnie. To pani nie dotyczy. Po dłuższej chwili spytał:

— Pamięta pani węża?

— Tego, który chciał pana zaatakować, kiedy byliśmy dziećmi? Jak mogłabym zapomnieć. O mało nie umarłam ze strachu.

— Ale i tak nie bała się pani nawet w połowie tak bardzo jak ja. Gdyby nie zawołała pani mojej mamy, pewnie by mnie załatwił.

Wzmianka o jego matce wprawiła ją w nerwowy nastrój. Phoebe pamiętała, jak tamtego wieczora wpadł z krzykiem do ich domu i błagał jej ojca o pomoc.

— Oberwało mi się za to, że podarłam sukienkę — odezwała się niepewnie.

Wymiany zdań były pomiędzy nimi sporadyczne. I bardzo krótkie. Zbyt wiele było tematów tabu. Przy zatoczce dali koniom się napić, a później poprowadzili je wzdłuż drogi, przylegającej do posiadłości byłego gubernatora.

— Pięknie tu — odezwał się Ben. — Nie miałem pojęcia, że w ogóle istnieje taka droga.

— Prawdopodobnie jesteśmy na terenie prywatnym. Co pan na to?

— Nic. Pod warunkiem że nas nie ustrzelą.

W drodze powrotnej Phoebe znalazła bezpieczniejszy temat. Stajnie. Był z nich bardzo dumny i rozprawiał o nich z prawdziwym

179

PATRICIA SHAW

entuzjazmem, powiedział jej również, że wkrótce zamierza na nowo otworzyć siodlarnię.

Ben czuł się dobrze w jej towarzystwie. Wyrosła z niej piękna dziewczyna o uczciwym podejściu do świata. Zbyt uczciwym. Dostrzegał jej wysiłki, by omijać z daleka kłopotliwe tematy, sam z kolei tchórzył przed każdą wzmianką o jej rodzinie i tym szubrawcu, jej ojcu. Naprawdę wybrał się na tę przejażdżkę, żeby mieć baczenie na klacz, no i oczywiście na nią. Nie była najlepszym jeźdźcem, skoro, choć cała i zdrowa, nie była w stanie wsiąść na Gracie po upadku.

Jednakże wycieczka z piękną dziewczyną była dla niego przyjemnym urozmaiceniem dnia.

Kiedy wrócili, na Bena czekało dwóch ludzi z Cobb and Company, którzy chcieli przedyskutować jego propozycję zakupu i ujeżdżania dla nich koni. Byli jednak bardzo zaniepokojeni. Powiedzieli mu, że coraz bardziej realne stają się plany budowy w kraju większej liczby linii kolejowych, co musiałoby doprowadzić ich firmę do bankructwa.

Słuchając ich, natychmiast zapomniał o panie Thurlwell.

Za to Phoebe o nim nie zapomniała. Wiedziała, że to źle. Wiedziała, że to istne szaleństwo.

Ale było coś w tym Benie, którego teraz poznała. Wydawał się jej najbardziej ekscytującym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Jadąc u jego boku, czuła dreszcz podniecenia, uczucie, którego dotychczas nie знаła. Chciała z nim porozmawiać. Jak z dorosłym człowiekiem, a nie chłopakiem z sąsiedztwa. Pragnęła go skłonić, by opowiedział jej o latach spędzonych w więzieniu. Mogłaby mu wtedy pokazać, że jego cierpienie nie jest jej obojętne, bo nie miała wątpliwości, że dużo wycierpiał. Chciałaby jakoś mu to wynagrodzić. Lecz on był okropnie obcesowy.

Upłynął tydzień, zanim ponownie miała okazję z nim porozmawiać, ale i tak zapomniała języka w ustach i musiała szybko wymyślić jakiś temat.

— Czy stajnie będą zamknięte w czasie świąt?

— Nie, tylko w dzień Bożego Narodzenia.

— To dobrze. Dzisiaj chyba znowu pojedę do Breakfast Creek. Może zrobi pan sobie przerwę i zechce mi towarzyszyć?

— Z miłą chęcią, ale niestety nie mogę. Kupiłem wczoraj źrebaka na wyprzedazy roczniaków, który okazał się trochę dziki. Muszę zabrać go na wybieg i dać mu parę lekcji dobrego zachowania.

— Nie zrobi mu pan krzywdy? Ben uśmiechnął się i odparł:

— Ależ skąd. Pewnie, że nie.

180

OGNIE FORTUNY

— Nigdy nie widziałam ujeżdżania, a brzmi to interesująco. "Czy mogłabym popatrzeć?"

— Jeśli pani chce. Prawdopodobnie będę tam jeszcze, kiedy pani wróci, choć wydaje mi się, że to dość nudny widok.

Phoebe skróciła przejażdżkę, oddała Gracie stajennemu i popędziła na wybieg, gdzie Ben uczył młodego konia nie walczyć z uzdą. Zwierzęciu bardzo się to nie podobało, ale Ben był cierpliwy i wkrótce kazał przynieść lekkie siodło. Kiedy stajenny je zapinał, on przytrzymał buntującego się konia. Zwierzak wierzgał i brykał, bezskutecznie starając się pozbyć obciążenia, a Ben prowadził go na lonży, udając, że nie zauważa jego wściekłości. Niektórzy pracownicy też obserwowali tę scenę, świetnie się bawiąc i wykrzykując w stronę Bena dobre rady.

Po pewnym czasie rzeczywiście stało się to nudne. Nikomu się nie śpieszyło, by dosiąść konia, Ben prowadził go na lonży i mówił do niego. Phoebe wymknęła się więc do domu. Była umówiona z krawcową i nie chciała się spóźnić.

W święta odbywało się tyle przyjęć i spotkań towarzyskich, że potrzebna była jej właściwie cała nowa szafa, choć i tak trudno byłoby znaleźć chociaż jedno naprawdę interesujące. Wszędzie zjawiali się ci sami ludzie, różniły się tylko miejsca. Dlatego też bez wahania przyjęła zaproszenie Barnaby'ego Glassona na świąteczne przyjęcie w parlamencie. Było to zwykłe spotkanie pracowników, pomyślała jednak, że taka odmiana może dobrze jej zrobić. Tym bardziej że musiała znaleźć jakiś sposób na ostateczne załatwienie sprawy tamtych idiotycznych oświadczeń, o których żadne z nich nie wspomniało.

Kiedy zjawił się po nią, nie krył zachwyty.

— Phoebe! Wyglądasz cudownie! To znaczy... zawsze wyglądasz wspaniale, ale dzisiaj... przyćmisz swoim blaskiem wszystkie inne kobiety!

— To ta nowa suknia — ucieła.

— Myślisz, że to dlatego? W takim razie jest niezwykła.

— Jedźmy już — odrzekła, poirytowana komplementami. — Moja matka wcale nie jest zadowolona, że z tobą idę. Jedźmy, zanim zaczniesz nas pouczać.

— Kareta czeka — powiedział z uśmiechem. Pomagając jej wsiąść do wynajętego powozu, przyjrzał się sukni i doszedł do wniosku, że jest rzeczywiście przepiękna. Była uszyta z niezwykle delikatnego materiału w kolorze bladezielonym i tak dopasowana, że idealnie ukazywała kształty Phoebe. Spódnica rozszerzała się ku dołowi, a równoważyła ją

181

PATRICIA SHAW

peleryna z tej samej tkaniny, spod której widać było jedynie niewielki fragment stanu. Suknia wprost idealna na letnie wieczory. I wystarczająco piękna, by doprowadzić mężczyznę do oblędu, dodał w myślach. Pragnął chwycić Phoebe w ramiona, lecz zamiast tego prowadził z nią uprzejmą rozmowę.

— Co u twoich rodziców?

— Dziękuję, wszystko w porządku. Poza tym że są na ciebie wściekli. Kiedy zacząłeś nową pracę, wszyscy sądzili, że zajmiesz się prawem, a tymczasem podobno interesują cię głównie sprawy federacji.

— Przecież to właśnie jest prawo. Nie da się utworzyć federacji bez konstytucji.
— Naprawdę nie rozumiem, po co zawracasz nią sobie głowę. Przecież nikt jej nie chce.
— Twój stryj jest jej przeciwny, bo obawia się, że mogłaby pokrzyżować jego plany budowy linii kolejowych.
— Nie chodzi tylko o to. Teraz jesteśmy niezależni. Po co nam jakiś nowy parlament na południu, który będzie się mieszał w nasze sprawy?
— Wcale nie będzie się mieszał. Co najwyżej w niektóre sprawy.
— Ale będzie! Nie powinniśmy na to pozwolić.
— Czy nie chcesz, żebyśmy stali się jednym narodem, jednym wielkim państwem?
— To patetyczne frazesy! Przede wszystkim nie chcę, żebyśmy skończyli jako zaścianek większych kolonii.
— Jesteśmy największą kolonią w tej części Australii, a i tak wszyscy mają nas za zaścianek — odparował. — Jeżeli do nich dołączymy, na pewno pójdziemy do przodu.
Ponieważ większość rozmów na przyjęciu dotyczyła federalizacji, a przede wszystkim koncentrowała się na wychwalaniu przez kolegów osiągnięć Barnaby'ego w ministerstwie, Phoebe nie była zadowolona. Wprawdzie nie wdawała się z nikim w dyskusję, za co był jej szczerze wdzięczny, ale też nie starała się bawić towarzystwa.
Na szczęście to niewielkie przyjęcie, które odbywało się pod frontową kolumnadą budynku parlamentu, trwało zaledwie parę godzin i Barnaby poczuł ogromną ulgę, kiedy dobiegło wreszcie końca. Wszyscy koledzy gratulowali mu pięknej przyjaciółki, co tylko jeszcze bardziej psuło mu nastrój. Phoebe nie bawiła się dobrze i nie ulegało wątpliwości, że winę za to ponosi właśnie on. Nie powinien był się z nią kłócić.

182

OGNIE FORTUNY

Żeby jakoś jej to wynagrodzić, zaproponował kolację w nowo otwartym hotelu Victoria.

— To bardzo eleganckie miejsce i mają tam świetną kuchnię.
— Nie, dziękuję. Jestem zmęczona. Chyba wolę wrócić do domu.
— Gniewasz się na mnie, Phoebe? — spytał.
— Nie, ale nie powinieneś być taki nieugięty w swoich poglądach. Nie wszyscy ludzie myślą tak jak ty.

Kiedy zatrzymali się przed jej drzwiami, próbował jeszcze zbagatelizować tę kłótnię.

— Religia i polityka! Podobno nie powinno się o nich rozmawiać na przyjęciach. I proszę, jak się kończy łamanie zasad!

— Chyba masz rację — odparła z wahaniem i mruknąwszy pod nosem słowa podziękowania, zniknęła za drzwiami.

W drodze do domu Barnaby Glasson rozpamiętywał ostatnie wydarzenia. Wyglądało na to, że pożegnali się na zawsze. Znał Phoebe. To nie była jedynie kłótnia o politykę, chodziło o coś jeszcze. Albo raczej o kogoś. Tego wieczora kilkakrotnie zauważył, że Phoebe patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. Jakby o kimś rozmyślała. I pewnie tak właśnie było. Zawsze przypuszczał, że prędzej czy później musi do tego dojść, dziwił się jednak, gdyż nie słyszał, by Phoebe zaczęła się z kimś pokazywać.

Kupił rybę z frytkami i zjadł w swoim pokoju. Ot, właściwe zakończenie nieudanego wieczoru.

Nazwisko Barnaby'ego Glassona stawało się coraz bardziej znane w kręgach władzy.

Poświęcił się bez reszty skomplikowanym problemom federalizacji, studiował zaproponowany tekst konstytucji oraz przerażający wachlarz poprawek zgłoszonych przez zwolenników zjednoczenia kolonii, był też zasypywany ze wszystkich stron najróżniejszymi opiniami.

— Skoro konstytucja stała się polem tak zażartych walk wśród zwolenników zjednoczenia — skarżył się — to co dopiero będzie się działo, kiedy do akcji ruszą jego przeciwnicy?

— Zachowaj spokój, Barnaby — uspokajał go minister sprawiedliwości Thomas Creighton.
— Jestem przekonany, że prędzej czy później Queensland wejdzie do federacji, musimy więc pilnować, żebyśmy nie zostali z tyłu już na samym starcie. Czytaj uważnie każdą linijkę tekstów przemówień i debat, napływających z południa, i jak najszybciej dostarczaj mi staranne streszczenia.

183

PATRICIA SHAW

— Łatwo mu mówić — mruczał Barnaby pod nosem i pracował do późnej nocy. Premierzy czterech południowych stanów czekali z niecierpliwością, aż władze Queensland uchwalą ustawę o wysłaniu swoich delegatów na zgromadzenia pracujące nad australijską konstytucją, dlatego też pilnowali, by premier Queensland był zawsze dobrze poinformowany. Większość papierów łądowała na biurku Barnaby'ego, a on robił, co mógł, starając się rozwikłać wszystkie prawne aspekty, często przerażony, że zadanie przerasta jego siły. Jak dotąd, broniący własnych interesów politycy Queensland nie potrafili nawet podjąć decyzji o wysłaniu delegatów na zgromadzenia konstytucyjne, tak więc ustawa leżała na biurku i porastała kurzem.

Jego przygnębienie dodatkowo pogłębiała świadomość, że zainteresowanie federalizacją coraz bardziej maleje, między innymi z powodu przedłużającego się strajku postrzygaczy, który doprowadził na skraj nędzy zarówno farmerów, jak i ich samych. Partia rządząca zajęła się przygotowaniem ustawy delegalizującej strajk, który ciągnął się już od wielu miesięcy w atmosferze coraz gwałtowniejszej konfrontacji.

Barnaby widział projekt ustawy i udało mu się uniknąć udziału w jej tworzeniu, bardziej dzięki łutowi szczęścia aniżeli świadomemu kierowaniu własnym losem. Zwrócił ministrowi sprawiedliwości uwagę, że projekt jest zbyt surowy i zdecydowanie niedemokratyczny, na co ten warknął, że Barnaby ma się zająć swoimi sprawami. Rezultatem tego starcia była decyzja Creightona o wysłaniu Glassona na dwa tygodnie do Nowej Południowej Walii, gdzie miał obserwować obrady parlamentu i spotkać się osobiście z twórcami nowej konstytucji.

Był ogromnie podekscytowany tym wyjazdem, poza tym zyskał pretekst do spotkania z Phoebe Thurlwell, z którą pragnął się podzielić dobrą nowiną. Stosunki pomiędzy nimi były bardzo napięte od owego pamiętnego wieczora na statku, a przyjęcie w parlamencie nie wpłynęło na ich poprawę, Barnaby był jednak gotów uczynić wszystko, żeby jej nie stracić. Zbyt wiele dla niego znaczyła.

Bardziej pewny siebie niż dawniej, zachęcony rosnącym znaczeniem swych obowiązków, posłał jej wizytówkę, pytając, czy może ją odwiedzić w sobotę po południu, na co otrzymał typową dla Phoebe odpowiedź: „Pewnie”.

Lecz i tym razem w posiadłości Thurlwellów roilo się od młodych ludzi, albowiem Phoebe zorganizowała turniej tenisa stołowego w grze pojedynczej i podwójnej.

184

OGNIE FORTUNY

— Barnaby, mój drogi — powitała go. — Strasznie się cieszę, że przyszedłeś. Jesteś dobrym graczem, a Beth Noakes nie ma nikogo do pary. Zagrasz razem z nią, dobrze?

— Mówisz jak twoja matka — odparł, wiedząc, że to ją rozdrażni i odsunie sprawę turnieju na dalszy plan.

— Wcale nie mówię jak moja matka — syknęła.

— W takim razie co się stało z twoim: „Cześć, Barnaby. Co porabiasz? Tak długo się nie widzieliśmy”?

— Bardzo dobrze wiem, co porabiasz — odparowała. — Moja kochana rodzinka o niczym innym nie mówi. Pracujesz nad konstytucją, która zapędzi nas wszystkich do przytułku dla bezdomnych. Właśnie dlatego nie wysłałam ci zaproszenia na ten turniej. Podpadłeś moim rodzicom. Jesteś u nich na czarnej liście.

— A czy tobie też podpadłem?
— Dobrze wiesz, że mnie nie jesteś w stanie podpaść. W tym momencie podbiegł do nich jakiś młodziak.
— Phoebe! Sędzia jest beznadziejny! Chodź i sama rozsądź.
— Przykro mi — zwrócił się do niego Barnaby — ale prowadzę poufną rozmowę z panną Thurlwell.
— Bardzo przepraszam — odparł zmieszany chłopak i oddalił się.
— To nie było konieczne — odezwała się Phoebe.
— Owszem, było. — Zaprowadził ją w cichy kąt salonu. — Chcę z tobą porozmawiać.
— O nie. Czy nigdy nie pozwolił mi zapomnieć, że zrobiłam z siebie idiotkę?
— Nigdy — uśmiechnął się szeroko. — Tamta rozmowa o małżeństwie była najważniejszym wydarzeniem w moim życiu i to ja popełniłem błąd. Nie poradziłem sobie zbyt dobrze.
— Dałeś mi kosza, i tyle. Zapomnijmy o tym.
— Szukasz wymówek, żeby tylko uniknąć tego tematu, Phoebe, i bardzo dobrze o tym wiesz. Miałaś sporo czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Kocham cię bardzo, bardzo mocno. Nie mogę znieść myśli, że kręcą się wokół ciebie ci wszyscy ludzie. Chcę cię mieć dla siebie. Pytanie tylko, Phoebe, czy ty też mnie kochasz?
Odwróciła się.
— I tak, i nie, Barnaby. Zrozumiem wreszcie, że nie jestem pewna.
— Czy kochasz mnie dość mocno, by za mnie wyjść? To nie jest najlepsza pora na taką rozmowę, ale wyjeżdżam na kilka tygodni do Sydney i jeśli tylko tego chcesz, mogę oświadczyć ci się we właściwy sposób po powrocie. — Wiedział, że brzmi to jak błaganie, lecz cieszył

185

PATRICIA SHAW

się, że udało mu się przynajmniej przedstawić sprawę w miarę jasno. — Będę dobrym mężem, Phoebe. Rozumiem cię i zawsze będę się o ciebie troszczył.
— W tym cały kłopot — odrzekła ze smutkiem. — Wiem, że byś nim był, drogi Barnaby. Dlatego tak się pośpieszyłam z tym pomysłem i nie wiem, jak mam cię przeproszać za tak okrutny postępek. A to, że okazałeś się szlachetny i kazałeś mi to wszystko dokładnie przemyśleć, sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.
— A więc nie chcesz za mnie wyjść, czy tak? — spytał łagodnie.
— Chyba tak. Jesteś zbyt dobrym przyjacielem. Czy to brzmi głupio?
— Nie. Prawdę mówiąc, właśnie tego się obawiałem.
— Miłość? — mówiła. — Co to takiego? Chcę szaleć z miłości. Chcę być zazdrosna. A na razie nie wiem, co to znaczy zazdrość. Być może nigdy nikogo na tyle nie pokocham ani nie polubię. Może po prostu nie mam tego w sobie.
— Przypuszczam, że masz. A ja już jestem zazdrosny. — Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. — Chcę przez to powiedzieć, że i tak cię kocham, choć jak nikt na świecie potrafisz doprowadzić człowieka do granic obłądu.
Zarzuciła mu ramiona na szyję.
— A więc wybaczasz mi? Za nic w świecie nie chciałabym cię zranić.
Grzecznie odrzucił jej propozycję pozostania na turnieju i wrócił do domu. Najdziwniejsze w tym wszystkim, myślał, jest to, że wcale nie czuje się zraniony. Jej odpowiedź go nie zaskoczyła, a pewnym ukojeniem była świadomość, że na horyzoncie nie pojawił się jeszcze rywal. Zresztą Phoebe też nie miała konkurencji. W ciągu ostatnich kilku miesięcy poznał więcej dziewcząt niż przez wszystkie lata pracy u Josepha Mantrella, żadna wszakże nie mogła się równać z jego ukochaną upartą Phoebe.
Przynajmniej na razie, a jemu nie bardzo śpieszyło się do ożenku. Miał mnóstwo pracy, przebywając w towarzystwie polityków wszelkiej maści, sam zaczynał łykać bakcyła. Gdyby

Queensland kiedykolwiek weszło do federacji, ogromną szansą zapisania się na kartach historii jako jeden z ojców fundatorów państwa australijskiego byłoby wejście w skład jego pierwszego parlamentu.

Sydney zadziwiło go i urzekło. Wspaniałą przygodą była dla niego podróż w dół rzeki Brisbane, przez niespokojną zatokę Moreton

186

OGNIE FORTUNY

i ocean. Tę pierwszą morską wyprawę przetrwał zaskakująco dobrze, radząc sobie szybko z chorobą morską i korzystając z wesołego towarzystwa pozostałych podróżnych. Kiedy dopłynęli na miejsce, był bardziej zawiedziony, że to już koniec podróży, aniżeli zafascynowany wielkim portem.

Kiedy jednak zszedł na ląd i ruszył ulicą, wyrafinowanie miasta zrobiło na nim ogromne wrażenie. Barnaby zawsze uważał Brisbane za bardzo ważne miejsce na ziemi. Stolica Queensland wydawała mu się miastem o niezrównanym pięknie, ze wspaniałymi ogrodami botanicznymi, szerokimi ulicami i ruchliwą dzielnicą handlową. Za to Sydney okazało się po prostu ogromne! Wysokie budynki, mnóstwo ludzi, ani śladu furmanek czy hałaśliwych wozów w tej Mekce elegancji. W porównaniu z Sydney, które rozrastało się zarówno na boki, jak i do góry, Brisbane było walącą się miejsciną, mogącą się pochwalić kilkoma zaledwie wyższymi budynkami. Musiał przyznać, że to wciąż tylko prowincjonalna dziura, nic więc dziwnego, że politycy oraz możni południa nigdy nie traktowali go poważnie.

„Aż do teraz” — pomyślał ponuro. Bo teraz od mieszkańców Queensland zależało powodzenie lub klęska planu utworzenia federacji.

Jako sumienny urzędnik skierował się prosto do parlamentu, a tam z jakąś zaściankową przyjemnością stwierdził, że ich parlament w dalekim Brisbane jest znacznie nowocześniejszy, albowiem został zbudowany zaledwie przed około dwudziestoma laty.

O jego przybyciu zawiadomiono sekretariat parlamentu, po czym zaprowadzono go do gabinetu przewodniczącego komisji, gdzie uprzejmy urzędnik o siwych bokobrodach przyjął jego referencje i poczęstował go herbatą.

— Właściwie — rzekł — zaproszenie dotyczyło samego ministra sprawiedliwości, ale o ile dobrze się orientuję, wasz rząd, tam w głębi buszu, ma teraz kłopoty związane ze strajkiem. Barnaby nigdy by nie powiedział, że Brisbane leży w głębi buszu, postanowił jednak powstrzymać się od komentarza.

— Mam nadzieję, że to nie oznacza, iż zostanę wykluczony z udziału w spotkaniach i posiedzeniach. Jestem w końcu wysłannikiem ministra.

— Co najwyżej z paru, w których uczestniczyć będzie premier — mruknął urzędnik. — Ale na pewno znajdziemy dla pana dość zajęć.

— Dziękuję — odparł Barnaby. — A czy mógłby mi pan poradzić, gdzie mam się zatrzymać?

187

PATRICIA SHAW

— Zarezerwowaliśmy dla pana Creightona pokój w hotelu George. To bardzo przyjemne miejsce. Spokojnie może się pan tam udać.

— Czy pokój jest bardzo drogi? Przydzielono mi raczej skromne fundusze.

— Widać taki już los ludzi takich jak my — stwierdził urzędnik, uśmiechając się. — Ale ponieważ zaproszenie zostało wystosowane przez naszą stronę, pokryjemy oczywiście koszt pańskiego pobytu, nie musi się pan więc przejmować wysokością rachunku. Dam panu list do dyrektora hotelu. Niech pan tam teraz idzie i spokojnie się rozgości. — Mrugnął porozumiewawczo. — Nie powinniśmy zawieść hotelu, nieprawdaż? Oni nie bardzo lubią, kiedy w ostatniej chwili odwołuje się rezerwację.

— Dziękuję panu bardzo — odparł Barnaby.

— Nie ma za co, panie Glasson. Proszę zgłosić się tutaj punktualnie o ósmej rano. Wtedy rozpocznie pan pracę. Stoi pan przed bardzo ważnym zadaniem. Mnie te wszystkie dyskusje przyprowadzają jedynie o potężny ból głowy, jeżeli jednak uda się panu zawieźć do domu sprawozdanie, które zachęci wasz parlament do przystąpienia do federacji, będziemy panu niezwykle wdzięczni.

Pokój w hotelu George był zaiste wspaniały, lecz Barnaby nie miał prawie czasu, by pławić się w jego luksusach. Od rana do wieczora był zajęty: słuchał debat, uczestniczył w spotkaniach i robił staranne notatki, siedząc za biurkiem, które przydzielono mu w narożnym gabinecie. Nigdy nie pytano go o zdanie, kiedy wszakże nabrał trochę pewności siebie, zaczął korzystać z nadarzających się okazji i zabierać głos. Sugerował łagodnie, że uboższe kolonie, na przykład Queensland, mogą uznać takie kroki jak likwidacja granic za próbę pozbawienia ich istotnego źródła dochodów i w związku z tym należałoby chyba wziąć pod uwagę jakąś rekompensatę tej straty.

— To jedno z podstawowych zastrzeżeń zgłaszanych przez naszych parlamentarzystów — tłumaczył — mimo że producenci cukru i hodowcy bydła byłiby zadowoleni z otwarcia nowych rynków.

— W takim razie nie rozumiem, w czym problem — odparł oschle jeden z uczestników debaty.

— W tym, że główne gałęzie przemysłu jeszcze nie doszły do głosu. Najpierw musimy przepchnąć ustawę przez parlament. Przez Ministerstwo Skarbu.

Zebrani pokiwali głowami ze zrozumieniem.

188

OGNIE FORTUNY

— Chyba rzeczywiście należałoby dać im coś na osłodę — odezwał się przewodniczący. — Polecimy naszym specjalistom od podatków, by zajęli się tą sprawą. Z pewnością istnieją sposoby, które pozwolą takim kolonom zwiększyć dochody.

Jedynie w niedzielę Barnaby miał czas, by spacerować po cichych ulicach, zwiedzać miasto, wpadać do zajazdu w pobliżu portu, gdzie zjadał lunch i wypijał kieliszek czegoś mocniejszego, po południu zaś płynąć promem do Manly i z powrotem. W ostatnią niedzielę wsiadł na statek i zupełnie odmieniony wyruszył w drogę powrotną do Brisbane.

Na tych wszystkich zgromadzeniach słyszał wiele sensownych przemówień, ale przynajmniej tyle samo było stekiem żalonych bzdur. Nie czuł już respektu przed mieszkańcami wielkiego miasta, wiedział, że przy odrobinie pracy nad sobą potrafi dorównać najznamienitszym.

Gotów był też walczyć o wejście do federacji z jeszcze większym zapałem, albowiem teraz był już zdecydowany, a nie tylko bawił się taką myślą, znaleźć się pośród tych, którzy jako pierwsi zasiądą w ławach parlamentu, niezależnie od tego, gdzie będzie się on mieścił. Był to kolejny problem do rozwiązania: lokalizacja Parlamentu Wspólnoty.

Jego powrót do Brisbane nie został właściwie zauważony z powodu żalu albo radości, w zależności od punktu widzenia, że strajk po-strzygaczy został zakończony.

— Zduśiła ich potęga hodowców — skarżył się Barnaby'emu jeden z laburzystów. — Jaką nadzieję mogą mieć ludzie pracy?

— Może zdobylibyście większe wpływy w rządzie australijskim? — mruknął Barnaby.

— Akurat! Jesteśmy za zniesieniem Izby Wyższej z tymi wszystkimi zadufanymi w sobie obibokami, których nominuje się na całe życie! Nie potrzebujemy następnej!

— Zaczekaj! — Barnaby zaczął szperać w dokumentach. — Spójrz na to. Władze zjednoczonej Australii będą bardziej demokratyczne. Izba Wyższa będzie się nazywała Senatem, a jej członkowie będą wybierani, także przez mieszkańców Queensland, a nie nominowani. I nie będzie żadnych dożywotnich senatorów.

— Nie żartuj! — Laburzysta przejrzał uważnie wręczone mu przez Barnaby'ego zadrukowane kartki. — To by był ogromny krok naprzód.

Kiedy jego rozmówca się oddalił, Barnaby sam zaczął studiować tekst poprawki, nie po to, by dowiedzieć się czegoś więcej, lecz żeby pchnąć do przodu swą karierę. Dlaczego nie wpadł na to wcześniej?

189

PATRICIA SHAW

Przecież kto żyw będzie się pchał do Izby Niższej, której funkcjonowanie jest dla większości znacznie bardziej zrozumiałe. Tymczasem Senat przestanie być synekurą wyższych sfer i kandydować do niego będzie mógł właściwie każdy. Wszystkie stany będą miały taką samą liczbę reprezentantów, po to by uchronić mniejsze przed dominacją pozostałych.

— Na Boga — mruknął pod nosem — cóż za okazja! Senator Barnaby Glasson! Ładnie to brzmi.

Jego marzenia zostały przerwane wezwaniem do gabinetu ministra sprawiedliwości, który przyjął starannie przygotowane sprawozdanie Barnaby'ego z pomrukiem zrzedliwej aprobaty.

— Dobra robota! Nie wiem tylko, kiedy to wszystko przeczytam. Ale widzę, że nie marnowałeś czasu.

Barnaby westchnął. Creighton był biurokratą pierwszej wody, przekonany, że im więcej papierów, tym lepiej wykonana praca. Glasson zauważył, że niektórzy pracownicy ministerstwa wykorzystują tę przypadłość szefa i zarzucają go stertami nieistotnych listów, notatek, podsumowań i tasiemcowych argumentacji, dobrze wiedząc, że ten nigdy nie zajmie się nawet połową z nich.

— Przekłeta susza — burknął Creighton. — Kosztuje nas fortunę. Banki przejmują mienie. Pasterze i farmerzy, nasi najwięksi sprzymierzeńcy, domagają się, żebyśmy w końcu coś zrobili. Powtarzam im, że federacja otworzy przed nimi nowe rynki zbytu, ale to niewiele pomaga, kiedy rozmawia się z ludźmi, którzy tracą majątek. Trudno w takiej sytuacji podtrzymać wiarę w sens zjednoczenia, tym bardziej że ten laburzysta Ray Davies i Ben Buchanan, hodowca bydła, zawarli sojusz i nazywają federację tworem szatana.

— Mam propozycję, sir. Podczas pobytu w Sydney poznałem Teodora Prossera. To jeden z najlepszych mówców, jakich w życiu słyszałem, zwłaszcza gdy przemawia na temat federacji. Jest również przewodniczącym Związku Rdzennych Mieszkańców Australii.

— A co to, do diabła, takiego? Klub Aborygenów, czy co?

— Skądże snowu, sir. To niezwykle wpływowa grupa najbardziej szanowanych obywateli, popierających federalizację. Są lojalni wobec królowej i chcą pozostać we Wspólnocie Brytyjskiej, a jednocześnie głęboko wierzą, że powinniśmy się zjednoczyć jako naród, a nie grupa kolonii.

— Ha! To ładnie z ich strony. Ale mów, o co chodzi z tym Prosserem?

190

OGNIE FORTUNY

— Jest gotów odwiedzić Queensland, o ile oczywiście zostanie zaproszony, i głosić ideę federalizacji w Brisbane oraz wszystkich innych miastach, które zechcą go przyjąć.

Creighton gryzł ołówek i wystukiwał rytm obcasem.

— Czy oczekiwaliby wynagrodzenia?

— Jestem pewien, że nie. Uważa się za patriotę.

— Naprawdę? W takim razie rzeczywiście trzeba go zaprosić. Porozmawiam o tym z premierem. Być może uda się dzięki temu wtłoczyć trochę rozsądku do pustych głów wszystkich tutejszych trutni.

Na pomysł zaproszenia Prossera Barnaby wpadł chwilę przedtem, był jednak przekonany, że ten chętnie się zgodzi. A przy odrobinie szczęścia towarzyszyłby mu w objeździe niejaki Barnaby Glasson, który w taki oto sposób zapewniłby sobie popularność nawet w bardzo

odległych miejscowościach. Wszak senator musi zostać wybrany przez ogół wyborców, nie tylko w jednym okręgu. Dzięki takiej podróży wyprzedziłby kontrkandydatów już na wstępie, zanim zdążyliby się zorientować, że wyścig się rozpoczął.

Prosser przyjął zaproszenie, zaznaczając, że z chęcią objedzie choćby cały Queensland, aczkolwiek ze względu na nawał pilnych obowiązków będzie to mógł zrobić dopiero po Nowym Roku.

Minister sprawiedliwości potwierdził podróż i szybko zapomniał o Prosserze, gdyż miał nowy powód do zmartwień. Południowa Australia zamierzała przyznać bierne prawa wyborcze kobietom, co jego osobiście przerażało, natomiast mieszkanki Queensland motywowało do walki o takie same przywileje.

Jednakże Barnaby pamiętał o Teodorze Prosserze. Każdą wolną minutę poświęcał przygotowaniom do podróży: studiował mapy, sprawdzał możliwe połączenia komunikacyjne i pisał listy na ministerialnym papierze, zapytując o miejsca, w których mogłyby się odbywać publiczne zgromadzenia. Nie podawał nazwisk mówców, po prostu badał teren. Stało się to dla niego rozrywką równie ekscytującą jak przygotowania do wielkiej podróży po Europie. Do miejscowości nadmorskich mogli dotrzeć statkiem, z nich z kolei wyruszyć w głąb lądu. Barnaby studiował uważnie ogromną mapę z pojedynczymi porzrzuconymi punktami, symbolizującymi miasta. Z Townsville, na przykład, mogli pojechać jakieś sto mil na zachód do słynnego ze złotonośnych pól miasteczka Charters Towers.

Po powrocie na wybrzeże popłynęliby na południe do portu Rockhampton, odwiedzili pola złotonośne Mount Morgan, a stamtąd

191

PATRICIA SHAW

ponownie wyruszyli w głąb lądu, do centrum duszpasterskiego Longreach, słynnego z niedawnych strajków postrzygaczy.

Barnaby przelknął ślinę i sięgnął po linijkę, nie wierząc własnym oczom. To miejsce znajdowało się około pięciuset mil od wybrzeża. Dotąd nie zdawał sobie sprawy z ogromnych rozmiarów kolonii. Wątpił, czy Prosser w ogóle zdecyduje się na tak żmudną i wyczerpującą podróż. Wiele by dał, żeby ambitne marzenia Edgara Thurlwella były rzeczywistością, a nie tylko planami. Barnaby słyszał, że aby zdobyć kapitał niezbędny do zrealizowania tak ogromnego przedsięwzięcia, Thurlwell rozpoczął publiczną sprzedaż akcji, które w krótkim czasie zostały wykupione co do jednej. Żałował teraz, że sam nie kupił przynajmniej paru, tym bardziej że jak zdołał się zorientować, propagatorzy federalizacji przestawali już myśleć o upaństwowieniu kolei.

Ogromne odległości stanowiły prawdziwe wyzwanie dla każdego, kto chciał, by jego głos został wysłuchany w całym Queensland, Barnaby modlił się więc, by Prosser okazał się równie mocny w czynach jak w gębie. Wszak twierdził, że w służbie narodu gotów jest pojechać choćby na koniec świata.

Edgar Thurlwell wcale nie był taki pewien, że rząd federalny nie pokrzyżuje mu planów.

Czyż premier i jego kohorta nie zaczęli się wycofywać z obietnicy przekazania mu obszarów niezbędnych do rozpoczęcia budowy linii kolejowej? Skoro nie mógł ufać własnemu rządowi, jaka istniała szansa, że nie zawiodą go politycy urzędujący o tysiąc mil od Brisbane?

— Typowy dla nich brak zdolności przewidywania! — skarżył się Williamowi i Lalli.

— W takim razie powinieneś zabrać się do sprawy od drugiej strony — stwierdziła Lalla. — Skoro zaproponowałeś budowę linii do Longreach, jedź tam. Przekonaj mieszkańców Longreach i innych miejscowości położonych wzdłuż planowanej linii, aby zmusili rząd do wsparcia twojej kolei.

— Lepiej nazywać ją ich koleją — poradził William. — Wtedy bardziej się w to zaangażują.

— Ja miałbym tam jechać? — burzył się Edgar. — Czyż nie mam dość na głowie, użerając się z angielskimi stalowniami, żeby pośpieszyły się z transportem, i zajmując się milionem

innych spraw? A teraz muszę jechać do Sydney, żeby nadzorować budowę wagonów. Co prawda idzie im to całkiem nieźle, ale współpracując z takimi

192

OGNIE FORTUNY

fabrykami, trzeba mieć oczy szeroko otwarte. Płacę za towar najwyższej jakości i taki właśnie chcę dostać. — Parsknął gniewnie. — Amerykanie nigdy nie musieli się zmagać z takimi półgłówkami jak ci z naszego rządu. To naród energiczny, w którym ludzie przedsiębiorczy, tacy jak ja, zawsze mogą liczyć na wsparcie.

— W takim razie zapędź do roboty Buchanana — odrzekł William.

— Niech on pojedzie do Longreach. Ostatnio okropnie się leni.

— A to dlatego, Edgarze, że jako niezależnego podporządkowałeś go Royce'owi Daviesowi

— zauważyła Lalla. — Nadal uważam, że popełniłeś ogromny błąd.

— Nieprawda. Buchanan ma swoje zalety i bywa przydatny, ale nie jest na tyle popularny, by poradzić sobie jako lider opozycji. Sądzę, że powinnaś z nim porozmawiać. Ten facet potrafi tylko się dąsać, nadal jednak ma udziały w naszych kolejach. Spróbuj napuścić na niego Belle Foster.

— Niewykluczone, że będę w stanie to zrobić — odparła z wahaniem. — Clara jest w mieście i oczekuje, że ją odwiedzę.

— Świetny pomysł — zgodził się William. — Większość farmerów przyjeżdża na święta na wybrzeże, może więc uda się ich jakoś zebrać do kupy i skłonić do działania.

Edgar skinął głową.

— Miło jest mieć świadomość, że człowiek może polegać przynajmniej na własnej rodzinie. A teraz przepraszam was bardzo, ale na mnie już czas.

Gdy był już za drzwiami, uśmiechnął się do siebie. Zauważył, że odkąd powiedział Buchananowi, że wie o jego romansie, ten trzymał się z daleka od Lalli, z drugiej jednak strony była ona kobietą, której nie brakowało determinacji. Gdyby się znowu zeszli, mogłyby z tego wynikać całkiem interesujące konsekwencje.

Chociaż nie dawał tego po sobie poznać, coraz bardziej się martwił i niepokoił. Wydatki rosły: darowizny gruntów były podstawą całego przedsięwzięcia — bez nich koszty z pewnością wystrzeliłyby w górę

— a on zainwestował więcej funduszy Thurlwellów, niż początkowo zamierzał. Nad kwestią przekazania gruntów nie musiał obradować parlament, do załatwienia tej sprawy wystarczył podpis ministra gruntów, niejakiego Jeda Sweepstone'a. Edgar wiedział, że jeżeli Jed nie podpisze decyzji w najbliższym czasie, trzeba będzie przedsięwziąć jakieś kroki.

Problem polegał na tym, że Jed, człowiek zamożny i członek najlepszych klubów, był prawdziwym dżentelmenem o nieposzlako-

13 Ognie fortuny

193

PATRICIA SHAW

wanej opinii. A chociaż początkowo entuzjastycznie odnosił się do budowy linii kolejowej do Longreach i należał do zdecydowanych zwolenników przekazania Edgarowi potrzebnych gruntów, w ostatnim czasie zaczął lawirować.

— To tylko niewielkie opóźnienie — powtarzał Edgarowi. — Wołałbym, by oprócz mnie podpis złożył także premier. Jestem pewien, że doceni mądrość naszych wysiłków, na razie jednak brakuje mu czasu, by się z nimi zapoznać. Przez cały czas mu powtarzam, że prywatne przedsięwzięcia takie jak to to prawdziwe zbawienie dla naszej wielkiej kolonii.

Sweepstone grzecznie, acz stanowczo odrzucił złożoną przez Edgara propozycję objęcia części udziałów Western Railroads.

— Nie mogę ich przyjąć, przyjacielu. Jestem przekonany o słuszności tego projektu, ale sam rozumiesz... konflikt interesów. Przykro mi, naprawdę nie mogę.

Na dodatek dokonał „niewielkiej”, jak ją określił, korekty przygotowanej już decyzji o przekazaniu gruntów. Zamiast stać się ich właścicielem, firma Edgara miała otrzymać je w dzierżawę na dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

Zmiana ta wprawiła Edgara w szal. Pomiędzy posiadaniem a dzierżawą była ogromna różnica, która musiała oznaczać utratę zysków uwzględnionych już w planach firmy. Jednakże uprzejmy i łagodny Sweepstone nie należał do osób, które można zastraszyć. Edgar wiedział, że musi działać w białych rękawiczkach, przynajmniej do czasu gdy uda mu się znaleźć na niego jakiś sposób. Na początek postanowił przyjrzeć się bliżej jego rodzinie. Oficjalny podwieczorek wydany w grudniu na terenie parlamentu miał na długo pozostać w pamięci zaproszonych gości i mieszkańców Brisbane. I to wcale nie dzięki zapisom w oficjalnych sprawozdaniach, gdyż w nich nigdy się nie znalazł, ale dzięki plotce, która momentalnie rozprzestrzeniła się po całym mieście i sprawiła, że wydarzenie to stało się tematem wielu rozmów i domysłów.

Albowiem mieszkańcy miasta Brisbane, chociaż było ono stolicą Queensland, stanowili społeczność zamkniętą i odizolowaną, przytłoczoną potęgą miast położonych na południu, a także ogromem własnej kolonii. W rezultacie każda lokalna sensacja, choćby nawet najbardziej trywialna, była długo rozpamiętywana, przeżywana i trawiona, spychając na dalszy plan dotychczasowy temat numer jeden, czyli upał.

194

OGNIE FORTUNY

Zaproszenia na ów podwieczorek rozsyłał sam przewodniczący izby na podstawie list członków rodziny oraz przyjaciół dostarczonych przez parlamentarzystów, a ponieważ liczba zaproszeń była ograniczona, niewielkie kartoniki ze złożonymi brzegami były w cenie u wybrańców losu, którzy ostatecznie je otrzymali.

Jak donosił „Courier-Mail”, był piękny słoneczny dzień... O ile można w taki właśnie sposób określić dziewięćdziesięciostopniowy upał oraz wilgotność porównywalną jedynie z tą, jaka panuje w tureckiej łaźni.

Tak czy owak stoicycy tradycjonałiści zjawili się we właściwych strojach: w sztywnych koszulach i najelegantszych żakietach, z wilgotnymi chusteczkami do ocierania rozpalonych twarzy oraz wewnętrznych taśm cylindrów. Damy budziły większą zazdrość, spacerowały bowiem po zielonych trawnikach w białych letnich sukniach i pięknych kapeluszach, dzierżąc w dłoniach śliczne parasolki przeciwsłoneczne.

Z wysokich okien pomieszczeń na piętrze Barnaby oraz inni urzędnicy, którzy rzecz jasna nie otrzymali zaproszeń, obserwowali to wszystko z niekłamanym zachwytem. Był to zaiste wspaniały widok, coś jak wyjątkowo elegancki piknik, z płóciennymi parasolami kołyszącymi się lekko nad stołami, które okrywały nieskazitelnie białe, krochmalone obrusy. Drobne kelnerki w czerni i bieli lawirowały ostrożnie pomiędzy gośćmi, nosząc zastawione tace. Pod kolumnadą wschodniego skrzydła budynków znakomita orkiestra wojskowa grała skoczne marsze.

Barnaby nie czuł zawodu, że go nie zaproszono: jako urzędnik znał swoje miejsce i do szczęścia wystarczał mu fakt, że może obserwować to niecodzienne wydarzenie, rozpoznawać w tłumie znanych sobie notabli oraz przyjaciół i wrogów. On wszakże wyglądał jednej tylko osoby, a kiedy się zjawiała, serce na moment przestało mu bić. Na dłuższy moment. Phoebe wyglądała cudownie, idąc o krok za matką, swoim zwyczajem wdawała się w rozmowę ze wszystkimi. Z prawdziwą ulgą Barnaby stwierdził, że towarzyszy jej stryj Edgar, a nie żaden z wielu młodych dżentelmenów, którzy z radością służyliby jej ramieniem. Barnaby uśmiechnął się w duchu. Cała Phoebe! Koniecznie musi być oryginalna! Każda inna młoda dama nie zniosłaby chyba myśli, że pójdzie na takie przyjęcie bez partnera z wyższych sfer, gdyż to by oznaczało, że nie potrafi znaleźć sobie towarzysza i jest skazana na

podpieranie ścian. Dla Phoebe natomiast opinia ludzi nic nie znaczyła. Ona dyktowała światu własne reguły gry.

195

PATRICIA SHAW

Kiedy Thurlwellowie usiedli przy stoliku Buchanana, Barnaby odwrócił się. Nie miało sensu dłużej stać i się gapić, zwłaszcza że zostało mu jeszcze sporo roboty.

— Bardzo miło z waszej strony — zwróciła się Phoebe do Clary Buchanan — że nas zaprosiliście. Mama uwielbia takie pokazy.

— Moja również — szepnęła Clara. — Osobiście wolę jeść podwieczorek w przyjemnym zaciszu własnego domu.

Przywitawszy się z gośćmi, Clara poprosiła Phoebe, by usiadła obok niej.

— Zostań ze mną, bo te wszystkie oficjalne imprezy strasznie mnie deprymują. Nigdy nie wiem, o czym właściwie powinnam rozmawiać. Polityka to nie jest temat dla mnie.

— To nie jest temat dla nikogo. Po prostu rób to co ja.

— To znaczy?

— Staraj się nie wyglądać na znudzoną i nie zasypiaj podczas przemówień.

Clara roześmiała się.

Ben zmarszczył brwi i syknął:

— Moja droga, panuj nad sobą. Nie jesteś w buszu.

— Nie, jest w dżungli — warknęła Phoebe wściekła, że upokorzył Clary, która zaczerwieniła się i jakby skuliła w sobie.

— Nie opowiadaj takich bzdur! — burknęła z kolei Lalla, lecz Phoebe udała, że nie słyszy.

Clara była jej przyjaciółką pomimo dzielącej je różnicy wieku. Na co dzień, z dala od tych wszystkich oficjalnych przyjęć, wcale nie była nieśmiała. Ale mąż i jego przyjaciele przytłaczali ją, podobnie jak matka, stara Belle Foster, która usadowiła się naprzeciwko Bena, jakby to ona była gospodynią. Odkąd przed paroma laty zaczęły jeździć razem na konne przejażdżki, Phoebe znalazła w Clarze osobę, której mogła zaufać, i bardzo ją polubiła. Nie znosiła, kiedy ta kurczyła się na widok męża, choć chodziło nie tylko o to. Dawno temu Clara powiedziała jej:

— Kocham busz. W mieście czuję się jak ryba wyjęta z wody. Orkiestra przestała grać, rozpoczęły się przemówienia, a Phoebe siedziała i modliła się o deszcz. W końcu jednak mogły zabrać się za jedzenie tortów i innych ciast i rozmawiać, nie obawiając się złowrogich spojrzeń.

Kiedy podano herbatę i uzupełniono zawartość dzbanów z napojami owocowymi, część mężczyzn zaczęła wstawać od stołów i mieszać się z innymi gośćmi, nie chcąc tracić tak znakomitej okazji.

196

OGNIE FORTUNY

Ben Buchanan zniknął w tłumie, Edgar usiadł przy sąsiednim stoliku, zajmując wolne miejsce naprzeciwko Royce'a Daviesa, pozostali mężczyźni także się oddalili i w towarzystwie dam pozostał jedynie doktor Thurlwell.

Jakiś młody mężczyzna podszedł, by porozmawiać z Phoebe, i lekko skłonił się Clarze Buchanan, ponieważ jednak Phoebe nie zaprosiła go, by się do nich przyłączył, po chwili ruszył dalej.

— Kto to był? — spytała Clara. — Chyba mnie zna, ale ja mam fatalną pamięć do nazwisk.

— To Fontana Sweepstone.

— Ach, rzeczywiście! Jego ojciec jest ministrem gruntów. Bardzo mili ludzie z tych Sweepstone'ów.

— To prawda — odparła Phoebe. — Szkoda mi go. Znam go od dziecka, ale nigdy go nie znosiłam.

— Fontana. Dziwne imię. Czy tak się nazywał ktoś z jego rodziny?

— Och, tak. Fontana nie raz mi to tłumaczył, tylko że zawsze zapominam. — Przez chwilę śledziła wzrokiem Fontanę, który podszedł do stolika Royce'a Daviesa, po czym przestała się nim interesować. Zdjęła buty, by ochłodzić stopy w trawie, i teraz nie bardzo mogła je z powrotem założyć.

— Dzień dobry panu, panie Thurlwell — odezwał się Fontana. Edgar przywitał go przyjaźnie, natomiast Royce Davies, który najwyraźniej wcale nie był zachwycony jego widokiem, kiwnął tylko głową.

— Zastanawiałem się ostatnio, czy nie zainwestować w kolej — rzekł Fontana. — Niech mi pan powie, panie Thurlwell, jak duży pakiet udziałów radziłby mi pan kupić?

— Taki, na jaki będzie pana stać — odparł Edgar z uśmiechem.

— Proponowałbym, żebyś pan najpierw pospłacał długi — warknął Davies.

— Czy mówi pan do mnie, sir?

— Właśnie, i dziwię się, że miałeś pan czelność usiąść przy moim stole.

— Cicho, Royce, uspokój się — odezwała się żona Daviesa, ciągnąc go za rękaw. — Nie rób sceny. Jeszcze ktoś usłyszy...

— Nic mnie nie obchodzi, czy ktoś usłyszy! — ryknął Royce. Fontana wstał i poprawił brokatową kamizelkę.

— Wybacz pan, panie Thurlwell, ale chyba już pójdę. Nie przywykłem do takiego grubiarstwa.

197

PATRICIA SHAW

— Przywykniesz — zadrwił Davies. — Każdy oszust prędzej czy później się do tego przyzwyczaja.

Fontana odwrócił się na pięcie.

— Czy pan mnie nazwał oszustem, sir?

— A niby jak mam cię nazwać? Nie płacisz długów karcianych, a kiedy grałeś z moim bratem, przyłapano cię na szulerstwie.

— Jak śmiesz! — sapnął Fontana, po czym chwycił dzban napoju malinowego i wylał jego zawartość na Royce'a Daviesa.

Na nieszczęście zrobił to lewą ręką. Wprawdzie część napoju trafiła w cel, za to większość spłynęła po białej sukni pani Davies, która wciąż starała się uspokoić męża.

Z piskiem zerwała się z miejsca i zaczęła oglądać suknię, teraz przesiąkniętą czerwonym napojem od stanu aż po ociekającą spódnicę.

Nawet Fontana był przerażony.

— O mój Boże! Przepraszam, nie chciałem... — wyjąkał, podczas gdy kobiety rzuciły się na pomoc ofierze, usiłując za pomocą chusteczek do nosa oraz płóciennych serwetek zminimalizować zniszczenia.

Royce Davies obiegnął stół dookoła i chwycił Fontanę za klapy kamizelki, potrząsając nim z taką siłą, że jedna nie wytrzymała. Edgar, zbudowany znacznie lepiej niż oni, uznał, że czas interweniować. Odciągnął Royce'a od Fontany, każąc temu drugiemu jak najszybciej zniknąć. Młodemu Sweepstone'owi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ruszył pomiędzy stołkami, roztrącając kelnerki, podczas gdy oczy wszystkich obecnych śledziły każdy jego krok.

Rozmowy umilkły i słychać było jedynie szloch pani Daviesowej oraz pomruki pocieszających ją przyjaciółek. Kiedy Jed Sweepstone oraz jego małżonka wstali z krzeseł i sztywnym krokiem ruszyli w kierunku miejsca katastrofy, znów rozległ się lekki gwar.

Było jasne, że przepraszają za występki syna, po krótkiej chwili bowiem pani Sweepstone odprowadziła panią Davies w zacisze budynku parlamentu.

Tymczasem Jed, jak zawsze starając się postępować zgodnie z protokołem, podszedł do głównego stołu, by osobiście przeprosić gubernatora, premiera oraz towarzyszące im damy. Uczyniwszy to, on także się oddalił.

Edgar pozostał z Royce'em Daviesem, pozornie po to, by go uspokoić, w rzeczywistości dlatego że bardzo go zainteresował incydent.

198

OGNIE FORTUNY

— O co wam właściwie poszło?

— Ten mały bękart to oszust — odrzekł Davies. — To tajemnica poliszynela.

— Naprawdę? — zdziwił się Edgar. — No cóż, sądzę, że Jed Sweepstone spłaci długi syna i w przyszłości będzie go trzymał z dala od hazardu.

— Wątpię — odrzekł Royce, wciąż bardzo wzburzony. — Poza tym to tylko połowa historii. Ci Sweepstone'owie! Zawsze tacy nadęci! Być może nie zaliczam się do takich elit jak oni, ale mój syn jest przynajmniej mężczyzną!

— Nie wątpię w to — zapewnił Edgar, wietrząc coś ciekawego.

— Cieszę się, że nie mam synów, o których musiałbym się martwić.

— Gdybyś miał takiego syna jak ten, byłbyś w nie lada tarapatach

— burknął Davies. — Nic nie robi, tylko włóczy się z jakimiś mięczakami. Gdybym to ja takiego spłodził, udusiłbym go zaraz po urodzeniu.

— Dobry Boże! Chyba nie sugerujesz, że...

— Nic nie sugeruję, po prostu mówię, jak jest.

— Domyślam się, że Jed nic o tym wszystkim nie wie?

— Pewnie, że nie. Tacy jak on nigdy nie wiedzą, co się dzieje pod ich nosami — stwierdził Royce z goryczą. — Do licha! To była całkiem nowa suknia! Kosztowała majątek! Idę o zakład, że nadaje się tylko na śmietnik. Nie jest mi łatwo utrzymać rodzinę, kiedy moja żona musi kupować sobie tak kosztowne stroje. Najwyższy czas, żeby politykom zaczęto godziwie płacić!

— W pełni się z tobą zgadzam — zapewnił Edgar. — Pani Davies musi być wstrząśnięta. Pozwól, że zrobię jej niespodziankę. Poproszę Lallę, żeby znalazła dla niej suknię co najmniej równie piękną jak ta zniszczona.

— Dziękuję ci, to dobry pomysł. A rachunek prześlemy naszemu ministrowi.

— Nie, nie. Sam za wszystko zapłacę.

— To bardzo szlachetnie z twojej strony, Edgarze.

— To naprawdę nic wielkiego. Cała przyjemność po mojej stronie.

Edgar Thurlwell nie wierzył w skuteczność prywatnych detektywów, lecz bardzo mu zależało, by dowiedzieć się czegoś więcej o młodym Fontanie. Mógł dzięki temu zdobyć skuteczny sposób na skłonienie Sweepstone'a do podjęcia odpowiedniej decyzji.

— Chryste — mruczał pod nosem, wróciwszy do domu. — Jedno słówko na ten temat, a niewykluczone, że Jed chwyci wreszcie za pióro.

199

PATRICIA SHAW

Oczywiście trzeba będzie zrobić to jak najdelikatniej, ale sprawa jest do wygrania.

Siedział w salonie, popijając brandy i rozmyślając.

Mógł zasugerować ministrowi, że powinien wysłać syna do Anglii, tak jak niektórzy angielscy arystokraci wysyłali swych krnąbrnych synów do Australii. Fontana zapoczątkowałaby w ten sposób proces odwrotny. Byłby przesyłką w drugą stronę. Myśl ta rozbawiła Edgara.

Jed musiałby naturalnie jakoś zapłacić za to, że został o sprawie poinformowany na tyle wcześniej, żeby zapobiec skandalowi, no i... za milczenie Edgara. Najniższą ceną byłoby przekazanie Western Rail-roads obiecanych terenów. Nie mogło tu być mowy o żadnym

szantażu; przecież dla dobra kraju ta decyzja powinna była zapaść wiele miesięcy wcześniej. „Pomyśl tylko, ile powstanie nowych miejsc pracy — przypomni mu Edgar. — Przez tę twoją zwłokę, Jed, coraz bardziej widoczne są oznaki załamania koniunktury.”

— Poza tym — mruknął Edgar pod nosem — może raz na zawsze zapomnieć o dzierżawie. Chcę dostać te ziemie na własność.

Oczywiście pod warunkiem że to wszystko prawda, że Royce Davies nie wysłał całej historii z palca. Kogo by tutaj zatrudnić, żeby pomógł mu zajrzeć w głąb tego obskurnego światka? Nie skorzystawszy z zaproszenia na kolację do Williama, Edgar polecił lokajowi przynieść tacę z jedzeniem, po czym na nowo pogрузzył się w rozmyślaniach.

I nagle znalazł rozwiązanie! Goldie!

To, że był kawalerem, nie oznaczało bynajmniej, że musi żyć w celibacie. Zdecydowanie wolał uroki dziewcząt Goldie aniżeli samą nawet myśl o małżeństwie. Szczególnie z tą starą jędzą Belle Foster, która wciąż nie dawała za wygraną.

Jeszcze tego samego wieczora rozmawiał z Goldie w jej salonie.

— Potrzebne mi są pewne informacje — rzekł, uzupełniając kieliszki francuskim szampanem, który kosztował go pięć razy drożej niż taki sam, znajdujący się w jego prywatnej piwnicy.

— Przecież dobrze wiesz, Edgarze, że to nie wchodzi w grę. Nigdy nie rozmawiam na temat swoich klientów.

— Ależ moja droga! Nigdy nie śmiałybym o nich pytać — zachichotał. — Chodzi mi raczej o dżentelmenów, którzy nie odwiedzają twojego wspianiałego lokalu.

— Trudno, bym wiedziała coś na ich temat, nie sądzisz?

— A może jednak? Chodzi mi o tych dżentelmenów, którzy nie interesują się damami.

200

OGNIE FORTUNY

Roześmiała się.

— Tylko mi nie mów, że się do nich zaliczasz. Szokujesz mnie.

— To by dopiero była wiadomość — odparował. — Nie, mnie nie interesują ich rozrywki, a jedynie miejsce, w którym się odbywają.

— Nie zamierzasz przypadkiem poinformować o tym policji? — spytała nieufnie.

— Absolutnie nie — zapewnił. — Masz na to moje słowo. Chcę załatwić pewną bardzo delikatną sprawę w imieniu zaniepokojonego rodzica.

Nie zareagowała zbyt entuzjastycznie, jednakże Edgar wiedział, że to tylko kwestia ceny.

Położył na stole plik banknotów.

— Zobaczę, co da się zrobić — obiecała Goldie.

W następną sobotę wieczorem Edgar polecił swojemu zaufanemu służącemu Brody'emu, by podstawił powóz.

— Czy ja mam powozić, sir?

— Tak. To sprawa prywatna.

Brody pokiwał głową. Przypuszczał, że pan Edgar zamierza odwiedzić Błękit Niebios.

Sprawy prywatne oznaczały, że nie chce, by woźnica wiedział, dokąd ani po co jedzie. Wszak wozacy to towarzystwo niegodne zaufania, przychodzą i odchodzą, natomiast Brody pracował u Edgara już od dziesięciu lat. A końmi potrafił powozić równie sprawnie, jak prowadził dom, albowiem w przeszłości był dżokejem. Dopóki za bardzo nie utył.

Brody uważał się za prawą rękę Edgara i gotów był podjąć się każdego zadania, nie wyłączając gotowania. Chociaż sprawował nadzór nad resztą służby, bez słowa sprzeciwu przejmował obowiązki kucharki, ilekroć zdarzyło jej się nie przyjść do pracy. Był jedynym służącym mieszkającym u Edgara Thurlwella, tak więc duży chłodny dom przy Wickham Terrace był prawdziwym siedliskiem starych kawalerów, dzięki czemu, jak często chwalił się Brody, prowadzony był lepiej niż inne.

Brody zdziwił się nieco, kiedy pracodawca kazał mu jechać pod jakiś nieznany adres w ciemnej bocznej uliczce w Fortitude Valley. Zatrzymawszy powóz przed obskurną robotniczą kamienicą, odsunął klapkę i spytał:

— Co teraz, sir?

— Zaczekamy — odrzekł Edgar, zapalił cygaro i rozsiadł się wygodnie.

Przyjrząwszy się budynkowi, Edgar stwierdził, że światła w środku są pozapalane, za to wszystkie okna starannie zasłonięte. Ulicą

201

PATRICIA SHAW

nadciągali mężczyźni, niektórzy pojedynczo, inni w parach, i znikali za bramą. Edgar nikogo nie rozpoznał, lecz nie musiał. Po prostu spokojnie czekał. Już po paru minutach goście owego przybytku zainteresowali się ciemnym pojazdem zaparkowanym przed budynkiem i kilku z nich wyszło na zewnątrz, by pod pretekstem spaceru sprawdzić, czy nie szykują się jakieś problemy.

Któryś spytał niedbale Brody'ego, czy nie trzeba mu w czymś pomóc. Może zgubił drogę?

— Nie — odparł Brody, patrząc przed siebie. Ten dom nie wydawał mu się miejscem, w którym pan Edgar powinien się pokazywać. Miał nadzieję, że szef do niego nie wejdzie. Cała sprawa coraz bardziej go niepokoiła.

— Chwileczkę! — zawołał Edgar do mężczyzny, który zagadnął Brody'ego. — Mogę pana prosić na słówko?

Zdumiał się, kiedy młody blondyn o beczelnym wyrazie twarzy wsadził głowę przez okno.

— Dobry wieczór, przyjacielu! Trochę nieśmiały, co? Niepotrzebnie. Może pan wejść ze mną.

Edgar miał ochotę dzielić go laską za te impertynencje, zamiast tego jednak otworzył drzwi.

— Niech pan wsiada.

Młodzian w mgnieniu oka znalazł się w środku i zaczął podskakiwać na siedzeniu.

— Bardzo wygodne. Widzę, że pański tapicer się postarał. Znam się na tym, bo sam się kiedyś tym zajmowałem.

— Chciałbym z panem porozmawiać.

— Wszyscy tak mówią — uśmiechnął się chłopak. — Nie pożałuje pan.

— Jestem pewien, że nie. — Edgar wyjął z kieszeni funta. — Dostanie pan jeszcze dziewięć takich, jeśli udzieli mi pan kilku informacji.

Chłopak spojrzął z niepokojem w stronę budynku.

— Ja nic nie wiem — rzekł. — Oni nie lubią, kiedy rozmawiamy na ten temat z obcymi.

— A jeśli podwoję stawkę?

— Zależy, o co panu chodzi.

— Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy Fontana Sweepstone jest członkiem tego... hmm... klubu.

— Kto? Ach, Fontana. Tak, to stały bywalec.

Wyciągnął rękę po pieniądze, lecz Edgar schował je do kieszeni.

202

OGNIE FORTUNY

— Nie tak szybko. Jeżeli pojedzie pan ze mną i potwierdzi to na piśmie, pieniądze będą pańskie.

— Całe dwadzieścia?

— Tak.

Chłopak aż gwizdnął. Za tak drobną przysługę była to zaiste ogromna kwota.

— Nie wiecie mnie pan przypadkiem na policję?

— Nie. Pojedziemy na Wickham Terrace.

— Dobrze, sir, ale proszę posłuchać, niech pan nie próbuje zrobić mnie w konia. Mam wielu przyjaciół.

— W to nie wątpię — prychnął Edgar i zastukał w okno. — Do domu, Brody.

— Tak jest, sir!

Edgar uśmiechnął się w ciemnościach, słysząc pomruk dezaprobaty. Najprawdopodobniej nieszczęsny Brody nie mógł się nadziwić, że świat zszedł tak bardzo na psy.

Chłopak nazywał się Ted Cameron.

— Ładny ma pan dom — rzekł, podchodząc do otwartych drzwi balkonowych w salonie.

Zapewne chciał sprawdzić ich przydatność, na wypadek gdyby musiał salwować się ucieczką.

— Czy to już wszystko, sir? — spytał Brody oficjalnym tonem.

— Nie. Chcę, żebyś został. Potrzebny mi świadek.

Edgar wyjął pióro i kartkę, po czym usiadł za biurkiem. Położywszy przed sobą dwadzieścia funtów, kazał Cameronowi usiąść.

Najpierw zanotował jego dokładne dane: imię i nazwisko, wiek, adres oraz pochodzenie.

Następnie zaczął wypytywać o młodego Fontanę i jego przyjaciół.

Cameron odpowiadał bez słowa sprzeciwu, za to w miarę jak pytania stawały się coraz bardziej intymne, na twarzy Brody'ego pogłębiał się wyraz obrzydzenia. Słuchał w niemym osłupieniu, podczas gdy Ted wyraźnie się uspokajał.

— O tak — chełpił się. — Fontana był moim chłopakiem, i to przez dłuższy czas, potem porzucił mnie dla innego. Specjalnie mnie to nie zmartwiło. Był hojny, ale czasami stawał się nie do zniesienia.

— Żeby nie było dwuznaczności — wtrącił Edgar. — Czy to, że był pan jego chłopakiem, oznacza, że spaliście ze sobą?

— Spali? Nie, tylko czasami, kiedy był zbyt pijany, by wrócić do domu.

— Chodziło mi o to, czy miewał pan z nim... zbliżenia?

203

PATRICIA SHAW

— Trzeba było od razu tak mówić. Oczywiście że tak, i niech się panom nie wydaje, że widzę w tym cokolwiek zdrożnego.

Brody nie był już w stanie dłużej tego wytrzymać.

— To znaczy, żeś pan go całował? — wykrzyknął. — Faceta?

— Daj pan spokój! — roześmiał się Ted. — Był moim kochankiem. Chociaż teraz ma innego chłopaka, w sobotnie wieczory czasami nas odwiedza. Lubi zmiany.

— I dzisiaj też tam jest?

— Pewnie tak. Wielu chłopaków wpada na godzinę albo dwie...

— Czy płacą? — spytał Edgar.

— Niektórzy tak, przede wszystkim ci nowi. To swego rodzaju klub dżentelmenów, rozumie pan, co mam na myśli?

Tym razem to Edgar o mało się nie udławił, pisał jednak dalej. W końcu uniósł wzrok.

— To już wszystkie pytania, panie Cameron. Mój człowiek odwiezie pana do domu.

Służący obruszył się, lecz Edgar zmarszczył brwi i rzekł:

— Pan Cameron jest moim gościem. Obiecałem, że nie zajmę mu zbyt wiele czasu. Czy umie pan pisać, panie Cameron?

— Tak.

— W takim razie zechce pan złożyć tutaj swój podpis i dopisać jeszcze kilka słów, które panu podyktuję.

— I dostanę te dwadzieścia funtów?

— Naturalnie. A teraz niech pan weźmie pióro i pisze: „Oświadczam...”

Z pewną pomocą w kwestii ortografii trudniejszych wyrazów, Ted Cameron zdołał złożyć pisemną deklarację, potwierdzającą prawdziwość oświadczenia.

— Nie będę miał z tego powodu kłopotów? — spytał z niepokojem, lecz Edgar go uspokoił.
— Żadnych. Naturalnie powinien pan mieć świadomość, że pańskie czyny są nielegalne, ale to już pańska prywatna sprawa. Ja nie zamierzam panu szkodzić, choć na pańskim miejscu nie wspominałbym Fontanie o tej rozmowie, gdyż jego reakcja mogłaby być nieobliczalna.

Ted podpisał się, po czym wziął ze stołu czapkę i pieniądze.

— Jeżeli będą się dopytywać, skąd je wziąłem, zawsze mogę powiedzieć, że spędziłem trochę czasu z pewnym jegomościem w jego powozie. — Posłał radosny uśmiech najpierw Brody'emu, a potem Edgarowi. — Ale, ale! Nawet nie znam waszych nazwisk!

204

OGNIE FORTUNY

Edgar go zignorował. Był zadowolony z przebiegu wydarzeń, miał więc wyśmienity humor. Kiedy gość ruszył w stronę drzwi, szepnął do Brody'ego:

— Teraz chyba rozumiesz, dlaczego chciałem, żebyś tu został. Przynajmniej ten cwaniaczek nie będzie mógł twierdzić, że spędził ze mną trochę czasu. Nie musisz zawozić go aż do końca. Wyrzuć go parę ulic stąd. A potem, kiedy odstawisz powóz, przyjdź poświadczyć ten dokument.

— Z przyjemnością, sir. Uważam, że to po prostu ohydne. Edgar uważnie przeczytał całe oświadczenie, po czym wpisał słowa

„oddając się nienaturalnym praktykom” w miejscu, które specjalnie w tym celu zostawił. Chociaż była to prawda, nie chciał przestraszyć młodzieńca tak mocnym sformułowaniem.

Nie mając ani dnia do stracenia, Edgar umówił się na spotkanie z Jedem Sweepstone'em.

Rozmowa potoczyła się tak, jak zakładał. Jed był wstrząśnięty. Twarz mu poszarzała, drżące dłonie nerwowo gładziły siwe włosy.

— Masz na to jakiś dowód?

— Mam. Chyba obraził jednego ze swoich kochanków, a ten zjawił się u mnie i o wszystkim opowiedział.

— Dlaczego akurat tobie?

— A dlaczegoż by nie? Całe szczęście, że przyszedł z tym do mnie. Zapłaciłem mu, żeby trzymał język za zębami.

— Powiedziałaś: „jeden z jego kochanków”? — Jed był coraz bardziej przybity.

— Tak.

— O Boże! Jego matka nie może się o tym dowiedzieć.

— Oczywiście, że nie. Nikt nie powinien o tym wiedzieć. Minister nalał sobie drinka, który trochę go uspokoił. Edgara nie

poczęstował. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, zapytał:

— Domyślam się, że będę musiał w jakiś sposób zapłacić ci za milczenie?

— Nie ujmowałbym tego tak ostro — odrzekł Edgar, po czym swoim najbardziej przekonującym tonem jął tłumaczyć, że Jed zbyt długo zwleka z podpisem pod decyzją o przekazaniu Western Rail-roads niezbędnych gruntów.

— Wspomniałaś, że posiadasz dowód. Czy mogę go zobaczyć?

Edgar położył na biurku zeznanie Camerona.

205

PATRICIA SHAW

Przeczytawszy je, Jed zachwiał się i przez chwilę Edgarowi wydawało się, że zemdleje.

Minister zebrał się jednak w sobie, złożył kartkę i schował ją do szuflady.

— Nie ma kopii?

— Masz na to moje słowo. — Edgar wiedział, że w dowolnym momencie może zdobyć ponowne, nawet bardziej szczegółowe zeznanie Camerona albo kogoś z jego towarzystwa. Wiedział też, że Jed nie jest głupcem i z pewnością zdaje sobie sprawę z zagrożenia.

Dalsza rozmowa przebiegała w spokojnej atmosferze. Podczas gdy minister czekał, aż wezwany urzędnik przyniesie odpowiednie dokumenty, Edgar starał się ukoić jego sumienie, mówiąc, że mieszkańcy zachodu, tak długo zaniedbywani, będą mu za to wdzięczni jeszcze przez kilka pokoleń.

Dopiero kiedy Edgar Thurlwell opuścił jego biuro, minister zapalił zapałkę i zniszczył przerażający dokument. A potem ukrył twarz w dłoniach i gorzko zapłakał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Boże Narodzenie, czas radości i miłości bliźniego.

I tak właśnie miało być! Edgar gwizdał wesoło, strzygąc sobie brodę. Wszystko zaczynało toczyć się po jego myśli, więc żeby to uczcić, postanowił wyprawić w Wigilię przyjęcie w hotelu Great Northern.

Przez pewien czas nie miał pewności, czym się skończą jego plany. Wprawdzie publiczna sprzedaż akcji okazała się udana, ale firma w dalszym ciągu była niedokapitalizowana, koszty rosły w zastraszającym tempie, musiał więc zaciągnąć pożyczkę w Banku Kolonialnym w Nowej Południowej Walii. Z bankierami w Sydney łatwiej było dojść do porozumienia, potrafili docenić przedsiębiorczy umysł, niezbędny, by pchnąć do przodu tak wielką sprawę. A współpraca ministra gruntów doprowadziła do zawarcia umowy. Edgar nie wspomniał nikomu, nawet Lalli i Williamowi, że Sweep-stone w końcu wszedł w ten interes. Nie musiał, wszyscy uważali za pewnik, że Western Railroads otrzyma potrzebne tereny.

Ogromnie z siebie zadowolony, odtańczył gigę. Jak na mężczyznę sporej tuszy tańczył całkiem nieźle, a tego wieczora zamierzał bawić się na parkiecie z najlepszymi z najlepszych. „Szampan i róże” — taki miał być motyw przewodni przyjęcia. Edgar zapowiedział, że życzy sobie dla setki swoich gości obsługi na najwyższym poziomie.

— „Róże, róże, wszędzie róże!” — zacytował ulubiony fragment wiersza Browninga. — Tak właśnie potoczą się sprawy mojej firmy i tak ma wyglądać ta Wigilia dla moich gości.

Rozumie pan?

Na razie dyrektor Western Railroads wyobrażał sobie swoich urzędników i nadzorców, zajmujących kolejne połacie przydzielonej pod linię kolejową ziemi — korytarz ciągnący się od Brisbane aż do

207

PATRICIA SHAW

Longreach. Postanowił, że kiedy ruszy budowa linii, natychmiast rozpocznie negocjacje w sprawie następnej, tym razem z Brisbane do Bundaberg. Przypuszczał, że prędzej czy później nadadzą mu za to przedsięwzięcie szlachectwo.

Dyrektor hotelu, mając w pamięci słowa pana Thurlwella, który stwierdził, że koszty nie mają żadnego znaczenia, z rozkoszą wykorzystywał wszystkie swe talenty, by przygotować elegancki i niezapomniany wieczór. Zjeździł całe miasto w poszukiwaniu róż, i chociaż o tej porze roku były one trudne do zdobycia, osiągnął pożądany efekt, uzupełniając je kwiatami z papieru i jedwabiu, które umieścił wysoko, tam gdzie najmniej rzucały się w oczy.

Jako aktor amator często recytował poezję, znał wiersz Browninga i krzykliwa interpretacja w wykonaniu Thurlwella wprawiła go w lekką konsternację. Był człowiekiem przesądnym, a o ile dobrze pamiętał, wiersz „Patriota” miał dość ponure zakończenie. Jednakże wyjęty z kontekstu ten krótki fragment brzmiał całkiem przyjemnie, podobnie jak rosnący rachunek. Wśród zaproszonych gości byli Buchananie. Kiedy czekali na powóz wraz z Belle Foster, Clara skorzystała z okazji, by porozmawiać z mężem na temat ich posiadłości.

— Musimy jak najszybciej wracać do domu — rzekła. — Chciałabym wyjechać zaraz po Nowym Roku.

— To wykluczone, mam za dużo zajęć w mieście — zaoponował.

— Poza tym nie wiem, po co się tak śpieszysz. I tak wiele tam nie

zdziałyśmy.

— Jest coś, co możemy zrobić. Moim zdaniem powinniśmy zakupić w Brisbane jak największą ilość paszy i wysłać ją koleją do Charleville.

Buchanan aż wytrzeszczył oczy.

— Czyś ty oszalała? To by kosztowało majątek.

— Lepsze to niż bezczynność.

— W życiu nie słyszałam o czymś takim — wtrąciła Belle Foster.

— Czasami miewasz naprawdę ekscentryczne pomysły, Claro.

— To wcale nie jest ekscentryczny pomysł. Bydło potrzebuje paszy. Pomyślcie tylko, jak zmieniłaby się sytuacja, gdyby udało się nam zapewnić cotygodniowe dostawy.

— To bzdura — stwierdził Ben. — Nie stać nas na takie ekstrawagancje.

— Właściwie czemu nie? — spytała Belle. — Może to wcale nie jest taki głupi pomysł?

Widziałam już bydło padające w czasie suszy

208

OGNIE FORTUNY

i szczerze powiem, że to okropny widok. Pamiętam, Claro, jak twój ojciec musiał zastrzelić setki nieszczęsnych zwierząt, co o mało nie doprowadziło go do zawału.

— My już to robimy, mamó. Ale skoro nie jesteśmy w stanie zdobyć wody, może warto by przynajmniej dostarczyć tam paszę?

— To beznadziejna sytuacja — stwierdził Ben. — Gdybyśmy coś takiego zrobili, wpakowalibyśmy się w jeszcze większe tarapaty.

Nie chciał przyznać, że spodziewa się sporo zarobić na swoich akcjach, doszły go bowiem słuchy, że minister przekazał Western Railroads pierwszy korytarz gruntów.

— W takim razie sprzedaj tę farmę — zdenerwowała się Clara

— i skończmy z tym raz na zawsze.

— Próbowalem — odrzekł Ben — ale nie ma chętnych. Kto byłby na tyle szalony, by kupić gospodarstwo zrujnowane przez suszę?

Clara nie kryła zdumienia.

— Próbowalesz sprzedać Fairmont, nic mi o tym nie mówiąc? Nie chcę jej sprzedawać.

Musimy ją uratować. To nasz dom.

— Biorąc pod uwagę twoje pomysły, szybko byśmy zbankrutowali

— warknął Ben. — Nie chcę już o tym słyszeć.

— Właśnie, dajmy spokój tej sprawie, przynajmniej na razie

— zgodziła się Belle. — Jedziemy na bal bawić się, a nie kłócić. Muszę przyznać, Claro, że w tej sukni bardzo ci do twarzy. Jest zupełnie inna niż dotychczasowe. Gdzie ją kupiłaś?

— Phoebe pomogła mi wybrać krój i materiał. Ja chciałam białą, ale Phoebe powiedziała, że różowa krepa znacznie lepiej uwydatni koraliki.

— Uwydatnia coś więcej, nie tylko koraliki — mruknął Ben, patrząc z dezaprobatą na głęboki dekolt.

Belle roześmiała się.

— Skoro ma co pokazać, czemu miałaby tego nie robić?

Phoebe jak zwykle zjawiła się z rodzicami, chociaż tym razem na ich kategoryczne żądanie towarzyszył jej niejaki Robert Portnum, siostrzeniec samego gubernatora. Był wysoki, przystojny i bardzo się cieszył, że jest jej partnerem, starała się więc być wesoła pomimo nie opuszczającego jej przygnębienia. Nie było to łatwe, zważywszy, że matka zajęła miejsce obok Bena Buchanana i wdała się z nim w ożywioną dyskusję, a nawet pozwoliła sobie poprawić muchę. Phoebe wciąż żywiła poważne podejrzenia co do tej pary.

PATRICIA SHAW

Jednakże udekorowana setkami róż sala wyglądała naprawdę przepięknie, szampan płynął strumieniami i już po kilku kieliszkach Phoebe odzyskała dobry humor. Czuła się naprawdę dobrze pośród tych wszystkich eleganckich ludzi, których tak dobrze знаła. A Robert okazał się świetnym tancerzem.

Czasami Ben miał wrażenie, że jak Rip Van Winkle obudził się z długiego snu, tak wiele było rzeczy, o których nie miał pojęcia, a które dla jego przyjaciół były czymś jak najbardziej naturalnym. Stał się więc gorliwym czytelnikiem prasy, pragnąc za wszelką cenę nadrobić przynajmniej część zaległości. Cash wprowadził go do domu publicznego, który nadal czasami odwiedzał pomimo wyrzutów sumienia i świadomości, że Oma na pewno byłaby zgorszona. No cóż, przecież innego życia towarzyskiego nie prowadził.

Rod Callaghan okazał się niezastąpiony, Ben mianował go więc dyrektorem i podwoił mu płacę. Żona Roda przyszła do stajni, by osobiście podziękować Benowi.

— To dla nas ogromna zmiana — powiedziała. — Dzięki tej podwyżce będziemy mogli posłać znowu dzieci do szkoły. Jesteśmy panu bardzo wdzięczni, panie Beckman.

— Proszę mi mówić Ben.

— Dobrze, Ben. A ja jestem Alice. Rod i ja wybieramy się w niedzielę na koncert. Może zaprosisz jakąś młodą damę i pójdiesz z nami?

— Nie miałbym kogo zaprosić — odparł. — Nie znam żadnych młodych dam.

— Słyszałaś, co on opowiada? — roześmiał się Rod. — Przecież jest tyle pięknych dziewcząt, które z chęcią pokazałyby się z właścicielem tej firmy.

— To dla mnie nowość — mruknął Ben.

— Jest zbyt nieśmiały, i w tym cały kłopot — odezwał się Rod do żony. — No Boga, powinnaś zobaczyć, jak ta panna Thurlwell na niego patrzy. Ten zamglony wzrok, jak tylko Ben pojawił się na widoku...

— Kto? Phoebe? — spytał Ben.

— Ha! A więc znasz nawet jej imię! — wykrzyknął Rod.

— Pewnie, że znam. W końcu jesteśmy sąsiadami. Chyba nie sugerujesz, że powinienem ją zaprosić?

— No nie, to byłaby chyba przesada, ale przynajmniej widzisz, że mam rację, prawda? Dziewczyny wysoko sobie ciebie cenią.

OGNIE FORTUNY

— Nie drocz się z nim — odezwała się Alice. — Jeżeli nie chcesz zabrać dziewczyny, Ben, możesz pójść sam.

— A czy mógłbym zabrać babcię? Ona nigdy nigdzie nie wychodzi i na pewno by się ucieszyła.

— Pewnie że tak — uśmiechnęła się Alice. — Dobry z ciebie facet, że o niej pomyślałeś. Zanim wyszła, Rod wziął ją na stronę.

— Nie powinnaś nazywać mojego szefa dobrym facetem. To nie na miejscu.

— Nie bardziej niż droczenie się z nim w sprawie dziewcząt

— parsknęła.

— To ty wywołałaś ten temat.

— Wiem. Nie pomyślałam. Z jego kolorem skóry to nie będzie łatwa sprawa, a tym bardziej z kryminalną przeszłością.

— Z jego pieniędzmi... kto wie? Wygląda na to, że ma studnię bez dna, a na dodatek czerpie teraz spore zyski ze stajni.

— W tym też jest pewne niebezpieczeństwo — zamyśliła się Alice.

— Polubiłam go i nie chciałabym, żeby wpadł w szpony jakiejś poszukiwaczki złota.

Gussie Beckman w nowym wytwornym kapeluszu bawiła się w towarzystwie Bena i jego przyjaciół naprawdę świetnie, zwłaszcza że sam koncert zrobił na niej ogromne wrażenie.

Chociaż prawie się nie odzywała, nie uszło jej uwagi, że Alice Callaghan dwoi się i troi, żeby przedstawić Bena jak największej liczbie młodych atrakcyjnych dam.

„To dobrze” — powtarzała w duchu. Uważała, że najwyższy czas, by Ben się w kimś zakochał. Czuła się dobrze i miała nadzieję, że dożyje dnia, kiedy jej kochany chłopak weźmie ślub. Od razu polubiła Alice. Wyglądała na rozsądną kobietę, która wie, jakie pokusy zagrażają młodemu mężczyźnie, jeśli w porę nie zostanie skierowany na właściwe tory.

Ku zaskoczeniu Bena zaprosiła Callaghanów i ich dzieci na lunch na następną niedzielę, od razu planując menu, oni zaś z radością przyjęli jej zaproszenie.

Tak oto rozpoczęło się życie towarzyskie Bena.

A potem przyszły święta Bożego Narodzenia.

— Posłuchaj, Ben — zagadnął go Rod. — Za czasów O'Neilla w Wigilię zawsze odbywało się tutaj przyjęcie dla robotników. Zastanawiałeś się może nad tym?

— Czy się zastanawiałem? Szczerze mówiąc, nie. Nic o tym nie wiedziałem. Jak sądzisz, jak miałyby to wyglądać?

211

PATRICIA SHAW

— No cóż, Cash był wyjątkowym skąpcem. Jeśli w ogóle zdarzyło się, że miał jakieś pieniądze, wydawał je na siebie, tak więc z reguły wystawiał tylko beczkę z piwem. Ale za życia pani O'Neill zapraszano do domu wszystkich, rodziny pracowników, dzieci, narzeczone. To były dość huczne przyjęcia i wszyscy świetnie się bawili.

— Sądzę, że moglibyśmy spróbować coś takiego zorganizować. Tylko sam wiesz, mieszkam dość daleko stąd. A gdybyśmy zorganizowali przyjęcie po pracy, byłoby za późno, bo ostatni prom odpływa o siódmej.

— Alice ma pewien pomysł. Słyszałeś już, że Kathleen O'Neill przygotowuje jedzenie na prywatne przyjęcia?

— Nie. A po co?

— Żeby trochę zarobić.

— A kto jej płaci?

— Ludzie, którzy wyprawiają przyjęcia, podwieczorki i tym podobne. Kobietom zależy, żeby podawane były tylko najlepsze rzeczy, bo chcą zrobić wrażenie na znajomych. A Kathleen gotuje i piecze równie dobrze jak jej matka. Alice twierdzi, że wśród jej klientów są najbardziej znane osoby w mieście.

— Dobry Boże!

— Tak więc Alice uważa, że powinieneś zaproponować Kathleen, by przygotowała przyjęcie.

— I zapłacić jej?

— Za darmo na pewno tego nie zrobi.

— O nie, nie o to mi chodzi. Chętnie jej zapłacę, ale to wciąż mnie przerasta, Rod. Może poprosimy Alice, żeby się dowiedziała, czy Kathleen w ogóle się zgodzi, i zobaczymy, co z tego wyniknie? Panna O'Neill mnie nie lubi.

— Musiałbyś powiedzieć Alice, ile jesteś gotów wydać. Ben wzruszył ramionami.

— Nie mam zielonego pojęcia. Wiesz co, spytaj Alice, czy zgodzi się tym zająć, a jeśli tak, niech mi po prostu dostarczy rachunek.

Po paru dniach Rod przyszedł z wiadomością, że Kathleen zgodziła się przygotować przyjęcie w swoim ogrodzie w Wigilię o piątej po

południu.

— Cudom chyba nigdy nie będzie końca! — wykrzyknął Ben. Tylko Gussie wiedziała, że to pierwsze przyjęcie, w jakim Ben w życiu uczestniczył, a kiedy mu przypomniała, że jest gospodarzem, o mało nie zrejterował.

212

OGNIE FORTUNY

— Nie ma się czym przejmować — uspokajała go. — Przecież będę z tobą. Musisz tylko ze wszystkimi porozmawiać i wygłosić krótkie przemówienie.

— Przemówienie? — Ben dosłownie zamarł z przerażenia.

— Dla kogoś tak wygadanego jak ty to nie będzie żaden problem. Po prostu złożysz wszystkim życzenia i podziękujesz pracownikom za ciężką pracę.

Kathleen przeistoczyła swój ogród w baśniową krainę, pełną lampionów i baloników, które wisiały nad długimi stołami na kozłach, przykrytymi obrusami w kratę. Były papierowe czapeczki, grzechotki i walce z ogniami bengalskimi, a także pełne smakołyków koszyki z czerwonej krepy. Z jednej strony stał stół z piwem, winem i sokami, dwa pozostałe zastawiono półmiskami z kurczakiem na zimno, pikantnymi potrawami, wieprzowiną, jajkami na twardo oraz najróżniejszymi ciastami. Wszystko było starannie pokrojone, żeby goście nie potrzebowali talerzy i mogli się częstować, czym tylko zechcą.

Benowi przyjęcie bardzo się podobało. W miarę jak opróżniano kolejne półmiski, Kathleen przynosiła nowe. Nie zapomniała nawet o bożonarodzeniowym drzewku, pod którym znalazły się prezenty dla dzieciaków, na werandzie akordeonista przygrywał gościom skoczne melodie. Tylko Alice ogarniał coraz większy niepokój. Ile to wszystko będzie kosztować? Rodzice Kathleen nigdy nie organizowali aż tak wystawnych zabaw. Weszła do domu, gdzie Kathleen właśnie podsumowywała wydatki.

— Czy tyle właśnie ma wynieść rachunek? Kathleen skinęła głową.

— Tak. Muszę bardzo uważać, żeby czegoś nie przeoczyć, bo inaczej stracę, zamiast zarobić.

— Nie pamiętam, żebym wspominała o wszystkich tych dekoracjach i prezentach, nie mówiąc już o takiej ilości jedzenia. Nie zamawiałam biesiady.

— To nie biesiada, po prostu tak się teraz organizuje tego rodzaju przyjęcia.

— A co będzie, jeśli szef oburzy się na tak wysoki rachunek? To ja będę wszystkiemu winna, a Rod może mieć kłopoty.

— Jestem pewna, że jasnie pan bogacz Beckman może sobie pozwolić na taki wydatek — ucięła Kathleen.

— To nie w porządku, Kathleen. Wciąż nosisz do niego urazę. Ben zrobił dla ciebie tyle, ile mógł.

213

PATRICIA SHAW

— Nie potrzebuję jego łaski. Przygotowałam porządne przyjęcie, a jego stać na to, by za nie zapłacić.

Była skonsternowana, kiedy na koniec swego krótkiego przemówienia Ben poprosił o huczne brawa dla panny O'Neill w podziękowaniu za wspianiały wieczór. Nie miała jednak zamiaru obniżyć ceny, nawet za wynajęcie ogrodu i czas poświęcony przygotowaniom. Tuż przed końcem przyjęcia wręczyła mu rachunek, a on bez słowa sprzeciwu wyjął portfel i uiszczył należność.

— Wszyscy świetnie się bawili, panno O'Neill — rzekł. — To przede wszystkim pani zasługa. A jedzenie było naprawdę wyśmienite. Sam chyba zjadłem trochę za dużo. Zostawiliśmy straszny bałagan, może pomogę pani go uprzątnąć?

— Nie, dziękuję panu. To nie zajmie mi nawet minuty. Pani Beckman wszakże nie zamierzała tak łatwo ustąpić.

— Ben chętnie pani pomoże, panno O'Neill. Z pewnością jest pani wyczerpana. Gotowanie to ciężka praca. A ja, o ile nie ma pani nic przeciwko, usiądę pod drzewem i trochę odpocznę. — Uśmiechnęła się do Bena. — To moje najwspanialsze święta od wielu, wielu lat. Miło mi było poznać przyjaciół Bena i widzieć, jak wszyscy dobrze się bawią.

Kathleen stwierdziła, że Ben zna się na kuchni. Zdjął z pieca kocioł z gorącą wodą i w dużej cynowej miednicy zmywał naczynia, które przynosił z dworu. Później złożył stoły, przyszedł do kuchni i spytał:

— Co mam z nimi zrobić?

— Niech pan je tam zostawi. Niedługo przyjdą po nie ludzie.

— Jacy ludzie?

— Wynajęci.

— Naprawdę? O niczym pani nie zapomniała. Ja bym o tym nie pomyślał.

Wycierając talerze, półmiski i garnki, których stały w kuchni całe sterty, gdyż nie za bardzo dbała o porządek, Kathleen zmuszona była rozmawiać z Benem i stwierdziła, że jest znacznie młodszy, niż początkowo przypuszczała. Ona miała dwadzieścia lat, on chyba niewiele więcej. Widocznie lata spędzone w więzieniu sprawiły, że szybciej dojrzał. Znała jego historię od starego Lenniego, który pracował w stajniach, kiedy Bena aresztowano. Wówczas, rozgoryczona utratą rodzinnego interesu, nie przejęła się tą opowieścią. Teraz była wstrząśnięta i oburzona niesprawiedliwością bogaczy, mających tak ogromną władzę nad zwykłymi szarymi ludźmi.

Ben tymczasem pozbierał wszystkie śmieci i wrzucił do stojącego w ogrodzie pojemnika, w którym miały zostać spalone.

214

OGNIE FORTUNY

— Świat jest niesprawiedliwy — wyszeptała, wyglądając przez okno. — Gdyby tata żył, nie stracilibyśmy stajni, a ja nie byłabym bankrutem. — Rozejrzała się wokół siebie. Nie zostało ani trochę jedzenia, goście pochłonęli wszystko do ostatniego okruszka. — No cóż — westchnęła. — Masz przynajmniej trochę pieniędzy, więc przestań się skarżyć.

Kiedy Ben wrócił, podziękowała mu za pomoc.

— To już chyba wszystko. Postawiłam wodę. Pójdę do ogrodu i spytam pana babcię, czy ma ochotę na filiżankę herbaty.

Ben przeciągnął się, włożył marynarkę i usiadł przy kuchennym stole. Zwrócił uwagę, że dom Kathleen O'Neill bardzo przypomina jego własny. Być może zbudowano go według tego samego projektu, tylko dom na Kangaroo Point był zdecydowanie chłodniejszy. Tutaj, na równinie, z dala od rzeki panowała nieznośna duchota. Typowa świąteczna pogoda, piekielny upał.

Panna O'Neill nie śpieszyła się z powrotem, najprawdopodobniej zabawiała Omę rozmową. Woda zagotowała się, odstawił więc czajnik na mniejszy ogień i wyszedł przed dom zadowolony, że może opuścić gorącą kuchnię.

Kathleen stała na schodach przerażona, z oczyma szeroko otwartymi i nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

— Co się stało? — spytał.

Spuściła wzrok, jakby bała się do niego odezwać.

— Co się stało? — powtórzył, schodząc ku niej. Wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć, na wszelki wypadek więc chwycił ją za ramiona.

— Ben! — wydusiła w końcu z siebie. — Twoja babcia! Ona... chyba... nie żyje.

Ruszył biegiem. To niemożliwe! Na pewno tylko zdrzemnęła się w wygodnym fotelu. Na pewno jest tylko zmęczona. Poklepał ją delikatnie po policzku.

— Oma, zbudź się. Wracamy do domu. Musimy już iść. — Nie doczekawszy się żadnej reakcji, wpadł w panikę. — Sprowadź doktora! Szybko sprowadź doktora! — krzyczał do

Kathleen, ona wszakże otrząsnąwszy się z początkowego szoku, nie miała wątpliwości, że na jakąkolwiek pomoc jest już za późno.

Przeżegnała się, stojąc bezradnie z boku, kiedy Ben chwycił staruszkę w ramiona i mocno przytulił. Twarz miał mokrą od łez.

To Kathleen pobiegła po lekarza, by sporządził akt zgonu, to ona sprowadziła kobiety, które przygotowały zwłoki starszej pani do pochówku. To ona spędziła z Benem długie, straszliwie smutne

215

PATRICIA SHAW

godziny Bożego Narodzenia, wiedząc, że tylko dotrzymując mu towarzystwa w przeraźliwie cichym domu, może odrobinę ulżyć jego cierpieniu po stracie najbliższej na świecie osoby.

Po pogrzebie, kiedy stał na klifie i wpatrywał się w rzekę, zebrała wszystkie ubrania pani Beckman i wysłała je do kościoła, dla ubogich. Potem wyszła z domu i stanęła obok niego.

— Ładny masz stąd widok, Ben.

— Tak.

— Rzeka musi być bardzo stara, skoro wyłobowała ziemię aż tak głęboko. Daleko stąd do morza?

— Dosyc — odparł. — Kiedyś lubiłem patrzeć na statki, płynące w górę i w dół rzeki. — Spojrzał na nią z rozpaczą. — Dlaczego musiała umrzeć właśnie teraz? Kiedy wszystko zaczynało się w końcu układać?

— Nie wiem, chyba nikt nie wie. Ale miała taką spokojną śmierć, nie miej więc do niej żalu. Oddałam jej ubrania dla biednych, poza tym niczego nie ruszałam. Sam się tym zajmiesz, kiedy już dojdiesz do siebie.

— O ile w ogóle — odparł ponuro. — Nie potrafię znieść myśli, że miałbym cokolwiek ruszyć. Była taka dumna z tego domu.

Kathleen pokiwała tylko głową. Nie chciała powtarzać banałów, że smutek minie i tak dalej. Wiedziała, że powinna pozwolić mu cierpieć w spokoju.

— Miałem wielkie plany, że postawię tutaj nowy dom, ale ona się nie zgadzała. Nie chciała zmian.

— A teraz?

— Teraz? Sam nie wiem. To dziwne, ale wydaje mi się, że zostawię wszystko tak, jak jest. Przywykłem już. One czuły się tutaj szczęśliwe... i mama, i babcia, a dom będzie mi o nich przypominał.

Z balkonu nad długim pokojem Phoebe widziała Bena stojącego na klifie i towarzyszącą mu młodą kobietę o ciemnych włosach.

Słyszała o śmierci pani Beckman i czekała na sposobność, by go odwiedzić i złożyć mu kondolencje. Wolała się nie śpieszyć, nie chciała zakłócać mu spokoju. A teraz była z nim ta kobieta. Skąd ona właściwie się wzięła! Teraz Phoebe nie mogła do niego iść. Chciała porozmawiać z nim w cztery oczy. Była w końcu jego najstarszą znajomą i wypadało, żeby go odwiedziła.

Phoebe zdała sobie sprawę, że jest zazdrosna o tę kobietę, i nie zamierzała z tym uczuciem walczyć. Drażniło ją, że Ben jest z osobą, która w jego domu zachowuje się, jakby była u siebie.

216

OGNIE FORTUNY

Parę dni później, kiedy już miała pewność, że nieznajoma zniknęła, Phoebe wymknęła się z domu i zapukała do jego drzwi. Nie zastała go. Dokąś wyszedł, prawdopodobnie do stajni. W tym tygodniu nie miała czasu, by się wybrać na przejażdżkę, bo odbywało się zbyt wiele

przyjęć, poza tym chciała mu złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci pani Beckman, kiedy będzie sam, a nie na oczach jego pracowników. To była zbyt osobista sprawa. W końcu, w tydzień po Nowym Roku, udało się jej zastać go w domu. Bardzo się na jej widok zdziwił.

— Panna Thurlwell! — wyjąkał tylko, pośpiesznie zapinając koszulę.

— Phoebe, pamiętasz? — odparła cicho. — Przyszłam ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu pani Beckman. Przyszłabym wcześniej, ale nie chciałam przeszkadzać.

— Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony. — Wyglądało na to, że nie bardzo wie, co powinien teraz zrobić, a Phoebe najwyraźniej nie zamierzała odejść.

— Czy czujesz się już lepiej? To musiał być dla ciebie straszny wstrząs.

— Tak, rzeczywiście.

— Była bardzo dobrą osobą. Skinął głową.

— Będzie mi jej brakowało.

Wszystko układało się nie po myśli Phoebe. Powinien zaprosić ją do środka, tymczasem stał w progu, przybity i zdezorientowany.

— No cóż — rzekła. — Lepiej już pójdę. Nie chciałam ci przeszkadzać.

— Nie przeszkadzasz. Będziesz jeździć w tym roku?

— Pewnie. Może któregoś dnia wybierzesz się ze mną?

— Chętnie — odparł.

Phoebe wróciła do domu bardzo zawiedziona. Był taki przygnębiony, że miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję i ucałować jego smutną twarz. Tak, pragnęła go pocałować! Załamany, trochę zaniedbany, z włosami nie spiętymi z tyłu, lecz opadającymi bezładnie na twarz, wydawał się jeszcze bardziej ogorzwały i przystojny.

Obiecał, że wybierze się z nią na przejażdżkę. „Chętnie”. Była pewna, że nie kłamał. A w takim razie im prędzej, tym lepiej.

Kłopot polegał jednak na tym, że Lalla stała się bardzo podejrzliwa.

— Skąd to nagle zainteresowanie końmi? Spotykasz się z kimś? — spytała oschłym tonem któregoś ranka.

217

PATRICIA SHAW

— Ależ skąd! Przecież żaden z durni, których znam, nie umie jeździć. Jaka szkoda, że nie mieszkam na wsi. Clara Buchanan wraca do domu i nie będę mogła liczyć nawet na jej towarzystwo. — Pamiętała, jak na wigilijnym przyjęciu u Edgara matka nadskakiwała Benowi Buchananowi, dodała więc: — Ben i Clara wyjeżdżają lada dzień.

— Wcale nie. Ben ma tutaj zbyt wiele obowiązków. Na pewno nie wyjadą przed końcem stycznia. Nikt nie wyjeżdża wcześniej.

Phoebe wzruszyła ramionami.

— Zobaczymy.

Przynajmniej udało się jej zmienić temat.

Clara wciąż sprzeczała się z Benem o termin powrotu do domu.

— Jeśli ze mną nie pojedziesz, wrócę sama.

— Zaczekasz na mnie — warknął.

— Nie mogę. Mam tam za dużo do zrobienia. W końcu ustąpił.

— Do diabła, w takim razie jedź! I tak nie ma tu z ciebie żadnego pożytku. Nawet nie starasz się rozmawiać z właściwymi ludźmi, nie zadajesz sobie najmniejszego trudu, żeby zorientować się w realiach polityki. Całkiem jakby moja kariera była dla ciebie bez znaczenia.

— Gdybym nie miała tylu zmartwień w domu, mogłabym zostać i spróbować ci pomóc, ale ciebie nasza farma chyba w ogóle nie obchodzi. — Rozpłakała się. — Mam dość tej polityki. Rozbija nasze małżeństwo.

— O nie! To ty je rozbijasz! I przestań mnie winić! Nic nie poradzę, że jest susza. Ta farma nie jest już nic warta, nie przynosi żadnych dochodów. Powiniennem sprzedać resztę zwierząt i w końcu ją zlikwidować.

— Nie zrobisz tego! To mój dom. I nie zapominaj, Ben, że kupiliśmy ją także za pieniądze, które odziedziczyłam po ojcu. Nie będę siedzieć i czekać, aż wszystko się zawali.

— Byłem ciekawy, kiedy to powiesz. Twój udział! Akurat, do diabła! Fairmont to moja farma, rozumiesz? Zapamiętaj to sobie raz na zawsze!

Clara wprost nie mogła uwierzyć, jak bardzo się zmienił. Wzbudzał w niej coraz większą niechęć. Od dawna podejrzewała, że romansuje z Lallą Thurlwell, a ich zachowanie na przyjęciu wigilijnym zdawało się to potwierdzać. W gruncie rzeczy jednak Clara o niczym nie chciała wiedzieć. Nie była taka głupia, jak uważali ci wszyscy egzaltowani mieszczanie.

218

OGNIE FORTUNY

Pozostawiona przy stole z doktorem Thurlwellem, który cierpiał na artretyzm, udawała, że nie widzi, jak często Ben tańczy z Lallą. Mimo to przez chmury wciąż przezierало słońce. Clara była przekonana, że Ben nie porzuci jej dla mężatki. Wywołałoby to zbyt wielki skandal.

Kobieta samotna stanowiłaby znacznie większe zagrożenie.

Chociaż właściwie wcale jej nie obchodziło, czy ją porzuci. Już nie. Ale miał rację, to on był właścicielem farmy i rozstanie z nim oznaczałoby dla niej utratę wszystkiego. Spoglądając z niepokojem, Clara widziała oczyma wyobraźni, jak zostaje na łasce matki, co wydawało się prawie tak samo nie do zniesienia, jak konieczność tolerowania wyskoków męża.

Jednakże matki w rodzaju Belle mają też zalety. Swego czasu zorientowała się ona, że Clara nie ma własnych pieniędzy, że nawet opłaty związane z działalnością farmy przechodzą przez ręce Bena.

— Wiem, że to normalna praktyka — stwierdziła Belle — ale moim zdaniem to uwłaczające dla kobiety, kiedy musi prosić o pieniądze na każdy, nawet najmniejszy drobiazg. Wychodząc za mąż za twojego ojca, od razu zastrzegłam, że w żadnym razie się na to nie zgodzę. A kiedy brałam ślub z twoim ojczymem, świeć, Panie, nad jego duszą, byłam już samowystarczalna.

— Nic nie poradzę, mamó. Prosiłam Bena, by mi pozwolił założyć własne konto, żebym mogła spokojnie prowadzić farmę, kiedy on jest w Brisbane, ale nawet nie chciał o tym słyszeć.

— To było do przewidzenia. Mężczyźni nie lubią tracić władzy, a poza tym uważają, że kobiety trwonią pieniądze. Pójdźcie na kompromis. Załóżcie wspólne konto, z którego będziecie mogli korzystać oboje.

— On się na to nie zgodzi!

— Zobaczmy — odparła Belle tonem, który oznaczał: „Uważaj sprawę za załatwioną”.

I rzeczywiście. Mniej więcej przed rokiem, po krótkiej i ostrej wymianie zdań z Benem matka doprowadziła do tego, że założył wspólne konto. Dla kobiety próbującej prowadzić samodzielnie dużą hodowlę bydła był to istny dar niebios. Ben notorycznie spóźniał się z opłatami, na dodatek zawsze miał tysiące zastrzeżeń. Teraz Clara mogła płacić pracownikom w terminie, a dostawcom przy odbiorze towaru, dzięki czemu omijały ją wszelkie nieprzyjemności związane z ciągłym bazowaniem na obietnicach.

219

PATRICIA SHAW

A teraz, kiedy była zdecydowana za wszelką cenę ratować farmę, to wspólne konto mogło się okazać jeszcze bardziej użyteczne. Pod warunkiem że uda się jej znaleźć sposób, by je wykorzystać.

Umówiła się z Phoebe na ostatnią przejażdżkę przed wyjazdem.

— Ben jedzie z tobą? — spytała Phoebe.

— Nie. Ma za dużo spraw do załatwienia w Brisbane. Zostanie jeszcze na kilka tygodni.

— Musisz się czuć okropnie, wracając do domu całkiem sama.
— Nie całkiem sama, Phoebe — roześmiała się Clara. — Pociągi są pełne ludzi, a przejażdżka z Charleville do Fairmont do dla mnie ogromna frajda.
— Chodzi mi o to, że jedziesz bez Bena. Jak sobie radzisz bez niego na farmie?
Clara przyjrzała się jej, zastanawiając się, ile właściwie wie, lecz dała sobie spokój.
— Rzeczywiście, nie jest mi łatwo — odparła. — Muszę się sporo napracować. Zwłaszcza kiedy krowy się cielą. Często potrzebują pomocy, ale to naprawdę cudowne uczucie, kiedy człowiek ratuje takiego cielaka i stawia go na nogi. To wspaniała nagroda za wszystkie trudy.
— Belle mówiła, że przez cały dzień prawie nie zsiadasz tam z konia. Jak to w takim razie możliwe, że nasze wspólne przejażdżki sprawiają ci przyjemność?
— To całkiem co innego — roześmiała się Clara. — Tam pracuję, a tutaj to rozrywka. Poza tym chyba bardziej mi odpowiada towarzystwo zwierząt niż ludzi. Oczywiście nie mam na myśli ciebie.
Po powrocie do stajni Clara ociągała się, jak mogła, rozprawiając ze stajennymi o koniach. Koniecznie chciała porozmawiać w cztery oczy z młodym panem Beckmanem, a miała wrażenie, że Phoebe nigdy nie pójdzie do domu. W końcu udało się jej wsadzić ją do czekającego gigu, na szczęście bowiem stangret zaczynał się niecierpliwić. Pomachawszy jej na pożegnanie, wróciła do stajni i odnalazła właściciela.
Nowy źrebak okazał się wyjątkowo narowisty. Był silny, lecz absolutnie nie nadawał się do zaprzęgu. Bez sprzeciwu chodził pod siodłem, na dyszel natomiast reagował z istną furją, nawet jeśli obok szły inne konie. Nie było szans, że uda się go sprzedać firmie Cobb and Co.
— W porządku, przyjacielu. Tylko powiedz mi, co w takim razie mam z tobą zrobić? — mówił Ben do konia. — Nie zabiorę cię przecież

220

OGNIE FORTUNY

z powrotem na targ, bo dostanę najwyżej połowę tego, co zapłaciłem. Będę chyba musiał poszukać jakiegoś prywatnego kupca.
Kiedy wszedł na podwórze, prowadząc źrebaka, ujrzał panią Buchanan.
— Może chce pani kupić konia? — spytał.
— Tego? — uśmiechnęła się. — Jest piękny, ale obecnie stać mnie jedynie na utrzymanie tych, które już mam. Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?
— Proszę bardzo. Czym mogę służyć?
— Przede wszystkim chciałabym złożyć panu wyrazy współczucia.
— Dziękuję — odparł. Ilekroć widział tę kobietę, miał dziwne wrażenie, że gdzieś już ją spotkał, choć wciąż nie wiedział gdzie.
Clara Buchanan od razu przeszła do rzeczy.
— Chciałabym poprosić pana o radę. Zamierzam kupić siano, paszę dla bydła. Czy mógłby mi pan polecić jakiegoś dostawcę?
— Ja się zaopatruję na różnych farmach.
— Potrzebna mi większa ilość. Na zachodzie brakuje paszy, chciałabym więc kupić jak najwięcej.
— I wysłać ją na swoją farmę?
— Tak.
Ben aż zagwizdał.
— To byłoby rzeczywiście spore zamówienie. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś robił coś takiego.
— Ale czy to możliwe?
— Tak, tyle że koszt byłby wysoki.
— Nie mam wyboru, w przeciwnym wypadku moje bydło padnie. Ben przekazał źrebaka stajennemu i zaprosił panią Buchanan do

biura.

— Byłem w tamtych okolicach. Wiem, że sytuacja jest bardzo trudna, ale czy kilka fur siana cokolwiek zmieni?

— Nie mówię o kilku furach. Chodzi mi o transport paszy koleją. Do Charleville.

Z dworu dobiegł hałas. Ktoś krzyczał, trzaskało łamane drewno. Ben wyjrzał przez okno.

— To znowu ten zbój! Nie nadaje się nawet do oślego zaprzęgu, a do tego uwziął się na jednego ze stajennych. — Roześmiał się. — Na tego, który próbuje zaciągnąć go do stajni.

— Chyba powinien pan zrobić z tym porządek. Zaczekam, nie śpieszy mi się.

221

PATRICIA SHAW

Jej słowa uderzyły go niczym grom z jasnego nieba, w pamięci stanął mu obraz tak wyraźny, jakby to wszystko zdarzyło się ledwie przed chwilą.

Ben wyszedł i szybko uspokoił rozbrykane zwierzę mocnym pociągnięciem za kantar i silnym klepieniem w zad.

— Będziesz musiał przekupić tego diabła jabłkiem albo melasą, Harry — zwrócił się do stajennego, był jednak pochłonięty myślami o kobiecie czekającej na niego w biurze.

I o chłopcu, który wpadł do jadalni Thurlwellów, szukając doktora dla konającej matki. A także o ludziach, którzy krzyczeli na niego, wygrażali mu. Z wyjątkiem jednej tylko osoby.

Na moment odzyskał wówczas nadzieję. Spojrzał na nią, kiedy zwróciła się do doktora Thurlwella: „Może powinieneś zobaczyć, co się stało, Williamie?”

Ją natychmiast zakrzyczano, jego zaś wyrzucono za drzwi, lecz nigdy nie zapomniał tego zdarzenia ani tej kobiety. A teraz siedzi w jego biurze! Oczywiście. Jeździła razem z Phoebe, jest przyjaciółką Thurlwellów. To musi być ona.

Kiedy wrócił, był już zdecydowany.

— Zdobędę dla pani tę paszę. Zajmie to trochę czasu, ale może pani na mnie liczyć.

Oczy jej rozblęły.

— Zrobi to pan dla mnie?

— To żaden kłopot.

— Oczywiście zapłacę panu za fatywę.

— Nie ma potrzeby. I tak zapłaci pani fortunę za sam transport. Jak częste miałyby być dostawy?

Wzięła głęboki oddech.

— Jedna w tygodniu. Sądzi pan, że to realne?

— Spróbujemy. Rachunki za paszę będą dostarczał pani mężowi. Clara skuliła się na krześle, jakby zmieszana.

— Wolałabym, żeby przekazywał je pan bezpośrednio do mnie. Sama będę regulowała należności. A koszty transportu mogę pokrywać w momencie dostawy. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby nie wspominał pan o tym wszystkim mojemu mężowi. On uważa, że to głupi pomysł.

Ben wzruszył ramionami.

— W każdym razie warto spróbować.

— Dziękuję. Do Fairmont jedzie się przez Charleville.

— Wiem, w zeszłym roku przejeżdżałem przez pani tereny. Łapaliśmy dzikie konie i natknęliśmy się na waszych strażników.

OGNIE FORTUNY

Ostrzegli nas, że w tamtych okolicach nie ma żadnych źródeł. Ale znaleźliśmy jedno, pomiędzy skałami o nazwie Winnaroo. Zna pani to miejsce?

Skinęła głową.

— Tak, źródła Winnaroo. To naprawdę piękne miejsce, swego rodzaju tajemnica tamtych okolic. Nikt z miejscowych nie skieruje tam obcego, chyba że groziłaby mu śmierć. Posiadłość nosi taką samą nazwę.

— Kto tam mieszka?

— Nikt. Właściciele wdali się w jakiś konflikt i wyjechali. Często zabieraliśmy tam gości na piknik, oczywiście za pozwoleniem właścicieli — zastrzegła. — Chociaż muszę przyznać, że ostatnio zdarzało się nam wchodzić tam bez zezwolenia. Podjeżdżaliśmy beczkowozem i podkradaliśmy wodę, aczkolwiek to strasznie żmudne i długotrwałe zajęcie.

— Nie wątpię. Wspinaczka po tym urwisku to niełatwa sprawa.

— Rzeczywiście. Świadomość, że tam jest woda, strasznie mnie frustruje. Dzikie konie jakos tam docierają, ale było nie potrafi udawać kozic.

— Na szczęście.

— Na nieszczęście dla bydła. Choć zgadzam się, że na szczęście dla źródła. Gdyby ktoś zrobił odpowiednie dojsście, pewnie szybko uległoby zniszczeniu.

— Chyba nikt tego nie robi? Wzruszyła ramionami.

— No cóż... Farmę wystawiono na sprzedaż. Nigdy nie wiadomo, co postanowią nowi właściciele, kiedy zabraknie im wody. Uwielbiam to miejsce, ale cieszę się, że nie leży na naszej ziemi. To byłaby straszna pokusa.

— Na farmie nie ma w tej chwili bydła?

— Nie. Dlatego źródłu nie zagraża obecnie bezpośrednio niebezpieczeństwo. Po prostu modlimy się o deszcz i żyjemy nadzieją, że w końcu wszystko wróci do normy.

Noc była upalna i bezwietrzna. O zmierzchu zleciały się chmary moskitów, szybko jednak odleciały w swoją stronę. Ben wziął więc szklaneczkę whisky, cygaro i wyszedł na tylną werandę, gdzie zawsze najlepiej mu się rozmyślało. Nawet cygaro przypominało mu o Omie. Minęło kilka tygodni, zanim zebrał siły, by otworzyć świąteczne

223

PATRICIA SHAW

prezenty, które dla niego kupiła: kilka eleganckich koszul i pudełko przednich cygar.

Wypełnił zadanie, które postawiła przed nim pani Buchanan, zakontraktował paszę, ustalili warunki oraz częstotliwość dostaw i teraz pozostało mu tylko liczyć, że to coś pomoże. Od czasu do czasu w stajniach zjawiał się jej mąż, żeby pojeździć na Talleymanie, ale Ben trzymał się z dala od niego, miał bowiem wyrzuty sumienia, że uczestniczył w przedsięwzięciu jego żony, tym bardziej że po części zgadzał się z jego poglądem na tę sprawę. To było naprawdę bardzo drastyczne rozwiązanie.

Lecz teraz, kiedy już wszystko zostało załatwione, a siodlarnia ruszyła pełną parą, miał do przemyślenia inne sprawy, o których przypomniła mu rozmowa z panią Buchanan. Diamond i Oma umarły. A doktor Thurlwell mieszka w najlepszym w sąsiednim domu i żyje jak lord. Co więcej, jak podają gazety, utrzymuje kontakty z najbogatszymi i najbardziej wpływowymi mieszkańcami Brisbane. Przez nikogo nie niepokojony.

Jaką poniósł karę? Kilka wybitych szyb, za które Oma musiała zapłacić. I Ben także, dużo więcej, niż były warte. Cenę, jakiej żaden mężczyzna nie może puścić płazem.

Wzburzony wszedł do domu i wziął butelkę whisky. Nie zamierzał się upić. Nadal pił bardzo niewiele, doszedł jednak do wniosku, że parę szklaneczek może trochę załagodzić furję, która go ogarnęła.

Nie było legalnego sposobu, żeby wziąć odwet na doktorze. Chyba w ogóle nie było żadnego.

W więzieniu sądził, że będzie to proste. Pobje go. Może nawet zamorduje. Spali mu dom.

Później wpadł na pomysł, by wybudować dom jeszcze bardziej okazały niż pałac

Thurlwellów. Teraz wszakże cieszył się, że Oma odwiodła go od tego zamiaru. Pewnie by się ucieszyli, gdyż w ten sposób wzrosłaby wartość wszystkich budynków stojących przy ich ulicy. Lepiej by zburzyć stary dom i postawić w jego miejsce stajnię, z całym ich odorem i

stadami wszechobecnych much. Wówczas jednak zaszkodziłby przede wszystkim sobie samemu. To w końcu jego dom.

Ben za dużo przeżył w więzieniu, by w ogóle brać pod uwagę jakiegokolwiek rozwiązanie siłowe. Wiedział, że przestępstwo popełnione przeciwko Thurlwellowi zaprowadzi go z powrotem za kratki, i to natychmiast. Finansowo też nie mógł mu zagrozić. Musiałyby minąć długie lata, zanim udałoby mu się zgromadzić wystarczający majątek. Wszak tacy jak Thurlwellowie gromadzą fortunę przez wiele pokoleń.

224

OGNIE FORTUNY

Co więc może zrobić? Nic. Diamond nie zasługiwała na chwilę uwagi białego człowieka, tak więc doktor Thurlwell spokojnie pałaszował kolację, podczas gdy ona konała, walcząc o każdy oddech. A przecież była zbyt młoda, by umierać. Zabrakło jej kilku miesięcy do czterdziestych urodzin.

A może by tak Phoebe? Nie, ona niczym mu nie zawiniła.

Kiedy Phoebe zjawiła się w stajni w towarzystwie pani Buchanan, Rod szturchnął go w bok. — Idzie — wyszeptał. — Mówię ci, podobasz się jej.

Czy naprawdę? Odwiedziła go po śmierci Omy, lecz przecież była to tylko uprzejmość. Z drugiej jednak strony zaprosiła go na wspólne przejażdżki. Czy to mogło coś oznaczać? Jego myśli zatrzymały się jakby w połowie drogi. Dookoła panowała złowroga cisza. Okrutna cisza, zmacona jedynie trzaskiem zapalki, którą Ben zapalił kolejne cygaro.

A gdyby... Zadał sobie pytanie, które przeraziło nawet jego samego. A gdyby udało mu się uwieść Phoebe Thurlwell? Gdyby się okazało, że naprawdę się w nim zadurzyła? Szalona myśl, choć niewykluczone, że realna.

„Musisz postępować bardzo ostrożnie, bardzo delikatnie, żeby jej nie spłoszyć” — powtarzał sobie. Wyglądało na to, że postanowiła zostać jego przyjaciółką, czyż więc istniała nadzieja, że stanie się kimś więcej? Już i tak posunęła się bardzo daleko, zapraszając go na konne przejażdżki. Mało która biała dama pozwoliłaby sobie na coś takiego nawet w snach. Benowi zaczynało świtać, że Callaghan miał rację.

Rano wszakże ta myśl wydała mu się absurdalna. Phoebe po prostu go lubi, lecz pozostaje poza jego zasięgiem.

Mimo to, kiedy Phoebe ponownie zjawiła się w stajni, przebrał się w swój najelegantszy strój jeździecki i ignorując zaciekawione spojrzenia pracowników, pojechał razem z nią.

— Wyglądasz bardzo szykownie — zauważyła.

— Zmuszasz mnie do tego — odparł niewinnie. — Zawsze ubierasz się tak wytwornie, nie powinnaś pokazywać się na koniu w towarzystwie kogoś o wyglądzie stajennego.

— Wierz mi — roześmiała się — że nigdy nie wyglądasz jak stajenny.

Przy następnej okazji spytała, kto prowadzi mu dom.

— Kto co?

— No, kto ci gotuje, sprząta i pierze?

15 Ogień fortuny

225

PATRICIA SHAW

— Ja sam. Lubię gotować. Przez wiele lat patrzyłem, jak robi to moja babcia, i w rezultacie potrafię przygotować sobie prosty posiłek, a niczego więcej mi nie trzeba.

— No a kto sprząta?

— Zamiatanie i ścielenie łóżka mi zajmuje zbyt wiele czasu.

— Moim zdaniem powinieneś zatrudnić gosposię.

— Ani mi się śni. Nie chcę, żeby ktoś płatał mi się pod nogami w moim własnym domu.

Phoebe zamyśliła się na chwilę, po czym uśmiechnęła się i rzekła:

— Chyba masz rację. To musi być cudowne uczucie, mieć cały dom dla siebie i nie słuchać zrzędzenia o wszystko, co się robi i gdzie się chodzi. Jak tylko zdarzy mi się spóźnić na obiad albo kolację, od razu muszę się nasłuchać. Nawet jeśli wcale nie jestem głodna.

W dalszym ciągu towarzyszył jej tylko od przypadku do przypadku, jakby nie zawsze miał na to czas. A potem nastąpiło załamanie pogody.

Phoebe wróciła z przejażdżki przemoczona do nitki, poszedł więc po ręcznik, podczas gdy ona stała pod ociekającym okapem.

— Prawie mi się udało — śmiała się, nie dbając o to, że całe jej ubranie jest mokre — ale ścieżka w mgnieniu oka zmieniła się w grzęzawisko i zrobiło się ślisko, wołałam więc nie forsować Gracie.

— To bardzo rozsądne z twojej strony. — Spojrzał na ścianę granatowoczarnych chmur, nadciągających ze wschodu. — W końcu przyszedł deszcz. Miejmy nadzieję, że dojdzie też dalej, na zachód.

— Tak, tam podobno panuje straszna susza. Pani Buchanan mówiła, że u nich nie padało od dobrych paru lat. Niewiarygodne, prawda?

— Tak, tym bardziej że tutaj, na wybrzeżu, jest tak wilgotno. Phoebe ociągała się.

— Jeżeli rzeczywiście przyjdą deszcze, będzie to dla mnie oznaczało dłuższą przerwę w przejażdżkach.

— Nie martw się — odparł, jakby chodziło jej o dobro konia. — Będziemy pilnować, żeby Gracie nie brakowało ruchu. Ostatnio strasznie ją rozpieszczano.

— Chyba już pójdę — powiedziała. — Dziękuję za wszystko. Ale skoro jesteśmy sąsiadami, gdybyś tylko potrzebował mojej pomocy, daj mi znać.

— Na przykład jakiej pomocy?

Była zbyt pewna siebie, by dać się zbić z tropu.

226

OGNIE FORTUNY

— Nie wiem. Może na przykład się zmęczysz i będziesz chciał, żeby ktoś ci ugotował obiad.

— Umiesz gotować? Zachichotała.

— Nie.

— W takim razie jak nie będziesz miała co robić, wpadnij do mnie, to z chęcią ci coś ugotuję.

— Lepiej uważaj, bo jeszcze się przyzwyczaję.

Poszła. Mimo pozorowanej nonszalancji nie potrafiła opanować zdenerwowania. Nie miała wątpliwości, że Ben mówił serio. Że ją lubi. Lecz czy ona znajdzie w sobie dość odwagi, by do niego pójść? Byłoby zabawnie, gdyby mężczyzna coś dla niej ugotował. Zabawnie! Głos rozsądku przypominał jej, kim jest ten chłopak i jaką ma przeszłość, ona jednak uważała, że to nie w porządku. Przecież to wspomniała człowiek, zna go niemal od zawsze. Czy naprawdę zrobiłaby coś złego, składając mu wizytę?

„Coś bardzo złego. Niewybaczalnego — tłumaczyła sobie. — Przynajmniej z punktu widzenia rodziców.” Musiała też przyznać, że wizyta w domu mężczyzny bez żadnego towarzystwa nie byłaby z pewnością postępkem godnym pochwały. Zastanawiała się, skąd biorą się wszystkie te bzdurne konwenanse. Przecież nie jest dzieckiem ani idiotką. Owszem, są mężczyźni, którzy bez wahania wykorzystaliby taką okazję, lecz Ben z całą pewnością do nich nie należy. Takich rozpustników można rozpoznać z daleka. A on jest jej przyjacielem, tak jak Barnaby. Gdyby to Barnaby ją zaprosił, poszłaby bez chwili wahania. Dlaczego więc nie miałaby iść do Bena Beckmana, zwłaszcza że jest jej sąsiadem?

Trzeba tylko wybrać odpowiedni moment, kiedy rodzice wyjdą na jakieś przyjęcie, a służba będzie miała wychodne. Nikt nie musi się o niczym dowiedzieć. Miło będzie posiedzieć i

porozmawiać, zamiast prowadzić zdawkowe wymiany zdań podczas konnych przejażdżek. Ben to taki interesujący człowiek.

I piekielnie atrakcyjny mężczyzna. Jej sekretny przyjaciel.

Deszcz wciąż lał jak z cebra. Wybijał rytm na blaszanych dachach i spływał do strategicznie porozstawianych garnków oraz wiader, melodyjnym „plusk, plusk” wtórując głuchym bębnom szalejącej w górze burzy. Domy o szerokich werandach stały się przedmiotem zazdrości tych, którzy zmuszeni byli siedzieć w zamknięciu i walczyć ze stęchlizną. Kupcy zżymali się, patrząc na spływające z markiz

227

PATRICIA SHAW

sklepów ściany wody, narzekali na brak klientów i z niepokojem obserwowali rzekę, pełni obaw, że po raz kolejny miasto zostanie zalane.

Po pierwszych radosnych okrzykach: „Deszcz! Deszcz!” nieustanna ulewa sprowadziła na miasto i jego mieszkańców frustrację. Nie mniej zrozpaczeni byli mieszkańcy zachodu, jak choćby Clara Buchanan, nadal wpatrzeni w beznadziejnie bezchmurne niebo i metaliczne słońce, które zdawało się tkwić w bezruchu, niczym przybite gwoździami. Clara otrzymała przynajmniej pierwsze dostawy paszy, którą ku zdumieniu i radości pracowników farmy starannie wydzielała bydłu.

Phoebe czuła się nieszczęśliwa. Ponieważ rodzice bardzo ograniczyli życie towarzyskie, nie była w stanie wymknąć się z domu, a co gorsza, musiała znosić humory matki, które co prawda koncentrowały się przede wszystkim na służbie, lecz doprowadzały do szału wszystkich domowników.

W niedzielę rano, kiedy płynące nisko czarne chmury szykowały się do kolejnego ataku, Phoebe dostrzegła Bena, który robił coś w ogrodzie. Sprawdziła w lustrze swą bawełnianą sukienkę z białym kołnierzem, zadowolona, że wygląda w niej odpowiednio skromnie, uczesała włosy i związała z tyłu szeroką niebieską kokardą. Zgodnie z najnowszą modą z przodu włosy miała nieco krótsze, na tyle żeby same się kręciły, poprawiła je więc tylko i zeszła po schodach.

Spacerując leniwie po ogrodzie — tak to przynajmniej wyglądało — wkrótce znalazła się poza zasięgiem wzroku domowników, po czym szybko przeszła przez przerwę w żywopłocie i ruszyła wzdłuż ogrodzenia.

Ben aż podskoczył i pośpiesznie wytarł dłonie w ubłocone spodnie.

— Witaj. Co za miła niespodzianka.

— Musiałam chociaż na chwilę wyjść z domu — wyjaśniła.

— Przez tę pogodę zaczynam mieć wrażenie, że jeśli zostanę tam jeszcze trochę, zamienię się w starego grzyba.

— Nie sądzę, by ci to groziło — odparł z uznaniem. — Wyglądasz świeżo jak stokrotka.

— Dziękuję. Co ty właściwie robisz?

— A jak myślisz? — uśmiechnął się. — Pielęgnuję ogród. A raczej próbuję.

— Przez cały tydzień pracujesz, czy nie powinieneś zatrudnić ogrodnika?

228

OGNIE FORTUNY

— Chyba tak. Kiedy byłem mały, nie znośiłem pracować w ogrodzie, co w moim przypadku oznaczało pielenie, ale teraz sprawia mi to przyjemność. Pewnie dlatego że teraz obserwuję, jak wszystko rośnie, a nie tylko wyrывam chwasty.

Odsunęła się od niego.

— Róże mają już pąki. Jak rozkwitną, będą przepiękne.

— O ile wcześniej nie zje ich szarańcza.
— Tak, mamy ten sam problem. Słyszałeś, że mają zastąpić tramwaje konne elektrycznym?
— Dobry Boże! Naprawdę?
— Tak, w sobotę wieczorem mają ogłosić szczegółowe plany. Odbędzie się z tej okazji galowe przyjęcie u gubernatora. Moi rodzice za nic w świecie nie przepuszczą takiej okazji, nieważne czy będzie deszcz, grad czy powódź.
— Ty też się tam wybierasz?
— Nie zostałam zaproszona.
— A masz jakieś inne plany na ten wieczór?
— Nie. — Phoebe wstrzymała oddech.
— Może w takim razie wstąpisz do mnie na kolację? Oczywiście jeśli masz ochotę. To nie będzie nic nadzwyczajnego, ale jeśli masz siedzieć w domu i się nudzić...
Phoebe o mało nie powiedziała: „Czemu nie?”, zdążyła jednak dojsć do siebie i przyjęła zaproszenie w sposób nieco grzeczniejszy. Odprowadził ją aż do żywopłotu.
— Wiem, że to w zasadzie obowiązkowe — rzekł z błyskiem rozbawienia w oczach — ale chyba lepiej będzie, jeśli po ciebie nie przyjdę.
— Nie musisz — roześmiała się Phoebe. — Taki kawałek zdołam jakoś przejść sama.
Uznała, że najlepiej będzie zbagatelizować sprawę, obrócić ją w żart, zamiast tłumaczyć mu, że nie byłby w jej domu mile widzianym gościem.
— W takim razie do zobaczenia w sobotę.
W ten wyjątkowy wieczór Phoebe włożyła sukienkę z indyjskiego muślinu, na którą zarzuciła grubą pelerynę — strój niezbyt oficjalny, lecz wystarczająco elegancki na taką okazję — i z tej samej przyczyny rozpuściła włosy.
Ben nakrył do stołu w niewielkiej jadalni. Na stole położył biały obrus z kremowym haftem oraz takie same serwetki, poza tym jednak

229

PATRICIA SHAW

nie poczynił żadnych szczególnych przygotowań. Żadnych świec ani nastrojowych lamp. Tak jak zapowiedział, miała to być zwyczajna miła kolacja we dwoje. Ucieszył się bardzo, kiedy Phoebe poszła do kuchni, by pomóc mu przynieść na stół rosół z kury, kotlety, ziemniaki i warzywa oraz truskawki ze śmietaną na deser.

Ben maniery przy stole miał nienaganne, prawdopodobnie dzięki babce, i ze swadą prowadził luźną pogawędkę. Na deser zaproponował szampana; był to bardzo drogi szampan. Po całym tygodniu zamartwiania się, czy ten wieczór nie okaże się przypadkiem katastrofą, Phoebe bawiła się naprawdę świetnie. Wcześniej obawiała się, że Ben będzie się starał zrobić na niej wrażenie i wprawi ją tym w zażenowanie albo że sama będzie musiała się bardzo pilnować, bo nigdy dotąd nie jadła w domu, w którym nie ma służby.

Wszelkie obawy jednak okazały się zupełnie niepotrzebne. Oboje jedli z apetytem, a Phoebe stwierdziła, że zamiast siedzieć i czekać, aż zostanie obsłużona, woli pomagać sprzątać ze stołu i nosić potrawy.

Spostrzegła, że towarzystwo kobiety nie jest dla Bena niczym niecodziennym, a jego dom trudno by nazwać twierdzą starego kawalera, w przeciwieństwie do domu stryja Edgara. W każdym najdrobniejszym szczególe widać było rękę kobiety — od firanek po leżące na kredensie szydelkowane serwetki oraz jedwabne kwiaty w kącie pokoju.

Ben bardzo interesował się tramwajami elektrycznymi.

— Niektórzy twierdzą, że konie wkrótce znikną z miast — powiedział.

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić — odparła.

— Ale to całkiem możliwe. Muszę patrzeć w przyszłość. Przepraszam, może masz ochotę na kawę?

— Nie, dziękuję, szampan w zupełności mi wystarczy.

— Dobrze. — Nie zaprosił jej do salonu, za to otworzył szufladę komody i wyjął z niej fotografie automobili. — Te pojazdy mają w przyszłości zastąpić konie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Dlatego muszę dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

— A jak one właściwie się poruszają?

— Najnowsze, które mają być wkrótce importowane, jeżdżą na benzynę. Podobno mogą pędzić z prędkością ponad dwudziestu mil na godzinę.

Phoebe przyjrzała się fotografiom.

— Ciekawe, czy rodzice też taki kupią.

230

OGNIE FORTUNY

— W Anglii to podobno ostatni krzyk mody. Tylko skąd brać benzynę? Ktoś będzie musiał ją sprzedawać.

— Nie mam pojęcia, co to takiego, ta benzyna.

— Nie ty jedna, nie przejmuj się. Ja też nie za bardzo wiem, ale zamierzam się dowiedzieć. Słuchając opowieści o samochodach, Phoebe dostrzegła drugie oblicze Bena. Był ambitny i nie satysfakcjonowały go stajnie ani nawet dopiero co otwarta siodlarnia. Chciał iść naprzód, podążać z duchem czasu, a ją bardzo to ekscytowało. Był tak blisko niej, a jednocześnie tak daleko, zaabsorbowany światem pojazdów i paliwa.

Kiedy dopili szampana, uznał najwyraźniej, że wieczór dobiegł końca.

— Przyniosę twoją pelerynę i odprowadzę cię do domu — rzekł. Przy bramie Ben podziękował jej za miły wieczór. Była dopiero

dziewiąta, kiedy weszła do wciąż pustego domu, w którym paliły się wszystkie światła.

Wzruszyła ramionami.

„No cóż, nie można powiedzieć, że było romantycznie — rozmyślała — ale czego właściwie się spodziewałaś? Było miło, a Ben okazał się prawdziwym dżentelmenem. — Przypomniała sobie, jak spojrzała w lustro w przedpokoju i ujrzała ich odbicie. Ben był ogorzały, ona blada. — Przyciągające się przeciwieństwa — uśmiechnęła się. — Tylko czy ja go rzeczywiście pociągam? Trudno powiedzieć.”

Później przyszło jej do głowy, że Ben w żadnym wypadku nie odważy się zainicjować romansu. Tak więc to ona będzie musiała znaleźć sposób, by zaczął ją traktować jak kobietę, a nie tylko przyjaciółkę.

Barnaby był zdruzgotany. Miał wrażenie, że wszyscy, dosłownie wszyscy patrzą na niego z niemym wyrzutem. Okropne poczucie winy nieustannie go prześladowało.

A przecież rok zaczął się dobrze, przynajmniej dla niego. Tygodnie ulewnych deszczy zmyły z Brisbane cały kurz, lecz nie miało to żadnego znaczenia dla urzędników i pisarzy, którzy przesiadywali w swoich departamentach, zajęci pisaniem listów i uzupełnianiem akt. Gdyby nie fakt, że klub tenisowy wznowił działalność i znowu organizował letnie turnieje, w których uczestniczyła także Phoebe Thurlwell, Barnaby nie zauważyłby nawet, że deszcze się skończyły.

231

PATRICIA SHAW

Znowu była taka jak dawniej. Cieszyła się na jego widok i powtarzała, że w tym roku zajmie się tenisem naprawdę poważnie i wkrótce będzie w stanie pokonać każdego przeciwnika.

Te buńczuczne zapowiedzi wzbudzały powszechną wesołość.

— Lepiej szybko bierz się do roboty — droczyła się z nią jedna z koleżanek, nie bez powodu, albowiem Phoebe z reguły znajdowała się w dolnych rejonach wszelkich list.

— Zobaczysz! W tym roku zacznę solidnie ćwiczyć — oświadczyła, po czym zwróciła się do Barnaby'ego. — Zgadnij, co się stało! Mamy w domu telefon. Musisz koniecznie do mnie zadzwonić, w parlamencie na pewno jest jakiś aparat.

— Wolę nie ryzykować. Jest, ale tylko w gabinecie premiera.

— Może w takim razie ja powinnam do niego zadzwonić i porozmawiać o pogodzie? — zachichotała. — Jak sądzisz, miałby coś przeciwko temu?

— Ależ skąd. Daję głowę, że nie — roześmiał się Barnaby. Tak to właśnie było z tym nowym wynalazkiem: ludzie telefonowali, aczkolwiek uważali krzyczenie do słuchawki za dość szczególnie sposób porozumiewania się. Telefon był więc przede wszystkim symbolem statusu społecznego.

Barnaby chętnie zatelefonowałby teraz do Phoebe, powiedział jej, że koniecznie musi z nią porozmawiać, że musi porozmawiać z kimkolwiek, lecz dom Thurlwellów był ostatnim miejscem, do jakiego mógłby zadzwonić. Gdyby to tylko było możliwe, Lalla przy okazji kontaktu za pośrednictwem tego cudu techniki wylałaby na niego wiadro wrzącego oleju. A w najlepszym, ale to naprawdę najlepszym wypadku taką samą ilość wotriolu. To samo z radością uczyniłby doktor.

Barnaby pokręcił głową. Wszystko zaczęło się tak niewinnie.

Marszruta Teodora Prossera była już prawie gotowa. Barnaby starannie ją rozpiął i rozrysował, mając jego zgodę na ogólny plan podróży. Teraz musiał jedynie powiększyć mapę i opisać szczegóły. Transport, odległości, zakwaterowanie oraz skład komitetów powitalnych.

Chcąc się upewnić co do odległości pomiędzy miastami, poszedł do Departamentu Gruntów, by przyrzeć się mapom obszaru pomiędzy Rockhampton a Longreach. Jednakże map, które były mu potrzebne, nie znalazł.

— Zabrali je geodeci — poinformowano go. — Na pewno chętnie panu pomogą, mają biuro na końcu korytarza.

232

OGNIE FORTUNY

W biurze zastał kilku geodetów, bardzo zapracowanych, ale chętnych do pomocy.

Spoglądając im przez ramię, spostrzegł, że są obłożeni chyba setką bardzo szczegółowych map i sprawdzają jakieś obszary, po czym starannie notują nazwisko właściciela i wielkość działki.

— Byłem pewny, że już skończyliście tę robotę — odezwał się Barnaby.

— Tak, ale to całkiem nowy projekt.

Barnaby zauważył, że szlak do Longreach pokrywają narysowane ołówkiem prostokąty, przypominające kostki domina.

— Co to takiego?

— Ziemie pod linię kolejową.

— Zaczynają budowę?

— Na to wygląda. Będziemy mieli robotę na kilka tygodni. Musieliśmy zatrudnić kilku dodatkowych geodetów i wysłać ich na miejsce, żeby starannie sprawdzili każdy jard. Nie stać nas na pomyłki.

— Jak to właściwie wygląda? Rząd przejmuje ziemie? Chodzi mi o te prostokąty, które zaznaczacie.

— W pewnym sensie tak — odparł urzędnik. — Ale to już nie nasze zmartwienie. Tym zajmie się biuro własności. O ile wiem, to będzie podwójny transfer.

— Podwójny transfer? Cóż to takiego?

— Rząd przejmie te tereny dla ważnych celów, żeby właściciele nie mogli się odwoływać, a potem tytuł własności zostanie przekazany Western Railroads.

— Przejmą cały ten korytarz? To będzie ich sporo kosztować. Geodeta wyglądał na zdziwionego.

— Nie, skądże. Budują linię kolejową, potrzebna im ziemia.

— To znaczy, że dostaną ją za darmo?

— Wszystko na to wskazuje.

Zrządzeniem losu chwilę wcześniej do pokoju wszedł Calvin Abercrombie i przysłuchiwał się rozmowie. Był członkiem Izby Wyższej, lecz w przeciwieństwie do większości zasiadających w niej osób był piekielnie niezależny. Uchodził za zagorzałego laburzystę i zaprzysiężonego wroga Royce'a Daviesa, którego oskarżał o zdradę wszystkich ideałów.

— Co pan powiedział, panie Glasson? — spytał. Barnaby wskazał na mapy.

— Po prostu się zdziwiłem — wyjaśnił — że ziemię można przekazać w taki właśnie sposób.

Zawsze sądziłem, że grunty pod

233

PATRICIA SHAW

prywatne inwestycje trzeba kupić. Choć uważam, że w tym szczególnym wypadku...

— Dlaczego szczególnym?

— Budowa linii kolejowej to niezwykle kosztowne przedsięwzięcie, dlatego wydaje mi się, że kompania potrzebuje wsparcia władz.

— I to aż tak mocnego, że otrzyma na własność każdy cal potrzebnych terenów? To wyjątkowa szczodrość, a mnie się zawsze wydawało, że ziemie należą do ludu.

— Przecież zostaną wykorzystane z korzyścią dla ludzi — argumentował Barnaby.

— Tak? A czy zyski również trafią do ludu?

— No nie, do inwestorów.

— Właśnie, panie Glasson. Jest pan prawnikiem, prawda? Przedstawmy więc sprawę w taki oto sposób — mówił Abercrombie. — Czy nie uważa pan, że także lud możemy uznać za inwestora? Kiedy ziemie zostają przejęte, ich dotychczasowi właściciele muszą otrzymać rekompensatę. — Zwrócił się w stronę geodetów. — Zgadza się, panowie?

— Tak — odparł jeden z nich. — Za każdy odebrany akr.

— A kto za to płaci? — spytał Abercrombie Barnaby'ego.

— Pewnie rząd — odrzekł Barnaby, coraz lepiej rozumiejąc całą sytuację.

— Tak więc rząd, czy też raczej lud kupuje ziemię, a następnie przekazuje ją za darmo Western Railroads. A teraz pójdźmy jeszcze krok dalej. Co będzie, jeśli plan się nie powiedzie? Jeżeli linia w ogóle nie zostanie zbudowana? Kto wtedy będzie właścicielem tego korytarza?

— Western Railroads — odparł cicho Barnaby.

— Czy uważa pan taką sytuację za sprawiedliwą i dopuszczalną? Barnaby przez chwilę się zastanawiał, po czym pokręcił głową i rzekł:

— Nie, sir, nie uważam. Abercrombie poklepał go po ramieniu.

— Dobry chłopak. Teraz sam pan widzi, jak dochodzi do takich sytuacji. Nikt nie poświęca im wystarczająco dużo uwagi. Kto właściwie zdecydował o takiej niesłychanej szczodrości wobec Western Railroads?

— Nasz minister — odrzekł jeden z urzędników. — Minister gruntów. Nas proszę w to nie mieszać. My po prostu wykonujemy swoją pracę.

234

OGNIE FORTUNY

— To oczywiste — zapewnił Abercrombie. — A teraz pozwoli pan ze mną, panie Glasson. Chciałbym zamienić słówko z pańskim przełożonym, ministrem sprawiedliwości.

Barnaby nie miał wyboru. Zaprowadził go do biura Creightona i wyjaśnił sekretarzowi, że pan Abercrombie chce rozmawiać z ministrem w bardzo pilnej sprawie.

Creighton wpadł w szal.

— Kto panu kazał się w to mieszać? — wrzeszczał na Barnaby'ego, kiedy Abercrombie w końcu wyszedł.

— Ja się nie mieszałem, sir. Po prostu byłem tam, kiedy zjawił się pan Abercrombie.

— On twierdzi, że to pańskie pytania wzbudziły jego podejrzenia co do tych, jak je nazwał, „pokretnych transakcji”. Co pan właściwie tam robił?

— Sprawdzalem odległości pomiędzy miastami na trasie do Long-reach — tłumaczył Barnaby.

— Nie tylko! Robił pan coś więcej! Zadawał pan geodetom pytania w sprawie, która nie powinna pana obchodzić!

Dalsza dyskusja nie miała sensu. Barnaby wycofał się do swojego kąta i starał się sprawiać wrażenie bardzo zapracowanego, co nie było zbyt łatwe, jako że zostawił notatki u geodetów, a teraz nie śmiał po nie iść.

Po parlamencie wieści szybko się rozeszły. Abercrombie groził, że postawi sprawę na posiedzeniu Rady Legislacyjnej i domagał się, by przewodniczący komisji wszczął postępowanie w celu wyjaśnienia, jak mogło dojść do zaakceptowania takiej propozycji. Odbyło się spotkanie z premierem, mające doprowadzić do załagodzenia konfliktu.

Uczestniczyło w nim kilku ministrów, w tym Jed Sweepstone, a ze strony przeciwnej Abercrombie i jego trzech współpracowników, którzy przynieśli kopie odpowiednich map i domagali się wglądu w kontrakt zawarty pomiędzy rządem a Western Railroads.

Mówiono, że premier próbował ukłócić łeb sprawie, twierdząc, że minister miał pełne prawo podpisać taką decyzję. Tego akurat nikt nie kwestionował, chodziło o to, by odwrócić uwagę od podstawowej kwestii. I na kilka dni odwróciło. Do czasu aż sfrustrowany Abercrombie poszedł do gazet ze swą opowieścią o marnotrawieniu publicznych funduszy. Zaraz potem po mieście zaczęły krążyć plotki.

Utrzymywano, że Edgar Thurlwell wręczył ministrowi gruntów ogromną łapówkę, żeby ten podpisał decyzję o przekazaniu ziemi, lecz premier uparcie popierał Jeda Sweepstone'a i powtarzał, że to jego

235

PATRICIA SHAW

bliski przyjaciel i człowiek honoru, który nigdy w życiu nie dałby się przekupić. Mniej więcej w tym samym czasie parlamentarzyści, którzy przyjęli od Edgara pakiety udziałów, zaczęli się dystansować od całej debaty.

Na prośbę Edgara Lalla Thurlwell odwiedziła Bena Buchanana z zadaniem przekonania go, by spróbował ukłócić ataki na ministra.

— Tej awanturze winna jest opozycja — tłumaczyła. — Bez żadnego powodu wywołuje się skandal, który może zaszkodzić firmie. Royce Davies jest w Ipswich i nie ma jak się z nim skontaktować, tak więc ty, Ben, jako jego zastępca, musisz coś zrobić. Wytłumacz jakoś temu Abercrombiemu, że musi się wycofać.

— Nie mogę. Abercrombie gotów jest walczyć do upadłego, a ja nie mam jak go powstrzymać. W końcu, moja droga, jesteśmy opozycją, a już od dawna nie mieliśmy tak potężnego kija na rząd.

— Po czyjej ty właściwie jesteś stronie? Bardzo dobrze wiesz, że Jed Sweepstone w życiu nie wzięłby łapówki.

— Oczywiście, że wiem. Zrobił się straszny harmider, ale to minie. A na razie wyjeżdżam do siebie. Clara potrzebuje mojej pomocy na farmie.

— Od kiedy to?

— Od początku suszy. Może już zapomniałaś, że coś takiego w ogóle istnieje?

— Nie zapomniałam. Ale to bardzo ciekawe, że tak się śpieszysz na farmę, kiedy jesteś najbardziej potrzebny tutaj, na miejscu.

— Wrócę przed rozpoczęciem obrad.

— To znaczy, że po prostu uciekasz. Boisz się, że dochodzenie wykaże, że masz udziały w Western Railroads? Które zresztą dostałeś od Edgara.

— Przyjmując je, nie złamałem prawa — odparł lodowatym tonem.

— I to ma być twoja wdzięczność za wsparcie, którego udzielił ci Edgar? I my wszyscy? Zapalił cygaro.

— Edgar wie o nas — rzekł. — Dlatego przestałem się z tobą spotykać.

Przysunęła się do niego, uśmiechając się uwodzicielsko.

— Dobry Boże! Więc tylko o to chodziło? Edgar nigdy by mnie nie skrzywdził, więc jakie to ma znaczenie? — Wyciągnęła dłoń, by pogłodzić go po twarzy. — A skoro już tutaj jestem, może wykorzystamy okazję?

236

OGNIE FORTUNY

On jednak się odwrócił.

— Twój szwagier mi groził, a ja tego bardzo nie lubię. Chcę, żebyś mu to powtórzyła. Powiedz mu, że ma iść do diabła! — dodał jeszcze twardszym tonem.

— I ja również, tak? — syknęła Lalla. Ben wzruszył ramionami.

— Jestem bardzo zajęty. Pokojówka odprowadzi cię do drzwi. Lalla chwyciła torebkę i rękawiczki.

— Jeszcze tego pożałujesz, Benie Buchanan. Zapamiętaj moje słowa!

— Wątpię — odparował, po czym zadzwonił na służącą.

Już przez nikogo nie niepokoiony parlamentarzysta z Padlow uśmiechnął się do siebie i zaczął przygotowania do podróży. Zgadzał się, że Sweepstone z pewnością nie przyjąłby łapówki. Bo i po co? Był przecież nieprzyzwoicie bogaty. Skoro jednak Abercrombie twierdzi, że na szczytach władzy panuje korupcja, należy na jakiś czas zniknąć. Gdyby Ben stanął przed komisją i został zmuszony do przyznania, iż przyjął od Thurlwella pakiet udziałów, mogłoby to wywołać podejrzenia o konflikt interesów.

Zaniósł strzelbę do szopy, żeby ją wyczyścić. Po drodze natknął się na swojego parobka, Monty'ego, przycinającego żywopłot, który w porze deszczu rozrósł się tak bardzo, że ciężkie gałęzie opadały na trawę.

— Zostaw to — polecił mu. — Pójdiesz do stajni O'Neill. Powiesz im, że wyjeżdżam i że mają dbać o moje konie.

Monty obejrzał się.

— Ma pan na myśli stajnię Beckmana?

— Moje konie są u O'Neill — warknął Ben.

— Tak. To b ? ł ? stajnię O'Neill, ale kupił je Ben Beckman. Wie pan, taki młody chłopak, mieszaniec.

Boże! Słyszając to nazwisko, Buchanan o mało nie upuścił strzelby. A już prawie udało mu się o nim zapomnieć. Wówczas, zadbawszy o to, by smarkacza spotkała jak najsurowsza kara, przeprowadził dyskretne dochodzenie i dowiedział się, że swoim krnąbrnym zachowaniem chłopak doprowadził do przedłużenia wyroku, przestał mu więc w jakikolwiek sposób zagrażać. To jednak było tak dawno. Czy teraz chodzi o tę samą osobę? Ben zadrżał. Był w tych stajniach kilkakrotnie, lecz nigdy go nie widział. Tylko czy po tylu latach zdołałby go poznać? Wątpliwe.

237

PATRICIA SHAW

— Beckman? — spytał. — Czy on przypadkiem nie siedział

w więzieniu?

— Tak mówią — odparł Monty. — Choć wygląda na to, że wcale mu to nie przeszkadza. Dobrze mu się powodzi. Ma też siodlarnię.

— Chwileczkę. — Ben wrócił do domu, otworzył szufladę i tak długo przekładał dokumenty, aż w końcu znalazł ostatni rachunek ze stajni. Rzeczywiście! Stajnie Beckmana! Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Clara też często tam bywała, znacznie częściej niż on. A jeśli ten przeklęty bękart z nią rozmawiał?

Poczuł nagłą ulgę. Nie, ten śmieć nie rozmawiał ani z nią, ani z nim o swojej przeszłości, bo o niczym nie miał pojęcia. Diamond nie żyła i tylko ta pomyłona starucha, Beckman czy jak się tam nazywała, domyślała się prawdy. Ponieważ jednak kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył, nawet ona nie mogła mieć żadnej pewności, jasne więc, że o niczym chłopakowi nie powiedziała. Właśnie! Beckman wrócił z więzienia, lecz nadal nie wie, że jest spokrewniony ze swoim klientem. W przeciwnym wypadku na pewno by już dawno przypelzł z tą historią.

Ale dzięki Bogu Ben Buchanan w porę o wszystkim się dowiedział. Wziął rachunek, parę banknotów i zszedł do Monty'ego.

— Nie życzę sobie, żeby ktoś z taką przeszłością opiekował się moimi końmi. Oto rachunek i gotówka. Zapłać mu i przeprowadź konie do jakiejś innej stajni.

— Do której? — Monty, który raczej nie zaliczał się do pracowitych, był wyraźnie poirytowany dodatkowym zadaniem.

— Nie wiem! Choćby do tej przy Essex Street. Jest przynajmniej bliżej.

— Przecież będę musiał biegać tam i z powrotem! — sprzeciwił się Monty.

— Wsiądziesz na jednego, a resztę poprowadzisz za sobą.

— Nie jestem jeźdźcem. Już z samym Talleymanem będę miał dość kłopotów.

— Przeprowadź go i wróć po resztę — wrzasnął Ben — albo wynoś się stąd i nigdy więcej nie wracaj!

Po odejściu Monty'ego Ben przez chwilę się zastanawiał, po czym postanowił, że i tak go zwolni. Wszak zbliża się pora upałów, ogród nie będzie wymagał specjalnej troski, a pokojówka i kucharka mogą pod nieobecność pracodawcy zająć się także innymi sprawami. Monty długo nie wracał. Kiedy wreszcie zjawił się w domu, Ben wręczył mu kilka szylingów i kazał iść precz.

238

OGNIE FORTUNY

Klnąc na czym świat stoi, Monty poszedł do najbliższego baru i przepuścił całe pieniądze na rum, skarżąc się na zbolełe nogi i podłego pracodawcę. Nikt go nie słuchał. Potem poszedł do nocnej pracy w Błękitie Niebios, gdzie wylewał z kuchni pomyje, czyścił ubikację i pomagał sprzątać, był jednak tak zmęczony, że usiadł na krześle przy tylnych drzwiach i prawie natychmiast zasnął.

Znalazła go dopiero Goldie, kiedy okazało się, że pozostali pracownicy nie radzą sobie z natłokiem zajęć. Otworzyła tylne drzwi, by zawołać pomywaczkę, i wtedy właśnie spostrzegła śpiącego w kącie parobka.

Zdzieliła go wachlarzem.

— Obudź się, ty nierobie! — wrzasnęła. — Wynocha stąd! Nie płacę ci za spanie!

Monty zerwał się na równe nogi.

— Chryste! Przepraszam, psze pani. Musiałem przysnąć.

— Idź sobie spać gdzie indziej. Jesteś zwolniony!

Monty pracował tylko w dwóch miejscach i nie chciał wylecieć z obu w ciągu jednego dnia.

— O Jezu, psze pani! Bardzo panią przepraszam — skomlił. — Proszę, niech mnie pani nie wyrzuca! Mój szef, ten bydlak Buchanan, zamęczył mnie dzisiaj prawie na śmierć. Kazał mi biegać po całym mieście. Dla niego umęczone nogi starego człowieka nic nie znaczą.

— Co takiego się stało? — spytała z niedowierzaniem.

— Kazał mi przeprowadzić wszystkie konie do innej stajni. Wściekł się nagle i powiedział, że nie życzy sobie trzymać ich u Beckmana. Kazał mi natychmiast przeprowadzić je gdzie indziej. Nie jutro, nie pojutrze, ale natychmiast.

— U Bena Beckmana? — zainteresowała się Goldie.

— Tak. Wie pani, jaki jest ten Buchanan. To taki zarozumialec, że nie życzy sobie trzymać koni u byłego skazańca.

„Skazańca? — pomyślała Goldie. — Mało prawdopodobne, by poszło właśnie o to.” Stajnie Beckmana były przecież prowadzone wzorowo, a to, że ich właściciel siedział kiedyś w więzieniu, nikomu nie przeszkadzało. Spora część mieszkańców Brisbane miała podobną przeszłość.

— Bierz się do roboty! — wrzasnęła na Monty'ego, a ten natychmiast pobiegł pomóc pomywacze.

Goldie wróciła do salonu, lecz to, co usłyszała, nie dawało jej spokoju. Podejrzewała, że Ben Buchanan nagle się zorientował, iż Ben Beckman to jego syn. Była prawie pewna, że się nie myli.

239

PATRICIA SHAW

Ciekawe, czy chłopak zdaje sobie sprawę, kto jest jego ojcem. Szkoda, że umarła starsza pani, ona na pewno by wiedziała. Goldie przyszło do głowy, że chyba jest jedyną pozostałą przy życiu osobą, która zna prawdę, i postanowiła, że kiedyś postara się, by dzieciak o wszystkim się dowiedział. Z prawdziwą chęcią opowie młodemu Benowi o jego korzeniach i w ten sposób odplaci się Buchananowi za to, jak traktuje jej dziewczęta. Kiedyś. Któregoś dnia. Najwięcej bólu sprawiło Jedowi Sweepstone'owi szlachetne wsparcie żony i przyjaciół, którzy ani przez chwilę nie wierzyli, że mógłby postąpić niegodziwie.

Fontana chodził swoimi drogami, nie zauważając czarnych chmur gromadzących się nad ojcem.

Jed mimo wysiłków nie potrafił się zdobyć na rozmowę z synem o okropnych oskarżeniach dotyczących jego preferencji seksualnych.

Był dobrotliwym człowiekiem, prowadzącym spokojne życie na łonie

— właściwie dopiero teraz to sobie uświadomił — bogatej i kochającej rodziny. Jego decyzja o wkroczeniu w świat polityki wynikała z gorącego pragnienia, by w jakiś sposób odwdziżyć się krajowi, który tak łaskawie obszedł się z jego rodziną. W ciągu trzech pokoleń osiągnęli tak wiele. A przecież wszystko zaczęło się od ciężkiej harówki owczarza, który przed laty, jeszcze jako kawaler, przybył do Sydney. Co miałby powiedzieć Fontanie? I co ten by odpowiedział? Czy wyznałby prawdę? I czy on potrafiłby ją znieść? Jak miałby na nią zareagować? Sroższy rodzic w ogóle by się nie zastanawiał, tylko sięgnął po bat.

Z drugiej strony, myślał o tym z prawdziwym bólem, nie ulegało wątpliwości, że dla Fontany prawda nie ma wielkiego znaczenia. Jed zastanawiał się, gdzie i kiedy popełnił błąd. Może był zbyt łagodny? Nie miał pojęcia i zamartwiał się tym przez długie tygodnie, dużo bardziej niż całą tą polityczną zawieruchą. Uważał, że zawiódł własnego syna.

Gdyby zdobył się na poważną rozmowę z Fontana, ten z całą pewnością wszystkiemu by zaprzeczył, a niewykluczone, że szukałby wsparcia u matki. Było go na to stać. Wszak już wcześniej zdarzało się, że Annette Sweepstone rozwiązywała drobne spory pomiędzy ojcem a

synem. Teraz jednak nie wolno było do tego dopuścić. Jed był gotów na wszystko, byleby tylko oszczędzić żonie upokorzenia. Kochał ją i za nic w świecie by nie dopuścił, żeby została wplątana w podobny

240

OGNIE FORTUNY

skandal. Był przekonany że nigdy nie słyszała nawet słowa „homoseksualista”.

W końcu podjął decyzję. Poinformował żonę i syna, że z powodu karygodnego zachowania Fontana na przyjęciu w parlamencie postanowił wysłać go do Anglii. Położył na stole bilet gestem takim samym, jakim zwykł przedkładać dokumenty w parlamencie. *Fait accompli*.

Dał Fontanie trzy dni na spakowanie się i załatwienie wszystkich spraw.

Syn był zachwycony i ogromnie podekscytowany, żona natomiast szczerze przerażona.

— Dlaczego tak nagle, Jed? To taka długa podróż, a my nie zdążymy nawet wyprawić przyjęcia pożegnania.

— Annette, mam obecnie zbyt wiele problemów. Przecież widziałaś w gazecie ten komiks o pani Davies i jej zniszczonej sukni. Zaczynają naigrawać się z parlamentu. Jeżeli Fontana wyjedzie, naciski na mnie mogą trochę zelżeć.

— Nie kłóć się, mamo — wtrącił radośnie Fontana. — Bo tata gotów zmienić zdanie.

— Jed — nie ustępowała — przecież sam mówiłeś, że ta awantura o koleje to tylko burza w szklance wody. Próby przejścia przez opozycję władzy. Co to wszystko ma wspólnego z Fontana?

— Nic — skłamał. — Ale jego obecność tutaj komplikuje sprawy. Fontana popłynął do Anglii statkiem „Australis”, a Jed drżał na samo wspomnienie młodych ludzi, którzy przyszli na nabrzeże pożegnać przyjaciela. Znowu zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia.

Jednakże burza związana z darowizną gruntów nie ustawała. Ataki wzrastały się z dnia na dzień, aż wreszcie Abercrombie znalazł dokumenty jasno świadczące o tym, że minister początkowo sprzeciwiał się przekazywaniu gruntów, potem, argumentując, że linia do Longreach będzie służyła ogólnemu interesowi, postanowił, że potrzebne do jej budowy tereny zostaną wydzierżawione, w końcu zaś po raz kolejny zmienił zdanie i przystał na darowiznę.

Opozycja za pośrednictwem prasy, jako że Izba miała akurat przerwę w obradach, domagała się krwi, grzmiąc, że skorumpowany rząd sprzedał interesy ludu. Ponieważ zarówno lider opozycji Royce Davies, jak i jego zastępca, byli poza miastem, wszystkim kierował Abercrombie, jawiąc się jako przywódca silny i mówiący bez ogródek. Pod jego komendą laburzyści oraz niezależni połączyli się w potężną siłę, co oznaczało, że dni Royce'a Daviesa jako lidera są policzone. O Benie Buchananie po prostu zapomniano.

16 Ognie fortuny

241

PATRICIA SHAW

Coraz bardziej zaniepokojony premier wezwał do swojego gabinetu ministra gruntów, Jeda Sweepstone'a.

— Nie uda się nam tego przetrwać, Jed — rzekł. — Kiedy tylko Izba wznowi obrady, rozszarpią nas na strzępy. Grozi nam wotum nieufności.

— Mamy przewagę, powinniśmy się wybronić — odparł Jed zażenowany, że musi mówić coś takiego.

— Nie mamy. Już nie. Stanowimy tylko mieszaninę moich zwolenników, partii rządzącej oraz garstki niezależnych. Nie jesteśmy jednolitą partią, podczas gdy opozycja rośnie w siłę pod sztandarami laburzystów. Obawiam się, że w najbliższej przyszłości przejmą rządy.

— Jeśli uważasz, że to w czymś pomoże, gotów jestem podać się do dymisji, a także zrezygnować z mandatu — zaproponował Jed.

— Jeżeli to zrobisz, Jed — odparł premier — wszyscy odbiorą to jako przyznanie się do winy. Wiesz, jedno tylko nie daje mi spokoju: dlaczego tak nagle zmieniłeś zdanie i zatwierdziłeś darowiznę zamiast dzierżawy. Trzeba było przyjść do mnie i to przedyskutować. Musiałeś mieć jakiś powód, nie wierzę, że podjąłeś nie przemyślaną decyzję. To nie w twoim stylu. Daj mi jakiś sensowny argument, który będę mógł wykorzystać.

Wróciwszy do swojego gabinetu, Jed napisał prośbę o dymisję. Poukładał dokumenty na biurku, zebrał swoje rzeczy osobiste, wezwał sekretarza, podziękował mu za lojalną współpracę i wręczył list do premiera.

Po powrocie do domu, do Toowong, o wszystkim opowiedział żonie.

— Ale dlaczego, Jed? — załkała. — Przecież nie zrobiłeś nic złego.

Znam cię. Oni cię nie rozumieją.

Jednakże Jed Sweepstone wiedział, że nie ma innego wyjścia. Nawet premier, jego stary przyjaciel, gotów był uwierzyć, że Jed dał się przekupić Thurlwellowi, co zresztą, przynajmniej w pewnym stopniu, było prawdą. Nie chodziło wprawdzie o pieniądze, lecz honor rodziny, ale tak czy owak była to łapówka i Jed nie powinien był się ugiąć. A skoro na jego własnym honorze pojawiła się taka plama, czego miał prawo wymagać od syna?

Skreślił krótki list do żony, dziękując jej za miłość, którą zawsze tak bardzo cenił, i razem spędzone lata. Do nikogo innego nie napisał. Scena polityczna stała się taka banalna.

Przeszedł przez ogród i stanął na brzegu rzeki w sporej odległości od domu. Patrzył, jak ukochana rzeka cofa się z przypiływem,

242

OGNIE FORTUNY

i zastanawiał się, ile plemion Aborygenów, teraz będących już tylko wspomnieniem, biegło po jej brzegach.

— Wszystko mija — wyszeptał do duchów przeszłości. A potem strzelił sobie w głowę.

Takiego pogrzebu, jaki wyprawiono Jedowi Sweepstone'owi, Brisbane nie widziało od lat.

Aby uniknąć kolejnego skandalu i zapewnić obecność biskupa anglikańskiego na uroczystości żałobnej, przekonano lekarza, by w akcie zgonu napisał, że Jed Sweepstone zmarł w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Że utonął w wezbranym nurcie rzeki.

To jednak nie położyło kresu plotkom i szeptom w parlamencie. Ktoś twierdził, iż wie z dobrze poinformowanych źródeł, że minister popełnił samobójstwo; nie minęło wiele czasu, a Barnaby dowiedział się o tym, stał się bowiem celem ponurych, oskarżycielskich spojrzeń. Tak bardzo wytrąciło go to z równowagi, że nie potrafił nawet zdobyć się na to, by wyjść przed gmach parlamentu, kiedy obok przechodził milczący orszak żałobny w długiej drodze z kościoła na cmentarz Toowong.

Następnego dnia do Brisbane przyjechał Teodor Prosser i Barnaby musiał go zaprowadzić na umówione spotkanie z ministrem sprawiedliwości. Creighton był wciąż tak wściekły na swojego asystenta, że kiedy ten wprowadził do gabinetu gościa ze Związku Rdzennych Mieszkańców Australii, udawał, że go nie widzi. Zrozpaczony Barnaby siedział na korytarzu, przekonany, że zostanie pozbawiony funkcji przewodnika i asystenta Prossera.

W końcu Prosser wyszedł z gabinetu ministra i donośnym głosem poinformował Barnaby'ego, że wybiera się na lunch z premierem.

— Rozumiem, młody człowieku — dodał — że pojutrze wyruszamy statkiem do Rockhampton i rozpoczynamy pierwszy etap naszej podróży.

— Zgadza się, sir.

— Dobrze. Będę więc miał czas, by przed wyjazdem zwiedzić Brisbane. Statek odpływa o drugiej po południu. Spodziewam się, że o dziesiątej przyjedzie pan po mnie do hotelu. Po mnie oraz mój bagaż.

Barnaby zrozumiał, że ten dumny dżentelmen zamierza traktować go jako swojego tragarza, lecz mu to nie przeszkadzało. Cieszył się, że może na jakiś czas wyjechać z Brisbane. I że nie stracił pracy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ukarane miesięczną zasłoną chmur słońce wyjrzało z mniejszą zapalczywością i spojrzało na miasto łaskawym okiem, przemieniając ciężką zielen w jaskrawe wiosenne barwy. Kwiaty radowały oko czerwienią, złotem i żółcią, pstrokate papugi przemykały w powietrzu, białe srokosze błogosławiły przejrzyste powietrze przepiękną cztero-tonową melodią. Delikatne motyle trzepotały radośnie aksamitnymi skrzydełkami, jakby chciały oznajmić, że na świecie znów zapanował porządek.

— Najwspanialsza pora roku — odezwał się premier do ministra sprawiedliwości, stojąc w otwartym oknie swojego gabinetu.

— To prawda — zgodził się Creighton. — Najwspanialsza. Właśnie zaproponował, by premier mianował jego brata Hala ministrem gruntów i w ten sposób zapełnił wakat, spowodowany przedwczesną śmiercią Jeda Sweepstone'a, a także zagwarantował sobie lojalność ministra na wypadek jakiejś nowej burzy.

Jednakże premier nie miał na razie ochoty zapełniać tego wakatu. Dosłownie całe tylne ławy szykowały się do skoku na to stanowisko, gdyby więc dokonał wyboru już teraz, naraziłby się na kolejne akty dezercji dotychczasowych stronników rządu. Przewaga law rządowych nad opozycją bardzo ostatnio stopniała, a premier gotów był uczynić wszystko, żeby utrzymać urząd do momentu, gdy zapadnie decyzja o przystąpieniu Queensland do federacji. Odwrócił się do Creightona:

— Pański brat cieszy się w Warwick dużą popularnością — rzekł. — Potrafi porozumieć się z wyborcami, niewątpliwie także dzięki pańskim radom. Dobrze jest móc dysponować siłą doświadczenia.

244

OGNIE FORTUNY

— Rzeczywiście, sir. Mógłby liczyć na moje wsparcie także wtedy, gdyby spotkał go zaszczyt objęcia urzędu ministra w pańskim rządzie.

— W pełni się z panem zgadzam. Ale czy byłoby uczciwe, gdybyśmy tak młodego człowieka wsadzili w to gniazdo szerszeni? Abercrombie wszedł na ścieżkę wojenną, z drugiej zaś strony mamy do czynienia z tak bezwzględny i wytrawnym graczem jak Edgar Thurlwell. Nowy minister gruntów może znaleźć się między młotem a kowadłem, a jeśli przydarzy mu się najmniejsze potknięcie, jego kariera skończy się, zanim jeszcze zdąży się na dobre rozpocząć.

— W każdej sytuacji mógłby liczyć na moją radę.

— Tak — odrzekł premier. — To prawda. Zna pan obu tych dżentelmenów. A czy pan nie rozważał ewentualności, że to pan przejąłby tekę ministra gruntów?

Zachował kamienną twarz, kiedy Thomas Creighton sprytnie odrzucił tę propozycję.

— Z całym szacunkiem, sir, ale uważam, że byłoby z mojej strony błędem, gdybym porzucił swój urząd w tak ważnej chwili, kiedy znajdujemy się w samym środku prac nad konstytucją.

— Prawda, prawda — zadumał się premier. — Naprawdę, drogi Thomasie, uważam, że na razie będziemy musieli zostawić fotel ministra gruntów nie obsadzony. Przeżyłem okropny

wstrząs, tracąc wspaniałego przyjaciela, jakim był Jed. Nie rozumiem, dlaczego do mnie nie przyszedł. Co mogło wstąpić w tak szlachetnego człowieka, że postanowił się zastrzelić?

— Przypuszczam, że nie mógł już dłużej znieść awantury, która rozpętała się wokół budowy linii kolejowej.

— Lecz przecież to, co zrobił, nie było sprzeczne z prawem, nieprawdą?

— Nie. Sprzeczne z prawem na pewno nie było, już raczej nierozważne. W szczególności korzystna dla Thurlwella decyzja o zmianie sposobu przekazania gruntów z dzierżawy na darowiznę.

— Tak, korzystna dla Thurlwella. Mam się z nim spotkać jeszcze dzisiaj po południu.

— Co pan planuje? Cofnąć decyzję Jeda?

— Zobaczę. Wielu ludzi chce tej kolei. Nie jestem zachwycony tym, że mamy oddać te tereny za darmo, ale wycofując się z obietnicy danej przez Jeda, stanąłbym po stronie Abercrombiego i przyznał, że rząd popełnił bardzo poważny błąd, a może nawet coś gorszego.

— A gdyby tak ogłosić, że budowę linii kolejowych przejmuje państwo? To by wyłączyło Thurlwella z gry.

245

PATRICIA SHAW

— I jednocześnie wywołało wrażenie, że bierzemy pełną odpowiedzialność, także finansową, za to przedsięwzięcie. A niby skąd mielibyśmy wziąć pieniądze?

— Tak, to rzeczywiście delikatna sprawa.

— Muszę mieć trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

Po wyjściu Creightona premier doszedł do wniosku, że rozmowa potoczyła się jak najbardziej po jego myśli. Wiedząc, że nie może liczyć na to, iż minister sprawiedliwości będzie trzymał język za zębami, niczego mu nie dał, niczego nie obiecał.

Późnym popołudniem przywitał Edgara Thurlwella mocnym uściskiem dłoni oraz szklaneczką whisky.

Wyrazy współczucia w związku ze śmiercią Sweepstone'a przyjął skinieniem głowy.

— Jego rodzina bardzo to przeżywa — rzekł. — Podobnie jak przyjaciele Jeda w Izbie. Ja też nie potrafię pogodzić się z jego śmiercią.

To ostatnie zdanie wypowiedział ze szczególnym naciskiem, patrząc Thurlwellowi prosto w oczy, albowiem miał jakieś dziwne wrażenie, że to właśnie ten człowiek był przyczyną nieszczęścia.

— Wszystkim nam będzie go brakować — odparł Thurlwell. — To rzeczywiście niepowetowana strata.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali o pogrzebie, o elokwencji biskupa, umiejętnościach chóru oraz ogromnym stosie wieńców złożonych na stopniach kościoła. Premier sprawiał wrażenie, że może snuć te wspomnienia bez końca, aż w końcu zniecierpliwiony Edgar nie wytrzymał i spytał, kto zajmie miejsce zmarłego ministra.

— Proszę wybaczyć, że poruszam ten temat, sir, ale życie toczy się dalej. — Na moment przerwał i westchnął. — Pragnę zapewnić, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby współpraca z nowym ministrem układała się równie dobrze jak dotychczas. Wkrótce rozpoczniemy budowę linii do Longreach i trudno nawet wyrazić, jak wielkie korzyści przyniesie to naszemu krajowi.

— Z nowym ministrem? Mmmm. Prawdę mówiąc, nie miałem jeszcze dość czasu, by zastanowić się, kto zostanie następcą Jeda. Zobaczymy. Wszystko w swoim czasie. Czy jest jakaś szczególna sprawa, którą chciałby pan przedyskutować?

— Ponieważ podniosła się okropna wrzawa w związku z budową kolei, a nie muszę chyba mówić, że chodzi w niej wyłącznie o politykę, chciałbym możliwie najszybciej spotkać się z nowym ministrem

OGNIE FORTUNY

i zapewnić go, że wszystko przebiega zgodnie z warunkami określonymi w kontrakcie.

— Jakim kontrakcie? Nie miałem pojęcia, że istnieje jakiś kontrakt.

— No cóż, nazwijmy to dżentelmeńską umową. Poprzedni minister był zdecydowanym zwolennikiem przekazania mojej firmie potrzebnych terenów, i to pomimo sprzeciwów Abercrombiego. Wydał już nawet odpowiednie polecenia Biuru Własności.

— Zgadza się, ale to nie jest decyzja nieodwracalna. Nowy minister podejmie takie kroki, jakie uzna za stosowne.

— Chyba nie może być mowy o cofnięciu decyzji! — wykrzyknął Edgar. — Przecież losy tak dużej i poważnej firmy jak Western Railroads nie mogą zależeć od kaprysów każdego nowego ministra, który nawet nie uczestniczył we wcześniejszych rozmowach.

— Naturalnie. Zapewniam pana, że osobiście zajmę się tą sprawą.

— Dziękuję, sir. Będę panu za to niezmiernie zobowiązany. — Wziął kapelusz i laskę, po czym wstał. — Wiem, panie premierze, że w dalszym ciągu jest pan zwolennikiem przystąpienia do federacji. Ja osobiście nie widzę w niej żadnych korzyści dla naszego kraju, muszę jednak przyznać, że swój pogląd opieram przede wszystkim na cokolwiek zawężonej debacie toczącej się w prasie i nie mogę uważać się w tej sprawie za eksperta. Być może zechciałby pan któregoś dnia zjeść ze mną lunch. Z chęcią wysłuchałbym pańskich argumentów.

Kiedy Thurlwell wyszedł, premier rozsiadł się wygodnie za biurkiem i zapalił cygaro.

— Darmowa ziemia za poparcie federacji — roześmiał się. — Zbyt wygórowana cena za względy tych twoich kilku oswojonych papug, Edgarze.

Zadzwoił po sekretarza.

— Wszystkie dokumenty dotyczące przejęcia przez Western Railroads korytarza ziemi pod linię do Longreach leżą na drugiej półce w szafie. Odnieś je z powrotem do departamentu i złóż do akt. I jeszcze jedno... — Na papierze listowym napisał: „Wstrzymać postępowanie” i złożył zamaszty podpis. — Potem pójdziesz do Biura Własności i zabierzesz mapy. Przekaż im to samo polecenie. Gdyby ktoś pytał, to tylko chwilowa zwłoka.

Kiedy znów został sam, rozparł się wygodnie i mruknął pod nosem:

247

PATRICIA SHAW

— Chwilowa zwłoka, jeszcze czego! To koniec zabawy, panie Thurlwell. Skoro chcesz pan mieć tę ziemię, zapłać za nią. A jeśli rząd postanowi zająć się budową linii kolejowych, twoja pomoc nie będzie nam potrzebna.

Edgar Thurlwell odbył nieprzyjemną rozmowę z dyrektorem banku.

— Pańskie konto wykazuje bardzo wysoki debet, panie Thurlwell. Kiedy możemy liczyć na poprawę tej sytuacji?

— Mój drogi panie, to naprawdę nie jest żaden problem. Musiałem po prostu przelać część funduszy na rzecz firmy, której kondycja nie budzi przecież żadnych zastrzeżeń. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że kiedy tylko zostanie sfinalizowany transfer gruntów, firma będzie dysponowała zabezpieczeniem daleko większym aniżeli wymagane.

— Ale czy sprawa przekazania gruntów posuwa się naprzód?

— Naturalnie. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z premierem. Obiecał zająć się tą sprawą osobiście.

— Tak, ale to dotyczy firmy. Mam nadzieję, że potrafi pan znaleźć sposób, by spłacić tę tak znaczną prywatną pożyczkę?

— Dobrze — westchnął Edgar. — Jeszcze dziś przeleję na to konto pewną sumę pieniędzy. Ma pan prawo uważać, że to znaczna suma, ja natomiast będę utrzymywał, że w porównaniu z naszym portfelem akcji jest ona po prostu znikoma. Życzę miłego dnia!

Lunch zjadł u Lalli i Williama. Poinformował ich, że rozmawiał z premierem i że wszystko idzie jak najlepiej, chociaż wcale nie był tego pewien; nie udało mu się zmusić premiera do jasnej deklaracji i bardzo go to niepokoiło.

Jego słowa przyjęli z wielką ulgą. Działania Abercrombiego, oskarżenia o korupcję bardzo ich martwiły. Kiedy Edgar został sam na sam z Williamem, wyjął z teczki plik dokumentów i dał bratu do podpisu.

— Co to takiego? — spytał William.

— Zamówienia, polecenia przelewów. Twoje podpisy są niestety niezbędne.

Podczas lunchu wypili kilka butelek wina i doktorowi Thurlwel-lowi bardzo chciało się spać. Marzył o tym, żeby brat jak najszybciej sobie poszedł i pozwolił mu odpocząć.

— Przecież to ty jesteś dyrektorem finansowym — narzekał. — Dlaczego muszę zawracać sobie głowę takimi bzdurami? — Patrzył z niechęcią na przeraźliwie wielką stertę dokumentów. — Czy nie

248

OGNIE FORTUNY

możesz sam się tym zająć? Od rana siedziałem w szpitalu i miałem same kłopoty. Czy wiesz, że ci zadufani w sobie smarkacze, którzy każą się nazywać chirurgami, próbują mnie wypchnąć za burtę? Twierdzą, że moje metody są staroświeckie.

Edgar słyszał o tym w swoim klubie i orientował się, że sprawa jest znacznie poważniejsza. William popełnił ostatnio kilka błędów, nie pozwalając na zastosowanie bezpieczniejszych metod leczenia, i w efekcie dwóch jego pacjentów zmarło. Edgar ani trochę nie współczuł bratu, który przez cały dzień chodził lekko podchmielony; już dawno postanowił w duchu, że gdyby przypadkiem zdarzyło mu się kiedyś trafić pod nóż, za nic w świecie nie pozwoli, by operował go William. To wszakże nie miało żadnego związku ze sprawą obecnie dla niego najważniejszą.

— Nie zwracaj na nich uwagi — poradził. — Zawsze znajdzie się jakiś młody kogut, który będzie na wszystkie sposoby atakował bardziej doświadczonych od siebie. Takim zawsze się wydaje, że są najlepsi.

— Masz rację, Edgarze — wymamrotał William, który podpisywał dokumenty, nawet ich nie czytając.

— Wiesz co? — kontynuował Edgar. — Może byś tak im powiedział, że kiedy już nasza linia kolejowa zacznie funkcjonować, zafundujemy szpitalowi nowe skrzydło? To ich powinno uciszyć.

— Dobry Boże, na pewno, tylko czy będzie nas na to stać?

— Ci amerykańscy milionerzy mogliby kupić całe Brisbane — roześmiał się Edgar. — My na razie nie możemy mierzyć tak wysoko, ale taka darowizna na pewno nas nie zuboży. Poza tym tego rodzaju wydatki można odliczyć od podatku.

William mechanicznie składał podpisy.

— Tylko czytelnie — zwrócił mu uwagę Edgar. — Słyszałeś, że Amerykanie rozpoczęli budowę linii z dwóch końców kraju i spotkali się dokładnie w połowie drogi? Oni to nazywają „know-how”, ja dalekowzrocznością. Skończyłeś? — Uważnie przekartkował dokumenty, by sprawdzić, czy William któregoś nie opuścił, a następnie schował je do skórzanej teczki.

— Napijesz się portwajnu? — zaproponował William, sięgając po butelkę. — To wyśmienity rocznik.

— Dobry pomysł. Ale tylko kieliszek. Wieczorem wydaję w klubie przyjęcie dla Hala Creightona z Warwick. Robi, co może, żeby dostać się do klubu, a ja postaram się mu pomóc, podobno jest na dobrej drodze, by zostać nowym ministrem gruntów.

249

PATRICIA SHAW

William już kiwał głową.

— Dobra robota — wymamrotał.

Jego brat otworzył skórzaną teczkę dopiero w domu. Wyglądził najważniejszy dokument, ten, który miał usatysfakcjonować bankiera. Była to hipoteka na posiadłość Thurlwellów, Somerset House na Kangaroo Point. Pieniądze miały zostać przelane bezpośrednio na osobiste konto Edgara.

Powtarzał sobie, że przecież nic takiego się nie stało. Wszak on sam już dawno zastawił dom dla dobra „sprawy”, jak zwykł mawiać o swym ogromnym przedsięwzięciu, dlaczego więc nie miałby uczynić tego William, który najwyraźniej oczekuje, że wszystko zostanie mu podane na talerzu, podczas gdy on, Edgar, dwoi się i troi? A gdyby coś poszło nie po jego myśli? W gruncie rzeczy Edgar jako dyrektor finansowy firmy wcale nie potrzebował podpisu Williama, żeby dokonać dowolnego przelewu.

Phoebe przeszła przez wszystkie te wstrząsy niczym we śnie. Miała swoje sekretne życie z Benem i widywała się z nim, kiedy tylko mogła. Rodzice byli ogromnie podenerwowani awanturą w prasie wokół planów przekazania Western Railroads gruntów pod linię kolejową, lecz dla niej nie miało to najmniejszego znaczenia.

Barnaby wyjechał, ale wcale za nim nie tęskniła. A potem Ben powiedział jej, że pan Buchanan przeniósł Gracie do innej stajni, co przyjęła z prawdziwą ulgą. Czowała, że nigdy więcej nie zdobędzie się na to, by pójść do stajni Bena.

— Wyrzuty sumienia? — droczył się z nią.

— Chyba tak — odparła szczerze. — Gdybym tam teraz poszła, musiałabym udawać, że cię prawie nie znam, a to przecież wierutna bzdura.

— Znasz mnie?

— Pewnie, że tak. Wiem, że wyrosłeś na rozsądnego i porządnego człowieka, a także że sporo czytasz. Przynajmniej sądząc po liczbie książek, jakie są w tym domu.

— To akurat nieprawda — roześmiał się Ben. — Wszystkie są po niemiecku.

— Jeśli chcesz, chętnie przyniosę ci coś ciekawego.

— Nie, dziękuję. I tak nie miałbym czasu na lekturę.

— Oczywiście, ale to tylko dlatego że zbyt wiele czasu poświęcasz katalogom z samochodami, benzyną i tym wszystkim.

250

OGNIE FORTUNY

— To mnie interesuje. Jak tylko to będzie możliwe, od razu kupię samochód.

— Co zrobisz?

— Przecież słyszałaś. Wybierzesz się ze mną na przejażdżkę? Phoebe zawahała się.

— Sama nie wiem. Wyobrażasz sobie, jaka byłaby awantura?

— Chodź tutaj. — Stał na porośniętej winoroślą werandzie, oświetlonej jedynie przez księżyc w pełni, który z trudem przebijał się przez chmury.

— Po co? — spytała, zbliżając się do niego.

— Chcę po prostu zobaczyć cię w blasku księżyca. — Ujął ją za rękę. — Jako dziecko byłaś taka długa i chuda. Wprost nie mogę uwierzyć, że ty i tamta dziewczynka to ta sama osoba.

— Byłam za wysoka i okropnie mnie to drażniło.

— A ze mnie był straszny mikrus — uśmiechnął się. — Ale wyrosłem, teraz jestem o wiele wyższy niż ty.

— I nie tylko — odparła, lecz się nie uśmiechała. Stali tak blisko siebie, trzymali się za ręce w łagodnym świetle księżyca i patrzyli sobie w oczy. A potem już nie było miejsca na żadne słowa. Objął ją w tali i przyciągnął do siebie, ona wtuliła twarz w jego silny tors, który wydał się jej bezpieczną przystanią, ostoją, której zawsze tak bardzo potrzebowała. Uniosła twarz i pocałowała jego gładki podbródek. Ich usta się spotkały i była w tym pocałunku cała miłość,

jakiej kiedykolwiek pragnęła. W tym delikatnym pocałunku, który trwał i trwał, i trwał. Całował jej twarz, jej oczy, jej policzki, ale zawsze wracał do ust. Z uczuciem. Z miłością. Na pogrzeb Sweepstone'a poszła razem z rodzicami w czarnym stroju, który w całości wybrała dla niej matka, od aksamitnego kapelusza w kształcie czepka, spod którego wystawały blond kosmyki, poprzez rękawiczki aż po buty. Szeleszcząca jedwabna suknia, zapięta po szyję i zakończona wysokim kołnierzem przybranym dżetami, taftowa halka i ciasny gorset były wzorem elegancji i stosowności. Kiedy szwajcar prowadził ich pomiędzy rzędami ławek, Phoebe uprzytomniła sobie, że oczy wszystkich zebranych skierowały się na nią, co oznaczało, że przyćmiła matkę. Nowe, podniecające doświadczenie. Jakże żałowała, że Ben nie może jej teraz zobaczyć. Raczej nie przypuszczała, by znajdował się w tłumie ciekawskich, przepychają-

251

PATRICIA SHAW

cych się przy wejściu. Przyglądanie się uroczystościom nie leżało w kręgu jego zainteresowań.

Po rozpoczęciu nabożeństwa zauważyła, że pośród krewnych Jeda Sweepstone'a zabrakło Fontany. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że przecież popłynął do Anglii. „Jakie to okropne — pomyślała — otrzymać taką straszną wiadomość telegraficznie i nawet nie móc wrócić na pogrzeb”. Phoebe zapamiętała pana Sweepstone'a jako miłego i czarującego człowieka, w trakcie ceremonii musiała ukradkiem wycierać łzy z kącików oczu. Ogarnął ją sentymentalny nastrój i wkrótce jej myśli powędrowały ku Benowi, ku ich miłości.

Była to miłość głęboka i szcera, stawiała się wszechobecna, kiedy tylko Phoebe przekraczała próg jego domu. Czekala w przytulnym salonie, w prostej jadalni, a także w radosnej kuchni. Była na ocienionej przez winorośl werandzie i w zacisznym ogrodzie, po którym spacerowali, trzymając się za ręce. Każdy, najmniejszy nawet przedmiot zdawał się dzielić tę miłość, która, Phoebe szczerze w to wierzyła, była im po prostu pisana.

Nigdy nie rozmawiali o łączącym ich uczuciu. Nie było takiej potrzeby. Dom Bena i jego najbliższe okolice były ich zaczarowanym ogrodem. Kryjówką przed otaczającym światem. Lalla szturchnęła ją w bok. Czas wstać. Chór śpiewał cudownie, nabożeństwo było wzruszające, przykryta flagą trumna oraz prawdziwy dywan z wieńców wzbudzały głęboki smutek i żal, łzy płynące po twarzy wdowy raniły wrażliwe serce Phoebe. W tym okresie wszystkie jej zmysły były wyostrzone, jednocześnie zdrowy rozsądek podpowiadał, że powinna unikać konfliktów z matką, dlatego bez słowa sprzeciwu uczestniczyła w życiu towarzyskim Lalli. Brała nawet udział w cotygodniowych karcianych wieczorkach, a wszystko po to, by rozluźnić nieco imadło matczynego nadzoru. I to się udawało, myślała z radością. Kiedy skończyły się codzienne kłótnie, Lalla straciła zainteresowanie poczynaniami córki, przekonana, że ubiera się ona i zachowuje jak przystało na młodą damę.

— Widziałem twoje nazwisko w gazetach — oznajmił Ben, kiedy ponownie go odwiedziła.

— W tym tygodniu już dwa razy. Raz po tym pogrzebie, a drugi przy okazji balu dla młodzieży w budynku rządu. Byłaś z Robertem jakimś tam. Co to za jeden?

— To siostrzeniec gubernatora. Czyżbyś był zazdrosny?

— Pewnie, że tak.

Phoebe zachichotała, wyraźnie zadowolona.

252

OGNIE FORTUNY

— Niepotrzebnie. Robert jest po uszy zakochany w pewnej dziewczynie, która akurat pojechała z rodzicami w podróż po Europie, więc musi cierpieć aż do jej powrotu.

— Jak to możliwe, że kocha inną, kiedy ty jesteś w pobliżu?

— To nic trudnego, mój miły.

Ku osłupieniu Bena to, co początkowo miało być wściekłym atakiem na ziemie wroga, próbą odebrania mu największej dumy i radości, teraz stało się jego własnym problemem. Kocha ją! Kocha jak szalony! Zresztą czy mogło się stać inaczej? Nawet kiedy jej przypominał o dzielących ich różnicach, nie zwracała na to uwagi. Była bardzo niezależna, a jednocześnie taka delikatna. Kilka dni wcześniej weszła do jego sypialni i zaczęła oglądać drobne pamiątki z przeszłości. Rzeźbiony okręt, który Diamond kupiła mu na jakimś festynie, czytanki, pozostałości po lekcjach z Omą, dwa ołowiane żołnierzyki, więcierz, który planował naprawić...

Kiedy wszedł do pokoju, spojrzała mu w oczy.

— Ten pokój podoba mi się najbardziej. Właśnie taki jesteś naprawdę, a nie taki, jak z tych wszystkich smutnych opowieści o więzieniu. Nie powinienesz być tam trafić i chciałabym, żebyś przestał o tym mówić.

Objął ją i leżeli razem na jego łóżku, złączeni w namiętym uścisku. Czuł jej jędrne piersi i wspaniałe kształty ciała. Boże! Jest taka ciepła, kochająca i naiwna! Musi koniecznie to przerwać, musi wstać, przygłodzić jej włosy i poprawić suknię, wyprowadzić na świeże powietrze, żeby oboje ochłonęli. Cieszył się, że Phoebe nie wie, co mu chodziło po głowie, kiedy zaczął się do niej zalecać. Na samą myśl o tym po prostu kurczył się w sobie.

Leżał teraz na łóżku i marzył o niej. Pragnął jej rozpaczliwie i nie wiedział, co ma z tym począć. Ufała mu, a on się obawiał, że jeśli posunie się zbyt daleko, jeśli ulegnie swym pragnieniom, jeśli skapituluje wobec piękna jej ciała, ona może poczuć się urażona. Chociaż z drugiej strony była tak namiętna, że naprawdę nie wiedział, co o tym myśleć. Ben kochał się jedynie z uległymi prostytutkami, nie miał więc pojęcia, jak postępować z młodą damą, doprowadzającą go na skraj obłędu. Być może mężczyzna powinien spytać? Czy może rozpiąć jej suknię? Czy może...

Nie, to idiotyczne. Jakże brakowało mu teraz Diamond. Był dorosłym mężczyzną, mógłby z nią o tym porozmawiać. Owa piękna dama, która stała przy grobie jego matki, a także zjawiła się na pogrzebie Omy, nie była niestety żadną damą. Okazało się, że to sławna

253

PATRICIA SHAW

Goldie, madame Błękitu Niebios. Fakt ten dziwił nieco Bena, ale i bawił. Skoro Diamond znała osoby tego pokroju, musiało być wiele rzeczy, których o swojej matce nie wiedział. Chciał porozmawiać o niej z Goldie, ale jakoś nigdy nie nadarzyła się odpowiednia okazja. A odkąd zakochał się w Phoebe, przestał bywać w Niebiosach.

Noc okropnie mu się dłużyła. Nie mógł zasnąć. Miał wyrzuty sumienia, że od dawna nie zaprosił do siebie Kathleen O'Neill ani Callaghanów, lecz do domu powróciła kobieca aura. Phoebe zostawiła sporo rzeczy... Jedwabną chustę, szczytkę i grzebień, wstążki do włosów, a nawet długi szal z maleńkimi koralikami. Powiesiła go na lustrze w przedpokoju, żeby mu o niej przypominał. Ben nie zniósłby myśli, że musi to wszystko pochować.

Tego wieczora, kiedy spacerowali po ogrodzie, Phoebe pytała:

— Co z nami będzie, Ben? Objął ją i pokręcił głową.

— Nie wiem, Phoebe, nie wiem.

Podróżowanie z Teodorem Prosserem okazało się przykre, irytujące, a chwilami wręcz nie do zniesienia. Był nadęty i piekielnie wymagający, z Barnaby'ego zrobił nie tylko tragarza, lecz także służącego, w towarzystwie nigdy nie pozwalał mu usiąść przy tym samym stole i nazywał go „moim człowiekiem”. Jednakże Barnaby zgrzytał zębami i dzielnie znosił wszystkie te upokorzenia.

Popłynęli prosto do Cairns i chociaż Teodor Prosser został podjęty przez kapitana statku z wielką pompą, na północy traktowano go raczej jako zabawną ciekawostkę. Ludzie przychodzili go słuchać, nie dlatego że interesowało ich, co ma do powiedzenia, lecz po

prostu dlatego że nie mieli nic lepszego do roboty. Wszyscy zgadzali się, że jest świetnym mówcą, i bili mu brawa na stojąco.

Barnaby omal nie pękł ze śmiechu, kiedy usłyszał od jednego z gburowatych miejscowych notabli:

— Nie mam pojęcia, o czym ten facet gada, ale jest w tym cholernie dobry. Trzeba mu to oddać.

Zanim jeszcze dotarli do Townsville, wielki mówca był święcie przekonany, że pozyskuje tłumy kolejnych zwolenników federacji, jednakże Barnaby zaczynał rozumieć, że na północy to wcale nie jest najważniejszy temat. Mieli tam zbyt wiele własnych zmartwień. Mimo to podczas rozmów w różnych lokalach zorientował się, że idea jednego

254

OGNIE FORTUNY

narodu wydaje im się warta uwagi, i nawet udało mu się przekonać do niej kilka osób.

Pobyt w Townsville okazał się katastrofą. Tęgi Prosser, nie przyzwyczajony do tropikalnych upałów, liczył na nieco chłodniejszą pogodę, tymczasem już parę godzin po zejściu na ląd był tak wyczerpany, że odmówił wyjścia z hotelu. W obawie, że gość zapadł na malarię, chorobę częstą na północy, burmistrz posłał po doktora, ten zaś oznajmił:

— Jest po prostu skonany. Nie znosi upałów. Odeślijcie go do domu!

Nie chcąc sprawić zawodu organizatorom, Barnaby sam wystąpił na spotkaniu. Przemówił w sposób mniej formalny, odpowiadał na pytania i unikał długich oracji. Poza ojcami miasta publiczność stanowili głównie poszukiwacze złota, udający się na złotonośne pola. Ludzie ci, sami zaliczając się do marzycieli, wydawali się podatni na nowe idee, a słowa Barnaby'ego bardzo nimi poruszyły, gdyż oczarowała ich myśl, że mogliby wziąć czynny udział w tworzeniu nowego narodu. Po spotkaniu uparli się, że zabiorą go do najbliższego baru.

Barnaby pojął, że dla nich każda okazja jest dobra.

Wkrótce potem spadły deszcze monsunowe, tak więc Barnaby i jego mentor zostali uwięzieni w Townsville.

Był to dla Barnaby'ego gorzki zawód, wprost nie mógł się doczekać wizyty w mieście poszukiwaczy złota, bajkowym Charters Towers, które dzięki ogromnemu bogactwu już dawno zdystansowało Brisbane. Gdzieś w głębi duszy Barnaby liczył na to, że może odrobina złota skapnie także na niego. Może któryś z nowych przyjaciół zaprosi go na wspólne poszukiwania, a on znajdzie jeden z tych legendarnych sześćofuntowych samorodków. Nieprzerwane opowieści o złocie, których słuchał przez następnych kilka dni, były zaiste zdradliwie kuszące. Podczas kolejnego pijaństwa w barze zgodził się rzucić pracę i dołączyć do poszukiwaczy.

Prosser wciąż tylko narzekał. Kiedy tylko jako tako doszedł do siebie, zaczął przemierzać tam i z powrotem duszny hol hotelowy, winiąc Barnaby'ego za swoją beczynność i domagając się, by wyznaczono kolejną datę spotkania z mieszkańcami Townsville. Ponieważ jednak w jedynej dużej sali odbywały się w tym czasie występy wędrownej grupy teatralnej, Prosser stracił swą niepowtarzalną szansę. Dowiedziawszy się, że spotkanie, które odbyło się pod przewodnictwem Barnaby'ego, zakończyło się ogromnym sukcesem, wpadł w furję.

255

PATRICIA SHAW

— Jak śmiesz wysuwać się przed szereg?! — wrzeszczał.

— Pytałem pana, czy mogę, a pan się zgodził, sir.

— Byłem zbyt niedysponowany, by zdawać sobie sprawę, co takiego knujesz — nie ustępował Prosser. — Jutro wyruszamy do Chart er s Tower s.

— Przykro mi, sir, to absolutnie niemożliwe. Rzeki wystąpiły z brzegów i są nie do przebycia.

— Złożę na ciebie skargę — zagroził Prosser, jednakże Barnaby zaczynał mieć go dość.

— Pańskie prawo, sir. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że nie posiadam władzy nad żywiołami.

Dziesięć dni później popłynęli do Rockhampton, gdzie Prosser nie przedstawił Barnaby'ego żadnemu z członków zarządu miasta ani nawet nie pozwolił mu uczestniczyć w spotkaniach.

— Jeden z tutej szych urzędników odbierze mnie z hotelu — oświadczył. — Tak więc twoje usługi nie będą mi do niczego potrzebne.

— Czy życzy pan sobie w takim razie, żebym wrócił do Brisbane?

— Absolutnie nie. Zaczekasz tutaj do mojego powrotu. Małomówny urzędnik, niejaki Hector Wordsworth, wcale nie był zachwycony faktem, że oddelegowano go do pomocy Prosserowi, przyszedł więc do Barnaby'ego po radę.

— Powodzenia — roześmiał się Barnaby. — Niech pan myśli jak sługa, to może jakoś sobie pan poradzi.

— Niedoczekanie! — zagrzemiał Hector.

Tak oto Barnaby został w hotelu, dbając oczywiście, by wszystkie należności za jego pobyt i wyżywienie dopisywano do rachunku Prossera. Po niecałym tygodniu Hector wrócił.

— Zostawiłem tego starego durnia — oznajmił z szerokim uśmiechem. Miałem go dość.

Prawie nikt nie przychodził na spotkania, bo głupiec uparł się, żebym pozmieniał twoje plakaty i podkreślił, że jest ze Związku Rdzennych Mieszkańców Australii.

— O nie! Specjalnie to pomniejszyłem, żeby uniknąć niepotrzebnych nieporozumień.

— I miałeś, do licha, rację. Biali myśleli, że chodzi o jakieś spotkanie dla czarnych, trzymali się więc z daleka. — Roześmiał się. — Z kolei Aborygeni też nie przychodzili, bo nie bardzo wiedzieli, czego właściwie od nich chcemy.

To właśnie Hector zawiózł Barnaby'ego do Rockhampton, gdzie przedstawił go wszystkim.

Barnaby zdobył się w końcu na odwagę i mówił już nie tylko o federacji, lecz i o tym, że jeśli powstanie nowy

256

OGNIE FORTUNY

senat, będzie do niego kandydował. Jego opowieść wzbudziła wielkie zainteresowanie, został nawet sfotografowany i trafił na pierwszą stronę miejscowej gazety, która nie przejmując się faktami, nazwała go „naszym pierwszym senatorem”.

Niedługo potem nadeszła wiadomość, że Teodor Prosser, zbulwersowany wyjątkowo niską frekwencją na kolejnym spotkaniu, próbował zbiec ze sceny, co skończyło się upadkiem i złamaniem nogi. Obecnie leży w szpitalu w Longreach.

Barnaby wysłał starannie sformułowany telegram do ministra sprawiedliwości. Uwolniony od Prossera, stał przed życiową szansą.

Napisał, że pan Prosser miał wypadek i przez pewien czas musi pozostać w szpitalu.

Zaznaczył, że kiedy podczas pobytu w Townsville pan Prosser zachorował, on sam poprowadził jedno ze spotkań i spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem, z czego pan premier z pewnością będzie zadowolony.

Świadom, że dla federacji premier gotowy jest na wszystko, Barnaby doszedł do wniosku, że te słowa zrobią wrażenie na jego przełożonym, dzięki czemu zgodzi się on na następującą zaraz potem propozycję.

„Czy mam kontynuować wysiłki, czy też odwołać wszystkie pozostałe spotkania?” — pytał w telegramie.

Ku jego ogromnej radości odpowiedź brzmiała:

„Kontynuować. Laury i tak przypadną panu Prosserowi.”

Teraz nadeszła pora na najważniejszy ruch, po którym nie mogło już być mowy o odwołaniu. Ogłosivszy zamiar kandydowania do senatu, Barnaby dodał do tej podróży wątek osobisty, którego dotychczas w niej brakowało.

Wrócił cichaczem do Brisbane i natychmiast skierował się do swoich pokoi, gdzie znalazł wiadomość od Phoebe:

„Muszę z tobą koniecznie porozmawiać. Gdzie się podziewasz? Odwiedź mnie. Twoja przyjaciółka, Phoebe”.

Stanowczo zbyt często zdarzało się jej podnosić fałszywy alarm, zdecydował więc, że będzie musiała poczekać. On przede wszystkim powinien zrobić porządek z ubraniami i czym prędzej wyruszyć do Charleville, zanim Creighton dowie się o jego powrocie do miasta i zmieni zdanie. Przejrzał gazety. Norweska ekspedycja z udziałem geometry z Queensland jako pierwsza dotarła na Antarktydę. Ulewne deszcze na północy... to akurat wiedział. W Brisbane otwarto w końcu galerię sztuki. Wstęę przeciął sam premier po powrocie z konwencji zjednoczeniowej w Hobart. Awantura wokół darowizny gruntów pod

17 Ognie fortuny

257

\

PATRICIA SHAW

linię kolejową przypuszczalnie dobiegła końca, albowiem w prasie nie było na ten temat żadnej wzmianki.

Barnaby aż się wzdrygnął. Wciąż dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu śmierci ministra gruntów, lecz także i ta sprawa już ucichła. Najnowszą kością niezgody stała się propozycja wprowadzenia zakazu uprawiania hazardu, przy czym obie strony obrzucały się błotem.

Barnaby cieszył się, że nie ma go teraz w pracy, wyglądało bowiem na to, że Creighton zalicza się do zwolenników zakazu.

— Cholerny dureń — mruknął. — Policja sobie z tym nie poradzi.

Patrzył na Brisbane jakby z zewnątrz, niczym anonimowy przybysz, a kiedy wsiadł do pociągu, który miał go zawieźć do małego miasteczka Dalby, ogarnęło go chwilowe uczucie niezależności.

Nikomu nie przeszkadzało, że występuje w zastępstwie Prossera, ponieważ nikt nie wiedział, kto to taki, i witano go jako człowieka ministra sprawiedliwości. Bez deprimującego towarzystwa „wielkiego mówcy” przemieszczał się z miasta do miasta, wszędzie przyciągając liczną publiczność, która nawet jeśli nie interesowała się tematem, gotowa była dać mu przynajmniej szansę.

Do Charleville przybył pełen optymizmu. Deszcze monsunowe w końcu dotarły na południe, ziemię znowu zaczęła pokrywać zieleń. Miejscowi nie posiadali się z radości i niewysłowionej ulgi, kiedy spadła pierwsza ulewa, zmieniając główną ulicę w grzęzawisko. Długa susza dobiegła końca!

Barnaby dał się ponieść powszechnej radości i pragnąc uczcić ostatnie spotkanie, postanowił podjąć gości skromną kolacją. Tak się złożyło, że został mu jeszcze całkiem spory zapas gotówki.

— Do kogo mógłbym się zwrócić w sprawie przygotowania kolacji? — spytał kierownika sali.

— Niech pan porozmawia z Mae Smith, właścicielką hotelu Shamrock. Gotuje dobrze, a przy tym tanio.

Ustalono, że pani Smith i jej pracownicy przygotowują kanapki, ciasta i kawę za sumę dziesięciu pensów na głowę.

Kiedy później się nad tym zastanawiał, Barnaby doszedł do wniosku, że ten jego samotny objazd układał się zbyt dobrze i zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa coś musiało się wydarzyć. No i się wydarzyło.

Sala była pełna ludzi, a ponieważ podawano darmowe jedzenie i napoje, wszystkim dopisywały humory. Zjawiły się także kobiety, było ich tym razem naprawdę dużo, doszła bowiem do nich wieść, że mieszkanki Południowej Australii wywalczyły sobie prawo głosu.

258

OGNIE FORTUNY

Rozmawiając z nimi przed spotkaniem, Barnaby zdziwił się, że ich polityczna świadomość jest tak wysoka.

— Umiemy czytać — śmiały się. — A w nocy nie mamy wiele więcej do roboty. Chcemy prawa głosu. Jeżeli ma dojść do głosowania w sprawie federalizacji, nasze zdanie też powinno się w nim liczyć. Nie sądzi pan, że mamy rację?

— Rzeczywiście — zgodził się Barnaby. Dotąd się nad tym nie zastanawiał, teraz doszedł do wniosku, że głosy kobiet mogłyby mieć znaczący wpływ na wynik referendum. — Wspomnę o tym ministrowi sprawiedliwości — obiecał.

Burmistrz wprowadził go na scenę. Wisiał za nią pejzaż przedstawiający angielską wieś; choć bardzo wypłowiały, i tak wydawał się o wiele barwniejszy od najbliższej okolicy. Jak zwykle towarzyszyło im dwóch miejscowych urzędników, którzy obecność na spotkaniu uważali za swój obowiązek, a przy okazji mieli nadzieję znaleźć się chociaż przez chwilę w centrum uwagi.

Barnaby rozpoczął wystąpienie, dziękując wszystkim za przybycie i wyrażając szczere uznanie dla ich wytrwałości w zmaganiach ze straszliwą suszą.

— Cieszę się, że w końcu doczekaliście się deszczu — rzekł. — I modłę się, żeby się zbyt szybko nie skończył.

— Bravo! Bravo! — rozległy się okrzyki.

Następnie przeszedł do swojego doszlifowanego już przemówienia, zaznaczając, że nie przybył do Charleville po to, aby narzucać komukolwiek swoje przekonania, lecz by prosić o rozważenie sensu przystąpienia do federacji.

— Pomyślcie przez chwilę o tym ogromnym kontynencie jako jednym narodem. O lądzie, który o ile dacie mu szansę, może stać się jednym państwem o nazwie Australia. Państwem, które zajmie należne mu miejsce pośród innych państw świata.

Na widowni rozległ się szmer zainteresowania.

— Nie możemy — kontynuował — do końca świata pozostawać niejednorodną mieszaniną kolonii, z których każda zmierzać będzie w inną stronę. Jesteśmy Australijczykami! Od was zależy, czy zostanieie współtwórcami nowego narodu. Wasze dzieci i wnuki zasługują na to, by szczyć się tym, iż są Australijczykami...

Barnaby spojrział na morze poważnych twarzy, szykując się do wejścia na niebezpieczny grunt rozważań o niepodległości, kiedy to powinien wyraźnie stwierdzić, że utworzenie federacji nie oznacza zerwania więzi z Matką Anglią ani z ukochaną królową, która

259

PATRICIA SHAW

pozostanie głową Wspólnoty Australijskiej. A na zakończenie przemówienia miał niemal mimochodem dodać, że on sam jako osoba, która dobrze zna nową konstytucję, postanowił kandydować do nowego senatu. Najpierw jednak, aby nieco rozluźnić atmosferę, potrzebny będzie jakiś żart.

— Czasy skazańców należą do przeszłości — rzekł. — Musimy zrzucić kajdany, które wciąż jeszcze nam ciążyą. A jedyny sposób, żeby tego dokonać, to stać się Australijczykami. Często zdarza mi się myśleć — wyznał — że Brytyjczycy sami zadali sobie cios. Powinni byli zostawić skazańców w tamtym zimnym kraju i przyjechać tutaj, do tej słonecznej krainy.

Publiczność roześmiała się, aczkolwiek jakiś mężczyzna pozwolił sobie na ponury komentarz: — Chętnie oddamy im trochę tego słońca.

— To prawda — zgodził się Barnaby — tyle tylko że ich chłody nigdy nie miną, a my, dzięki Bogu, doczekaliśmy wreszcie końca suszy.

Barnaby mówił dalej. W pewnym momencie zauważył mężczyznę, który wszedł bocznymi drzwiami, zdjął zakurzony kapelusz i pas, rzucił je na najbliższy stół i rozejrzał się po sali. Barnaby'emu wydawało się, że skądś go zna, gdyby jednak chciał mu się bliżej przypatrzeć, musiałby odwrócić się bokiem do publiczności.

Nagle mężczyzna ruszył przed siebie i donośnym aroganckim tonem zwrócił się do burmistrza:

— Kim jest ten człowiek? Jakie ma prawo stać tu i dyktować nam, co mamy zrobić? Toż to zwykła bezczelność!

Barnaby osłupiał. Rozpoznał intruza. Był to Ben Buchanan, chyba ostatni człowiek, z jakim miał ochotę się spotkać. Skąd on się tu wziął? Z rosnącą konsternacją przypomniał sobie, że przecież Buchanan ma w tych okolicach farmę. A niech to diabli!

Kiedy burmistrz wstał, by pośpieszyć z wyjaśnieniami, głos ponownie zabrał Barnaby, starając się obrócić całą sprawę w żart:

— Och! Pan Buchanan! Serdecznie witam na naszym spotkaniu. Jestem przekonany, że zna pan moje listy uwierzytelniające. Reprezentuję ministra sprawiedliwości.

Buchanan zwrócił się w stronę tłumu.

— Innymi słowy to zwykły urzędnik. Człowiek nie zaangażowany w życie kraju, który chce tylko zaspokoić swoje polityczne ambicje. Opowiada wam te wszystkie bzdury o dobrodziejstwach federacji w nadziei, że jeśli uda się ją przeforsować, premier nagrodzi

260

OGNIE FORTUNY

go stołkiem w jak na razie nie istniejącym senacie. Może mówię nieprawdę, panie Glasson?

— Jest prawdą, że zamierzam kandydować, ale...

— No właśnie! — drwił Buchanan. — A nie mówiłem? Wśród publiczności rozległy się pierwsze nieprzyjazne pomruki

i Barnaby zrozumiał, że traci zwolenników. Posłał Buchananowi wściekłe spojrzenie.

— Mam takie samo prawo być tutaj jak pan. Pan nie reprezentuje tych ludzi. Reprezentuje pan elektorat Brisbane. I szczerze się dziwię, że w ogóle jest pan tutaj. Na co dzień zadaje się pan przecież tylko ze śmietanką towarzyską!

Był zaskoczony, słysząc oklaski niewielkiej grupki kobiet, a równocześnie zauważył, że reszta publiczności wyciąga szyje w stronę sprzeczących się mężczyzn, gdyż z ich punktu widzenia spotkanie dopiero teraz stało się interesujące.

— Do diabła z całą tą śmietanką! — odparował Buchanan. — Ten człowiek wzywa was do rewolty! A przecież widzieliśmy, do czego doszło, kiedy Ameryka zerwała więzy z Matką Anglią! Najpierw jedna wojna, potem następna, jeszcze bardziej krwawa, pomiędzy stanami! Czy chcecie tego samego?

— Nie ma obawy! — rozległa się gromka odpowiedź.

— Nie słuchajcie go! — krzyczał Barnaby. — My nie chcemy niezależności od Anglii, a jedynie równych praw. Ten człowiek

— wskazał na Bena — to zwykle popychadło bogaczy z Brisbane!

— Pamiętał, co Phoebe mówiła o jego układach z Edgarem Thurlwel-lem. — Kto pana opłaca, Buchanan? Western Railroads? Kupili panu miejsce w parlamencie, oddali za darmo udziały w firmie, a wszystko po to, żeby pan tańczył, jak zagrają!

— I co wy na to? — roześmiał się Buchanan. — Walczę o to, by do buszu dotarła wreszcie kolej, a on śmie mnie za to krytykować!

Rozległo się szuranie krzesel. Ludzie zaczęli zbierać się do wyjścia.

— Zaczekajcie! — krzyknął Barnaby. — Wcześniej czy później kolej i tak tu dotrze. Lecz nie w taki sposób! Na pewno czytaliście, że on i jego kamraci chcą przejąć ziemie pod linię kolejową za darmo, nie płacąc za nie ani pensa!

— No i co z tego? — odparował Buchanan. — Minęło dwadzieścia lat, zanim udało się doprowadzić do budowy jedynej istniejącej linii. Chcąc otworzyć kraj, musimy działać szybciej. Potrzebujemy gruntów i dostaniemy je.

261

PATRICIA SHAW

— Nie byłbym tego taki pewien — krzyknął Barnaby.

— Wydaje mi się — odezwał się otyły mężczyzna w koszuli w kratę, wstając z miejsca — że ci dwaj to para wazeliniarzy. Jeśli o mnie chodzi, to wolę się czegoś napić, niż słuchać ich kłótni. Kto idzie ze mną?

Stoły w pawilonie szybko opustoszały, gdyż w drodze do wyjścia publiczność częstowała się stojącym na nich jedzeniem.

— Postaram się, żebyś stracił pracę — warknął Buchanan, zanim wyszedł.

— I nawzajem! — krzyknął za nim Barnaby.

Burmistrz i jego ludzie pośpiesznie opuścili salę, nie chcąc się mieszać w tę awanturę, i po chwili Barnaby został sam z kilkoma kobietami, którym najwyraźniej zrobiło się go żal.

Mae Smith wzięła go na stronę.

— Strasznie mi przykro, panie Glasson. Uważam, że czyni pan słusznie, nawołując do zjednoczenia, niech więc się pan nie poddaje, młody człowieku. — Rozwiązała długi czarny fartuch. — Dobrze chociaż, że jedzenie się nie zmarnowało. A z tym Benem Buchananem lepiej uważać. To zły człowiek. Bardzo zły. I ma pan rację, że ciągle tylko siedzi w mieście. Jego farmę prowadzi żona, to twarda kobieta. A on niewiele jej pomaga, w ogóle się nie zmienił.

— Nie bardzo rozumiem — odparł Barnaby, nie tyle z ciekawości, ile po to, żeby podtrzymać rozmowę z jedyną osobą, która go nie opuściła.

— Znam go od czasów, kiedy jego rodzina mieszkała na północy. Pracowałam jako gosposia w ich posiadłości, w Caravale. Jego matka była podłą osobą, a on ani trochę się od niej nie różni. Kiedy następnym razem tak pana potraktuje, niech pan go zapyta o Diamond.

— O kogo? — spytał zaskoczony.

— O Diamond. Taką czarną dziewczynę. Piękną jak z obrazka. Była jego dziewczyną, rozumie pan chyba, co mam na myśli? Ale sam pan wie, jak to jest u takich jak on. Nic nie widzisz, nic nie słyszysz albo wylatujesz za bramę. Wiem, że była z nim na polach złotonośnych nad rzeką Palmer.

— I trafił na żyłę złota?

— Nie, wrócił do domu bez złamanego pensa. Zachorował tam na malarię. Po śmierci matki sprzedał Caravale, przyjechał w te strony, wżenił się w bogatą rodzinę i kupił Fairmont. Żał mi Clary Buchanan, że musi z nim wytrzymywać. No cóż, wygląda pan na zmęczonego. Może zrobię panu kilka kanapek, zabierze pan sobie do hotelu.

262

OGNIE FORTUNY

— Byłbym pani bardzo zobowiązany.

Siedział w pokoju hotelowym, chrupiąc smakowite kanapki z wołowiną, rozczarowany niespodziewanym obrotem spotkania, tym bardziej że musiał o tym napisać w raporcie. Do plotek na temat Buchanana nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi. Nawet jeśli owa czarna kobieta, Diamond, jest tą samą osobą, którą znał, była to stara historia i nie należało do niej wracać. Diamond umarła, sprawa odeszła w przeszłość. Chociaż to by tłumaczyło, jak weszła w posiadanie złota, które później sprzedawał dla niej Mantrell. Najprawdopodobniej nad rzeką Palmer udało się jej trafić na złotodajną żyłę.

— To ciekawe, jak rzeczy wychodzą na jaw — mruknął pod nosem, kładąc się do łóżka. — Ta rzeka Palmer to musiała być prawdziwa skrzynia skarbów. Gdybym to ja trafił na taką żyłę...

Nie mógł zasnąć. Wiatr poruszał okiennicami, deszcz walił o dach z taką siłą, że chwilami wydawało się, iż blacha zaraz ustąpi pod jego naporem. Hałas był ogłuszający. Barnaby naciągnął koc na głowę i zaczął rozmyślać o Teodorze Prosserze.

Wątpił, by Buchanan zaatakował w taki sposób osobę o pozycji Prossera. A nawet gdyby, spotkałby się zapewne z odporem dużo bardziej zdecydowanym. Barnaby musiał przyznać, że Prosser na pewno poradziłby sobie w takiej sytuacji dużo lepiej niż on, przez co poczuł się jeszcze gorzej. Bo kim właściwie był? Synem farmera, usiłującym walczyć z zastanym porządkiem świata. Skąd przyszło mu do głowy, że ma jakiegokolwiek szanse na zwycięstwo w walce o miejsce w senacie z bogaczami, ludźmi władzy, którzy stanowią prawo, a sami nie muszą go przestrzegać? A jeśli za obrazę parlamentarzysty straci pracę? Co wtedy? Mantrell nie przyjmie go do siebie, bo wybiera się na emeryturę i niedawno znalazł współnika, który przejmie po nim kancelarię.

Rano odwiedziła go delegacja mieszkanek miasta z petycją do ministra sprawiedliwości, w której prosiły o prawo głosu dla kobiet, a on z radością obiecał dostarczyć ją adresatowi.

Przyszedł również burmistrz, by przeprosić za to, co zaszło poprzedniego wieczora.

— Proszę mi zostawić kopię pańskiego przemówienia, a obiecuję, że zadbam, by wszyscy radni dokładnie je przeczytali. Pańskie słowa zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Chryste, panie Glasson! Gdybyśmy, tak jak pan powiedział, mieli własne państwo, toby dopiero był powód do dumy! Zapewniam pana, że w każdej chwili może pan liczyć na moje poparcie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Choć Edgar uparcie ponawiał próśby o spotkanie, premier milczał jak zakłęty, i to pomimo nalegań, by Royce Davies nie zmniejszał nacisków. Jednakże ten dureń tracił panowanie nad sytuacją, pozwalając Abercrombiemu na przejęcie inicjatywy. Zanosilo się na to, że lada dzień Davies przestanie być liderem opozycji.

Próba przekupienia Abercrombiego nie wchodziła w grę, a ponieważ Edgarowi nie udało się znaleźć bagna, w którym mógłby go unurzać, postanowił skupić się na debacie dotyczącej przystąpienia do federacji. Zasygnalizować, że jest zwolennikiem zjednoczenia, zmusić uległych sobie polityków do udzielenia premierowi poparcia w tej szczególnej sprawie i w ten sposób pozyskać jego przychylność.

Davies oczywiście się zgodził, on zawsze płynął z nurtem. Problemem był natomiast Buchanan. Edgar nie wiedział, co z nim zrobić, w jaki sposób go uciszyć. Buchanan pisał, że federalizacja oznacza oderwanie się od Anglii! Ten człowiek w ogóle nie ma politycznego wyczucia, po co właśnie w tej chwili wytacza taki argument? Zawsze pozostaje przynajmniej krok z tyłu. Czy nie dociera do niego, że tylko od premiera zależy sukces albo klęska ich firmy? Grunty pod budowę linii są teraz sprawą najważniejszą.

Edgar chwycił za pióro i napisał list do Buchanana z prośbą, by ten wstrzymał się na jakiś czas z krytyką premiera, w końcu jednak podarł kartkę. Byłoby niezręcznie prosić o coś takiego członka opozycji. Do tego na piśmie.

To wszakże było najmniejsze z jego zmartwień. Mimo publicznej sprzedaży akcji ciągle brakowało gotówki. Dopóki nie miał zabezpieczenia w postaci gruntów, banki nie chciały z nim rozmawiać. Stalownie i producenci domagali się pieniędzy, podobnie jak fabryka

264

OGNIE FORTUNY

wagonów w Sydney, której groziło bankructwo, jeśli Western Rail-roads nie wznowi regularnych wpłat.

Istne piekło. Edgar zwrócił się do swych przyjaciół, amerykańskich magnatów kolejowych, z prośbą o radę i wsparcie finansowe, na które przecież było ich stać, lecz oni nie raczyli nawet odpowiedzieć.

Zagrożony ruiną Edgar musiał znaleźć jakieś wyjście. Założył prywatną firmę o nazwie New South Wales Steelworks, licząc, że w ten sposób zdola okpić akcjonariuszy oraz wścibskich bankierów, po czym zaczął wycofywać kapitał z Western Railroads i przelewać go na konto nowej firmy. Następnie podniósł swoje wynagrodzenie do astronomicznej wysokości, wiedział bowiem, że przez następne cztery miesiące nie grożą mu żadne kontakty z udziałowcami.

Niedawno został przedstawiony niejakiej Connie Downs, wdowie po kopaczu złota z Charters Towers, właścicielu bajecznie bogatych pól El Dorado. Chociaż Connie lubiła czasami załkać rzewnie na wspomnienie ukochanego męża, przyjaciele szepnęli Edgarowi, że tak naprawdę Charlie Downs był pierwszej wody kobieciarzem, który zdradzał żonę przy każdej nadarzającej się okazji. Miarka przebrała się, kiedy zgwałcił pewną młodą Chinkę. Ojciec dziewczyny, broniąc jej honoru, odwiedził Charliego i zostawił go z nożem w brzuchu. Nieszczęsny Charlie. Nie w tym jednak rzecz. Przyjaciółki Connie dwoiły się i troiły, by znaleźć dla niej nowego towarzysza życia. Wybór padł na Edgara.

Tym razem Edgar nie zamierzał się bronić. Zaczął się szykować do sprzedaży domu, rozgłaszając na prawo i lewo, że wkrótce będzie potrzebował większego, czym zachęcił przyjaciółki Connie do wzmoczenia wysiłków. Connie była zachwycona i gotowa na wszystko, byleby tylko sprawić Edgarowi przyjemność. Do tego stopnia, że posłuchała jego rady i wydała dziesięć tysięcy funtów na zakup akcji NSW Steelworks, jego firmy-widma. Zadowolona się przy tym napisanym odręcznie potwierdzeniem wpłaty, ufając, że Edgar zatroszczy się w jej imieniu o dopełnienie wszystkich formalności. Tak świetnie znał się na finansach, Connie była mu niewymownie wdzięczna, że zechciał się zająć jej drobną inwestycją.

Edgar cierpliwie czekał na rozwój wypadków. Jeśli premier zdecyduje się oddać Western Railroads niezbędne ziemie, co zapewniłoby Edgarowi doskonale zabezpieczenie przyszłych kredytów, wtedy wszystko powróci do poprzedniego stanu. A jeśli nie... no cóż, życie toczy się dalej. Edgar Thurlwell był mądrym generałem, dobrze wiedział, kiedy się wycofać.

265

PATRICIA SHAW

Tymczasem Lalla Thurlwell obserwowała związek Edgara i Connie Downs z rosnącym przerażeniem. Pieniądze Edgara to pieniądze Thurlwellów, z jakiej więc przyczyny ta prowincjonalna megiera miałaby położyć na nich łapę? To, że sama jest bogata, nie miało dla Lalli żadnego znaczenia. Jako jego żona stałaby się jeszcze bogatsza. Dużo bogatsza. A co by się stało, gdyby Edgar nagle umarł? W jakiej znaleźliby się sytuacji? Przyszłoby im podzielić się majątkiem z tą chytrą suką.

Lalla dziwiła się, że Edgar okazał się takim głupcem i tak łatwo dał się omotać. Dotąd sądziła, że ma więcej rozsądku. Connie była wszak starą krową, przebierającą się za jałówkę. Nosiła loki jak z obrazka, na twarz nakładała grubą warstwę różu, a jej słodki uśmiech krył, Lalla była tego w stu procentach pewna, serce zimne niczym gład. Od początku mizdrzyła się do Edgara, łasiła jak kotka, schlebiała mu i zakładała suknie z dekoltem do samego pępka, podsuwając mu pod nos swoje wielkie piersi. W jej wieku takie zachowanie było po prostu odrażające.

Tego wieczora Edgar zaprosił Lallę i Williama na kolację, lecz William został pilnie wezwany do szpitala. Lalla próbowała go przekonać, by zignorował to wezwanie — ostatnio zwracali się do niego o pomoc tylko wtedy, gdy nie mieli pod ręką nikogo innego — on jednak uparł się, że musi jechać. Twierdził, że pacjentką jest pewna ważna dama z Sydney, bliska znajoma gubernatora.

Nie chcąc dopuścić, by Edgar i Connie mieli cały wieczór tylko dla siebie, Lalla postanowiła pójść na tę kolację bez Williama. Ubrała się w gustowną suknię z czarnego aksamitu, a jedyną biżuterią, jaką założyła, były perłowe kolczyki, które dostała w prezencie od Edgara. Z ogromną radością stwierdziła, że Connie włożyła zwiewną suknię z różowej organdy i wygląda jak trzydrzwiowa szafa. Dosłownie ociekała klejnotami, rubinami i brylantami, które cudownie kłóciły się z jej dziewczęcą kreacją. Edgarowi wszakże to nie przeszkadzało.

— Czyż nie wygląda jak anioł? — zwrócił się do Lalli, która miała ochotę wrzeszczeć, słysząc wydawane przez Connie pomruki zadowolenia.

— Tak, rzeczywiście — odparła, a kiedy Edgar wydawał lokajowi polecenia, rzekła do Connie: — Jaka piękna suknia. Zapewne przywiozłaś ją z pól złotoñośnych?

— Nie. Mam swoją krawcową. Jest piekielnie droga, ale dopóki nie szyje dla nikogo innego, jestem z niej zadowolona. — Connie posłała Lalli lodowate spojrzenie. — Wiem, że jako wdowa powinnam nadal

266

OGNIE FORTUNY

chodzić w czerni, ale to taki okropny kolor. Dłużej nie byłam w stanie go znieść.

— Racja — stwierdziła Lalla — tylko niektóre kobiety potrafią ją nosić.

Edgar, nieprzejednany kawaler, nie miał gosposi. Connie mogła więc pozwolić sobie na dwuznaczne uwagi, że w jego domu przydałaby się kobieca ręka. Widząc niezadowolenie na twarzy Brody'ego, Lalla czym prędzej się z nią zgodziła. Wiedziała, że Brody będzie jej nieświadomym sojusznikiem w staraniach o rozbitcie tego związku. Był dobrym służącym i z pewnością nie ucieszyłoby go pojawienie się w domu kobiety.

Wieczór był okropny, ale tylko do chwili kiedy Connie zakrzuszyła się ością. Lalla biegła dookoła stołu, udawała, że stara się pomóc, w duchu życząc Connie, żeby się udławiła. Ta zaś kaszlała, czkała i rzeziła, podczas gdy Edgar wpychał jej do gardła kawałki suchego chleba. Ponieważ to nie poskutkowało, razem z Brodym wcisnęli jej głowę pomiędzy kolana i tłukli po plecach, starając się uwolnić ość. W efekcie nieszczęsna kobieta najpierw zaczęła puszczać gromkie wiatry, a potem zwymiotowała na swą piękną różową suknię.

„Dobrze jej tak — pomyślała Lalla. — Je jak świnia.”

I pobiegła po kucharkę, nie miała bowiem najmniejszego zamiaru wracać do cuchnącej jadalni.

Ość wydostała się na zewnątrz wraz z poprzednim daniem, kryzys został więc zażegnany, lecz Connie była w tak oplakany stan, że nie mogła dalej uczestniczyć w kolacji.

— Mój biedny aniołku — użalał się Edgar, kiedy wytarłszy gąbką zabrudzoną suknię, kucharka wyprowadziła Connie z łazienki. — Co mogę dla ciebie zrobić?

— Nic, drogi Edgarze — jęknęła. — Jestem taka zażenowana.

— Nie ma najmniejszego powodu, Connie. Każdemu może się zdarzyć. Czuję się odpowiedzialny za to, że naraziłem cię na taką przykrość.

— Czy mam panią odwiedzić do domu, madame? — zaproponował Brody. Connie spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Byłabym bardzo wdzięczna. Jestem wyczerpana.

— Ja chyba też już pójdę, Edgarze — odezwała się Lalla, a on skinął głową zadowolony, że pozbędzie się ich obu. Lalla nie chciała zostać, gdyż obawiała się, że zacznie się śmiać albo krytykować Connie, czego Edgar mógłby nie znieść. Zawsze chętnie i bezlitośnie oceniał innych, lecz reagował okropnie, kiedy ktoś odważył się podać w wąt-

267

PATRICIA SHAW

pliwość słuszność jego poglądów. „A przecież — myślała Lalla, patrząc, jak szwagier odprowadza Connie do niewielkiego powozu — na temat tego »aniołka« zdanie już sobie wyrobił.”

Wróciwszy do domu, Lalla poszła do salonu, nalała sobie kieliszek wina i usiadła, wypatrując powrotu Williama. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie mu o całej katastrofie, przede wszystkim jednak chciała go ostrzec, że Connie aniołek zaczyna być realnym problemem. William powinien porozmawiać z bratem o tej kobiecie, której żadne szanujące się towarzystwo nie zgodzi się zaakceptować. Nie mówiąc już o Thurlwellach.

Zdziwiła się niepomernie, kiedy usłyszała, że ktoś otwiera frontowe drzwi. Nie słyszała przecież powozu... I nagle ujrzała Phoebe, przemykającą przez hol. Natychmiast zerwała się z fotela i ruszyła córce na spotkanie. Phoebe nie miała na sobie płaszcza, kapelusza ani nawet rękawiczek, była dziwnie zarumieniona i najwyraźniej zaskoczona widokiem matki.

— Gdzie byłaś? — zażądała wyjaśnień Lalla.

— Och... spacerowałam — odparła Phoebe nieprzekonywająco.

— O tej porze? Z kim? Phoebe wzruszyła ramionami.

— Z nikim. Po prostu miałam ochotę się przespacerować.

— Po ulicy? Weszłaś od strony ulicy. Czyś ty oszalała?

— Nie, nie oszalałam. A teraz, mamó, przepraszam, ale jestem zmęczona. Idę się położyć.

Lalla chwyciła ją za ramię.

— Nigdzie nie pójdziesz! Kłamiesz! Jeszcze raz pytam: gdzie byłaś?

— Już ci mówiłam. Spacerowałam.

— Bzdura! Jest dziewiąta. Byłaś u kogoś i na pewno odwiózł cię pod samą bramę. Kto to był? I jak w ogóle śmiesz wychodzić z domu w takim stroju?

— Będę się ubierać tak, jak zechcę! — jęknęła Phoebe znudzonym tonem, na co matka bez chwili namysłu ją spoliczkowała.

— Nie będziesz włóczyć się poza domem jak jakaś ulicznica! W odpowiedzi Phoebe uderzyła matkę.

Lalla zachwiała się i chwyciła za policzek.

— Nigdy więcej nie waż się mnie bić — syknęła Phoebe. — I ciesz się, że nie oddałam ci trzcina. Tą samą, którą ty mnie okładałaś. A teraz zejdź mi z drogi!

268

OGNIE FORTUNY

Kiedy zbuntowana córka kroczyła wyniośle po schodach, Lalla krzyknęła:

— To jeszcze nie koniec! Zobaczysz!

Phoebe wiedziała, że to prawda, i bardzo ją to drażniło. Tym bardziej że spędziła z Benem taki wspaniały wieczór. Zanim wyszła, całował ją bez końca, czule i namiętnie, lecz matka wszystko zepsuła. Phoebe nie wątpiła, że prędzej czy później zostanie przyłapana, nie przypuszczała jednak, że da się matce sprowokować i odpowie policzkiem na policzek. To nie był najlepszy moment na wojny, co więcej, rano przy śniadaniu, kiedy o wszystkim dowie się ojciec, czekała ją kolejna batalia. Phoebe postanowiła porozmawiać z Benem najszybciej, jak tylko będzie to możliwe. Miała dosyć wymykania się z domu, a on, chociaż wykazywał wyjątkową cierpliwość, stawał się okropnie spięty, ilekroć wspomniła choćby słowem o swoich rodzicach. „Trudno mu się zresztą dziwić” — martwiła się. Na pewno go irytowało, że nie może się z nią nigdzie pokazać, że musi cierpliwie wyczekiwać tej chwili, kiedy uda się jej wymknąć z domu. To przecież takie poniżające.

Może powinna rodzicom o nim powiedzieć i raz na zawsze mieć to z głowy?

Podczas śniadania ojciec, jak zwykle rano w fatalnej formie, nie bardzo wiedział, której z nich uwierzyć.

— Nie wolno ci wychodzić samej w nocy, Phoebe — oznajmił.

— To bardzo nierozsądne. I nawet nie wiesz, jak bardzo niebezpieczne.

— Nie przypuszczam, żeby była tam sama — wtrąciła Lalla.

— Nie wierzę w tę bajkę.

— To się nie może nigdy więcej powtórzyć — dodał i sięgnął po gazetę.

— Już ja tego dopilnuję — nie ustępowała Lalla. — Skoro nie można jej ufać, to pod naszą nieobecność będzie z nią zostawała jedna z pokojówek. A jeśli przyjdzie jej ochota na spacer, może sobie pochodzić po ogrodzie.

„No to klops — pomyślała Phoebe. — I co teraz?” Być może dałoby się nakłonić Biddy, by raz czy drugi przymknęła oko, ale gdyby zostały przyłapane, Biddy z pewnością straciłaby pracę. Poza tym nie jest przecież głupia i nie pozwoliłaby Phoebe włóczyć się gdzieś bez słowa wyjaśnienia. Od razu chciałyby wiedzieć, dokąd jej podopieczna się wybiera. A prawda na pewno by jej się nie spodobała, nie chciałyby brać udziału w spisku. Biddy tym się różniła od Lalli, że szczerze

269

PATRICIA SHAW

pragnęła dobra Phoebe. Kochana Biddy. Nie miałyby dla niej znaczenia, kim jest Ben, liczyłyby się jedynie to, że młoda dama nie powinna odwiedzać dżentelmena o tak późnej porze. Wszak to właśnie jedna z owych „okazji do grzechu”, przed którymi Biddy tak często ją przestrzegała.

A co się stało z Barnabym? Nawet nie odpowiedział na jej kartkę, tę, którą wysłała do niego przed kilkoma tygodniami. Przecież powinien być już w domu. Zdesperowana wysłała kolejny list, prosząc przyjaciela, by koniecznie ją odwiedził, gdyż bardzo potrzebuje jego rady.

Phoebe wiedziała, że nie wolno jej nie doceniać matki. Nie dość, że wieczorami pozostawała pod strażą, to jeszcze Lalla pilnowała, aby podczas wypraw w ciągu dnia zawsze towarzyszył jej któryś z zaakceptowanych przez rodziców przyjaciół, a w najgorszym razie, by w obie strony jechała powozem. Zamiast pisać bezsensowny list do Bena, Phoebe zaczęła do soboty i jak zwykle wybrała się do klubu tenisowego. Stangretowi kazała przyjechać o piątej, a potem bez trudu wymknęła się na zewnątrz i klucząc bocznymi uliczkami, dotarła do stajni. Na zawsze zapamiętała jego spojrzenie, kiedy zobaczył ją w bramie. To gorące uczucie w jego oczach. Nie radość, nie podniecenie, lecz wyraz, który nie pozostawił wątpliwości, że poza nią nie istnieje dla niego nikt ani nic. Rzucił siodło, które właśnie niósł, i szybko do niej podszedł.

— Phoebe — odezwał się cicho, chwycił ją za rękę i zaprowadził do biura.

— Przepraszam. Nie mogłam przyjść. Matka... Nie dał jej dokończyć.

— Nie szkodzi — rzekł i wziął ją w ramiona.

W końcu jednak pozwolił jej mówić i wysłuchał w milczeniu skarg.

— Obserwują mnie, Ben. Co mogę zrobić? Wiem, że nie pozwolą mi się z tobą spotykać, a tak strasznie za tobą tęsknię.

— Od początku wiedziałem, że wpakujemy się w tarapaty, Phoebe. Dlatego zrobię, co zechcesz.

— Co na przykład? Co możesz zrobić?

— Przestać się z tobą widywać. Przestać cię narażać na te wszystkie kłopoty i pozwolić ci prowadzić normalne życie.

— Nie! — krzyknęła. — Wcale tego nie chcesz. Jesteś dla mnie wszystkim!

— W takim razie mamy jedno wyjście. Zostań moją żoną.

270

OGNIE FORTUNY

Phoebe zaniemówiła. Nie mogła udawać, że małżeństwo nigdy nie przyszło jej do głowy, teraz wszakże, kiedy sprawa została postawiona jasno i bez ogródek, ogarnął ją strach.

— Naprawdę? — wyszeptała. — Sądysz, że to możliwe? Stał przed nią i ujął jej dłonie.

— To niezbyt romantyczne oświadczyzny. Obiecuję, że postaram się bardziej, kiedy nie będziesz się czuła taka zaszczuta. Kocham cię, Phoebe, i nie jestem biedakiem. Nie mogę

jednak przyrzec, że dam ci wszystko, czego chcesz, bo nie wszystko da się kupić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Musisz więc starannie zważyć ewentualne zyski i straty.

— Mówisz tak, jakby chodziło o interesy — mruknęła zakłopotana.

— Bo to bardzo poważna sprawa — odparł. — Gdybym cię poślubił i w ten sposób unieszczęśliwił, z żalu pękłoby mi serce. Wolę już, by stało się to teraz.

Pocałowała go.

— Chcę za ciebie wyjść. I też cię kocham. Na pewno będę szczęśliwa, dlaczego więc próbujesz mnie przestraszyć?

— Już jesteś przestraszona. Widziałem to w twoich oczach. Ślub z kolorowym to poważny krok, zwłaszcza jeśli to były więzień. Taka decyzja na pewno miałaby fatalny wpływ na twoje życie towarzyskie.

Phoebe odepchnęła go.

— Życzyłabym sobie, żebyś przestał w końcu opowiadać te bzdury. Nie jesteś czarny, niektórzy biali mężczyźni mają mocniejszą opaleniznę. A twój ojciec był biały. Kim on właściwie był?

— Nie wiem. Zawsze myślałem, że Oma naprawdę jest moją babcią, że mama poślubiła jej syna. Ale powiedziała mi, że to nieprawda. Przygarnęła mamę, kiedy była jeszcze małą dziewczynką.

— Twoją mamę — cicho powtórzyła Phoebe. — Lubiłam ją. Sepleniałam, a ona...

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej — przerwał jej Ben łagodnie. — Chcę, żebyś została moją żoną, Phoebe, ale nie mogę obiecać ci tego wszystkiego, czego dziewczęta oczekują. Nie możemy ogłosić zapowiedzi, bo miałabyś z tego powodu zbyt wiele kłopotów. Możemy co najwyżej wziąć cichy ślub. Czy potrafisz to znieść?

— Tak!

— To wymaga wiele odwagi.

271

PATRICIA SHAW

— Nie chcę dłużej tego słuchać — zdenerwowała się. — Oświadczyłeś mi się, Benie Beckman, a ja przyjąłam twoje oświadczyiny. Teraz wszystko zależy od ciebie.

— Dobrze — odparł zdecydowanie. — Za trzy miesiące, kiedy już oswoisz się z tą myślą, zaproszę cię do siebie do domu, przyszykuję róże, szampan i wszystkie niezbędne drobiazgi. A jeżeli powiesz nie, będziemy świętować przyjaźń, której nic nigdy nie zniszczy. Dobrze? Phoebe o mało się nie rozplakała. Pojęła, że próba przekonania go, że te trzy miesiące wcale nie są potrzebne, byłaby z góry skazana na niepowodzenie.

— Skąd w tobie tyle mądrości? — spytała.

— Dała mi ją miłość trzech wspaniałych kobiet — uśmiechnął się.

Czekała na Barnaby'ego w parku na ławce, z której roztaczał się widok na rzekę. Była to łagodniejsza strona Brisbane, kontrastująca z wysokimi czerwonymi klifami Kangaroo Point. Dostojny gmach parlamentu i pełne zieleni okolice ogrodu botanicznego zawsze wydawały się Phoebe dość dziwnym miejscem. W taki leniwy, pogodny dzień trudno było uwierzyć, że tu właśnie toczą się zażarte debaty i wojny, o których codziennie rozmawiano u niej w domu. Biddy, w tym okresie jej nieodłączna towarzyszka, poszła na spacer do ukochanego ogrodu botanicznego, nie zważając, iż Phoebe umówiła się na spotkanie z panem Glassonem. Lubiła Barnaby'ego i sądziła, że między nim a Phoebe szykuje się romans, Phoebe zaś nie miała najmniejszego zamiaru wyprowadzać jej z błędu. Obserwowała ryby wyskakujące z wody i zastanawiała się, po co właściwie to robią. Może łapią owady, a może po prostu się bawią. Phoebe była rozżalona, że jej życie tak strasznie się skomplikowało, i marzyła o tym, by zjawiła się jakaś dobra wróżka i rozwiązała jej problemy.

Barnaby zbiegł po trawiastym zboczu. Cmoknął ją w policzek i powiedział:

— Przepraszam, że kazałem ci czekać. Zatrzymali mnie. Co tam u ciebie? Wyglądasz wspaniale.

— Ale wcale się tak nie czuję. Cieszę się, że cię widzę. Stęskniłam się za tobą.

— Niezły początek — roześmiał się. — Masz ochotę się przejść?

— Nie, dziękuję. Wolę posiedzieć. Przede wszystkim chcę cię ostrzec. Edgar dostał list od Bena Buchanana. Píše, że nawołujesz do rewolty, i zamierza złożyć na ciebie skargę u premiera. Coś ty takiego zmalował?

272

OGNIE FORTUNY

— Po prostu wykonywałem swoje obowiązki, przekonywałem do utworzenia federacji, tak jak mi polecono. A Buchanan rzeczywiście złożył skargę, ale nie do premiera, tylko do ministra sprawiedliwości. Szczur. Jakoś udało mi się wybronić i nie wyleciałem z pracy, tylko musiałem obiecać, że póki jestem w ministerstwie, nie będę próbował załatwiać własnych spraw.

— Jakich własnych spraw?

— Że nie zgłoszę swojej kandydatury do senatu. Phoebe roześmiała się.

— Ty czasami naprawdę zachowujesz się jak szalony. Nie próbuj walczyć z wiatrakami. Nie będzie żadnego senatu. Mój ojciec twierdzi, że cała ta federalizacja została ostatecznie pogrzebana. Poza tym nie wiedziałam, że zacząłeś interesować się polityką.

— Rzeczywiście, zacząłem. To zaraźliwe. Często obserwuję polityków w akcji, spotykam ich też w parlamencie. Niektórzy to tacy durnie, że człowiek łatwo może uwierzyć, że potrafiliby ich zastąpić.

— Jesteś prawnikiem, i to dobrym — stwierdziła lojalnie Phoebe.

— Na pewno byś sobie poradził. Ale rozumiem, że twoja kariera polityczna stanęła w martwym punkcie?

— Nie. Senat może poczekać. Zamierzam poprosić premiera o zgodę na ubieganie się o fotel w naszym parlamencie jako kandydat rządu.

— O Boże! To dopiero! Jaką dadzą ci funkcję?

— Niczego mi nie dadzą. Żeby zasiąść w parlamencie, będę musiał sporo się napracować. Postanowiłem kandydować z Padlow.

— Z Padlow? — zamyśliła się. — Poczekaj no. Przecież z Padlow będzie kandydował Buchanan. Zamierzasz z nim walczyć?

— Tak.

— O nie. To cudownie! Moi rodzice będą zachwyceni — stwierdziła z sarkazmem. — Będziesz następnym, który trafi na ich czarną listę.

— Dlaczego? I kto jest tym pierwszym?

Przez dłuższą chwilę milczała, wpatrując się smutno w wartki nurt rzeki.

— Barnaby, potrzebuję twojej rady. — Wzięła głęboki oddech.

— Zakochałam się.

Jego nastrój także uległ gwałtownej zmianie.

— To nie jest najlepsza wiadomość, ale dziękuję, że mi powiedziałaś. Znam go?

Uchyliła się od odpowiedzi, udając, że nie usłyszała pytania.

18 Ognie fortuny

273

PATRICIA SHAW

— Prawdę mówiąc, dla mnie to też wcale nie jest najlepsza wiadomość. Moi rodzice go nienawidzą, a kiedy im powiem, że chcę za niego wyjść, będzie awantura, jakiej świat nie widział.

— Kto to taki? — nie ustępował Barnaby.

— Na razie nie mogę ci powiedzieć. Znamy się od dawna i bardzo się kochamy.

- Czy został wyproszony z twojego domu?
 - Nie. Nigdy u nas nie był. Rodzice o niczym nie wiedzą. Barnaby nie krył poirytowania.
 - Phoebe, to do ciebie w ogóle nie pasuje... taka skrytość. Wiem, że nie najlepiej układają ci się stosunki z rodzicami, ale żeby spotykać się z kimś bez ich wiedzy... Nie uważasz, że będą mieli prawo wściec się na ciebie? A poza tym co to za mężczyzna, który prosi o rękę, nie przedstawiając się nawet ojcu swojej wybranej?
 - To wspaniały człowiek.
 - Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Naprawdę, Phoebe. W co ty się wpakowałeś?
 - Nie złość się na mnie, Barnaby. Powiedz mi, co mam zrobić. Doszliśmy do momentu, kiedy on oznajmił, że musimy albo rozstać się na zawsze, albo wziąć ślub.
 - Ja radziłbym ci wybrać tę pierwszą możliwość — stwierdził Barnaby bez chwili wahania.
 - Nie mogę. Po prostu nie mogę.
 - Dlaczego? Chyba nie jesteś...?
 - Nie, nie jestem w ciąży. Nie mówiłam, że jesteśmy kochankami. Powiedziałam, że się kochamy.
- Barnaby westchnął.
- Twoi rodzice i tak prędzej czy później o wszystkim się dowiedzą. Kto jeszcze wie?
 - Nikt.
 - Dobry Boże! Nawet twoje przyjaciółki Bunny i Leisha?
 - Nawet one.
 - A czy ten czarny koń ma dość pieniędzy, żeby cię utrzymać? Phoebe uśmiechnęła się.
 - Tak, jest dość zamożny. Barnaby mocno ścisnął dłonie.
 - Prosiłaś mnie o radę, Phoebe, więc ci ją dałem. Co jeszcze mogę powiedzieć?
 - Chciałabym wiedzieć, co się stanie, jeśli weźmiemy ślub i uciekniemy.

274

OGNIE FORTUNY

- Na litość boską, nie radzę ci tego robić. Daj rodzicom chociaż szansę. Skąd wiesz, że go nie zaakceptują? Skoro go kochasz, nie może być aż taki zły. Powiedz im o wszystkim.
 - To niemożliwe.
 - Na Boga, to musi być możliwe. Kim jest ten człowiek? Chcesz, żebym z nim porozmawiał?
 - Nie wiem. Może. Ale boję się, że uda ci się go przekonać, że to małżeństwo nie ma sensu, a wtedy cię znienawidzę.
 - Więc co? Zamierzacie się ukrywać do końca życia? Przecież ktoś musi z nim porozmawiać! Im więcej mi opowiadasz o tej potajemnej miłości, tym większą niechęć czuję do tego człowieka. Jeśli liczysz na moje zrozumienie, będziesz musiała mi go przedstawić; w przeciwnym razie jeszcze raz ci powtarzam: dla własnego dobra zerwij ten związek. Phoebe wahała się. Nie przyszło jej do głowy, że Barnaby będzie chciał go poznać. Choć może to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie? Byłoby dobrze gdyby ktoś, na przykład Barnaby, porozmawiał z Benem. I wiedział o nich.
 - To Ben Beckman — powiedziała, dumnie unosząc głowę.
 - Kto? — wykrzyknął zdumiony. — Syn Diamond?
 - Tak. I tylko mi nie mów, że siedział w więzieniu. Wiem o wszystkim. Znam Bena od dzieciństwa, jest przecież moim sąsiadem. Widzisz, chcę jedynie poślubić chłopaka z sąsiedztwa — dodała, parodiując popularną piosenkę.
- Przerażony Barnaby kręcił głową.
- O Boże! Ale będzie piekło!
 - To właśnie próbowałam ci wytłumaczyć. W gruncie rzeczy przypominasz mi Bena. Powiedział, że muszę się dokładnie zastanowić nad tak ważnym krokiem.
 - A ty naprawdę chcesz to zrobić — stwierdził Barnaby.

— Tak. Aha, idzie Bidy. Muszę już wracać. Obiecuj mi, że spotkasz się z Benem. Jak z nim porozmawiasz, zrozumiesz, dlaczego tak bardzo go kocham.

— Umówię się z nim na spotkanie — odparł Barnaby. Wiedział, że zabrzmiało to bardzo oficjalnie, lecz jak właściwie miał zareagować? „Ben Beckman! Dobry Boże! Przecież Thurlwellowie ruszą za nim ze strzelbami albo postarają się, by znów trafił do więzienia. Czy on w ogóle ma pojęcie, na co się porywa?”

Ten skandal nie zaczął się nagle. Narastał powoli, jak pleśń podczas parnego lata. Wszystko zaczyna się od zielonkawego nalotu na butach

275

PATRICIA SHAW

i surdutach schowanych w ciemnych szafach, potem złośliwy grzyb zdradliwie się rozprzestrzenia, panicznie bojąc się światła. Ale otwórzcie tylko drzwi do pokoju, który w porze upałów i wilgoci przez miesiąc pozostawał zamknięty, a zobaczycie, jak żarłok się rozpanoszył. Pociemniałe ściany opowiedzą wam ponurą historię, całe zło natychmiast wyjdzie na jaw.

I tak właśnie zaczął się ten skandal, od skarg i gróźb rzeźnika, na które nikt nie zwracał uwagi, człowiek ten bowiem nigdy nie zaliczał się do miłych i lubianych. Później dołączyła do niego żona właściciela innego składu przy tej samej ulicy.

— Idź do niego, wal do jego drzwi, dopóki ci nie otworzy i zażądaj tych pieniędzy! — wrzeszczała na męża, wymachując mu przed nosem plikiem nie zapłaconych rachunków.

— Nie mogę tego zrobić, bo gotów jeszcze przestać u mnie kupować. A to dobry klient.

— Dobry klient! Niech idzie do diabła! To nie Anglia. Ci ludzie nie są w niczym lepsi od nas! Skoro nie płacą, nie będziemy im sprzedawać!

Mąż nie poszedł jednak walić do drzwi, postanowił jeszcze trochę poczekać. Jednakże nie popłacone rachunki wciąż jątrzyły Iris, jego żonę, która rozповідаła dookoła, że poradzą sobie bez pana Thurlwella. Groziła nawet, że sama do niego pójdzie i wygarnie mu, co myśli o takich jak on.

— To nic nie da — powiedziała jej jakaś kobieta. — Moja siostra jest u niego kucharką i na ten miesiąc została zwolniona. Pan Thurlwell wyjechał do Sydney w interesach. Będzie pani musiała poczekać do jego powrotu.

Tak więc sklepikarze postanowili odłożyć sprawę na później. Za to Connie Downs nie.

Zamierzała wydać dla Edgara przyjęcie powitalne, wynagrodzić mu tamten zepsuty wieczór i pokazać, że wcale nie jest gorsza od tej nieznośnej snobki, jego bratowej. A ponieważ nie wiedziała, którym statkiem Edgar powróci, zaczęła kilka tygodni, po czym poinstruowała swego stangreta, by przynajmniej raz dziennie przyjeżdżał koło domu pana Thurlwella, nawet gdyby miało to oznaczać poważne zboczenie z trasy.

Jej czuwanie zostało w końcu nagrodzone. Zasłony były poroz-suwane, okna otwarte na oścież. Connie wysiadła z powozu, podeszła do drzwi i zastukała mosiężną kołatką.

Spodziewała się, że otworzy jej Brody, zamiast niego jednak w drzwiach stała jakaś młoda dziewczyna.

276

OGNIE FORTUNY

— Jestem pani Downs — przedstawiła się Connie. — Chciałabym widzieć twojego pana. Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Chodzi pani o mojego tatę?

Connie zarumieniła się przekonana, że Edgar ma jakichś gości.

— Bardzo przepraszam, moja droga. Chciałam rozmawiać z panem Thurlwellem, ale jeśli jest zajęty...

— Nie szkodzi. Pan Thurlwell już tu nie mieszka. Wyprowadził się. Kupiliśmy ten dom i właśnie dzisiaj rano się wprowadziliśmy.

— O Boże! Przepraszam za tę pomyłkę. Czy może mi panienka podać nowy adres pana Thurlwella?

— Chwileczkę, spytam ojca — odparła dziewczyna i na dłuższą chwilę zniknęła. — Przeprowadził się na przedmieścia Hamilton — oznajmiła po powrocie. — Ale nie znamy dokładnego adresu. Jeśli go pani spotka, proszę mu przekazać, że mamy dla niego pocztę. — Dobrze — obiecała Connie i wróciła do domu, wcale nie rozczarowana. Czyż Edgar nie wspomniał o zamiarze kupna nowego większego domu? Przecież to jasna wskazówka, że planuje zmienić styl życia, że chce się ożenić. A do tego Hamilton! Tyle tam pięknych posiadłości. „Co za szelma” — uśmiechnęła się do siebie. Proszę, szykowała dla niego niespodziankę, tymczasem on ją ubiegł. Jak to ją nazywał? „Mój aniołku” — szeptał i kradł jej całusy, kiedy Lalla nie patrzyła. No dobrze, nie będzie mu psuć zabawy. Zaczeka, aż się do niej odezwie. Ale co to za głuptas! Mógł o wszystkim jej powiedzieć, pomogłaby mu przewieźć rzeczy. Pakowanie i rozpakowywanie to takie pracochłonne zajęcie. Tymczasem co najmniej trzy osoby ze świata bankowości miały bardzo nieprzyjemne wrażenie, że błądzą w ciemnościach. Pierwsza z nich, dyrektor South Pacific Banking Company, który zatwierdził pożyczkę dla Edgara Thurlwella pod zastaw posiadłości jego brata, niepokoił się, gdyż pierwsza rata spłaty jeszcze do banku nie wpłynęła. Zastanawiał się, jak zostanie przyjęte ewentualne ponaglenie.

W banku Nowej Południowej Walii główny księgowy martwił się, że Western Railroad Company mimo publicznej sprzedaży akcji dalej pograża się w długach, a jak dotąd nie położyła ani jednego podkładu. Kiedy ostatnio wspomniał o tym dyrektorowi, został odprawiony z kwitkiem. Usłyszał, że firma jest wiarygodna i ma pewne zabezpieczenia. Próbował więc zlokalizować NSW Steelworks, firmę, do której od pewnego czasu płynął nieprzerwany strumień gotówki

277

PATRICIA SHAW

z Western Railroads, wysiłki okazały się wszakże bezowocne. Wahał się, czy powiedzieć o tym szefowi, obawiał się bowiem, że znowu zostanie skarcony.

Dudley Luxton, dyrektor Banku Queensland, siedział za zamkniętymi drzwiami i dumał nad wspólnym rachunkiem Thurlwell-ów. To prawda, po ostatniej rozmowie Edgar wpłacił dwa tysiące funtów, sumę dalece niewystarczającą, będącą jednak gestem dobrej woli, który uspokoił nieco obawy Luxtona. Później dyrektor wyjechał z rodziną na dwutygodniowe wakacje nad morzem, a po powrocie stwierdził, że sytuacja bardzo się pogorszyła, limit zadłużenia został znacznie przekroczony. Edgar dokonał bardzo wysokich wypłat, jego brat, William, szastał czekami na prawo i lewo.

Bardzo to Dudleya rozzłościło. Mogą sobie igrać w ten sposób z jego zastępcą, lecz nie z nim. Problem polegał jednak na tym, że Edgar Thurlwell nadal przebywał w Sydney. Nagle dyrektorowi zaświtała w głowie pewna myśl. Czyż może być bardziej wymarzona pora na wyjaśnienie takiej sytuacji niż ta, kiedy Thurlwell przebywa poza Brisbane? Był to człowiek groźny, który przy najmniejszej próbie krytyki reagował wrzaskiem oraz waleniem pięścią w blat biurka. Niezbyt przyjemne doświadczenie.

„Dlaczego — zastanawiał się Luxton — ludzie zamożni spłacają pożyczki tak niesumienne? Czyżby gardzili swoimi kredytodawcami? A może są zwolennikami poglądu, że najlepiej jest korzystać z cudzego kapitału?”

Postanowił sprowadzić Thurlwellów na ziemię.

Lalla natknęła się na pleśń jako pierwsza, nie zwróciła jednak na nią uwagi.

— Co to takiego? — spytała Williama, otworzywszy pocztę. — Sklep z kapeluszami odesłał ci rachunek. Pewnie coś źle podpisałeś. Na litość boską, zacznij w końcu uważać, Williamie. Zawsze robisz

takie błędy.

— To są czeki, Lallu — westchnął William. — Pokaż. Obejrzał czek i oddał jej go.

— Wszystko w porządku. Odeślij go do sklepu.

— Dlaczego na odwrocie jest pieczęć banku?

— Dlatego że zanieśli go do banku, a tam widocznie ktoś się pomylił. To nie moja wina.

W następnym tygodniu do Somerset House wracało coraz więcej podobnych czeków, William wysłał więc do dyrektora banku ostry list, skarżąc się na niekompetencję jego pracowników. W odpowiedzi

278

OGNIE FORTUNY

Dudley Luxton przeprosił za zaistniałe trudności i zaprosił doktora do swego biura w celu przedyskutowania sprawy.

— Jeszcze czego! — burknął William. — Pójdę do niego, jak będę miał czas i ochotę.

Dopiero Connie całkiem nieświadomie rozpętała piekło. Nigdy nie ufała księgowym, potrafiła dodawać i odejmować bez ich pomocy, nie chciała też mieć do czynienia z bankierami, uważała bowiem, że gdyby rzeczywiście znali się na pieniądzu tak dobrze, jak twierdzą, sami byliby bogaci. Nie, ona trzymała pieniądze w trzech różnych bankach, na wypadek gdyby, tak jak miało to niedawno miejsce w Victorii, któryś z nich splajtował. Miała za to swojego maklera, z którym bardzo lubiła dyskutować.

Przejrzawszy swój portfel akcji, poleciła mu uwzględnić udziały w NSW Steelworks, które niedawno nabyła.

— Nigdy o nich nie słyszałem.

— Rzeczywiście. Załatwiałam tę sprawę dość nieformalnie.

— Czy ma pani świadectwo zakupu — spytał — żebym mógł je zaksięgować?

— Nie, jeszcze nie mam.

Tego wieczora odwiedził ją w domu, co nigdy dotąd mu się nie zdarzyło.

— Pani Downs, mam bardzo niepokojące wieści. Zasięgnąłem szczegółowych informacji i okazało się, że NSW Steelworks w ogóle nie istnieje. Nie udało się nam również ustalić miejsca pobytu pana Edgara Thurlwella.

— Przeprowadził się do Hamilton — wyjaśniła spokojnie, choć żołądek boleśnie jej się skurczył. Nadal nie miała od Edgara żadnych wiadomości.

— A dokąd dokładnie?

— Nie wiem — przyznała niechętnie.

Podczas gdy on dawał upust swojemu zaniepokojeniu, Connie czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Wkrótce jednak miejsce przerażenia zajął gniew, ten zaś szybko przeistoczył się w furję.

— Wygląda na to — kontynuował makler — że pan Thurlwell nie wrócił z Sydney.

Wysłałem telegram do firmy produkującej wagony dla Western Railroads i otrzymałem odpowiedź, że nawet jeśli pan Thurlwell rzeczywiście przebywa w Sydney, nie mieli od niego żadnych wiadomości. A twierdzą, że muszą się z nim koniecznie skontaktować.

279

PATRICIA SHAW

Po wyjściu maklera Connie nalala sobie podwójną whisky, potem jeszcze jedną, a przez większą część nocy kręciła się niespokojnie po domu. Wiedziała, co musi zrobić. Iść do doktora Thurlwella i zażądać informacji na temat miejsca pobytu Edgara.

Barnaby odnalazł Bena Beckmana w stajniach. Dotychczas spotykali się jedynie w nienormalnych okolicznościach, w więzieniu albo przy okazji pogrzebów, Ben ucieszył się więc, że Barnaby znalazł chwilę wolnego czasu i złożył mu wizytę czysto towarzyską, na taką bowiem początkowo wyglądała. Oprowadził gościa po stajniach, a następnie pokazał mu siodlarnię, w której ciężko pracowało czterech ludzi.

— Dobrze prosperujesz — stwierdził Barnaby.
— A będę jeszcze lepiej — odrzekł Ben. — Zamówiłem automobil.
— Automobil? Po co ci automobil?
— Chcę się nauczyć, jak działa. Być może minie sporo czasu, zanim uda mi się go sprowadzić. Ma mi go dostarczyć pewien człowiek.
— Chyba nie zamierzasz ich produkować?
— Nie. To zbyt trudne. Ale ludzie będą je kupować, zastanawiam się więc nad punktem sprzedaży paliwa i warsztatem naprawczym.
— Podobno rzeczywiście strasznie się psują — roześmiał się Barnaby.
— To dobrze. Mógłbym też wypożyczać swój własny automobil zamiast powozów. Sporo różnych możliwości, nie sądzisz?
— Kiedyś na pewno tak będzie — zgodził się Barnaby. — Choć na twoim miejscu bym się nie śpieszył. Tutejsi ludzie są bardzo konserwatywni.

Wrócili przez stajnie na wybieg, gdzie jeden ze stajennych ćwiczył konia, usiedli na ogrodzeniu i rozmawiali jak starzy znajomi. Gdy tak palili i gawędzili, Barnaby'emu przypomniał się dom rodzinny. Jego ojciec pod koniec dnia bardzo lubił siedzieć na ogrodzeniu w pobliżu bydła i palić. Była to „chwila dla mężczyzn”, później myli się i wracali do domu na kolację. Ojciec mówił raczej niewiele, na ogół o farmie, i tylko czasami zdarzało mu się udzielić synowi jakiejś rady. Chociaż Barnaby był niewiele starszy od Bena, czuł, że w ich wzajemnych relacjach przypadła mu rola opiekuna. A właściwie narzuciła mu ją Phoebe. Nie! Nagle uświadomił sobie, że to stało się dużo wcześniej. To Diamond uczyniła z niego opiekuna Bena, przed laty, kiedy aresztowano go pod zarzutem kradzieży.

280

1

OGNIE FORTUNY

Wciąż jeszcze dręczyły go wyrzuty sumienia, że przyjął wówczas te pieniądze. Nigdy później nie zdarzyło mu się wziąć łapówki. Pocieszał się tylko, że uczciwie to odpracował. Czy na pewno? A może najgorsze miało dopiero nastąpić?

Z sąsiedniego domu pomachała im młoda kobieta.

— Kto to? — zainteresował się Barnaby.

— Kathleen O'Neill. Wspaniała dziewczyna. Jej ojciec był właścicielem stajni. Masz dziewczynę?

Barnaby był zaskoczony. To on miał zadać to pytanie i przejść do najważniejszego tematu.

— Mmm... nie — odparł.

— W takim razie muszę was sobie przedstawić — stwierdził Ben. — Spodoba ci się. Świetnie gotuje. Może załatwimy to od razu?

— Nie, nie teraz. Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać. Ben zgasił butem niedopałek papierosa.

— Phoebe? — zapytał. — Powiedziała ci o nas? Mówiła, że jesteś jej przyjacielem.

— Tak, powiedziała.

— No i co ty na to?

— Ben, czy ty naprawdę sądzisz, że pozwolą ci się z nią ożenić?

— Nie.

— W takim razie co zamierzasz?

Ben zeskoczył z ogrodzenia i oparł się o nie.

— Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Chcę się z nią ożenić, ponieważ ją kocham i wydaje mi się, że z wzajemnością.

— Sądzisz, że to wystarczy?

— Nie wiem. Co powiedziałaś Phoebe?

— Że to się nie może udać. Ben wzruszył ramionami.

— Przynajmniej jesteś szczerzy.

— Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że Phoebe to dziewczyna, która zawsze chce chodzić własnymi drogami i że być może ta sprawa jest tego przejawem? Ona uwielbia szokować. Sama ustala reguły gry. Zawsze taka była i ani trochę się nie zmieniła.

— Zbuntowana? Tak, zauważyłem.

— Ben, ty też się buntujesz, chyba od dzieciństwa, muszę zresztą przyznać, że masz po temu powody, ale czy nie wydaje ci się, że to tylko zauroczenie? Płomień, który, wybac mi, że to powiem, szybko zgaśnie, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie czyhające na was przeciwności losu.

281

PATRICIA SHAW

— Kochasz się w Phoebe?

— Tak i nie. Szalałem na jej punkcie, ale pogodziłem się z tym, że nie mam szans.

— Tak przypuszczałem — stwierdził Ben bez cienia złości. — W takim razie właśnie ty powinieneś zrozumieć, co do niej czuję. Nie zrezygnuję z niej, nie potrafiłbym. Chyba że sama powie, że to koniec. A wtedy, mam nadzieję, potrafię to znieść równie dzielnie jak ty.

— O Chryste! — jęknął Barnaby. — Może pójdziemy do pubu i czegoś się napijemy?

— Nie pijam w barach — odparł Ben. — Staram się unikać kłopotów.

Barnaby zapomniał, że Ben ze swoją oliwkową cerą i ciemnymi obwódkami wokół oczu nadal może zostać wyproszony z baru jako Aborygen, gdyby przypadkiem ktoś wpadł na pomysł, by skorzystać z tego archaicznego przepisu. To wszakże wydawało się teraz sprawą drugorzędną.

— Jak na kogoś, kto stara się unikać kłopotów, masz całkiem niezłe osiągnięcia. W dodatku teraz, kiedy życie zaczęło ci się układać, pakujesz się w naprawdę poważne tarapaty.

— Nie mam wyboru. Ale tym razem, jeśli Phoebe rzeczywiście za mnie wyjdzie, nie przegram. — W jego głosie zabrzmiała złowieszcza nuta, przywodząca na myśl okres kamieniołomów. — Nie dam się pokonać.

Barnaby zadrżał. To już nie był miły człowiek interesu, to był nieodrodny syn Diamond. Tak samo patrzyła wówczas Diamond, żądając, by za wszelką cenę doprowadził do uwolnienia jej syna. Z taką samą goryczą i zadziwiającą przenikliwością. Ona znała obowiązujące reguły. Ciekawe, czy Ben także je zna.

Barnaby stwierdził, że woli iść się gdzieś napić i coś przekąsić, niż wracać do swoich pokoi, gdzie miał tylko bułki i placek z wieprzowiną. Polubił Bena, wydawał się bardziej przyjazny aniżeli egoistyczni urzędnicy, w których towarzystwie Barnaby obecnie się obracał. Był bardziej naturalny.

Gdyby tylko zrezygnował z tego samobójczego planu zdobycia Phoebe.

— Mój znajomy prowadzi bar niedaleko stąd — rzekł. — Moglibyśmy tam pójść. Nikt nie będzie cię niepokoił. Jeżeli zdecydujesz się otworzyć ten automobilowy interes, przynieś mi do przejrzania kontrakty. Sprawdzę ci je. We wszystkich nowych dziedzinach trzeba być bardzo ostrożnym.

282

OGNIE FORTUNY

Siedzieli w hotelowym barze niczym starzy dobrzy znajomi. Dzieląca ich różnica wieku jakby stopniała. Zjedli po solidnej porcji kiełbasy wieprzowej z tłuczonymi ziemniakami, popijając bordo.

— Nie piję dużo — stwierdził Ben.

— Ja też nie — zapewnił uroczyście Barnaby, po czym zawołał kelnerkę. — Jeszcze jedną butelkę poproszę.

Rozmawiali i rozmawiali, Barnaby opowiadał o swojej ostatniej podróży i politycznych ambicjach, Ben o siodłami i koniach. Nie wspominali tylko o Phoebe. Zabrali się za półmisek chleba i sera, i zamówili następną butelkę.

Barnaby opowiedział Benowi o swoim spotkaniu z mieszkańcami Charleville, które o mało nie kosztowało go posady, a wszystko przez Buchanana.

— A właśnie — wymamrotał, coraz bardziej pijany. — Spotkałem tam kobietę, która знаła twoją matkę. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Jak się nazywa?

Barnaby próbował skupić myśli, lecz kręciło mu się w głowie.

— Zapomniałem. Później sobie przypomnę. Ona też nie lubi Bena Buchanana. Mówiłem ci o nim. To ten, co popsuł mi spotkanie. Znasz to nazwisko?

— Tak, Buchananowie trzymali u mnie konie. Pani Buchanan to czarująca kobieta. Zleciła mi zorganizowanie transportu paszy na ich farmę. Dzięki Bogu, że ta susza wreszcie się skończyła, na pewno bardzo im ulżyło. Kiedyś muszę tam znowu pojechać. Chciałbym zobaczyć, jak wyglądają te okolice po tym, jak spadł deszcz.

— Przede wszystkim musisz mnie przedstawić pannie O'Neill. Może teraz?

— Nie. Jest za późno. Jeszcze by pomyślała, że jesteśmy pijani, i odgryzła nam głowy.

Wiesz, moja babka umarła koło jej domu. W ciszy i spokoju, pod drzewami.

— Świeć, Panie, nad jej duszą — zaintonował Barnaby. — To nie była twoja prawdziwa babka, prawda?

— Tak.

— Twoja matka... Diamond... znalazła złoto. Czy to było na polach Palmer? — Barnaby'emu trochę się przejaśniło w głowie. Zjadł następny kawałek sera.

— Tak. Odnalazła tam też swoje plemię, Irukandji. To oni pokazali jej, gdzie trzeba szukać. Nie potrzebowali złota. Oma mówiła, że wiele lat później pojechała tam jeszcze raz, żeby się z nimi spotkać.

283

PATRICIA SHAW

Ale ich już tam nie było. Większość nie żyła, a resztę biali rozpędzili na cztery strony świata.

— Czy pracowała na zachodzie? — Ben zareagował wprawdzie na nazwisko Buchanan, lecz tylko w odniesieniu do pani Buchanan, a nie o to przecież chodziło.

— Tak, chyba tak. Oma mówiła, że była gdzieś służącą. Na jakiejś dużej farmie.

— Gdzie?

— Nie wiem. Gdzieś w pobliżu miejsca, w którym znaleziono duże ilości złota.

— Charters Towers?

— Tak.

— Czy słyszałeś kiedyś o farmie Caravale?

— Nie. A dlaczego?

Barnaby czuł się bardzo zmęczony. Nie był pewien, czy to od wypitego alkoholu, czy może z powodu późnej pory.

— Bo ta kobieta w Charleville mówiła mi, że tam właśnie pracowała.

— Możliwe — odrzekł Ben i wyjął z kieszeni kilka banknotów. — Zapłacę. To był miły wieczór, ale wolałbym dotrzeć do domu, zanim zwałę się z nóg. Sprowadzę dorożkę.

Podwieźć cię? Gdzie mieszkasz?

— Wynajmuję pokoje przy Albert Street. Nie są może zbyt szykowne, aczkolwiek na moje skromne potrzeby w zupełności wystarczą.

Ben był zdumiony. Dotychczas sądził, że prawnicy mieszkają w przestronnych willach, a już na pewno ktoś taki jak Barnaby Glasson, który przecież pracuje u ministra sprawiedliwości. Kiedy dotarli na Albert Street, Barnaby zataczał się, z trudem stał na nogach, Ben wciągnął go więc po schodach, wziął klucz, zapalił lampę i rzucił kompana na łóżko.

Nie było tam kuchni, łazienki ani nawet balkonu, a całe mieszkanie składało się z zaledwie dwóch pomieszczeń: sypialni i gabinetu, w którym królowało ogromne biurko i stół zavalony książkami oraz jakimiś papierami. Okna wychodziły prosto na gołą ceglana ścianę sąsiedniej kamienicy. Dywan był wytarty, ściany należałoby jak najszybciej pomalować.

A więc tak właśnie żyją? To nie w porządku.

Kiedy nazajutrz wieczorem Barnaby Glasson wrócił z pracy, zastał Bena siedzącego na stopniach.

284

OGNIE FORTUNY

— Mam pomysł, Barnaby.

— Jeśli chcesz, żebym sobie kupił automobil, zapomnij o tym

— roześmiał się Barnaby.

— Nie. Chodzi o to, że mieszkam sam, a w moim domu są dwa puste pokoje. Jeżeli chcesz, mógłbyś zająć pokój Omy. To ten na końcu korytarza. Każę go dla ciebie przygotować. — Nagle zawahał się, jakby onieśmielony. — To znaczy, możesz się oczywiście nie zgodzić. To tylko propozycja.

Barnaby nie krył konsternacji.

— Miło z twojej strony, że to proponujesz, ale sam nie wiem. Nigdy się nie zastanawiałem nad przeprowadzką. Mieszkam tu, odkąd przyjechałem do Brisbane.

— U mnie miałbyś przynajmniej do dyspozycji kuchnię i ogród. I więcej miejsca. A ja bym ci nie zawracał głowy. Robiłbyś, co byś chciał, wychodzi! i wracał o dowolnej porze.

Barnaby zaczął się zastanawiać. Dom Bena, położony w pięknej okolicy, czysty i przestronny, bardzo różnił się od jego obecnego lokum, nieznośnie dusznego w lecie i niemal pozbawionego słońca w zimie. Jednakże te ciasne pokoje miały przynajmniej jedną zaletę

— były tanie.

— Ile wynosiłby czynsz? — spytał.

— Jaki czynsz? Nie ma mowy o żadnym czynszu. Mówię ci, że pokój stoi nie używany.

Możesz za to kupować sobie sam jedzenie, skoro tak ci zależy.

— Czułbym się lepiej, gdybym płacił ci czynsz.

— Nie bądź taki nadęty. W końcu nie robisz ci żadnej łaski. Jeśli chcesz, pokój jest do twojej dyspozycji.

Propozycja była naprawdę kusząca. Do pracy pływałby promem.

— A co na to Phoebe? — spytał.

— Phoebe na pewno nie będzie to przeszkadzało. A jeśli weźmiemy ślub, to czy wyobrażasz sobie, że moglibyśmy mieszkać w sąsiedztwie moich teściów?

— O Boże, nie! — roześmiał się Barnaby.

— W takim razie spróbuj. Jeśli mieszkanie nie będzie ci odpowiadać, w każdej chwili możesz wrócić do miasta. A ja, jeśli poszczęści mi się w miłości, prędzej czy później się stamtąd wyprowadzę, choć domu na pewno nie sprzedam.

— Czy mógłbym się wprowadzić pod koniec tygodnia?

— Kiedy tylko zechcesz.

285

PATRICIA SHAW

Nie miał zbyt wielu rzeczy do spakowania, tylko ubrania, książki i trochę drobiazgów. Kiedy znosił to wszystko do wynajętego powozu, nagle zdał sobie sprawę, że przez te wszystkie lata pracy niewiele się dorobił, może z wyjątkiem kilku lepszych surdutów, które kupił, by odpowiednio prezentować się w parlamencie. No i imponującej kolekcji koszul. Ilekroć zapominał zanieść brudne ubrania do chińskiej pralni, musiał pędzić do sklepu po nową.

Kiedy w sobotę po południu zjawił się w domu na Kangaroo Point, czekała na niego ta dziewczyna, Kathleen O'Neill.

— pan Glasson, prawda? Proszę wejść. Ben jeszcze nie wrócił ze stajni. W soboty zawsze mają okropne urwanie głowy. — Wprowadziła go do sypialni. — Ładnie tu, prawda? Kiedy powiedział Alice, że zamieszka u niego przyjaciel, stwierdziła, że pokój trzeba odpowiednio przygotować.

— Alice? Kto to taki?

— Alice Callaghan. Żona dyrektora stajni. Ben dał nam wolną rękę, więc przyszliśmy tu trochę posprzątać. Od śmierci jego babki pokój stał praktycznie nietknięty. Ale Ben wpadł na jeszcze lepszy pomysł. Kazał nam wstawić nowe meble.

— Jestem paniom bardzo wdzięczny.

— Drobiazg — uśmiechnęła się. — Wybierając meble, świetnie się wszyscy bawiliśmy. Biurko też jest całkiem nowe. Ben powiedział, że będzie panu potrzebne. Ładne?

— Wspaniale! — Barnaby rozglądał się po pachnącym świeżością pokoju, największym w całym domu, w którym wszystko wydawało się nowe, nawet pościel i zasłony. Na mahoniowej toaletce stał wazon z kwiatami.

Kathleen uparła się, że pomoże mu się rozpakować, i przez cały czas gawędziła, jakby znali się od lat.

— Jest pan prawnikiem, prawda? Gdzie ma pan biuro?

— W parlamencie. Przynajmniej na razie.

— No, no! — wykrzyknęła zdumiona. — To z pana musi być bardzo ważna persona.

— Ależ skąd. Na co dzień studiuje pisma prawnicze, a potem piszę sprawozdania.

— Tak czy owak na pewno jest pan w tym dobry. Zaparzyć panu filiżankę herbaty?

— Dziękuję, bardzo chętnie. A ja tymczasem skończę to rozpakowywać.

286

OGNIE FORTUNY

Postawił na biurku karton z książkami. Czemu właściwie się dziwi, że Ben ma przyjaciół? W pracy bez wątpienia spotyka wielu ludzi. Z pewnym zażenowaniem Barnaby uświadomił sobie, że chociaż też ma sporo znajomych, głównie w klubie tenisowym, w sytuacji takiej jak ta nie mógłby liczyć na żadnego z nich.

— Zna pan jego ukochaną? — spytała Kathleen.

— A kto nią jest?

— Och, niech pan da spokój. Skoro ma pan tutaj mieszkać, na pewno pan wie. To Phoebe Thurlwell.

— Skąd pani o niej wie?

— Przychodzi do stajni, a Ben na jej widok robi maślane oczy. Wydaje mu się, że nikt niczego nie zauważa, ale wszyscy to widzą. Ona jest tak cudowna, że trudno nie zauważyć. Barnaby powstrzymał się od komentarza.

— Niech się pan nie martwi. Nikomu nie powiemy. Jeśli się dobrze orientuję, panna Phoebe mieszka w sąsiedztwie, w tym wielkim domu.

Niedługo potem, stanowczo zbyt szybko, oznajmiła, że musi wracać do domu. Barnaby zaproponował, że sprowadzi dla niej powóz.

— Boże, nie! — wykrzyknęła. — Nie stać mnie na takie wydatki.

— Ja zapłacę, Kathleen. Przynajmniej w taki sposób odwdzięczę się za pomoc.

— Niech pan nie trwoni pieniędzy! Wróć promem.

— Pozwoli pani, że ją odprowadzę.

Podał jej ramię. Kiedy szli po stromej ścieżce, zastanawiał się, czy Ben zapłacił tym kobietom za pracę. Jeżeli nie, to Barnaby okaże wdzięczność, kupując Kathleen, no i oczywiście owej

pani Callaghan, jakieś naprawdę ładne prezenty. Fakt, że nie musi płacić czynszu, oznaczał nieoczekiwany przyływ gotówki, stanowił szansę na większe oszczędności. Kiedy Barnaby zaczął zarabiać, ojciec poradził mu, by co miesiąc odkładał pewną sumę.

— Choćby nie wiem jak bardzo było ci ciężko, staraj się co miesiąc odłożyć dziesiątą część zarobków. Wpłacaj te pieniądze do banku i nie ruszaj. Kiedyś zechcesz się ożenić, a wtedy te pieniądze będą jak znalazł.

Nie było to łatwe, ale Barnaby z żelazną konsekwencją stosował się do rady ojca, nie tylko po to, żeby w przyszłości mieć pieniądze, lecz również dlatego, że ilekroć widywał ojca, ten zawsze pytał, ile już uskładał.

287

PATRICIA SHAW

Jego pełne zadowolenia skinienie głową sprawiało, że warto było się męczyć.

Pomógł Kathleen wsiąść na prom, a potem pod wpływem nagłego impulsu wskoczył za nią i kupił bilet. Kiedy dopłynęli do miasta, stwierdził, że ponieważ robi się ciemno, odprowadzi ją do domu.

W drodze powrotnej uprzytomnił sobie, że po raz pierwszy przeszedł obok domu Phoebe nawet o niej nie pomyślawszy.

Lalla Thurlwell okropnie się zirytowała, kiedy Bidy podała jej nazwisko gościa.

— Dobry Boże! Co ja zrobiłam, że zasłużyłam sobie na taką karę? Mam nadzieję, że nie uważa się za moją przyjaciółkę. Gdzie ona jest?

— We frontowym salonie, psze pani.

— Dobrze. Niech sobie posiedzi.

Connie wcale nie zdziwiło, że Lalla każe jej na siebie tak długo czekać. Z całą pewnością nie piekła ciasta ani tym bardziej nie musiała się doprowadzać do porządku po szorowaniu podłogi. Nie, celowo zwlekała, chcąc pokazać Connie, gdzie jest jej miejsce.

Lecz Connie również zwlekała. Dała swojemu maklerowi jeszcze dwa dni na zasięgnięcie dalszych informacji. Obecnie wiedziała już na pewno, że Edgar Thurlwell to oszust.

Zastanawiała się, czy to ona ma takiego pecha, że zawsze trafia na oszusta, czy może taka już jest natura mężczyzn. Urodziła się w ubogiej rodzinie w Ipswich. Jej ojciec był górnikiem, mama ciągle niedomagała, Connie musiała więc szybko zacząć pracę i za psie pieniądze wykonywała prace akordowe dla fabryki koszul. Tak jak po dniu nadchodzi noc, tak samo pewne wydawało się, że Connie również poślubi górnika.

Kiedy zaręczyła się z Tommym, uszczęśliwiony ojciec wydał na ich cześć huczne przyjęcie w domku tak małym, że bez trudu zmieściłby się we frontowym ogrodzie obecnej posiadłości Connie. Jednakże matka nie podzielała radości ojca.

— On pije, Connie — ostrzegła. — Nie ufam mu.

I miała rację. Tommy przepijał wszystkie pieniądze i wszędzie miał długi. Kiedy Connie oświadczyła, że nie da mu już ani pensa, wściekł się i wyszedł z domu. Później okazało się, że wraz z nim zniknął słoik po dżemie, w którym trzymała oszczędności. Nigdy więcej nie widziała Tommy'ego.

Charlie Downs był całkiem inny. Nie pił i ubierał się elegancko. Jego ojciec był właścicielem świetnie prosperującego hotelu Commercial.

288

OGNIE FORTUNY

- Jak człowiek patrzy na tych wszystkich pijaków, to ma dość alkoholu do końca życia — tłumaczył Connie i to wystarczyło, by się w nim natychmiast zakochała.

Charlie przechwalał się, że kiedyś zbije fortunę. Zaraz po ślubie oznajmił, że pojedą szukać złota.

— Zobaczysz, niedługo wrócicie — śmiał się ojciec Charliego.

— Znaleźć złoto wcale nie jest tak łatwo.

Wspomógł ich jednak finansowo, a kiedy na wozie wypakowanym po brzegi wyposażeniem niezbędnym przy poszukiwaniu złota: oskardami, szuflami i sitami, wyruszyli w drogę, żegnała ich cała rodzina i wszyscy znajomi.

Pełni zapału i nadziei skierowali się na północny zachód, do Cape, lecz pola złotonośne okazały się piekłem. Istnym piekłem. Żyli jak w przytułku dla obłąkanych, Connie przez całe chyba życie nie spotkała tylu okropnych ludzi co tam. Harowali od rana do nocy, zmagając się z upałem, kurzem i muchami, wieczorem wsłuchiwali się w odgłosy pijackich burd, krzyki kobiet i częste wystrzały. Charlie często zostawiał ją samą i wyruszał na poszukiwanie nowego miejsca, dotąd bowiem nie znaleźli ani grudki złota.

Kiedy Connie przywykła nieco do tego twardego życia, kupiła sobie strzelbę i broniła swoich interesów z pasją, która mogła odstraszyć nawet najbardziej zajadłego napastnika. I wreszcie nadszedł ten wielki dzień, kiedy Charlie trafił na potężną żyłę złota. Eksploatowali ją przez kilka miesięcy, a potem kupili sobie piękny dom w Charter s To wers.

Wszyscy twierdzili, że Charlie to nowe wcielenie Midasa, i była w tym częśćka prawdy. Kiedy tylko stawiał stopę na nowej działce, można było iść o zakład, że wkrótce popłynie strumień pieniędzy. Ale to właśnie wówczas wyszło na jaw, że złoto nie jest jedyną pasją Charliego. Od znajomych kobiet Connie dowiedziała się, że już wtedy, gdy w pocie czoła harowali na pierwszej działce, Charlie uganiał się za spódniczkami i nie przepuścił nawet najgorszej ladacznicy. Podczas gdy ona siedziała w dusznym namiocie, oganiając się od szcurów, dzikich zwierząt i podłych ludzi.

Connie zaczęła go obserwować i wkrótce przekonała się, że Charlie dalej ją zdradza. Kiedy wszakże zrobiła mu awanturę, zareagował tak, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

— Mężczyźni mają większe potrzeby niż kobiety, Connie — rzekł.

— A poza tym dostajesz swoją działkę, więc w czym problem?

19 Ognie fortuny

289

PATRICIA SHAW

Wkrótce zaczął sprowadzać kobiety do domu. Bezwstydne ladacznice baraszkowały z nim w drugiej sypialni, a Connie traktowały z głęboką pogardą.

Zastanawiała się, czy od niego nie odejść, tylko po co? Wszak zaliczał się do najbogatszych ludzi w mieście, i to takim, w którym aż roilo się od bogaczy. Connie miała służących, pełną spiżarnię i piwnicę z najlepszymi winami. Jako syn hotelarza Charlie, chociaż sam był abstynentem, nigdy nie widział nic zdrożnego w tym, że inni piją, co więcej, zawsze był szczodrym gospodarzem. Connie rozkochała się we francuskim szampanie, który popijała w towarzystwie przyjaciółek do śniadania, lunchu i kolacji. Nie miała trudności w znalezieniu wesołego towarzystwa.

Czasami znajome dziwiły się, że Connie tak długo toleruje Charliego i jego występki, lecz ona tylko się uśmiechała. W końcu nie było mowy o żadnym skandalu. Mieszkali w dzikim mieście na dzikim zachodzie i zachowanie Charliego było niczym w porównaniu z panoszącym się wokół otwartym bezwstydem oraz wszechobecnym bezprawiem. Charter s To wers i otaczające je pola złotonośne znajdowały się poza zasięgiem jakiegokolwiek skandalu.

Zdarzyło się to zaledwie kilka tygodni po pięćdziesiątych urodzinach Charliego, który nadal uważał się za najbardziej jurnego mężczyznę w mieście. Tego wieczora Connie wyszła do koleżanki na karty, on zaś poznał pewną młodą Chinę i w jakiś sposób zdołał ją namówić, by poszła z nim do domu. Był w tym naprawdę dobry, niektórzy mówili o nim „złotousty”. A potem zgwałcił dziewczynę w tamtej drugiej sypialni.

Kiedy Connie wróciła do domu, leżał martwy, rozplątany nożem od gardła do pachwiny. Zabójca zostawił na podłodze rozdarte atlasowe kimono, łóżko zalane było krwią. Krwią Charliego.

Zawinęła w koc jego chude ciało, wyniosła tylnymi drzwiami i skryta w ciemnościach, kroczyła ostrożnie po opuszczonych, nie oświetlonych alejkach, aż w końcu, w bezpiecznej odległości od domu, pozbyła się zwłok. Szybko wróciła, przebrała się, włożyła kapelusz i ponownie wyszła. Tym razem przed drzwi frontowe.

Udała się do znajomej Chinki, powszechnie szanowanej matrony, nieźrównanej w grze w mah-jong. Connie nigdy jeszcze nie udało się z nią wygrać, lecz już same próby pokonania jej były wyjątkową przyjemnością, mimo że pochłaniały ogromne sumy. Madame Ling Lee zawsze grała na pieniądze.

290

OGNIE FORTUNY

Madame Ling przyjęła ją na prywatnej audyencji w pachnącym kadzidłem pokoju. Kobiety odbyły cichą, spokojną rozmowę.

Po niecałej godzinie w domu Connie zjawili się trzech ubranych na czarno Chińczyków, którzy usunęli z pokoju wszystkie ślady krwi, łącznie z zaplamionym matercem i pościelą, oraz zabrali rozdarte kimono. Parę minut później kulis wniósł do pokoju nowy materac, ułożył go na łóżku, skłonił się Connie i bez słowa wyszedł. Connie spokojnie wyjęła świeżą pościel, posłała łóżko i przykryła swoją ulubioną koronkową narzutą. Co za dużo, to niezdrowo. Gdyby się przyznała, że znalazła Charliego, leżącego w łóżku z wyprutymi wnętrznościami, to nawet w Charters Towers zrobiłby się skandal. A tak miała problem z głowy. Kiedy znaleziono ciało, Connie wcieliła się w rolę wdowy pogrążonej w żałobie. Bogatej wdowy.

Wspominała to wszystko, czekając na Lallę, i ogarniał ją coraz większy gniew. Wyglądało na to, że ani Tommy, ani Charlie nie byli tak źli jak Edgar. No chyba że istniało jakieś wytłumaczenie tej sprawy. Tommy był po prostu drobnym pijaczkiem, a Charlie, no cóż, Charlie też okazał się oszustem, lecz przynajmniej nigdy nie puszył się jak ten, który przez tyle czasu bezczelnie ją zwodził. Dobry Boże, jeżeli to prawda, niech lepiej wszyscy Thurlwellowie mają się na baczności!

— Och, Connie! — Do salonu weszła Lalla wystrojona w suknię z kremowego kredseshy. — Miło z twojej strony, że mnie odwiedziłaś.

— Akurat przechodziłam obok — odparła Connie, dobrze wiedząc, że dom Thurlwellowów stoi przy ślepej ulicy. — Pomyślałam, że wstąpię z wizytą.

— Przechodziłaś obok? — mruknęła Lalla, unosząc brwi. — Rozumiem.

Nie zaproponowała kawy ani herbaty, Connie zaś dostrzegła ten oczywisty afront, lecz nie przejęła się nim, traktując go jako jeszcze jeden gwóźdź do trumny Lalli.

— Chciałabym zobaczyć się z Edgarem — rzekła.

— Ależ moja droga, Edgar wyjechał do Sydney. Nie wiedziałaś o tym?

— Gdzie się zatrzymał?

— Naprawdę nie mam pojęcia. Zapewne w którymś z najlepszych hoteli.

— A kiedy planuje wrócić?

— Connie, przecież nie jestem jego opiekunką. Edgar ma w Sydney do załatwienia bardzo ważne interesy. Wróci, jak tylko będzie

291

PATRICIA SHAW

mógł. Przykro mi, że się z tobą nie skontaktował, ale cóż, taki już jest. To kawaler, sama więc rozumiesz, że jest wręcz rozrywany przez osoby pragnące jego towarzystwa.

— Domyślałam się. Chciałam wyprawić na jego cześć przyjęcie powitalne, ale jak mam mu zostawić zaproszenie, skoro nawet nie wiem, gdzie mieszka?

Lalla przyjrzała się jej uważnie.

— Zdaję sobie sprawę, że ostatnim razem byłaś bardzo zdenerwowana, chyba jednak nie aż tak, by zapomnieć jego adres?

— Oczywiście że nie. Tyle tylko, że Edgar się wyprowadził. Już tam nie mieszka.

Lalla wyglądała na zadowoloną. Usiadła na brzegu fotela, tuż obok Connie.

— Moja droga, cóż mogę ci powiedzieć? Czasami mężczyźni mówią kobietom takie rzeczy, żeby... żeby złagodzić nieco ich ból. Chodzi mi o to, że... jesteś bardzo miłą osobą, ale Edgar jest kawalerem, a ty nie byłaś pierwszą, która starała się zdobyć jego względy, no i...

— Dom został sprzedany — odezwała się Connie, przerywając w połowie to protekcjonalne kazanie.

— No widzisz — kontynuowała Lalla. — Wolałabym, żeby mężczyźni wprost mówili, co mają do powiedzenia, a nie uciekali się do takich podstępów. Wierz mi, Connie, naprawdę mi przykro, ale musisz przyjąć do wiadomości, że jego dom nie został sprzedany.

— Owszem, został. Mieszkają tam teraz zupełnie obcy ludzie. Twierdzą, że przeprowadził się do Hamilton.

— Coś ci się musiało pomylić.

— Nie, nic mi się nie pomyliło. A skoro wyprowadził się do Hamilton, to znaczy, że musiał wrócić do Brisbane. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś zechciała dać mi jego adres.

Lalla zamachała chusteczką.

— Czy ty aby na pewno dobrze się czujesz? Ja naprawdę nie mam czasu na takie rozmowy.

— No cóż. Skoro nie możesz albo nie chcesz dać mi jego adresu, w takim razie bądź taka miła i podaj mi adres NSW Steel-works.

— Nic mi nie wiadomo o takiej firmie, ale jeśli rzeczywiście istnieje, śmiem przypuszczać, że mieści się gdzieś w Nowej Południowej Walii.

292

OGNIE FORTUNY

— W takim razie chciałabym rozmawiać z twoim mężem, ponieważ powiedziano mi, że to duża firma i jeden z największych dostawców Western Railroads.

— Męża nie ma w domu — oznajmiła Lalla, wstając. — A teraz wybaczysz, moja droga, służąca odprowadzi cię do wyjścia.

— Jak sobie życzysz — odparła Connie i wzięła ze stołu torebkę. — Moim zdaniem brat twojego męża splajtował, a wy z jakiegoś nie znanego mi powodu próbujecie go kryć. Może mnie pani lekceważyć, pani Thurlwell, ale to i tak nic nie da — dodała, kiedy Lalla poszła zadzwonić na Biddy. — Proszę przekazać mężowi, że żądam podania mi adresu tej stalowni. A także pani szwagra.

— Wyprowadź ją, Biddy — poleciła Lalla. — Co za bezczelność! Ta kobieta jest obłąkana. Edgar poległ na Brodym w wielu sprawach. Poza tym że doskonale sprawował się jako służący, był też człowiekiem, który potrafił w odpowiednim momencie nadstawić ucha. I robił to. Był z niego niezły mówca, ale jeszcze lepszy słuchacz, a kiedy miał wolne, lubił odwiedzać bary i tawerny, w których gromadzili się jemu podobni, w tym także służący pracujący u najbardziej wpływowych osób w mieście.

Znał gospozię zatrudnioną u Creightona, ministra sprawiedliwości; przy kilku szklaneczkach czegoś mocniejszego udało mu się dowiedzieć, że Creightonowie spodziewają się już wkrótce mieć w rodzinie drugiego ministra. Wszystko wskazywało na to, że Hal Creighton, parlamentarzysta z Warwick, zostanie mianowany nowym ministrem gruntów.

— Są strasznie podekscytowani — opowiadała gospodyni — i tylko czekają na potwierdzenie decyzji. Jeśli tak się stanie, będą mieli następne piórko do kapelusza. Założę się, że wydadzą z tej okazji jakieś huczne przyjęcie.

— Hal Creighton — zastanawiał się głośno Edgar, kiedy Brody przekazał mu tę informację.

— To wymoczek. Trawa na wietrze. Przy ciśnij go jeszcze, Brody, a kiedy zostanie

mianowany, muszę natychmiast o tym wiedzieć, żebym był pierwszym, który złoży mu wizytę.

Parę tygodni później Brody wrócił z nową wiadomością. Złą.

— Wygląda na to, że premier postanowił zatrzymać tę tekę dla siebie, przynajmniej na jakiś czas. Tak czy owak u Creightonów nie będzie na razie przyjęcia.

293

PATRICIA SHAW

— Dasz radę dowiedzieć się czegoś więcej o przekazaniu prawa własności do gruntów?

— Na pewno nie od służących. Nie wiedzieliby, o czym mówię. Ale ostatnio poznałem pewnego młodego urzędnika z Departamentu Gruntów. Przesiaduje w River Inn, bo zakochał się w jednej z barmanek.

— To może być dobre źródło informacji. Spróbuj się czegoś dowiedzieć. Aha. — Wyjął z kieszeni pięćofuntówkę. — Masz. Może ci się przydać.

Urzędnik był szczerze zachwycony, że znalazł w River Inn tak znakomitego kompana jak Brody, który do tego postawił mu kilka drinków. Chętnie opowiadał o swojej pracy, a kiedy w pobliżu kręciła się jego ukochana Gertie, szczegółowo wyjaśniał Brody'emu zawilości swej profesji i przedstawiał niezrównane możliwości awansu.

— Chyba niewiele dzieje się tam rzeczy, o których byś nie wiedział?

— Rzeczywiście, wiem o wszystkim, bracie. Nic nie ujdzie mojej uwagi.

Po kilku wspólnie spędzonych wieczorach Brody spytał go, czy w końcu coś ruszyło się w sprawie gruntów pod linię kolejową.

— Całe miasto czeka, kiedy te ziemie zostaną wreszcie przekazane, bo jak ruszy budowa, pojawią się nowe miejsca pracy. Zobaczysz, ludzie będą się o nie bić.

— Nie wiem o tym zbyt wiele — niechętnie przyznał urzędnik.

— A myślałem, że ty naprawdę wiesz, co tam się dzieje.

— Gdybym chciał, mógłbym się dowiedzieć.

— Założę się o piątkę, że nie — stwierdził Brody, szeroko się uśmiechając. — Myślę, że moje pieniądze są bezpieczne. Ty tylko umiesz się chwalić.

Przez następny tydzień Brody czekał, a Edgar się martwił, aż wreszcie urzędnik zaczepił Brody'ego:

— Jesteś mi winny piątkę.

— Za co? — spytał Brody, udając, że nie pamięta.

— Chciałeś wiedzieć, co z tą ziemią pod koleje, a ja obiecałem, że się dowiem. Sprawa jest pogrzebana. Nic z tego nie będzie.

Brody chciał mieć całkowitą pewność.

— Co to oznacza?

— Na aktach jest notatka „Wstrzymać wszelkie kroki”, a ludzie w biurze twierdzą, że Western Railroads nie ma co liczyć, że dostanie ten korytarz za darmo. Niektórzy mówią nawet, że sprawa dostała

294

OGNIE FORTUNY

czarną bilę. Czyli że nawet gdyby chcieli zapłacić, i tak nie mają szans. A teraz dawaj mojego piątkę.

— Wszystko jasne — stwierdził Edgar. — Bierz się za pakowanie.

— Czy to znaczy, że jesteśmy bankrutami, sir? — spytał Brody, na co Edgar głośno się roześmiał.

— W żadnym wypadku. Po prostu czas jechać dalej. Ludzie, którzy chcą kupić ten dom, bardzo się ucieszą. Jeszcze dzisiaj podpiszę umowę i dostanę gotówkę. Kiedy tylko otworzą biura w porcie, kup dwa bilety pierwszej klasy na najbliższy statek wypływający z Brisbane.

— Dwa bilety pierwszej klasy, sir?

— Jeśli chcesz ze mną popłynąć, Brody, zostaniesz moim towarzyszem podróży. Tak będzie najstosowniej.

— Jeżeli o mnie chodzi, brzmi to całkiem zachęcająco. Dokąd płyniemy?

— Docelowo do Ameryki, ale najpierw musimy wydostać się z Brisbane.

— Dobrze. — Brody uśmiechnął się. Życie stawało się coraz bardziej interesujące.

Po jego wyjściu Edgar otworzył sejf i przeliczył gotówkę, którą zbierał na czarną godzinę, zadowolony, że ze sprzedaży domu dojdzie jeszcze z tysiąc funtów albo i więcej. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, że zatrzymuje dziesięć tysięcy, wręczone mu w dobrej wierze przez Connie. Był pewien, że nie zbiednieje. Ani z powodu hipoteki ciężącej na domu Williama, dzięki której również zarobił pokaźną sumkę. William stanowczo zbyt długo polegał tylko na nim; najwyższy czas, żeby sam stanął na nogi. Czeka na rzecz nigdy nie istniejącej stalowni pomogły mu wyciągnąć z Western Railroads tyle pieniędzy, ile tylko się dało. Edgar zatarł ręce z zadowolenia.

— Dobrze im tak — powiedział od otwartego sejfu. — Gdyby rząd mnie poparł, to wszystko nie byłoby konieczne. Ale ludzie mają taki rząd, na jaki zasługują. Zobaczymy, ile czasu przetrwa pan premier, kiedy udziałowcy dowiedzą się, że Western Railroads splajtowały. Los Lalli w ogóle go nie interesował. Swoimi romansami, zwłaszcza tym ostatnim, z Buchananem, zbrukała nazwisko Thurlwellów. Edgar kazał Brody'emu mieć na nich oko już wtedy, gdy Buchanan wynajął w mieście mieszkanie, które Lalla mu umeblowała.

— Przekłęta dziwka — mruknął Edgar pod nosem. — A William to po prostu ślepy dureń.

295

PATRICIA SHAW

Wyjął z sejfu niewielką skórzaną sakiewkę. Była ciężka. I taka miała być. Złoto, które zawierała, planował dać Phoebe, jedynej osobie na tym świecie, jaka go kiedykolwiek obchodziła. Podobało mu się, że sprzeciwia się Lalli i oszukuje Williama. Do tego była śliczna jak z obrazka i miała mężne serce. Chętnie zostawiłby jej to złoto, skąd wszakże mógł wiedzieć, w którą stronę zawieją wiatry i czy sam nie będzie go potrzebował? Schował więc sakiewkę z powrotem do sejfu, po czym wyszedł z domu poszukać porządnej walizki ze świńskiej skóry, która od tej chwili miała być jego bankiem.

Był czwartek. Okazało się, że w sobotę wypływają z Brisbane dwa statki. „Locheil” do Sydney oraz „Eastern Star” do Singapuru.

— Pomyślałem, że „Locheil” będzie lepszy — tłumaczył Brody.

— Płynie do Sydney, a potem do Nowej Zelandii i na Hawaje.

— Świetnie. Udało ci się dostać koje?

— Bez problemów, sir.

— Masz rację. Jeśli popłyniemy do Sydney, będzie to wyglądało zdecydowanie lepiej. Rozumiesz, interesy.

Kazał Brody'emu wysłać kucharkę na miesięczny urlop, a sam w piątek udał się do Williama i Lalli z informacją, że następnego ranka wypływa statkiem „Locheil” do Sydney, by sprawdzić postępy w produkcji wagonów. Zanim wyszedł, puścił oko do Phoebe i wcisnął jej w rękę samorodek złota. Tylko jeden. Był wart zaledwie paręset funtów, lecz przecież liczył się przede wszystkim sam gest.

„Locheil” wypłynął zgodnie z planem w sobotę wczesnym rankiem. Edgar wypoczywał w kabinie, nie spuszczać oka ze skórzanej walizki, Brody kręcił się po pokładzie i obserwował pracę marynarzy. Edgar był bardzo podekscytowany. To był naprawdę wielki dzień.

— O Jezu! — wykrzyknął William, przewracając strony gazety.

— Ten nasz Edgar to jednak prawdziwy szczęściarz.

Phoebe w pełni się z ojcem zgadzała. Nie powiedziała rodzicom o prezencie, który dostała od stryja, była to ich wspólna tajemnica. Kiedy włożył jej tę bryłkę do ręki, czym prędzej popędziła do swojego pokoju, żeby zobaczyć, co to takiego. Złoto! Był to wyszczerbiony, szorstki samorodek, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Widywała podobne na wystawach sklepów jubilerskich. Postanowiła, że kiedy będzie mogła, zawiezie go do wyceny.

— Niby dlaczego? — spytała Lalla.

— Tylko posłuchaj. — Doktor poprawił okulary. — Przeczytam ci.

296

OGNIE FORTUNY

Lalla westchnęła i odstawiła filiżankę z kawą. Drażniło ją, że William przegląda gazety przy śniadaniu, a już zupełnie nie znosiła, kiedy czytał jej fragmenty artykułów. Phoebe zresztą również to irytowało. Wolałaby sama to sobie przeczytać.

— U wybrzeży Nowej Zelandii w pobliżu Wyspy Północnej zatonął kolejny statek — czytał William. — Gwałtowny sztorm rzucił statkiem o skały, czego efektem było wybicie w kadłubie dziury zbyt wielkiej, by mógł się on utrzymać na wodzie. Katastrofa miała miejsce w nocy, wczesnym rankiem nieliczni ocalali rozbitkowie dotarli do brzegu i podnieśli alarm. Na razie brak jakichkolwiek innych informacji, przypuszcza się jednak, że w katastrofie poniosło śmierć co najmniej sześćdziesiąt osób.

— No cóż — stwierdziła Lalla. — Mówią, że Morze Tasmańskie pomiędzy Australią a Nową Zelandią jest zawsze wzburzone.

— Tak, Lallu, ale statek! Statek! To był kliper „Locheil”, pływający pomiędzy Sydney a Auckland! Ten sam, którym płynął Edgar! Na szczęście zszedł na ląd w Sydney, gdzie statek zabrał następnych pasażerów. Nieszczęśnicy, pomyśleć tylko, że wchodząc na pokład, nie mieli pojęcia, że wyruszają na spotkanie ze śmiercią.

— To okropne! — wykrzyknęła Phoebe. — Wuj Edgar na pewno znał niektórych z nich.

— To rzeczywiście przerażające — stwierdziła Lalla. — Nasze wybrzeże jest dosłownie usłane wrakami, a rządy nie robią nic, by zapobiec dalszym katastrofom.

— Z żywiołem nie da się walczyć, moja droga. Dowiemy się czegoś więcej, jak tylko Edgar wróci. Niewykluczone, że winę ponosi kapitan.

— A kiedy właściwie Edgar wraca? — spytała Lalla.

— Sądzę, że na dniach. Sprawdzenie, czy budowa tych wagonów przebiega prawidłowo pod każdym względem, bez wątpienia zabrało mu sporo czasu. Jest bardzo wymagający i żąda, by każdy, nawet najmniejszy szczegół odpowiadał specyfikacjom. Przypuszczam, że czeka na statek do Brisbane. Chociaż — roześmiał się — nie sądzą, żeby mu to było nie w smak. Edgar uwielbia Sydney.

— Wiesz, gdzie się zatrzymał?

— Nie. Przypuszczam, że w hotelu Australijskim. Tak jak zwykle.

Lalla skinęła głową. Oburzające podejrzenia tej obłąkanej kobiety trochę ją zaniepokoiły. Ale tylko trochę.

— Czy wiadomo ci coś na temat firmy o nazwie New South Wales Steelworks?

297

PATRICIA SHAW

— Tak. Będą nam dostarczać szyny. Edgar miał szczęście, że ich znalazł. To dużo tańsze rozwiązanie niż import szyn z Anglii. Na pewno ich też jeszcze dokładnie sprawdzi, bo szyny muszą być najwyższej jakości.

— Mogę już wziąć gazetę? — spytała Phoebe.

— Oczywiście. Na mnie już czas. Muszę zająć się pani Carroll. Wciąż leży w szpitalu i nie chce wracać do domu, chociaż jest już w pełni sił. A przecież wycięliśmy jej tylko wyrostek. Nic jej nie jest.

— Ta kobieta zawsze była hipochondryczką — parsknęła Lalla. Nie wiedzieć czemu, tego ranka Lalla jakoś nie mogła znaleźć sobie miejsca. Sama ułożyła kwiaty, bo służące nigdy nie potrafiły sobie z nimi poradzić i zawsze zapomniały, że do białego pokoju wstawia się tylko białe róże z odrobiną zieleni. Ta bajka, że w domu Edgara zamieszkał ktoś inny, wciąż nie dawała jej spokoju. Najprawdopodobniej był to Brody i reszta służby, Lalla doszła jednak do wniosku, że nie zaszkodzi sprawdzić, i kazała postawić gig.

— Czy pani będzie wchodzić? — spytał stangret, kiedy zajechali pod dom Edgara.

— Nie. Zaczekaj chwilę.

W ogrodzie bawiło się dwoje dzieci, co bardzo Lallę oburzyło. Jak to możliwe, że służący wpuścił swoje dzieci do ogrodu Edgara! Postanowiła mu o tym powiedzieć.

Ulicą szedł akurat listonosz, dmuchając w gwizdek. Rozpoznawszy Lallę, zawrócił.

— O, pani Thurlwell! Mam tutaj pocztę dla pana Edgara, a nie znam jego nowego adresu. Chyba lepiej, żebym jej nie odsyłał, bo mogłaby gdzieś zaginać.

Wręczył jej niewielki pakiet korespondencji, spięty gumką. Jakby tego było jeszcze mało, z domu Edgara wyszła jakaś kobieta.

— To pani doktorowa Thurlwellowa — zwrócił się do niej listonosz. — Na pewno chętnie zabierze wszystkie listy.

Kobieta pobiegła do domu, a po chwili wróciła z niewielkim koszykiem.

— Niech pani je weźmie razem z koszykiem — zaproponowała. — Sama go zrobiłam.

— Dziękuję — odezwała się Lalla, czując, że robi się czerwona ze zdenerwowania.

— Dokąd mam przesyłać pocztę pana Edgara? — spytał listonosz.

298

OGNIE FORTUNY

— Do nas, pod adres Somerset House, Kangaroo Point — zdołała jakoś z siebie wydusić Lalla. — Pan Thurlwell wyjechał w interesach. Do Sydney.

— Ach, to by wszystko wyjaśniało. Zajmę się tym — obiecał. — Dopilnuję, by nic nie zginęło.

Kiedy gig zawracał, siedziała sztywno, nie wając się nawet spojrzeć na stojący obok niej koszyk. „O mój Boże — myślała. — Sprzedał dom i nic nam nie powiedział. Dlaczego to zrobił? Dlaczego?”

Droga do centrum miasta, najpierw po moście na drugi brzeg rzeki, a następnie przez południowe Brisbane, zdawała się trwać całe wieki i chociaż był ładny dzień, Lalla miała wrażenie, że promienie słońca atakują ją ze zdwojoną siłą. Czowała, że twarz jej płonie, a związana na szyi chustka robi się mokra od potu, przez całą jednak drogę siedziała wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, zasluchana w monotony stukot kopyt.

Phoebe siedziała na werandzie przy otwartych drzwiach.

— Mamo, skoro już jest tutaj gig, czy mogłabym jechać do miasta? Chciałabym kupić parę rzeczy, a chyba byłoby nie w porządku odrywać Bidy od pracy, a potem kazać jej biegać do późnego wieczora? A poza tym zaczynam mieć dość tego ciągłego nadzoru i zamierzam...

— Rób, co chcesz! — ucięła Lalla i weszła do domu.

Phoebe wzruszyła ramionami. Była gotowa do wyjścia, albowiem postanowiła, że tym razem zbuntuje się i dopnie swego. Pojedzie do miasta gigiem albo popłynie promem. Lecz najwyraźniej kara dobiegła końca. Typowe zachowanie Lalli. Doprowadziła córkę na skraj wytrzymałości i dopiero wtedy ustąpiła.

— Na Queen Street — poleciła Phoebe stangretowi.

Kiedy już pokazała samorodek jubilerowi, postanowiła odwiedzić Bena.

— Zobacz, co mam — pochwaliła się. — Dostałam go od wuja Edgara. Czyż nie jest cudowny?

Ben zważył bryłkę w dłoni.

— Musi być sporo warta — stwierdził.

— Dokładnie trzysta dwadzieścia trzy funty. Jubiler proponował, żebym ją zostawiła do przetopienia, ale pomyślałam, że każę ją oprawić i zostawię taką, jaka jest. Co o tym myślisz?

— Świetny pomysł — zgodził się. — Mnie też się taka podoba. To kawałek historii. Musisz go koniecznie zapytać, z których pól pochodzi to złoto.

299

PATRICIA SHAW

Phoebe dotknęła jego nagiego ramienia.

— Tęskniłam za tobą.

— Ale nie tak, jak ja za tobą — odparł Ben, obejmując ją.

— Bardziej — uśmiechnęła się. — Na szczęście moja kara się chyba skończyła i znów będę mogła cię odwiedzać.

— Był u mnie Barnaby Glasson.

— Wiem, sama go o to prosiłam. A teraz proszę o złą wiadomość. Powiedział, że powinniśmy się rozstać i pójść własnymi drogami?

— Tak.

— O Boże — jęknęła. — Miałam nadzieję, że go przegadasz.

— No cóż... wydaje mi się, że powiedział, co miał do powiedzenia, i postanowił dać nam spokój. Nie jest ani za, ani przeciwko nam. Ale porozmawialiśmy sobie, a nawet spędziliśmy razem wieczór.

— Beze mnie? O wy dranie!

Ben puścił ją i usiadł na brzegu biurka.

— Bardzo wiele mu zawdzięczam, Phoebe. Od dzieciństwa. Dużo dla mnie zrobił jako prawnik. To zbyt skomplikowane, bym ci teraz tłumaczył, ale znalazłem sposób, żeby mu się odwdziaczyć. W sobotę wprowadził się do mojego domu.

— Barnaby? Dlaczego?

— Widziałaś, jak mieszkał? I gdzie? W dwóch ciasnych klitkach w jakieś starej ruderze.

— Nie widziałam. Ale to nic niezwykłego, Ben. Większość młodych mężczyzn, których rodziny mieszkają poza miastem, wynajmuje takie pokoje.

— Nie wiedziałem. Tak czy owak zaproponowałem mu jeden z pustych pokoi u mnie w domu, a on, pomimo początkowych oporów, w końcu się zgodził.

— O rany! To naprawdę świetny pomysł! Na pewno będzie bardzo zadowolony. —

Roześmiała się. — No, no. Teraz to dopiero będzie prawdziwe gniazdo starych kawalerów!

Ale będę was miała na oku. A Barnaby zostanie naszą przyzwoitką. Powiedz no, czy dlatego mu to zaproponowałaś?

— Szczerze mówiąc, nie przyszło mi to do głowy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

— Oczywiście że nie. To przecież twój dom. Spojrzał na nią w zamyśleniu.

— Powiedziałem też Barnaby'emu, że jeśli przyjmiesz moje oświadczyzny, na pewno się stąd wyprowadzimy, jeśli więc mieszkanie będzie mu odpowiadać, wynajmę mu je.

300

OGNIE FORTUNY

— Przyjęłam twoje oświadczyzny, Benie Beckmanie, i nie mam najmniejszego zamiaru zmienić zdania. — Pocałowała go. — Tutaj cię wyprzedziłam, mój najmilszy. Od początku wiedziałam, że nie będziemy mogli mieszkać w sąsiedztwie moich rodziców, ale ponieważ tak bardzo kochasz ten dom, bałam się o tym powiedzieć.

— Masz jeszcze sporo czasu, żeby się zastanowić, czy chcesz za mnie wyjść — przypomniał jej.

— Już się zastanowiłam. Chociaż to ciekawe pytanie. Gdzie właściwie będziemy mieszkać?

— Gdzie tylko zechcesz. Kupimy nowy dom. A gdzie, to już zależy od ciebie. Jest coś jeszcze, Phoebe. Barnaby uważa, że jeśli zdecydujemy się pobrać, powinienem porozmawiać z twoim ojcem.

— Nie! — wykrzyknęła z przerażeniem. — Nie! Tylko nie to! Na Boga, Ben, przecież znasz moich rodziców lepiej niż on!

Nagle stanął jej przed oczyma obraz chłopca wbiegającego do ich domu, błagającego o pomoc dla matki. I następny, powybijanych szyb. I jeszcze jeden... dużo bardziej zamazany. Babka Bena stała w drzwiach i błagała o litość dla chłopca, którego zabrała policja. Matka bezlitośnie ją odprawiła. Lecz pani Beckman nie odeszła. Nie od razu. Rozmawiała z kimś na werandzie. Błagała o pomoc. Ale kogo? To wspomnienie powróciło gdzieś na skraj jej pamięci, nie mogło jednak przybrać konkretnej postaci. Prawdopodobnie pani Beckman próbowała coś wskórać u jej ojca, ale przez niego została odprawiona równie kategorycznie jak przez matkę. Jakież to smutne.

Phoebe rozplakała się.

— Nie rób tego, Ben. Proszę cię, błagam, trzymaj się od nich z daleka. Tak okropnie się boję. Obiecuj mi, że do nich nie pójdziesz.

Ben przytulił ją.

— Phoebe, najdroższa. Nie płacz. Jeśli sobie nie życzysz, nie zrobię tego. Chcę po prostu jak najlepiej dla ciebie.

— W takim razie nie utrudniaj, Ben, nie komplikuj tego wszystkiego — łkała. — Bierzemy ten ślub czy nie?

— Tak — odparł łagodnie. — Tak. Bardzo cię kocham, Phoebe Thurlwell, i chcę, żebyś została moją żoną.

Phoebe wszakże nie mogła się uspokoić.

— Co się stało? — spytał.

— Nic. Naprawdę nic. — Uśmiechnęła się przez łzy. — Tylko to taka ogromna ulga. W końcu wiem, co robię. W którą stronę toczy się moje życie. Proszę cię, powtarzaj mi, że mnie kochasz. Powiedz to

301

PATRICIA SHAW

jeszcze raz. Szkoda, że jesteśmy w biurze, jest tu tak... oficjalnie. I w każdej chwili ktoś może wejść...

— A ja czuję się tak, że chyba lepiej, że jesteśmy właśnie tutaj.

Chodźmy, musimy wracać do pracy.

Tego poranka świat wydawał się Benowi jakiś inny. Błękitne niebo promieniało, pracownicy uśmiechali się, konie kłusowały weselej niż zazwyczaj. Wszystko wydawało się bardziej uporządkowane. Jak co dzień podczas przerwy na lunch Ben dołączył do pracowników zgromadzonych za szopą, w cieniu przybudówki. Było to miejsce spotkań, większość siedziała na ziemi, oparta o ścianę, tylko najbardziej przedsiębiorczy zajmowali nieliczne stare ławki oraz krzesła. Ben nie miał zwyczaju się wywyższać i siadał tam, gdzie akurat było wolne miejsce, tym razem na skraju ławki.

Na ziemi leżały pudełka z kanapkami, kapciuchy z tytoniem i gazety, wszyscy rozmawiali i żartowali. Nagle Bena ogarnęło wrażenie, że coś się stało z jego słuchem, jakby przestawił się na inny język, przez co wszystkie dźwięki odbierał inaczej. Rozlegające się wokół głosy wydawały się całkiem normalne, a przynajmniej brzmiały normalnie, nie były cichsze ani głośniejsze niż zwykle, mimo to wydawały się obce. Ben rozumiał treść rozmowy, z tym nie miał najmniejszego problemu — dyskutowano właśnie ulubiony temat, wyścigi konne oraz

szanse poszczególnych koni — lecz coś było nie tak. Zakłopotany, w milczeniu słuchał uważnie mężczyzn, których dobrze przecież znał, a którzy teraz wydawali z siebie twarde, ostre dźwięki.

Ben próbował się zorientować, co właściwie się z nim dzieje. Czuł się tak, jakby był Francuzem, który wprawdzie zna angielski, ale jest świadom, że rozmawia z obcokrajowcami. Tyle tylko, że nie był Francuzem, a oni rozmawiali w jego języku. Ojczystym. Po angielsku. A może jednak nie? Może tu nie chodziło o słuch? Może to jego mózg powrócił nagle do języka przodków jego matki.

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, wszystko wróciło do normalności. Nikt niczego nie zauważył, a doznanie było zbyt dziwne, by Ben próbował je opisać. Wyjął tytoń, żeby skrócić papierosa, i spojrzął na Roda Callaghana, który siedział na ziemi oparty o słupek, z nogami wyciągniętymi do przodu. Rod drzemał, wykorzystując przerwę na odpoczynek.

— Rod — cicho odezwał się Ben. — Nie ruszaj się.

Rod powoli otworzył oczy.

— Co?

302

OGNIE FORTUNY

— Słyszałeś — odparł Ben cicho, lecz zdecydowanie. — Nie ruszaj się.

Rozmowy umilkły jak nożem uciął i wszyscy zamarli w bezruchu. Nikomu nie drgnął nawet jeden mięsień. Dobrze wiedzieli, co musi oznaczać takie ostrzeżenie. Wąż albo jadowity pająk. Ale raczej wąż; pająki chowają się w ciemnych kątach, węże wychodzą na słońce. Rod siedział bez ruchu. Zerknął na węża sunącego obok jego ramienia, później utkwiał błagalne spojrzenie w twarzy Bena, który rozpaczliwie szukał jakiegoś rozwiązania. Nie mieli pod ręką żadnej broni. Ben widział w kamieniołomach setki gadów, natychmiast więc rozpoznał charakterystyczne miedziane barwy i opływową głowę węża brązowego, osobnika wyjątkowo jadowitego i nerwowego. Ben też był bardzo zdenerwowany. Kiedy wstał i zaczął zbliżać się powoli do groźnego gada, przypomniał sobie nagle, że zwierzęta boją się wszystkiego, co duże; wiele z nich przewraca się na plecy albo ucieka, żeby uniknąć ataku. Ben kucnął więc i w takiej pozycji zbliżał się do węża, by odwrócić jego uwagę od Roda. Sam nie wiedział, co ma zamiar zrobić. Gad patrzył teraz na niego, wystawiając rozdwojony język, lecz Ben nie zatrzymywał się, obserwując, jak zwierzę przytula swe grube cielsko do nogi Roda.

Ogon gada był teraz widoczny, a Ben kołysał się na boki, zastanawiając się, czy zdąży go dopaść, zanim wąż dopadnie jego. Zaczął cicho coś mówić, mruczeć jak do konia, próbując go uspokoić, przekonać, że nie zrobi mu krzywdy.

Jednakże wąż okazał się szybszy. Jakby czytając w jego myślach, uniósł łeb jak do ataku, po czym zniknął w trawie, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

Wszyscy wybiegli z przybudówki, krzycząc: „Łapać go! Zabić!”, ale Ben ich powstrzymał.

— Sam się nim zajmę — rzekł.

Wziął rozdwojony kij oraz worek z juty, odnalazł węża i podstępem uwięził go w worku.

— Daj mi jeszcze jeden worek! Płócienny! — krzyknął do Roda.

— Po co?

— Bo przez ten może mnie ukąsić!

Później Ben poszedł wyrzucić węża w krzaki, nie zważając na narzekania pracowników, którzy woleliby, by niebezpieczny gad został unicestwiony.

Kiedy wrócił, Rod uściśnął mu dłoń.

303

PATRICIA SHAW

— Dzięki, Ben. Jestem twoim dłużnikiem. Muszę przyznać, że nieźle najadłem się strachu. Ale nie wiedziałem, że znasz język Aborygenów.
— Słabo. Tylko mieszanek różnych dialektów. Nauczyłem się w więzieniu.
— No cóż — roześmiał się Rod. — Cieszę się, że ten wąż zrozumiał, co do niego mówisz. Widocznie trafiłeś w jego dialekt.
— Nie bardzo rozumiem?
— Byłeś tuż obok mnie. Mówiłeś do niego w języku Aborygenów.
— Aha. — Ben był chyba nie mniej zaskoczony niż Rod. Dałby głowę, że mówił po angielsku. — Dziwne rzeczy się tutaj dzieją — mruknął pod nosem, kiedy wszyscy wrócili do pracy.

Bez żadnych skrupułów Lalla otworzyła pocztę Edgara. Znalazła w niej rachunki, rachunki i jeszcze więcej rachunków. Nie było w tym nic nadzwyczajnego; przecież każdy dostaje rachunki. Często powtarzała, że gdyby nie ta irytująca masa papierzysk, listonosze nie mieliby wiele do roboty i prawdopodobnie roznosiliby pocztę tylko raz dziennie. Poczta Williama leżała na jego biurku, Lalla więc również ją otworzyła. Znalazła jednak tylko jakieś zaproszenia i kolejne przekłete rachunki. Nie było tam niczego, co by wskazywało, że Edgar rzeczywiście sprzedał dom. Ani choćby krótkiego listu od niego.

Obiecała wprawdzie, że jak co miesiąc pójdzie do Belle Foster na karty, zmieniła jednak zdanie, gdyż mogłaby tam spotkać Connie, która ostatnio przykleiła się do Belle. Wyglądało na to, że gotowa jest przypochlebiać się każdemu, kto zna Edgara, co oczywiście było elementem planu złapania go w sidła. Po wczorajszym incydencie Lalla nie miała zamiaru przebywać w tym samym pomieszczeniu co ta kobieta. Postanowiła, że od tej chwili pani Downs będzie w jej domu traktowana jako persona non grata i wszystkie drzwi będą dla niej zamknięte. Już ona, Lalla Thurlwell, tego dopilnuje.

Kiedy William wrócił do domu, Lalla była w okropnym nastroju, od progu więc oznajmił, że do kolacji pójdzie się zdrzemnąć.

— A właśnie że nie pójdziesz — warknęła Lalla. — Musimy porozmawiać.
— Czy to nie może poczekać? Jestem zmęczony.
— Na pewno! To musi być wyczerpujące, przez całe popołudnie popijając z przyjaciółmi w klubie.

304

OGNIE FORTUNY

— Nie bardziej niż zwykle — odparł rozważnie. — Poza tym mam dobrą wiadomość. Wreszcie skończyły się te zapędy do federalizacji. Koniec. Nikogo to już nie interesuje. Nawet dotychczasowi zwolennicy tej bzdury muszą przyznać, że sprawa prysła jak bańka mydlana. Po prostu to nie są odpowiednie czasy na takie górnolotne pomysły. Powiedziałem im to prosto w oczy — przechwalał się.
— Och, przestań wreszcie gadać! To żadna nowina. Premier już od paru miesięcy tracił grunt pod nogami. Zwłaszcza w tej sprawie. Nie przepchnie tego przez parlament ani teraz, ani nigdy. Musimy porozmawiać o czymś innym. Chcę wiedzieć, dlaczego nic mi nie powiedziałeś, że Edgar sprzedał dom?

William opadł na fotel.

— Skąd ci to przyszło do głowy?
— Wiem to od Connie Downs. Przyszła tu wczoraj i bezczelnie mi naubliżała.
— Wczoraj? Pierwsze słyszę.
— To nieważne. Chcę wiedzieć, co z tym domem?
— Zarzucasz mnie jakimiś szaradami, kobieto. O ile wiem, dom mojego brata stoi nietknięty i o żadnej sprzedaży nie ma mowy.

— I tu się mylisz. Byłam tam dzisiaj. Dom został sprzedany, a jego nabywcy już się wprowadzili.

William zamrugał powiekami. Był lekko wstawiony, a słuchając tych bredni, miał coraz większy mętlik w głowie.

— Gdyby Edgar rzeczywiście sprzedał dom, na pewno by mi o tym powiedział.

— A skoro ci nie powiedział, zaś nowi właściciele mają wrażenie, że przeprowadził się do Hamilton, chcę się natychmiast dowiedzieć, co się tu dzieje.

— A skąd mogę wiedzieć? Nie wspomniał ani słowem o żadnej sprzedaży. Niewykluczone, że ma poważne zamiary wobec tej Downs i postanowił kupić większy dom. Wie, że jej nie lubisz. Pewnie bał się nam powiedzieć. Wolał raczej postawić nas przed faktem dokonanym, żebyśmy nie próbowali wybić mu tego pomysłu z głowy.

Lalla przez chwilę się nad tym zastanawiała, stukając palcem w poręcz fotela.

— Jeżeli to prawda, sama założyła sobie pętlę na szyję. Ale mam złe przeczucie, że wcale nie o to w tym wszystkim chodzi. Masz w gabinecie dużo różnych ksiąg dotyczących Western Railroads. Chcę, żebyś odnalazł w nich adres NSW Steelworks.

— Teraz?

20 Ognie fortuny

305

PATRICIA SHAW

— Natychmiast. Pomogę ci.

— Czy to naprawdę nie może poczekać?

— Nie może.

Przejrzeli zawartość dwóch wielkich szuflad, w których William trzymał wszystkie dokumenty, kontrakty, listy i raporty. Panował w niej nieopisany nieład.

— Co za bałagan! Czy ty w ogóle umiesz tu cokolwiek znaleźć?

— Byłem ostatnio bardzo zajęty — burknął. — Miałem to wszystko poukładać, ale Edgar obarcza mnie coraz to nowymi obowiązkami i nigdy nie mam czasu. Zajmę się tym pod koniec tygodnia.

— Mam nadzieję — syknęła. — Nie widzę tu nic, co miałoby jakikolwiek związek z tą stalownią.

— Nic dziwnego. Większość dokumentów Edgar trzyma w swoim biurze.

— W jakim biurze i gdzie dokładnie?

— Nie wiem. Pewnie w nowym domu w Hamilton. O co ci właściwie chodzi?

— Pani Downs twierdzi, że cytuję: „Edgar splajtował”. William był wstrząśnięty.

— Na Boga, Lallu, miałaś rację co do tej kobiety. W życiu nie słyszałem takich nonsensów. Można by ją za to pozwać do sądu.

— Sugerowała również, że nie ma i nigdy nie było takiej firmy jak NSW Steelworks.

— Że co?! Ta kobieta jest obłąkana! To przecież nasz główny dostawca.

— Wasz główny dostawca, a ty, przeklęty głupcze, nie wiesz nawet, gdzie ma swoją siedzibę? Rano, jak tylko wstaniesz, zdobędziesz ten adres, choćby dla mojego świętego spokoju.

— Gdzie mam go zdobyć? — skamlał.

— A skąd ja mam wiedzieć? Idź do banku. Popytaj swoich wpływowych przyjaciół w klubie, zrób nie wiem co, bylebyś go zdobył. Do powrotu Edgara albo do chwili, kiedy będę miała gotową odpowiedź, żeby cisnąć ją w twarz tej Connie Downs, nie wyjdę z domu. Nie mam zamiaru narażać się na kolejną potwarz w rodzaju tej wczorajszej.

— Moja droga, widzę, że ta podła kobieta naprawdę załaziła ci za skórę. Ale nic się nie martw. — Zwlókł się z fotela i położył jej rękę na ramieniu. — Zajmę się tym. Jutro rano postaram się to wszystko wyjaśnić. A teraz naprawdę muszę się zdrzemnąć. Ty też powinnaś.

306

OGNIE FORTUNY

Wspinając się ciężko po schodach, pomyślał, że najwyższy czas, by Edgar skończył wreszcie te swoje igraszki w Sydney i wrócił do domu. W kieszeni miał dwa tajemnicze listy, dostarczone mu przez posłańca do pokoju, który dzielił w szpitalu z innym lekarzem. Oba wysłano z banków i w obu domagano się jakichś pieniędzy. Nadawcą pierwszego był Pacific Bank, o którym William nigdy dotąd nie słyszał, najprawdopodobniej jakiś kolejny nowy twór próbujący zarobić na gorączce złota. Należący do kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy, na co się porwał. Ponieważ ów bank domagał się spłaty hipoteki, William odłożył list na bok, nawet go nie czytając. To go przecież nie dotyczyło. Westchnął, doszedł bowiem do wniosku, że banki nie są już takie jak dawniej. Za jego młodości nigdy nie zdarzały im się pomyłki. Był jeszcze drugi list, od Dudleya Luxtona z Banku Queensland. To już była czysta impertynencja.

William siedział na brzegu łóżka i nerwowo skubał paznokcie. Musiał koniecznie się czegoś napić, lecz Lalla siedziała w salonie i pilnowała barku. W swoim liście Luxton oznajmiał, że do chwili pokrycia debetu William i Edgar Thurlwellowie nie mogą liczyć na żadne dalsze pożyczki.

Jakie pożyczki? Thurlwellowie nigdy nie potrzebowali pożyczek. Poza tym nie ma mowy o żadnym debecie. Czy ci bankierzy postradali zmysły? I jeszcze do tego bezczelnie piszą: „Zawsze do usług”.

Przekłęci głupcy! William był strasznie zdenerwowany. Teraz rozumiał, dlaczego odsyłano mu czeki. „Bez pokrycia” brzmiał najnowszy, okropny termin. Sam go czasami używał, kiedy miał do czynienia z nie honorowanymi czekami niektórych pacjentów i dziwił się wtedy ich bezczelności. Pamiętał też, że te rachunki pozostały nie zapłacone.

Zaczynało do niego docierać, że jeśli Luxton nie zmieni zdania, to do powrotu Edgara będzie skazany na brak gotówki. Z wyjątkiem tych paruset funtów z gabinetu. Jak ma o tym powiedzieć Lalli?

O drzemce mógł zapomnieć. Wykąpał się i zszedł na dół, nie mogąc się doczekać kilku zbawiennych łyków sherry, którą pijali przed kolacją. Już postanowił, co zrobi. Wyśle telegram do Edgara, najlepiej do hotelu Australijskiego, poprosi, by brat niezwłocznie wrócił do Brisbane i przysłał mu adres NSW Steelworks. To Lallę powinno w pełni usatysfakcjonować.

Edgar na pewno zrobi z tym wszystkim porządek. Przede wszystkim Dudleyowi Luxtonowi i jemu podobnym da do zrozumienia, gdzie ich miejsce. A kiedy sprawa zostanie ostatecznie wyjaśniona,

307

PATRICIA SHAW

William będzie się domagał natychmiastowego zerwania wszelkich kontaktów z Bankiem Queensland. Luxton słono zapłaci za swoją impertynencję. Jeśli zaś chodzi o pomysł Lalli, by iść do niego i dowiedzieć się o adres jednego z głównych dostawców Western Railroads, to absolutnie wykluczone! Nigdy w życiu! Jego stopa nigdy więcej tam nie postanie!

Sprawa wejścia do federacji upadła i chyba nikogo już nie obchodziła. Nikogo oprócz Barnaby'ego Glassona, który widział, że cała jego ciężka praca nad konstytucją idzie na marne. Przesiadywał w swoim tymczasowym biurze w parlamencie i czekał na nowe zadanie.

Politycy zaczęli wracać do miasta, szykując się do wznowienia obrad, które miało nastąpić w marcu. Barnaby nie potrafił ukryć oburzenia i niesmaku, kiedy usłyszał, jak przewodniczący Izby, Harold Sutcliffe, chętnie się, że nigdy nie był zwolennikiem zjednoczenia i cieszy się, że w końcu ma ten kłopot z głowy i może spokojnie się skupić na sprawach naprawdę ważnych dla kraju.

Krażyła plotka, że minister sprawiedliwości planuje oddelegować Barnaby'ego do prac nad ustawą zakazującą uprawiania hazardu. Oznaczałoby to dla niego upadek ze szczytu chwały na mieliznę głupoty, zaczął się więc zastanawiać, czy nie zrezygnować z pracy i otworzyć własną kancelarię. Może nie w Brisbane, tu była zbyt duża konkurencja, lecz gdzieś na prowincji, na przykład w Charleville. Byłby to jednak koniec marzeń o karierze politycznej. Nawet gdyby zarobił na życie, upłynęłoby wiele lat, zanim zdobyłby akceptację miejscowej ludności. A przecież tak bardzo mu zależało, by powalczyć o fotel parlamentarzysty w Padlow. Pokonać tego bydlaka Buchanana. Może nie powinien był chwalić się tym przed Phoebe; nie byłoby mu teraz tak niezręcznie się wycofać.

W końcu został wezwany przez Creightona. Przez „jego świątobliwość”, jak nazywali go za plecami podwładni.

— Wygląda na to, że wpadłeś — szepnął sekretarz do Barnaby'ego, gdy ten czesał się i poprawiał krawat przed wejściem do świątyni świątyni, do gabinetu wielkiego człowieka. — Będziesz się zajmował ustawą antyhazardową. Pamiętaj tylko, żebyś przypadkiem nie postawił na jakiegoś konia, bo spłoniesz na własnym stosie.

— Szalenie zabawne — rzucił Barnaby w kierunku roześmianych twarzy.

308

OGNIE FORTUNY

- Ach, Glasson — odezwał się Creighton na jego widok. — Pan Prosser wrócił do Brisbane.

— Nie wiedziałem, sir. Mam nadzieję, że jest już w pełni sił.

— Nogę ma nadal w gipsie, ale wygląda na to, że jego głos nie ucierpiał. Chce się z panem widzieć.

Mina Barnaby'ego zdradziła chyba jego uczucie, bo minister mówił dalej:

— Nie dziwię się, Glasson, że to pana nie cieszy. Śmiem przypuszczać, że to nie będzie przyjemne spotkanie. Ale zasłużył pan sobie. Tylko jedna moja rada: niech pan to przyjmie jak mężczyzna i nie miesza w tę sprawę ministerstwa. Rozumie pan? Jeśli dotrze do mnie choćby jedno słowo krytyki, jest pan zwolniony. Czy wyrażam się dość jasno?

— Tak, sir. Dokąd mam się udać na to spotkanie?

— Ma pan się stawić w domu premiera. Dziś o dziewiątej wieczorem.

Barnaby zadrżał.

— W domu premiera?

— Tak. Chyba pan wie, gdzie mieszka sir Samuel?

— Tak, sir. — Któż nie znał owej posiadłości na wzgórzu?

— Pan Prosser ma wielu wpływowych przyjaciół w Związku Rdzennych Mieszkańców Australii w całym kraju. Ponieważ uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, premier uznał za swój obowiązek ugościć go w swojej rezydencji, zamiast wysłać do hotelu.

— Ach, tak. Oczywiście — odparł Barnaby, śmiertelnie przerażony. Zostać zruganym przez Prossera to już samo w sobie wystarczająco bolesne przeżycie, lecz doznać tego samego w obecności premiera! Zrobiło mu się słabo. Wolałby od razu wylecieć z pracy i mieć to z głowy.

Tymczasem Creighton pouczał go jak dziesięciolatek:

— Włóży pan swój najlepszy surdut, wypucuje buty i wyczyści paznokcie. Byłoby też nie od rzeczy, gdyby przeszedł się pan do fryzjera. Ta pańska czupryna to już pewna przesada! Zirytowany tym wykładem, Barnaby posłał mu lodowate spojrzenie.

— Czy mam wejść drzwiami frontowymi, czy też raczej od tyłu, sir? — spytał, minister wszakże nie dostrzegł oczywistej ironii.

— Sądzę, że jednak frontowymi. W końcu reprezentuje pan mój gabinet.

309

PATRICIA SHAW

Barnaby nie poszedł wprawdzie do fryzjera, za to przygładził włosy pomadą i postarał się, by przedziałek był równy i ostry jak brzytwa.

Punktualnie o dziewiątej Barnaby Glasson stanął przed drzwiami rezydencji premiera i po chwili został zaprowadzony przed oblicze Teodora Prossera, rozpartego w ogromnym fotelu.

— Jest pan bardzo punktualny, Glasson! To dobrze — przywitał go Prosser. — Niech pan siada, czeka nas sporo pracy.

— Cieszę się, że widzę pana w tak dobrej formie, sir — odparł Barnaby, zastanawiając się, o jaką pracę chodzi. — Mam nadzieję, że noga panu za bardzo nie doskwiera.

— Nie, już nie. Chociaż muszę przyznać, że początkowo ból był dokuczliwy. Piekielnie dokuczliwy. Ale na szczęście trafiła mi się wyjątkowo dobra opieka. A siostra przełożona okazała się nadzwyczajną osobą. Pani Woodside. Zna ją pan?

— Nie, sir. — Barnaby nie rozumiał, o co chodzi. Skąd niby miał ją znać? A Prosser! Był zaskakująco miły. Jakby podali mu gaz rozweselający.

— Osobiście się mną opiekowała — kontynuował Prosser. — Kuracja jak się patrzy.

Powiedziałem jej, że marnuje się w tym buszu. Powinna przeprowadzić się do Sydney i niewykluczone, że to zrobi. Wdowa, rozumie pan... Niech mi pan poda fajkę i tytoń. Samuel kupuje tylko najlepszy.

Barnaby wykonał polecenie, przyniósł też zapalki i popielniczkę, śmiejąc się w duchu.

Czyżby Prosser zakochał się tam, na prowincji? Na to wygląda. Nic dziwnego, że jest taki radosny.

— Podobno miał pan w Charleville jakieś problemy?

— Tak, sir. Prosser roześmiał się.

— No to dostał pan za swoje! Przynajmniej się pan nauczy, ile znaczy doświadczenie. Jak właściwie nazywa się ten człowiek? Ten, co oskarżył pana o wzniecanie rewolty?

— Ben Buchanan. Parlamentarzysta z Padlow. Mieszka tutaj, w Brisbane.

— A tak, wiem. Rozbił panu spotkanie? — Kiwnął fajką w stronę Barnaby'ego. — No cóż, gdybym tam był, pewnie by nie doszło do tego. Przywykłem już do takich jak on. Przy mnie nie odważyłby się na te swoje sztuczki.

Barnaby pokiwał głową. Mógłby z nim dyskutować, lecz nie czuł się do tego przygotowany.

310

OGNIE FORTUNY

— Ale zostawmy na razie Buchanana i jemu podobnych. Nastąpiła zmiana planu, zmiana konstytucji i tym razem wygramy.

„Znowu to samo — pomyślał Barnaby. — Ile kolejnych poprawek przyjdzie mi jeszcze czytać?”

— Słyszał pan o zgromadzeniu w Corowa? — spytał Teodor.

— Nie, sir.

— No to wkrótce pan usłyszy. Wszyscy o nim usłyszą. Corowa to miasto na granicy Wiktorii i Nowej Południowej Walii, a w spotkaniu uczestniczyli liczni członkowie Związku Rdzennych Mieszkańców Australii oraz zwolennicy Ligi Federacji. Czy jak dotąd wszystko jasne?

Barnaby ponownie kiwnął głową.

— Och, to musiał być wspaniały dzień. Szkoda, że mnie tam nie było. Doszli do wniosku, podobnie jak my wszyscy, że wszelkie próby pozyskania pogrążonych w letargu polityków oraz tych, którzy otwarcie sprzeciwiają się federacji, są z góry skazane na niepowodzenie.

Zresztą chyba trudno by było zmusić tych ludzi, żeby doszli do porozumienia w jakiegokolwiek innej kwestii.

— Niestety, to prawda — zgodził się Barnaby.

— No właśnie! W każdym razie, żeby już nie przeciągać, uczestnicy konwencji przegłosowali, że zamiast bawić się w kolejne poprawki, należy dodać do konstytucji preambułę. I oddać los federacji w ręce obywateli. Niech wybiorą swoich przedstawicieli, którzy ustalą ostateczny tekst. Co pan o tym sądzi?

Barnaby nie krył zaskoczenia.

— Czy to aby na pewno możliwe?

— Ależ oczywiście, że tak. Łatwo będzie skłonić ludzi, aby kandydowali na delegatów, i dać obywatelom prawo wyboru, kto ostatecznie pojedzie. W ten sposób wytrącimy antyfederalistom z rąk wszystkie kontrargumenty. Nie będą mieli jak się sprzeciwić. To genialny plan.

Barnaby zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym spytał:

— Czy nie uważa pan, że byłoby to działanie raczej w stylu republikańskim, niezgodne z brytyjską tradycją?

— Zgadza się, ale nie ma rady. Wasz premier to sprytny człowiek. Zdaje sobie sprawę, że mieszkaniac prowincji znacznie bardziej zaangażuje się w sprawę zjednoczenia, jeżeli uwierzy, że ma coś do powiedzenia. Wystarczy dać ludziom okazję zagrania politykom na nosach, a nich mi pan wierzy, drogi Glasson, będą się pchali do urn drzwiami i oknami. — Pyknął z fajki i rozparł się wygodnie, bardzo ?"

PATRICIA SHAW

ukontentowany. — Inne państwa jednoczyły się w mękach i zawsze lała się wtedy krew. Pokażmy im, że my, Australijczycy, mamy więcej rozsądku.

— Albo że nie chcemy przelewać krwi za idee — uśmiechnął się Barnaby.

— Może i tak. Tak czy owak nie sądzę, by groziła nam rewolucja. Decyzję w sprawie konstytucji muszą podjąć obywatele, wszyscy wyborcy, a nie politycy, załatwiający własne interesy.

— Mam nadzieję, że to się powiedzie. Ale kiedy konstytucja będzie już gotowa, i tak będzie trzeba poddać ją pod referendum.

— Niemniej będziemy już w połowie drogi — stwierdził Teodor. — Na stole leży broszura, znajdzie pan w niej więcej szczegółowych informacji na temat tego zjazdu w Corowa. Kiedy tekst nowej konstytucji zostanie zatwierdzony przez delegatów, kampania referen-dalna rozpocznie się na dobre. Prawdopodobnie zjawię się wtedy w Brisbane jako konsultant. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł premier.

— Dobry wieczór, panie premierze — odezwał się Barnaby, zrywając się na równe nogi.

— Dobry wieczór panu, Glasson. Przepraszam, Teodorze, ale moi goście strasznie się zasiedzieli i chyba nie mają zamiaru sobie pójść. Czy nasz młody prawnik wie już, o co chodzi?

— Wydaje mi się, że tak — odparł Teodor. — Robiłem, co mogłem.

„Nie napracowałeś się zbyt wiele — pomyślał Barnaby, wciąż stojąc. — To w końcu nie takie trudne do zrozumienia, a ja nie jestem idiotą."

— To dobrze — stwierdził i zwrócił się do Barnaby'ego. — No cóż, panie Glasson, mam dla pana pewną propozycję. Chcielibyśmy, by zrezygnował pan z posady w ministerstwie sprawiedliwości i w ogóle z pracy w rządzie. — Podszedł do kredensu, na którym stała duża

szklana misa i zaczął ścisnąć w palcach znajdujące się w niej zawinięte w sreberko czekoladki. — Same twarde — stwierdził niezadowolony. — Nie lubię takich, bołą mnie po nich zęby. Przypomnij mi, Teodorze, żebym kazał przynieść inne.

„Powiniennem być się domyślić, że mnie wyleją — myślał tymczasem Barnaby. — I mam nadzieję, że rzeczywiście rozbołą go zęby. Przekłety Prosser tylko mnie zwodził i czekał, aż przyjdzie stary i da mi kopniaka.”

— Co pan na to? — spytał premier.

312

OGNIE FORTUNY

- Skoro tak pan sobie życzy, sir — odrzekł Barnaby, wzruszając ramionami. Nie miał zamiaru błagać o łaskę.

— Byłoby najlepiej, gdyby otworzył pan prywatną kancelarię

— kontynuował sir Samuel. — Jest pan młody, bystry i zna się pan na prawie. Powinien pan sobie poradzić.

— Dziękuję za zaufanie, sir, ale nie stać mnie na otwarcie prywatnej kancelarii. Będę musiał znaleźć kogoś, kto zechce mnie zatrudnić.

— Nie, nie. To nie byłoby dobre rozwiązanie. Wspólnicy mieszaliby się do pańskich spraw, dlatego powinien pan raczej otworzyć własną praktykę i zatrudnić pracownika, który będzie ją prowadzić pod pańską nieobecność.

Barnaby pokręcił głową.

— Przykro mi, sir. Nie stać mnie na własne biuro. To naprawdę nie wchodzi w grę.

— Nie jest tak źle. Coś na pewno da się załatwić. To sprawa do ustalenia. Zależy nam, żeby został pan delegatem na następną konwencję. Zgłaszając swoją kandydaturę jako pierwszy, będzie pan miał spore szanse. Musi pan jednak odciąć się od polityki oraz polityków. I właśnie dlatego powinien pan otworzyć prywatną kancelarię.

Barnaby pojął wreszcie, o co chodzi, i natychmiast odzyskał dobry humor. Zdawał sobie jednak sprawę, że musi dopilnować, by ci dwaj chytry gracze nie wypuścili go na szerokie wody w dziurawej balii.

— Jak miałyby wyglądać te ustalenia, sir?

— Możemy wspomóc pana finansowo. Roczny czynsz za biuro byłby dla pana sporym obciążeniem, nieprawdaż?

— Tak, sir, ale będę również potrzebował funduszy na kampanię.

— Nie ma pan żadnych oszczędności? — spytał Teodor. Barnaby spojrzał na premiera i uśmiechnął się.

— Z pensji urzędnika rządowego nie da się niestety nic odłożyć.

— Drobne, jakże jednak potrzebne kłamstewko.

— To prawda — zgodził się premier. — Choć to żaden problem. Musi pan tylko założyć odpowiednie konto, na które będą mogły wpływać darowizny zwolenników, a ja dopilnuję, żeby się tacy znaleźli. No cóż, na mnie już czas. Niech pan znajdzie pomieszczenia na biuro i poinformuje o tym mojego sekretarza, a on zajmie się wszystkimi szczegółami. Ma pan na to moje słowo. — Uścisnął Barnaby'emu dłoń. — Tylko niech ta sprawa pozostanie między nami. Wydaje mi się, że jest pan idealnym kandydatem, panie Glasson, chociażby dlatego że z tak ogromnym zapałem poświęcił się pan tej

313

PATRICIA SHAW

konstytucji. Potrzebni są nam ludzie, którzy wiedzą, co mówią, a takich wcale nie mamy zbyt wielu. Życzę powodzenia.

Barnaby przez pół godziny chodził po ulicach i szukał dorożki, ale dzięki temu miał czas, by ochłonać i przemyśleć tę całkiem nową i korzystną propozycję, z którą wszakże wiązała się

wielka odpowiedzialność. Wiedział, że nawet jeśli nie zostanie wybrany przedstawicielem na konwencję, to i tak wygra, bo będzie miał swoją firmę, aczkolwiek uważał, iż byłoby podłością podchodzić do sprawy w taki sposób. Premier postawił na niego, zawierzył jego zdolnościom, musi więc się udać. I na pewno się uda.

„Tak czy owak — radował się, wchodząc do domu i rzucając kapelusz w powietrze — co mi tam! Nie wyleciałem z pracy! Dostałem kopniaka, ale w górę! I to wysoko!”

Ben siedział w pokoju stołowym, obłożony stertami katalogów opisujących szczegóły działania automobili, a Barnaby pomyślał, że dobrze jest wrócić do domu i mieć z kim porozmawiać.

— Widzę, że humor ci dopisuje — odezwał się Ben. — Co zrobiłeś z włosami? Wyglądają, jakbyś je czymś nasmarował.

— Bo nasmarowałem — roześmiał się Barnaby i poszedł do łazienki, by zmyć pomadę.

Wycierając włosy, podzielił się z Benem najświeższą nowiną:

— Już nie pracuję w ministerstwie.

— Czemu? Wyrzucili cię? Spodziewałem się tego.

— Nie całkiem. Premier zaproponował, żebym otworzył prywatną kancelarię i został delegatem na konwencję konstytucyjną. Co nie będzie znowu takie łatwe, bo delegaci mają być wybierani przez obywateli. Wiesz. Nowe zasady.

— I odpowiada ci to?

— I to jak! — wykrzyknął radośnie Barnaby. — Tym bardziej że mogę liczyć na wsparcie finansowe.

— To świetnie. Ja też mam dla ciebie dobrą wiadomość. Widziałem się dzisiaj z Phoebe. Pobiła mnie moją własną bronią. Powiedziała, że nie ma zamiaru czekać tych trzech miesięcy i teraz to ja mam się zdecydować. I to szybko. Postanowiliśmy więc się pobrać.

— O Boże! I zapewne oczekujesz ode mnie, bym się cieszył, że pchasz się w samo serce huraganu?

— Przynajmniej się pos"taraj — odparł Ben. — Jutro wieczorem Rod i Alice Callaghanowie zabierają mnie do swojego przyjaciela księdza. Oma była katoliczką, Phoebe jest anglikanką, a ja, jeśli chodzi o religię, nie mam określonych poglądów.

314

OGNIE FORTUNY

— Ksiądz katolicki ślubu wam nie da.

— Wiem. Ale Alice twierdzi, że to rozsądny człowiek i nie zaszkodzi, jeśli z nim porozmawiam. Martwię się tak samo jak ty.

— Phoebe też idzie?

— Nie. Zgodziłem się porozmawiać z tym księdzem głównie dlatego, że ta sprawa go nie dotyczy. W każdym bądź razie jutro wieczorem nie będzie mnie w domu. Będiesz musiał sam sobie coś ugotować.

— W porządku. Powodzenia. Zostanę prawdziwym orłem wśród prawników, a ty oddawaj się rozkoszom małżeństwa!

Na Morzu Tasmańskim szalał sztorm. Jednakże zarówno Edgar, jak i jego towarzysz byli wytrawnymi wilkami morskimi, znosili więc trudy podróży z błogim uśmiechem na twarzach. Codziennie przechadzali się po pokładzie, podziwiając spienione fale.

Mniej wytrzymali pasażerowie reagowali na nieustanny brak równowagi zgoła odmiennie: kurczowo trzymali się relingów, a najczęściej po prostu uciekali do kabin, oddając się pod troskliwą opiekę stewardów. Z punktu widzenia Edgara i Brody'ego taki stan rzeczy był jak najbardziej pożądany, gdyż wobec braku chętnych do korzystania z baru i jadalni dla pasażerów pierwszej klasy mieli wszystko co najlepsze tylko dla siebie.

Kiedy statek zawinął na kilka dni do Sydney, Edgar i Brody zeszli na ląd, lecz nie zwolnili kabin. Edgar nie odwiedził żadnego ze swych ulubionych miejsc, trzymał się też z dala od dostawców Western Railroads, choć i tak, mając Brody'ego za kompana, w pełni korzystał z życia. Prowadzili hulaszczy tryb życia, odwiedzając liczne w dzielnicy Rock tawerny, które Brody dobrze znał, aczkolwiek przez cały czas mieli się na baczności. Edgar ani na chwilę nie rozstawał się ze skórzaną walizką, Brody zaś, pełniący rolę ochroniarza, chodził uzbrojony. Pod płaszczem nosił pistolet, w bucie nóż. Na noc zawsze wracali na statek. W miarę jak zbliżali się do brzegów Nowej Zelandii, Edgarowi poprawiał się nastrój. Zamierzali spędzić kilka dni na Ziemi Długiej Białej Chmury, a potem wyruszyć w dalszą podróż. Najpierw na Hawaje, a stamtąd do Ameryki.

— Możemy też zabawić parę dni w Honolulu — poinformował Brody'ego. — To prawdziwy raj dla dżentelmenów.

Ani słowem nie wspominali o tym, co pozostawili za sobą. Akta były czyste. Brody okazał się człowiekiem, który nigdy nie spogląda

315

PATRICIA SHAW

wstecz, a Edgarowi taka życiowa filozofia bardzo się spodobała. Jak na lokaja był świetnym kompanem, lepszym od wielu jego znajomych. Na dodatek doskonale grał w karty.

Kiedy zbliżali się do Auckland, morze rozszalało się z taką siłą, że pancerny statek zataczał się i podskakiwał, stając się bezwonną igraszką żywiołów. Nawet najwytrawniejsi marynarze z trudem stali na nogach, starając się utrzymać statek na kursie i zamykając wszystkie luki. Brody'ego morze wciąż jeszcze nie pokonało, natomiast Edgar podzielił los pozostałych pasażerów i leżał w kabinie, wstrząsany kolejnymi atakami choroby morskiej, przeklinając „Locheil” oraz jego kapitana i przysięgając, że kiedy tylko dotrą na Hawaje, natychmiast przesiądą się na jakiś przyzwoity statek. Brody starał się, jak mógł. Napoił Edgara sporą ilością brandy, która miała nieco uspokoić jego żołądek i pozwolić mu przespać najgorsze chwile. Zrobiwszy to, wyszedł na pokład zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, albowiem i jemu zaczynały dokuczać nudności.

Ponieważ cała załoga zajęta była walką o utrzymanie kursu, postanowił zejść do opuszczonego baru. Zbliżała się druga w nocy, kiedy sięgnął po butelkę hiszpańskiego likieru. „Dzieło zakonników — pomyślał, pociągnąwszy pierwszy solidny łyk słodko-ognistego płynu. — I na wszystko, co święte — uśmiechnął się z uznaniem — to naprawdę przednia robota. W sam raz na taką sztormową noc, tym bardziej że nie ma tu nikogo, kto kazałby mi zapłacić za ten kosztowny trunek!”

Kiedy opróżnił połowę butelki, ogarnęła go nostalgia i nabrał ochoty, żeby trochę pośpiewać. Nie bardzo mógł przypomnieć sobie słowa, mimo to stwierdził, że to wyjątkowa noc. Na zewnątrz walczą żywioły, a on siedzi w bezpiecznym miejscu, mając cały bar dla siebie. Statkiem nagle szarpnęło i butelka o mało nie wybiła mu przednich zębów. Właśnie chciał pociągnąć kolejny łyk słodkiego trunku, kiedy przeklęty bar przechylił się na bok.

— Jezu! — wykrzyknął, próbując wstać. — Toż to chyba mocniejsze od whisky!

Kiedy wszakże cały bar ustawił się pod bardzo podejrzanym kątem i Brody, wciąż ściskając butelkę, potoczył się po podłodze, zrozumiał, że to nie wina alkoholu.

— Chyba wpadliśmy na Nową Zelandię — rzekł do siebie. A kiedy usłyszał zgrzyty, trzaski oraz przerażone okrzyki, w jednej chwili wytrzeźwiał.

— O cholera! Jezu Chryste!

316

OGNIE FORTUNY

Czym prędzej pobiegł na drugi koniec korytarza, żeby obudzić Edgara.

— Niech pan wstaje, szefie! Szybko! Ten przeklęty statek w coś uderzył. Bierzemy wodę! Edgar był oszołomiony. Pozwolił, by Brody ubrał go w szlafrok i wypchnął z kabiny, a następnie poprowadził po stromych schodach. Na świeżym powietrzu wróciła mu przytomność. Ludzie wrzeszczeli i przepychali się obok nich.

— Co się dzieje? — spytał Brody'ego, kiedy znaleźli się na pokładzie zalewanym przez deszcz i szalejące fale.

— Wpłynęliśmy na mieliznę — odparł Brody. W deszczu i ciemnościach szli po niebezpiecznie nachylonym pokładzie. Brody pomagał Edgarowi zachować równowagę. — Ludzie wpadli w panikę — tłumaczył. — Jest tylko parę szalup. Niech się pan mnie trzyma, to zdążymy.

— Zabrałeś walizkę? — spytał Edgar, przekrzykując wicher i przerażające trzaski pękającego drewna.

— Nie było na to czasu — odrzekł Brody. — Największa szalupa jest tutaj. Musimy się na nią dostać.

— Ty przeklęty głupcze! — wrzeszczał Edgar. — Wracaj po nią! Natychmiast! Tę ze świńskiej skóry, z pieniędzmi i złotem!

— Za późno. Statek idzie na dno.

— Rozkazuję ci! — krzyknął Edgar, okładając Brody'ego po plecach. — Idź po nią, ty cholerny bękarcie!

— Sam pan sobie idź — odparował Brody i odepchnął Edgara, po czym łokciami jął sobie torować drogę w tłumie czarnych postaci, walcząc o miejsce w szalupie, od której dzieliło go teraz zaledwie parę jardów, a którą właśnie zaczynało spuszczać na wodę.

Edgar tymczasem przeciskał się w przeciwną stronę. Kiedy dotarł do przejścia prowadzącego do baru, pogratulował sobie, że zrozumiał, co się dzieje, nie wpadł w panikę i nie zaryzykował kąpieli w ciemnym morzu, w którym zapewne roi się od rekinów.

Musiał wprawdzie przyznać, że statek jest niebezpiecznie przechylony, wyglądało jednak na to, że przynajmniej po tej stronie woda mu nie zagraża. Popędził do swojej kabiny, na szczęście luksusowej, czyli mieszczącej się na jednym z górnych pokładów, a nie w głębokich trzewiach statku, i sięgnął pod koję po drogocenną walizkę. Kiedy ruszył w stronę wyjścia, przez luki wdarła się woda.

— Pomocy! — krzyknął, z walizką w dłoni najpierw brodząc, a potem płynąc w kierunku wolności, która, dobrze o tym wiedział, znajdowała się niedaleko, tuż nad nim. Nagle uświadomił sobie, że nie

317

PATRICIA SHAW

tylko on krzyczy; wokół rozległ się chór przerażających wrzasków, strasznych odgłosów, a on — nie rozumiejąc, że umiera — przyrzekał nigdy ich nie zapomnieć.

— No cóż — powiedział do nowozelandzkich dziennikarzy Shaun Brody, jeden z nielicznych pasażerów, którym udało się przeżyć katastrofę „Locheil”. — Takie jest życie.

Jeszcze przez kilka tygodni przemierzał plaże w pobliżu miejsca, gdzie statek poszedł na dno, rzekomo pomagając w poszukiwaniach rozbitków bądź ich ciał, w rzeczywistości rozglądając się za walizką ze świńskiej skóry. Bez skutku.

Prasa donosiła, że pan Brody, chociaż w zasadzie był lokajem, płynął statkiem jako towarzysz podróży dżentelmena, który to tytuł nie był w tych stronach znany. Jak chętnie wyjaśnił reporterom, oznaczało to, iż jego pozycja jest o stopień wyższa aniżeli zwykłego lokaja. Natychmiast posypały się propozycje pracy od bogatych nowozelandzkich farmerów oraz właścicieli stadnin.

Ponieważ zawsze kochał konie, te ostatnie oferty czytał szczególnie uważnie i wkrótce natknął się na list od niejakiej pani Carmel O'Shea. Wdowy. I to właśnie ona zdołała go przekonać, by zgodził się poprowadzić jej pełne przepychu domostwo.

Po pół roku on i Carmel wzięli ślub, trzy lata później ich czteroletnia klacz przepłynęła wraz z nimi Morze Tasmańskie i zwyciężyła w słynnej gonitwie o Puchar Melbourne.

Kiedy ktoś pytał Brody'ego, czy znał Edgara Thurlwella, nie mógł sobie przypomnieć tego nazwiska. Jako zamożny dżentelmen nie lubił, by mu przypomniano, że w przeszłości był służącym.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wstrząsająca wiadomość o tragicznej śmierci Edgara nie dotarła jeszcze do jego rodziny, władze Nowej Zelandii prowadziły bowiem bardzo drobiazgowo dochodzenie. Kiedy wreszcie zrezygnowano z dalszych poszukiwań i zakończono postępowanie, sporządzono listę sześćdziesięciu dwóch zaginionych, którą następnie przekazano władzom Sydney, macierzystego portu pechowego statku.

Tymczasem najbliżsi krewni Edgara byli pochłonięci własnymi sprawami. Lalla została przewodniczącą Komitetu na rzecz Ochrony Parków i Ogrodów, nad którym honorowy patronat objęła małżonka gubernatora. Należało zebrać pieniądze, a to wymagało udziału w licznych przyjęciach. Pierwszym z nich miał być uroczysty podwieczorek w siedzibie rządu. Ta niezwykle prestiżowa funkcja wymagała nowych, najmodniejszych kreacji, Lalla posłała więc po krawcową. Jednakże ku jej ogromnemu zdumieniu i przerażeniu kobieta oświadczyła, że nie przyjdzie.

Również Phoebe dokonała przeglądu zawartości szafy. Ona i Ben podjęli w końcu decyzję, co przyniosło jej spokój. Zajęła się kompletowaniem posagu, rzeczy jakże istotnej dla przyszłej panny młodej.

Jej ojciec natomiast był coraz bardziej zaniepokojony. Okropnie zaniepokojony i skonsternowany piętrzącymi się długami oraz przedłużającą się nieobecnością brata, który z łatwością by to wszystko wyjaśnił.

Podczas porannego obchodu William Thurlwell stwierdził, że pani Carroll w dalszym ciągu przebywa w szpitalu, co niesłychanie go rozdrażniło. Miał zbyt wiele własnych problemów, by jeszcze znosić jej humory.

319

PATRICIA SHAW

— Domyślam się, że zamierza pani nas dziś opuścić — rzekł.

— Ależ skąd — odparła. — Bok ciągle mnie boli. Niech mi pan poda lusterko. Jeśli postawię stopę na podłodze, ta okropna rana z pewnością się otworzy.

— Nie ma takiej obawy. Szwy zostały zdjęte i wszystko pięknie się goi. Każę sprowadzić dla pani powóz. Może pani spokojnie wracać do domu i cieszyć się z udanej operacji.

— Ma pan cokolwiek dziwne wyobrażenie o radości — warknęła.

— Po tych wszystkich cierpieniach, których tutaj doświadczyłam, miałabym się pana zdaniem cieszyć? Wy, lekarze, jesteście wszyscy tacy sami, nie rozumiecie, co to ból! — Posłała mu złośliwe spojrzenie.

— Ciekawych rzeczy dowiedziałam się ostatnio na temat pańskiej Phoebe. To, że tutaj leżę, jeszcze nie znaczy, że straciłam kontakt z rzeczywistością. Słyszałam, że ma narzeczonego i wkrótce odbędą się zareczyny.

— A jednak straciła pani kontakt z rzeczywistością — odrzekł William. — Moja córka ma wielu przyjaciół, ale z żadnym nie łączy jej

aż tak bliski związek.

— Co pan tam wie! Moi znajomi opowiadali mi, że niezwykle często odwiedza stajnie Beckmana i że przebywa tam w towarzystwie ich właściciela. Bena Beckmana, tego młodego chłopaka.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Aha! Niech pan nie udaje, doktorze! Zna go pan, to więcej niż oczywiste. To przecież pański sąsiad. Ten kolorowy.

William był tak oszołomiony, że przestał udawać obojętność.

— Pani Carroll, bardzo panią proszę, żeby powstrzymała się pani przed powtarzaniem takich kalumnii. Zaręczam pani, że to wierutna bzdura.

— No cóż — uśmiechnęła się. — Często tak bywa. O tym, co dzieje się w ich rodzinach, ojcowie dowiadują się na samym końcu. Proszę mi jednak wierzyć, doktorze Thurlwell, to wszystko szczerą prawdą. Mój brat, sędzia, widział ich razem, i to nie jeden raz. Zresztą w jego stajniach ten związek stał się tajemnicą poliszynela, wszyscy pracownicy dobrze wiedzą, co się święci. Mój brat bardzo się dziwi, że dotąd nie kiwnął pan palcem, by zapobiec temu mezaliansowi. Przyzna pan chyba, że człowieka tego pokroju trudno nazwać dobrą partią...

— To nieprawda — uparcie powtarzał William.

— Cóż, chyba lepiej, że dowiedział się pan tego ode mnie, bo wygląda mi na to, że pan rzeczywiście o niczym nie wie. Tymczasem niektórzy ludzie mówią nawet, że pańska córka i ten Beckman są

320

OGNIE FORTUNY

kochankami, że ona odwiedza go w jego domu. Bez osoby towarzyszącej!

Doktor Thurlwell wybiegł z pokoju, a pani Carroll uśmiechnęła się i wygodnie rozsiadła w łóżku. Zamierzała pozostać w szpitalu jeszcze dwa dni, do czasu aż jej stara nieznośna teściowa wróci na zachód, na swoją rodzinną farmę. Krzyżyk na drogę.

William wyszedł ze szpitala, zapominając o pozostałych pacjentach. Modlił się, by to, czego dowiedział się od tej kobiety, okazało się nieprawdą. Przecież to niemożliwe, by Phoebe zadawała się z kimś takim. Nagle jednak przypomniał sobie, jak Lalla awanturowała się, że Phoebe wieczorem wychodzi sama z domu. To było szaleństwo, lecz William wiedział, że Phoebe czasami stać na szaleństwo.

A jeśli wtedy nie spacerowała sama? Jeżeli rzeczywiście była u tego łotra? William otarł czoło chusteczką i ruszył w stronę stojącego w cieniu drzewa gigu. No właśnie! Lalla przyłapała ją na gorącym uczynku, a Phoebe skłamała. Kłamstwo zaś mogło oznaczać tylko jedno: w tym wszystkim jest przynajmniej szczypta prawdy.

Zanim wsiadł do powozu, zwrócił się do stangreta:

— Wozisz moją córkę do stajni, prawda?

— Chodzi panu o stajnie Beckmana, sir? Tak. Była tam nawet wczoraj.

William czuł się upokorzony, że musi zdobywać tego typu informacje od służących, jednakże nie miał wyboru.

— A znasz kogoś, kto tam pracuje?

— Tak, panie doktorze, znam większość pracowników.

— Rozumiem. — William przez chwilę się zastanawiał, świadom, że stangret coraz bardziej się niepokoi.

— A teraz posłuchaj mnie, tylko uważnie. Chcę ci zadać kilka pytań i jeśli kiedykolwiek się dowiem, że skłamałeś, w mgnieniu oka pożegnasz się z pracą.

Stangret ściągnął czapkę i przygryzł wargę.

— Czy słyszałeś w stajniach jakieś plotki na temat mojej córki i tego Beckmana?

— Jakie plotki, sir?

— Nie próbuj robić ze mnie idioty. Odpowiadaj na pytanie!

— Słyszałem, że panna Phoebe i Ben są... no, jakby przyjaciółmi, sir.

— Ben, powiadasz. Domyślam się, że chodzi o właściciela. I zapewne o tej przyjaźni wiedzą wszyscy. Mów, jak daleko zaszła ta przyjaźń.

21 Ognie fortuny

32I

PATRICIA SHAW

— Och, nie mnie to oceniać, sir.

— Owszem, tobie. Jeszcze raz cię ostrzegam. A jeżeli nie tobie to oceniać, chcę wiedzieć, co sądzą o tym jego pracownicy.

— Twierdzą, że Ben i panna Phoebe na pewno wezmą ślub, ale, Jezu, to naprawdę nic pewnego. Nie chciałbym wprowadzić pana w błąd, sir.

— Dziękuję, to mi wystarczy. — Wsiadł do powozu. — Jedziemy na Terrace.

William zamknął dokładnie drzwi gabinetu i z szafki z lekarstwami wyjął butelkę porto. Teraz już nie miał wątpliwości, że ten mieszaniec w jakiś tajemniczy sposób wkradł się w łaski Phoebe, a ta nierozsądna dziewczyna zakochała się w nim. Jak mogła być tak bezgranicznie głupia? Przecież wystawia rodzinę na pośmiewisko. A może nawet już wystawiła. William wyobrażał sobie reakcję Lalli. To dopiero będzie piekło!

A może ten łotr zdążył już uwieść Phoebe i stąd te pogłoski o ślubie? William zadrżał. Musi natychmiast położyć temu wszystkiemu kres. Co jednak będzie, jeśli Phoebe jest w ciąży? Opróżnił duszkiem drugą szklaneczkę porto. Ten bękart powinien zostać wybatożony już za to tylko, że śmiał narzucać się jego córce! Powinno się wygnać go z miasta albo wtrącić z powrotem do więzienia, bo tam jest jego miejsce!

Więzienie! O, Panie na wysokościach! Na śmierć zapomniał o przeszłości tego łajdaka! Co za diabelski pomiot!

William zatrząsł się cały z gniewu i obrzydzenia. To oczywiste, że natychmiast położy temu kres, lecz ten łotr musi zostać przykładownie ukarany. Musi wiedzieć, że z Thurlwellami nie można bezkarnie bawić się w kotka i myszkę. Ciekawe, jak w takiej sytuacji postąpiłby Edgar? Na pewno w przeciwieństwie do brata zacząłby działać. I to szybko. Gniew Williama właśnie sięgnął zenitu, kiedy nagle ujrzał ogrodnika, Piąchę Duncana, który przechodził koło okna, pchając taczki. Był to wyjątkowy zbój, do tego strasznie nierozgarnięty. Stanowczo zbyt wiele razy oberwał po głowie, a William dał mu pracę tylko dlatego, że prosił go o to jeden z przyjaciół. Były pięściarz był mu za to ogromnie wdzięczny, tym bardziej że pozwolono mu również zamieszkać w komórce z tyłu domu. Dla niego doktor Thurlwell był niemal bogiem.

Czasami bywał uciążliwy, chodził za Williamem niczym przerośnięty szczeniak i dopytywał się, czy może mu w czymś pomóc. William patrzył teraz na niego i zastanawiał się, czy nie nadszedł czas, by Piącha Duncan zapracował na swe utrzymanie... Nadal odznaczał się nieby-

322

OGNIE FORTUNY

wała siłą i miał iście stalowy uścisk. William zawsze szukał pretekstów, żeby tylko nie podać mu dłoni.

Wyszedł na dwór i ku zachwytowi Duncana znalazł chwilę czasu, by usiąść na ławce i porozmawiać ze swym wiernym ogrodnikiem.

Piącha słuchał z narastającą troską ponurej historii, z konieczności bardzo uproszczonej.

— To znaczy, że próbował się dobierać do pana córki? — spytał wstrząśnięty, kiedy udało mu się wreszcie pojąć znaczenie słów doktora. — Chryste, gdybym tylko wiedział, gdzie go znaleźć, dałbym mu taką nauczkę, że by se popamiętał do końca życia. A jakbym z nim skończył, toby już potem nie pchał łap tam, gdzie nie trzeba.

— To by mu dobrze zrobiło — mruknął William Thurlwell, jakby ten pomysł był jedynie hipotezą. — Dobre imię mojej córki zostałoby uratowane, a on może nauczyłby się raz na zawsze, że ma się trzymać od niej z daleka. Naprawdę sam już nie wiem, co robić. Chyba oszaleję. Przecież policja nie kiwnie nawet palcem.

— Policja nigdy nic nie robi — zgodził się Duncan. — To może mi pan pozwoli z nim porozmawiać? Chciałbym się jakoś odwdziżyć, że jest pan dla mnie taki dobry.

— Może rzeczywiście powinieneś? Ale to musi być nasza tajemnica. Moja żona o niczym nie może się dowiedzieć. To męska sprawa.

— Pewnie, że tak. To męska sprawa.

Barnaby pracował w jadalni, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Zbliżała się dziewięta, uśmiechnął się więc, bo przypuszczał, że to Phoebe. Idąc otworzyć drzwi, spojrzał na jej szal zawieszony na lustrze.

Na tle księżycy ujrzał w drzwiach ciemną sylwetkę potężnego mężczyzny.

— Tak? — spytał, lecz zamiast odpowiedzi otrzymał potężny cios zadany pięścią twardą jak głaz i potoczył się po podłodze. Przez nikogo nie powstrzymany napastnik ruszył za Barnabym, podniósł go z ziemi i uderzył po raz drugi. Rozległ się chrzęst łamanych kości. Kolejne ciosy trafiły w klatkę piersiową, później w brzuch i znowu w twarz. Barnaby czuł smak krwi spływającej mu z rozbitych ust. Przez mgłę widział, jak ciemna postać pośpiesznie wychodzi, z hukiem zatrzaskując drzwi. A potem zapanowała ciemność.

Wróciwszy do domu, Ben znalazł półprzytomnego Barnaby'ego, leżącego w kałuży krwi.

— Jezu! Co ci się stało?

323

PATRICIA SHAW

Podniósł go i położył na łóżku, zrozumiał, że Barnaby padł ofiarą napadu. Okładał twarz przyjaciela mokrymi ręcznikami, starając się przywrócić go do przytomności, wkrótce wszakże pojął, że obrażenia są zbyt poważne, by mógł sobie z nimi poradzić. Ułożył Barnaby'ego na poduszkach i pobiegł na ruchliwą Vulture Road w poszukiwaniu dorożki. Wszystkie były zajęte, zapłacił więc jakiejś parze pięć funtów za to, żeby odstąpiła mu swoją. W szpitalu poinformował siostrę przełożoną, że pacjent jest osobistym przyjacielem premiera i powinien zostać umieszczony w sali jednoosobowej.

Barnaby'ego trudno było rozpoznać. Twarz strasznie mu napuchła i cała pokryła się masą fioletowych sińców. Ben czekał za drzwiami, podczas gdy jakiś młody lekarz zajmował się pacjentem.

— Jest w złym stanie — poinformował Bena, zakończywszy pierwsze oględziny. — Złamane kości policzkowe, szczeka, obojczyk i prawdopodobnie kilka żeber. Co się właściwie stało? Przejechał go pędzący wóz czy co?

— Nie. Został napadnięty — odparł Ben, nie dodając, że w przeszłości widział już takie obrażenia. W kamieniołomach.

— Gdzie to się stało?

— W domu. Prawdopodobnie rabusie. Widocznie im przeszkodził.

— Czy coś zginęło?

— Nie miałem czasu sprawdzić. Chciałem przywieźć go tutaj najszybciej, jak to tylko możliwe.

— To dobrze. Zamierza pan zgłosić to na policję?

— Na Boga! Pewnie, że tak! A jeśli się dowiem, kto to zrobił, przysięgam, że będzie pan miał następnych pacjentów. Czy mogę zrobić coś jeszcze dla Barnaby'ego? Chcę, żeby miał jak najlepszą opiekę.

— Na razie nic pan nie może zrobić. Zajmiemy się nim.

Ben przez chwilę się zastanawiał.

— W takim razie chyba pojedę do domu i spróbuję się zorientować, co się właściwie stało, ale jak tylko skończę, natychmiast wrócę. Jak pan sądzi, nic mu nie będzie?

— Jutro powinniśmy wiedzieć coś więcej. Prawdopodobnie trzeba będzie ponastawiać kości. Mogę to zrobić albo ja, albo jeśli pan sobie życzy, starszy chirurg, doktor Thurlwell.

— Ten rzeźnik! — wybuchnął Ben. — Niech się nawet nie zbliża do pana Glassona!

324

OGNIE FORTUNY

Lekarz uśmiechnął się.

— Jestem Nathan Stein. Zajmę się panem Glassonem osobiście. Jadąc do domu przez ciemne ulice Brisbane, Ben nabrał pewności,

że dom obrabowano, lecz nie martwił się o swój prywatny bank. Nikt na świecie nie wiedział o jego istnieniu, a złodzieje musieliby mieć naprawdę ogromne szczęście, żeby się na niego natknąć. Ben w podłodze pod łóżkiem zrobił skrytkę i umieścił w niej niewielki sejf, zawierający większą część łupów Kapitana Jacka, po czym przykrył go deskami i linoleum.

Dom był jednak nietknięty, z wyjątkiem zalanego krwią chodnika i przewróconego wieszaka na płaszcze, który zapewne pociągnął za sobą Barnaby, szukając oparcia. Nic nie zginęło. Starannie poukładane stopy dokumentów Barnaby'ego także leżały na biurku.

Ben chodził po domu, usiłując wywnioskować, co zaszło. Jedyne światło paliło się w jadalni, z zewnątrz mogło się więc wydawać, że nikogo nie ma w domu. Włamywacze weszli zapewne do środka, co nie było trudne, tylne drzwi i wszystkie okna były bowiem pootwierane. Sądząc po tym, że nic nie zginęło, należało przypuszczać, że Barnaby wszedł bandytom w paradę, postanowili więc wziąć nogi za pas. Musiało być ich paru, jeden na pewno by go tak nie poturbował.

Ben wszedł do sypialni matki. Od lat nic się tu nie zmieniło, nadal stało w niej żelazne łóżko z koronkową narzutą i białymi poduszkami. W solidnej komodzie Oma trzymała czystą pościel, w szafie wisały zimowe ubrania Bena. Pod łóżkiem zauważył pudło Diamond. Kilka razy zastanawiał się, czy nie przejrzeć jego zawartości i nie zrobić w nim porządku, ponieważ jednak było to właściwie wszystko, co mu zostało po matce, nie ruszał go. Jako dzieciak czasami do niego zaglądał, lecz nie znalazł w nim nic ciekawego, oprócz ostrego noża w pochwie, który kiedyś miał nawet ochotę zwędzić.

Uśmiechnął się. Gdyby to wówczas zrobił, prawdopodobnie nie ominęłaby go długa rozmowa ze skórzanym paskiem.

Siedział na łóżku, rozmyślając o matce, która tak bardzo go kochała. Zaczął się zastanawiać, co by powiedziała, gdyby ją poinformował, że zamierza poślubić Phoebe. Teraz, w jej pokoju, odniósł nieprzyjemne wrażenie, że nie pochwalałaby tego planu.

— Dlaczego nie! — spytał na głos. — Już nie chodzi o zemstę. Ja ją naprawdę kocham. Ty też byś ją pokochała. Przecież ją znałaś.

Głucha cisza sprawiła, że zamarł w bezruchu. Czułby się dużo lepiej, gdyby mógł z kimś o tym wszystkim porozmawiać. Znowu przed oczyma stanął mu Barnaby. Dlaczego skatowano go przy

325

PATRICIA SHAW

frontowych drzwiach? Czy to normalne, że złodzieje wchodzą głównym wejściem? Przypomniał sobie, co mówiła Diamond, kiedy ją o coś pytał. „Zastanów się nad tym, a potem wróć i powiedz mi, co wymyśliłeś.” Tłumaczyła mu, że taką właśnie metodą uczą Aborygeni. Idź, zobacz i naucz się.

Jeszcze raz obszedł cały dom. Barnaby został pobity do nieprzytomności, złodzieje nie musieli więc uciekać. Na kredensie w stołowym stały butelki z alkoholem, na półkach spodek z drobnymi, które Ben wyjmował z kieszeni, oraz kilka ozdób ze szczerego srebra, naprawdę cennych. Należały do Omy. Dotąd Ben nie zastanawiał się nad wartością przedmiotów znajdujących się w jego domu. Ozdobny zegar w kształcie karety na kominku, srebrne ramy obrazów, wreszcie ukochany skarb Diamond, złoty samorodek w kształcie nieregularnej gwiazdy, spoczywający na czarnym aksamicie pod szklaną pokrywą. Wszystko to otaczało go od tak dawna, że w gruncie rzeczy przestał to dostrzegać. Cały dom pełen był różnych drobnych skarbów, które obie kobiety gromadziły przez lata i które zapewne miały obecnie sporą wartość. Czy jakkolwiek złodziej przepuściłby taką okazję? Chryste! W więzieniu, jeśli człowiek na chwilę się odwrócił, ginął mu nawet zżarty przez wszy, brudny koc. Co to za złodzieje? Wrócił do pokoju Diamond i utkwiał wzrok w narysowanym kredką portrecie matki, dziele ulicznego artysty.

— Złodzieje? — spytał Diamond. — Rabusie? Mieszkał ze złodziejami przez cztery lata. W pokoju zapanował chłód zagrożenia, a Ben natychmiast je rozpoznał. To nie Barnaby miał być ofiarą, tylko on! Barnaby został skatowany zamiast niego. Tylko komu mogło na tym zależeć?

Ben Beckman wyszedł na dwór i spojrzał na sąsiedni budynek. Pograżony w mroku, wydawał się ponury i niedostępny, stanowił szczelny monolit, któremu nie były w stanie zagrozić kamienie rzucone przez dziecko. Ben przypomniał sobie śmierć Diamond i lata spędzone w więzieniu oraz kamieniołomach i cieszył się, że jej przy tym nie było. Już Oma dosyć się wycierpiała. Dla Diamond byłoby to jeszcze straszniejsze przeżycie niż dla niego.

— Na Boga! — wyszeptał. — Odplacę wam za to!

Jedyną osobą, która mogła nasłać na niego zbirów, był ojciec Phoebe, człowiek zbyt tchórzliwy, by stanąć z nim twarzą w twarz.

W tym momencie Ben czuł szczerą nienawiść do tej rodziny, z niepokojem zauważył też, że nagle zmienił się jego stosunek do

326

OGNIE FORTUNY

Phoebe. Czy naprawdę ją kocha, czy może to jednak tylko wytwór wyobraźni?

Takie właśnie pytanie zadał mu ksiądz, który zdawał sobie sprawę z przepaści dzielącej tych dwoje. Ben impulsywnie zapewnił, i to w obecności Alice i Roda, że jest pewny swojego uczucia do Phoebe.

Zgodnie z przewidywaniami Roda, od razu polubił księdza, ponieważ dobrze się z nim rozmawiało. Ksiądz ani nie pochwalał jego planów, ani ich nie ganił, zachęcał jedynie, żeby Ben mu o nich opowiedział, i ostrzegł, że dla Phoebe bez wątpienia będzie to kręta i wyboista droga. Lecz nikt z nich nie wiedział, że początkowo Ben interesował się Phoebe tylko dlatego, że chciał się zemścić na jej rodzicach.

— Dokładnie to wszystko przemyśl — poradził ksiądz.

— Na pewno to zrobię — powiedział teraz Ben hardym głosem. — Tym razem mnie nie pokonają. Poślubię ją tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Żeby się czymś zająć, Ben wrócił do domu, zwinął zakrwawiony chodnik i wyrzucił na podwórko, postanawiając kupić nowy. Następnie przyniósł wiadro wody z mydłem i ryżową szczotkę i dokładnie zmył ślady krwi z podłogi oraz ścian. Stojąc w otwartych drzwiach wejściowych, przypomniał sobie, jak Phoebe przeszła przez płot i uratowała go przed wężem. Serce od razu mu zmiękło. Była taka kochana. Nadal jest.

Myśląc zaś o jej ojcu, swoim wrogu, powiedział sobie:

— Mam teraz węża w sąsiedztwie, a nie na skałach. Ale na Boga, oni też! Nie jestem już bezbronnym dzieckiem, doktorze Thurlwell, i tym razem nie skończy się na powybijanych szybach.

Wykąpał się, przebrał i wziął pieniądze na leczenie Barnaby'ego. Obudził woźnicę, który wciąż czekał przed domem.

— Sporo będzie to pana kosztować — narzekał wozak.

— Zapłacę — warknął Ben.

William wstał bardzo wcześnie, by wręczyć kilka funtów Piąsze Duncanowi, który oświadczył uroczyście:

— Ten gość nie będzie już zaczepiać pana córki, sir. Dostał taką lekcję, że na pewno długo jej nie zapomni.

— Dobry z ciebie przyjaciel — odrzekł równie uroczystym tonem William. — Ale nie zapomnij, że to nasza tajemnica. Nie chciałbym, żebyś miał kłopoty.

327

PATRICIA SHAW

— Nie miałem żadnych kłopotów — oświadczył dumnie Piącha. — To fircyk. Ci Aborygeni wcale nie umieją się bić. Poleciał na ziemię jak jaki worek.

Tymczasem Aborygen, którego miał na myśli, Ben Beckman, siedział zatroskany przy łóżku Barnaby'ego.

Barnaby był przytomny, lecz wyglądał jeszcze gorzej niż poprzedniej nocy. Twarz miał obandażowaną, w miejscu oczu znajdowały się jedynie dwie wąskie szczeliny. Nie potrafił sobie przypomnieć, co działo się od momentu, kiedy usłyszał pukanie i otworzył drzwi.

Chociaż w ustach miał sączki do tamowania krwi, uparcie próbował coś powiedzieć.

— Nic nie mów — prosił Ben. — Pobili cię rabusie, ale ty też musiałeś nieźle im dołożyć, bo zamiast okraść dom, uciekli. Jesteś bohaterem.

Ponieważ pisanie przychodziło Barnaby'emu z mniejszym trudem, spisał swoje prośby na kartce papieru, a Ben dokładnie je wypełnił. Udał się do rezydencji premiera, przedstawił się panu Prosserowi i poinformował, że pan Glasson został napadnięty i brutalnie pobity.

— O Boże! — wykrzyknął Prosser, sam nadal z nogą w gipsie. — Wygląda na to, że dopadło nas pasmo nieszczęść. Nieszczęsny Glasson! To okropne! Wyjdzie z tego, jak pan sądzi?

— Bez wątpienia. Bardzo prosił, abym pana zapewnił, że potrafi wykonać wszystkie postawione przed nim zadania. Kilka złamanych kości nie przeszkodzi mu w myśleniu.

— Twardy człek! Jest młody, a na młodych rany goją się jak na psie.

— Cieszy się w Brisbane nieposzlakowaną opinią i jest bardzo popularny — dodał Ben od siebie. — Wspominał, że ma nadzieję zostać delegatem na następną konwencję. Na pewno zdobędzie ogromne poparcie.

— Naprawdę? Wiedziałem, że dokonaliśmy słusznego wyboru.

— To prawda — zgodził się Ben. — Wszyscy moi przyjaciele

— skłamał — są zwolennikami federacji i z pewnością wesprzemy finansowo jego kandydaturę.

— To wspaniała wiadomość.

— Zamierzam zgłosić pobicie pana Glassona na policji — oznajmił Ben — ale wydaje mi się, że rzecz potraktowano by poważniej, gdyby zechciał pan napisać w tej sprawie krótki list. Prosser przyjrzał mu się uważnie.

OGNIE FORTUNY

— Pana przodkowie byli Aborygenami, prawda? Czy dlatego potrzebuje pan mojej pomocy?

— Tak, sir. Moja matka była Aborygenką i wcale się tego nie wstydzę. Prowadzę w Brisbane poważną firmę. Pan Glasson zawsze pomagał mi w interesach, teraz mam szansę za wszystko mu się odwdziaczyć. Ale niektóre rzeczy pewnie długo się jeszcze nie zmieniają. Skarga złożona przez kogoś, w kogo żyłach płynie krew Aborygena, zostanie potraktowana mniej poważnie niż złożona przez dżentelmena takiego jak pan.

— Muszę przyznać, że rozsądny z pana człowiek — uśmiechnął się Prosser. — Mówił pan, że jak się nazywa?

— Ben Beckman.

— To niemieckie nazwisko, czyż nie? Ojciec jest Niemcem?

— Tak, sir — ponownie skłamał Ben. — Był marynarzem. Kapitanem. — Postanowił, że odtąd będzie mówił białym to, co chcą usłyszeć. — Zginął, kiedy jego statek poszedł na dno na Wielkiej Rafie, ale zdążył się zatroszczyć o moje wykształcenie.

— Naprawdę? Mam nadzieję, że potrafi to pan docenić.

Ben uśmiechnął się, chowając do kieszeni krótki list. Prosser wyraził swe oburzenie na kosztownym papierze z godłem Queensland oraz nagłówkiem: REZYDENCJA PREMIERA. Ben zaniósł list na posterunek policji przy Roma Street. Postanowił wyrobić sobie odpowiednie referencje, znajomości u osób na wysokich stanowiskach, aby w przyszłości uniknąć kolejnych kłopotów, które mogłoby na niego sprowadzić Thurlwellowie.

Przeczytawszy list, inspektor policji był pod takim wrażeniem, że obiecał osobiście zająć się sprawą Barnaby'ego.

— A więc jest pańskim gościem, panie Beckman? Niezmiernie przykro mi to słyszeć. Proszę zapewnić panów Prossera i premiera, że zrobimy wszystko, by znaleźć sprawców tego ohydneho czynu.

Chociaż Ben bardzo martwił się o Barnaby'ego, był to dla niego wielki dzień. Po raz pierwszy w życiu funkcjonariusz policji potraktował go z tak głębokim szacunkiem. Nie zasugerował policji żadnych możliwych powodów napadu, zgodził się jedynie, że prawdopodobnie Barnaby wszedł w paradę włamywaczom. Nie był jeszcze wystarczająco przygotowany, by wmieszać w tę sprawę rodzinę Phoebe. Zresztą i tak wkrótce o wszystkim się dowiedzą. Niech się martwią.

William Thurlwell rzeczywiście się martwił. Był śmiertelnie przerażony fatalną pomyłką Piachy.

PATRICIA SHAW

Wprowadziwszy w życie plan wymierzenia Beckmanowi kary, na jaką zasłużył, nie wspomniał w domu ani słowem o związku łączącym Phoebe z tym mieszkańcem. Tamtej nocy był z siebie ogromnie zadowolony, uważał, że wykonał świetny ruch, jako że nikt nie będzie w stanie o nic go oskarżyć.

Dwa dni później wieczór popsuł mu artykuł w gazecie, opisujący nikczemny napad na znanego młodego prawnika, pana Barnaby'ego Glassona. Wziął gazetę i zamknął się w swoim gabinecie, nie wspominając o sprawie Lalli ani Phoebe. Zawsze mógł utrzymywać, że artykuł uszedł jego uwagi.

Nie miał pojęcia, że Barnaby Glasson zamieszkał w sąsiedztwie. Uważał, że całą winę ponosi Piacha, lecz jemu także postanowił o tym nie mówić. Przeklęty idiota mógłby wpaść w panikę i Bóg raczy wiedzieć, co wtedy by zrobił.

Kiedy wszakże ujrzał policjanta idącego po podjeździe, o mało nie dostał zawału serca. Jak to możliwe, że tak szybko trafili na właściwy ślad? Czyżby Glasson rozpoznał Piachę? A może ten imbecyl przed

kimś się wygadał?

— O mój Boże! — jęknął. Co robić? Zaprzeczyć, wszystkiemu zaprzeczyć! Cokolwiek się zdarzyło, on nie ma z tym nic wspólnego!

Kolana tak mu się trzęsły, że nie był nawet w stanie podnieść się z miejsca, kiedy wyraźnie zaniepokojona Lalla otworzyła drzwi i wprowadziła do gabinetu policjanta.

— Konstabl ma jakąś bardzo złą wiadomość, którą jak twierdzi, musi przekazać ci osobiście — oznajmiła, po czym stanęła z założonymi rękoma, dając do zrozumienia, że nie zamierza wyjść.

— Chyba powinna pani usiąść, pani Thurlwell — poradził policjant, po czym odchrząknął.

— Przypadł mi przykry obowiązek poinformowania pana — zaczął — że pański brat, pan Edgar Thurlwell, nie przeżył katastrofy statku „Locheil”, który zatonął u wybrzeży Nowej Zelandii.

— Dobry Boże, konstablu! — wykrzyknęła Lalla. — Ale mnie pan wystraszył! Oczywiście, że Edgar przeżył, ponieważ nie było go wtedy na statku. Takie pomyłki są naprawdę karygodne.

William poczuł taką ulgę, że natychmiast odzyskał mowę.

— Moja żona ma rację, konstablu. Edgar Thurlwell zszedł na ląd w Sydney. Ze szczerym smutkiem czytaliśmy doniesienia o katastrofie tego statku, aczkolwiek muszę przyznać, że cieszyliśmy się, iż brat tak szczęśliwie uszedł z życiem.

330

OGNIE FORTUNY

— Niezmiernie mi przykro, panie Thurlwell, ale pan się myli. Pan Edgar Thurlwell nie zszedł na ląd w Sydney. Płynął dalej, do Auckland. Listę pasażerów wielokrotnie sprawdzono.

— Czy odnaleziono jego ciało? — spytała kwaśno Lalla.

— Nie, psze pani.

— No właśnie!

— Udało się znaleźć bardzo niewiele ciał, psze pani. Statek poszedł na dno zbyt szybko, a na domiar złego katastrofa nastąpiła w samym środku nocy. Bardzo bym chciał, żeby to była pomyłka, ale niestety współpasażerowie, którzy przeżyli katastrofę, potwierdzili, że pan Thurlwell na pewno był na pokładzie. Wśród ocalałych znajdował się między innymi lokaj pana Thurlwella, niejaki Brody, oraz dwóch oficerów, którzy zaprzyjaźnili się z nim w trakcie tej feralnej podróży.

Kiedy policjant wyszedł, William drżał na całym ciele i z niedowierzaniem kręcił głową.

— To nie może być prawda! — łkał. — Edgar na pewno nie utonął. Mój najdroższy jedyny brat!

Lalla okazała się znacznie twardsza.

— Weź się w garść, Williamie. Bardzo chciałabym wiedzieć, co też twój najdroższy brat robił na tym statku!

— Jak możesz być taka okrutna?

— To nic trudnego, jeśli weźmie się pod uwagę ostatnie wypadki i to, co powiedziała mi ta przeklęta kobieta. Zaczynam się obawiać, że mówiła prawdę. Dlatego jeszcze raz powtarzam: chcę wiedzieć, co Edgar właściwie zamierzał.

— Być może nadal jest w Sydney — rzekł William z nadzieją w głosie.

— Może tak, a może nie! — warknęła Lalla. — A jeśli nie, to będzie lepiej dla nas wszystkich, jeżeli rzeczywiście leży na dnie. Możemy przynajmniej ogłosić żałobę, a w tym czasie spróbować wyjaśnić, co knuł i jaki pozostawił majątek. Jako jego najbliższy krewny z pewnością możesz liczyć na pokaźny spadek. Czy Edgar sporządził testament?

— Nie wiem — szlochał William. — Nie mam pojęcia.

— W takim razie wyślij posłańca do jego adwokata z informacją o śmierci Edgara i prośbą o natychmiastowy kontakt. Tymczasem odwołamy wszystkie spotkania, ja zaś zajmę się przygotowaniem nabożeństwa żałobnego.

To rzekłszy, poszła poszukać Phoebe.

331

PATRICIA SHAW

— Dostaliśmy okropną wiadomość — oznajmiła jej. — Okazało się, że wuj Edgar był na pokładzie „Locheil”, tego statku, który niedawno zatonął. Policja przekazała nam właśnie wiadomość, że wuj nie przeżył katastrofy.

Phoebe zalała się łzami.

— O nie! Biedny wuj Edgar, to okropne!

— Idź i zajmij się ojcem. Jest bardzo wstrząśnięty. I nie wychodź z domu. Obowiązuje nas żałoba, muszę znaleźć dla ciebie jakieś odpowiednie stroje. Masz tylko jedną czarną suknię. Phoebe była zdumiona, że matka wcale nie wyglądała na załamaną, doszła jednak do wniosku, że w takiej sytuacji ktoś musi panować nad sytuacją. Biedny wuj Edgar. Przy ostatnim spotkaniu wcisnął jej w rękę ten złoty samorodek, nawet nie wiedząc, że to prezent pożegnalny.

Edgar nie zostawił testamentu, a jego prawnik, chociaż bardzo się starał, nie był w stanie rozszyfrować poczynań swego klienta, były one bowiem zbyt mocno związane z funkcjonowaniem Western Railroads. W końcu poddał się i wezwał na pomoc księgowego, poleconego mu przez specjalistów z giełdy papierów wartościowych. Po paru tygodniach stało się jasne, że Edgar uciekł, kiedy zrozumiał, że Western Railroad Company skazane jest na upadek z powodu rosnącego zadłużenia.

Dwaj mężczyźni ze zdumieniem odkryli, że Thurlwell odprowadzał kapitał z kont Western Railroads, korzystając z płaszczyka New South Wales Steelworks. Niektóre czeki nosiły podpis doktora Thurlwella, co oznaczało, że on również jest zamieszany w te machinacje. Na giełdzie odbywały się organizowane naprędce spotkania, mające na celu ratowanie Western Railroads, ponieważ bankructwo tak dużej firmy musiałoby mieć niekorzystny wpływ na kursy innych akcji. Jednakże okazało się, że sytuacja jest beznadziejna.

— Według mnie — stwierdził księgowy — doktor Thurlwell był w tych wszystkich machinacjach jedynie bezwolnym pionkiem. Świadczy o tym chociażby fakt, że brat zaciągnął pożyczkę pod hipotekę jego domu, być może po to, by zrównoważyć bilans firmy. Kiedy stwierdził, że to nic nie da, zagarnął wszystkie pieniądze i wyjechał z kraju.

— Ale z punktu widzenia prawa — zauważył prawnik — doktor ponosi pełną odpowiedzialność za udział w tym oszustwie.

Tu głos zabrał Buck Henry, prezydent Turf Club, a zarazem jeden z najznamienitszych maklerów:

332

OGNIE FORTUNY

— William to mój stary przyjaciel. To prawda, można mu zarzucić brak odwagi, lecz na pewno nie nieuczciwość. Poniósł straty większe niż inni udziałowcy, bo oprócz pieniędzy stracił brata. To smutne, ale William zawsze bardzo ufał Edgarowi. Musimy ograniczyć ten skandal do minimum. Nagonka na Williama nie przyniesie żadnej korzyści, da jedynie prasie pretekst, by ciągnąć tę sprawę w nieskończoność. A wtedy grozi nam powszechna utrata zaufania do wszelkich inwestycji.

— Co w takim razie mamy zrobić? — spytał ktoś.

— Musimy złożyć oświadczenie, że z powodu rosnącego zadłużenia Western Railroad Company ulegnie likwidacji.

— Gazety nazwą to upadkiem. Bankructwem.
— Niewątpliwie — zgodził się Buck. — I nic na to nie poradzimy. Ale postępowanie upadłościowe musi potrwać, a dzięki temu istnieją spore szanse, że sprawa zdąży ucichnąć. Wątpię jednak, czy firma będzie miała dość aktywów, aby wypłacić udziałowcom choć po parę pensów.
— Kupiłem tysiąc akcji tej firmy — skarżył się prawnik Edgara.
— Ja również — spokojnie odparł Buck. — To było wielkie zamierzenie, ale nic z niego nie wyszło. Więc postarajmy się zakończyć tę sprawę, jak szybko się da.
Ostatecznie uzgodniono, że Buck Henry porozmawia z Williamem i Lallą Thurlwellami i poinformuje ich, że najprawdopodobniej zbankrutowała nie tylko firma, lecz także oni.
— Doradzałbym sprzedaż domu, bo w ten sposób pozbędziecie się tej nieszczęsnej hipoteki. Lalla wpadła w szal i przestała zwracać uwagę na obecność gościa.
— Tu głupcze! — wrzeszczała na Williama. — Ty przekłety idioto! Nie dość, że podpisałeś hipotekę na dom, to jeszcze nie zobaczyliśmy ani pensa z tej pożyczki! Wszystko zagarnął ten łajdak, twój brat! Jak mogłeś być takim durniem?
— Będziemy musieli sprzedać dom — oznajmił William. Wstrząśnięty do głębi, nie do końca to wszystko pojmował. — Napijesz się, Buck? — zaproponował.
— Nie, dziękuję, Williamie. Na mnie już czas. Gdybyś potrzebował pomocy, wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.
Czuł się ogromnie skrępowany tą sytuacją i marzył, by jak najszybciej opuścić ten dom. Po jego wyjściu Lalla ponownie się rozwrzeszczała:
— Nie sprzedamy Somerset! Nigdy! Rozumiesz? Nie sprzedamy!

333

PATRICIA SHAW

— A jakie mamy wyjście? — zapytał pogrążony w rozpacz.
— Spłacimy tę hipotekę i zadłużenie w banku. Musisz zacząć przyjmować więcej pacjentów, bo w ostatnich latach prawie nic nie robiłeś. Czas, żebyś wrócił do pracy. A ja sprzedam biżuterię. To na początek. Mamy dużo zamożnych przyjaciół, będziemy musieli pożyczać od nich pieniądze, żeby jakoś utrzymać się na nogach.
— Życzyłbym sobie, żebyś więcej nie zwracała się do mnie w taki sposób w obecności Bucka. To nie przystoi.
— Nie przystoi! — wrzasnęła. — Twoim obowiązkiem jest zapewnić byt rodzinie, a zobacz, coś narobił! Zrujnował nas!
William miał już tego serdecznie dosyć.
— Nie jestem tutaj jedynym, który nie wywiązuje się ze swoich obowiązków. Od ciebie jako matki mam chyba prawo oczekiwać, byś dbała o wychowanie córki, umiejętnie wprowadziła ją w dorosłe życie i dopilnowała, aby znalazła sobie odpowiedniego kandydata na męża. Ale nie, ty jesteś zbyt zajęta własnymi sprawami.
— Cóż ty za bzdury wygadujesz!
— Mówię o Phoebe. Wiesz, jakich plotek musiałem wysłuchiwać w szpitalu? Że Phoebe chce wyjść za tego szubrawca z sąsiedztwa. Syna tamtej czarnej. Lepiej więc nie mów mi o obowiązkach, skoro sama nie wypełniasz swoich.
Lalla wybiegła z pokoju, stanęła na schodach i zaczęła krzyczeć na Phoebe, że ma natychmiast zejść na dół.
Biddy skorzystała z okazji i czym prędzej ukryła się w zaciszu kuchni.
— I co teraz? — spytała kucharka.

— Bóg jeden wie — odparła zdenerwowana Bidy. — Okropne rzeczy dzieją się w tym domu.

Phoebe nie mogła sobie znaleźć miejsca. Matka przez wiele godzin, takie przynajmniej odniosła wrażenie, prawiła jej kazania na temat „plugawego” związku z Benem, a do tego poinformowała ją, że wuj Edgar okazał się złodziejem i łotrem, którego matactwa doprowadziły rodzinę do bankructwa. Do kompletnej ruiny!

Phoebe starała się traktować ojca z wielką delikatnością, nie chcąc go jeszcze bardziej irytować próbami wytłumaczenia motywów swego postępowania; widok szlochającego ojca był nie do zniesienia. Wlewał w siebie ogromne ilości alkoholu i sprawiał wrażenie, że na niczym mu już nie zależy.

334

OGNIE FORTUNY

Zdesperowana Phoebe posłała Bidy z listem do Barnaby'ego, prosząc, by jak najszybciej ją odwiedził.

Lecz Bidy rozmawiała tylko z Benem. Po powrocie przekazała Phoebe, że Barnaby leży w szpitalu, został bowiem pobity w domu przez włamywaczy.

— Pan Beckman jest tym bardzo wzburzony — dodała.

— Nigdzie nie pójdziesz — zapowiedziała Lalla. — Jesteśmy w żałobie, dzięki czemu mamy szansę odsunąć cały ten skandal. Chyba czytałaś, co wypisuje prasa na temat upadku Western Railroads. Chcesz, żeby reporterzy dobrali ci się do skóry? Przynajmniej raz w życiu posłuchaj głosu rozsądku.

Phoebe, zdruzgotana katastrofą, która ich wszystkich dotknęła, tym razem się nie sprzeciwiała. Nie wiedząc, czego się może spodziewać, bała się wyjść na ulicę, a nawet spotkać z Barnabym. Albo z Benem. Na pewno czytali o śmierci Edgara i bankructwie firmy. Wiedzieli o tych okropnych oskarżeniach o oszustwo! Phoebe tak strasznie się wstydziła, nie potrafiłaby spojrzeć w oczy najbliższym przyjaciółom.

Rodzice ani na chwilę nie przestawali się klócić. O wszystko, także o nabożeństwo żałobne poświęcone pamięci Edgara. Lalla uparcie powtarzała, że w żadnym wypadku nie zamierza przyłożyć do tego ręki, a jeśli zrobi to ktoś inny, ona na pewno nie przyjdzie. Ani Phoebe. Oczywiście córki o zdanie nie spytała. To wszystko było po prostu okropne. A potem w drzwiach stanął mężczyzna, który przyszedł wycenić biżuterię Lalli. Phoebe zrobiło się żal matki, która bardzo kochała swoje wspaniałe klejnoty, zniosła więc swój złoty samorodek i dołączyła do kolekcji.

— Skąd go masz? — spytała Lalla.

— Od wuja Edgara.

— Dobrze. Też pójdzie na sprzedaż.

W całym tym zamieszaniu Phoebe stopniowo traciła kontakt z rzeczywistością. Nic nie układało się tak jak powinno. Nic. Zamknięta w domu, snuła się półprzytomna. Wuj Edgar nie żyje! Nigdy przedtem nie była tak blisko śmierci, a jej nagłość bardzo mocno nią wstrząsnęła, podobnie jak okropny los wuja. Próbowwała wyrzucić jego obraz z pamięci, lecz w snach zdawało jej się, że słyszy jego krzyk. Jednakże jego śmierć nikogo teraz nie obchodziła. W domu zamiast żałoby panowała nienawiść do zmarłego. Nikt nie przysłał kondolencji.

Phoebe nie miała żadnych wiadomości od Bena, nie przesłał jej nawet krótkiego listu z wyrazami współczucia. To, że Barnaby leży

335

PATRICIA SHAW

w szpitalu, uważała za jeszcze jedno nieszczęście, których tak wiele spadło ostatnio na jej rodzinę.

Prasa odsądzała Thurlwellów od czci i wiary. Wściekli wierzyciele przychodzili pod dom, dobijali się do bramy i wykrzykiwali obelgi, ale żaden z nich nie został wpuszczony do środka. Zamiast zaproszeń na przyjęcia zaczęły przychodzić listy wzywające Lallę do ustąpienia z funkcji, jakie pełniła w różnych komitetach. Ilekroć dzwonił telefon, słuchawkę podnosiła Biddy, chroniąc swoich państwa przed kolejnym stekiem obelg.

Zrozpaczona niesławą, jaką na siebie ściągnęli, Phoebe zamknęła się w sobie i chodziła bez celu po domu, nie chcąc przysparzać rodzicom dodatkowych zmartwień, których i tak mieli aż nadto. Kiedy ułyszała, że ojciec stracił posadę w szpitalu i że kazano mu zwolnić gabinet na Terrace, właściwie nie pojęła, co to oznacza, choć Lalla wykrzykiwała z goryczą, że stracili ostatnie źródło utrzymania.

— Musimy zwolnić służbę — oświadczył William.

— Za nic w świecie — odparowała Lalla. — Nie dam rady prowadzić tak wielkiego domu bez pomocy służących. Masz zdobyć pieniądze! Pożycz je, bo ja na dalsze upokorzenia na pewno się nie zgodzę!

Dopiero Biddy zwróciła doktorowi uwagę, że Phoebe jest chyba chora.

— Zachowuje się, jakby nie była z nami, sir. I tak dziwnie płacze. Po twarzy płyną jej strumienie łez, a ona nic, tylko siedzi i patrzy przed siebie. Całymi godzinami.

Doktor zapisał córce środki uspokajające, po których, zdaniem Biddy, stała się jeszcze bardziej osowiała. Lecz cóż począc, Biddy nie mogła przecież pouczać doktora.

Któregoś dnia zjawiała się Belle Foster.

— Przyjaciół poznaje się w biedzie — rzekła do Lalli swoim tubalnym głosem. — Wiem o wszystkim i cieszę się, że nie załamujesz rąk. Głowa do góry. Raz na wozie, raz pod wozem. Tak to już jest z pieniędzmi.

Kobiety przez dłuższy czas naradzały się w salonie, aż w końcu posłały po Phoebe.

— Pani Foster ma dla ciebie propozycję — oznajmiła Lalla. — Wybiera się z wizytą do Clary i doszłyśmy do wniosku, że w obecnej sytuacji najlepiej będzie, jeśli pojedziesz razem z nią. Phoebe posłała matce podejrzliwe spojrzenie, próbując coś wywnioskować z nagłej zmiany tonu, lecz nie miała już siły na dalsze

336

OGNIE FORTUNY

zmagania. Właściwie perspektywa ucieczki z miasta całkiem jej odpowiadała.

— To długa podróż — odezwała się pani Foster. — Wolałabym nie jechać tak daleko całkiem sama. A wakacje na wsi na pewno dobrze ci zrobią.

— Dziękuję — odparła Phoebe matowym głosem. Najchętniej zostałaby u Clary na zawsze. Dom od wielu dni świecił pustkami, a po tym wszystkim, co napisano o jej rodzinie w prasie, Brisbane przestało być dla Phoebe wesołym ukochanym miastem. Thurlwellowie stali się wyrzutkami.

A Ben? Mógł przynajmniej przysłać jej choć kilka słów pocieszenia, tymczasem nie dostała od niego żadnej wiadomości. Czyżby on także okazał się przyjacielem tylko na czas pogody? Załamana Phoebe zaczęła nawet przypuszczać, że Ben miał nadzieję wżenić się w bogatą rodzinę, a kiedy Thurlwellowie zbankrutowali, postanowił szukać żony gdzie indziej. Takie sytuacje nie należą do rzadkości. Tej nocy długo płakała, nie wiedząc, z jakiego powodu. Nie potrafiła sobie z tym wszystkim poradzić, chciała mieć spokój.

W szpitalu Barnaby'ego Glassona traktowano jak nie lada osobistość. Został przesłuchany przez policjantów, którzy z ogromnym szacunkiem przyjęli jego pisemne zeznania.

Odwiedzili go małżonka ministra sprawiedliwości oraz osobisty sekretarz premiera, nieco oschły dżentelmen, który przekazał Barnaby'emu życzenia rychłego powrotu do zdrowia. Troszczyło się o niego kilka młodych pielęgniarek, a panna Kathleen O'Neill i jej znajomi starali się jak mogli, by uprzyjemnić mu czas w porze odwiedzin. No i był jeszcze wysoki i przystojny Ben Beckman, który wbrew wszelkim przepisom wpadał o różnych godzinach, na co, o dziwo, oddziałowa, zwykle sroga, nie reagowała.

Ben zajmował się głównie wypełnianiem poleceń Barnaby'ego. Przede wszystkim szukał odpowiedniego lokalu, w którym przyjaciel mógłby otworzyć prywatną kancelarię natychmiast po wyjściu ze szpitala. Z pewną obawą w głosie spytał Barnaby'ego, czy będzie dalej u niego mieszkać, a ten butnie oświadczył, że nie da się zastraszyć.

Czuł się trochę urażony, że nie odwiedziła go Phoebe, lecz Ben wyjaśnił mu, że Thurlwellowie mają teraz mnóstwo własnych kłopotów. Przyniósł mu do przeczytania kilka gazet.

Barnabym wstrząsnęła tragedia Thurlwellów i zaniepokojony spytał, czy Ben widział się z Phoebe.

22 Ognie fortuny

337

PATRICIA SHAW

— Nie — odrzekł Ben i na tym poprzestali.

Ben zastanawiał się, czy nie przesłać Phoebe listu przez Bidy, którą często widywał, doszedł wszakże do wniosku, że to nie ma sensu. Miałby napisać, że współczuje jej rodzinie, kiedy nie było mu nawet przykro? Od lat żaden artykuł w prasie nie sprawił mu takiej radości. Oto jak upadają wszechmocni bogacze! Żałował jedynie, że sam nie miał w tym upadku żadnego udziału. Sytuacja Thurlwellów była oczywiście głównym tematem najnowszych plotek.

Mówiono nawet, że noszą się z zamiarem sprzedaży domu i wyprowadzki z Brisbane. Święta nad świętami! Cóż to była za ulga! Mieć ich raz na zawsze z głowy. A jaka symboliczna kara dla Williama Thurlwella za to, że nasłał na Bena zbirów.

Policja obejrzała miejsce przestępstwa i ponownie przesłuchała Barnaby'ego, który jednak pamiętał tylko, że napastnik, potężny typ, wdarł się do środka i bez słowa go zaatakował.

— Nie użył żadnej broni — stwierdził policjant. — Sądząc po obrażeniach, załatwił sprawę gołymi rękoma. Tyle tylko że takich zbirów są w Brisbane dziesiątki. Trudno będzie go znaleźć, ale zrobimy co w naszej mocy.

W końcu Barnaby dostał list od Phoebe, w którym pisała, że bardzo mu współczuje, ale nie może go odwiedzić ze względu na kłopoty w domu. Prosiła również, by przekazał Benowi, że postanowiła wyjechać na pewien czas na farmę Clary Buchanan.

To były najlepsze wiadomości w tym długim liście, jakże innym od typowych dla Phoebe krótkich notatek.

— Biedna Phoebe — wymamrotał Barnaby. — To musi być dla niej okropne przeżycie.

Trochę odpoczynku na pewno dobrze jej zrobi.

— Chyba tak — zgodził się Ben, chociaż w głębi duszy czuł się trochę dotknięty. Dlaczego napisała do Barnaby'ego, a nie do niego? Mogła chyba na chwilę wymknąć się z domu albo przynajmniej przesłać mu wiadomość?

Jednakże wkrótce zaczęły go męczyć wyrzuty sumienia. Może posunął się za daleko? Czy aż tak bardzo radował się karą, jaka spotkała jej rodziców, że przestał dbać o jej uczucia? Lecz z drugiej strony nie mieszkał przecież na drugim końcu miasta, ona zaś była najwyraźniej zbyt zajęta własną osobą, by myśleć o nim.

Przez resztę dnia gryzł się, próbując znaleźć dobre wyjście i łudząc się, że po powrocie do domu znajdzie jakąś od niej wiadomość. Lecz nie znalazł.

338

OGNIE FORTUNY

- Wystarczy! — powiedział do siebie. — Dość tego idiotycznego wyczekiwania. Muszę z nią porozmawiać. Bez względu na konsekwencje.

Willa Somerset była oświetlona, ale panowała w niej cisza. Ben wszedł po schodach i stanął przed drzwiami frontowymi, żałując, że wpadł na to dopiero teraz. Postąpił głupio, przez tyle miesięcy trzymając ich związek w tajemnicy. Już dawno powinien był tu przyjść.

Drzwi otworzyła Biddy, którą bardzo jego widok zdziwił.

— Dobry wieczór, Biddy — rzekł cicho, lecz zdecydowanie. — Chciałbym porozmawiać z panną Phoebe.

— Ona wyjechała, panie Beckman. Na wieś.

— Już?

— Tak, proszę pana, dzisiaj rano.

Pewność siebie natychmiast go opuściła i znów poczuł się przytłoczony przepychem holu i jaskrawym światłem lśniącego żyrandola, który tak dobrze pamiętał.

— Farma Fairmont, za Charleville — szepnęła Biddy.

— Dziękuję — odparł i zawrócił.

Szedł sztywnym krokiem, czując na sobie spojrzenia wszystkich mieszkańców domu, którzy zapewne stali teraz w oknach i śmiali się z niego w głos. Wyjechała bez słowa pożegnania. A on zjawiał się w jej domu, co jasno świadczyło o tym, że nawet nie raczyła zawiadomić go o swoich zamiarach!

Ogarnięty wzburzeniem Ben postanowił napisać do niej i zażądać wyjaśnień. Zanim wszakże stalówka dotknęła papieru, zrezygnował.

— Daj dziewczynie szansę — rzekł na głos. — Przecież tyle ostatnio przeszła.

Za bardzo ją kochał, by zwrócić się do niej w sposób tak obcesowy.

Jego list był więc czuły i delikatny. Prosił, by nie zapomniała odpisać, i zakończył: „Twój Ben”. Zaklejając kopertę, uśmiechnął się. Gdyby chciał wyrazić w tym liście wszystko, co naprawdę czuje, musiałby zapisać wiele, wiele stron. Już za nią tęsknił.

Nawet jeśli farma Fairmont nie była rajem, zdaniem Phoebe niewiele jej brakowało. Trooski zostawiła daleko za sobą, w mieście, tu miała do dyspozycji ogromne przestrzenie. Bardzo potrzebowała poczucia wolności — wolności od ponurych ścian willi Somerset, od konieczności myślenia i stawiania czoła piętrzącym się przeciwnościom losu. Przed wyjazdem z Brisbane wpadła w straszną apatię,

339

PATRICIA SHAW

zdawała sobie sprawę, iż jej obecność jeszcze bardziej wytrąca ojca

Z 1^zX jak kłócił się z Lallą,^c by zo^tawU. L«L

czyne" w spokoju i P^^^Uldo3^??tólfe?a JeetbUska _ Czy ty naprawdę me widzisz -mówił dalej

załamania nerwowego?

załamania, to ja!

Jeśli ktokolwiek *.tym cfL-^ _ odparowała Lalla. — Ty Prae"e*™ , phoebe zawsze była upartą Whisky! A ja muszę wszystkiego ???^???????

smarkulą i w jej okropnym™fku™TMZuZ™^-. Im prędzej Nawet nie było jej stać na to, zęby wszystkiemu zaprz ?

stąd wyjedzie, tym l«
takiego, owo załamanie nerwowe.

Phoebe zastanawiała się, co to takiego, ow
nikogo, kto

Wielokrotnie słyszała te słowa, lecz nigdyⁱ? spotkała cierpiałby na tę dolegliwość. Zapytała
Bl^r Bidd Ale wydaje
ma rację. Bo ja ?????????? s« p^{oTMoTM TM*} c., z Benem." wszystkiego ««?^ doayc, naw«^{TM^^}
Mjął się ich
??8??^?????^?^??: * a. na cbwile
ta snsza wreszcie s,ę ^f^C^^f^ przeciwko odrobinie wilgotno, ale na pewno me będziesz
rmaa»!' Zarzuciła
desLu. Wszystko Się - —L ^Oeb^
przyjaciółce ręce na szyję. ^ bedziemy musiały eździe po
Zobaczysz, będzie wspaniale^ Tutaj me będzie ? . ^^
ruchliwych miejskich drogach. AJe cos ty clara
_ Phoebe dostrzegła ostrzegawczy grymas ni tw j, .^
wszakże zdawała się na nic nie ^{TM^?I?}, na Pewn^o d 8I? Podtuczemy cię, zobaczysz. Mam dla
ciebie konia, P spodoba. To wspaniała mądra klacz. N^^^ wejdziemy — Claro! Mokro
tutaj — przerwała jej Belle.

/ 11 _*\
do środka?

— Tak, tak, oczywiście. nnsiadłość ze względu na
Mówiono, że Ben Buchanan wybrał tę P^o ^^ . n§ ?rawde przestronny dom i Phoebe przyznała
mu rację. Dom by! P

340

OGNIE FORTUNY

ogromny i "bardzo ładny, o białych ścianach i czerwonym dachu. Typowo wiejskie werandy
dodawały mu delikatności, tworząc sielankową atmosferę. Phoebe na ten widok ogarnęło
wzruszenie równie silne, co niezrozumiałe. O mało się nie rozpląkała. Pomyślała, że to
pewnie ulga, świadomość, że znalazła schronienie, a od wszystkich problemów dzieli ją wiele
mil.

Belle zażądała, by zaprowadzono ją prosto do salonu, żeby mogła wyciągnąć nogi do góry.
Przesiedziała w pociągu prawie całą dobę i miała spuchnięte kostki, bez chwili wahania zdjęła
więc buty oraz pończochy i poprosiła o pantofle.

Podczas gdy służące Aborygenki opiekowały się starszą panią, Clara oprowadziła Phoebe po
domu, pokazując jej salony, dużą i małą jadalnię, swój pokój dzienny oraz gabinet Bena, a
także skrzydła budynku, w których mieściły się sypialnie. Dom zbudowano wokół
centralnego podwórka, które jednak wyglądało cokolwiek dziwnie. Pod brzydkim
zadaszeniem z metalowej siatki stały stoły oraz krzesła.

— Dawniej rosła tu wistaria — wyjaśniła Clara. — Była prześliczna. Ale podczas suszy
brakowało nam wody, żeby ją podlewać, więc w końcu uschła. Musieliśmy ją poobcinać. Już
zaczyna odrastać.

Pokój Phoebe okazał się bardzo przytulny, stało w nim podwójne łóżko przykryte lekką
narzutą z patchworku. Otwarte na oścież drzwi prowadziły na werandę, z której roztaczał się
widok na rząd drzew, a dalej na ogromną, zdawałoby się nieskończoną przestrzeń. Jednakże
Phoebe, zmęczona długim spacerem po domu i ciągłym potakiwaniem, znowu poczuła się
zagubiona. Chociaż bardzo lubiła Clare, marzyła, by ta wreszcie sobie poszła i dała jej spokój.

— Nic ci nie jest? — zaniepokoiła się Clara.

— Nie, nic. Wszystko w porządku — odparła Phoebe i dopiero wtedy poczuła, że po
policzku płyną jej łzy. — Przepraszam — rzekła, wyjmując chusteczkę. — Przepraszam cię,
Claro. Zaraz się uspokoję.

Clara objęła ją i zapytała:

— Co oni ci zrobili? Nie przepraszaj, płacz! Wypłacz to wszystko, wyrzuć z siebie. Wiem,
jak to jest, sama często tak robię.

Phoebe zapakowano do łóżka. Prawie nie tknęła rosołu z kury, nie skusiła się nawet na placek z jabłkami i śmietaną, Clara podała jej więc niewielką dawkę środka nasennego przepisane przez doktora Thurlwella i siedziała przy łóżku, dopóki dziewczyna nie zasnęła.

Kiedy Clara zeszła do jadalni, Belle Foster i Ben kończyli już obiad.

341

PATRICIA SHAW

— Co się stało Phoebe? — spytała matkę. — Jest w okropnym stanie. To zupełnie nie ta sama osoba.

— Wiem — odparła Belle. — W pociągu czułam się, jakbym eskortowała głuchoniemą. Tłumaczyłam współpasażerom, że źle się czuje. Mówiłam im, a trzeba ci wiedzieć, że spotkałyśmy kilku naprawdę przystojnych młodzieńców, że mogą tylko żałować, że nie widzą jej w lepszej formie, bo tak naprawdę ma bardzo wesoły charakter.

— Nie zauważyłem — wtrącił Ben. — Moim zdaniem jest raczej marudna. To dobrze, że została nieco poskromiona. O ile wiem, doprowadzała matkę do szaleństwa.

— Zapewne z wzajemnością — rzuciła Clara.

— Ty nigdy nie rozumiałaś Lalli — stwierdziła Belle. — Nigdy się nawet nie starałaś. To niezwykle silna kobieta, a to chyba nie grzech? Muszę przyznać, że imponuje mi sposób, w jaki znosi ten ogrom nieszczęść, które ostatnio na nią spadły. Niewiele kobiet zdobyłoby się na to, by sprzedać całą biżuterię, wkrótce po tym jak ich świat nagle się zawalił. A ona to zrobiła.

— A miała wybór? — spytał Ben z goryczą. — Ta rodzina kosztowała mnie majątek. Straciłem fortunę na tych przeklętych kolejach. Chodzą słuchy, że będzie dobrze, jeśli uda nam się dostać po dwa szylingi i sześć pensów za funta.

— W takim razie chodzą złe słuchy — odparła Belle. — Nie dostaniecie ani pensa. Wiadomo już, że Edgar oczyścił konta firmy ze wszystkich pieniędzy, jak tylko się zorientował, że z całego planu nic nie wyjdzie, bo rząd odmówił darmowego przekazania gruntów pod linię kolejową. Firma tonęła już wtedy w długach, a to był dla niej ostateczny cios. Nie miała zabezpieczenia pod dalsze pożyczki.

— Innymi słowy, to premier doprowadził Western Railroads do bankructwa — stwierdził Ben.

— Niekoniecznie — spokojnie odparła jego teściowa. — Edgar był nikim. Przybył do miasta ze swoim genialnym planem i wykorzystał antyfederalistów, takich jak choćby my, żeby zdobyć wsparcie. Przynajmniej jedno trzeba mu oddać: był wyjątkowym mówcą.

— Był wyjątkową kanalią, Belle, i ty dobrze o tym wiesz.

— Ale wtedy nikt o tym nie wiedział — odparowała.

— Ma szczęście, że utonął. Los obszedł się z nim zbyt łaskawie

— Wielu ludzi w pełni by się z tobą zgodziło — odparła Belle

— Także Lalla. Ich również zrujnował.

342

OGNIE FORTUNY

— O tym nie wiedziałam — wtrąciła Clara. — Byłam przekonana, że Lalla sprzedała biżuterię, żeby pospłacać długi Edgara.

— Ależ skąd — uświadomiła ją Belle. — Przez Edgara są bankrutami.

— Kiedy parlament wznowi obrady, postaram się, żeby premier dostał to, na co zasłużył — odgrażał się Ben. — Będę miał poparcie wszystkich udziałowców. Tym razem nie ujdzie mu to płazem.

— Być może — zgodziła się Belle. — Ile straciłeś na tym bankructwie?

— Dużo, głównie dzięki podstępным działaniom Thurlwellów. Nie wierzę, że William i Lalla są zrujnowani. Kradli tak samo jak Edgar, a Lalla to aktorka pierwszej wody. Założę się, że sprzedaż biżuterii to tylko kolejna sztuczka. Czytałem w gazetach, że zniknęła ogromna suma pieniędzy. Nikt mi nie wmówi, Belle, że Thurlwellowie nie zapewnili sobie zabezpieczenia. Jeżeli naprawdę wierzysz, że są zrujnowani, jesteś bardziej naiwna, niż przypuszczałem.

Belle wypiła łyk portwajnu. Rzadko się zdarzało, by Ben widział swoją teściową wytrąconą z równowagi.

— Niczego nie można wykluczyć — przyznała.

— Na litość boską, Belle! Edgar i William byli dyrektorami Western Railroads, a Lalla znała każdy ich ruch. Tacy jak oni zawsze wiedzą, kiedy się wycofać. Ich nie interesują inwestorzy, po prostu zgarniają pieniądze i znikają.

— Rzeczywiście, w Brisbane poznałam niejaką panią Downs, która utrzymywała, że wyłudziła od niej dziesięć tysięcy funtów i że nigdy nawet nie zobaczyła na oczy świadectwa zakupu akcji. Twierdziła też, że Lalla o wszystkim wiedziała.

— Nieszczęsna kobieta — stwierdził Ben. — Ale ty na pewno jej nie uwierzyłaś?

— A niby dlaczego miałabym jej wierzyć? To wydawało się takie niewiarygodne.

Thurlwellowie zawsze byli bogaci. Wystarczy spojrzeć na ich dom i jego położenie, nie mówiąc o meblach i całym wyposażeniu. Lalla nigdy nie oszczędzała. Po co miałyby naciągać tę Downs na parę tysięcy?

— Z bardzo prostego powodu — stwierdził Ben. — Wiedzieli, że ta cholerna firma idzie na dno, ale nie mieli nawet dość przyzwoitości, by ostrzec najbliższych przyjaciół.

— Chyba oceniasz ich zbyt surowo, Ben — zauważyła Clara. — Być może nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji, a kiedy dotarło do nich, co się święci, było już za późno.

343

PATRICIA SHAW

— W takim razie wytłumacz mi, czemu brakuje tyłu pieniędzy? I dlaczego panowie dyrektorzy zaczęli sobie wypłacać tak ogromne pensje?

— Och, dobrze już — odezwała się Belle. — Co się stało, to się nie odstanie.

Ben rzucił serwetkę na stół, po czym wstał.

— A właśnie że nie. Przez nich wpadłem w finansowe tarapaty. A ponieważ susza wreszcie się skończyła, sprzedam tę farmę. To nie powinno być zbyt trudne. I tak zbyt długo ją utrzymywałem.

— Nie musimy jej sprzedawać — zauważyła Clara. — To przecież nasz dom. Nie chcę się stąd wyprowadzać. Powoli odtwarzamy stada i niedługo wszystko wróci do normy.

— Aż do następnej suszy! Pochwaliłaś się już matce, jak to kupowałaś w Brisbane paszę i sprowadzałaś ją na farmę koleją? Przez co straciłem jeszcze więcej.

— Dzięki temu udało się uratować przynajmniej reproduktorów — odpaliła. — Ty oczywiście pozwoliłbyś im wyzdychać.

— Nie przyjechałam tutaj słuchać małżeńskich kłótni — wtrąciła Belle. — Mamy dość czasu, żeby przemyśleć tę sprawę. A na razie idę spać. Claro, każ którejś dziewczynie, żeby przyniosła mi szklankę mleka z odrobiną rumu. Będzie mi się lepiej spało.

Sącząc w zaciszu sypialni napój, Belle zastanawiała się, ile też Ben stracił na bankructwie Western Railroads. Jego gniew wskazywał na to, że dużo więcej, aniżeli gotów był przyznać. A skoro potrzebuje pieniędzy, może rzeczywiście jest to najbardziej odpowiednia chwila na sprzedaż farmy? Przecież ciągle mają dom w Brisbane. Poza tym Belle czuła się już zbyt

stara, by tułać się pociągiem taki kawał drogi. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze kilka lat i nie będzie mogła ich odwiedzać. Uśmiechnęła się szeroko.

— Stanowczo za bardzo przyzwyczaiłaś się do domowych wygod. Dobrze jednak by było mieć ich pod ręką. Kiedy człowiek zaczyna się starzeć, potrzebuje wsparcia rodziny.

Clara nie poganiała Phoebe. Pozwalała jej wylegiwać się i snuć po domu bez celu. Phoebe nie wspominała o koniu, Clara nie proponowała więc na razie przejażdżek, licząc, że przyjaciółka wkrótce sama

nabierze na nie ochoty.

— Cieszę się, że przyjechałaś — mówiła do matki. — Mam teraz okropnie dużo pracy na farmie i w dzień prawie mnie nie ma w domu. Dobrze, że chociaż ty będziesz mogła dotrzymać jej

344

OGNIE FORTUNY

towarzystwa. Sprawia wrażenie, że nic jej nie interesuje. Sama nie wiem, co robić.

— Przede wszystkim — odparła Belle — trzeba wyrzucić lekarstwa, które przepisał jej ojciec. Nie wierzę w te świństwa. Potrafią człowieka tak ogłupić, że w ogóle nie będzie wiedział, co robi. Powiedz jej, że się skończyły. Jest zdrowa, nic jej nie dolega i na pewno szybko dojdzie do siebie. Nie chodzi tylko o Edgara i ten finansowy skandal, jest jeszcze coś. Jej matka mówiła mi, że Phoebe zaangażowała się w związek z pewnym bardzo nieprzyjemnym typem i nawet zamierzała za niego wyjść.

— Och, nie! Kto to taki?

— Niejaki Beckman. Mieszaniec. To podobno wyjątkowo nieciekawa osoba.

— Ben Beckman? — Clara nie kryła zdumienia. — Ten ze stajni?

— Nie wiem dokładnie, co to za jeden.

— Ale... — wyjąkała Clara. — Ja go znam. Obie go znamy. Phoebe nigdy o niczym mi nie wspominała.

— To zrozumiałe! Nie miała się czym chwalić.

— To miły człowiek, mamo, ale nie mieści mi się w głowie, że coś mogłoby ich łączyć.

— Niech więc ci się zmieści, bo to prawda. Phoebe niczemu nie zaprzeczała. A jeśli zaczniesz o nim mówić, postaraj się ją do niego zniechęcić.

— Nie miałam pojęcia... — dziwiła się Clara.

— No to teraz już masz. I dlatego jej matka chciała, żeby wyjechała z miasta. To główny powód. Musi tutaj pozostać, do czasu aż powróci do zdrowych zmysłów. Nie może dostawać od tego człowieka żadnych listów ani tym bardziej pisać do niego.

— Jak mamy temu zapobiec? Przecież to byłoby nie w porządku.

— Tak będzie najlepiej. Obiecałam to Lalli, więc mi nie utrudniaj. Musimy załatwić tę sprawę.

Barnaby powinien był przewidzieć, że wszystko to jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Zgodnie z ustaleniami otworzył kancelarię i zatrudnił pracownika, Timothy'ego Bedlowa, nadal wszakże nie miał żadnych wiadomości od premiera.

Wynająwszy dwupokojowe biuro, Barnaby musiał z własnych oszczędności opłacić komorne za pierwsze dwa miesiące i nic nie zapowiadało, by obietnice pomocy miały przejść w czyny.

345

PATRICIA SHAW

— Słowa nic nie kosztują — skarżył się Timowi, zastanawiając się, jak długo uda mu się utrzymać ten chwiejny interes.

— Napisz do niego — poradził Tim.

— To wykluczone. Gotów pomyśleć, że go błagam.

— Przypomnij mu więc o sobie, nie wdając się w zbędne szczegóły.

— Wiesz co? Chyba masz rację. Spróbuję. Nie chcę, żeby jego pracownicy dowiedzieli się, co robię.

Napisał bardzo zdawkowy list, nadmieniając jedynie, że z satysfakcją wspomina ich rozmowę i z niecierpliwością czeka na wiadomość od premiera.

W tym okresie Timothy wiele się uczył, zadowolony, że Barnaby ma czas, by służyć mu pomocą. Któregoś pogodnego popołudnia Barnaby wyszedł na spacer. Kiedy znalazł się na ulicy, postanowił złapać dorożkę i odwiedzić Kathleen O'Neill, licząc, że zastanie ją

w domu.

I zastał. Bardzo się ucieszyła na jego widok, co było jednym z najprzyjemniejszych akcentów w tym dosyć ponurym etapie jego życia.

Kathleen zaprosiła go do środka i nalegała, by został na herbatę. Była zachwycona, że otworzył własną praktykę, a nawet zatrudnił pracownika.

— Jestem z ciebie taka dumna — rzekła. — Teraz już na pewno nie cię nie powstrzyma.

On wprawdzie nie był o tym przekonany, mimo to wrócił do biura w dużo lepszym nastroju, wcześniej umówiwszy się z Kathleen na najbliższą niedzielę na lunch w parku.

— Coś mi się wydaje, że się zakochałeś — powitał go Timothy, szeroko się uśmiechając. Barnaby westchnął.

— Ciekawe, czy człowiek jest w stanie powstrzymać się przed tym, dopóki nie ma się pewności, że uczucie będzie odwzajemnione?

— W świecie doskonałym bez wątplenia — stwierdził Timothy.

— Zobaczmy — zadumał się Barnaby. Miłość do Phoebe sprawiła mu zbyt wiele bólu i nie chciał przechodzić przez to wszystko po raz drugi. Kathleen, dziewczyna o ślicznych ciemnych oczach, bardzo go pociągała, zdecydowanie jednak nie była kokietką i chyba traktowała go jak przyjaciela. Miał już po uszy roli najlepszego przyjaciela. Kathleen naprawdę mu się podobała, lecz postanowił, że jeśli choćby słowem wspomni o jakimś narzeczonym, on natychmiast zniknie ze sceny!

346

OGNIE FORTUNY

Parę dni później w biurze Barnaby'ego zjawił się jegomość z sumiastym wąsem, który oświadczył, że przyszedł z polecenia premiera.

— Jestem Jeremy Hobson — przedstawił się, patrząc na wciąż poobijaną twarz Barnaby'ego z taką miną, jakby przypuszczał, że młody prawnik wdał się w jakąś uliczną bójkę. — Sir Samuel polecił mi zająć się opłaceniem rocznego komornego za pańskie biuro.

Barnaby poczuł taką ulgę, że miał ochotę skakać z radości. Zamiast tego spokojnie pokiwał głową.

— Taka była nasza umowa.

— Dobrze. Jak się nazywa właściciel pomieszczeń? Zajmę się tym osobiście.

Barnaby odebrał takie postawienie sprawy jako wyraz lekceważenia, całkiem jakby ten człowiek podejrzewał, że jeśli osobiście wszystkiego nie dopilnuje, pieniądze zostaną wydane na inny cel, ale uznał, że nie ma sensu się sprzeciwiać.

Wykonawszy zadanie, Hobson ruszył do wyjścia.

— Chwileczkę — zatrzymał go Barnaby. — Pozostaje jeszcze sprawa moich wydatków na kampanię. Polecono mi otworzyć specjalne konto.

— Ach, tak. — Hobson wręczył mu wizytówkę. — To już sprawa partii. Kontem będę zarządzał osobiście. Jeżeli poniesie pan takie wydatki, Glasson, prześle mi pan szczegółowe i

poświadczony rozliczenie. I niech pan ma na uwadze, że nie będę tolerował żadnych ekstrawagancji.

Kiedy wyszedł, Barnaby roześmiał się w głos.

— Pompatyczny goguś! Ale zawsze lepsze pół kromki niż nic. Przynajmniej nie musimy się martwić o czynsz. Co ty na to, drogi Timothy, żeby zamknąć na dziś budę i odwiedzić jakąś tawernę?

Interes zaczynał się powoli rozkręcać: testamenty, porozumienia i spory o ziemię, kwestionowane grzywny. Tak bardzo im zależało na wyrobieniu sobie marki, że zajęli się nawet jakimś idiotycznym procesem o zniesławienie, jak również sporem o miedzę. I chociaż Barnaby wciąż więcej wydawał, niż zarabiał, Timothy podtrzymywał go na duchu, powtarzając mu, że jest dobrym, zdolnym prawnikiem i jeśli tylko los da mu szansę, na pewno odniesie sukces.

— Zobaczysz, że się nam uda. Musisz się tylko uzbroić w cierpliwość. Mam nadzieję, że któregoś dnia moje nazwisko zawiśnie obok twojego.

347

PATRICIA SHAW

Barnaby nadal mieszkał na Kangaroo Point. Nieproszeni goście nie wrócili, policja nie zdołała odnaleźć napastnika. Barnaby przypuszczał, że było to nieudane włamanie, za to dla Bena był to w dalszym ciągu bardzo drażliwy temat.

— Nie przesadzaj — powtarzał mu Barnaby. — Trochę oberwałem, no i tyle. W Brisbane to przecież nic nadzwyczajnego, a już na pewno nie było w tym wszystkim ani trochę twojej winy. Niepotrzebnie płaciłeś rachunek za szpital. Sam powinienem to zrobić.

— Daj spokój — uciął Ben. — Jak tam w pracy? Zaczyna się coś dziać?

— Powoli. Ale jakoś sobie radzimy.

— To dobrze. Dyrektor banku zaprosił mnie dzisiaj na spotkanie.

— O Boże! — Barnaby zadrzał. Miał wrodzony lęk przed tego typu ludźmi.

— Nie ma się czego obawiać. Wręcz przeciwnie. Stajnie przynoszą coraz większe zyski, siodlarnia zresztą też. Już dziś mam zamówienia na kilka miesięcy w przód. Wiedziałem, że jeśli uda mi się z powrotem zatrudnić starych fachowców O'Neilla, po prostu musi się udać.

— Świetnie.

— No więc ten dyrektor twierdzi, że skoro na koncie mam coraz więcej pieniędzy, to najwyższy czas, żebym zaczął inwestować.

— Ma rację. Chyba rzeczywiście powinieneś.

— Po tym co spotkało naszych kochanych sąsiadów? Nie pali mi się do inwestycji, nie chcę, żeby jacyś obcy ludzie roztrwonili moje pieniądze.

— Twoja matka też inwestowała. W pola złotonośne.

— Tak. Ale ona tam była. Znała te tereny i miała tam przyjaciół. Dla nas byłaby to loteria.

— A co z automobilem?

— To wciąż dość odległa perspektywa. Przez cały czas konstruuja nowe, coraz lepsze modele. Nie chcę sprowadzić takiego, który zanim opuści fabrykę, będzie już przestarzały. Barnaby patrzył, jak Ben kręci się niespokojnie po domu.

— Jak na kogoś, kto właśnie dostał laurkę od wielce szanownego pana bankiera, nie masz zbyt szczęśliwej miny. Co się stało?

— Nudzi mnie to wszystko. Rod Callaghan radzi sobie z prowadzeniem stajni tak dobrze, że nikomu nie sprawia różnicy, czy tam jestem, czy też nie. Martwię się też o Phoebe.

— Nikt jej tam nie skrzywdzi. Na pewno świetnie się bawi.

348

OGNIE FORTUNY

— W tym cały problem. Napisałem do niej dwa listy, ale nie odpisała. A minęło tyle czasu! Zresztą sam sobie jestem winien. Kiedy dowiedziałem się o bankructwie Thurlwellów, wcale

się nie przejąłem. Sam wiesz, jak było. Miałem nadzieję, że skończą w przytułku. Powinienem być spróbować skontaktować się z Phoebe, ale tego nie zrobiłem. Nie potrafiłbym spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że jest mi przykro z powodu kłopotów jej rodziny.

— To zrozumiałe, choć nie powinieneś odgrywać się na Phoebe.

— Wiem i w końcu poszedłem do niej. Ale okazało się, że wyjechała do Fairmont. Bez słowa pożegnania.

— W takim razie chyba nie masz zbyt wielkiego wyboru. Musisz cierpliwie czekać na jej powrót.

— Zastanawiam się, czy do niej nie pojechać.

— Tak bez zaproszenia?

— A mam inne wyjście?

Barnaby przypomniał sobie tamtą kobietę z Charleville, która opowiedziała mu historię Buchanana i Diamond.

— Przecież Fairmont to farma Buchanana! — wykrzyknął.

— No to co? Wiem, że go nie znosisz, ale nie jadę z wizytą do niego, tylko do Phoebe. Nie zamierzam się u niego zatrzymać.

— Moim zdaniem to nie jest najszcześniejszy pomysł — stwierdził Barnaby.

— Lepsze to niż siedzieć tu i się zamartwiać. Muszę się z nią zobaczyć.

— Sądząc po twoim tonie, już podjąłeś decyzję. Ben oparł się o kominek i przez chwilę myślał.

— Tak, chyba tak. Chodziło mi to po głowie mniej więcej od tygodnia. Nawet specjalnie ćwiczyłem konia, żeby był gotowy do dalekiej podróży.

— Nie lepiej pojechać pociągiem?

— Wolę konno. Zawsze to ciekawsze, poza tym sam będę decydował, kiedy i gdzie się zatrzymam. A gdyby się okazało, że Phoebe nie chce mnie widzieć, będę miał czas, żeby się z tym pogodzić.

Barnaby wstał wcześniej rano, żeby pożegnać się z Benem. Rzeczywiście miał wspaniałego konia i doskonale wyposażenie, to drugie dzięki fachowości swoich siodlarzy.

— Powinieneś jechać ze mną — powiedział Ben. — Już nie mogę się doczekać.

349

PATRICIA SHAW

— Nie kuś — odparł Barnaby, czując ukłucie zazdrości, że tak wspaniała przygoda przejdzie mu koło nosa. — Mam pracę. A dokładniej mówiąc, muszę się postarać, żeby mieć jej więcej. Aha, jeszcze jedno, to nazwisko może ci się przydać w Charleville. — Wręczył Benowi kartkę papieru. — Ta kobieta, niejaka Mae Smith, jest żoną właściciela hotelu Shamrock. Powinieneś z nią porozmawiać.

— Po co?

— Zna Buchananów. Może ci pomóc.

— Jadę zobaczyć się z Phoebe, a nie zwiedzać okoliczne terytoria.

— Nie licz na to — ostrzegł go Barnaby. — Zastanawiałem się nad tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że wywieźli ją tam specjalnie po to, by była jak najdalej od ciebie. Podejrzewam, że powiedziała o tobie rodzicom.

Ben przytroczył strzelbę do siodła.

— Ciepło, ciepło, panie prawniku. A jak sądzisz, dlaczego właściwie oberwałeś? Nie przyszło ci do głowy, że zaszła fatalna pomyłka? Do zobaczenia za parę tygodni.

Wsiadł na konia i pokłusował przez otwartą bramę, minął dom Thurlwellów i ruszył w dół ulicą.

Barnaby stał oszołomiony. Czy tak właśnie było?

Żałował, że Ben odjechał tak szybko, miał mu jeszcze coś ważnego do powiedzenia. Był w Charleville i chociaż nie sprzyjało mu tam szczęście, traktowano go całkiem uprzejmie. Wiedział jednak, że ogorzały Ben zostanie uznany za kolorowego, a ludzie na zachodzie są na tym punkcie bardziej uczuleni aniżeli mieszkańcy Brisbane. Po wieloletnich wojnach pozostała głęboka niechęć. Po obu stronach. Barnaby modlił się, by podczas tej wyprawy Ben nie zapomniał o swoim pochodzeniu, bo przecież tam, w buszu, nie podpisano żadnego traktatu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czy to aby na pewno to samo miejsce? Ben słyszał co prawda, że długo oczekiwane deszcze położyły w końcu kres suszy, nie spodziewał się jednak, że zaszły aż tak ogromne zmiany, jakie ujrzał, kiedy tylko przejechał przez góry. Miejsce piaszczystej pustyni zajęły ogromne połacie soczystej zieleni.

Tam, gdzie do niedawna rządził strach, teraz królował optymizm. Drzemiące nasiona wykiełkowały, splątane suche trawy ożyły, tworząc ciągnący się w nieskończoność zielony dywan. Drzewa gumowe, które tak długo opierały się suszy, choć im dłużej trwały, tym bardziej pochylały się ku ziemi, teraz radośnie wystawiały ku słońcu swoje lśniące liście o czerwonych końcach. Nawet pobieliałe uschnięte drzewa i bezładnie porozrzucane kłody nie wzbudzały już żalu. Wydawały się nieodzownym elementem tego cudu i bez nich obraz byłby niekompletny.

Ben wziął dość zapasów, żeby ominąć miasta, które odwiedził razem z Cashem podczas tamtej ponurej wyprawy. Wyrzucał sobie, że był takim durniem, tak bardzo złaknionym bliskich kontaktów z ludźmi, iż dał się omamić obłudnej przyjaźni Casha. Wciąż widział jego zimne oczy, gdy ten postanowił się go pozbyć. Tak naprawdę szok jeszcze nie minął.

W pobliżu Dalby napotkał rodzinę, której przeciążony wóz ugrzązł w głębokim błocie. Ben zaoferował pomoc, lecz mimo wysiłków mężczyzn i koni wóz nawet nie drgnął. Musieli go rozładować, podczas gdy kobieta z kilkorgiem dzieci stała na uboczu, po czym wyciągnęły z błota, układając na ziemi grube gałęzie, żeby koła się nie zapadały. Później Ben zjadł z nimi lunch składający się z herbaty i placków i wyruszył w dalszą drogę.

351

PATRICIA SHAW

Tego popołudnia rozbił obozowisko nad rzeką, napawając się bogactwem tych jeszcze niedawno tak spustoszonych ziem. Tysiące ptaków krążyło nad zaroślami porastającymi brzegi wartkiej obecnie rzeki. Ben obserwował stada papug — falistych, polinezyjskich i wielu innych, zawsze trzymających się w stadach — i rozmyślał o ludziach. Zastanawiał się, czy ptakom zdarza się krzyżować. Zastanawiał się nad sobą.

Różowo-szare kakadu szurały w szczodrości nasion trawy, mamrocząc z zadowoleniem. Na ich widok Benowi od razu poprawił się humor. Zaraz potem doszło do awantury między parą kakadu a parą kruków, albowiem wszystkie te ptaki rościły sobie prawa do jednej gałęzi. Ta walka rozśmieszyła Bena. Wokół było mnóstwo podobnych gałęzi, lecz nie, one uparły się na tę jedną. Białe kakadu nie dały się zastraszyć tłustym czarnym krukami, które przeżyły suszę, jedząc oczy padającego bydła. Skrzczały niczym handlarki ryb, machały skrzydłami i dziobały przebiegłe kruki. Te, zamiast odeprzeć atak ostrymi dziobami, szukały punktu oparcia pod skrzydłami przeciwników, aż w końcu dały za wygraną i odleciały. Parka kakadu rozsiadła się na gałęzi, gładząc piórka i prychając z oburzeniem.

Ben żałował, że tak niewiele wie o buszu i jego mieszkańcach. Cisza, która w końcu zapadła, kusila go i obezwładniała. To była ziemia jego matki, jej świat, a także część jego samego. Uświadomił sobie, że jego miejsce jest właśnie tutaj. Kiedy był tu poprzednio, chodziło mu

tylko o pieniądze, szukał złota, polował na dzikie konie i nie dostrzegał nic prócz spustoszeń poczynionych przez suszę. „Zastanów się nad tym — powtarzał sobie. — Przecież Mandjala i Djumbati nie skarżyli się na suszę, oni traktowali ją jak coś naturalnego.”

Spokojne otoczenie wydawało się wymarzonym miejscem do kontemplacji. „Byłoby uproszczeniem, gdybym stwierdził, że przybyłem tu jako biały człowiek i dlatego nie potrafiłem docenić piękna tej ziemi. Biali też kochają ziemię. Przyjechałem tu jako mieszczuch, człowiek, który wychował się w mieście i nie miał pojęcia o buszu. Dopiero teraz zaczynam dostrzegać, że życie to nie tylko pieniądze.” Diamond zrobiła, co mogła. Wiedziała, że najważniejsze to mieć pieniądze i nie podnosić zbyt wysoko czoła, lecz jej syn był stanowczo zbyt młody, by zrozumieć drugą część tej zasady. Szalony atak na dom sąsiadów, kamienie tłukące okna — to było coś, czego Diamond z pewnością by nie pochwaliła. Niezależnie od powodu.

Noc sprowadziła też wątpliwości, czy Diamond ucieszyłaby się z jego planów związanych z Phoebe Thurlwell. Początkowo wyobrażał

352

OGNIE FORTUNY

sobie, że byłaby bardzo szczęśliwa, teraz wszakże nie był już tego taki pewny. Poślubić białą dziewczynę, do tego z wyższych sfer! Taki zamiar trudno uznać za dowód skromności, za dążenie do niewybijania się ponad przeciętność. Lecz w końcu... no cóż, nie mógł wykluczyć, że Phoebe się rozmyśliła. Kusilo go, by zawrócić. Nie chciał usłyszeć, że wszystko skończone.

Rano obudził się w lepszym nastroju, na duchu podniósł go poranny chór ptaków. Poszedł do buszu po pasącego się spokojnie na niewielkiej polanie konia i przyprowadził go z powrotem nad rzekę, płosząc kilka kangurów, które także przyszły do wodopoju.

Postanowił skrócić ku polom złotoносnym Sailor's Drift, licząc, że może zdoła odnaleźć swoich dwóch czarnych przyjaciół. Zdawał sobie sprawę, że to taktyka odwlekania, zrodzona z dręczących go wątpliwości. Bał się, że Phoebe zdecydowała za niego nie wychodzić, mimo to wmawiał sobie, że przede wszystkim chce się zobaczyć z Mandjalą i Djumbatim.

Cztery dni później uzupełnił zapasy w składzie spożywczym na ruchliwej drodze do Sailor's Drift, gdzie usłyszał, że w różnych punktach, przylegających do pierwotnych miejsc poszukiwań, wciąż można trafić na złoto.

— Szuka pan złota? — spytał sklepikarz.

— Nie. Kiedyś próbowałem, ale bez żadnych rezultatów.

— Dokąd pan zmierza?

— Chcę dojechać do Fairmont.

Sklepikarz obserwował, jak Ben przypina wypełnione juki.

— Ładny koń — zauważył. — To siodło też mi nie wygląda na tanie. Niech pan uważa na zbirów, pełno ich tutaj.

— Słyszałem coś o tym.

Ben odjechał, szeroko uśmiechnięty. „To by dopiero była symboliczna sprawiedliwość” — pomyślał. Poprawił jednak strzelbę i poruszył nogą, by sprawdzić, czy nóż Diamond znajduje się na swoim miejscu.

Zamierzał ominąć dużym łukiem kopalnię złota, lecz okazało się, że od jego poprzedniej bytności krajobraz bardzo się zmienił. Obozowisko Aborygenów, na które wówczas się natknął, zniknęło, w jego miejscu, nad samym brzegiem rzeki, wznosiły się gołe hałdy oraz wzgórza. Na działkach stały porozrzucane dobrze znajome namioty i ziemianki kopaczy złota, prymitywne drabiny i śluzy, a mieszkańcy z mozołem szukali cennego kruszcu. Patrząc na to wszystko ze szczytu wzgórza, Ben przez chwilę miał ochotę raz jeszcze spróbować.

23 Ognie fortuny

PATRICIA SHAW

Gończce złota naprawdę niezwykle trudno się oprzeć. A gdyby tak udało mu się trafić na grubą żyłę?

— A jeśli nie? — mruknął pod nosem. Poszukiwania złota mogą być początkowo bardzo ekscytujące, kiedy wszakże nie ma się szczęścia, praca staje się istną katorgą. Postanowił nie zjeżdżać na dół, wolał nadłożyć kilka mil i po jakimś czasie dojechał do strumienia, prawdopodobnie dopływu rzeki. Podążając wzdłuż niego na zachód, w końcu natknął się na Aborygenów, którzy budowali na płyciźnie pułapkę na ryby.

Tym razem czarni rzucili tylko na niego okiem i z powrotem zajęli się pracą.

Ben grzecznie zapytał, czy znają Mandjalę albo Djumbatiego.

— To moi przyjaciele — wyjaśnił najpierw po angielsku, a potem w kilku znanych mu dialektach, lecz dwaj mężczyźni tylko pokręcili głowami, wzruszyli ramionami i wrócili do swych zajęć, kompletnie go ignorując. Przez jakiś czas stał w pobliżu, palił fajkę i obserwował, jak budują sieć niskich ogrodzeń, niczym na miniaturowej farmie. W końcu zrezygnował i odszedł. Oni nie życzyli sobie intruzów.

Szukając miejsca na obozowisko, spostrzegł galopujące w oddali stado dzikich koni, około dwudziestu silnych sztuk, i ucieszył się, że im także udało się przetrwać suszę.

— Są mądre — rzekł do własnego konia. — A ten kraj jest ogromny. Zawsze tu będą, stały się nieodłącznym elementem tych terenów.

Przypomniał sobie opowieść matki o tym, jak Aborygeni po raz pierwszy zobaczyli ludzi na koniach. Ponieważ dotąd nie mieli pojęcia o istnieniu takiego zwierzęcia, byli nie na żarty przerażeni, sądzili bowiem, że to czworonożni ludzie. Zastanawiał się również, czy baśnie, które w dzieciństwie czytała mu Oma, pochodzą z tego samego kanonu, gdyż doskonale pamiętał rysunek człowieka o ciele konia, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć treści. Zdawało mu się, że od czasów, kiedy był dzieckiem, upłynęły już wieki.

— Dobra — odezwał się do swego jedyne go towarzysza, konia, zeskakując na ziemię. — Prześpimy się tutaj, a rano ruszymy na zachód i zobaczymy, czy uda mi się znaleźć drogę do Fairmont. Ktoś na pewno będzie ją znał. Chyba się trochę zgubiłem, wszystko jest teraz takie inne.

„A co potem?” — pytał się w myślach.

— Potem pojedę prosto na farmę. Pani Buchanan mnie zna i na pewno nie będzie miała nic przeciwko mojej wizycie. Powiem,

OGNIE FORTUNY

że chcę się widzieć z Phoebe, że koniecznie muszę z nią porozmawiać.

Wiedział, że na tak dużych farmach są budynki, w których zawsze znajdzie się miejsce dla podróżnego. A on nie ma przecież nic przeciwko temu, by spać razem z ich pracownikami. Nie zamierza prosić o pokój w domu. O to nie muszą się niepokoić. Tylko jak przyjmie go Phoebe? Nieważne, nie będzie się jej narzucać, chce z nią tylko porozmawiać. Zobaczyć ją! Boże! Czy to możliwe, że pokochał ją tak mocno, że do szczęścia wystarczy mu jedno tylko na nią spojrzenie?

Tej nocy Ben Beckman spał pod dachem z gwiazd. W głębi duszy był przekonany, że Phoebe go kocha, i zastanawiał się, czy na niego czeka. Obawiając się, że list nie dojdzie na czas, zdecydował się wysłać depeszę przez Charleville, skąd miała zostać doręczona pocztą. Miał nadzieję, że plan się powiedzie, chociaż tutaj wszystko działo się wolniej i z opóźnieniem, nie mógł więc wykluczyć, że depesza wciąż jeszcze leży w Charleville. W gruncie rzeczy to i tak nie miało znaczenia. Wiedział, że do Fairmont zostały mu najwyżej dwa dni drogi.

Fairmont było po prostu cudowne! Phoebe wątpiła, czy kiedykolwiek odwdzięczy się Clarze za gościnę. Za to, że dała jej szansę wzięcia się w garść.

Phoebe nie była w stanie sobie przypomnieć, co dokładnie zdarzyło się w Fairmont przez pierwszy tydzień po jej przyjeździe, tak bardzo była oszołomiona i załamana rozstaniem z Benem. Pamiętała, że spędziła dużo czasu na porośniętej zielonymi pnączami werandzie i starała się czytać, chociaż jej umysł niczego nie przyswajał. Chodziła też na spacer z Belle nad jezioro i do stojących wokół zabudowań, gdzie poznała pasterzy, kowala i jego żonę, a także kilku Aborygenów. Wprawilo ją to w jeszcze większe zakłopotanie, niemal natychmiast bowiem zapomniała ich imiona. Lalla nazwałaby to zapewne niewybaczalnym wykroczeniem towarzyskim.

Przerazona swoim brakiem dobrych manier Phoebe wbrew zdrowemu rozsądkowi na widok którejś z tych osób uciekała albo chowała się w najciemniejszy kąt. Na pewno uważali ją za wariatkę.

Czekając teraz na Clarę, doszła do wniosku, że chyba mają rację. To absurdalne, że dopuściła do takiej sytuacji. Tak bardzo starała się zrobić dobre wrażenie i nie wyjść na zagubioną dziewczę z Brisbane, że wszystko okropnie pogmatwała. W dodatku, choć wreszcie otrząsnęła

355

PATRICIA SHAW

się z przygnębienia, ta trywialna przecież sprawa wciąż nie daje jej spokoju. A przecież zna już imiona ich wszystkich.

Swoją klacz Cleo pokochała i bardzo szybko się z nią zaprzyjaźniła. Wstawała o świcie, jechała z Clarą posprawdzać wodę w wodopojach i zagonić bydło do stada, a mimo że wymagało to wiele wysiłku, robiła to ze szczerą chęcią i była z siebie naprawdę dumna, zwłaszcza że dopiero po dwóch tygodniach zebrała się na odwagę i opuściła padok.

Tego popołudnia jechały wzdłuż brzegu szerokiego jeziora, które stopniowo napełniało się wodą, przyciągając z powrotem stada ptactwa.

— Nie wyobrażam go sobie bez wody — stwierdziła Phoebe. — To musiał być wyjątkowo przygnębiający widok.

— Tak. Ilekroć tędy przejeżdżałam, ogarniał mnie smutek. Wiesz, to była taka wielka bezużyteczna dziura, w której powinna być woda, ale jej nie było. Teraz wygląda tu o niebo lepiej.

— I tak tu spokojnie. Uwielbiam te okolice, Claro, i strasznie ci jestem wdzięczna za gościnę.

Była też Clarze wdzięczna za to, że akceptuje ją taką, jaką jest. Belle Foster doprowadzała ją do szału, pytając po kilka razy dziennie, jak się czuje.

Za każdym razem Phoebe udzielała tej samej odpowiedzi: „Bardzo dobrze dziękuję”, lecz mówiła to z nerwową niewiarą we własne słowa. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć własnego zakłopotania.

Clara nie zadawała takich pytań. W ogóle o nic nie pytała. Nie odnosiła się do niej protekcjonalnie jak Belle i Ben. Nie nalegała, w przeciwieństwie do nich, by Phoebe jadła wszystkie posiłki. Żeby im grała na fortepianie, kiedy stojące przed nią nuty zdawały się gmatwaniną obcych znaków. Żeby grała w domino, kiedy nie potrafiła dopasować piątki do piątki. Zdarzało się, że Phoebe, zrozpaczona swoim brakiem koordynacji, miała wrażenie, że unosi się w górze i widzi, jak robi z siebie idiotkę, lecz nie jest w stanie powiedzieć tej uzurpatorce, która weszła w jej ciało, by natychmiast dała jej święty spokój. Ani wyjaśnić im, że to nie ona. Co za upokorzenie!

W całym domu tylko Clara oraz dwie czarne służące, Ruby i Sissy, traktowały Phoebe z szacunkiem, nie zważając na jej dziwne zachowanie. Phoebe polubiła Ruby; była to siwowłosa kobieta, która pracowała u Buchananów od zawsze. Clara mówiła, że ją

odziedziczyła. Ruby przybyła na południe jako pokojówka Bena, kiedy ten sprzedał posiadłość na północy i przeprowadził się do Fairmont.

356

OGNIE FORTUNY

• To skarb — mówiła Clara. — Dobrze mówi po angielsku, zna kilka dialektów, a poza tym trzyma dom żelazną ręką. Kiedyś okropnie się jej bałam. Przeszła szkołę u matki Bena, która była osobą strasznie konserwatywną i dogmatyczną, chyba jeszcze bardziej niż Belle. Wiesz, obowiązkowa suknia do kolacji i tym podobne. Dzięki Bogu, wszystkie te formalności odeszły w przeszłość. — Spojrzała na Phoebe.

— Czy uważasz, że to głupie, że tak bardzo kocham to miejsce?

— Farmę? Ależ skąd! Też chciałabym mieszkać na wsi.

— Ben zamierza sprzedać Fairmont. I wcale nie chodzi o suszę, on po prostu woli miasto. Ja natomiast chcę zostać tutaj.

— Nie dziwię ci się. Ale co będzie, jeśli przyjdzie następna susza?

— Susze, powodzie. Tak to już jest na wsi. Będziemy musieli zaoszczędzić trochę pieniędzy, żeby jakoś przetrwać najgorsze. To okropne... — Clara urwała w pół zdania. — Że byliśmy nie przygotowani — dokończyła naprędce.

Nie mogła przecież powiedzieć, że gdyby Ben nie zainwestował tak ogromnej sumy w Western Railroads, pewnie nie narzekaliby teraz na brak gotówki. Nie mogła też zdradzić Phoebe, że udało się jej sprowadzić paszę dla bydła tylko dzięki pomocy właściciela stajni, Bena Beckmana.

Poza tym była sprawa listów. I telegramu, dostarczonego przed kilkoma dniami, w którym ten dżentelmen zawiadamiał Phoebe, że wybiera się do niej z wizytą. Clarę dręczyły wyrzuty sumienia. Raz jeszcze próbowała tłumaczyć matce i Benowi, że zagarnianie cudzej korespondencji to niegodziwość.

Belle jednak pozostawała nieugięta.

— Spełniamy tylko prośbę Lalli, a także, nie zapominaj o tym, ojca Phoebe. Jest oburzony! Ma ogromne pretensje do Lalli, że do tego wszystkiego dopuściła.

— Moim zdaniem to nie w porządku — nie ustępowała Clara.

— Być może w ich oczach nie jest odpowiednim kandydatem na męża, ale Phoebe powinna sama podjąć decyzję.

— Odpowiednim! — wykrzyknął Ben. — To ci dopiero! To chyba mało powiedziane! Przecież ten człowiek to mieszaniec, a do tego siedział za kratkami! Czy to nie wystarczy? Nigdy w życiu nie pozwolę, by ktoś taki jak on wszedł na nasz teren. Oświadczam, że jego noga nigdy w tym domu nie postanie. Niech się stąd wynosi! Nie wejdzie tutaj i koniec.

— Nie ma się co irytować — odparła Clara. — Nie rozumiem, czemu właściwie tak strasznie się denerwujesz. Gdybyście nie niszczyli

357

PATRICIA SHAW

jej listów, dostałby je i pewnie teraz siedziałby spokojnie w Brisbane. Phoebe nie zaprosiłaby go bez naszej wiedzy.

— Ta sprawa budzi we mnie niesmak — parsknęła Belle. — Ta dziewczyna powinna się wstydzić. I w pełni zgadzam się z Benem, że ten prostak nie ma prawa przestąpić progu tego domu.

— Teraz już nie bardzo możemy temu zapobiec — zauważyła

Clara. — Jeżeli przyjedzie, będziemy musieli powiedzieć Phoebe. Zresztą i tak pewnie sama go zobaczy.

Kiedy odprowadzały konie do stajni, Clara była pełna obaw. Miała przeczucie, że wszystkie te knowania prędzej czy później obrócą się przeciwko nim. Bardzo chciała porozmawiać z Phoebe o jej narzeczonym, lecz nie śmiała. Lalla i Ben zachowywali się w tej sprawie

niegodnie, nie wiedziałyby, od czego zacząć. Jak niby miałyby wyznać Phoebe, że brała udział w ich spisku?

Na szczęście Phoebe wciąż rozmyślała o Fairmont.

— Nie możesz powiedzieć, że nie zgadzasz się na sprzedaż farmy?

— Mogłabym, ale to by oznaczało wojnę.

— Więc walcz! — zachęcała ją Phoebe, której na chwilę wróciła dawna zadziorność. — Nie pozwól sobą pomiatać. Jestem po twojej stronie.

Clara zamyśliła się. Przy samym domu chwyciła Phoebe za ramię i oświadczyła:

— Będę walczyć! Nie ustąpię. Zostaję tutaj!

— Świetnie! — roześmiała się Phoebe. Uważała, że najwyższy czas, by Clara stawiała mężowi czoło. Phoebe nie mogła się już doczekać, kiedy Ben Buchanan wyjedzie do miasta. Nigdy go nie lubiła, a teraz stało się oczywiste, że ta niechęć jest wzajemna. W ostatnich dniach traktował ją wyjątkowo opryskliwie. Ale, dzięki Bogu, zbliżał się dzień wznowienia obrad parlamentu, a to oznaczało, że Ben wkrótce opuści farmę. Nie mogła również udawać, że nie zauważyła, jak mąż warczy i krzyczy na Clarę. To denerwowało Phoebe jeszcze bardziej.

„Miałby za swoje, gdybym mu za to wszystko odpłaciła — pomyślała. — Wystarczyłoby, żebym szepnęła Belle choć słówko na temat jego romansu z moją matką. Natychmiast przesłaby na stronę Clary.” Phoebe szybko się zorientowała, że Belle Foster rządzi całym domem, i strasznie ją drażniło, że starsza pani zdaje się nie zauważać stosunku zięcia do jej córki. Być może uważała, że Clarze to nie przeszkadza, że to nieistotny drobiazg.

358

OGNIE FORTUNY

Phoebe przyszło do głowy, że cała ta sytuacja bardzo przypomina to, co dzieje się w jej własnej rodzinie. Tyle tylko że tam to Lalla krzyczy na męża. „Ludzie są dziwni — powtarzała sobie. — Ale o ileż przyjemniej będzie w Fairmont, kiedy Buchanan wreszcie wyjedzie do Brisbane. Warto czekać.”

Buchanan był nie tylko wściekły, był wstrząśnięty i bezgranicznie zdumiony. I to wcale nie tym, że ta głupia dziewczucha wybrała sobie na męża kogoś takiego — dla niego mogłaby wyjść nawet za skośnookiego — lecz dla tego, że ten chłopak zamierza odwiedzić ją w jego domu. Widział adres zwrotny na kopertach tych ohydnych listów — Kan-garoo Point — i nie miał najmniejszych wątpliwości, że ów Ben Beckman to syn Diamond. Co więcej, był przekonany, że ten prostak celowo go prześladuje. Podejrzewał nawet, że specjalnie dlatego zaczął się zadawać z Phoebe Thurlwell. Jednakże Ben Buchanan nie chciał mieć więcej do czynienia z Thurlwellami i życzył sobie, żeby ta dziewczyna jak najszybciej wyniosła się z jego domu.

Czego tak naprawdę chce ten mieszaniec? Zjawić się w Fairmont i ogłosić się jego synem? Jeśli tak, szybko zostanie sprowadzony na ziemię. Diamond nie żyje, a Buchanan czytał w jakiejś gazecie, że ta stara Niemka również umarła. Nie pozostał więc nikt, kto mógłby potwierdzić tę bajkę. Nikt.

Mimo to Buchanana dręczył niepokój. Na północy, gdzie mieściła się jego poprzednia farma, było dużo więcej Aborygenów i nikogo nie oburzało, kiedy biali mężczyźni zabawiali się z czarnymi dziewczynami, tutaj natomiast, bliżej cywilizacji, o czymś takim nie należało mówić na głos. Ben zetknął się nawet z twierdzeniami, że takie związki prowadzą do zanieczyszczenia białej rasy i dlatego trzymał się z dala od kilku czarnych dziewczyn, które pracowały na jego farmie. Zresztą w przybytku Goldie w Brisbane można było znaleźć ciekawsze sztuki.

Podjął już odpowiednie działania, mające zapobiec wtargnięciu Beckmana na jego teren. Poleciał strażnikom, by wypatrywali młodego mieszańca i natychmiast go przepędzili, jeśli się taki pojawi. Nie musiał się przed nimi tłumaczyć, chociaż miał świetną wymówkę: dobre imię panny Phoebe. Osobiście zajął się obserwacją głównej drogi, prowadzącej do tablicy stojącej na granicy farmy. Dokąd jeździł i co robił na swojej własnej ziemi, było wyłącznie jego sprawą, nikt więc nie musiał wiedzieć, dlaczego obserwuje tę drogę, trzymając w gotowości załadowaną strzelbę.

359

PATRICIA SHAW

Słońce stało w zenicie, muchy okropnie dawały się we znaki, Ben usiadł więc przy drodze w cieniu wielkiego drzewa pieprzowego. Było to miejsce, w którym dawniej stała jedna z pierwszych w tej okolicy chat. Teraz pozostał z niej tylko komin. Z jakiegoś powodu drzewa pieprzowe odstraszały większość much, stanowiły więc naturalne schronienie przed ich atakami.

Zszedł z konia i usiadł na spróchniałej kłodzie, od lat ulubionym miejscu odpoczynku pasterzy bydła. Tego roku muchy okropnie się rozpanoszyły. Gdziekolwiek człowiek pojechał, zaraz obsiadały go całe roje. Kobiety zaczęły zakładać na kapelusze ochronne woalki. Zapaliwszy cygaro, zaczął rozmyślać o tych uciążliwych owadach; wyglądało na to, że nie ma dla nich żadnego znaczenia, czy jest wilgotno, czy też panuje susza. Plaga mogła się rozpocząć w dowolnym momencie, a kiedy już się zaczęła, trwała miesiącami. Z dzieciństwa pamiętał, jak któregoś roku na północy namnożyło się tyle much, że posiłki trzeba było jeść pod ogromną siatką, którą matka podwiesiła pod sufitem.

Mieli wprowadzić specjalną ramę z siatki, wstawianą w otwarte drzwi, lecz tylko jedną, w wejściu do kuchni, by chronić jedzenie, a nie ludzi. Dom w Fairmont był bardzo podobny, dlatego kazał zrobić identyczne siatki. Wstawiono je w drzwi z jadalni na werandę. Dopalił cygaro i zgasił je w piachu. Osobiście był zdania, że w każdym domu powinno się zakładać takie siatki, nawet jeśli miałyby to oznaczać rezygnację z korzystania z ukochanych balkonów i werand. Kiedy to jednak zaproponował, został zakrzyczany. Obrońcy werand twierdzili, że siatki zatrzymują przepływ świeżego powietrza.

Ben zapadł w drzemkę, jego koń stał obok zadowolony ze schronienia, jakie dawało rozłożyste drzewo.

Słyszając czyjś głos, Buchanan zerwał się na równe nogi. Przed sobą zobaczył nieznanego podróżnego.

— Przepraszam, że pana niepokoję, sir — odezwał się jeździec — ale czy dojadę tędy do Fairmont?

Ben zaklął w duchu, wściekły, że dał się tak zaskoczyć. Z lekceważącą miną bez pośpiechu podszedł do konia i dosiadł go, po czym spytał:

— A kto chce wiedzieć?

Odpowiedź była zbędna. To Beckman! Wszak widywał go w tych jego przeklętych stajniach. A teraz... Jezu! Stał niemalże u wrót jego domu.

— Beckman. Ben Beckman.

360

OGNIE FORTUNY

Buchanan przyjrzał mu się uważnie, zły, a jednocześnie zaciekawiony. Chłopak był dobrze zbudowany, miał twarde mięśnie. Widać było, że w przeszłości ciężko pracował. „Pewnie w kamieniołomach”

— pomyślał złośliwie. Gładko ogolony, o regularnych rysach, nie miał typowego dla Aborygenów szerokiego nosa, a jego oczy, chociaż brązowe, nie były tak ciemne ani wyraziste jak oczy Diamond. Zdradzał go jednak kolor skóry, ten kremowo-oliwkowy odcień, znamię jego rasy.

— O co chodzi? — spytał.

Zaciśnięte zęby jeźdźca i wyniosła postawa kojarzyły się Buchananowi z żelazną arogancją Diamond. Ta suka potrafiła być niebezpieczna, wiedział więc, że także teraz musi się mieć na baczności. Kiedy widział ją po raz ostatni, sprawił jej ostre lanie, na które zresztą uczciwie sobie zasłużyła. Ale ona w odpowiedzi wyciągnęła nóż i rzuciła się na niego. Nie miał innego wyjścia, jak tylko się wycofać, czego do dziś się wstydził.

— Przyjechałem z wizytą — odparł Beckman. — Muszę porozmawiać z pewną osobą, która tam teraz mieszka.

— Z którymś z czarnych? — spytał Buchanan, dając intruzowi do zrozumienia, gdzie jego miejsce.

— Nie znam nikogo z tutejszych czarnych — cicho odparł Ben.

— Przyjechałem porozmawiać z panną Thurlwell. O ile wiem, przebywa obecnie w Fairmont.

— Czyżby? Obawiam się, że tracisz czas. To ja jestem Buchanan, a Fairmont to moja farma.

— Wiem. Trzymał pan u mnie konie. Chciałbym porozmawiać z panną Thurlwell.

Ben opanował drżenie. A więc ten bękart go zna! Przeklęty bękart, w każdym znaczeniu tego słowa, próbuje bawić się z nim w kota i mysz.

— Panna Thurlwell powiedziała mi, że nie życzy sobie takiego spotkania, najlepiej więc będzie, jeśli zawrócisz i czym prędzej się stąd wyniesiesz.

— Zrobię to, kiedy z nią porozmawiam.

— Próbujesz mi się sprzeciwiać? A kim ty, do diabła, jesteś?

— Po prostu przyjacielem. Nie zamierzam tu zostać...

— To akurat więcej niż pewne!

— A więc nie mogę się z nią zobaczyć?

— Nie. — Szybkim, wyćwiczonym ruchem Buchanan wyciągnął strzelbę i wymierzył w Beckmana. — Już ci powiedziałem: wynoś się stąd. I to szybko!

361

PATRICIA SHAW

Ben gapił się na niego, bezgranicznie zdumiony. Konie, wyczuwając napięcie, przestępowały nerwowo z nogi na nogę, lecz strzelba ani drgnęła.

— Panie Buchanan — odezwał się Beckman spokojnie — nie lubię, kiedy ktoś we mnie celuje.

— Po tylu latach więzienia na pewno nie lubisz — krzywo uśmiechnął się Buchanan, świadom, że w pełni kontroluje sytuację.

— Ale powinieneś być przyzwyczajony. A teraz wyciągnij strzelbę i wyrzuć ją w tamte krzaki.

— Dlaczego?

— Chyba wiesz, że czarnym nie wolno nosić broni? Rób, co ci każe.

Dostrzegł, że Beckmana dotknęła ta obelga, i zadowolony z siebie patrzył, jak mieszaniec posłusznie wykonuje polecenie, ze strachu trzymając jedną rękę w górze.

Mylił się jednak. Ben Beckman nie bał się, po prostu był zdumiony. O co w tym wszystkim chodzi? Przecież chce tylko zobaczyć się z Phoebe. Nie przypuszczał, że natknie się na uzbrojonego strażnika, ani tym bardziej że będzie to Ben Buchanan we własnej osobie.

— To niepotrzebne — powiedział, rzucając strzelbę w krzaki.

— Nie szukam kłopotów.

— Pewnie, że nie — warknął Buchanan.

Bena ogarnął niepokój. Zapinając pustą kieszeń na broń, ukradkiem sprawdził, czy nóż znajduje się na swoim miejscu. Pojął, że ma do czynienia z szaleńcem. Nienawiść, jaką dojrzał w oczach Buchanana, nie pozostawiała żadnych złudzeń. Tylko dlaczego? Nagle przyszło mu do głowy, że widocznie nadal nic się nie zmieniło. Stał w obliczu starej waśni,

wojny białych przeciwko czarnym, i popełnił najgorszą zbrodnię: zbliżył się do jednej z ich kobiet. To było jedyne logiczne wytłumaczenie, a przecież dobrze wiedział, że w tych stronach ranczerzy sami dyktują prawa.

— A teraz zawracaj i wynoś się stąd! — rozkazał Buchanan. Powoli, bardzo powoli Ben zaczął zawracać, zdając sobie sprawę, że Buchanan nie dodał: „I nigdy więcej nie wracaj!” Kątem oka dostrzegł, jak lufa strzelby lekko się unosi, i pojął, że jeśli rzeczywiście zawróci i ruszy przed siebie, dostanie kulę w plecy. Chwycił nóż za sam czubek, gdyż tak właśnie był on przypięty do łydki — do góry ostrzem, gotowy do natychmiastowego użycia — po czym zawrócił konia, jakby zbierał się do odjazdu. W tym samym momencie okręcił się w siodle i cisnął nożem.

362

OGNIE FORTUNY

Reakcja Buchanana była spóźniona. Z palcem na spuście czekał, aż cel ruszy przed siebie; spudłował, kiedy nóż wbił mu się w ramię.

Teraz już całkiem bezbronny Ben nie czekał, co będzie dalej. Nóż rzucony z takiej odległości raczej nie mógł zrobić Buchananowi wielkiej krzywdy. Spiął konia i ruszył galopem.

Tętent kopyt i kołatanie własnego serca ogłuszyły Bena. Uświadomił sobie, że Buchanan pojechał za nim, dopiero gdy rozległ się huk wystrzału, a jego koń zrobił kilka niepewnych kroków i padł na ziemię.

— O Boże, nie! — krzyknął Ben, zrozumiałszy, że ogier został zraniony. Zanurkował w gęste krzaki, a potem nisko pochylony biegł i biegł przez wysoką ostrą trawę, przeskakując przez ciężkie kłody i kryjąc się za drzewami, do chwili gdy miał pewność, że jest bezpieczny. Jeździec musiałby pokonywać wszystkie te przeszkody z wielką ostrożnością.

Niepokoił się o konia. Nie miał czasu, by sprawdzić, czy rana jest powierzchowna, czy też w wyniku upadku doszło do jakiegoś poważnego złamania. Rapper był wspaniałym ogierem. Ben wybrał go dla siebie zaraz po tym, jak kupił stajnię. Ten potężny czterolatek, silny jak wół i wyjątkowo inteligentny, nie zasłużył na to, by leżeć i cierpieć. Ben miał nadzieję, że zwierzę zdołało się podnieść i uciec i że wkrótce je odnajdzie.

Ale co będzie, jeśli Rapper jest zbyt ciężko ranny i nie przeżyje? Ben nie miał nawet jak skrócić jego męki. Jęknął, żałując, że to nieszczęsny koń, a nie on, dostał tę kulę.

Czekał prawie godzinę, na więcej nie starczyło mu cierpliwości. Kiedy zaczął skradać się z powrotem w kierunku drogi, usłyszał strzał. Buchanan na pewno nie strzelał w powietrze, skoro ten, na którego poluje, jest poza zasięgiem jego wzroku. Bez wątplenia dobił konia. Ben usiadł na ziemi, doszczętnie zdruzgotany. Dlaczego to właśnie Rapper został ofiarą?

Długo czekał ukryty w gęstwinie, obawiając się poruszyć lub wydać jakikolwiek dźwięk w to spokojne popołudnie, kiedy wszystkie stworzenia w buszu odpoczywały w niemal absolutnej ciszy. To, że Buchanan próbował go zabić, zeszło na drugi plan w obliczu śmierci konia. Ben był tak rozwścieczony atakiem obłąkańca, że postanowił jeszcze tu wrócić. Tego jednego Buchanan mógł być pewien.

Wreszcie, kiedy niebezpieczeństwo minęło, Ben wyszedł z ukrycia i odnalazł martwego Rappera z kulami w głowie i w zadzie. Był bez siodła, uprzęży oraz juków zawierających żywność i pieniądze. Wszystko zniknęło. Całkiem jakby Ben padł ofiarą wyjętych spod

363

PATRICIA SHAW

prawa rabusiów. Lecz Buchanan nie był rabusiem, po prostu dał Benowi znak, zostawiając go w buszu bez konia, pożywienia i wody.

— W porządku, panie Buchanan — wycedził Ben, przykrywając martwe zwierzę gałęziami, by choć trochę ochronić je przed rojem much. — Na razie jesteś górą. Ale jeszcze się policzymy.

Postanowił pójść do Charleville, odległego o ponad czterdzieści mil, trzymając się w miarę możliwości z dala od traktów, by przypadkiem nie natknąć się na ewentualny pościg. Ponieważ jednak nie był buszmenem, zdawał sobie sprawę, że będzie musiał korzystać z nich jako drogowskazu. Maszerował więc przez busz i tylko od czasu do czasu zbliżał się do drogi, by sprawdzić, czy się nie zgubił, co wszakże było piekielnie męczące. Kiedy zaszło słońce, czuł się wyczerpany. Doszedłszy do wniosku, że w nocy droga powinna być stosunkowo bezpieczna, zacisnął zęby i ruszył biegiem po wąskim jasnoszarym pasie, licząc, że nie pomylił kierunków, gdyż wokół nie było żadnych znaków, które mogłyby mu pomóc. Nocne zwierzęta napędzały mu od czasu do czasu strachu, obsypując go liśćmi albo przebiegając drogę, gdzieś w pobliżu rozległo się ponure wycie dingo, jakże pasujące do nastroju Bena. Wkrótce musiał zwolnić, ale twardo postanowił iść przez całą noc. Kiedy zaczęło świtać, Ben całkiem opadł z sił, skrył się więc w buszu i położył na ziemi. Zasnął niemal natychmiast, a kiedy się obudził, słońce było już wysoko na niebie.

— Około siódmej — powiedział do siebie, wstając niepewnie. — I żadnych szans na śniadanie! A więc w drogę!

Jednakże położenie słońca bardzo go zaniepokoiło. Wiedział, że Charleville znajduje się na wschód od Fairmont, czemu więc słońce świeci mu niemal w plecy? Czyżby przypadkiem pomylił kierunki? Lecz nie, pamiętał, że zszedł z drogi na prawą stronę, i był pewny, że dalej na niej jest, wszystko więc musi być w porządku. Żeby się jednak upewnić, zawrócił, klnąc na czym świat stoi, i po chwili natknął się na zdeptaną trawę i paprocie. Po właściwej stronie drogi.

— Nieważne — tłumaczył sobie. — Wszystkie te drogi są strasznie kręte. W końcu wytyczały je ciężkie wozy zbaczając z trasy, by ominąć wielkie drzewa, skały i inne przeszkody. Muszę iść dalej przed siebie.

Nie miał pojęcia, jak duży dystans pokonał, i tylko się zirytował, starając się to obliczyć. Musiał jednak być spory kawał drogi od Fairmont. Coraz bardziej potrzebował pomocy. Wiedział, że jeśli będzie trzymać się drogi, w końcu na kogoś się natknie lub dojdzie do jakiegoś domu albo strumienia. Woda dodałaby mu sił, bez jedzenia

364

OGNIE FORTUNY

mógł jeszcze jakiś czas wytrzymać. Podniósł niewielki otoczek i włożył do ust, żeby wzmóc aktywność ślinianek. Nauczył się tej sztuczki w kamieniołomach, gdzie więźniowie dostawali wodę jedynie w porze posiłku. Nie był w stanie myśleć o Phoebe ani o nikim innym, tylko nienawiść do Buchanana sprawiała, że wciąż szedł tą piaszczystą drogą, która katowała go mirażami. Daleko przed sobą — a tym razem nie było mowy o złudzeniu — ujrzał zakręt i to dodało mu otuchy. Poczul się jeszcze lepiej, kiedy dostrzegł również bramę, typową bramę z drewna i trzech metalowych poprzeczek.

Okazało się, że droga wcale nie zakręca, a po prostu się kończy. Widocznie w nocy, na wpół przytomny ze zmęczenia, zboczył z głównej drogi i wszedł na ten przeklęty bezużyteczny dukt. Daleko przed sobą wszakże dostrzegł dwa kominy sterczące zza drzew. Przynajmniej więc udało mu się dotrzeć do jakiegoś domostwa, gdzie na pewno znajdzie pomoc.

Trochę go niepokoiło, że droga jest jakoś dziwnie zarośnięta, i to nawet jeśli wziąć pod uwagę ostatnie opady. Nigdzie nie było też widać śladów kół...

Przeszedł pomiędzy mocnymi wysokimi drzewami i znalazł się na kompletnie zarośniętym podjeździe przed ruinami dużego domu, który spłonął doszczętnie wiele lat wcześniej. Zostały po nim jedynie dwa ceglane kominy, zgłiszczca porastały młode drzewa i dzikie kwiaty.

— Chryste! — jęknął Ben, obchodząc podwórko. Stuknął pięścią w przerdzewiały zbiornik na wodę, później wrzucił kilka kamieni do studni, lecz zamiast plusku usłyszał jedynie głuchy huk.

Wokół domu na wzgórzu wykarczowano spory kawał lasu, jednakże drzewa szybko odzyskiwały stracony teren, rosnąc jak grzyby po deszczu.

Pomimo rozczarowania Ben nie dawał za wygraną. Nie ulegało wątpliwości, że niegdyś była to wspaniała posiadłość. Już sam podjazd świadczył, że właścicielom zależało na wyglądzie domu. Obok resztek schodów leżały potłuczone kamienne żardyniery, będąc swoistą pamiątką lepszych czasów, skarłowaciałe czerwone geranium wciąż zdawało się zapraszać do środka.

„Przecież nikt — rozmyślał Ben — a już na pewno nie ktoś tak dbający o dom, nie zapomniałby o potrzebie ciągłego dostępu do wody. Na pewno nie zdali się jedynie na tę starą studnię i zbiornik na deszczówkę.”

Obszedł dom dookoła, rozglądając się po okolicy, i już po chwili spostrzegł w dole, w odległości około pół mili, rząd wysokich drzew

365

PATRICIA SHAW

gumowych, dużo silniejszych niż inne widoczne w pobliżu rośliny. Kiedy wyteżył wzrok, zauważył też ptactwo nurkujące między listowiem.

Puścił się pędem, modląc się, by chociaż ten jeden jedyny raz okazało się, że ma rację.

Wbiegł pomiędzy wysokie drzewa, roztrącając na boki poszycie, pośliznął się i potoczył w ubraniu do wąskiego strumyka. Nie była to rzeka, w korycie pełno było karp i trzciny, lecz woda, podobnie jak drzewa wokół ruin domu, powoli odzyskiwała stracony teren.

Zadowolony Ben na przemian pił i pluskał się, następnie zdjął buty, wyrzucił je na brzeg i usiadł w samym środku strumienia. Nie wiedział, gdzie jest. Nie miał pojęcia. Na razie nie miało to znaczenia.

Właściciel farmy Fairmont nie był w nastroju do wysłuchiwanie narzekań Ruby, kiedy zobaczyła, że jest ranny. Usiadł na skrzyni w szopie na narzędzia i zdarł z siebie koszulę.

— Zamknij wreszcie jadaczkę! Przynieś wodę, eukaliptus i oczyść mi to.

Wykręcając głowę, by przyjrzeć się przyschniętej ranie, stwierdził, że nie jest zbyt głęboka. Nóż odbił się od kości, chociaż Buchanan początkowo myślał, że została zmiażdżona, tak potężne było uderzenie. Wciąż czuł przenikliwy ból, kiedy ruszył ręką. Gdyby nie ten przeklęty nóż, załatwiłby Beckmana i byłoby raz na zawsze po wszystkim. Za to teraz, gdyby mieszaniec złożył skargę na policji, Buchanan mógł dzięki ranie udowodnić, że został zaatakowany.

Siodło i wszystkie rzeczy czarnucha wrzucił do szybu nieczynnej kopalni, nie było więc obaw, że ktokolwiek je znajdzie. Uznał jednak, że na razie lepiej nie wspominać o zajściu. Nie miał ochoty odpowiadać na pytania kobiet, a już na pewno nie w obecności Phoebe Thurlwell. Szczerze wątpił, by jej narzeczony odważył się wrócić. Chyba dotarło do niego, jakie czekałoby go przyjęcie.

Ruby przyniosła wodę, przemyła ranę, polała ją olejkami eukaliptusowym i delikatnie osuszyła kawałkiem tkaniny.

— Co się stało, psze pana? — spytała zatroskana.

— Gałąź — odparł. — Pędziłem na osłep i wpadłem na ostrą gałąź. O mało nie spadłem z tego przeklętego konia.

Tylko pokiwała głową.

— Musi pan bardziej uważać. Nie jeździć na osłep.

— Bardzo głęboka? — spytał, żeby się upewnić.

366

OGNIE FORTUNY

— Nie, nie bardzo. A jak kości? Boli? — Syknął, kiedy jej zręczne palce badały ranę. — Nie, kości całe. Znowu leci krew, ale zaraz ją zatamuję.

Nie dziwił się, że po takim potraktowaniu rana na nowo zaczęła krwawić, lecz i tak zdecydowanie wolał stare doświadczone dłonie Ruby od jakiegoś konowała. Siedział bez słowa, podczas gdy ona bandażowała mu ramię tkaniną, którą trzymała w pudełku na medykamenty.

— Przynieś mi czystą koszulę.

Rana wciąż mu dokuczała, mimo to był z siebie bardzo zadowolony. Wyszedł z opresji niemal bez szwanku, a pochodzenie rany łatwo było wytłumaczyć. W buszu zdarzały się takie wypadki, przy których to, co przytrafiło się jemu, było dziecinną igraszką. A przecież udało mu się zażegnać niebezpieczeństwo. Był pewien, że Beckman zdaje sobie sprawę, że nie może iść na policję; fakt, że użył noża, obróciłby się przeciwko niemu. Nikt nie uwierzyłby jakiemuś mieszańcowi, zeznającemu przeciwko szanowanemu politykowi, który twierdzi, że bronił się przed napastnikiem, strzelając do jego konia.

Ruby pracowała u Buchananów jeszcze na północy, na farmie Caravale. Przyjechała do Fairmont razem z Benem i resztą jego dobytku. Patrzyła, jak wkłada świeżą koszulę, i kręciła głową.

— Och, panie Ben — szepnęła do siebie. — W co też się pan wpakował tym razem? Zawsze był z pana zły chłopak, już od dziecka. To nie żadna gałąź, to nóż!

Westchnęła i spakowała lekarstwa.

Szykując się do dalszej drogi, Ben Beckman doszedł do takich samych wniosków jak jego napastnik. Gdyby go oskarżono o to, że zaatakował jako pierwszy, znalazłby się w poważnych tarapatkach. Zresztą i tak nie miał zamiaru iść na policję. Uważał, że to prywatna sprawa i taką musi pozostać. Poza tym nie chciał wciągać w nią Phoebe. A przecież była ona jedynym wiarygodnym wytłumaczeniem jego wizyty w Fairmont.

Zastanawiał się, jaką też bajeczkę opowie domownikom Buchanan. Ten człowiek to szaleniec, to jedno nie ulegało wątpliwości. Strzegł Phoebe z bronią w ręku! Czy naprawdę była tak niewzruszona, że nie chciała go widzieć? Wciągając buty, pomyślał, że powinien natychmiast dać sobie spokój, wrócić do Brisbane i cierpliwie czekać na jej powrót. I puścić Buchananowi płazem to, że próbował go zabić?! Buchananowi, który być może knuje coś razem ze swoim starym

367

PATRICIA SHAW

przyjacielem Williamem Thurlwellem! Właśnie, to może być prawdziwy powód jego obecnych kłopotów. Znowu ten wszechmocny doktor Thurlwell!

Ponownie ogarnęła go dzika furia. Gdyby tylko miał konia, natychmiast by zawrócił i pojechał na tę farmę.

— Ale nie masz — rzekł na głos. — I będziesz szedł tak długo, aż w końcu dojdiesz do tego przeklętego miasta. Nawet gdyby miało to trwać miesiąc.

— Mówisz sam do siebie — rozległ się czyjś głos.

Ben odwrócił się gwałtownie i ujrzał uśmiechniętego od ucha do ucha Mandjalę.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — Skąd się tutaj wzięłeś?

— Śledziłem cię. Od dawna.

— Ale skąd wiedziałeś, że jestem w tych okolicach?

— Ludzie mówili. Ty o mnie pytałeś.

— Twierdzili, że cię nie znają.

Mandjala wzruszył ramionami i wskazał kciukiem przez ramię.

— Twój koń nie żyje. Zabił go biały człowiek?

— Tak. Zabiłby i mnie, gdybym się nie ukrył w buszu. Buszmen pokręcił głową.

— Nikt cię nie tropi. Gdzie idziesz?

— Do Charleville.

Mandjala wybuchnął gromkim śmiechem. Klepał się radośnie po biodrach i wskazywał palcem na Bena.

— Ty, głupek, się zgubiłeś. — Wskazał na północny wschód. — Wielkie miasto tam.

— Dajże już spokój — burknął Ben. — Jestem głodny. Masz jakieś zarcie?

To rozbawiło Mandjalę jeszcze bardziej. Jako że miał na sobie jedynie szeroki pas i, nowość, flanelową kamizelkę, było oczywiste, że nie ma ze sobą żadnych zapasów. Wciąż trzęsąc się ze śmiechu, dobył zza pasa krótki ostry bumerang, położył go na ziemi i kucnął na piasku nad samym brzegiem strumienia.

— Tutaj dużo jedzenia — stwierdził.

— Miło mi to słyszeć — odparował Ben. — Gdzie twoja włócznia?

— Biały człowiek bardzo zdenerwowany, kiedy widzi włócznia. Biały człowiek myśleć, że włócznia to wojna — parsknął Mandjala z goryczą. — Bardziej lepiej nie nosić włócznia. — Narysował na piasku duży łuk. — Od konia ty iść tak. Dookoła jak księżyc.

— To dlaczego nie dałeś wcześniej znaku życia?

368

OGNIE FORTUNY

Mandjala wyjaśnił, że ponieważ Bena łatwo było śledzić i nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, uznał, że „bardziej lepiej” będzie pójść za jego wrogiem, by mieć pewność, że nie wróci.

Ben słuchał zafascynowany. Żałował, że nie zdawał sobie sprawy, iż ma za plecami strażnika. Mandjala nie zauważony doszedł za Buchananem niemal pod sam próg jego domu.

Powiedział Benowi, że w drodze powrotnej koń niósł jakiś dodatkowy ładunek...

— Tak, moje siodło, uprząż i wszystkie rzeczy — wyjaśnił Ben, po czym usłyszał, że cały jego dobytek znalazł się na dnie starego szybu, kilka mil „w ta strona”, tu Mandjala poklepał się po lewej ręce, od drogi.

— Są jakieś szanse, żeby to wszystko wyciągnąć? — spytał Ben, lecz Mandjala pokręcił głową.

— Za bardzo daleko w dół.

„To i tak bez znaczenia” — pomyślał Ben. Siodło bez konia nie na wiele by mu się zdało, chociaż pieniądze zaoszczędziłyby mu w Char-leville sporo kłopotów. Cóż za arogant z tego Buchanana, skoro nie przyszło mu do głowy, że razem z piekielnie kosztownym siodłem wrzuca do szybu pieniądze!

— Ten człowiek, on mieszka na farmie — ostrzegł go Mandjala.

— Wiem. To szef.

Jego przyjaciół ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

— Ty lepiej uciekaj. Walczyć z szefem to straszne kłopoty. — Wsunął dłoń pod kamizelkę i wyjął nóż. — To twój?

— Tak! — Ben ucieszył się, że odzyskał chociaż jedną rzecz, tym bardziej że był to nóż Diamond. — Gdzie go znalazłeś?

— Na drodze. Ty go zraniłeś, tego szefa?

— Tak. Mandjala wstał.

— Rozpal ogień — polecił i zniknął za drzewami.

— Czym? — bezradnie spytał Ben, pozostawiony sam sobie. Nie miał nawet zapalek, te bowiem zostały w juku i razem z fajką oraz tytoniem spoczywały na dnie jakiegoś przekłętego szybu. Wiedział, że Mandjala do łez się uśmieje, kiedy po powrocie zastanie go sterczącego bezczynnie niczym spróchniała beużyteczna kłoda. Cóż jednak miał zrobić? Siedział i czekał, patrząc na ciemniejące niebo, wsłuchując się w burczenie w żołądku i rozmyślając o ostatnich wydarzeniach.

Mandjala doszedł za Buchananem prawie pod sam dom, nie zwracając niczyjej uwagi. Ben zastanawiał się, czy udałoby mu się

PATRICIA SHAW

podejść jeszcze bliżej. Nie chciał narażać przyjaciela na niebezpieczeństwo, lecz wiedział, że to piekielnie dobry tropiciel.

— Chociaż nie mnie to osądzać — przyznał. — Za mną mogłoby iść całe stado słoni, a ja i tak bym się nie zorientował.

Na wszystkich farmach pracowali czarni: pasterze, pokojówki, wyrobnicy, harując dla gospodarzy i ich rodzin za samo tylko utrzymanie. Może Mandjala mógłby przez kogoś z nich przekazać wiadomość dla Phoebe? Tak, żeby nie dowiedział się o tym nikt z białych? Lecz Ben nie miał nic do pisania, a ustne przekazanie takiej wiadomości przez czarnego służącego byłoby zbyt ryzykowne. A gdyby Phoebe nie spodobało się, że zaczepia ją jakiś czarny, i doniosła o tym Buchananom? Zapewne z miejsca zaczęłoby się wielkie śledztwo. Posiłek był bardzo obfity. Mandjala upiekł ignam oraz tłustego dzikiego indyka na ogniu, który wykrzesał za pomocą dwóch suchych patyków, podczas gdy Ben układał dookoła korę, żeby zapaliła się od iskier. Mandjala wyjaśnił, że to nie mogą być byle jakie patyki, że muszą pochodzić ze specjalnej odmiany eukaliptusa. „Żebym wiedział na przyszłość” — pomyślał Ben, chociaż nadal zdecydowanie wołał zapałki.

Mandjala spytał go, czy ma tytoń, i bardzo się zasmucił, usłyszawszy, że tytoń wylądował na dnie szybu. Dla niego był to prawdziwy skarb, znacznie cenniejszy niż pieniądze.

Ben z kolei zapytał o Djumbatego i dowiedział się, że młody człowiek znalazł sobie żonę i wraz z nią pojechał na północ, by zatrudnić się na farmie.

— Konno! — zakończył Djumbati pogardliwie.

— Nie dziw mu się — odparł Ben. — Młodzi ludzie muszą jakoś żyć.

Dla Mandjali wszakże była to zdrada.

Pomysł, by przesłać Phoebe wiadomość za pośrednictwem czarnych mieszkańców Fairmont, nadal tlił się w głowie Bena, aczkolwiek sprawą pierwszorzędnej wagi był teraz zakup konia oraz niezbędnego wyposażenia.

— Zaprowadzisz mnie jutro do Charleville? — poprosił Mandjalę.

— Bardziej lepiej ty wracaj do domu, co?

— Nie. Jeszcze nie.

Mandjala spojrział na niego porozumiewawczo.

— Ten szef, on zabrał twoją kobietę, co?

370

OGNIE FORTUNY

— Nie — odparł Ben zdumiony. — Ona jest gościem w jego domu.

Stary Aborygen pokiwał głową i uśmiechnął się, wpatrzony w ogień, jakby od początku domyślał się, że walka toczy się o kobietę.

Wyruszyli wczesnym świtem. Był zimny poranek, trawę pokrywała rosa. Początkowo Ben biegł naprawdę szybko, lecz już wkrótce został daleko za swym przewodnikiem, który zamiast drogą zmierzał w linii prostej do miasta. Przeszkody nie wadziły Mandjali.

Przeskakiwali płoty, mijali zdziwione bydło. W pewnym momencie podążyły za nimi trzy zaciekawione emu, którym najwyraźniej wydawało się, że to wyścig. Kiedy Ben odwrócił się w ich stronę, natychmiast uciekły.

Pokonywali porośnięte gęstym lasem wąwozy, potem długo się wspinali, aż wreszcie dotarli do szerokiej doliny.

W końcu Ben padł wycieńczony na ziemię.

— Daleko jeszcze? — wysapał.

— Dziesięć mil — oznajmił Mandjala już po raz trzeci, Ben wziął się więc w garść i ruszył w dalszą drogę, starając się dotrzymać mu kroku.

O zachodzie słońca Mandjala wprowadził go do opuszczonej ziemianki, prawdopodobnie używanej przez pasterzy. Był w niej jedynie drewniany stół, mimo to Ben ucieszył się ze schronienia. Bardzo brakowało mu namiotu. Był tak zmęczony, że nie miał nawet ochoty jeść, zwłaszcza że Mandjala upiekł tym razem jakiegoś tor-bacza, zdołał jednak wmusić w siebie kilka kęsów.

Mandjala wolał spać na dworze. Bena wzruszyło, że czarny przyjaciel zatroszczył się o nocleg specjalnie dla niego. Mogli przecież minąć tę ziemiankę, Ben na pewno by jej nie zauważył.

Rano przewodnik zaprowadził go na wzgórze i wskazał ciągnącą się w dole drogę, ledwo widoczną przez porastające ją krzaki.

— Tędy iść do wielkiego miasta.

— Dziesięć mil? — spytał Ben z uśmiechem, na co Mandjala pokiwał głową, bardzo z siebie zadowolony.

Okazało się, że do niewielkich farm na obrzeżach Charleville było niecałe pięć mil, tak więc już wkrótce Ben maszerował po głównej ulicy tej bezbarwnej miejsciny.

Na targu przekonał się, że rewery są wprawdzie chętnie przyjmowane, lecz wyłącznie od osób znanych sprzedawcy, a nie od zaniedbanych włóczęgów. Poszedł dalej, minął kilkanaście barów

371

PATRICIA SHAW

i w końcu dotarł do hotelu Shamrock, drewnianego budynku z niewielką werandą, wychodzącą prosto na ulicę. Po chwili odnalazł Mae Smith.

Okazała się wysoką szczupłą osobą o ogorzałej twarzy i siwych włosach upiętych w kok. Na sobie miała prostą czarną suknię i fartuch. „Nie da się nabrać byle komu” — pomyślał Ben widząc, jak podejrzliwie mu się przygląda, czym prędzej więc się przedstawił.

— Jest pan przyjacielem pana Glassona? — spytała. — Co u niego słysząc?

— Wszystko w porządku — odparł Ben, postanawiając nie wdawać się w szczegóły. — Ma teraz w Brisbane własną kancelarię.

— Czym mogę panu służyć? — spytała, zmuszając go, by od razu przeszedł do rzeczy.

— Mam pewien kłopot — zaczął. — Jestem właścicielem stajni w Brisbane, przyjechałem tu w interesach i...

— Chce pan powiedzieć, że jest pan splukany?

— Nie całkiem. Potrzebuję jedynie niewielkiej pożyczki. Mam z czego oddać.

— A gdzie jest pański koń? Widziałam, jak pan szedł. Nie ma pan nawet konia. Ani bagaży.

— Zgadza się. Mój koń padł. Musiałem wszystko zostawić i resztę drogi pokonać na piechotę.

— Gdzie to było? Gdzie padł pana koń?

To przesłuchanie irytowało go, mimo to starał się odpowiadać jak najuprzejmiej.

— Jakies dziesięć mil stąd, na drodze — skłamał, by nie przedłużać tych formalności.

— I zostawił pan pieniądze razem z koniem? — spytała z niedowierzaniem. — To dobre.

— Pani Smith — odparł cierpliwie. — Skończyły mi się pieniądze. Barnaby powiedział, że jak tu będę, mam panią odwiedzić. Pomyślałem, że mogłaby pani udzielić mi pożyczki.

Oddam z procentem. Zapewniam panią, że mam z czego.

Spojrzała przez ramię na stojącego za barem krzepkiego mężczyznę, najprawdopodobniej swojego męża, po czym pokręciła głową.

— Nie udzielamy pożyczek. Ale coś panu powiem. Niech pan idzie do banku. Jeżeli rzeczywiście ma pan z czego oddać, na pewno panu pomogą.

— A niby jak? — spytał. — Skoro pani nie chce mi pomóc, jakie szanse mam w banku?
372

OGNIE FORTUNY

Westchnęła i wzniosła wzrok ku niebu, najwyraźniej nie mogąc wyjść z podziwu dla jego tępoty.

— Nie jesteśmy aż tak zacofani, jak się panu wydaje. Niech pan idzie do banku i zapyta o Setha Collinsa. Jest dyrektorem banku i kasjerem w jednej osobie. Przedstawi mu się pan, a on zatelegrafuje do Brisbane i sprawdzi, czy mówi pan prawdę.

Ben od razu odzyskał humor.

— Pani Smith, jest pani prawdziwym skarbem. Że też od razu nie przyszło mi to do głowy.

— Przykro mi — rzekła nieco łagodniej — ale proszę zrozumieć naszą sytuację. Zjawia się tutaj wielu kanciarzy i oszustów, którzy spłukali się na polach złotonośnych. Był pan kiedyś w Sailor's Drift?

— Tak — odparł, po czym poszedł na drugą stronę ulicy, do banku. Zamierzał poprosić, by wysłali depeszę do Barnaby'ego, lecz z wyblakłego napisu nad wejściem dowiedział się, że ta wielka szopa to oddział First National Bank, tak więc Collins mógł się skontaktować bezpośrednio z jego bankiem.

Jednakże Collins nie od razu dał się przekonać do takiego posunięcia.

— Kto zapłaci za tę depeszę? — spytał.

— Ja. Jak tylko przyjdzie odpowiedź.

— A jeżeli się okaże, że nigdy o panu nie słyszeli? Kto wtedy zapłaci?

Ben nalegał, błagał, aż w końcu stracił cierpliwość.

— Do diabła, niech pan wreszcie wyśle tę przeklętą depeszę! Niech pan napisze, że potrzebuję stu funtów. Albo dwustu! Mam rachunek w centrali pańskiego banku i jestem wiarygodnym klientem. Jeżeli pan tego nie robi, obiecuję, że jak tylko wrócę do Brisbane, postaram się, żeby pan stracił tę pracę!

— Dwieście funtów to kupa pieniędzy. Nie wypłacą takiej sumy komuś takiemu jak pan. Ben uprzytomnił sobie nagle, że nie chodzi jedynie o to, że mógłby się okazać oszustem, lecz przede wszystkim o kolor jego skóry.

— Podobno jest pan dyrektorem tego banku — warknął. — Niech więc się pan zachowuje jak dyrektor. To nie pańska sprawa, ile pieniędzy chcę wypłacić.

Zaprowadził Collinsa do urzędu telegraficznego i stał mu nad głową, dopóki ten nie napisał depeszy i nie dał do wysłania.

— Odpowiedź będzie dopiero jutro — oznajmił telegrafista. — O pierwszej zamykam. Mam jeszcze inną pracę.

373

PATRICIA SHAW

— Co to za praca? — spytał Ben.

— Jest naczelnikiem poczty — wyjaśnił Collins. — Otwiera urząd zaraz po lunchu.

Okazało się, że godziny pracy związane są z porą przyjazdu pociągu. Idąc do hotelu, Ben powtarzał sobie, że powinien wracać do domu. Odebrać pieniądze, wynająć konia, pojechać do Mandjali, który czekał w ziemiance, porozmawiać z nim, a potem wrócić do Charleville i wsiąść do pierwszego pociągu do Brisbane. Nigdy dotąd nie podróżował koleją, a to pewnie nie lada przyjemność.

Wówczas jednak przyznałby, że znów został pokonany. I o mało nie stracił życia.

— Nic z tego — mruknął. — Zostaniesz tutaj i dowiesz się, o co w tym wszystkim chodzi. Na wieść, że bank podjął kroki, zmierzające do wypłacenia Benowi gotówki, Bellamy Smith pozwolił żonie, by wynajęła mu pokój wraz z wyżywieniem.

— Dam panu pokój w domku za hotelem. Nie jest może taki elegancki jak hotel Royal, bo tamten jest przecież zupełnie nowy, ale mamy tutaj czysto.

— To prawda — dodał dumnie jej mąż. — Moja żona to najlepsza gospośnia w całym mieście. Napije się pan piwa, panie Beckman?

— Chętnie. Sobie proszę też nalać i doliczyć do mojego rachunku.

— W porządku.

Mae rzeczywiście świetnie gotowała. Obiad podała na długim stole w kuchni, który lśnił, starannie wyszorowany; oprócz Bena i Bel-lamy'ego Smitha zasiadło przy nim jeszcze trzech innych mężczyzn. Nad szerokim piecem wisiały garnki, kredens pełen był masywnej porcelany.

Mężczyźni zjedli po dużym talerzu gęstej grochówki, następnie pochłonęli po wielkiej porcji pieczonej wieprzowiny z gorącymi warzywami, a na koniec po kilka pająd świeżego chleba z masłem i dżemem. Rozmawiali głównie o koniach, dowiedziawszy się, że nowo przybyły to właściciel stajni.

Po spacerze po mieście Ben usiadł w kącie i zaczął przeglądać stare gazety, których sterta leżała na stole. Tuż przed zamknięciem, kiedy Mae zabrała się za szorowanie kontuaru i mycie szkła, Bellamy przyniósł dwa kufle piwa i usiadł obok Bena.

— To, że jest pan chwilowo splukany, nie znaczy, że musi pan od razu zapisać się do klubu abstynentów — rzekł. — Teraz ja stawiam. Pech z tym pana koniem, no nie?

374

OGNIE FORTUNY

— Tak. — Ben nie miał ochoty zagłębiać się w ten temat. Jednakże Bellamy, skończywszy pracę, stał się bardzo rozmowny.

— Jak to się stało, że facet taki jak pan dorobił się własnej stajni? Należała do pana ojca?

— Nie. Dostałem w spadku po babce trochę pieniędzy. Miałem szczęście.

— Pewnie, że tak. Interes dobrze prosperuje?

— Tak. Prowadzę też siodlarnię.

— Dobry pomysł. Nam tutaj też by się przydała. Teraz, żeby kupić dobre siodło, trzeba jechać aż do Romy. Nazywa się pan Beckman? Ojciec był Niemcem? To dobrzy farmerzy. Spotkałem ich wielu w okolicach Toowoombi.

— Nie. Beckmanowie adoptowali moją mamę. — Nikt jeszcze nie pyta! o to Bena tak bezpośrednio. Spojrzał na różową twarz Bellamy'ego i jego niebieskie łagodne oczy i doszedł do wniosku, że szuka on po prostu tematu do rozmowy. Nie musi go okłamywać. Jak na jeden dzień nakłamał już wystarczająco dużo i miał po prostu dość.

— Nie mam pojęcia, kto jest moim ojcem — wzruszył ramionami

— i wcale mnie to nie obchodzi. Moja matka była Aborygenką. Nie żyje. Była dla mnie bardzo dobra.

— To od razu widać. Jest pan nieźle wykształcony. — Bellamy zapalił fajkę i rozsiadł się wygodnie. Spozbrzegłszy spojrzenie Bena, nagle się zreflektował. — Przepraszam, może ma pan ochotę zapalić?

— Jeżeli zgodzi się pan dopisać mi to do rachunku — roześmiał się Ben. — Oddałbym ramię za odrobinę tytoniu.

— Chryste! Trzeba było od razu powiedzieć. Mamy tu kilka dobrych fajek. Hej, Mae! — zawołał. — Przynieś panu Benowi fajkę. I jeszcze dwa piwa.

— Teraz moja kolej — upomniał go Ben, na co Bellamy skinął głową.

Ben uśmiechnął się w duchu. Bellamy Smith nie był głupcem. Dobrze mu się rozmawiało, lecz przez cały czas pamiętał, że interesy to interesy.

— A więc kim była pańska mama? Pochodziła z Brisbane? — spytał Bellamy. — Lubię dużo wiedzieć o ludziach, skąd pochodzą i jak żyją. Wie pan, że w zeszłym tygodniu mieliśmy tutaj paru facetów z Finlandii? Wyobraża pan sobie? Było mi naprawdę żal, kiedy wyjeżdżali.

— Mama pochodziła z plemienia Irukandji, żyjącego daleko na północy. W okolicach Cooktown.

PATRICIA SHAW

— Co to za praca? — spytał Ben.

— Jest naczelnikiem poczty — wyjaśnił Collins. — Otwiera urząd zaraz po lunchu.

Okazało się, że godziny pracy związane są z porą przyjazdu pociągu. Idąc do hotelu, Ben powtarzał sobie, że powinien wracać do domu. Odebrać pieniądze, wynająć konia, pojechać do Mandjali, który czekał w ziemiance, porozmawiać z nim, a potem wrócić do Charleville i wsiąść do pierwszego pociągu do Brisbane. Nigdy dotąd nie podróżował koleją, a to pewnie nie lada przyjemność.

Wówczas jednak przyznałby, że znów został pokonany. I o mało nie stracił życia.

— Nic z tego — mruknął. — Zostaniesz tutaj i dowiesz się, o co w tym wszystkim chodzi.

Na wieść, że bank podjął kroki, zmierzające do wypłacenia Benowi gotówki, Bellamy Smith pozwolił żonie, by wynajęła mu pokój wraz z wyżywieniem.

— Dam panu pokój w domku za hotelem. Nie jest może taki elegancki jak hotel Royal, bo tamten jest przecież zupełnie nowy, ale mamy tutaj czysto.

— To prawda — dodał dumnie jej mąż. — Moja żona to najlepsza gosposia w całym mieście. Napije się pan piwa, panie Beckman?

— Chętnie. Sobie proszę też nalać i doliczyć do mojego rachunku.

— W porządku.

Mae rzeczywiście świetnie gotowała. Obiad podała na długim stole w kuchni, który lśnił, starannie wyszorowany; oprócz Bena i Bel-lamy'ego Smitha zasiadło przy nim jeszcze trzech innych mężczyzn. Nad szerokim piecem wisiały garnki, kredens pełen był masywnej porcelany.

Mężczyźni zjedli po dużym talerzu gęstej grochówki, następnie pochłonęli po wielkiej porcji pieczonej wieprzowiny z gorącymi warzywami, a na koniec po kilka pająd świeżego chleba z masłem i dżemem. Rozmawiali głównie o koniach, dowiedziawszy się, że nowo przybyły to właściciel stajni.

Po spacerze po mieście Ben usiadł w kącie i zaczął przeglądać stare gazety, których sterta leżała na stole. Tuż przed zamknięciem, kiedy Mae zabrała się za szorowanie kontuaru i mycie szkła, Bellamy przyniósł dwa kufle piwa i usiadł obok Bena.

— To, że jest pan chwilowo spłukany, nie znaczy, że musi pan od razu zapisać się do klubu abstynentów — rzekł. — Teraz ja stawiam. Pech z tym pana koniem, no nie?

374

OGNIE FORTUNY

— Tak. — Ben nie miał ochoty zagłębiać się w ten temat. Jednakże Bellamy, skończywszy pracę, stał się bardzo rozmowny.

— Jak to się stało, że facet taki jak pan dorobił się własnej stajni? Należała do pana ojca?

— Nie. Dostałem w spadku po babce trochę pieniędzy. Miałem szczęście.

— Pewnie, że tak. Interes dobrze prosperuje?

— Tak. Prowadzę też siodlarnię.

— Dobry pomysł. Nam tutaj też by się przydała. Teraz, żeby kupić dobre siodło, trzeba jechać aż do Romy. Nazywa się pan Beckman? Ojciec był Niemcem? To dobrzy farmerzy. Spotkałem ich wielu w okolicach Toowoombi.

— Nie. Beckmanowie adoptowali moją mamę. — Nikt jeszcze nie pytał o to Bena tak bezpośrednio. Spojrzał na różową twarz Bel-lamy'ego i jego niebieskie łagodne oczy i doszedł do wniosku, że szuka on po prostu tematu do rozmowy. Nie musi go okłamywać. Jak na jeden dzień nakłamał już wystarczająco dużo i miał po prostu dość.

— Nie mam pojęcia, kto jest moim ojcem — wzruszył ramionami

— i wcale mnie to nie obchodzi. Moja matka była Aborygenką. Nie żyje. Była dla mnie bardzo dobra.

— To od razu widać. Jest pan niezłe wykształcony. — Bellamy zapalił fajkę i rozsiadł się wygodnie. Spozrzegłszy spojrzenie Bena, nagle się zreflektował. — Przepraszam, może ma pan ochotę zapalić?

— Jeżeli zgodzi się pan dopisać mi to do rachunku — roześmiał się Ben. — Oddałbym ramię za odrobinę tytoniu.

— Chryste! Trzeba było od razu powiedzieć. Mamy tu kilka dobrych fajek. Hej, Mae! — zawołał. — Przynieś panu Benowi fajkę. I jeszcze dwa piwa.

— Teraz moja kolej — upomniał go Ben, na co Bellamy skinął głową.

Ben uśmiechnął się w duchu. Bellamy Smith nie był głupcem. Dobrze mu się rozmawiało, lecz przez cały czas pamiętał, że interesy to interesy.

— A więc kim była pańska mama? Pochodziła z Brisbane? — spytał Bellamy. — Lubię dużo wiedzieć o ludziach, skąd pochodzą i jak żyją. Wie pan, że w zeszłym tygodniu mieliśmy tutaj paru facetów z Finlandii? Wyobraża pan sobie? Było mi naprawdę żal, kiedy wyjeżdżali.

— Mama pochodziła z plemienia Irukandji, żyjącego daleko na północy. W okolicach Cooktown.

375

PATRICIA SHAW

— Irukandji, tak? Słyszałem o nich od poszukiwaczy złota nad rzeką Palmer.

— Słyszał pan o tym plemienu? — Ben był zaskoczony. Po raz pierwszy zdarzyło mu się spotkać człowieka, który w ogóle znał to słowo.

— Pewnie, że tak. Niech pan o nich spyta kogośkolwiek ze starych kopaczy. To było silne plemię i bardzo wytrwałe. Palmer było ich terytorium i biada temu, kto na nie wszedł. Jeden Bóg raczy wiedzieć, ilu poszukiwaczy złota zabili. Białych i skośnookich. Dlatego właśnie okolice rzeki Palmer uważano za takie zdradliwe. Złota rzeczywiście było tam co niemiara, ale żeby się do niego dostać, trzeba było przejechać w pobliżu ich koczowiska. Już sama podróż przez dżunglę była wystarczająco wyczerpująca, ludzie nie mieli jeszcze ochoty uciekać przed włóczykami Aborygenów.

Bellamy miał w zapasie sporo opowieści o poszukiwaczach złota, głównie o morderstwach i chaosie na szlaku do Palmer, a także o fortunach zbitych przez największych szczęśliwców. Ben słuchał z zapartym tchem.

— Mama nie opowiadała panu o Palmer?

— Niewiele — odparł Ben. — Byłem wtedy dzieckiem i bardziej interesowali mnie marynarze. Marzyłem o tym, by zostać kapitanem statku.

— No cóż. Takie już są dzieci. Ja na przykład chciałem być policjantem. Nawet przez pewien czas byłem, ale szybko zrezygnowałem. Uganianie się po buszu za złoczyńcami to robota głupiego. Równie dobrze można szukać igły w stogu siana. Albo wyganiać, przepraszam za wyrażenie, czarnych z ich ziem. Tych Irukandji właściwie już nie ma, słyszałem, że bardzo się rozproszyli. Większa liczebność białych, no i przede wszystkim broń palna w końcu ich pokonały.

— Tak. Słyszałem o tym.

— A w jaki sposób pana mama trafiła do Brisbane? Szukała schronienia?

— Nie jestem pewien. Mało wiem na ten temat — odrzekł Ben. Bellamy Smith rozbudził w nim zainteresowanie tymi starymi opowieściami; postanowił, że zaraz po powrocie do Brisbane dokładnie przejrzy pudło Diamond, w którym dotychczas zaciekał go jedynie nóż. W pokoju znajdowała się również spora skrzynia, zawierająca napisane po niemiecku dzienniki okrętowe Kapitana. Ben musi dać je do przetłumaczenia.

376

OGNIE FORTUNY

— Powinien pan wiedzieć, jak to było — mówił Bellamy. — Pańskie dzieci, a potem wnuki na pewno będą pytać. Mój dziadek był skazańcem! — roześmiał się. — Mae nie lubi, kiedy o

tym opowiadam, ona sama przyjechała z Anglii jako wolna osoba. Była służącą. Świetnie sobie radziła i zawsze miała dobrą pracę, dlatego że była wykształcona. Ben, który czuł, że znajduje się w defensywie, z chęcią zauważył, że jego matka również była wykształcona. Dzięki swoim przybranym rodzicom.

— Wiem, że przez pewien czas pracowała w Charters Towers — dodał.

— Mae też — odparł Bellamy. — Była tam gosposią na dużej farmie. Hej, Mae! — zawołał.

— Może znałaś w Charters Towers czarną dziewczynę, niejaką panią Beckman? Czy może raczej — poprawił się z lekko drwiącym uśmiechem — pannę Beckman?

— Niech no pomyślę — odrzekła Mae, dosiadając się do nich ze szklaneczką sherry.

— Mae znała tam chyba wszystkich — stwierdził Bellamy — a do tego ma świetną pamięć do twarzy. Dlatego początkowo panu nie ufała. Wydawało jej się, że skądś pana zna. Musi pan zrozumieć, że oszuści, którzy tutaj krążą, to nie są byle robotnicy. Potrafią zagadać człowieka na śmierć. Z pana też jest niezły mówca, woleliśmy więc mieć się na baczności. Zbyt wiele razy daliśmy się naciągnąć.

— Nie pamiętam nikogo o nazwisku Beckman — przyznała w końcu Mae. Już miała dodać, że czarne dziewczyny nigdy nie miały nazwisk, lecz bała się, że gość poczuje się urażony.

Bellamy, który był znawcą ludzkich charakterów, szybko poczuł sympatię do pana Beckmana. Mae wiedziała o tym, gdyż słyszała fragmenty ich rozmowy.

— Proszę mi powiedzieć — odezwał się Ben — czy znacie państwo niejakiego Buchanana? Jest parlamentarzystą i ma niedaleko stąd farmę.

— Pewnie, że znamy — odrzekł Bellamy.

Małe zielone oczy Mae jeszcze się zwięziły. Zdjęła fartuch i położyła go sobie na kolanach.

— Czy pan Glasson mówił panu o nim?

— Coś wspominał. Zdaje się, że ich poglądy polityczne bardzo się różnią — odparł Ben niedbale.

— Zepsuł panu Glassonowi spotkanie, ot co! — stwierdziła z oburzeniem. — A dlaczego pan pyta? Też zajmuje się pan polityką?

377

PATRICIA SHAW

— Nie. To działka Barnaby'ego. Mieszkamy razem. On zajmuje się polityką, a ja końmi i samochodami. Nie wchodzimy sobie w drogę.

Bellamy szybko podchwycił nowy temat.

— Zna się pan na samochodach? — zapytał z entuzjazmem.

— Widział pan kiedyś taki pojazd?

— Chwileczkę — przerwała mu Mae. — Rozmawialiśmy o panu Buchananie. Czy to pański przyjaciel?

— Nie powiedziałbym — odparł Ben obojętnie. — Prawdę mówiąc nie sędzę, żeby pan Buchanan czuł do mnie choć odrobinę sympatii.

— Dlaczego? — nie ustępowała.

— Tacy jak on nie potrzebują powodu — wtrącił Bellamy.

— Niech pan uważa, Ben. Ten człowiek jest tutaj bogiem.

— Zawsze jest jakiś powód — syknęła i zwróciła się do Bena.

— Kiedy się pan tutaj zjawił, od razu zwróciłam uwagę na pańskie ubranie. Ma pan porządne ciuchy i szykowne buty do konnej jazdy. To nie są buty przeznaczone do długiego marszu.

Pan tymczasem przeszedł w nich znacznie więcej niż dziesięć mil, bo są całkiem zniszczone. Ile mil pan właściwie przeszedł?

Bellamy był wyraźnie zaniepokojony.

— Daj spokój, Mae, to nie nasza sprawa. Mae patrzyła na Bena.

— Skąd pan przyszedł i co tak naprawdę stało się z pańskim koniem?

— Z daleka — przyznał Ben. — A mojego konia zastrzelił Buchanan.

— O Jezu! — wykrztusił Bellamy. — Nie wiem, co pan zamierza, ale niech pan nie idzie na policję. Nie lubią tutaj kolorowych.

— Podeszedł do baru i wyjął spod kontuaru butelkę whisky. — Mam ochotę się napić. — Nalał sobie szklaneczkę whisky, nie chcąc brać udziału w tej rozmowie.

— Strzelał do konia czy do pana? — dopytywała się Mae.

— Do mnie — odparł Ben i wzruszył ramionami.

— Dlaczego?

— Nie jestem pewien, ale się dowiem. Nie muszą się państwo obawiać. Nie pójde na policję. Wiem, że to by nic nie dało. Chciałem odwiedzić znajomą, która jest u nich gościem, ale Buchanan przywitał mnie ze strzelbą w dłoni. I to wszystko. Nie wracam tam po to, żeby szukać guza, po prostu chcę się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

378

OGNIE FORTUNY

— Coś panu powiem — odezwał się Bellamy z drugiego końca baru. — Skoro nie życzy sobie pańskiej obecności na swoim terenie, niech pan się lepiej tam nie pokazuje. Dobrze?

— Dobrze. Proszę doliczyć whisky do mojego rachunku. Przepraszam państwa, ale to był dla mnie bardzo długi dzień. Dobranoc.

Kładąc się do łóżka, Mae wciąż starała się to wszystko rozwikłać. Nienawidziła Buchanana. Kiedy umarła jego matka, sprzedał Caravale i zostawił Mae daleko na północy całkiem samą, na łasce losu, mimo że przez tyle lat pracowała dla jego rodziny. Nie podziękował jej nawet słowem i nie dał żadnych referencji, chociaż prosiła o nie kilka razy. Co gorsza, kiedy porównała otrzymane wypłaty z tym, co naprawdę jej się należało, okazało się, że dostała o dwadzieścia funtów za mało.

— Wszystko się zgadza — stwierdził Buchanan. — Nie ma żadnego błędu.

Mae, która zawsze starannie notowała, zrobiła zestawienie i udowodniła mu, że to ona ma rację, lecz i tak nigdy nie dostała swoich dwudziestu funtów. Do dziś nie mogła mu tego wybaczyć.

— Za moich czasów nie było w Charters Towers żadnych wykształconych czarnych dziewcząt — odezwała się do Bellamy'ego.

— No cóż, może chłopak trochę koloryzuje.

— Z wyjątkiej jednej — dodała Mae. — Wspomniałam o niej panu Glassonowi. Może właśnie dlatego przysłał do nas Beckmana. Przyjechała do Caravale z jakąś kobietą jako jej służącą. Było z niej takie ni to, ni owo. Ze względu na kolor skóry pani nie pozwoliła jej zamieszkać w domu, ale dziewczyna była zbyt dobrze ubrana i wykształcona na to, by mieszkać razem z innymi czarnymi. Nie wiedziałam, co z nią zrobić, i w końcu wstawiłam jej łóżko do starej mleczarni. Żyło jej się tam całkiem wygodnie. Nie wiem, jak miała na nazwisko, zresztą nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać. Mówili na nią Diamond.

— Dlaczego nie powiedziałaś o niej Beckmanowi? To mogła być jego matka.

— Dlatego że Diamond miała romans z Buchananiem. Zawsze pociągały go czarne dziewczyny, a Diamond była naprawdę piękna. Romans trwał oczywiście tylko do czasu, aż mu się znudziła. Potem kazał jej wynosić się z farmy.

— Mów dalej! — prosił Bellamy coraz bardziej zainteresowany.

— Ale jej nie docenił. Diamond była dumną i bardzo zapalczywą dziewczyną, skończyło się więc straszną awanturą. W końcu czarni wywieźli ją z farmy, bo obawiali się o jej bezpieczeństwo. Biedna dziewczyna, ona go naprawdę kochała. Wkrótce potem farma popadła

379

PATRICIA SHAW

w kłopoty, Buchanan wyruszył więc do Palmer na poszukiwanie złota, ale dorobił się jedynie malarii.

— Tak — stwierdził Bellamy. — Taki los spotkał wielu kopaczy. Mae westchnęła.

— Tylko że ona niczego się nie nauczyła. Buchanan był tak chory, że zawieziono go do Cooktown, a tam podobno opiekowała się nim Diamond. Widziano ich razem. Dzięki jej opiece Buchanan wrócił do zdrowia.

— Ale co ona tam robiła?

— Prawdopodobnie szukała swojego plemienia, rodziny. Zawsze wypytywała o miejscowych czarnych. Palmer to ziemie, które należały do Irukandji. Pewnie dlatego tam była. Szukała ich i znalazła. Przykro mi, że już nie żyje, ale cieszę się, że przynajmniej udało się jej odnaleźć bliskich.

Bellamy aż zagwizdał.

— No tak, ona nie musiała się obawiać Aborygenów. Mogła chodzić i jeździć, gdzie tylko zechciała. Ciekawe, czy znalazła złoto.

— Nawet jeśli tak, Buchananowi go nie dała. — Mae uśmiechnęła się z satysfakcją. — Ale mnie bardziej interesuje co innego. Czas się zgadza. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że nasz młody gość to jego syn.

— Czyj syn?

— Buchanana. Przecież ma nawet na imię Ben.

— Sądzisz, że to właśnie dlatego Buchanan przepędził go ze swojej farmy?

— Niewykluczone. Wiem, że to podły człowiek i że na pewno nie strzelałby do konia.

— No cóż, Mae, musimy trzymać się od tego z daleka. Będzie chyba najlepiej, jeśli nie będziesz już z nim o tym rozmawiać.

— Oczywiście, masz całkowitą rację — zgodziła się, wchodząc pod kołdrę i uśmiechając się do siebie.

Rano zaniósła Benowi filiżankę herbaty.

— Wie pan, zastanawiałam się nad tym — rzekła. — Wprawdzie nie znałam w Charters Towers żadnej kobiety o nazwisku Beckman ani nikogo, kto by odpowiadał opisowi pana matki, ale kiedy byłam gosposią na farmie Caravale, pracowała tam pewna dziewczyna. Miała na imię Diamond.

Ben o mało nie przewrócił kubka z herbatą.

— Diamond? Tak! To właśnie imię mojej mamy. Znała ją pani? To wspaniale!

380

OGNIE FORTUNY

— Mieszkała tam tylko przez krótki czas — wyjaśniła Mae. — Była bardzo miłą i dobrą dziewczyną, ale okazała się trochę zbyt łatwowierna na to towarzystwo.

— Czemu?

Mae zamknęła drzwi.

— Musi mi pan obiecać, że nie wspomni pan o tym mojemu mężowi. Mamy tu dużo konkurencji, w mieście jest dwadzieścia hoteli, nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebne kłopoty.

— Obiecuję.

— Ben Buchanan i Diamond byli kochankami. Ben zaczerwienił się, zdumiony i zaskoczony.

— Jest pani tego pewna?

— Tak. To był duży skandal. Diamond nigdy panu o tym nie wspominała?

— Nie.

— W takim razie ja również nie. Niech pan pije herbatę. To wszystko przeszłość, a na Buchanana szkoda tracić czas. Bellamy ma rację, powinien pan wracać do domu. Kiedy wyszła, Ben siedział oniemiały, oszołomiony i skonfundowany. O tyle rzeczy chciałby zapytać Mae, lecz nie śmiał. W głębi duszy jednak wiedział, że w tej historii jest wiele szczegółów, których Mae nie zechce mu zdradzić, zaczynało mu też świtać, kim w rzeczywistości może być Buchanan. Nie była to przyjemna myśl.

Przypomniał sobie tamtego policjanta w Mitchell, który twierdził, że ma doskonałą pamięć do twarzy i że jest pewien, że kiedyś już go widział. Czy widział go w osobie Bena Buchanana, człowieka dobrze znanego w tamtych okolicach? Ben zerwał się z łóżka i stanął przed niewielkim lustrem, zawieszonym nad miednicą do mycia.

— Nie! — rzekł gniewnym tonem. — Nie!

Nie chciał przyznać, że dostrzega jakiegokolwiek podobieństwo pomiędzy sobą a człowiekiem, który usiłował go zabić.

W myślach Phoebe zawsze nazywała go „Buchanan”, nigdy inaczej. W odniesieniu do niego nie używała imienia, tak różnił się od Bena, którego kochała, miłego, troskliwego i obdarzonego cudownym poczuciem humoru, czyli dokładnego przeciwieństwa gburowatego Buchanana.

Przez ostatni tydzień, od czasu wypadku Buchanana był nie do zniesienia. Miała wrażenie, że mieszka z bożkiem, który zahaczył o drzewo i zranił się w ramię, a teraz zachowuje się tak, jakby

381

PATRICIA SHAW

odpowiedzialność za to ponosili wszyscy mieszkańcy jego domostwa. Phoebe przypuszczała, że ponieważ przebywa na farmie już od pewnego czasu, z gościa zmieniła się w domownika i dlatego Buchanan przestał kryć przed nią swoje humory. Zastanawiała się, czy to tylko złudzenie, że od pewnego czasu jej obecność bardzo go drażni. Nie mogła nie zauważyć, że ostatnio prawie się do niej nie odzywa, a kiedy przechodzi obok niej w domu albo na dworze, zupełnie ją ignoruje.

Być może jednak był po prostu zamyślony i jej nie zauważył. Było to całkiem prawdopodobne wyjaśnienie, aczkolwiek i tak wrażenie pozostawało bardzo nieprzyjemne. Phoebe zaczynała marzyć o powrocie do Brisbane. Ojciec przysłał jej bezsensowny list, w którym wyraził nadzieję, że ma cudowne wakacje, i poinformował, że w domu wszystko w porządku, a ona może zostać w Fairmont tak długo, jak tylko zechce. Na dole dopisał jeszcze, że matka przesyła ucałowania. Od nikogo innego poza tym nie miała wiadomości. Wyglądało na to, że teraz, kiedy pełni rolę pomocnicy Clary i chodzi w koszulach, spodniach i butach jeździeckich, świat całkiem o niej zapomniał.

Nie była oczywiście w stanie dotrzymać kroku Clarze, która umiejętnościami jeździeckimi dorównywała najlepszym. Phoebe często obserwowała z przerażeniem, jak Clara w pogoni za bydlęm wjeżdża dzikim galopem pomiędzy drzewa, a jej koń zręcznie omija wszelkie przeszkody. Bydło pętała z taką samą wprawą.

„Nic dziwnego, że kocha to miejsce — rozmyślała Phoebe. — To musi być cudowne uczucie, być w czymś tak dobrą. Ależ jej zazdroszczę!”

Tego dnia, kiedy wracały do domu na lunch, Phoebe pogratulowała Clarze.

— Nigdy nie przypuszczałam, że tak świetnie jeździsz konno. W Brisbane musiałaś się ze mną strasznie nudzić.

— To była całkiem przyjemna odmiana — roześmiała się Clara.

— W jaki sposób się tego nauczyłaś?

— W buszu wsiada się na konia już we wczesnym dzieciństwie, musisz też wiedzieć, że nie raz spadałam. Bardzo ważne jest, żeby koń orientował się, co robi, bo w przeciwnym razie skończy się katastrofą. Nigdy ich nie przemęczam, więc nie popełniają błędów.

— Czy dlatego zmieniasz konia w porze lunchu?

— Czasami robię to nawet częściej, zależy, czym się akurat zajmuję. Na wybiegu zawsze jest mnóstwo gotowych do jazdy koni dla pracowników i staram się pilnować, by z nich korzystali. Ben także. Okropnie się irytuje, kiedy przemęczają konie.

382

OGNIE FORTUNY

Phoebe westchnęła. Skoro potrafił się wściec z powodu najmniejszego drobiazgu, wyobrażała sobie jego gniew spowodowany czymś naprawdę poważnym.

— Chciałbym jeździć tak dobrze jak ty — rzekła.

— Tego człowiek uczy się latami — odparła Clara. — Podobnie jak zwyczajów bydła i rozpoznawania, które sztuki są chytre, a które po prostu tępe. Nie zostaje się wytrawnym jeźdźcem w ciągu paru tygodni.

— Nie o to mi chodzi. Po prostu chciałabym być w czymś tak dobra jak ty. A nie jestem. W niczym. Zupełnie w niczym. Nie umiem nawet gotować ani szyć.

— Zawsze się możesz nauczyć.

— Cały kłopot w tym, że nie bardzo mi się chce.

— W takim razie dziękuj Bogu za służących — uśmiechnęła się Clara.

— Doszłam do wniosku, że muszę być okropnie nudną osobą — stwierdziła Phoebe ze smutkiem.

— To nieprawda. Jesteś ambitna i lubisz wygrywać.

— Mówisz tak, bo nigdy nie widziałaś, jak gram w tenisa.

— Widocznie dotąd nie znalazłaś niczego, co zainteresowałoby cię na tyle, żeby chciało ci się wysilić. Jeśli chcesz być w czymś dobra, musi ci na tym naprawdę zależeć.

— Dobra? Ale w czym?

— To już zależy od ciebie. Większości kobiet wystarcza, że są dobrymi żonami. Upatrzyłaś już sobie jakiegoś kandydata na męża?

Phoebe udała, że nie słyszy. Pochyliła się, żeby otworzyć bramę, później ją zamknęła, podczas gdy Clara ruszyła w stronę stajni.

Po lunchu Ben gdzieś zniknął, Clara wróciła do pracy, a Phoebe została w domu, sprzątnęła ze stołu i przez jakiś czas grała z Belle w domino. Po południu nigdy nie wychodziła na dwór. Chociaż jazda konna nie męczyła jej aż tak bardzo jak na początku, około południa zwykle miała już dosyć. Nie była w stanie siedzieć na koniu przez cały dzień.

Trzymając się swojego rozkładu dnia, o trzeciej Belle poszła się zdrzemnąć. Phoebe przez chwilę przeglądała zawartość dużej biblioteczki i w końcu wybrała „Opactwo Northanger”, które czytała w szkole i uznała za nudne. Być może jednak gust jej się zmienił? Wyszła z książką na werandę, by usiąść na leżaku i pograć się w lekturze, a kiedy go zauważyła, było już za późno. Była przekonana, że

383

PATRICIA SHAW

Buchanan robi coś na farmie, tymczasem siedział na werandzie i czytał gazetę.

— Och! — odezwała się, zajmując leżak obok niego. — Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam. Często siaduję tu sobie po południu i czytam. Clara jest tak zapracowana, że nie mogę za nią nadażyć. — W obawie, że Buchanan może uznać tę uwagę za przytyk, że on sobie odpoczywa, podczas gdy jego żona ciężko pracuje, Phoebe próbowała jakoś się wycofać. — To znaczy — wyjąkała, szukając właściwych słów — chodzi mi o to, że Clara bardzo interesuje się wszystkim, co dotyczy farmy...

— Tak. Byłbym natomiast wdzięczny, gdybyś ty interesowała się nieco mniej.

Phoebe poczuła, że się czerwieni.

— Przepraszam, panie Buchanan. Nie wiedziałam, że to panu przeszkadza. Ale skoro woli pan, żebym trzymała się z dala od bydła, zrobię tak, jak pan sobie życzy.

— Mówię o sprzedaży farmy — warknął. — Dobrze wiem, że w tej sprawie stoisz po stronie Clary.

— Przykro mi, jeśli pana obraziłam — odparła Phoebe, nie mogąc zaprzeczyć oskarżeniu. — Miałam nadzieję, że uda się państwu znaleźć kompromis. Clara tak bardzo kocha to miejsce. Na pewno istnieje jakieś rozwiązanie...

— Pewnie! — zadrwił, szeleszcząc gazetą. — Bardzo łatwo znaleźć sensowne rozwiązanie, kiedy podburzasz moją żonę przeciwko mnie. Chcę cię poinformować, że mam tego serdecznie dość!

Zaatakowana w tak bezprzykładny sposób, Phoebe czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Czasami, pomimo całej niechęci do Buchanana, uważała, że jest przystojny. Miał wyraziste rysy i gęste włosy opadające na czoło, lecz wystająca wojowniczo żuchwa oraz nienawistne spojrzenie psuły cały efekt. Kiedy na nią wrzeszczał, był po prostu ohydny.

— Dość, rozumiesz?! — powtórzył. — Twoja rodzina wpędziła mnie w wystarczające tarapaty. Mam poważne kłopoty finansowe, a wszystko przez twoich rodziców, którzy brali udział w tym oburzającym oszustwie. A ty jeszcze masz czelność mieszać się w moje sprawy. Phoebe była wstrząśnięta.

— Panie Buchanan — powiedziała. — Bardzo mi przykro, że do tego doszło. Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć poza tym, że jest mi bardzo przykro, że stracił pan pieniądze.

— Górę pieniędzy!

384

OGNIE FORTUNY

— Nie wątpię. — Phoebe uznała, że uwłaczałoby jej godności, gdyby przypomniała mu, że jest gościem w jego domu i nie powinna stawać się obiektem takich napaści. Zdawała sobie sprawę, że straty, jakie ponieśli znajomi jej rodziny, są bardzo wysokie, lecz po raz pierwszy ktoś rzucił jej to prosto w twarz. Przypuszczała jednak, że w przyszłości to się może powtórzyć, musiała więc odpowiednio się przygotować. — Mogę jedynie stwierdzić — dodała — że moja rodzina również bardzo ucierpiała. Ojciec jest człowiekiem łatwowiernym i nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego rodzony brat byłby gotów go zrujnować. Moi rodzice znaleźli się w okropnej sytuacji, i to nie ze swojej winy. Nie mogę pozwolić, żeby mówił pan o nich w taki sposób.

— Czyżby? A ty jak im pomagasz, co? Prowadząc się z tym mieszańcem i bandziorem? Wystawiając ich na pośmiewisko, jakby mało mieli zmartwień? Rzeczywiście, bardzo im pomagasz!

To rzekłszy, wlepił wzrok z powrotem w gazetę, jakby chciał jej zakomunikować, że powiedział, co miał do powiedzenia, i nie zamierza dalej prowadzić tej dyskusji.

Phoebe z trudem podniosła się z leżaka i stanęła przed Buchananiem.

— Co takiego? — spytała, powoli cedząc słowa, równie teraz rozgniewana jak on.

— Słyszałaś — odparł, nawet nie podnosząc wzroku znad gazety.

— Panie Buchanan, rzeczywiście, spotykam się z pewnym młodym człowiekiem. Ale on jest przynajmniej dżentelmenem, czego o panu na pewno nie można powiedzieć. — Z hukiem zamknęła książkę i drżąc z oburzenia, pomaszzerowała ku drzwiom, by jak najszybciej uwolnić się od jego towarzystwa. Zastanawiała się, skąd dowiedział się o Benie. Nagle przystanąła. — Tak jak powiedziałam — syknęła — mój przyjaciel jest dżentelmenem i z całą pewnością nigdy nie przyszłoby mu do głowy romansować z cudzymi żonami!

Chętnie trzasnęłaby drzwiami, ale na nieszczęście były one zawsze otwarte i przytrzymała je w tej pozycji ciężka cegła, owinięta kawałkiem dywanu.

W zaciszu swojego pokoju Phoebe usiadła na łóżku, trzęsąc się cała ze zdenerwowania. Co takiego narobiła? Ni mniej, ni więcej tylko obrzuciła obelgami swego gospodarza. Nie była w stanie przypomnieć sobie dokładnie, jak do tego doszło, a wołała nie ryzykować prób odtworzenia całego zajścia z poszarpanych, pomieszanych myśli. Już samo to, co powiedziała mu na koniec, było wystarczającym powodem, by kazał jej się wynosić z jego domu. Miała zresztą nadzieję,

25 Ognie fortuny

385

PATRICIA SHAW

że to zrobi. Przynajmniej nie musiałyby zmagać się z tą krępującą sytuacją. „Tylko że on tego nie zrobi” — pomyślała. Phoebe dorastała w otoczeniu polityków, wiedziała, że Buchanan najpierw rozważy ewentualne reperkusje takiego kroku. Było już trochę za późno na narzekania, że stracił pieniądze na rodzinnym interesie Thurlwellów, a istniało realne niebezpieczeństwo, że Phoebe przyjdzie do głowy rozwinąć temat z cudzymi żonami.

Może więc powinna powiedzieć Clarze, że tęskni za domem i chce wracać do Brisbane? Lecz Clara z pewnością uznałaby to za niezwykle dziwne, przecież jeszcze tego ranka Phoebe szczerze zachwycała się farmą.

— Do licha! — rzekła na głos. Znalazła się w potrzasku i koniecznie musiała znaleźć z niego jakieś wyjście. Tylko skąd Buchanan wiedział o Benie? Pewnie Lalla mu powiedziała. Jemu albo raczej Belle. Co musiało oznaczać, że wiedzą już wszyscy domownicy. Clara także. Phoebe czuła się zdradzona przez wszystkich, ale tym razem nie płakała. Już nie. Wiedziała, że musi się zatroszczyć o swoją przyszłość i że musi zacząć od Bena. Jeżeli nie będzie chciał się z nią ożenić, poszuka sobie pracy. Skoro inne kobiety jakoś sobie radzą, ona też coś wymyśli.

W sąsiednim pokoju, bliższym frontowej werandy, siedziała pogrążona w zadumie Belle Foster, kompletnie zapomniawszy o popołudniowej drzemce.

„Ta Phoebe — myślała — wyszła na dobre z załamania nerwowego i znowu jest pełna pary. Nieodrodna córka Lalli.” Belle nie raz widziała, jak matka i córka biorą się za łby. „Dlatego że są do siebie tak bardzo podobne — doszła do wniosku. — To bardzo zdecydowane kobiety.”

Belle, szykując się do drzemki, zdjęła suknię i gorset, włożyła jedwabne kimono i właśnie zawiązywała siateczkę na włosy, kiedy usłyszała podniesione głosy. Nie tracąc czasu na szukanie pantofli, pobiegła w kąć werandy. Stojąc przytulona do ściany, niewidoczna dla Phoebe i Bena, słyszała dokładnie całą rozmowę.

Kiedy awantura dobiegła końca, Belle wróciła do pokoju.

— Cudze żony? — rzekła do siebie. Być może dziewczynie nie chodziło o Lallę, Belle wszakże już od dłuższego czasu żywiła poważne podejrzenia co do swego zięcia i Lalli Thurlwell. Kimkolwiek zresztą

386

OGNIE FORTUNY

była ta kobieta, Phoebe mówiła o niej z ogromnym przekonaniem. A Belle jej wierzyła. Uśmiechnęła się. Phoebe broniła swojego ukochanego z prawdziwą pasją. Dobrze tak Buchananowi, uderzył poniżej pasa, obwiniając ją o finansowe nieszczęścia jej rodziny, miała więc pełne prawo się bronić.

Jednym z powodów, dla których Belle starała się skłonić córkę, by spędzała w Brisbane więcej czasu, było to, że podejrzewała Buchanana o cudzołóstwo. Lecz Clara nie należała do kobiet, które potrafią sobie poradzić z niewiernym mężem. Cóż zresztą miałyby zrobić? Jeżeli mężczyzna ma ochotę na skok w bok, żona nie jest w stanie temu zapobiec.

Bo i po co? Clara jest dobrą żoną, dlaczego miałyby się zniżyć do skarg i narzekań? Albo znosić towarzystwo mężczyzny, który wystawia ją na pośmiewisko? Ją i jej matkę!

Belle stuknęła palcami o szafkę nocną. Musi to wszystko przemyśleć.

Po dłuższej chwili podeszła do umywalki, nalała wody z dzbana do porcelanowej miski i obmyła twarz oraz szyję, żeby się odświeżyć. Następnie wytarła się energicznie, rozważając wszystkie za i przeciw przejścia na stronę córki w sprawie sprzedaży farmy.

„Wolałabym, żeby mieszkali bliżej mnie — rozmyślała — lecz Clara byłaby pewnie tak zrozpaczona, że nie miałabym z niej żadnego pożytku. A jej małżonek siedziałby w swoim ukochanym Brisbane, flirtując spokojnie na prawo i lewo. W mieście aż roi się od starych panien i wdów, gdyby którejś z nich udało się go usidlić, jaki los czekałby Clarę?”

Belle siedziała przed toaletką, szczotkując włosy, kiedy nagle zaświtała jej ta myśl. „Czy to możliwe, że Clara pomyślała o tym wcześniej? Na Boga, czemu nie? Ale co takiego się z nią stało, że nie zwierzyła się nawet własnej matce?” Wobec męża zawsze zachowywała się jak szara mysz. Nigdy nie narzekała, nie skarżyła się, tylko cierpliwie znosiła jego humory, tak jak robi to wiele innych kobiet. Belle doszła do wniosku, że współczesnym kobietom zdecydowanie brakuje godności.

„Z wyjątkiem tej małej Thurlwellówny — uśmiechnęła się do siebie. — Ta pokazała mu, gdzie jego miejsce!”

Belle przyszło do głowy, że Clara zdawała sobie sprawę z zagrożenia. Gdyby farma została sprzedana, całe pieniądze trafiłyby prosto do kieszeni Buchanana. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby chodziło o uczciwego i porządnego męża, którym on niestety nie był.

387

PATRICIA SHAW

Jako jedyny dysponent spadku Clary mógłby robić, co tylko by zechciał. Mógłby ją nawet porzucić.

— Jeszcze czego! — prychnęła upinając włosy. — Nie uda ci się przywłaszczyć spadku po jej kochanym ojcu!

Niewykлучzone, że Phoebe namawiała Clarę, by przeciwstawiła się mężowi, bo rzeczywiście coraz bardziej zdecydowanie protestowała przeciwko jego planom sprzedaży farmy.

— A ja — przyznała Belle, patrząc w lustro — uważam to za dobre posunięcie. Lecz przecież nie mogę wiedzieć, co właściwie dzieje się za kulisami, zwłaszcza gdy on opowiada dyrdymały, a ona uparcie milczy.

Ubrała się szczególnie starannie. Stała przed lustrem w brązowej sukni, przypinając brylantową broszkę do kołnierza. Na prawej dłoni miała duży pierścionek ze szmaragdem otoczonym brylancikami.

— Cokolwiek uczynisz — mówiła do swego odbicia, odgarniając siwe loki z twarzy — nie możesz dopuścić, by się domyślił, że podsłuchiwałaś jego rozmowę z Phoebe. Jeśli się zorientuje, będzie miał w ręku dodatkową broń. Nie powinien wiedzieć, że wiesz o jego poczynaniach i że w Brisbane będziesz mieć na niego oko.

Ponieważ wieczór był chłodny, Belle owinęła się szalem i ruszyła do drzwi.

— Może sobie być wybitnym politykiem i grubą rybą — mruknęła pod nosem — ale dla mnie to po prostu egoistyczny śmieć. A poza tym nie jest dżentelmenem — dodała z uśmiechem.

Ostatnie wydarzenia tylko potwierdziły jej tezę, że kraj nie potrzebuje więcej polityków. Żaden z nich nie jest wart tyle, ile kosztuje. „Mamy już burmistrzów, radnych i parlamentarzystów i nie potrzebujemy następnego tłumu, znęcającego się nad całym krajem.” Z miłym uśmiechem na twarzy Belle Foster zeszła do salonu, zamierzając wypić przed kolacją parę kropelek sherry.

W tym samym czasie w Brisbane Glasson uświadomił sobie, że pogląd, jaki wyznaje Belle, przeważa pośród szarych ludzi, których miał nadzieję pozyskać dla idei federacji.

Po kilku spotkaniach, na które przybyła jedynie garstka zainteresowanych, jego pracownik, Tim, nie krył zdumienia.

— Z tego, co widzę, na razie mamy do czynienia z dwoma rodzajami ludzi. Jedni uważają, że nie potrzeba nam więcej polityków, pozostałych to wszystko w ogóle nie obchodzi.

388

OGNIE FORTUNY

— Wiem — burknął Barnaby. — Na spotkania przychodzą tylko przeciwnicy federacji. Na wsi przynajmniej nie mogłem narzekać na niską frekwencję.

— Dlatego że dla nich to była atrakcja. Pretekst do wyjścia z domu

— odparł Tim. — Nie mieli nic lepszego do roboty. Może byłoby lepiej, gdybyś dał sobie spokój z polityką i skoncentrował się na sprawach kancelarii?

— Nie mogę. Chcę zostać delegatem z Queensland. A poza tym ludzie sir Samuela pomogli mi otworzyć to biuro, mam wobec nich dług. Muszę walczyć dalej.

Tim się roześmiał.

— Odnoszę wrażenie, że ilekroć polityk wchodzi do parlamentu, jakiś ludzik wali go po głowie młotkiem i wtedy on wpada na genialny pomysł. Ale kiedy opuchlizna schodzi, pomysł idzie w zapomnienie.

— A jak ludzik znowu mu przyłoży, wpada na nowy wspaniały pomysł, czy tak?

— Coś w tym rodzaju.

— Myślisz, że o mnie zapomnieli?

— A gdzie są klienci, których ci obiecali?

— Tq musi potrwać — bronił się Barnaby, dobrze wiedząc, że Tim ma rację. Koniecznie trzeba pozyskać nowych klientów. — Chyba przejdę się na posterunek policji przy Roma Street — rzekł. — Znam tam kilka osób. Może będą w stanie podesłać mi paru klientów. Zanim zająłem się sprawami konstytucji, uważałem się za nową nadzieję prawa karnego.

— Aha! — odrzekł Tim. — Ale dostałeś młotkiem w głowę.

— Chyba nie raz — przyznał Barnaby, wolał jednak nie rozwijać tego tematu. Przypomniawsobie, jak rozwiązywał problemy Bena Beckmana, i doszedł do wniosku, że musi porozmawiać z sierżantem Dolanem. Nie miało sensu siedzieć w biurze i załamywać ręce, kiedy areszt był pełen potencjalnych klientów. Miał nadzieję, że Dolan da się przekonać i za niewielką opłatą będzie go polecał zatrzymanym. Zwłaszcza tym, których stać na adwokata. „Warto spróbować”

— stwierdził, sięgając po kapelusz.

W cichym kącie baru, mieszczącego się obok posterunku policji, Barnaby przedstawił Dolanowi swoją propozycję, tym razem bez chwili wahania.

— Bóg ma w opiece tych, którzy potrafią się o siebie zatroszczyć

— oznajmił Dolan sentencjonalnie, osuszając dzban piwa. — Jestem

389

PATRICIA SHAW

pewien, że znajdzie się niejeden chętny, by skorzystać z twoich usług. Zajmę się tym. Tak oto doszli do porozumienia, nie wspominając ani słowem o swoich poprzednich kontaktach.

Kiedy wrócił do biura, Tim mrugnął do niego i wskazał na drzwi gabinetu.

— Ktoś do pana, panie Glasson.

„Nowy klient — pomyślał Glasson. — Chyba mam dobry dzień.” Otworzył drzwi i ujrzał doktora Thurlwella. Doktor podniósł się z krzesła, pomagając sobie laską. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

— Dzień dobry, panie Glasson — powiedział.

— Barnaby, sir, po prostu Barnaby. Proszę usiąść. Miło pana widzieć. — Odwiesił kapelusz, po czym stanął za swoim fotelem. — Co słyhać u Phoebe?

— Wszystko dobrze. Jest na farmie Fairmont i świetnie się bawi. — Doktor rozejrzał się dookoła. — Ładne masz biuro, Barnaby. Mam nadzieję, że interesy idą dobrze?

— Tak naprawdę dopiero zaczynam.

— No tak, ale miałaś świetnego mentora. Słyszałem, że pan Mantrell przeszedł na emeryturę?

— To prawda, sir.

Rozmowa się urwała, Barnaby spytał więc o zdrowie pani Thurlwell, na co usłyszał, że ona również ma się dobrze.

Ponieważ doktor sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego, Barnaby zapytał w końcu, czy może mu w czymś pomóc.

— Tak — wymamrotał doktor, wyjmując z teczki jakieś dokumenty i kładąc na biurku. — Chciałbym, żebyś się tym zajął.

Barnaby szybko przekartkował dokumenty, po czym spojrzał zaskoczony na doktora.

— To dokumenty hipoteczne. Hipoteka na pański dom. Pożyczkę zaciągnięto w Banku South Pacific. Czy nie powinien pan z nimi porozmawiać?

— Nie. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Nawet nie wiedziałem, że na moim domu ciąży hipoteka.

Nic z tego nie rozumiejąc, Barnaby jeszcze raz przejrzał papiery.

— Ale przecież podpisał pan umowę.

— Sporządził ją mój brat i dał mi do podpisu razem z innymi dokumentami. Nie wiedziałem, po prostu nie zauważyłem, co podpisuję. — Wyjął chusteczkę i wytarł nos. — Było tak wiele doku-

390

OGNIE FORTUNY

mentów dotyczących Western Railroads... Nie wiedziałem... — Głos mu się załamał, zamilkł więc i spojrzał na Barnaby'ego. — Czy to pismo ma moc prawną? — spytał w końcu.

— Niestety tak, sir. Proszę mi wybaczyć brutalną szczerłość, ale gdyby pan Edgar żył, mógłby pan się bronić, twierdząc, że sfalszował pański podpis. Jednakże w tych okolicznościach... — Barnaby pokręcił głową. — Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana Edgara. To musi być dla pana bardzo trudny okres.

Mimo że Barnaby przez pewien czas znajdował się na czarnej liście Thurlwellów, szczerze współczuł ojcu Phoebe, który bardzo się postarzał od ich ostatniego spotkania. Rozumiał też, ile samozaparciu wymagała od doktora decyzja, by zwrócić się do niego o pomoc. Wszak Thurlwellowie znali najznamienitszych prawników w Brisbane. „Więc dlaczego właśnie ja?” — zadawał sobie pytanie.

— Żądają ode mnie natychmiastowej spłaty pożyczki — odezwał się nagle doktor. — A ja po prostu nie mam pieniędzy. Po upadku Western Railroads straciliśmy wszystko. — Wyjął następną stertę dokumentów. — Popatrz tylko! Rachunki, wezwania do zapłaty, ponaglenia, groźby! To wszystko mnie przerasta. Chcę, żebyś coś z tym zrobił.

Coraz bardziej przerażony, Barnaby czytał kolejne dokumenty, starając się poukładać je w jakimś logicznym porządku.

— Moim zdaniem, sir — rzekł w końcu — powinien pan wynająć księgowego, który pomógłby panu zaprowadzić z tym wszystkim porządek.

— Nie mów mi o księgowych! Wystarczy mi, że musiałem się zadawać z tymi parwienuszami w banku. Nasze prywatne długi zostaną spłacone. Nie jestem w stanie pokryć strat poniesionych przez udziałowców Western Railroads, ale długi, które zaciągnęliśmy, muszą zostać spłacone i chciałbym, żebyś to ty się tym zajął.

— Czy ma pan jeszcze jakieś aktywa? — spytał Barnaby.

— Tak. Dom. Somerset House.

— Na domu ciąży hipoteka.

— Wiem — odrzekł doktor. — Chcę, żebyś sprzedał go w moim imieniu.

— Są przecież agenci nieruchomości — próbował tłumaczyć Barnaby, doktor przerwał mu jednak w połowie zdania.

— Tak. I to właśnie trzeba zrobić. Wynajmij ich, niech sprzedadzą dom. Pieniędźmi, które uzyskasz, spłać hipotekę, tym, co zostanie,

391

PATRICIA SHAW

przynajmniej część pozostałych długów. Ja nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

— Lecz przecież musi być jakieś inne wyjście — zauważył Barnaby.

— Bank jest odmiennego zdania. A ja nie zamierzam sprawić im tej satysfakcji i pozwolić, żeby mnie zlicytowali. Wolałbym załatwić tę sprawę w jakiś godniejszy sposób.

Barnaby odprowadził doktora do drzwi. Miał ochotę zapytać, co o planach sprzedaży domu sądzi Phoebe, lecz nie śmiał. Wydawało mu się zresztą, że to nie miałyby sensu. Na pewno jest równie załamana jak jej rodzice.

Tim aż zagwizdał, kiedy zabrali się za uporządkowanie dokumentów i podliczyli zadłużenie Thurlwellów.

— Musieliby dostać piekielnie dobrą cenę, żeby to wszystko pospłacać — zauważył. — Dlatego będzie najlepiej, jeśli umieścisz swoje nazwisko na czele listy wierzycieli. Albo możesz pożegnać się z honorarium.

— To właśnie mnie martwi — odparł Barnaby. — Ich córka, Phoebe, to moja wieloletnia przyjaciółka. Czułbym się okropnie, gdybym dołożył jeszcze swoje nazwisko do listy wierzycieli.

— Nie bądź głupcem — nie ustępował Tim. — Założę się, że doktor nie miałby żadnych skrupułów i wystawiłby ci rachunek.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przyzwyczajony do roli szefa — wielkiego szefa, jego brygadzystów bowiem również nazywano szefami — Ben Buchanan wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.

Bezczelna smarkuła! Jak ona w ogóle śmie pyskować! Czy nie dociera do niej, z kim rozmawia? Z parlamentarzystą, człowiekiem dzierżącym jeden z najwyższych urzędów w tym kraju! I powszechnie szanowanym ranczerem. To oburzające, że musi znosić ją i jej impertynencje, tym bardziej jeżeli wziąć pod uwagę, że to uciekiniarka ze zhańbionej, zrujnowanej rodziny, przebywająca pod jego dachem tylko dzięki jego dobrej woli. Której zapasy właśnie się wyczerpały. Tak, każe jej natychmiast wyjechać. Na razie jednak koniecznie musi się dowiedzieć, co wywęszyli jego dwaj ludzie, których posłał do miasta. Bracia Rawlins, Moss i Mungo, pracowali na jego farmie od wielu lat. Nie należeli do bystrych, chyba że chodziło o bydło, za to byli wobec szefa wyjątkowo lojalni i zawsze wykonywali polecenia bez zbędnych pytań. Wysłał ich do miasta, rzekomo po to, by odpoczęli po ciężkiej pracy z nowymi stadami, ale kazał im też odnaleźć mieszkańca nazwiskiem Beckman, a potem mieć go przez cały czas na oku i donosić o każdym jego ruchu.

Dlatego właśnie siedział na werandzie, obserwując drogę i czekając na ich przyjazd.

O zmierzchu zerwał się zimny wiatr z południa, włożył więc skórzaną kurtkę, wyszedł na dwór i skierował się ku położonym z dala od domu zabudowaniom.

Kował właśnie zamykał kuźnię.

— Widziałeś Rawlinsów? — spytał Ben.

393

PATRICIA SHAW

— Podobno przed chwilą wrócili, szefie. Pewnie są jeszcze w stajni.

„Obaj — pomyślał Ben. — To dobrze. To by znaczyło, że go tam nie ma.”

Wychodzili ze stajni z siodłami zarzuconymi na ramiona. Moss i Mungo bardzo pilnowali swoich siodła i nigdy nikomu ich nie pożyczali.

— I jak poszło? — spytał Buchanan.

— Znaleźliśmy go, szefie — odparł Mungo. — Przywłókł się do miasta na piechotę. Nie miał nawet konia, więc trudno go było nie zauważyć. Bóg jeden wie, skąd go przyniosło. Szef był zadowolony. Czterdzieści mil marszu z pewnością dało się przekłębemu bękartowi we znaki.

— A co potem? — spytał.

— Zadekował się w Shamrock i siedział tam przez kilka dni. A potem wyruszył na zakupy. Wszyscy o tym gadali.

Ben nie krył zaskoczenia. Hotel był własnością Mae Smith. Czego Beckman tam szukał? Czy rozmawiał z tą starą suką? Może knują coś razem? Coraz bardziej przerażony, zaczął podejrzewać, że miał rację: Beckmanowi wcale nie chodziło o to, żeby się spotkać z dziewczyną.

— A pewnie, że gadali — warknął na Munga. — Od kiedy to Aborygeni mieszkają w hotelach i przesiadują w barach? Nie wolno im nawet pić w barach, jeśli nie mają specjalnego zezwolenia wydanego przez policję. Mówiłem wam, że pojawienie się tego faceta nie wróży niczego dobrego. Typiek siedział za kratkami. Jak on to zrobił, że go nie przytknęli? Mungo podrapał się za prawym uchem.

— Nie wiem. Nigdy nie widziałem, żeby przechodził w pobliżu policji. Ludzie w mieście dużo plotkowali na jego temat. A głównie na temat jego forsy. Podobno stał Sethowi Collinsowi nad głową, dopóki ten nie zatelegrafował do Brisbane po pieniądze. Nie wiem, jak to zrobili. Nie mam pojęcia. Ale zrobili. Wczoraj łąził po mieście i szastał pieniędzmi.

— Jest kolorowy, szefie — wtrącił Moss. — Ale się nie zachowuje jak Aborygen. Ubiera się i gada całkiem jak biały. A wczoraj zachowywał się, jakby cały świat należał do niego. Kupił porządnego konia, siodło i uprzęż. A potem wydał sporą sumkę na ciuchy i zapasy.

— I nikt nie zwrócił na niego uwagi?

394

OGNIE FORTUNY

— Tego bym nie powiedział, szefie — uśmiechnął się Moss. — To obcy w mieście, trudno, żeby go nie zauważyli.

Mungo posłał mu gniewne spojrzenie.

— Szefowi nie o to chodziło. Od kiedy to Aborygeni włóczą się po mieście i robią, co im się podoba?

— Odkąd pozwalają na to tacy durnie jak wy — odparował szef.

— Kazał nam pan tylko mieć go na oku, szefie — zauważył Moss. — Zrobiliśmy, co pan kazał. A rano wyjechał z miasta.

— Dokąd? W stronę Mitchell? Z powrotem w kierunku wybrzeża? Tym razem bracia spojrzeli po sobie, wyraźnie się wahając, aż w końcu Mungo wydusił z siebie:

— N... no, nie całkiem.

— Więc w którą stronę pojechał? — spytał Buchanan tonem, który nie wróżył nic dobrego.

— W tę — odrzekł Mungo. — Ale zniknął w buszu. Może chce dojechać do pól złotonośnych.

— I nie pojechaliście za nim?!

— Nie wiedzieliśmy, że mamy to zrobić — odparł Moss, kuląc się w sobie.

— Chcesz powiedzieć, że go zgubiliście!

— Ten bydlak był uzbrojony — stwierdził Mungo. — Woleliśmy za bardzo się nie zbliżać.

— Co takiego? — Ben miał wrażenie, że przysiągł się przeciwko niemu cały okręg. — W mieście zjawia się Aborygen, włóczy się po barach bez zezwolenia, a na dodatek spokojnie kupuje spluwę i amunicję?

Bracia zgodnie pokiwali głowami.

— Aborygenom nie wolno nosić broni. Zapomnieliście o tym? Czy wyście, do diabła, poszaleli?

— Powinieneś być o tym pomyśleć! — oskarżył brata Moss.

— A niby dlaczego właśnie ja? — warknął Mungo. — To w końcu ja pilnowałem tego bydlaka, kiedy ty w najlepsze zabawiałeś się z tą swoją dziwką.

Bena ogarnęła furia. To przecież jego ziemia, jego terytorium. Nie może dopuścić, by ten bękart znowu na niego najechał ani żeby robił z niego idiotę. Gotów był się teraz założyć, że za tym wszystkim stoi ta przeklęta Mae Smith. Chciwa stara krowa! Powinien był ją wywalić na zbity pysk zaraz po śmierci matki, zamiast trzymać tyle czasu i pozwalać, żeby wtykała nos w jego prywatne sprawy. Ale jeszcze mu za to zapłaci.

395

PATRICIA SHAW

— Czy McAlister nadal jest sierżantem policji? — spytał.

— Tak, ale nie było go w mieście — odparł Mungo zadowolony, że znalazł wymówkę. — On by na pewno nie pozwolił, żeby mu jakiś Aborygen grał na nosie.

„Właśnie” — pomyślał Ben.

— Rano dam ci list, Mungo — rzekł. — Zawieziesz go do miasta i osobiście doręczysz McAlisterowi. Pamiętaj, tylko jemu, nikomu innemu. Dasz sobie z tym radę?

— Pewnie, szefie. Będę gotowy, jak tylko pan każe.

Kiedy przechodził przez korytarz, kierując się do gabinetu, zawołała go Clara:

— Kolacja gotowa, Ben! Czekamy na ciebie.

— Zaraz — odparł oschle. Gdyby nie obecność Belle, powiedziałby żonie i tej jej cholernej przyjaciółce, że mają sobie same zjeść. Miał serdecznie dość ich obu. A na razie musiał napisać ten list, dopóki treść nie wyleciała mu z głowy. Układał go w myślach przez całą drogę ze stajni.

McAlister był tym, kogo w tej chwili najbardziej potrzebował. Jako dziecko Alan McAlister mieszkał na farmie położonej na zachód od Rockhampton. Do czasu aż napadli ich czarni. Zabili jego matkę i ojca, wuja zaś ciężko zranili. Chłopak zdążył schować się w szafie i dzięki temu uszedł z życiem, a kiedy ostatni maruderzy opuścili dom, przejechał sześćdziesiąt mil, sam w środku nocy, żeby sprowadzić pomoc. Zanim jednak oddział ochotników dotarł na farmę, było za późno. Wuj także już nie żył. Alan wyrósł na zgorzkniałego człowieka, szczerze nienawidzącego czarnych. Kiedy chodziło o nich, nie przejmował się literą prawa — wszyscy o tym wiedzieli i dobrze to rozumieli — mimo że był bardzo dobrym prawnikiem, teraz zaś, w wieku prawie sześćdziesięciu lat, wybierał się na emeryturę.

Dla zwiększenia efektu Ben postanowił skorzystać z papieru z pieczęcią parlamentu.

Najpierw wszakże zamierzał sporządzić staranne notatki. A więc pozdrowi McAlistera i wyrazi swój żal z powodu jego planowanego odejścia, albowiem szczerze wątpi, by ktokolwiek był w stanie mu dorównać.

Później będzie zmuszony donieść mu o przykrej sprawie, o której sierżant powinien wiedzieć. Otóż rzecz w tym, że niektórzy mieszkańcy miasta w pełni świadomie i najzupełniej jawnie łamią obowiązujące prawo. Być może, doda, ze zwykłej chciwości, co jednak w zadyym razie nie usprawiedliwia ich karygodnego postępowania.

396

OGNIE FORTUNY

Tutaj wyliczy wszystkie przewinienia. Poinformuje McAlistera, że aborygeński mieszaniec, posługujący się nazwiskiem Beckman, przez kilka dni przebywał w mieście, pił alkohol i mieszkał w hotelu Shamrock, nie mając na to wymaganego zezwolenia. Nadmieni również, że wspomniany Beckman był już w przeszłości karany i spędził kilka lat w więzieniu.

— To — rzekł do siebie — wystarczy, by McAlister dał starej Mae i jej mężowi taki wycisk, że zapamiętają do końca życia.

Później poinformuje Alana, że ów mieszaniec — tu przekreślił słowo „mieszaniec” i zastąpił je bardziej wymownym terminem „czarny” — zakupił w Charleville strzelbę oraz amunicję, co niesłychanie wzburzyło praworządnych mieszkańców miasta.

I tak dalej.

Kiedy z wielką starannością kaligrafował list, w drzwiach stanęła Clara.

— Ben, kolacja całkiem wystygnie.

— No to zaczynajcie beze mnie — odparł rozdrażniony. — Nie widzisz, że jestem zajęty? Zaraz zejść.

Także na kopercie znajdowała się pieczęć parlamentu. Ben złożył kartkę, tak by zmieściła się do niewielkiej koperty. Kopertę wsunął do drugiej, dużo większej, tę z kolei zabezpieczył lakowaną pieczęcią, z której korzystać wolno było jedynie osobom o najwyższym społecznym statusie, i zaadresował ją do sierżanta Alana McAlistera.

Zawoławszy jedną z czarnych pokojówek, kazał jej biec do Munga, przekazać mu list i powiedzieć, że ma wyruszyć zaraz po wschodzie słońca.

Podczas pobytu w Charleville Ben jako przyjezdny wzbudzał spore zainteresowanie, lecz mu to nie przeszkadzało. Zaopatrzony we wszystko, co niezbędne, opuścił miasto, tym razem nie mając wątpliwości, w którą stronę jechać. Nic dziwnego, wszak przeszedł całą trasę na piechotę. Wspomniałszy trudy wędrówki, uśmiechał się, patrząc na galopującego konia. Był to silny siwy ogier, według sprzedawcy czystej krwi, chociaż już po samym chodzie i mocnej budowie widać było, że to dzikus. Ale Ben się nie kłócił. Koń nazywał się Pepper, choć Ben przypuszczał, że Irlandczyk wymyślił to imię na poczekaniu; nie ulegało wątpliwości, że nie najlepiej zna zwierzę i woli się trzymać z dala od niego. Zażądał też przynajmniej dwa razy więcej, niż koń był wart, mimo to Ben zapłacił bez słowa sprzeciwu.

397

PATRICIA SHAW

Kiedy jednak zjechał z drogi i znalazł się w buszu, Ben stwierdził, że imię świetnie pasuje do konia. Musiało upłynąć bardzo niewiele czasu, odkąd po raz pierwszy go osiodłano, bo kiedy tylko poczuł zapach wolności, wystrzelił przed siebie jak błyskawica, starając się zrzucić jeźdźca z grzbietu i wrócić do stada.

— Aha! Próbujesz mną rządzić! — krzyknął ucieszony, że nie zapomniał o pętach, w przeciwnym bowiem razie na pewno straciłby wierzchowca już pierwszej nocy. Długo się z nim zmagał, starając się nie zawadzić o jakąś gałąź i ciągnął z całej siły za wodze, aby koń nie rzucił go na drzewo. Był wściekły, lecz nie na zwierzę, tylko na Buchanana, gdyż przypomniał sobie o swoim wypróbowanym towarzyszu podróży, który teraz leżał martwy na drodze.

— Zapłacisz mi za to — wyszeptał przez zaciśnięte zęby, aczkolwiek wciąż nie miał pojęcia, jak do tego doprowadzić. Pomimo swojej pozycji ten człowiek był zwykłym bandziorem, a do tego tchórzem, nie zmieniało to jednak faktu, że jakkolwiek próba zemsty musiałaby skończyć się dla Bena więzieniem. W konfrontacji z prawem białych nie miał żadnych szans. Poświęcił tej sprawie stanowczo za wiele czasu, próbował więc myśleć o Phoebe, lecz to na niewiele się zdało. Czuł, że ją traci. Dlatego też widok Mandjali czekającego cierpliwie obok starej ziemianki sprawił mu ogromną ulgę. W tych dziwnych okolicach spokojny Aborygen zdawał się reprezentować wszystko, co normalne.

Kiedy rozpakowywał zapasy, koń znowu zaczął się buntować. Rżał, kopał w ziemię, próbował się wyrwać i popędzić w stronę zachodzącego słońca. Żeby go spętać, Ben musiał skorzystać z pomocy Mandjali. Kiedy wreszcie zwierzę trochę się uspokoiło i tylko prychało z oburzeniem, Ben roześmiał się.

— To prawdziwy zbój. Muszę go mieć na oku, bo inaczej wrócę do Charleville na piechotę. Mandjala pokiwał głową.

— Ten koń z Winnaroo. Chce do domu.

— Ależ tak! Winnaroo! — Ben rozejrzał się dookoła. — Odkąd zaczęło padać, wszystko tutaj się zmieniło. To teraz całkiem inna kraina. Gdzie jest Winnaroo?

— Koń to wie — roześmiał się Mandjala. — Tam. W stronę słońca. Trzeba iść obok spalonego domu białego człowieka. — Westchnął z zadowoleniem i zapalił fajkę, którą dostał od Bena. — Biali ludzie też nazwać te ziemie Winnaroo, ale oni już stąd odejść.

OGNIE FORTUNY

— To jest farma Winnaroo? — zapytał Ben. — Ależ oczywiście! Leży obok Fairmont. Mandjala, który nie czuł najmniejszej awersji do pożywienia białych, bardziej interesował się peklowaną wołowiną i konserwami, Ben natomiast nie przestawał gorączkowo rozmyślać. „Buchananowie wiedzą, gdzie są źródła Winnaroo, więc Phoebe też pewnie już wie. A nawet jeśli nie, z łatwością może się dowiedzieć. Mogłaby tam przyjechać. To na pewno niedaleko.” Wprawdzie Mandjala bez wątpienia potrafi określić dystans dzielący dom Buchananów od źródeł, lecz w żaden sposób nie był w stanie przekazać mu tej wiedzy.

— Mandjala — odezwał się, wyjmując papier i ołówek. — Czy gdybym napisał wiadomość na takiej kartce, mógłbyś dostarczyć ją na farmę Fairmont?

Aborygen bez wahania pokiwał głową.

— I poprosić kogoś, żeby dał ją pannie Phoebe? Ale tak, żeby nikt o tym nie wiedział?

— Pannie Fii-bii — powtórzył Mandjala zadowolony, że wymowa tego imienia nie sprawiła mu trudności. — W dużym domu czarne dziewczyny. One dać wiadomość Fii-bii. —

Roześmiał się. — Dobry żart, prawda? Nikt się nie dowiedzieć, tak?

— Tak. Chcę, żeby spotkała się ze mną przy źródłach Winnaroo.

— Dobre miejsce — zgodził się Mandjala. — Koń będzie zadowolony.

— Tak, chyba nawet bardzo. Będę musiał go spętać.

Kiedy o świcie Ben wyszedł na dwór, ujrzał białego ibisa, fruującego nerwowo w pobliżu ziemianki. Ponieważ obecność ptaka w tak niewielkiej odległości od człowieka nie była rzeczą normalną, Ben poszedł sprawdzić, co się stało, i ze smutkiem stwierdził, że niedaleko leży drugi ibis, martwy. Jego towarzysz uparcie nad nim kołował, licząc być może, że coś wskóra, że uda mu się przywrócić go do życia. Nie chciał zostawić martwego ciała.

— Zobacz tutaj! — zawołał Ben Mandjalę.

— Ach! — krzyknął Aborygen, unosząc ramiona. Spojrzał w górę, wypatrując jastrzębia, który prawdopodobnie zaatakował ibisa, lecz po napastniku nie było już śladu. Z wyjątkiem czerwonej plamy na białych piórach.

Mandjala usiadł na ziemi parę jardów od zrozczonego ptaka, który miotał się, lądując na czarnych szczudłowatych nogach, by ledwo dotknąwszy ziemi, ponownie wzbić się w powietrze. Ben kucnął kawałek dalej, żeby nie przeszkadzać.

PATRICIA SHAW

Mandjala podniósł patyk i złamał go na pół, co przestraszyło ptaka, choć nie na tyle, by odleciał. Następnie pochylił się i położył przełamany patyk obok martwego ciała.

Zaczął śpiewać cichym, monotonnym głosem, aż w końcu coraz bardziej zmęczony ptak stanął niezgrabnie i przechylił głowę, jakby słuchał pieśni.

Kiedy śpiew umilkł, ibis odwrócił się i ruszył przez wysoką trawę, poruszając głową jak podczas karmienia piskląt. Po chwili jednak zawrócił, jakby nie wiedział, co ma robić. Przez dłuższy czas chodził w pobliżu, a Ben rozmyślał o matce, wspominając tamten dzień, kiedy śpiewała wężowi. Ilekroć zaczynał o niej myśleć, zawsze ogarniał go dziwny niepokój, i zastanawiał się, czy to kiedyś się skończy. Przecież porafił pogodzić się ze śmiercią Omy, chociaż była dla niego ogromnym wstrząsem. Dlaczego w przypadku Diamond jest inaczej? Kiedy uniół głowę, ptaka już nie było.

— Co się z nim stało? — zapytał.

— Musiała wracać do gniazda. Nakarmić swoje małe. Mandjala podniósł martwego ptaka, zawinął w korę i ułożył na

wysokiej gałęzi.

— Ten ptak to totem mojego ludu — rzekł. — Kładę go daleko, żeby ona łatwiej przestała płakać. — Spojrzał na Bena. — Jaki totem twojej rodziny?

— Nie wiem. Chyba wąż, ale nie mam pojęcia jaki. Mandjala pokręcił głową z wyraźnym niesmakiem.

Nieco później Ben rozpałił ognisko — za pomocą zapalek — i upiekł kawałek wołowiny oraz ziemniaki. Chował to mięso głównie z myślą o Mandjali, który pochłaniał je z wyjątkowym apetytem.

— Dlaczego zламаłeś patyk? — spytał Ben.

— Żeby wiedziała — wyjaśnił Mandjala. — Złamany. Nie ma. Dzikie zwierzęta, one nie rozumieć, co to śmierć. Czasami kochać tak bardzo, że nigdy nie odejść i też umrzeć.

Powiedziałem jej, że ona musi przestać płakać, że on jest teraz duchem. — Splótł ramiona i wyprostował się. — Ty mój przyjaciel, Ben. Ty mi powiedz, dlaczego ty ciągle płaczesz?

— Co? — Ben był zaskoczony i bardzo zakłopotany. — Przecież ja wcale nie płaczę.

— Kiedy poprzedni raz ty tutaj przyjść, ty płakać, w środku, tak samo jak ona. I ja czuję, że ty ciągle płakać.

— Nie — zaprzeczył Ben. — Po prostu martwię się o tę dziewczynę. O Phoebe.

400

OGNIE FORTUNY

Mandjala kiwał siwą głową.

— Martwić się nie to samo co płakać. Kiedyś przyjdzie dzień, kiedy ona powie, żebyś ty przestać płakać.

— Kto? Phoebe?

— Nie. Kobieta od węży.

W panującej ciszy, przerywanej jedynie kumkaniem żab i pojedynczymi okrzykami lądujących ptaków, Ben dosłownie czuł, jak włosy na szyi stają mu dęba. Nie chciał pytać, lecz wiedział, że musi.

— Co z nią?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Mandjala grzebał patykiem w żarzącym się drewnie.

— Jest teraz duchem — odparł. — Ale jeszcze nie może odejść.

— Benowi zdawało się, że Mandjala mówi po angielsku poprawnie, jego głos nabrał pewności, a oczy błyszczały, jakby był w transie.

— Ona nie może odejść, dopóki nie jesteś bezpieczny.

— Przecież jestem — odparł Ben.

— Za dużo niedobrego walczy w tobie w środku. Kiedy już to wszystko odłożysz, wtedy ona może odejść i płacz się skończy.

Ben oszołomiony milczał, lecz Mandjala sprawiał wrażenie, że wcale odpowiedzi nie oczekuje. Jakby ta kwestia przestała go nagle interesować. Wrzucił do ogniska parę garści orzechów, zszedł, aż się rozgrzeją i popękają, po czym wygarnął je z żaru, żeby ostygły.

„Niby co takiego we mnie walczy?” — zastanawiał się Ben, choć aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że nie przebaczył ani doktorowi Thurlwellowi, ani swojemu najnowszemu wrogowi, Buchananowi. I że nigdy im nie wybaczy.

Lecz było coś jeszcze. Wyjazd w odwiedzinach do Phoebe dał mu powód, by na jakiś czas zostawić stajnię i oderwać się od codzienności. A wówczas Ben uświadomił sobie, że do jego życia zakradła się nuda. Codziennie o tej samej porze wychodził do pracy, codziennie o tej samej porze wracał, niedziele miał wolne. Wszystkim rządziła rutyna, a on miał jej serdecznie dość. Co więcej, w ciągu dnia musiał szukać sobie zajęcia, bo zarówno w stajniach, jak i w siodłami wszystko szło dobrze i jakiejkolwiek interwencje z jego strony były absolutnie zbędne. Z tej też przyczyny często wprawiał stajennych w osłupienie, osobiście zajmując się końmi, a także spędzając długie godziny w siodłami, gdzie uczył się szyć siodła, mimo że taka żmudna, precyzyjna praca wcale mu nie odpowiadała.

Pozostawały jeszcze automobile, to jednak była sprawa bardzo odległa w czasie.

PATRICIA SHAW

Być może nie byłby taki niespokojny, gdyby się ożenił. Świadomość, że w domu czeka na niego ukochana Phoebe, na pewno pomogłaby mu się ustatkować. Uśmiechnął się. A może jeszcze trudniej byłoby pójść do nużącej pracy?

Wierzył, że w końcu wszystko się jakoś ułoży, na razie wszakże czuł w sobie pustkę, prześladowało go niezrozumiałe poczucie klęski.

Ponieważ Clara bardzo nalegała, zaczekały na Bena z kolacją, a kiedy w końcu zszedł na dół i zasiadł na honorowym miejscu, Belle ze zdziwieniem stwierdziła, że dopisuje mu świetny humor. Opowiadał o najnowszych doniesieniach z Brisbane, gdzie właśnie przystępowano do budowy drugiego, jakże potrzebnego mostu.

Phoebe prawie się nie odzywała, zastraszona po popołudniowej kłótni. Jednakże Belle się o nią nie martwiła. Była pewna, że dziewczyna sobie poradzi.

— Tak sobie myślę — odezwała się Belle, kiedy zabrali się do jedzenia — że Clara chyba jednak ma rację.

— W jakiej sprawie? — spytał Ben.

— W sprawie sprzedaży farmy — spokojnie odparła Belle. — No, no, ten pudding jest naprawdę wyśmienity. Nic dodać, nic ująć.

— Dlaczego tak uważasz? — spytał Ben obojętnie, niemal protekcjonalnie, choć Belle dostrzegła lodowaty błysk w jego oczach.

„No, chłopcze — pomyślała. — Lepiej uważaj, co mówisz. I jak. Nie jestem twoją żoną. A brak pieniędzy też mi nie grozi.”

— Stada są już uzupełnione, wszystko świetnie się układa, jestem więc przekonana, że niedługo powetujecie sobie wszystkie straty.

— A jeśli w przyszłym roku znowu przyjdzie susza?

— Ależ Ben, chyba jesteś farmerem wystarczająco długo, by wiedzieć, że susze i deszcze przychodzą cyklicznie. Może minąć nawet dziesięć lat, zanim nawiedzi nas kolejna susza. Clara, początkowo kompletnie zaskoczona tym, że matka tak nagle zmieniła zdanie, teraz była po prostu zachwycona.

— To właśnie ci tłumaczyłam, Ben. Mamy teraz wystarczająco dużo czasu, żeby się zabezpieczyć na wypadek następnej suszy. Możemy wykopać dodatkowe studnie, zaoszczędzić trochę pieniędzy, a przynajmniej nie wydawać tyle, ile dotychczas... — Ugryzła się w język, żałując, że to powiedziała. To przecież głównie Ben wydawał pieniądze, prowadząc w Brisbane życie ponad stan i inwestując w chybione interesy.

Belle westchnęła. Oto właśnie cała Clara. Ale nic to, nie szkodzi.

402

OGNIE FORTUNY

— Ty mógłbyś dalej zasiadać w tych wszystkich zarządach, Ben

— rzekła. — W końcu szkoda tracić tak istotne źródło dochodów.

— Cieszę się, że to doceniasz, Belle — odparował — ale chyba nie rozumiesz, że uzupełnianie stada kosztuje majątek. Clarze może się wydawać, że jest inaczej, ale ja mam w prowadzeniu farmy doświadczenie dużo większe niż ona i zaręczam ci, że stada wcale nie są jeszcze takie liczne, jak być powinny. Bez żadnych problemów moglibyśmy tu trzymać o jakieś dwa tysiące sztuk bydła więcej.

— To musi potrwać — wtrąciła Clara.

— Ile razy mam ci powtarzać — napadł na nią — że my nie mamy czasu?! Nie mamy, po prostu nie mamy pieniędzy, by dalej ciągnąć ten przeklęty interes!

Belle uśmiechnęła się.

— Za dużo się martwisz, Ben, i na tym właśnie polega twój problem. Na początek mógłbyś sprzedać ten dom w Brisbane. To imponująca rezydencja, a po remoncie wygląda wspaniale. Przypuszczam, że dostaniesz za nią naprawdę dużo.

— Rozumiem — wycedził. — Tylko może zechciałabyś mi powiedzieć, gdzie niby miałbym mieszkać? Może w jakimś tanim hotelu?

— Wielu parlamentarzystów tak właśnie robi — zauważyła.

— Tym bardziej że przecież nie dostają żadnej pensji. Ale od ciebie nikt nie wymaga aż takich poświęceń. Mój dom raczej trudno nazwać ciasną chatką, w rzeczy samej jest on ze dwa razy większy od twojego, a mieszkam w nim tylko ja. Wydaje się wręcz stworzony do przyjęć i balów — dodała z tęsknotą w głosie. — Ma taki cudowny ogród. Kiedy będziesz w Brisbane, możesz ze spokojnym sumieniem mieszkać u mnie. Oboje możecie.

— Nie chciałbym nadużywać twojej gościnności — odparł.

— Na litość boską, przecież nie ma mowy o żadnym nadużywaniu. Sprawiłbyś mi naprawdę ogromną radość. — Już miała dodać, że obecnie to ona korzysta z jego gościnności, lecz w porę przypomniała sobie, że to samo dotyczy Phoebe, której do tej rozmowy nie chciała mieszać.

— Zastanowię się nad tym — obiecał, odsuwając półmisek z nie dojedzonym posiłkiem. Wyraz zawodu na twarzy Clary świadczył, że Ben nie jest jeszcze do końca przekonany, Belle doszła więc do wniosku, że konieczne są dalsze naciski. Tego szubrawca trzeba przyszpilić jak motyla.

Dopiła stojące przed nią wino, po czym poprawiła okulary i spojrzała na Buchanana.

403

PATRICIA SHAW

— Moim zdaniem, mój drogi, nie masz się nad czym zastanawiać. Dobrze jest zasiadać w tych wszystkich zarządach, ale każdy wie, że takie stanowisko to nic pewnego. Wszystko zależy od tego, czy w danym tygodniu jest się popularnym czy nie. A jeśli zdarzy się tak, że w następnych wyborach nie wejdiesz do parlamentu, dla ludzi pociągających za sznurki staniesz się po prostu bezużyteczny.

Belle patrzyła, jak Ben nalewa sobie z karafki kolejny kieliszek wina. To była groźba, podwójna groźba, i Ben bardzo dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że jego teściowa to osoba wystarczająco ustosunkowana, by bez trudu doprowadzić do pozbawienia go dowolnego stołka. A jako człowiek z zewnątrz, mający tylko sporadyczne kontakty ze swoim elektoratem, potrzebował silnego wsparcia, by zwyciężyć w następnych wyborach. Jakby pragnąc poprawić mu humor, Belle zwróciła się do Clary:

— W przyszłym miesiącu kończysz czterdzieści lat. Będziesz wreszcie mogła zrealizować obligacje, które zapisał ci ojciec. To całkiem spora sumka, o ile dobrze pamiętam, będzie tego chyba jakieś parę tysięcy. Powinno wystarczyć, żeby wyciągnąć farmę z finansowej zapaści.

— Obligacje! — Clara była tak podekscytowana, że przewróciła swój kieliszek, na szczęście pusty. Stawiając go, próbowała odzyskać oddech. — Nie wiedziałam o żadnych obligacjach.

— Bo nigdy nie słuchasz, co się do ciebie mówi — stwierdziła Belle. Nie było żadnych obligacji, jeśli wszakże Clara miała zachować farmę, potrzebny był jej poważny zastrzyk kapitału. A przekazanie jej pieniędzy w taki właśnie sposób wydawało się dużo bardziej taktowne aniżeli ewentualny oficjalny wkład matki w ratowanie gospodarstwa.

Uradowana Clara spojrzała na męża. Groźba zawarta w słowach matki jak zwykle uszła jej uwagi.

— Ben, słyszałeś? Mama ma rację. Przecież zawsze lepiej mieć swoją ziemię, niż polegać na niepewnych zarobkach. Sam wybrałeś tę farmę i to był trafny wybór. Nie możemy jej teraz sprzedać. A dzięki dodatkowym pieniądзом...

Ben odsunął krzesło i wyszedł z jadalni.

— A tobie jak minął dzień? — zwróciła się Belle do Phoebe.

— Dziękuję, dobrze — wymamrotała dziewczyna. — Bardzo dobrze.

Nienawidziła tego człowieka, który z taką pewną siebie miną zasiadł przy stole, jawnie lekceważąc jej zakłopotanie, chociaż dobrze

OGNIE FORTUNY

wiedział, że w jego towarzystwie trudno jej będzie przelknąć choćby jeden kęs. Gdyby została w swoim pokoju albo nie zjadła kolacji, Clara bardzo by się zmartwiła, Belle natychmiast zarzuciłaby ją pytaniami, na które nie miała siły ani ochoty odpowiadać.

Nie mogąc uniknąć spotkania z Buchananem, Phoebe postanowiła siedzieć cichutko jak prawdziwa dama i jakoś to przetrwać. Jednakże w miarę rozwoju sytuacji była coraz bardziej zafascynowana. Wcale nie musiała się odzywać, przeciwnie, gdyby coś powiedziała, z pewnością zostałyby to odebrane jako wtrącanie się w nie swoje sprawy. A więc Belle Foster stanęła w końcu po stronie swojej córki! W samą porę! Co więcej, dała zięciowi jasno do zrozumienia, choć uczyniła to niebywale taktownie, że będzie lepiej dla niego, jeśli on również zmieni zdanie. Z niekłamana radością Phoebe obserwowała, jak Buchanan bierze tęgie baty, a wszystkie argumenty po kolei wymykają mu się z rąk. Jak cudownie, że ta rozmowa nie przeszła jej koło nosa! Wyglądało na to, że Clara ostatecznie postawiła na swoim.

Kiedy Belle zasugerowała, by podczas pobytów w Brisbane Buchanan mieszkał w jej rezydencji, Phoebe spuściła wzrok, by nie zdradzić się ze swoją radością. A to dopiero zabawa! Wprowadzając się do srogiej teściowej, Buchanan mógł być pewien, że odtąd żadne skoki w bok nie będą wchodziły w grę. Phoebe domyślała się, że romans z Lallą nie był jedyny, słyszała na temat Buchanana wiele plotek. W Brisbane uchodził za niepoprawnego kobieciarza, choć naturalnie nikt nie był na tyle okrutny, by powiedzieć o tym Clarze.

Phoebe zastanawiała się, czy do Belle te pogłoski dotarły, wydało jej się to jednak raczej wykluczone. Nikt nie odważyłby się przy niej skrytykować — słusznie czy też nie — kogokolwiek z jej rodziny, gdyż z pewnością usłyszałby, że ma się nie mieszać w nie swoje sprawy. Nie. Belle po prostu zobaczyła farmę na własne oczy, zrozumiała, że sprawy idą ku lepszemu, i stwierdziła, że sprzedaż byłaby w tym momencie czystym absurdem. Dzięki Bogu!

Po kolacji Clara, wciąż radosna i podekscytowana, przyniosła nienagannie prowadzone księgi farmy, aby udowodnić matce, iż naprawdę nie ma się już o co martwić. Nie ulegało wątpliwości, że dysponując kapitałem ze zrealizowanych obligacji, szybko i bez trudu postawią hodowlę z powrotem na nogi.

Phoebe postanowiła zostawić je same. Wzięła książkę i poszła na górę. Teraz, kiedy czuła się dużo lepiej, a jej przyjaciółka Clara odzyskała humor, nadeszła chyba odpowiednia pora, by się pożegnać. Phoebe wiedziała, że musi wyjechać, że nie znieśie dalszego pobytu

405

|

«idzisz te od

źród!_° ? «? właśd

^Testempewm

McCrienbylchy

_ Ale skoro wi'

_ Samo źródło

a wszystkie odnogi

prawdopodobnie w;

przeganiając bydło potknął, Tom spad zmarł. Jego żona p: się coraz dotkliwsz końców
zaprószył

— Co się stało

- Wyszedł z i dziwić. Gdyby go owak tego było j pracownikom i w> na sprzedaż, ale ji
Źródła Winna trafić, choć będzi< sama tak daleko, L zgubić.

Nie miała jak]

ktora z czarnych
??? jedna z nich,
z Podziwu dla po
zawsze jej impon
ze Potrafi mu di
l szykować, że
b?dzie się jej tn
Phoebe była
jechały, kiedy <
O?romna. Gdzi<
nie uważała, ac
Pomogło. Clara
dziesiątki innyc
PATRICIA SHAW

w domu Buchanana. Powie, że martwi się o rodziców i chce jak najszybciej do nich wrócić, że jej miejsce jest teraz przy nich. Ktoś na pewno odwiezie ją do Charleville, a dalej pojedzie pociągiem. W drodze z Brisbane widziała wiele kobiet podróżujących samotnie i to nawet w dużo mniej wygodnych wagonach drugiej klasy. Taka podróż będzie z pewnością niezapomnianą przygodą.

Szykując się do spania, zdjęła narzutę i ułożyła poduszki jedną na drugiej, żeby jeszcze trochę poczytać. I wtedy zauważyła ten list.

List? Uśmiechnęła się, sądząc, że to Clara, ucieszona ostatnimi wydarzeniami, chce później podzielić się z nią swą radością. W ciszy i spokoju.

Jednakże list znajdował się w dwóch kopertach. Dla zabezpieczenia. Spojrzawszy na napisane ołówkiem słowa, wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

Autorem listu był Ben Beckman! Jej Ben!

Rozejrzała się po pokoju, kompletnie zdezorientowana. Przecież on gdzieś tu musi być! Na farmie! Tylko po co ta tajemniczość? W pierwszym odruchu chciała pobiec na werandę i odszukać go, lecz się opanowała, usiadła i zaczęła czytać.

Z każdą linijką wpadała w coraz gorszy nastrój. Sądziła, że może im ufać, przynajmniej Clarze i Belle, tymczasem okazało się, że także one spiskowały przeciwko niej. Ben nie otrzymał żadnego z jej listów, listy od niego również gdzieś zaginęły. Gdzie? Phoebe zrozumiała, że Buchananowie sprawdzają całą jej korespondencję. Była tak wściekła, że miała ochotę natychmiast się z nimi rozmówić, postanowiła jednak doczytać list do końca. Ben chciał ją odwiedzić, lecz został odprowadzony już przy bramie. Nie napisał, przez kogo. Jak oni śmieli! Czy to ma oznaczać, że ona jest ich więźniem?

— Jeszcze zobaczymy — syknęła.

Jednakże Ben był w pobliżu i czekał na nią. Przy źródłach Winnaroo. Wiedziała, gdzie to jest, Clara sama jej pokazała.

Phoebe często słyszała tę nazwę, a kiedy pewnego dnia sprawdzały ogrodzenia, regularnie niszczone przez przejeżdżających tamtędy poszukiwaczy złota, którzy za nic mieli cudzą własność, Clara zabrała ją na szczyt góry i wskazała ręką w kierunku jakichś skał.

Phoebe spodziewała się ujrzeć oazę zieleni, tymczasem jej oczom ukazała się po prostu równina porośnięta zieloną trawą i młodymi drzewami, niczym nie różniąca się od terenów farmy.

— Gdzie? — spytała Phoebe.

406

OGNIE FORTUNY

— Widzisz te odsłonięte skały? Właśnie tam. Źródła są w środku. Wygląda to jak zwykła góra, dlatego długo nie wiedzieliśmy, że jest tam

źródło.

— A czy właściciel tej farmy wiedział? — zainteresowała się Phoebe.

— Jestem pewna, że tak, chociaż nigdy się nie zdradził. Stary Tom McCracken był chytrym lisem.

— Ale skoro wiedział o źródłach, dlaczego porzucił tę farmę?

— Samo źródło jest zbyt małe, by zasilić w wodę całą farmę, a wszystkie odnogi powysychały. McCracken zaczął kopać studnie, prawdopodobnie wzdłuż podziemnych źródeł, ale biedak źle skończył, przeganiając bydło z buszu. Zawsze jeździł jak wariat. Jego koń się potknął, Tom spadł, został stratowany przez byka i po paru dniach zmarł. Jego żona próbowała radzić sobie sama, chociaż susza stawała się coraz dotkliwsza, ale jej kucharz był okropnym pijaczyną. Koniec końców zaproszył ogień w kuchni i puścił dom z dymem.

— Co się stało z tym kucharzem?

— Wyszedł z pożaru cało i uciekł, czemu zresztą raczej trudno się dziwić. Gdyby go wtedy dopadła, na pewno by go zastrzeliła. Tak czy owak tego było już dla niej za wiele. Sprzedała bydło, zapłaciła pracownikom i wyniosła się stąd na dobre. Farma została wystawiona na sprzedaż, ale jak dotąd nie słyszałam o żadnych chętnych.

Źródła Winnaroo. Phoebe była niemal pewna, że uda się jej tam trafić, choć będzie musiała bardzo uważać. Nigdy nie zapuszczała się sama tak daleko, a przecież busz wygląda wszędzie tak samo, łatwo się zgubić.

Nie miała jak przesłać Benowi odpowiedzi, ponieważ nie wiedziała, która z czarnych służących przemyciła list do jej pokoju. To musiała być jedna z nich, lecz Phoebe bałaby się spytać. Za to nie mogła wyjść z podziwu dla pomysłowości Bena. Był bardzo zdeterminowany, czym zawsze jej imponował. Zresztą nie tylko tym. Postanowiła udowodnić, że potrafi mu dorównać. Zamiast jechać przez całkiem obce tereny i ryzykować, że się zgubi, dojedzie do granicy posiadłości, a potem będzie się jej trzymać. Tylko w którą stronę powinna się skierować?

Phoebe była zmęczona i nie mogła sobie przypomnieć, dokąd jechały, kiedy Clara pokazała jej te źródła. Ta farma jest przecież ogromna. Gdzie, do licha, wtedy były? Wyrzucała sobie, że bardziej nie uważała, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że niewiele by jej to pomogło. Clara często zjeżdżała ze szlaku, żeby napić konie i zrobić dziesiątki innych ważnych rzeczy.

407

PATRICIA SHAW

Położyła się do łóżka, wiedząc, że raniem powinna być wyspana i wypoczęta, lecz zamiast spać, zaczęła snuć plany na następny dzień.

Zdawało jej się, że upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy Clara weszła do pokoju, żeby ją obudzić.

— Wstawaj, śpiochu. Jedziesz ze mną? Phoebe otworzyła oczy i wyjrzała spod kołdry.

— Och, jest tak strasznie zimno — odparła, kuląc się. — Chyba nie bardzo mam ochotę. Clara roześmiała się.

— Rzeczywiście, chłodno dzisiaj. Dobrze, wyśpij się. Do zobaczenia później. Chcesz śniadanie do łóżka?

— Dziękuję, chętnie. — Phoebe wiedziała, że kucharka woli, żeby goście jedli śniadanie w łóżkach, niż żeby psuli jej cały rozkład dnia. Ben i Clara jedli śniadanie o szóstej rano, czasami nawet wcześniej. Tego dnia ów zwyczaj był Phoebe bardzo na rękę.

Chociaż nie mogła się już doczekać, kiedy wyruszy w drogę, została w łóżku, aż do chwili kiedy Sissy, jedna z czarnych służących, przyniosła tacę. Zapowiadał się ciężki dzień, Phoebe zjadła więc wszystko, do ostatniego okruszka, i wypła filiżankę gorącej herbaty. Później spakowała swoje rzeczy, zostawiając na wierzchu jedynie to, w co zamierzała się ubrać.

Prędzej czy później spostrzegą jej zniknięcie, lecz uważała, że nie zasługują na wyjaśnienia. Żadne z nich. Kiedy spotka się z Benem, poprosi go, by zabrał ją prosto do Charleville, skąd wróci pociągiem do Brisbane.

Wsunęła walizkę pod łóżko, później ubrała się w strój jeździecki i ciężką zamszową kurtkę. Zanim wyszła, rozejrzała się po pokoju. Kiedy Sissy przyjdzie posprzątać, nie powinna niczego zauważyć. W pokoju panował taki sam porządek jak co dzień, szafy i szuflady były pozamykane. Po chwili namysłu Phoebe wyjęła z walizki koszulę nocną i rzuciła na łóżko. Nie chciała, by służąca zaczęła jej szukać.

Phoebe postanowiła, że dopiero po powrocie do domu napisze list do Clary, w którym wyjaśni przyczyny swojego nagłego wyjazdu i wyrazi żal z powodu sposobu, w jaki została potraktowana. Chociaż zdawała sobie sprawę, że inspiratorką całego tego spisku musiała być Lalla. W liście tym zamierzała też poprosić Clare, by przesłała jej bagaże.

Do zewnętrznych kieszeni włożyła chusteczki do nosa, do wewnętrznej niewielki zwitek jednofuntowych banknotów, zawiązała szal, włożyła toczek i wyszła z domu przez werandę. Jeden z czarnych pracowników osiodłał dla niej Cleo.

408

OGNIE FORTUNY

— Jedzie panienka w stronę zagród? — spytał, bardzo podekscytowany.

— Nie. A dlaczego?

— Bo tam dzisiaj będą piętnować bydło — wyjaśnił zawiedziony, że akurat tego dnia przyszło mu pracować w stajni.

— Chyba przejadę się w stronę bramy — rzekła. — Tam jest spokojnie. Aha — spytała jeszcze, wskakując na konia — gdzie są źródła Winnaroo?

— Tam — wskazał jej kierunek. — Kawał drogi stąd.

— Dziękuję — powiedziała Phoebe i odjechała.

Moss usłyszał koniec tej rozmowy, gdyż akurat wyszedł ze stajni, kierując się do kuźni, gdzie kowal podkuwał jego konia. Powinien być już gotowy. Moss zastanawiał się, po co taka mieszcanka miałaby jechać do Winnaroo. Wprawdzie on sam nie raz przyjmował tam gości, miejsce to było bowiem owiane legendą, kobiety jednak same nigdy tam nie jeździły.

Jako człowiek prosty Moss podzielił się wątpliwościami z kowalem, który również uznał pomysł Phoebe za nierozsądny.

— Głupie baby — wyrzekął. — Wszystko muszą zobaczyć. Idę o zakład, że się zgubi. A potem my będziemy jej szukać przez pół choleryjnej nocy. Lepiej powiedz pani.

— Pojechała zaganiać zbłąkane bydło — stwierdził Moss. — A ja muszę jechać do zagród. Munga nie ma, więc brakuje nam rąk do pracy.

— To w takim razie powiedz szefowi. On tam na pewno jest. Obedrze cię ze skóry, jeśli dziewczucha nie wróci do zmroku, a on się dowie, że o wszystkim wiedziałeś.

Kowal miał rację. Moss nie chciał brać takiej odpowiedzialności. Odebrał konia i pojechał tam, gdzie przez labirynt balustrad i bramek, w błocie i zgiełku zaganiano do zagrody setki oszalałych sztuk bydła, by wypalić na ich skórze znamię farmy Fairmont.

Szef rzeczywiście tam był. Siedział okrakiem na balustradzie, w samym centrum wydarzeń, krzyczał na ludzi, by nie pozwalali bydłu się zatrzymywać, i sam poganiał je butem oraz batem. Moss nie miał szans dostać się do niego, poza tym miał mnóstwo roboty, kiedy jednak przepędzono pierwsze stado i zarządzono przerwę na papierosa, czym prędzej doszedł do Buchanana.

— Zastanawiałem się — rzekł — czy pannie Phoebe nic się nie stanie? Przecież do Winnaroo jest kawał drogi, a ona wybrała się tam całkiem sama.

409

PATRICIA SHAW

— O czym ty gadasz? — spytał zniecierpliwiony Buchanan.

— O pannie Phoebe. Pojechała do źródeł.

— Ty chyba oszalałeś, durniu! Źródła są na farmie McCrackena.

— N... no cóż... tak. — Mos nie lubił, kiedy nazywano go durniem, zwłaszcza w obecności innych pracowników. „Powiniennem być pilnować swojego nosa — pomyślał, po czym wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie. — Skoro z Buchanana taki mądrała, niech sam sobie radzi.”

Szef popijał czarną herbatę z emaliowanego kubka i ponuro wpatrywał się w ognisko. Temu przekłętemu głupcowi wszystko się pomieszało! Później jednak zaczął się nad tym zastanawiać. A jeżeli naprawdę pojechała do tych źródeł? Tylko po co? Nigdy dotąd nie jeździła sama tak daleko. Dlaczego więc i czemu właśnie tam?

Odpowiedź na to pytanie dosłownie go poraziła. Czyżby Beckman zdołał się z nią skontaktować? Czyżby w jakiś sobie tylko znany sposób umówił się z nią na spotkanie? Mungo przyznał, że go zgubili i myśleli, że jedzie na farmę. Para idiotów. Jezu! Nagle uświadomił sobie, że Phoebe Thurlwell na pewno uwierzy Beckmanowi, że to on został zaatakowany. Tu już nie chodziło o żadne sądy, tylko o jej niewyparzoną gębę. Przecież ona go nienawidzi. Będzie wrzeszczeć o tym na wszystkie strony, a w politycznym tyglu Brisbane trochę błota, którym go obrzuci, na pewno się do niego przylepi.

Gwizdnął na Mossa, ten zaś odłożył żelazo do piętnowania, które właśnie zaczął na nowo rozgrzewać w niewielkim piecyku, i powoli podszedł.

— Skąd wiesz, że pojechała do Winnaroo?

— Słyszałem, jak pytała o drogę — odparł Moss.

— Cholera jasna! — warknął Buchanan udając, że jest wściekły, bo z powodu dziewczyny musi przerwać pracę. — Idź po konia. Musimy ją dogonić.

Moss wskoczył na konia, usatysfakcjonowany i dumny, że pojedzie z szefem, chociaż wiedział, że pozostali są zbyt zapracowani, by zwrócić na to uwagę. A nawet jeśli, to i tak pewnie pomyśla, że szef i Moss udali się po następne stado, a nie na przejażdżkę w poszukiwaniu młodej panny.

Okazało się jednak, że to wcale nie przejażdżka. Buchanan pędził jak szalony, zmierzając najkrótszą drogą do Winnaroo.

— Na pewno nie dojechała jeszcze tak daleko, szefie — zauważył Moss, kiedy przeprawili się przez strumień. — Przecież nie zna tych skrótów.

410

OGNIE FORTUNY

— Zgadza się. Nie mam zamiaru zmarnować całego dnia, jeżdząc po buszu i szukając jakiejś cholernej baby. Pojedziemy prosto do Winnaroo i tam na nią zaczekamy. A jeśli się nie zjawi, znajdziemy ją w drodze powrotnej.

Moss miał poważne zastrzeżenia do tego planu. Gdyby to od niego zależało, od razu by się rozdzielili i zaczęli jej szukać, zanim dziewczucha zgubi się na dobre. Wierzył jednak, że szef wie, co robi, poza tym w ten sposób omijała go najgorsza robota. Wiedział, że pozostali będą kląć na czym świat stoi, a szefowa pewnie też się nie ucieszy. Na pewno będzie wściekła na dziewczynę za to, że zdeorganizowała jej cały dzień.

W obozowisku Aborygenów na farmie Fairmont Mandjałę przyjęto niezwykle serdecznie. Wszyscy ściskali go, uśmiechali się i płakali z radości, że znowu go widzą, należał bowiem do starszyny rozproszonego klanu i cieszył się ogromnym szacunkiem jako mędrzec, który — wszyscy o tym wiedzieli — grawituje ku zaszczytnej funkcji czarownika, opiekuna tajemnic.

Siedział w cieniu nad wodą i rozmawiał z nimi o czasach dawnych i o dzisiejszych. Jego list otoczono należną mu troską. Przechodził z rąk do rąk, wreszcie dotarł do biegacza, który zaniósł go do obory, gdzie pracowało kilka czarnych dziewcząt, te zaś dały go jednej z

pokojówek. Ani Mandjala, ani nawet jego przyjaciele nie orientowali się, w jaki sposób wiadomość dotrze do białej dziewczyny, po prostu wiedzieli, że tak się stanie. Rano niektórzy młodzi poszli oglądać znakowanie bydła, lecz Mandjala został z przyjaciółmi, słuchając ich opowieści i odpowiadając, najlepiej jak umiał, na pytania dotyczące zasad życia plemiennego, które były coraz bardziej zagrożone. Zrobił to, o co prosił go Ben, dostarczył dziewczynie wiadomość i teraz już wszystko zależało tylko od niej. Mandjala nie wiedział, co myśleć o związku Bena z białą dziewczyną, za mało o nim wiedział, chociaż odnosił wrażenie, że Ben próbuje wykraść dziewczynę należącą do innego klanu. Klanu, który tego związku nie akceptuje. To musi oznaczać kłopoty. Lecz czemu tu się dziwić? Przecież ten młody człowiek nigdy nie otrzymał właściwego wychowania.

Winnaroo było tak samo cudowne jak dawniej i kryło w sobie mnóstwo tajemnic z najdalszej przeszłości. Po ogrodzeniach, które zbudowali, nie został już prawie ślad. Stratowały je dzikie konie i jeszcze tylko gdzieniegdzie z ziemi sterczały resztki solidnej dREW-

411

PATRICIA SHAW

nianej konstrukcji, porośnięte bujną trawą. Ścieżka była teraz szersza, poszycie zostało zdeptane przez konie i ludzi, choć już zaczynało odrastać, a paprocie, niczym nieliczna armia, uparcie walczyły o każdą piędź ziemi.

Z żalem w sercu Ben wspomniął Casha. Zdrada, której tamten się dopuścił, wciąż bolała, pewnie dlatego że był wtedy jedynym przyjacielem Bena i podobnie jak wcześniej Willy okazał się przyjacielem fałszywym. Lecz Ben mógł mieć pretensje tylko do samego siebie. Za bardzo zależało mu na towarzystwie, za bardzo pragnął akceptacji. Zaczął się zastanawiać, czy nadal tak jest? To, że został szefem stajni, sporo zmieniło, i ta sprawa zeszła na dalszy plan.

Wiedział, że jeśli Phoebe dostała jego list i jeśli zdecydowała się na samotną wycieczkę do Winnaroo, dotrze na miejsce najwcześniej około południa, sprowadził więc konia po stromej krętej ścieżce, by rozbić obozowisko na piaszczystym brzegu. Starannie spętał Peppera, po czym dla zabicia czasu wybrał się na przechadzkę po okolicy.

Wspinał się na skałki, przeskakiwał z głazu na głaz, obchodząc dokoła ukryte jezioro. W kilku płytkich jaskiniach natknął się na aborygeńskie znaki i ścienne malowidła. Ben przyglądał się im z zainteresowaniem, wiedział bowiem, że opowiadają historie z zarania dziejów, aczkolwiek w żaden sposób nie potrafił ich zinterpretować. Wspinał się coraz wyżej, próbując dotrzeć na sam szczyt skały, skąd miałyby wspaniałe widoki na okolicę i gdzie mógłby siedzieć, wyglądając przybycia Phoebe.

Wysiłki wszakże okazały się daremne. Na szczyt nie udało mu się wejść. Rozejrzawszy się uważnie, pojął, że Winnaroo to krater wygasłego wulkanu, w dolnej części tak bardzo zarośnięty drzewami, że aż nierozpoznawalny.

— A więc to tak — mruknął i szedł dalej. Zafascynowany mnogością starych cykasów i orchidei, słuchał śpiewu mnóstwa ptaków i podziwiał kangury, z łatwością pokonujące każdą stromiznę. — To oranzeria, ptaszarnia i ogród zoologiczny — powiedział do siebie, spoglądając w dół, na cudowne źródło.

Ben zaczynał czuć się tak, jakby ta oaza spokoju należała do niego, i już nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł pokazać ją Phoebe. Nie wątpił, że piękno tego miejsca oczaruje ją tak samo jak jego. Wprawdzie nie napisał, żeby przyjechała sama, lecz bardzo liczył, że tak będzie. Wszak z jego listu jasno wynikało, że nie jest mile widziany na farmie.

412

OGNIE FORTUNY

Ponownie ogarnęły go wątpliwości. Co będzie, jeśli Phoebe zignoruje jego prośbę? Jeśli nie zechce się z nim widzieć?

— No cóż — wzruszył ramionami, sam sobie odpowiadając na to pytanie. — Kilka dni w takim miejscu na pewno nie będzie udawką. A potem... zobaczymy.

Dotarli do granicy farmy, wjechali na ziemie McCrackena i skierowali się ku widocznej z daleka skale, lecz dziewczyny wciąż nie spotkali. Jazda zajęła im dwie godziny, Moss przypuszczał, że dziewczyna przybędzie na miejsce jakąś godzinę po nich. Oczywiście pod warunkiem że się nie zgubiła, nie skreśliła karku ani nie zatrzymała gdzieś, żeby narwać kwiatków, co kobiety tak bardzo przecież lubią.

— Sądzi pan, szefie, że dojedzie? — spytał, w dalszym ciągu przekonany, że znacznie lepiej byłoby zawrócić i od razu rozpocząć poszukiwania, ale Buchanan zignorował go i jechał dalej, chociaż nieco wolniej.

U podnóża ogromnej skały, która z daleka wydawała się znacznie mniejsza, Buchanan wstrzymał konia.

— Zaczekasz tutaj — poinstruował Mossa. — Powinna nadjechać z tej strony, więc jej wypatruj. A ja tymczasem trochę się rozejrzę.

— W porządku, szefie — odparł Moss, zeskakując na ziemię i sięgając do kieszeni po kapciuch z tytoniem. — Zakukam, jeśli ją zobaczę, ale wydaje mi się, że to jeszcze trochę potrwa.

Buchanan nie lubił tego miejsca. Dorastał na farmie Caravale, położonej tak głęboko na terytoriach Aborygenów, że rejon Charleville wydawał mu się niemal przedmieściami. Kiedy do Winnaroo po raz pierwszy przyprowadził go jeden z pasterzy, Buchanan zrozumiał, że musi się mieć na baczności. Wychowywał się wśród Aborygenów, przejął wiele ich przesądów. Widział ludzi umierających wskutek działania czarów, nauczył się też omijać ich święte miejsca, przynoszące pecha.

Spojrzał na wysoką skałę, kamienny monolit na gładkiej równinie, wzdrygnął się, po czym ruszył przed siebie. Wprawdzie pogardzał Aborygenami, lecz jednocześnie czuł zdrowy respekt przed ich tajemniczymi mocami. A nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Winnaroo to dla nich świątynia. Złe gusła, mawiali Chińczycy o czarach Aborygenów, jak ognia unikali szamanów i trzymali się z dala od miejsc inicjacji.

413

PATRICIA SHAW

Buchanan był w środku tylko raz. Podczas gdy Clara i goście chłodzili się nad wodą, on zwiedził tę zamkniętą w skale dzunglę i znalazł jaskinie z ochrowymi malowidłami.

Kiedy z powrotem dołączył do grupy, usłyszał, jak ktoś mówi, że w przeszłości to miejsce na pewno służyło czarnym, lecz dawno stąd odeszli.

„Akurat” — pomyślał. Malowidła były świeże jak wówczas, gdy je namalowano, być może całe wieki temu, co oznaczało, że wybrańcy, czarownicy, każdego pokolenia przychodzili i dalej przychodzą, by odświeżyć farbę. Wprawdzie nie zauważył żadnego innego śladu ich obecności i wyglądało na to, że raczej nie ma ich w pobliżu, ale i tak w tym przeklętym miejscu dostawał gęsiej skórki.

Zwłaszcza teraz, skoro gdzieś w pobliżu kręci się ten Beckman. — Złe gusła. Dla niego też — mruknął, spętał konia, załadował strzelbę i zarzucił na ramię, po czym ruszył w stronę ukrytego pomiędzy głazami wejścia. Beckmana nie było na zewnątrz, Ben starannie to sprawdził, musi więc być gdzieś w środku. W pułapce, bo drugiego wyjścia nie ma. Przy odrobinie szczęścia może ustrzelić bękartą, wykończyć go, a ciało wrzucić w gęste zarośla, w których zgłodniałe dingo szybko dokończą dzieła. Plan był tak doskonały, że Buchanana ogarniała złość na samą myśl, że Beckmana może tam w ogóle nie być. Trochę wątpił, czy prawidłowo tłumaczy sobie powody nagłej potajemnej wycieczki Phoebe Thurlwell do Winnaroo. Skoro jednak już tu przyjechał, trzeba się upewnić. Nie obchodziło go, czy dziewczyna dotrze na miejsce, czy nie. Jeśli się zgubiła, śmiał się w duchu, to już jej pech.

Złe gusła. Mossem nie musi się przejmować, gdyby nawet usłyszał strzał, jest na tyle daleko, że zanim się zjawi, będzie po wszystkim. Wyjaśnienie będzie proste i nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Dzika kaczka. Chybiony strzał.

Na każdym zakręcie ścieżki Buchanan zatrzymywał się, chwilę czekał, po czym ostrożnie szedł dalej.

I nagle go zobaczył. Beckman szedł po zboczu w jego stronę. Buchanan go nie słyszał. Clara twierdziła, że głuchnie, choć to przecież bzdura, słyszy nie gorzej niż inni. Poza tym mieszaniec, który stanął jak wryty i gapił się na niego kompletnie zaskoczony, był bez butów.

— Ręce do góry! — krzyknął Buchanan, stwierdziwszy z zadowoleniem, że Beckman jest nie uzbrojony. Czy aby na pewno?

— Czego chcesz? — spytał gniewnie Beckman, posłusznie unosząc ręce.

— Najpierw dawaj nóż.

414

OGNIE FORTUNY

— Jaki nóż?

— Podciągnij nogawkę. Pamiętaj, jeden podejrzany ruch i będzie po tobie. — Uznał, że będzie wygodniej załatwić go na dnie krateru, zamiast taszczyć trupa na dół i ryzykować, że na ścieżce zostaną ślady krwi.

Na widok skórzanego paska roześmiał się triumfująco.

— Rozepnij go i rzuć na ziemię. Wszystko, pochwę też.

Stał w odległości zaledwie paru jardów i trzymał go na muszce, Beckman nie miał więc wyjścia. Jedną ręką, drugą nadal miał podniesioną, odpiął nóż i odrzucił na bok.

— Poprzednio udało ci się mnie pokonać — chełpił się Buchanan. — Zapomniałem o nożu. To ona nauczyła cię go tak nosić, ty czarny mieszczechu?

— O kim mówisz?

— Jak to o kim? O Diamond.

Beckman spojrzał na stojącego nad nim mężczyznę i skinął głową.

— Tak przypuszczałem. Nie, tego akurat mnie nie nauczyła, chociaż to jej nóż.

— Nie na wiele ci się teraz przyda, co?

— To oczywiste. Czego ode mnie chcesz? Nigdy ci nie wchodziłem w drogę. Nie miałem pojęcia, że coś nas łączy, do czasu kiedy mnie zaatakowałaś.

— Akurat nie miałeś!

Więzień spojrzał na niego spokojnie, jakby nie rozumiał, że jego życie liczy się teraz w minutach.

— To ciekawe — rzekł. — A więc coś nas jednak łączy? Niewiele to warte, choć dobrze przynajmniej wiedzieć, że mam ojca. Żywego.

— Nic nie masz! Twoja matka była dziwką! Twoim ojcem mógł być każdy z jej klientów, ale ja nie pozwolę, żebyś to mnie wytykał palcami.

— I dlatego tu jesteśmy, czy tak?

— Tak.

Ben stał bez ruchu. Było oczywiste, że ten maniak gotów jest go zastrzelić, po to tylko, by ratować swoją reputację, i nie miało sensu błagać go o darowanie życia. Zresztą Ben za nic w świecie by się do tego nie zniżył. Jednakże nawet w tych ostatnich chwilach chciał się dowiedzieć jak najwięcej o swojej matce. Czuł, że jest teraz blisko, że czeka na niego. Jakby spotkanie ich trojga było już dawno zaplanowane.

— Moja matka nie żyje — powiedział.

415

PATRICIA SHAW

— Wiem.

— A ja wiem, że była z tobą na północy. — Ben miał na myśli farmę Caravale, toteż zdziwił się, kiedy Buchanan skinął głową i rzekł:

— Tak, to prawda. W Palmer zachorowałem na malarię, a ona mnie z tego wyciągnęła. Muszę przyznać, że ją podziwiałem. Miała charakter.

— Pojechała z tobą do Palmer?

— Nie. Zjawiła się tam, prawdopodobnie z całą resztą dziwek.

— Moja matka nie była dziwką. Przestań tak mówić!

— Jezu, co ty możesz wiedzieć, młokosie? — Buchanan nie śpieszył się i najwyraźniej miał ochotę pogadać. — Kiedy była pokojówką na mojej farmie, szalałem za nią. Teraz już mogę ci to powiedzieć. Była wspaniała, w życiu nie spotkałem takiej Aborygenki jak ona. Ben skrzywił się, lecz nie przerywał, czekając na sposobność do działania.

— Była inteligentna, umiała czytać i pisać. Ale przecież za nic w świecie nie poślubiłbym czarnej. Kiedy się o tym dowiedziała, zrobiła się nieznośna. Musiała odejść. — Wzruszył ramionami. — Pojechała do Charters Towers i nawet nie próbuj zaprzeczać. Wiedziałem o każdym jej kroku. Pracowała w chińskim burdelu, a z takim imieniem szybko stała się sławna. Jej koleżanka, niejaka Goldie, jest teraz madame Błękitu Niebios w Brisbane. Ale ty zapewne nigdy tam nie byłeś?

Ben zignorował ten oczywisty przytyk.

— I mimo to pomogła ci na tych polach złotonośnych, kiedy zachorowałeś?

— I co z tego? Odwróć się i schodź na dół. Ręce trzymaj w górze. Idź tak, żebym przez cały czas cię widział. Żadnych sztuczek na zakrętach.

Ścieżka była wilgotna i bardzo śliska. Ben szedł boso i nie miał kłopotów z utrzymaniem równowagi, natomiast Buchanan w ciężkich butach musiał bardzo uważać.

— Czy mogę cię spytać o coś jeszcze? — odezwał się Ben, mijając zakręt.

— O co?

— Znalazłeś w Palmer złoto?

— Nie. Byłem za bardzo chory. Cała ta wyprawa okazała się cholerną stratą czasu.

416

OGNIE FORTUNY

— Diamond nie była tam dziwką. Szukała swojego plemienia. Rodziny.

— A tak. Coś sobie przypominam.

— Jej plemię nazywało się Irukandji.

— Tak, rzeczywiście. Przekłęci kanibale! I co ty na to?

— Nic. Nie przeszkadza mi to. Powinna była cię zostawić i pozwolić ci umrzeć.

— Masz pecha, że tego nie zrobiła.

Ben zatrzymał się. Ostatnio słowo musi należeć do niego.

— Więc nie wiedziałeś o złocie?

— O jakim złocie? W Cooktown skończyło się taką samą awanturą. Tylko dlatego że spędziliśmy razem parę miesięcy, wydawało się jej, że się z nią ożenię albo przynajmniej zabiorę ze sobą do Caravale. Czarna dziwka! Jezu! Wywiązała się prawdziwa bijatyka, a ta dziwka zaatakowała mnie nożem. Twoja kochana mamusia piekielnie dobrze posługiwała się nożem. I zawsze go nosiła.

— Nic dziwnego. Trudno, żeby czarna kobieta chodziła między białymi facetami bez żadnej broni — odparował Ben.

— Pewnie, tylko że rzucając się z nim na mnie, popełniła największy błąd w swoim życiu. Przepędziłem ją. Z powrotem do gnoju, tam gdzie wasze miejsce.

Ben roześmiał się.

— To ty popełniłeś błąd! Diamond znalazła złoto. Ludzie z jej plemienia pokazali jej, gdzie trzeba szukać. Zawsze wiedzieli, ale złoto nie było im do niczego potrzebne. Przepędziłeś bardzo bogatą kobietę.

— Kłamiesz! — wykrzyknął Buchanan.

— A po co miałbym to robić? Wróciła do domu z górą złota. Kupiła dom na Kangaroo Point.

— Dom należał do tej Niemki.

— Ależ skąd! Wszystko należało do Diamond. Dzięki jej zlotu żyliśmy przez te lata w dostatku.

Ben wyczuł, że tą wiadomością wytrącił przeciwnika z równowagi, i postanowił wykorzystać nadarżającą się szansę. Zwisająca liana, odsunięta przez przebiegające zwierzę, kołysała się tuż obok szyi Buchanana. Zwinięta i czarna, bardzo przypominała węża.

— Nie ruszaj się! — krzyknął, wskazując palcem. Ogólnie przyjęte ostrzeżenie przed wężem.

Buchanan spojrział w bok, a wtedy Ben rzucił się przed siebie, próbując złapać strzelbę. Lecz Buchanan był szybszy. Zdzielił Bena kolbą tak mocno, że ten potoczył się po zboczu. Dopadł go i zaczął

27 Ognie fortuny

417

PATRICIA SHAW

kopać ciężkimi buciorami po głowie i plecach, nie pozwalając mu podnieść się z ziemi.

— Chyba nie liczyłeś, że się nabiorę na taką starą sztuczkę? — wrzeszczał Buchanan, nie przestając go kopać. — Na dół! Szybko!

Chociaż w głowie mu huczało od potężnych razów, Ben słyszał, jak nadbiegają, i zastanawiał się, dlaczego Buchanan nie reaguje. Czyżby tak bardzo chciał go skatować, że gotów był zignorować śmiertelne niebezpieczeństwo?

Pomimo ciosów, nie zważając, że Buchanan odwraca strzelbę i szykuje się do strzału, Ben zdołał jakoś stanąć na nogi, rzucił się w bok i potoczył po ziemi, byleby tylko uciec jak najdalej od ścieżki.

Wybiegły zza zakrętu, stado dzikich koni, prowadzone przez potężnego ogiera, galopując po zboczu do wodopoju i tratując wszystko, co weszło im w drogę. Buchanan stał do nich tyłem; kiedy znalazł się pod ich kopytami, zaczął wrzeszczeć, próbując jakoś się wydostać. Przy pierwszej okazji Ben zanurkował w jego stronę, chwycił wyciągniętą rękę i odciągnął Buchanana w bezpieczne miejsce. Konie zniknęły tak samo nagle, jak się pojawiły, i znowu nastała cisza. Ben leżał obok Buchanana i sapał z wysiłku, piekielnie obolały po laniu, jakie ten mu sprawił.

Z trudem podniósł się z ziemi i zajął Buchananiem, który żył, ale był nieprzytomny. Twarz miał zakrwawioną, nogę strasznie wykręconą, rękę prawdopodobnie złamaną. Ben przypuszczał, że doznał także innych obrażeń, wiedział wszakże, że przede wszystkim musi jak najszybciej zawieźć go na farmę, do lekarza.

Dopóki dzikie konie nie odejdą, nie mógł przyprowadzić tu Peppera; koń dostałby chyba szału na widok swojego stada.

Z ogromnym wysiłkiem, czując ból w każdym mięśniu, podniósł bezwładne ciało i zaczął ostrożnie wspinać się po zboczu. Modlił się, by konie jak najdłużej zabawiły u wodopoju, wiedział bowiem, że w drodze powrotnej będą galopować w tempie równie szalonym.

— Co tu się dzieje? — Mossowi znudziło się bezczynne wyczekiwanie, dlatego też zlekceważył polecenia szefa, wsiadł na konia i pokłusował po zachodnim zboczu, gdzie natknął się na obcego dźwigającego bezwładne ciało Buchanana. Jezu, ależ on wyglądał! Jak zimny trup, cały zakrwawiony. Moss natychmiast sięgnął po strzelbę, odbezpieczył ją i wycelował w głowę obcego.

— Połóż go! — rozkazał.

— Nie mogę! Jeszcze nie! — odkrzyknął mężczyzna. — Pomóż mi,

trzeba go znieść z drogi.

418

OGNIE FORTUNY

— Ty jesteś Beckman! — wykrzyknął osłupiały Moss.

— Zamknij się i chodź mi pomóc. On jest cholernie ciężki. Moss zabezpieczył broń i zeskoczył na ziemię.

Kiedy ułożyli Buchanana na ziemi w bezpiecznej kryjówce pomiędzy głazami, Moss ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

— Jezu Chryste! Ale jest pokiereszowany. Co się, do diabła, stało?

— Dzikie konie — zaczął Ben. — Nie zszedł im z drogi... — Przerwał, uznając, że to nie jest odpowiednia pora na rozmowę o tym, co zaszło pomiędzy nim a Buchananiem. — Stratowały go. Chyba nie słyszał, jak nadciągają.

— Jest półgłuchy — wyjaśnił Moss. — Trzeba mu wrzeszczeć prosto do ucha albo stać twarzą do niego. Mówią, że wtedy czyta z ruchu warg. Coś mi się widzi, że teraz będzie miał też kłopoty ze wzrokiem.

Ben pokiwał głową, badając Buchanana.

— Dostał kilka razy po głowie, ma złamaną rękę i zmiądzoną kostkę. Strasznie charczy. Przypuszczam, że to jakieś obrażenia klatki piersiowej.

— W takim razie musimy jak najszybciej zawieźć go do domu. Ben nieraz widział podobne obrażenia, zadane przez więziennych strażników, i wiedział, że w takiej sytuacji przerzucenie ofiary przez konia nie wchodzi w grę. Potrzebne im były nosze.

— Chybaby tego nie przeżył — rzekł. — Nie możemy przywiązać go do konia.

— To co zrobimy?

Na polanie pojawiły się dzikie konie i potrząsając grzywami, pędziły w stronę zarośli. Moss chwycił za wodze swojego ogiera, który przestraszony zaczął stawać dęba.

— Musisz jechać — powiedział Ben. — I to szybko. Wracaj na farmę, każ posłać po lekarza, a potem sprowadź tu jakiś wóz.

— Tak. Tak chyba będzie najlepiej — zgodził się Moss.

— Więc jedź! — krzyknął Ben. — A ja spróbuję się nim zająć. Moss był już daleko, kiedy zaczął się zastanawiać, czego właściwie

Beckman szukał w Winnaroo. Wyglądało na to, że też trochę ucierpiał, był bowiem mocno posiniaczony. Buchanan szukał jego, a nie dziewczyny. I znalazł. A Mungo marnował czas w mieście. Daleko przed sobą zobaczył zbliżającą się dziewczynę.

— Cholerna dziewczucha! — warknął pod nosem. — Dojechała, i to całkiem szybko.

419

PATRICIA SHAW

Musiał się śpieszyć, nie miał czasu na rozmowy. Już chciał ominąć ją z daleka, zmienił jednak zamiar i pogalopował w jej stronę.

— Jedzie panienka do źródeł? — spytał, nie tracąc czasu na powitania.

— Tak — odparła. — Ty jesteś Moss, prawda?

— Zgadza się. Niech panienka się pośpieszy, może się tam przydać. Gdyby nie panienka, nie doszłoby do tego.

— Do czego?

— Szeł leży tam poturbowany, półżywy, a wszystko przez panienkę! Szukał panienki — parsknął śmiechem i popędził konia. Gardził nią.

Phoebe była przerażona. Zebrała Cleo i pogalopowała ku skale, pełna obaw, co tam zastanie. Do spotkania z Mossem była z siebie bardzo zadowolona. W niecałą godzinę po wyruszeniu spotkała grupę Aborygenów, którzy chociaż szli w dokładnie przeciwnym kierunku, zadali

sobie wiele trudu, by jej pomóc. Dwóch czarnoskórych chłopaków biegło przed nią radośnie przez co najmniej milę, do chwili gdy znalazła się na właściwej drodze.

Moss miał rację. Buchanan rzeczywiście był w bardzo ciężkim stanie, twarz i ubranie miał całe we krwi. Ben próbował założyć drewniane łubki na jego ramię. Uniósł wzrok i uśmiechnął się ponuro.

— Dzięki Bogu, że już jesteś. Przytrzymaj te łubki, a ja postaram się je przywiązać.

— Złamana? — spytała zsiadając z konia.

— Tak. Nastawiłem ją, ale nie mogę usztywnić. Pomóż mi.

— Nie potrafię — zadrżała. — Czy on umrze? Ben zignorował to pytanie.

— Potrafisz i musisz, Phoebe.

Powiedział to tak ostro, że Phoebe uklękła obok ciała i zrobiła, co kazał, usiłując utrzymać we właściwej pozycji łubki, które ciągle wyslizgiwały się jej z rąk.

— Na litość boską, chwyć je porządnie, a nie czubkami palców. Postaraj się! — warknął. — Mocno.

— Boję się, że to go zaboli — załkała.

— Nie zaboli, jest nieprzytomny.

Zobaczyła, że ma krew na dłoniach, i zrobiło się jej niedobrze. Kiedy Ben zaczął przywiązywać łubki mocnymi elastycznymi kłaczami, jeden znowu wysliznął się jej z rąk.

— Jezu! Trzymajże je porządnie!

420

OGNIE FORTUNY

— Staram się — odparła.

— To staraj się bardziej!

Opatrzywszy rękę, Ben zajął się nienaturalnie wykręconą prawą nogą Buchanana. Phoebe bała się, że zaraz zemdleje.

— Ściągnij mu but — polecił Ben. — Ja muszę zejść do swojego obozowiska po jakieś koce. Jest w szoku i może się wychłodzić.

— Chyba nie zostawisz mnie tutaj samej? — krzyknęła. — Co zrobię, jeśli się ocknie?

Spojrzał na nią, jakby jej nie poznawał.

— Pomożesz mu — odparł oschle i ruszył przed siebie. Przerazona i oburzona na Bena, że tak ją potraktował, pochyliła się

nad Buchananiem i zaczęła rozwiązywać mu but. Chciała jakoś pomóc, lecz ten widok przyprawiał ją o mdłości. Czy Ben nie potrafi zrozumieć, że nigdy w życiu nie widziała czegoś tak okropnego? Nigdy w życiu!

Obawiając się, że Ben jeszcze bardziej się na nią rozgniewa, zmagiała się z butem, co wcale nie było łatwe, a kiedy w końcu go zdjęła, zrozumiała, że będzie musiała zdjąć także skarpetkę, sztywną od krzepnącej krwi.

Przeszkadzały jej roje much, które odganiała od poturbowanej twarzy Buchanana. Na widok jego stopy znów o mało nie zwymiotowała. Skóra na wysokości kostki była przebita przez złamaną kość.

Zakaszła, z ust popłynął mu wąski strumyk krwi.

— Nic ci nie jest? — spytała wyjmując z kieszeni chusteczkę, żeby osuszyć mu twarz.

Świadoma była, że pytanie jest bezsensowne, lecz miała nadzieję, że dźwięk jej głosu przyniesie mu ulgę.

Ponownie zakaszła, krzywiąc się z bólu.

— Jestem tutaj — rzekła. — To ja, Phoebe. Wszystko będzie dobrze.

Zamrugał i spojrzał na nią, jakby oczekiwał wyjaśnień.

— Moss pojechał po pomoc — mówiła. — Nie ruszaj się. — Po początkowym szoku powoli dochodziła do siebie. Odgarnęła kosmyk włosów z okropnie poranionej twarzy. — Miałeś wypadek, ale wszystko będzie dobrze.

„Jaki wypadek? — zastanawiała się. — Co tu się właściwie stało?”

— Chyba jest przytomny — wyszeptała do Bena, kiedy wrócił. — Minutę temu otworzył oczy.

Ben pokiwał głową i zawinął Buchanana w koce, po czym rozciął nogawkę jego spodni.

421

PATRICIA SHAW

— Niewiele tu zdziałam — mruknął. — Mogę to tylko zabandażować i liczyć, że nic się nie stanie.

Phoebe patrzyła, jak drze na pasy dwie koszule, bandażuje kostkę, a resztą prowizorycznych bandaży zabezpiecza łubki. Znad źródła, gdziekolwiek ono było, przyniósł bukłak z wodą i zaczął obmywać twarz Buchanana.

— Może ja to zrobię? — nieśmiało zaproponowała Phoebe.

— Tak. Dziękuję ci, Phoebe. Postaraj się jak najdokładniej oczyścić rany, dostało się do nich dużo piasku. Ja tymczasem pójdę po konia i resztę rzeczy.

— Co się stało? — spytała.

— Stratowały go dzikie konie.

— Gdzie?

— Między tymi skałami jest ścieżka prowadząca prosto do źródła. Stał na niej, kiedy nadbiegły.

— A ty? Ty też jesteś ranny. Masz poobijaną twarz i utykasz.

— Upadłem, kiedy przed nimi uciekałem — skłamał, był bowiem zbyt wyczerpany, by odpowiadać na pytania. „Kiedy indziej — pomyślał. — Jeśli w ogóle.”

— Moss twierdzi, że to wszystko przeze mnie — rzekła ze smutkiem.

— Mówiłaś Buchananowi, że jedziesz się ze mną spotkać?

— Nie.

— Musiał się skądś dowiedzieć i przyjechał tu przed tobą. Prawdopodobnie domyślił się, że będę tu na ciebie czekał. To nie twoja wina.

— Kto cię przegonił z Fairmont?

— On. Pokiwała głową.

— Mogłam się tego domyślić! — Spojrzała na Bena. — Nawet się ze mną nie przywitałeś.

Ben pochylił się i pocałował ją.

— Wybacz. Wynagrodzę ci to. Nigdy w życiu nie cieszyłem się aż tak bardzo, że cię widzę.

— Raczej trudno to było zauważyć.

— Cóż... Musiałem się zająć twoim przyjacielem.

— Żal mi go, naprawdę, i mam nadzieję, że wyzdrowieje, ale to nie jest mój przyjaciel.

— Później o tym porozmawiamy — odparł. — Moss ma sprowadzić wóz. Musimy tu zostać, aż przyjadą, a nie mamy żadnego

422

OGNIE FORTUNY

schronienia. Niedługo zrobi się zimno. Trzeba rozpalić ognisko, żeby nie przemarzło.

Schodząc ścieżką, poczuł wściekłość, że los obarczył go taką odpowiedzialnością. Zaczął nawet wyrzucać sobie instynktowną troskę o los Buchanana, lecz po chwili wzruszył ramionami. „Przecież nie mogłem go tak zostawić” — pomyślał.

Ułożył Buchanana obok ogniska, pod głowę wsunął mu poduszkę z ubrań i rozpostarł nad nim niewielki namiot z płótna, żeby go ochronić przed osiadającą rosą.

Phoebe zaparzyła w menażce herbatę, później, przytuleni do siebie, siedzieli naprzeciwko Buchanana, słuchając bezradnie, jak pojękuje z bólu.

Zmartwieni prawie nie rozmawiali. Phoebe powiedziała, że na farmie było jej bardzo dobrze, chociaż z trudem wytrzymywała humory Buchanana. Wyjaśniła też, że bardzo się zdenerwowała, kiedy się okazało, że gospodarze przechwytywali jej pocztę. Nie dodała, że

Buchanan wyrażał się o Benie wyjątkowo obraźliwie, nazywając go mieszańcem i utrzymując, że przez związek z nim wystawiła całą rodzinę na pośmiewisko. Słów tak okrutnych nie potrafiłaby mu powtórzyć. Jak by się poczuł, gdyby się dowiedział, że ocalił życie człowiekowi, który nim pogardza?

Ben niewiele czuł. Jak uderzenie obuchem w głowę podziałała na niego świadomość, że w swym szaleństwie Buchanan gotów był posunąć się do morderstwa, byleby się tylko nie wydało, że Ben jest jego synem. A przecież Ben nigdy by się do tego nie przyznał! Być może Diamond kochała Buchanana, lecz Ben widział w nim jedynie zadufanego w sobie białego, jednego z tych, którym się wydaje, że mają pełne prawo zabijać czarnych, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota, a co więcej, władzę i siłę, by to robić.

W więzieniu wiele słyszał o ludziach pokroju Buchanana, ale sam nigdy wcześniej nie spotkał się z równie brutalną arogancją. A teraz o mały włos nie stracił życia. Niewiele go obchodziło, że Buchanan jest tak zwanym szanowanym i poważanym farmerem i parlamentarzystą. Po prostu wstydziłby się przyznać do jakichkolwiek związków z takim łajdakiem.

Tak więc on również zachował prawdę tylko dla siebie. Powiedział Phoebe, że Buchanan zatrzymał go przy wjeździe na farmę i kazał mu się wynosić. A domyśliwszy się, że w Winnaroo Phoebe ma się spotkać właśnie z Benem, przyjechał z Mossem przed nią, żeby go przegonić.

423

PATRICIA SHAW

— Rozmawiałeś z nim?

— Tak. Dał mi jasno do zrozumienia, że jestem tutaj intruzem.

— I wtedy nadbiegły te konie?

— Tak.

— Gdyby nie ty, pewnie by zginął.

— Na zewnątrz był Moss — zbagatelizował sprawę Ben, wzruszając ramionami.

— Wciąż jestem zła na Clarę i Belle Foster, że mnie oszukiwały — odezwała się Phoebe po dłuższej chwili — choć nie mam wątpliwości, że za tym wszystkim stała moja matka. Nie chce, żebym za ciebie wyszła.

— A ty, Phoebe Thurlwell? Czy ty nadal chcesz za mnie wyjść?

Dlaczego musieli się spotkać w tak przerażających okolicznościach? Wyobrażała sobie, że będzie romantycznie, że będą tylko we dwoje, że po długim rozstaniu odrzucą wszystkie ograniczenia i potwierdzą swoje uczucia, tymczasem obecność ciężko rannego mężczyzny zdawała się ich krępować.

— Tak — wyszeptala. — Przecież wiesz, że chcę, Ben. Zaczekasz na mnie i zabierzesz mnie do Brisbane?

— Naturalnie — zapewnił, czule ją obejmując.

Pierwszy zjawił się Moss.

— Żyje? — spytał.

— Tak — odparł Ben. — Chwilami odzyskuje przytomność.

— Wóz już jedzie.

Wydawało się, że czekają całą wieczność. Phoebe leżała na posłaniu Bena i udawała, że śpi, Ben kuczał koło rannego, dokładał do ognia, Moss krążył niespokojnie. Na niebie pojawiły się najpierw pojedyncze zimne gwiazdy, a potem cała majestatyczna Droga Mleczna.

Fairmont, w nocy zazwyczaj ciche i spokojne, teraz przypominało ruchliwą wioskę. Psy szczekały, lampy oświetlały nadjeżdżającemu wozowi drogę, towarzyszący mu jeźdźcy wrzeszczeli na tłum zdenerwowanych pracowników, żeby się rozstąpili.

Powrót zajął im wiele czasu, musieli bowiem nadkładać drogi, wybierając dogodnie dla wozu trasy, by oszczędzić pacjentowi cierpień. Chociaż na podłodze wozu położono słomiany

materac i mocno przywiązano do niego okrytego kocami Buchanana, Phoebe i tak zaciskała zęby, współczując rannemu, kiedy wóz podskakiwał na wybojach i kamienistych dnach potoków.

424

OGNIE FORTUNY

— Byłoby dobrze, żeby znowu zemdlał — odezwała się do Bena, a on pokiwał głową. Na wszelki wypadek obok wozu jechało czterech mężczyzn — istniało niebezpieczeństwo, że pojazd ugrzęźnie albo zgubi koło — lecz woźnica bardzo uważał i nic takiego się nie zdarzyło.

Ponieważ księżyc był w nowiu, dwóch jeźdźców z latarniami prowadziło konwój. Phoebe zdrząła, wszystko to wyglądało niesamowicie: z przodu migocące czerwone światło latarni, z tyłu tylko czarna ściana.

Pisk i stukot kół wozu oraz dźwięczenie upręży wydawały się jej nienaturalnie głośne, cieszyła się więc, że ma obok siebie Bena. W górze szumiały wysokie drzewa, mimo iż zdawało się, że wcale nie ma wiatru. Od czasu do czasu ocierała się o liściaste gałęzie, za każdym razem podskakując ze strachu. W oddali, w ciemnym buszu błyszcząły oczy zwierząt, jakby uwolnionych od cielesnej powłoki, a choć Phoebe dobrze wiedziała, że to tylko małe nieszkodliwe stworzenia, bardzo się bała. Uczestnictwo w tym złowrogim konwoju, przypominającym kondukt żałobny, wiele ją kosztowało. Spędziwszy tyle czasu w siodle, Phoebe była wycieńczona, głodna i przemarznięta, w dodatku wracała do domu, z którego niedawno uciekła. Wcale by się nie dziwiła, gdyby się okazało, że znaleźli jej spakowaną walizkę.

Moss pojechał przodem, by o wszystkim zawiadomić Clarę i powiedzieć jej, że Ben i Phoebe są z jej rannym mężem. Phoebe próbowała sobie wyobrazić, co będzie czuła Clara, i porównać to ze swoim zażenowaniem. Po powrocie będzie przecież musiała jakoś się wytłumaczyć. I przedstawić Clarze Bena.

Czy Clara będzie miała do niej pretensje? Czy będzie ją obwiniać o to, co się zdarzyło? Gdyby Phoebe została w domu, nie doszłoby do tego dramatu, który rozgrywa się teraz w tym lodowatym mroku. Spojrzała na milczących mężczyzn eskortujących wóz. Co myślą? Spuściła głowę osowiała, zawstydzona swą rolą w tej tragedii.

Nawet nie zauważyła, że jadą wzdłuż brzegu jeziora położonego niedaleko domu.

Niespodziewanie setki ptaków — teraz tylko czarne cienie — zerwały się ze swych gniazd i trzepocząc skrzydłami, przeleciały tuż nad głowami jeźdźców.

Nerwy Phoebe były napięte do granic wytrzymałości. Krzyknęła, a jej koń stanął dęba, ale na szczęście Ben był w pobliżu. Chwytny wodze Cleo i uspokoił spłoszoną klacz.

— Nic ci nie jest? — spytał.

425

PATRICIA SHAW

— Nic. Przepraszam. Te ptaki zerwały się tak nagle... Wystraszyłam się. Dzięki Bogu, do domu już niedaleko. To był okropny dzień.

Clara wybiegła im na spotkanie, lecz kontrolę nad sytuacją sprawował doktor, prowadząc dźwigających Bena mężczyzn obok stłoczonych na werandzie Belle Foster oraz grupy służących. Clara pocałowała Phoebe w policzek.

— Cieszę się, że wróciłaś — rzekła, po czym uniosła spódnice i wbiegła po schodach, by zobaczyć męża.

Na farmie ponownie zapanowała głucha cisza, jaskrawo kontrastująca ze zgiełkiem towarzyszącym ich powrotowi. Mężczyźni odprowadzili konie do stajni i odstawili wóz, kobiety zniknęły, tylko samotny pies węszył dookoła, starając się dociec powodów całego zamieszania.

Phoebe, sztywna i obolała, ruszyła w kierunku domu. Ben pomógł jej zsiąść z konia; była przekonana, że przekazał wodze obu koni Mossowi i idzie za nią, kiedy się jednak odwróciła, zobaczyła, że dołączył do pozostałych mężczyzn.

— Chodź do środka! — zawołała.

Zawrócił.

— Nie. Idź sama. Ja prześlę się z pracownikami.

— Clara będzie chciała cię poznać.

— Rano. Teraz ma i tak wystarczająco dużo zmartwień.

— A ja?

Pocałował ją w policzek.

— Musisz odpocząć. To był piekielnie ciężki dzień.

— Ale ja chcę, żebyś wszedł.

— Nie — powtórzył zdecydowanie. — A teraz bądź grzeczną dziewczynką i zrób, co powiedziałem.

Moss czekał na niego przy bramie prowadzącej do baraków pracowników.

— Powiedziałem chłopakom, że gdyby nie ty, szef byłby teraz sztywnym trupem. Mówią, żebyś przyszedł i zjadł z nami kolację. Miejsce do spania też się znajdzie.

— Dzięki. Jest tu gdzie się umyć?

— W tamtej blaszanej komórce. — Moss zauważył, że kiedy wrócili z Winnaroo, Beckman od razu się przebrał, pozbywając się zakrwawionych spodni i koszuli. „Prawdziwy z niego modniś”

— pomyślał. Ale modniś czy nie, jako mieszaniec Beckman nie mógł

426

OGNIE FORTUNY

spać w głównym budynku, co Mossowi było bardzo na rękę. Chciał coś powiedzieć temu facetowi, najlepiej tak, żeby Mungo się nie dowiedział. Dla Mossa był bohaterem, ocalił życie szefa. Przynajmniej na razie. Zasłużył na ostrzeżenie.

Wróciwszy z miasta, Mungo kazał Mossowi trzymać język za zębami i nie przyznawać się, że w Charleville śledził Beckmana. Szef wiedział, co robi, a oni nie powinni się do tego mieszać.

„Założę się, że szef dobrze wiedział, że Beckman tam jest — uśmiechnął się Moss do siebie.

— Uważają mnie za durnia, ale ja nie jestem ślepy.” Nie miał wątpliwości, o co w tym wszystkim chodziło. Wykoncypował sobie, że szef w najlepsze smażył cholewki do panny Phoebe, kiedy nagle się okazało, że w mieście zjawił się jej narzeczony, Ben Beckman.

Gotów był się założyć, że szef pojechał do Winnaroo po to, by go przegonić, zanim panna Phoebe dotrze na miejsce. Miał jednak pecha i został stratowany przez te konie. „Być głuchym to nie żarty — pomyślał. — Mam nadzieję, że mnie się coś takiego nie przytrafi.”

Kiedy Beckman wyszedł z łaźni, Moss zaprowadził go do kuchni. W drzwiach spytał:

— Długo zostaniesz?

— Tylko jedną noc. Jutro wracam do miasta.

— Aha — odparł Moss. — Na twoim miejscu — dodał po chwili — trzymałbym się z daleka od Charleville.

To powiedziawszy wszedł do środka, nie dając Beckmanowi ani chwili na odpowiedź. Zrobił wszystko, co mógł.

— Co z nim? — Phoebe i Belle spojrzały z niepokojem na doktora.

— Powinien wyjść z tego, ale jego stan nie jest dobry. W takich wypadkach najlepiej przez pierwszych parę dni niczego nie ruszać. Z twarzą nie jest tak źle, jak by się wydawało, ale martwi mnie klatka piersiowa. Prawdopodobnie ma złamanych kilka żeber. Założyłem mu opatrunek, bo nie chcę operować, jeżeli to nie będzie absolutnie konieczne. Żebra na ogół dobrze się zrastają, pod warunkiem że nie przebiły płuc.

- Tu i tak nie mógłby go pan operować — zauważyła Belle.
— Nie. Ale bez względu na wszystko trzeba będzie zabrać go do szpitala. Ta noga nie wygląda najlepiej. Kostka jest potwornie zmiądzona. Zrobimy, co w naszej mocy.
— Co to oznacza? — spytała Belle.

427

PATRICIA SHAW

— To, co powiedziałem, pani Foster. Czas pokaże. Ręka jest złamana, ale została dobrze nastawiona, usztywniłem ją tylko, żeby nie mógł nią ruszać. W szpitalu w Charleville założymy mu gips. A na razie możemy się jedynie starać, żeby jak najmniej cierpiał. Podalem mu środki uśmierzające ból.

Wrócił do pacjenta, a Belle rzekła do Phoebe:

— Nie podoba mi się to wszystko.

— Przypuszczam, że stara się nas nie niepokoić — odparła Phoebe, chociaż nie mogła się oprzeć wrażeniu, że doktor nie bardzo wie, co robić. Raz mówi, że pacjenta nie należy ruszać, a po chwili twierdzi, że trzeba go zabrać do szpitala.

Belle spojrzała na nią, jakby chciała coś powiedzieć, zapewne na temat jej obecności w Winnaroo, rozmyśliła się jednak i poszła zmienić siedzącą przy łóżku Clarę.

Nie chcąc nikomu przeszkadzać, Phoebe skierowała się do kuchni, gdzie kucharka, niejaka pani Dimble, czekała niecierpliwie na najświeższe wiadomości dotyczące stanu zdrowia Buchanana.

— Doktor powiedział, że stan pacjenta jest na tyle dobry, na ile można tego oczekiwać — odrzekła Phoebe, uświadamiając sobie, że zacytowała typową odpowiedź swojego ojca.

— Och, biedaczysko. W takich miejscach jak to zawsze dochodzi do wypadków. Człowiek nigdy nie wie, co się zaraz zdarzy. Może pani coś zje?

— Nie, dziękuję — westchnęła Phoebe.

— Może chociaż talerz gorącej zupy?

Phoebe została w ciepłej kuchni, zjadła bez pośpiechu gęstą pożywną zupę i trochę chleba z serem, nie bardzo mając ochotę na spotkanie z gospodynią.

Jednakże Clara odnalazła ją i usiadła obok niej przy kuchennym stole.

— Ben gorączkuje. Mama i doktor są przy nim. Na Boga, w gorszym stanie chyba już nie może być.

— Och, Claro, tak mi przykro.

— Nie wiń siebie za to, co się stało. Gdzie jest pan Beckman?

— Poszedł spać do baraku. Clara nie kryła zdziwienia.

— Chciałam z nim porozmawiać.

— Wiem, ale on nie chce ci teraz sprawiać kłopotu. Obiecał, że spotka się z tobą rano.

Clara skinęła głową.

428

OGNIE FORTUNY

— Pojechałaś tam, żeby się z nim spotkać?

— Tak.

— Znalazłyśmy twoją walizkę. Nie zamierzałaś wrócić, prawda?

— Claro, nie chcę teraz o tym rozmawiać. I tak narobiłam już dość kłopotów.

— Dlaczego przynajmniej mnie nic nie powiedziałaś?

— Bo wiedziałam, że będziesz temu przeciwna. Poza tym dowiedziałam się, że zatrzymujecie moją pocztę.

Clara poczerwieniała.

— Tak. Przepraszam cię, Phoebe. Wydawało się nam, że tak będzie najlepiej.

— Ale nie było. Byłam naprawdę oburzona, choć to teraz bez znaczenia. Gdyby nie ja, nie doszłoby do tej tragedii.

— Mylisz się. Ben mógł z łatwością cię dogonić, zanim dotarłaś do Winnaroo. Jak sądzisz, dlaczego tego nie zrobił?

— Nie wiem — odparła Phoebe. — Pewnie uważał, że postępuje słusznie.

— Jak? Odnajdując tego, z kim miałaś się spotkać, i każąc mu się wynosić?

— Chyba tak. Nie powinien był się mieszać. Nawet gdyby mnie dogonił, Claro, i tak bym nie zawróciła. Musiałam spotkać się z Benem. Aż do wczoraj nie miałam od niego żadnej wiadomości. Dla mnie to była cała wieczność! Nie wiedziałam, co się stało.

— To znaczy, że wczoraj przekazał ci wiadomość? Że chce się z tobą spotkać? Jak udało mu się to zrobić?

— Wolałabym nie mówić. Clara wzruszyła ramionami.

— Nie dziwię ci się. Czy naprawdę tak bardzo ci zależy na panu Beckmanie?

— Tak.

— Mimo że wiesz, że to nie jest odpowiedni kandydat na męża dla dziewczyny z twoją pozycją?

— Dlaczego nikt nie potrafi tego zrozumieć? — zachnęła się Phoebe. — Ben to wspaniały człowiek...

— Wiem. Pomógł mi dostarczyć paszę na farmę, a teraz uratował mojego męża przed pewną śmiercią. Jestem mu bardzo wdzięczna i jutro na pewno mu o tym powiem. Lecz to nie zmienia faktu, że jeśli za niego wyjdiesz, czeka cię ciężkie życie.

429

PATRICIA SHAW

— Ja jakoś nie widzę takiego zagrożenia. To dobry i opiekuńczy mężczyzna. Poza tym ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapewnić mi godziwe warunki życia.

— Nie o to chodzi. Ty przecież nie wiesz nic o Aborygenach.

— Daj spokój, Claro, to absurd. Ojciec Bena był biały, jest z niego taki sam Aborygen, jak i ze mnie.

— Chodziło mi po prostu o to — wyjaśniła cicho Clara — że życie nawet takich ludzi jak Ben Beckman może się bardzo pokomplikować.

Phoebe nie chciała kontynuować tej dyskusji, Clara podeszła więc do pieca i postawiła czajnik na środku płyty.

— Napijesz się herbaty?

— Tak, proszę — odparła Phoebe. — Jesteś na mnie zła?

— Nie bardziej niż ty na mnie za te listy.

— Mogłabym je dostać?

— Mama je spaliła. Przepraszam.

Pomimo ogólnego niepokoju o życie szefa praca na farmie musiała być kontynuowana, mężczyźni wstali więc o świcie i ustawili się w kolejce po śniadanie, na które składały się gulasz z baraniny, ziemniaki i gorąca herbata. Kiedy zjedli, rozeszli się do swoich zajęć. Ben także już wstał, lecz nie śpieszył się z jedzeniem tak bardzo jak on. Po śniadaniu postanowił rozejrzeć się trochę po farmie. Główny budynek, stojący na niewielkim wzgórzu, wyglądał naprawdę imponująco, tutaj zaś, na dole, Ben czuł się jak w małym miasteczku. Minął stajnię, kuźnię, komórkę na narzędzia i szopę, w której trzymano uprzęż oraz siodła, wreszcie oborę i jakieś magazyny. Po padoku biegło ze dwadzieścia koni, dalej ciągnęły się zagrody, w których właśnie znaczone bydło. Zawróciwszy w kierunku domu, przeszedł przez pozostałości po sadzie — teraz zaledwie kilka drzew, którym udało się przetrwać suszę — graniczącym z długim ogrodem warzywnym.

Słyszał o takich farmach, mówiono, że są w zasadzie samowystarczalne i muszą sprowadzać jedynie mąkę, herbatę oraz cukier, a teraz miał okazję przekonać się o tym na własne oczy. Wydawało mu się to bardzo interesujące.

Zawrócił i spytał kowala, gdzie znajduje się obozowisko Aborygenów.

— Trzeba przejść przez padok — wyjaśnił krzepki mężczyzna — a potem iść ścieżką przez tamte zarośla. Często zmieniają miejsce, ale na pewno na kogoś się natkniesz.

430

OGNIE FORTUNY

— Dzięki — powiedział Ben, ruszając przed siebie.

— Masz tutaj rodzinę, bracie? — spytał kowal, a Ben podskoczył ze zdziwienia, sądząc, że chodzi o Buchanana. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że kowal ma na myśli Aborygenów. To również go zaskoczyło. Przyzwyczył się, że traktowano go jak białego.

— Nie — odparł. — Nie mam.

— Dobra. Możesz chodzić, gdzie tylko zechcesz. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, opiekując się wczoraj szefem. Podobno czuje się trochę lepiej.

— To dobrze — powiedział Ben, chociaż niewiele go to obchodziło.

Przed opuszczeniem farmy pragnął znaleźć Mandjalę. Nagle zobaczył, że starzec idzie ku niemu, szeroko się uśmiechając.

— Załatwiłeś wielkiego szefa, co?

— Nic mu nie zrobiłem. To dzikie konie.

— Ludzie tak mówią. Ale ja tak nie myślę.

— To prawda.

Przykucnęli na skraju buszu i Ben dokładnie opowiedział Man-djali, co się zdarzyło. Starzec słuchał uważnie, ani razu mu nie przerywając.

Kiedy Ben zbliżał się do końca opowieści, relacjonując, jak wyciągnął Buchanana spod końskich kopyt, Mandjala nie wytrzymał i syknął:

— Przeklęty szaleniec! On chce cię zabić!

— Zapomnij o nim. Już się go nie obawiam. Mandjala pokiwał głową.

— Twoja mama. Jej lekarstwo za silne na ten człowiek. Ona patrzyła.

— Myślisz, że to ona przysłała te konie? — roześmiał się Ben. Mandjala spojrział na niego z wyrzutem.

— Dużo rzeczy ty nie wiesz — burknął.

— Zgadza się. Przyszedłem się pożegnać. Wracam do domu.

— Dziewczyna? Ona też wracać?

— Mam nadzieję.

Mandjali najwyraźniej wcale się to nie podobało, nic jednak nie powiedział. Ben wstał.

— Dobry z ciebie przyjaciel. Nigdy cię nie zapomnę. Może się jeszcze kiedyś spotkamy?

Starzec uniósł wzrok, mrużąc oczy w porannym blasku słońca.

431

PATRICIA SHAW

— Nie żegnaj się. Jeszcze nie czas.

Po błękitnym niebie przeleciał klucz dzikich ibisów.

— Wracają do domu — rzekł Mandjala. — Do Winnaroo.

Ben przyjął tę informację z powagą, wyglądało bowiem na to, że Mandjala uważa ją za niezwykle ważną. Potem podali sobie ręce i rozeszli się w swoje strony.

Pani Buchanan czekała na niego, kiedy zjawił się przed frontowym wejściem, demonstrując w ten sposób poczucie własnej godności. Nie zamierzał podchodzić do domu Buchanana od tyłu.

— Dzień dobry. Usiądzie pan? — zaproponowała wskazując krzesła na werandzie, co Ben przyjął z ulgą, przyrzekłszy sobie, że nigdy w życiu nie przestąpi progu tego domu.

— Może herbaty? — spytała.

— Nie, dziękuję. Niedawno jadłem śniadanie.

— Ja także. Muszę panu raz jeszcze podziękować, panie Beckman, ale tym razem chyba żadne słowa nie będą wystarczające.

— Jak on się czuje? — spytał Ben, starając się być miły.
— Chyba trochę lepiej. Lekarz ciągle jest przy nim, i całe szczęście. Prawdopodobnie będą musieli zabrać go do szpitala, żeby zoperować kostkę.
— Tak przypuszczałem. Wyglądała fatalnie.
— Czy potrafi pan nam wybaczyć, że mieszaliśmy się w sprawy pana i Phoebe? Tak mi wstyd, że pana listy do niej nie doszły. Ani jej do pana.
Kusiło go, żeby jej przypomnieć tamten wieczór, gdy jako mały chłopiec zakłócił przyjęcie u Thurlwellów, a ona jako jedyna próbowała go bronić, stwierdził wszakże, że to nie ma sensu. Był już zmęczony przeszłością, chciał z nią zerwać. Odłożył ją, jak by powiedział Mandjala.
— Zapomnijmy o tym — rzekł. — Farma wygląda teraz dużo lepiej. Jeszcze się nie przyzwyczaiłem do tej zmiany. Kiedy ostatnio byłem w tych stronach, wszystko usychało z braku wody.
— Błogosławiony deszcz — uśmiechnęła się. — Kiedy zaczęło padać, wybiegliśmy na dwór i staliśmy tak długo, aż przemokliśmy do nitki. To było cudowne. Phoebe chyba już wstała. Czy mam ją zawołać?
— Proszę. Jeśli to możliwe. Clara chwyciła go za rękę.
— Mam nadzieję, że znów będziemy przyjaciółmi.
— Oczywiście.

432

OGNIE FORTUNY

Po chwili Phoebe w ślicznej sukni w niebieską kratę wyszła na werandę.

— Wyglądasz wspaniale — rzekł, całując ją, jako że pani Buchanan okazała się bardzo taktowna i została w domu.

— I czuję się też nie najgorzej. Wieczorem byłam taka zmęczona. Jakie masz na dzisiaj plany?

— Wracać do domu.

— Już?

— A na co mam czekać? Czy nadal chcesz ze mną jechać?

— Tak. Chyba tak. Clara poradzi sobie beze mnie, a jej matka, Belle Foster, chyba ma mnie dosyć. Zaczynam odnosić wrażenie, że jej przeszkadzam. Na pewno nie obędzie się bez gadania, ale nic na to nie poradzę. Kiedy wyruszamy?

— Jak tylko będziesz gotowa.

Rzeczywiście nie obyło się bez gadania. Co prawda Clara przyjęła decyzję Phoebe bez słowa sprzeciwu, za to Belle była po prostu wściekła.

— Młode damy nie podróżują same z mężczyzną, a już na pewno nie z kimś takim. Co na to powie twoja matka?

— Jedziemy tylko do Charleville — odparowała Phoebe. — Tam złapiemy pociąg. A teraz przepraszam, muszę iść się przebrać.

Kiedy ponownie pakowała walizkę, do pokoju weszła Clara.

— Bagaż będzie ci potrzebny, Phoebe, a na Cleo nie dasz rady go zabrać. Pożyczę panu Beckmanowi jucznego konia. Zostawicie go w Charleville. Ktoś go stamtąd odbierze.

— Cleo też musi tam zostać — przypomniała jej Phoebe.

— Och tak, przepraszam. Całkiem o niej zapomniałam. Nie chciałyby opuścić farmy.

Urodziła się tutaj.

Uścisnęły się czule.

— Uważaj na siebie — rzekła Clara.

— Ty też. Mam nadzieję, że Ben wyzdrowieje.

— To potrwa, ale będziemy się nim opiekować. Do zobaczenia w mieście.

28 Ognie fortuny

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Powodzenia! — zawołała Clara, kiedy wyruszali, prowadząc jucznego konia. Mimo to Ben zdołał się w końcu odprężyć, dopiero gdy farma została daleko w tyle.

Phoebe wydawała się jakaś przytłumiona. Tylko Clara wyszła, żeby się z nimi pożegnać, Belle Foster w ogóle się nie pojawiła i Ben przypuszczał, że Phoebe musi być przykro. Zauważył też, że kiedy pomagał jej wsiąść na konia, skrzywiła się, wciąż obolała po długiej jeździe. On zresztą wcale nie czuł się lepiej. Bolały go plecy, co zawdzięczał potężnym kopniakom wymierzonym mu przez Buchanana.

A mimo to był szczęśliwy. Więcej, uważał, że jest najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Tuż obok niego jechała Phoebe, wyglądająca prześlicznie w pięknej sukni do konnej jazdy. I wracali razem do domu.

Celowo przejechał koło miejsca, w którym zginął jego koń. Padliny już nie było, widocznie Buchanan kazał ją usunąć. Lecz Ben twardo trwał w postanowieniu, by przeszłość zostawić za sobą. Kiedy wyjechali na polanę, wstrzymał konie.

— Dlaczego się zatrzymujemy? — spytała Phoebe.

— Dlatego, że wreszcie jesteśmy całkiem sami. Tylko ty i ja. — Pomógł jej zsiąść, po czym wziął ją w ramiona. — Kochasz mnie jeszcze?

— Tak — zapewniła. — Ale ostatnio traktowałeś mnie z takim chłodem, że czuję się jak idiotka. Zresztą chyba wszyscy tak myślą.

— Ależ skąd! Dobry Boże, tak się cieszę, że zgodziłaś się jechać ze mną.

434

OGNIE FORTUNY

— Pojechałabym z tobą już wczoraj, gdyby wszystko się tak strasznie nie pogmatwało.

— Wczoraj? Dlaczego?

— Pokłóciłam się z Buchananiem.

— O co? — spytał niespokojnie.

— Oskarżył moją rodzinę o oszustwa i defraudację.

Ben prawie już zapomniał, że Thurlwellowie są zamieszani w upadek Western Railroads, nie potrafił jednak udawać, że go to martwi.

— Miły gospodarz — stwierdził obojętnie.

— Och, potrafi być strasznie okrutny. Clarę traktuje jak po-sługaczkę. Wiem, że to, co powiem, jest okropne, ale teraz będzie zdany na jej łaskę. Słyszałam, jak doktor mówił Clarze, że Buchanan może stracić stopę. Nie można też wykluczyć, że nie przeżyje, ale o tym Clara nie wie. Jak myślisz, czy on umrze?

— Nie. Ten drań to twarda sztuka. Phoebe była zdumiona.

— Znasz go?

— Poznałem go w stajniach.

— Och, tak. Oczywiście. A teraz spotkaliście się ponownie. W Winnaroo. Domyślam się, że rozmawialiście na mój temat? Ciebie też nie lubi.

Jak miał jej powiedzieć, że ani on, ani Buchanan nie wspomnieli o niej nawet słowem? Że cała ich rozmowa w ogóle jej nie dotyczyła. Sam się zdziwił, przypomniawszy sobie nagle, że podczas konfrontacji z Buchananiem ani razu nie pomyślał o Phoebe. „Byłem zbyt zaabsorbowany walką o zachowanie życia” — bronił się w myślach. „I myśleniem o Diamond — zdawał się odpowiadać jakiś głos. — O przeszłości, zamiast o teraźniejszości.”

„Twoja mama — zabrzmiały mu w uszach słowa Mandjali. — Jej lekarstwo za silne.”

Nagle Ben uświadomił sobie, że celowo zwlekał, zachęcał Buchanana do rozmowy, marnował czas w beznadziejnej sytuacji, kiedy stał się bezbronny naprzeciw człowieka

mierzącego doń z załadowanej strzelby, ponieważ coś mu mówiło, że mimo wszystko Buchanan musi przegrać tę konfrontację.

— Nie przejmuj się — odezwał się do Phoebe. — To już przeszłość, a Buchanan ma teraz co innego na głowie. — Pocałował ją. — Zostańmy tu jeszcze chwilę i powiedz mi, jak bardzo za mną tęskniłaś.

435

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Powodzenia! — zawołała Clara, kiedy wyruszali, prowadząc jucznego konia. Mimo to Ben zdołał się w końcu odprężyć, dopiero gdy farma została daleko w tyle.

Phoebe wydawała się jakaś przytłumiona. Tylko Clara wyszła, żeby się z nimi pożegnać, Belle Foster w ogóle się nie pojawiła i Ben przypuszczał, że Phoebe musi być przykro. Zauważył też, że kiedy pomagał jej wsiąść na konia, skrzywiła się, wciąż obolała po długiej jeździe. On zresztą wcale nie czuł się lepiej. Bolały go plecy, co zawdzięczał potężnym kopniakom wymierzonym mu przez Buchanana.

A mimo to był szczęśliwy. Więcej, uważał, że jest najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Tuż obok niego jechała Phoebe, wyglądająca prześlicznie w pięknej sukni do konnej jazdy. I wracali razem do domu.

Celowo przejechał koło miejsca, w którym zginął jego koń. Padliny już nie było, widocznie Buchanan kazał ją usunąć. Lecz Ben twardo trwał w postanowieniu, by przeszłość zostawić za sobą. Kiedy wyjechali na polanę, wstrzymał konie.

— Dlaczego się zatrzymujemy? — spytała Phoebe.

— Dlatego, że wreszcie jesteśmy całkiem sami. Tylko ty i ja. — Pomógł jej zsiąść, po czym wziął ją w ramiona. — Kochasz mnie jeszcze?

— Tak — zapewniła. — Ale ostatnio traktowałeś mnie z takim chłodem, że czuję się jak idiotka. Zresztą chyba wszyscy tak myślą.

— Ależ skąd! Dobry Boże, tak się cieszę, że zgodziłaś się jechać ze mną.

434

OGNIE FORTUNY

— Pojechałabym z tobą już wczoraj, gdyby wszystko się tak strasznie nie pogmatwało.

— Wczoraj? Dlaczego?

— Pokłóciłam się z Buchananiem.

— O co? — spytał niespokojnie.

— Oskarżył moją rodzinę o oszustwa i defraudację.

Ben prawie już zapomniał, że Thurlwellowie są zamieszani w upadek Western Railroads, nie potrafił jednak udawać, że go to martwi.

— Miły gospodarz — stwierdził obojętnie.

— Och, potrafi być strasznie okrutny. Clarę traktuje jak po-sługaczkę. Wiem, że to, co powiem, jest okropne, ale teraz będzie zdany na jej łaskę. Słyszałam, jak doktor mówił Clarze, że Buchanan może stracić stopę. Nie można też wykluczyć, że nie przeżyje, ale o tym Clara nie wie. Jak myślisz, czy on umrze?

— Nie. Ten drań to twarda sztuka. Phoebe była zdumiona.

— Znasz go?

— Poznałem go w stajniach.

— Och, tak. Oczywiście. A teraz spotkaliście się ponownie. W Winnaroo. Domyślam się, że rozmawialiście na mój temat? Ciebie też nie lubi.

Jak miał jej powiedzieć, że ani on, ani Buchanan nie wspomnieli o niej nawet słowem? Że cała ich rozmowa w ogóle jej nie dotyczyła. Sam się zdziwił, przypomniawszy sobie nagle, że podczas konfrontacji z Buchananiem ani razu nie pomyślał o Phoebe. „Byłem zbyt zaabsorbowany walką o zachowanie życia” — bronił się w myślach. „I myśleniem o Diamond — zdawał się odpowiadać jakiś głos. — O przeszłości, zamiast o terażniejszości.”

„Twoja mama — zabrzmiały mu w uszach słowa Mandjali. — Jej lekarstwo za silne.” Nagle Ben uświadomił sobie, że celowo zwlekał, zachęcał Buchanana do rozmowy, marnował czas w beznadziejnej sytuacji, kiedy stał się bezbronny naprzeciw człowieka mierzącego doń z załadowanej strzelby, ponieważ coś mu mówiło, że mimo wszystko Buchanan musi przegrać tę konfrontację.

— Nie przejmuj się — odezwał się do Phoebe. — To już przeszłość, a Buchanan ma teraz co innego na głowie. — Pocałował ją. — Zostańmy tu jeszcze chwilę i powiedz mi, jak bardzo za mną tęskniłaś.

435

PATRICIA SHAW

W jego ramionach Phoebe czuła się bezpieczna, wiedziała, że Ben bardzo ją kocha, lecz wymówki, którymi Belle Foster zasypała ją w obecności doktora, nadal bolały:

— Ty głupia, nierozsądna dziewczyno. Nawet nie wiesz, w co się pchasz.

Na otwartych przestrzeniach zwiększył tempo i już po południu wjechali do Charleville.

Natychmiast skierowali się na stację kolejową.

Ben znalazł zawiadowcę i po chwili wrócił do Phoebe z informacją, że pociąg do Brisbane odjeżdża następnego ranka.

— O dziesiątej. To dobrze. Będę miał czas załatwić sprawę odstawienia koni do Fairmont. Peppera też odeślę do Clary. Zasłużył sobie na dobry dom.

— A my? Gdzie się zatrzymamy?

— Na głównej ulicy jest tylko jeden przyzwoity hotel. Royal. Wynajmiemy pokoje, a rano rozejrzemy się po mieście.

— Niewiele tu do oglądania — stwierdziła, kiedy jechali senną ulicą. Muchy bzyczały, konie uwiązane przed hotelami drzemały, pojedynczy przechodnie na wysadzonej drzewami ulicy zatrzymywali się, by popatrzeć na obcych. Phoebe bez entuzjazmu zaglądała do mrocznych sklepów, pewna, że rano będzie miała dość czasu na niewielkie zakupy. Na razie czuła się zmęczona i miała ochotę napić się czegoś zimnego, wykapać się, a potem kazać sobie podać właśnie dzbanek herbaty, w takiej kolejności.

— Royal! — wykrzyknął Ben z radością, zatrzymując się przed nowym dwupiętrowym budynkiem. Phoebe weszła do środka, podczas gdy Ben wiązał konie.

Właściciel, krępy mężczyzna o czerwonej twarzy, wychylił się zza drzwi prowadzących do baru i zawołał:

— Czym mogę pani służyć?

— Chciałabym wynająć dwa pokoje. Dwa ładne pokoje.

— Nie ma problemu — odparł. — Mamy najlepsze pokoje w mieście. Jestem Will Turner, a żony chwilowo nie ma. Niedługo wróci.

Kiedy przyszedł Ben, nazwisko Phoebe figurowało już w księdze gości. Turner uniósł wzrok, czekając na drugie nazwisko.

— Pan Beckman — powiedziała Phoebe.

Turner przyjrzał się uważnie Benowi, po czym zatrzasnął księgę.

— Przykro mi, dla pani pokój się znajdzie, ale pan musi poszukać sobie noclegu gdzie indziej.

436

OGNIE FORTUNY

— Przecież mówił pan, że są dwa wolne pokoje — rzekła Phoebe ze zdumieniem.

— Tylko jeden — nie ustępował. Ben westchnął.

— Jeżeli boi się pan o pieniądze — odezwał się cicho — mogę zapłacić z góry.

— Nie, nie tutaj.

— Dlaczego? — dopytywała się coraz bardziej rozgniewana Phoebe.

— Dlatego że nie chcę stracić licencji.

— Chwileczkę, Phoebe — wtrącił się Ben i odsunął ją na bok. — Dlaczego miałby pan stracić licencję? — zwrócił się do hotelarza.

— Dlatego że takim jak pan nie wolno przebywać bez specjalnego pozwolenia w lokalach z licencją.

— Co ma pan na myśli, mówiąc „takim jak ja”? — spytał Ben, chociaż zaczynał się domyślać, w czym rzecz.

— Aborygenom — wyjaśnił Turner, wzruszając ramionami. — Chyba zna pan prawo? Czy to przypadkiem nie pan mieszkał niedawno w Shamrock?

— Owszem.

— No właśnie, z pana powodu właściciele o mało nie stracili licencji. Pozwolili panu zatrzymać się u siebie, a sierżant McAlister skądś się o tym dowiedział. To straszny pedant i służbista, ale powiadam panu, dzięki niemu w mieście panuje wzorowy porządek. Namierzył Smithów i zaraz po pana wyjeździe o mało nie doprowadził do zamknięcia ich hotelu.

— To przecież absurd! — wykrzyknęła Phoebe. — Pan Beckman jest szanowanym dżentelmenem.

— Być może, proszę pani, być może — odrzekł Turner. — W takim razie nie ma najmniejszego problemu. Pobiegnie pan, panie Beckman, na policję i załatwi sobie pozwolenie. A wtedy pańskie pieniądze będą dla mnie warte dokładnie tyle samo, co każdego innego człowieka.

— Czy to konieczne? — spytała Phoebe.

— Absolutnie niezbędne — zapewnił Turner, wychodząc zza kontuaru, i wziął bagaże. — Zanim się na górę pani walizkę. Pokój numer trzy, zaraz na początku. Łazienka znajduje się na końcu korytarza.

Phoebe spojrzała na Bena, czerwona na twarzy.

437

PATRICIA SHAW

— To skandal! Jak oni w ogóle śmiają ponizać nas w taki sposób! — Spojrzała przez otwarte drzwi na kilkunastu mężczyzn opartych o kontuar. Słuchali uważnie, choć miny mieli obojętne. — Czy to znaczy, że nie wolno ci tam wejść? Ani napić się z tymi pijakami? Przecież to zwykli pasterze i robotnicy!

Ben wzruszył ramionami.

— Zgadza się. Przepraszam cię, Phoebe, całkiem o tym zapomniałem. — Rzeczywiście zapomniał, albowiem on i Barnaby zawsze bywali w lokalu, którego właścicielowi czarni nie przeszkadzali. Nigdy dotąd jednak nie słyszał o owym systemie zezwoleń.

— Ale przecież ty jesteś całkiem biały — upierała się Phoebe. Ben wziął ją za rękę i poprowadził bliżej wyjścia, by uciec od oczu

i uszu ciekawskich. Jej stwierdzenie, że jest „całkiem biały”, bardzo go zaniepokoiło.

— Prawo mówi, że jestem całkiem czarny — zaoponował, zmuszając się do uśmiechu.

Chciał jakoś załagodzić tę nieprzyjemną sytuację.

— Aha! Wcale nie jesteś! — odparowała. — To żenujące, ale chyba będziesz musiał pójść po to pozwolenie.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Pójdę z tobą.

— Nie. Nie pójdę na policję, żeby prosić o jakiś świstek, dzięki któremu miałbym prawo robić to, co wszyscy inni. To znaczy, wszyscy biali.

— Ale przecież na pewno daliby ci je bez żadnych problemów. Słyszałeś, co powiedział pan Turner. Jeśli tylko zdobędziesz to idiotyczne pozwolenie, będziesz mógł tutaj zostać i wszystko będzie w porządku.

Ben pokręcił głową.

— Nie, Phoebe. Tutaj chodzi o zasadę. Nigdy w życiu nie pójde z czapką w dłoni po coś takiego.

Próbowała go uspokoić.

— No chodź, nie bądź taki uparty. Kogo obchodzą jakieś głupie przepisy? Zrób to dla świętego spokoju, a wtedy będziemy mogli odpocząć i poczekać na pociąg.

— Nigdy nie jechałem pociągiem — mruknął. — Kto wie, może się jeszcze okazać, że i tam będę musiał okazać jakiś papier. Tym bardziej że mamy jechać pierwszą klasą. Być może każą mi się przenieść do drugiej albo do wagonu towarowego.

Phoebe zaczynało to denerwować.

438

OGNIE FORTUNY

— Ben, przestań szukać dziury w całym. Skoro przepisy mówią, że musisz mieć to pozwolenie, załatw je sobie. Kogo to wszystko obchodzi?

— Mnie. Najlepiej idź do pokoju i wypocznij.

Spostrzegł, że hotelarz zszedł z góry i zniknął w barze, nie patrząc na niego.

— A ty co zrobisz?

— Ja? Rozbiję gdzieś obozowisko. Robiłem to przez całą drogę w tę stronę, więc co za różnica?

— Ogromna — odparła gniewnie. — Teraz jesteś ze mną, a ja nie chcę, żebyś spał nad rzeką jak... jak... Chodzi mi o to, że nie ma takiej potrzeby.

— Jak jakiś czarny? O to ci chodziło, prawda?

— A nawet jeżeli tak, to co? Jesteś uparty i robisz z igły widły.

— Może masz rację. Ale i tak nie pójde po to pozwolenie.

— Zachowujesz się tak samo głupio jak oni. Jak możesz mi coś takiego robić?

— A co będzie następnym razem? W kolejnym mieście, w innym barze, w innym hotelu?

Czy wszędzie będę musiał załatwiać sobie pozwolenia? Muszę z tym walczyć. — Kiedy to powiedział, dostrzegł na jej twarzy przerażenie. Dla Phoebe najpierw ten incydent był nie wartym uwagi drobiazgiem, kiedy wszakże musiała się nad nim zastanowić, Ben zauważył w jej oczach coś, co niesłuchanie go zasmuciło. Biedna Phoebe, nagle została zmuszona, by spojrzeć w przyszłość, a to, co ujrziała, bezgranicznie nią wstrząsnęło.

— Dobrze — odezwała się sztywno. — Skoro to twoje ostatnie słowo, idę. Gdzie się spotkamy? Tutaj na ulicy?

— Kawalek stąd jest niewielki bar. Może tam?

— A jesteś pewien, że tam cię wpuszczą? — spytała ze złością.

— To lokal bez licencji.

Phoebe wzruszyła ramionami i obróciła się na pięcie.

— W takim razie do zobaczenia o wpół do szóstej. Ale uważam, że swoim zachowaniem bardzo wszystko komplikujesz.

Ben uznał, że następną sprawą do załatwienia jest kupno biletów. Na szczęście na stacji obyło się bez problemów. Zawiadowca otworzył biuro i bez słowa sprzeciwu sprzedał mu dwa bilety pierwszej klasy.

— Mieszka pan w Brisbane? — spytał. - Tak.

439

PATRICIA SHAW

— Ja tam wolę busz. Proponowali mi, żebym objął jakąś stację w mieście, ale powiedziałem im, że nie chcę. Za duży ruch i hałas. Wolę wieś.

— Chyba się z panem zgadzam — zamyślił się Ben. Pokochał te okolice, chociaż zaznał tu wiele zła, a teraz natknął się na ten idiotyczny przepis. To były błahostki, niezależnie od nich człowiek czuł się tutaj częścią ziemi, mógł się wiele nauczyć o buszu, zwierzętach, sprawach kompletnie nieznanym mieszkańcom miast. Już teraz Ben zżymał się na myśl o powrocie do

monotonii codziennej pracy, o przesiadywaniu większej części dnia w biurze, sprawdzaniu ksiąg i rachunków stajni oraz siodłami. Może by więc zdecydować się na radykalną zmianę? Kiedy wyszedł z powrotem na główną ulicę, zawołała go jakaś kobieta. Odwrócił się i ujrzał pędzącą za nim Mae Smith.

— Tak się cieszę, że cię widzę — rzekła. — Doszły mnie słuchy, że miałeś problemy w Royalu.

— Nic wielkiego — uśmiechnął się. — Ale powinienem chyba przeprosić za kłopoty, które na was ściągnąłem.

Mae potrząsnęła głową.

— Ależ skąd. Mieliśmy awanturę z sierżantem policji. To, delikatnie mówiąc, wyjątkowo nieprzyjemny typ. Nie mogliśmy go przekonać, że ten przepis nie dotyczy osób takich jak ty. Wprowadzono go przecież dla zapewnienia spokoju. I tak nie moglibyśmy przyjmować Aborygenów, bo od razu stracilibyśmy wszystkich innych klientów.

— Odniosłem wrażenie, że ten hotelarz spodziewał się mojego przybycia, że wręcz mnie wypatrywał.

— I się nie pomyliłeś. Zostaliśmy wszyscy zastraszeni. Ale weźmy na przykład takiego Jacka Dunne'a. On też miał czarnoskórą matkę, a przecież bywa, gdzie tylko zechce, dlatego że jego ojciec, biały, umarł i zostawił mu w spadku farmę Ballymore. Kawalek na południe stąd. Jest właścicielem farmy, nie potrzebuje więc żadnych pozwoleń.

— Ja też mam swoją posiadłość — zauważył Ben.

— Tłumaczyliśmy to sierżantowi, ale nie dał się przekonać, twierdząc, że działa na podstawie oficjalnej skargi. Pisemnej.

Ben pokiwał głową.

— Niech no zgadnę... Buchanan?

— We własnej osobie — odparła. — Jeden list od naszego ukochanego parlamentarzysty i wszyscy musimy tańczyć, jak nam zagrają.

— Nie ja.

440

OGNIE FORTUNY

— Tym lepiej dla ciebie. Ale nawet my nie możemy wynająć ci pokoju, jeżeli nie będziesz miał pisemnego zezwolenia. Zrozum, to zbyt ryzykowne.

— Nie przejmuj się, Mae. Poradzę sobie.

— Podobno przyjechałeś z przyjaciółką? Gdzie ona jest?

— W Royalu. Jest przyzwyczajona do wygód.

— Aha. Chciałam cię o coś spytać. Podobno Buchanan miał wypadek. Czy to prawda?

— Tak. Stratowały go dzikie konie, jest ciężko ranny. Chyba będą musieli przewieźć go do szpitala.

— No cóż. Jakoś nie potrafię się nad nim litować.

— Mae — powiedział Ben — dziękuję ci za wszystko, ale muszę już iść. Rano wracamy do Brisbane, a zostało mi jeszcze kilka spraw do załatwienia.

— W takim razie uważaj na siebie. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

— Na pewno — uśmiechnął się i ruszył do biura pośrednika handlu bydłem i nieruchomościami.

— Jestem Monaghan — przedstawił się pośrednik. — Czym mogę służyć? — Był to niski krępy mężczyzna o bystrych oczach. Na widok potencjalnego klienta jego twarz natychmiast rozjaśnił uśmiech.

— Jest pan obcy w tych stronach?

— Tak — odparł Ben. — Chciałbym się dowiedzieć o farmę położoną w tych okolicach.

— Kupno czy dzierżawa?

— Kupno.

— Świetnie. Mam obecnie na sprzedaż kilka farm. Teraz, kiedy skończyła się susza, jest najlepszy czas na kupno farmy. Zobaczymy...

— Podszedł do biurka. — Na jak długo planuje pan zatrzymać się w Charleville? Mógłbym się zorientować nieco dokładniej...

— Winnaroo — przerwał mu Ben. — Interesuje mnie Winnaroo. Czy nadal jest na sprzedaż?

— Tak, proszę pana. To najlepsza farma w okolicy. Ale muszę pana ostrzec, że nie jest tania.

— Słyszałem, że stoi opuszczona.

— Od niedawna. To nie potrwa długo.

— Nie ma tam też zabudowań.

— To prawda, ale budowa domu nie powinna kosztować zbyt wiele. Jest pan kawalerem?

— Tak.

441

PATRICIA SHAW

— No to nie potrzebuje pan żadnych specjalnych luksusów. Przynajmniej na razie.

— Mam mało czasu — odrzekł Ben. — Rano wyjeżdżam do Brisbane. Oglądałem Winnaroo, panie Monaghan, i dobrze wiem, że trzeba będzie wpakować sporo pieniędzy, by przywrócić tę farmę do życia. Potrzebuję więcej szczegółów na jej temat, ale na pewno nie zapłacę więcej, niż jest warta. Czy będzie pan w stanie zebrać te informacje na ósmą rano?

— Oczywiście. A pana godność, jeśli można prosić?

— Ben Beckman. Jeżeli uznam, że cena jest do przyjęcia, po powrocie do Brisbane prześlę panu telegraficznie ostateczną ofertę. Mój prawnik — dodał, myśląc o Barnabym — zajmie się wszystkimi szczegółami.

Monaghan był zachwycony.

— Będzie pan musiał kupić bydło. W tej sprawie też może pan na mnie liczyć — zaoferował się.

Monaghan okazał się nie lada gadułą i Ben musiał się sporo namęczyć, zanim w końcu udało mu się z nim pożegnać i popędzić do baru na spotkanie z Phoebe.

— Właśnie mnie poinformowano — oznajmiła, kiedy wbiegł do środka — że ten przytulny lokal zamykają o szóstej, dlatego zamówiłam coś do jedzenia także dla ciebie.

Pocałował ją w policzek i rozgościł się w owym przytulnym lokalu

— ciasnym obskurnym barze, w którym bzyczały roje much, zwabionych przez wszechobecny zapach tłuszczu. Ben skrzywił się, zrozumiałwszy, że zapraszając tutaj Phoebe, popełnił kolejny błąd.

— Przepraszam, Phoebe. Nie musisz tu jeść. Odprowadzę cię do hotelu.

— Nie — sprzeciwiła się, czyszcząc sztućce brudnym obrusem.

— Już złożyłam zamówienie, więc nie rób zamieszania. — Ku jego niewysłowionej uldze, Phoebe roześmiała się. — Menu jest klasyczne. Stek z jajkiem, kotlet z jajkiem, kiełbasa z jajkiem i wszystko razem. Więc zamówiłam wszystko razem.

— Doskonale — uśmiechnął się Ben. — Na to właśnie miałem ochotę.

— Co robiłeś?

— Kupiłem bilety na pociąg, widziałem się z Mae Smith z hotelu, w którym poprzednio mieszkałem, i dowiedziałem się, że jako szanowany obywatel i właściciel stajni nie potrzebuję żadnych zezwoleń.

442

OGNIE FORTUNY

— W takim razie możesz zamieszkać w hotelu.

— Miejscowy sierżant policji jest zgoła odmiennego zdania. Zresztą nie ma o czym dyskutować. — Nie zamierzał wspominać o Buchananie, nie powiedział, że za wszystkimi ostatnimi kłopotami stoi właśnie on. To musiałyby prowadzić do dalszych pytań.

— Ależ ty jesteś uparty. Ben ujął ją za rękę.

— Ty też, najmilsza. Gdybyś postawiła na swoim, waliłbym do kolejnych drzwi, żądając, by mnie wpuścili.

— Żądając przysługujących ci praw — poprawiła go.

— Z pozwoleniem w dłoni. Nic z tego. Nigdy się na coś takiego nie zgodzę. Aha, idzie nasze jedzenie.

Pomimo obskurnego wyglądu baru posiłek, podany przez potężną spoconą kobietę, okazał się całkiem strawny. Ben, który dopiero teraz przypomniał sobie, że jest okropnie głodny, jadł z apetytem, natomiast Phoebe tylko dźgała jedzenie widelcem, tłumacząc się, że jest zbyt zmęczona, by jeść.

Po posiłku, nieco bardziej odprężeni, przeszli się kawałek ulicą, zaglądając przez okna do sklepów, aż w końcu stanęli przed drzwiami hotelu, gdzie wzbudzili ciekawość grupy mężczyzn.

Ben zauważył zakłopotanie Phoebe. Kiedy się odwróciła i szybko weszła do hotelu, ogarnął go niewymowny smutek. Kusiło go, by jednak złamać zasady, pobiec na policję, poprosić o to nieszczęsne pozwolenie i oszczędzić jej tego niezdrowego zainteresowania. Przecież powinien być przy niej. Lecz nie zrobił tego, tylko odebrał konie, a następnie odprowadził je do stajni, by uzgodnić szczegóły odstawienia ich z powrotem do Fairmont.

Nie mając nic lepszego do roboty, przyłączył się do grających w karty stajennych. Wieczorem jego nowi znajomi zaproponowali, by przespał się na wolnej pryczy w ich baraku.

Wyciągnął się na twardej pryczy i rozmyślał o Phoebe, zastanawiając się, jak zapewnić jej szczęście. Szalał na jej punkcie, był w niej bezgranicznie zakochany. Jakże trudno było mu siedzieć z nią w tamtym obskurnym barze, kiedy tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona, jakże bolesne było rozstanie przed hotelem, wyzute z jakiegokolwiek intymności. Następnego dnia mieli wyruszyć w długą podróż pociągiem, niby razem, a jednak osobno, pod czujnym okiem współpasażerów, i to wtedy gdy powinni być sami. Porozmawiać, tak jak robili to kiedyś — miał wrażenie, że od tego czasu upłynęły już wieki — w jego domu na Kangaroo Point, tylko we dwoje,

443

PATRICIA SHAW

mówić o wszystkim i o niczym, czuć, że nie potrzebują do szczęścia nic więcej.

Zastanawiał się, czy to możliwe, że ich uczucie nagle zniknęło. Czyżby rozpadło się pod presją niezależnych od nich problemów? Nie, nie wolno mu na to pozwolić. Przecież zaczął już snuć plany na przyszłość. Zachowa dom na Kangaroo Point — będą w nim mieszkać podczas pobytów w mieście — sprzeda natomiast stajnię i siodlarnię, a za uzyskane pieniądze kupi farmę Winnaroo. Tam zbuduje dla Phoebe wspaniałe domostwo, z którego będzie naprawdę dumna. Będzie hodował bydło, a przede wszystkim konie; przywróci Winnaroo dawną świetność. Dotąd nie naruszył łupów Kapitana Jacka, w końcu na coś mu się przydadzą.

Phoebe zamieszka w pobliżu swej przyjaciółki Clary, jeśli zaś chodzi o Buchanana, to, oczywiście pod warunkiem że ten w ogóle przeżyje, Ben rozmówi się z nim krótko i rzeczowo. I tym razem to on będzie dyktować warunki. „Nie wchodź mi w drogę, to i ja tobie nie będę.” Nie ścierpi żadnych dalszych prób wtrącania się w jego sprawy. Buchanan ma w tej walce znacznie więcej do stracenia niż on.

Te rozważania tak go pochłoneły, że zaczynał się obawiać, że tej nocy nie zmruży oka. A jednak zasnął i spał spokojnie.

Phoebe zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju, po czym wściekłym ruchem zdarła kapelusz i rękawiczki. Próbowwała tłumaczyć sobie, że wszystko jest w porządku, że nic jej nie obchodzą ludzie, którzy poszturchiwali się i szeptali, kiedy wchodziła do hotelu, ani ci okropni mężczyźni, uśmiechający się głupkowato, kiedy mijała ich w drzwiach. Kocha Bena i nie ma dla niej znaczenia, kto o tym wie.

Jednakże wraz z nią do pokoju zakradły się wątpliwości, nie dając jej chwili wytchnienia, sprawiając, że już nie była taka pewna słuszności swoich decyzji.

To, że musiała zjeść z nim podwieczorek w tamtym obskurnym barze, było dla niej kolejnym upokorzeniem, tym większym, że hotelowa jadalnia wydawała się taka przytulna i elegancka. Śnieżnobiałe krochmalone obrusy, srebrne sztucce, kwiaty w wazonach... Współczuła Benowi, próbowała obrócić tę okropną sytuację w żart, udając jednocześnie, że nie jest głodna, bo brzydziła się zjeść to ohydne danie podane na zimnych tłustych talerzach. — Podwieczorek! — rzekła na głos, krzywiąc się z niesmakiem. O tej porze zwykła jadać ciasto i popijać je herbatą, a nie wmuszać w siebie posiłek godny co najwyżej postrzygacza. Lecz musiała tam

444

OGNIE FORTUNY

zostać ze względu na niego, ciesząc się, że przynajmniej nie jest głodny. Czowała się odpowiedzialna za jego los, i to również doprowadzało ją do szału. Gdyby nie był taki uparty, siedzieliby teraz na dole jak normalni ludzie. Ale nie, ona, samotna, musi gapić się na ściany, podczas gdy Ben jest gdzieś daleko, Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie. Może śpi pod jakimś drzewem? Nie, tego już za wiele.

Zdenerwowana wyjrzała na korytarz, zawołała pokojówkę i kazała przynieść sobie ciasto i kawę. Potem usiadła na łóżku i stuknęła obcasem o podłogę do chwili, aż dziewczyna wróciła. — Nie ma ciasta, psze pani, ale kucharz przysłał pudding. Jest naprawdę wyśmienity. Ze śmietaną.

— Dziękuję — rzekła Phoebe, odbierając tacę. — To wszystko. Gorący pudding był rzeczywiście wyśmienity, kawa również,

Phoebe poczuła się więc nieco lepiej. Kocha Bena, naprawdę go kocha.

— Chyba tak — zwróciła się do ścian. — Zapewne po prostu tracę cierpliwość. Wszyscy próbują na mnie wywierać naciski. Dlaczego nie dadzą nam spokoju?

Rozebrała się, powtarzając sobie, że przecież zawsze robiła to, co chciała, i nie ma najmniejszego powodu, by to się teraz zmieniło.

— Ben to jedyna osoba, na której kiedykolwiek mi zależało — powiedziała na głos. — I nie pozwolę, by jacyś ludzie albo te absurdalne drobiazgi to popsowały. On mnie potrzebuje. Naprawdę. Nie mogę go zawieść.

Łóżko było bardzo wygodne, prześcieradło gładkie jak atlas, kołdra ciepła i puszysta. To był długi i bardzo wyczerpujący dzień, i Phoebe szybko zasnęła. Śniła o Benie cudowny erotyczny sen, w którym był przy niej, kochał się z nią, tulił ją, taki czuły i przystojny. Obudziła się w błogim nastroju, sny dodały porankowi różowej barwy szczęścia. Szczęścia, którego jednak długo jeszcze nie miała zaznać.

Ponieważ poszła spać wcześniej, była na nogach długo przed śniadaniem. Kiedy zeszła do jadalni, zastała w niej paru mężczyzn, którzy spojrzeli na nią z nie krytym podziwem, co powinno ją zirytować, lecz nie zirytowało. Wiedziała, że wygląda wspaniale, głównie dzięki długim wakacjom na farmie. Płaszcz i kapelusz zostawiła na wieszaku w korytarzu. Kosmyki jasnych włosów, związanych niebieską wstążką i przytrzymywanych kilkoma spinkami, okalały jej czoło, z tyłu sięgały aż do ramion. Szyty na miarę kostium podróżny był w zdecydowanie miejskim stylu, tego dnia wszakże Phoebe Thurlwell zamierzała powiedzieć tej miłośniczce, co miała do powiedzenia.

445

PATRICIA SHAW

Jest, kim jest, i chce, by o tym wiedzieli! W klapę wpięła śliczną perłową broszkę, którą dała jej Clara, dowiedziawszy się, że Lalla i Phoebe sprzedawały całą biżuterię. Broszka idealnie pasowała do perłowych guzików żakietu z grubego jedwabiu, podkreślającego wąską talię i przechodzącego w szeleszczącą, wspaniale skrojoną spódnicę.

Zamówiła śniadanie, kiedy kelnerka wprowadziła dwie kobiety.

— Mogą panie usiąść z tą panią — zaproponowała. Starsza z kobiet posłała Phoebe lodowate spojrzenie.

— Wolałybyśmy nie — odparła wyniośle, po czym razem ze swoją towarzyszką usiadła przy innym wolnym stole.

Phoebe czuła, że twarz jej płonie. Tamte dwie dostały śniadanie przed nią, ona zaś najchętniej podeszłaby do nich i wylała im owsiankę na kolana.

Kelnerka nie próbowała już sadzać innych gości przy stole Phoebe, przewidzianym dla sześciu osób, nie śpieszyła się też z podawaniem, Phoebe siedziała więc samotnie, świadoma, że znajduje się w centrum uwagi. Zastanawiała się, czy nie wyjść, lecz wiedziała, że oznaczałoby to kapitulację. Gestem wezwała kelnerkę i szeptem ostrzegła ją, że jeśli natychmiast jej nie obsłuży, będzie miała poważne kłopoty.

— Przepraszam panią, przykro mi — powiedziała dziewczyna, sztucznie się uśmiechając.

— Dopiero ci będzie przykro — warknęła Phoebe i po chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jej śniadanie pojawiło się na stole.

Zjadła wprawdzie niewiele, za to siedziała przy stoliku wystarczająco długo, by nikt nie pomyślał, że zrejterowała. Aby zapomnieć o całym tym towarzystwie, uważnie przyglądała się wystrojowi wnętrza i doszła do wniosku, że Lalli na pewno by się ono nie spodobało. Czerwone aksamitne zasłony i tapeta z czerwonym szlaczkiem nie pasowały do wiejskiego hotelu, w którym powinny dominować akcenty sielankowe, a nie pretensjonalna wielkomiejskość. W końcu wstała od stołu i poszła uregulować rachunek.

W recepcji siedziała żona hotelarza.

— Już został uregulowany — oznajmiła oschle kobieta. — Przez tamtego człowieka. Wziął też pani bagaże. Czeka na dworze.

— Jakże miło z państwa strony — odparowała Phoebe. — Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Była to tylko niepotrzebna brawura, ale kobieta najwyraźniej się przestraszyła, a Phoebe musiało to wystarczyć. Ben czekał na nią. Na

446

OGNIE FORTUNY

zewnątrz. To bolało. Pragnęła, żeby ją objął — wciąż miała w pamięci tamten sen — albo przynajmniej pocałował na powitanie, jego jednak najwyraźniej krępowały zaciekawione spojrzenia, chwycił więc jej walizki i natychmiast ruszyli na stację.

W pociągu okazało się, że tamte dwie kobiety, które zrobiły Phoebe afront w hotelowej restauracji, jadą w ich wagonie, tak zwanej psiej budzie, składającej się z dwóch rzędów siedzeń, Phoebe musiała więc znosić ich pogardliwe spojrzenia aż do następnej stacji, kiedy to, ku jej ogromnej uldze, wysiadły. W wagonie oprócz nich zostało teraz jedynie trzech mężczyzn.

Phoebe cieszyła się, że znenawidzone współpasażerki wysiadły, aczkolwiek na następnej stacji, kiedy pasażerowie wyszli na peron, żeby rozprostować kości, stwierdziła, że zmieniły wagon.

Ta obelga bardzo ją dotknęła. Miała tylko nadzieję, że Ben niczego nie zauważył. Pod czujnymi spojrzeniami pozostałych pasażerów rozmowa w ogóle się im nie kleiła, a kiedy po paru godzinach jazdy Ben zaproponował, by Phoebe wyciągnęła się wygodnie na siedzeniu i położyła mu głowę na kolanach, w oczach towarzyszy podróży pojawiła się dezaprobata. Powtarzała sobie, że ci ludzie nic dla niej nie znaczą, i w końcu zasnęła, trzymając go za rękę, czując, że jest blisko niej, że chroni ją przed otaczającym światem.

Pociąg przybył do Brisbane z godzinnym opóźnieniem, o jedenastej rano, a zanim dorożka zdążyła przejechać przez most, Phoebe i Ben już się kłócili.

— Wysadź mnie przed domem — poprosiła Phoebe. — Jestem okropnie zmęczona. Muszę wziąć kąpiel i odpocząć.
— Nie mogę tak po prostu zostawić cię pod drzwiami i uciec, Phoebe. Nie jesteś podrzutkiem.
— Tak będzie najlepiej — odparła znużonym głosem.
— Wcale nie. Wróciłaś ze mną i najwyższy czas skończyć z tymi pozorami. Odstawię cię do domu, oddam w ręce rodziców, przedstawię się im, a potem wyjdę, jak przystało na dżentelmena.
— A ja ci mówię, że to błąd! Nie znasz ich!
— Ani oni mnie. A już najwyższy czas, by poznali. Chyba że jednak zmieniłaś zdanie. Nie odwracaj się.
— Wcale się nie odwracam. Po prostu cieszę się, że jestem w domu.
— Więc nadal ci na mnie zależy?

447

PATRICIA SHAW

— Oczywiście że tak — odparła, coraz bardziej poirytowana. — Nie obejmuj mnie — odsunęła się od niego. — Ludzie patrzą.
— Przepraszam — powiedział urażony. — Nie chciałem cię zdenerwować.
— Ja też cię przepraszam. Nie jestem zdenerwowana, tylko bardzo zmęczona.
— Nic dziwnego. Dwadzieścia cztery godziny w pociągu to nie przelewki. Musisz być wyczerpana. Ale poczekaj, niedługo będę miał dla ciebie dobrą wiadomość. Mam pewien wspaniały plan.
— Związany z samochodami?
— Nie. Auto też kupimy, ale to coś znacznie lepszego.
— To miło — odrzekła Phoebe. Dorożka zatrzymała się przed bramą Somerset House. — Wysadź mnie, Ben, a sam jedź do domu.
— Nie. Wróciliśmy razem, Phoebe. Najdroższa, nie bój się, wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.
— Co ty tutaj robisz? — Lalla nawet nie próbowała kryć zaskoczenia. Była przekonana, że córka nadal przebywa w Fairmont.
— To chyba nadal także mój dom — odparła kwaśnym tonem Phoebe, a Bena zaniepokoił ten chłód panujący pomiędzy matką a córką. Spodziewał się pewnych trudności, wynikających z jego obecności, lecz nie otwartej wrogości, tym bardziej że wyczuł, iż powodem jest nie tylko nie akceptowany przez rodziców Phoebe związek. Pani Thurlwell była piękną kobietą o delikatnych rysach i jasnych włosach okalających modnymi lokami twarz. Podobieństwo między obiema kobietami było uderzające. Lalla Thurlwell wciąż stała przy schodach, jakby wcale nie miała ochoty przywitać się z córką. Phoebe nie sprawiała wrażenia zaskoczonej zachowaniem matki, poza tym była zbyt pochłonięta rozglądaniem się wokół siebie.
— Co tu się dzieje? — spytała. — Dlaczego tu tak pusto?
— Sprzedaliśmy większość mebli na aukcji — odparła matka. *— Ale dlaczego? — Phoebe była wstrząśnięta. — Tyle pięknych rzeczy!
— Dlatego że nie zamierzałam oddać ich razem z domem.
— O mój Boże! Czy dom też chcecie sprzedać?
— Już jest sprzedany. Wyprowadzamy się do Sydney.
— Sprzedaliście Somerset! — Głos Phoebe był jednym okrzykiem potwornego bólu. — Mamo, dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś? Jak mogłaś mi to zrobić?

448

OGNIE FORTUNY

Wyglądało na to, że całkiem zapomniali o jego obecności, Ben stał więc cierpliwie, czekając, aż kryzys minie, lecz Phoebe wybuchnęła płaczem.

— Czy jest aż tak źle? — spytała.

— Dom trzeba było sprzedać — odparła Lalla, ani trochę nie poruszona.

— Ale Somerset! To przecież nasz dom! — łkała Phoebe. — Czy naprawdę nie ma innego wyjścia?

— Przestań się mazać! — odezwała się pani Thurlwell, a Ben niemalże poczuł do niej sympatię za ten stoicki spokój, wiedział bowiem, że dla niej utrata wspaniałego domu musi być przynajmniej tak samo bolesna jak dla Phoebe. Po sympatii wszakże nie pozostał nawet ślad, kiedy Lalla Thurlwell spojrzała na Bena i spytała:

— A kim jest ten mężczyzna? Jakby nie wiedziała!

Phoebe natychmiast wróciła na ziemię. Starając się zachować kamienny spokój jak matka, zdjęła płaszcz i kapelusz, ułożyła je na krześle i dopiero wtedy odpowiedziała:

— Mamo, to pan Beckman. Mój narzeczony.

Lalla Thurlwell posłała mu lodowate spojrzenie swych zielonych oczu, po czym, jawnie go ignorując, zwróciła się do Phoebe:

— A więc na to nam przyszło?

Przeszła przez wyłożony białymi płytkami korytarz, otworzyła drzwi i zawołała do męża:

— Williamie! Jesteś tu potrzebny. Twoja córka wróciła do domu. To rzekłszy, odpłynęła z wysoko uniesioną głową i zniknęła w tylnej części domu.

— A nie mówiłam! — syknęła Phoebe, jakby to on odpowiadał za brak manier jej matki.

— No i co? — odparł spokojnie. — Jak dotąd jestem cały i zdrow. Czy aby na pewno? Kiedy w holu pojawił się doktor Thurlwell

i uradowany podbiegł, by uściskać córkę, serce Bena zabiło jak dzwon. Oto stanął twarzą w twarz ze swym wrogiem. Coś ścisnęło mu gardło i obawiał się, że głos odmówi mu posłuszeństwa. „Bądź uprzejmy — powtarzał sobie. — Dla dobra Phoebe zapomnij o starych urazach.”

— Dzień dobry — rzekł doktor Thurlwell, nie podając Benowi ręki.

— Tato, Ben i ja zareczyliśmy się — oznajmiła Phoebe.

— Nie opowiadaj takich nedorzeczości — odrzekł doktor. — Ale cieszę się, że pan Beckman w końcu zdobył się na odwagę, by tu

29 Ognie fortuny

449

PATRICIA SHAW

przyjść. Trzeba panu wiedzieć, panie Beckman, że jestem przeciwny pańskiemu związkowi z moją córką.

— Przykro mi z tego powodu, sir, lecz ja pragnę poślubić Phoebe. Kocham ją i będę się nią opiekował, najlepiej jak potrafię. Stać mnie również na to, by zapewnić jej godziwe warunki życia.

— Być może, choć z pewnością nie takie dobre, do jakich jest przyzwyczajona.

Ben czuł, jak wzbiera w nim gniew. Ten człowiek jawnie go lekceważył, nie zapraszając do środka. A przecież sprawa jest zbyt poważna, by omawiać ją na stojąco w holu.

— Była przyzwyczajona — wycedził, rozglądając się po pustym pomieszczeniu.

Różowa twarz Thurlwella zrobiła się czerwona jak burak. Zignorował jednak tę kąśliwą uwagę i kontynuował:

— Nie muszę tłumaczyć panu powodów, dla których odrzucam pańskie oświadczyzny, panie Beckman. Wystarczy, że powiem, iż ten pomysł jest po prostu nedorzeczny. I pan bardzo dobrze o tym wie.

— Tato — wtrąciła Phoebe. — Nie bądź taki oficjalny. Przecież nawet nie znasz Bena. Najwyższy czas, żebyś z nim porozmawiał.

— Ujrzawszy Bidy, która właśnie schodziła ze schodów, zawołała:

— Bidy! Wróciłam! Myślałam, że ten pociąg nigdy nie dojedzie. Czy mogłabyś podać nam kawę w salonie?

— Tak, panienko — uśmiechnęła się Bidy. — Cieszę się, że panienka jest już z nami. Doktor wszakże nie zamierzał ustąpić.

— Panie Beckman, pańska obecność w moim domu uwłacza mi, byłbym więc zobowiązany, gdyby zechciał go pan natychmiast opuścić.

Ben wzruszył ramionami.

— Chyba nie należało się spodziewać niczego więcej po kimś takim jak pan. Brak panu odwagi, by porozmawiać o tym tak, jak chciałyby Phoebe. Pan woli działania nieco mniej jawne, prawda?

Thurlwell skrzywił się i odwrócił wzrok.

— Jeszcze raz powtarzam: proszę opuścić mój dom!

Ben wiedział, że trafił w czuły punkt, i teraz już nie miał wątpliwości, że to Thurlwell stał za napadem na Barnaby'ego.

— Gdzie ma pan lokaja, który wyrzuci mnie za drzwi? — spytał.

— Bo przecież pan nie para się taką brudną robotą, prawda?

— Ben, przestań! — wykrzyknęła Phoebe. — Ojciec źle się czuje. Zostaw go!

450

OGNIE FORTUNY

— Tak jak on zostawił Barnaby'ego? — warknął Ben i zwrócił się do doktora. — Komu pan zapłacił, żeby mnie skatował w moim własnym domu? Komu, panie Thurlwell?

— Nie wiem, o czym pan mówi! — wyjąkał Thurlwell, cofając się o krok.

— Owszem, wie pan. Bardzo dobrze pan wie! — odparował Ben. — Ale pomylił się, prawda? Pobił nie tego, kogo mu pan kazał. Barnaby dostał za mnie.

Phoebe ścisnęła go za ramię.

— Ben, przestań, proszę cię!

— A niby dlaczego? Milczałem, chciałem jak najlepiej dla ciebie, starałem się nie denerwować twojej rodziny. Ale oni mną gardzą! — wychrypiał. — Tylko że ja nie odmówiłbym pomocy umierającej kobiecie! Ja nie posłałbym dziecka do więzienia za to, że stłukło kilka szyb! I na pewno nie wysłałbym bandziora, żeby załatwił moje prywatne porachunki! A on to wszystko zrobił. Spójrz na niego, on dobrze wie, o czym mówię.

— Wynos się! — Thurlwell drżał na całym ciele.

— Wychodzę, sir, i niech się pan cieszy, że nie naprowadziłem policji na pana ślad, bo już dawno stanąłby pan przed sądem!

— Wystarczy! — wykrzyknęła Phoebe.

— Tak, wystarczy — powiedział Ben. — Kocham cię, Phoebe, mimo że masz taką rodzinę. Mimo że twój ojciec to zwykły tchórz.

— Przestań — prosiła, prowadząc go do wyjścia. — Idź do domu i upokój się. Obraziłeś mojego ojca! Jak mogłeś? Wszystko popsuleś!

— Nie było nic do popsucia, Phoebe. Po prostu wyjaśniłem to, co już dawno należało wyjaśnić.

Zanim wyszedł, spojrzął w górę i zobaczył Lallę Thurlwell, obserwującą całe zajście z pierwszego piętra, jakby była jedynie zaciekawionym widzem, jakby ta scena w ogóle jej nie dotyczyła.

— Przepraszam, tato — mówiła Phoebe, nalewając mu kawy. William Thurlwell był głęboko wstrząśnięty. — Ben wcale tak nie myśli, tylko bardzo się zdenerwował. On naprawdę bardzo mnie kocha. Musisz to zrozumieć.

— To przerażający człowiek! — upierał się jej ojciec. — Obiecuj mi, że nigdy więcej się z nim nie spotkasz.

Do salonu weszła Lalla. Nalała sobie kawy i usiadła nieco z boku, przeglądając jakieś czasopismo.

451

PATRICIA SHAW

— Nie mogę — załkała Phoebe. — O czym on mówił? Twierdził, że miałeś coś wspólnego z napadem na Barnaby'ego...

— To bzdura! Ten człowiek postradał zmysły! Lalla uniosła wzrok.

— Na litość boską, Williamie, przestań wreszcie kłamać! Czy wszyscy Thurlwellowie muszą być tacy sami? Nawet dureń by się domyślił, co się tam wtedy wydarzyło. Kogo na niego nasłałeś? Tego potwora, który sprząta twój gabinet?

— Kogo? — powtórzyła Phoebe.

— Tego ogrodnika z Bożej łaski. Nawet nie pamiętam, jak ten idiota się nazywa — wyjaśniła Lalla. — Glasson to prawnik. Mógłby pozwać twojego ojca do sądu i zażądać wysokiego odszkodowania, ale przypuszczam, że zdał sobie sprawę, że i tak nie miałby go jak ściągnąć.

— Czy to prawda? — spytała Phoebe oskarżycielsko.

— Chciałem go tylko nastraszyć. Chciałem, żeby raz na zawsze dał ci spokój.

— To okropne! Nieszczęsny Barnaby! Nic cię nie obchodziło, co go spotkało?!

— To była fatalna pomyłka. Ale nie pozwolę, żebyś mnie krytykowała. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo byliśmy wzburzeni? Robiłem, co mogłem, żeby cię przed nim ochronić. Dowiadywałem się o niego. Nie dość, że jest kolorowy, to na dodatek tak naprawdę wcale nie nazywa się Beckman. Nazwisko załatwił mu Mantrell za pomocą jednostronnego aktu prawnego. On wcale nie jest krewnym tamtej Niemki. Tak więc, poza wszystkim innym, jest nieślubnym dzieckiem i Bóg raczy wiedzieć, kto jest jego ojcem. Pewnie jakiś włóczęga, który zadał się z czarną kobietą. Powiedz, czy właśnie takiego dziedzictwa pragniesz dla swoich dzieci?

— Daj spokój, Williamie. — Lalla wzruszyła ramionami. — Ja już zrezygnowałam. Niech robi, co chce. Skoro jest dość głupia, by za niego wyjść, będzie miała to, na co zasłużyła. Każde drzwi w Brisbane będą przed nią zamknięte.

— Ona za niego nie wyjdzie. To jedynie krótkotrwała miłośćka, zadurzenie, które wkrótce przeminie. Gdybyś się nią bardziej interesowała, pewnie nigdy by do tego nie doszło.

— O tak — stwierdziła Lalla wyniośle. — Zrzuć całą winę na mnie.

— Nigdy cię nie obchodziła, zakochała się więc w pierwszej osobie, która dała jej namiastkę miłości. A jego zapewne interesował przede wszystkim nasz majątek.

452

OGNIE FORTUNY

— W takim razie — roześmiała się Lalla — grubo się pomylił, czyż nie?

Phoebe nie słuchała ich kłótni, już dawno się nauczyła, że nie warto. Jednakże wzmianka o tej starej kobiecie, pani Beckman, sprawiła, że w pamięci znów stanął jej obraz z przeszłości.

Ojciec Bena? O co chodziło? Przypomniała sobie, jak dawno temu, przed wieloma laty stała w tym salonie przy rozbitych oknach. A pani Beckman siedziała na werandzie i z kimś rozmawiała. Tylko z kim? Z jej ojcem? Błagała go, żeby nie posyłał chłopca do więzienia.

Nie, to nie był jej ojciec, tylko Buchanan. Ich gość. A ona jak zwykle podsłuchiwała. Co takiego wtedy usłyszała? Coś bardzo ciekawego. Buchanan był okropnie wzburzony, a pani Beckman z trudem powstrzymywała łzy. Potrzebowała jego pomocy. Dlaczego właśnie jego?

Wreszcie Phoebe sobie przypomniała: dlatego że twierdziła, że mały Ben jest jego synem, on zaś uparcie temu zaprzeczał. Phoebe wydało się to takie dziwne!

Jakby czytając w jej myślach, Lalla spytała:

— Podobno w Fairmont sporo się działo? Jak tam Ben Buchanan? W gazetach sporo piszą o tym wypadku.

— Jest ciężko ranny — odparła Phoebe, nie chcąc się odrywać od interesujących wspomnień.

— Stratowany przez dzikie konie! To potworne!

— Jest jeszcze jedna rzecz, której nam nie wyjaśniłaś, Phoebe — odezwał się doktor. — Bardzo się zawiodłem na Buchananych. W gazetach piszą, że to właśnie Beckman ocalił Buchananowi życie. Chciałbym się dowiedzieć, co on tam właściwie robił.

— Chyba się nie spodziewasz, że powie ci prawdę? — prychnęła Lalla pogardliwie. — To ostatnia rzecz, której bym się po niej spodziewała. Phoebe, za dwa tygodnie przeprowadzamy się do Sydney. Na razie zamieszkamy u mojej siostry Blanche. Ma przepiękny dom.

Właściwie to dobrze, że wróciłaś, przynajmniej sama spakujesz swoje rzeczy i pomożesz mi sfinalizować kilka spraw.

— Zadałem ci pytanie — upominał William córkę, został jednak zignorowany.

— Nie zostawimy cię tutaj samej, na łasce losu. Zaraz zaczęłabyś narzekać.

— Aha, to dlatego nie przejęłaś się Benem. No cóż, nie pojedę z wami. Nie zerwę z nim.

453

PATRICIA SHAW

— Owszem, pojedziesz — spokojnie stwierdziła jej matka. — Aż taka głupia nie jesteś. Masz dwa tygodnie na podjęcie ostatecznej decyzji. Jeśli tu zostaniesz, nie licz na naszą pomoc.

Tym razem Phoebe wyszła drzwiami frontowymi, nie dbając o to, czy ktoś ją zobaczy.

Musiała porozmawiać z Benem Beckmanem.

Kiedy ją zobaczył, twarz tak mu się rozjaśniła, że serce jej zmiękło i zachwiała się w swoim postanowieniu. Kiedy się uśmiechał, był niebywale przystojny. Lecz teraz poznała także jego drugie oblicze. Harde, bezkompromisowe. Pochylił się, chcąc ją pocałować, ona jednak go odepchnęła.

— Zachowałeś się podle wobec mojego ojca! Nie miałam pojęcia, że tak bardzo go nienawidzisz.

Wszedł za nią do jadalni.

— Co mam na to powiedzieć?

— Powinieneś go przeprosić. Mówiłam ci, że jest chory.

— Napijesz się kawy? — zaproponował, kiedy odsunęła krzesło i usiadła.

— Nie. Mam ochotę na kieliszek tego wina, które pijecie z Barnabym.

— Białe jest lepsze. Dobry rocznik.

— Dobrze.

Ben wyjął dwa kryształowe kieliszki Omy i napełnił je winem. Chociaż Phoebe była rozgniewana, i to bardziej niż kiedykolwiek, czuł się o niebo lepiej. Był wręcz beztroski, głównie dzięki paru whisky, które wypił zaraz po wejściu do pustego domu. Barnaby okazał się fatalną gospośią — w kredensie nie było nic oprócz kawałka starego sera, jakichś nieapetycznych resztek i czerstwego chleba.

— No więc? — nie ustępowała Phoebe.

— Dobrze wiesz, że nie mogę go przeprosić.

— To ci sprawiło przyjemność, prawda? Taka napaść na starszego człowieka?

— Tak — odparł ostro. — Sprawilo! Obiecałem mu to już dawno, bardzo dawno temu, a poza tym wcale nie jest taki stary, lepiej więc daj sobie spokój. Ile on właściwie ma lat? Czterdzieści osiem? Pięćdziesiąt? Tyle samo ma Rod Callaghan i jest w pełni sił. Kiedy ty wreszcie wydorosłesz, Phoebe?

— To ty powinieneś wydorosnąć — odparowała. — Przez tyle lat obnosić się ze swoimi urazami! Rozgrzebywać stare rany! Czy ty nie

454

OGNIE FORTUNY

potrafisz zrozumieć, w jakiej znaleźli się sytuacji? Naprawdę prosimy ich o bardzo dużo.

— Dlatego że moja matka była czarna?

— Tak! Ich reakcja nie jest niczym nadzwyczajnym. Każdy by tak zareagował i ty dobrze o tym wiesz. Wiedziałeś od początku. Po co jeszcze bardziej ich do siebie zraziłeś?

— Chyba przesadzasz, Phoebe. Nawet gdybym ścisnął czapkę w dłoni, kłaniał się uniżenie i powtarzał: „Tak, psze pani. Tak, psze pana”, i tak by mnie wyrzucili za drzwi, lepiej więc nie opowiadaj takich bajek. Przedstawiłem się im, wiedzą, kim jestem, i nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, czy zgadzają się na nasze małżeństwo, czy też nie. Decyzja należy do ciebie, nie do nich.

Nagle wlepiła wzrok w kieliszek.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Buchanan to twój ojciec? Trafiła w dziesiątkę.

Zdziwienie na jego twarzy, konsternacja były

dla niej rekompensatą za ostatnie przeżycia. Była oburzona na wszystkich, na Bena, Lallę i na ojca. Wszyscy troje są tak piekielnie uparci, jedno warte drugiego! Na dodatek nad głową zawisa jej jednoznaczna groźba Lalli. Miała się zdecydować. I to szybko. Już sobie wyobrażała zimne, pogardliwe spojrzenie matki, jeśli postanowi zostać.

Zostać? Z czym? Przecież nie dostanie od nich ani pensa, będzie musiała zdać się na dobrą wolę Bena, i to jeszcze przed ślubem. Sama myśl, że miałyby go prosić o pieniądze, a tym samym przyznać, że rodzice się jej wyrzekli, wydawała się upokorzeniem, którego chyba nie potrafiłaby znieść.

A on siedział, wpatrywał się w stół i bawił kieliszkiem.

— Kto ci powiedział? — spytał w końcu.

— Nieważne. Ale to prawda, czy nie? Dlaczego wszyscy ukrywają przede mną prawdę?

— O to samo oskarżyłaś swoją matkę. We właściwym czasie na pewno powiedziałaaby ci o sprzedaży domu. Phoebe, zrozum, że cały świat nie kręci się tylko wokół ciebie. Ludzie mają własne problemy. A żeby zaspokoić twoją ciekawość, powiem ci, że być może Buchanan rzeczywiście jest moim ojcem, choć wcale mnie to nie cieszy. Gardzę tym człowiekiem.

— Uratowałaś mu życie!

— Twojemu ojcu też bym uratował, ale to nie znaczy, że muszę go lubić. Poza tym czy to ważne, kto jest moim ojcem?

— Nie wiem — odparła. — Właściwie prawie cię nie znam.

455

PATRICIA SHAW

— Owszem, znasz. Przez cały czas unikałaś tego tematu, Phoebe, licząc, że może przestanie istnieć. Ale nie przestanie. Kocham cię. Zawsze będę cię kochał i dla ciebie poświęciłbym wszystko, co mam. Chcę być z tobą — uśmiechnął się — na dobre i na złe. Zaufaj mnie, a nie temu, co sądzą inni ludzie. A jeśli nie potrafisz, to...

— Nie zniosę kolejnego ultimatum, Ben — przerwała mu Phoebe. — Nie rób tego! Co to za niespodzianka, o której chciałeś mi powiedzieć?

— To na razie nieistotne.

— Trudno. W takim razie lepiej już pójść.

— Zostań. Niedługo wróci Barnaby. Phoebe podskoczyła jak oparzona.

— Barnaby! Dobry Boże! Na śmierć zapomniałam, że on tu mieszka! Nie chcę się z nim widzieć. Czy już jest zdrowy?

— Tak. Zaczekaj na niego, na pewno chciałby się z tobą zobaczyć.

— Jeszcze nie teraz. Nie mogę.

Kiedy odprowadzał ją do bramy, prawie biegła, byleby tylko nie spotkać Barnaby'ego. Ben obawiał się, że Phoebe wymyka mu się z rąk, próbował więc jakoś poprawić jej humor.

— Posłuchaj, Phoebe — powiedział. — W sobotę jest Puchar Brisbane. Może pójdziemy popatrzeć? Zrobimy sobie piknik.

— Dobrze — zgodziła się bez namysłu. — Muszę już iść, Ben.

— A więc bohater powraca! — roześmiał się Barnaby. — Witamy w domu.

— Jaki bohater?

— We wszystkich gazetach piszą, że go uratowałeś. Naszego ukochanego parlamentarzystę. Po co to właściwie zrobiłeś?

— Czysty przypadek, wierz mi — odparł Ben. — Poznałem także Mae Smith. Ale to już nie był przypadek, prawda?

— Odniosłem wrażenie, że ciebie i Buchanana może coś łączyć.

— Coś albo raczej ktoś?

— Być może. Miałem rację?

— Nie wiem na pewno i prawdę mówiąc, mało mnie to obchodzi. Buchanan wyprzedził mnie o krok. To niebezpieczny facet. Mogłeś mnie ostrzec. Ale dajmy temu spokój, najważniejsze, że przywiozłem Phoebe.

— Świetnie! Co tam u niej?

— Nie najgorzej. Wygląda wspaniale, jak zwykle, ale strasznie się wszystkim zamartwia. Jej rodzice sprzedali dom...

456

OGNIE FORTUNY

— Tak, wiem. Przez znajomego pośrednika znalazłem Thurl-wellowi świetnego kupca, wytargowałem korzystną cenę, zrobiłem porządek w tym bałaganie, który nazywał swoimi rachunkami, postarałem się, żeby zostało mu jeszcze parę funtów, a on przyszedł do mojego biura i po prostu mnie zwymyślał! „W końcu, Glasson, byłeś w moim domu częstym gościem” — Barnaby naśladował doktora. — „Spodziewałem się choć odrobiny wdzięczności!”

— Zapłacił ci?

— Ależ skąd. Ben roześmiał się.

— No to wszystko po staremu. Ale Phoebe bardzo się przejęła tym, co cię spotkało. Powinieneś chyba wiedzieć, że to sprawa jej ojca, tylko że oberwać miałem ja, a nie ty. Dobrze by było, gdybyś ją odwiedził.

— Biedna Phoebe. Oczywiście że to zrobię. Co mamy na kolację? Jestem głodny, strasznie się dzisiaj napracowałem.

— Na kolację! W domu nie ma nawet skórki chleba, a ja od paru dni nie jadłem przyzwoitego posiłku. Chodźmy do baru. Trzeba się porządnie najeść.

Przy kolacji Barnaby powiedział Benowi, że kancelaria prosperuje coraz lepiej, natomiast kampania, która miała go doprowadzić do zwycięstwa w wyborach przedstawicieli na konferencję zjednoczeniową, utknęła w martwym punkcie.

— Nikt nie traktuje mnie poważnie. Jestem nikim. Za mało mnie znają. Nie chciałbym, abyś pomyślał, że zachowuję się jak sęp, ale powiedz, co tam z Buchananiem? Prasa podaje sprzeczne informacje.

— A dlaczego chcesz wiedzieć?

— Bo jeśli ze względu na zły stan zdrowia będzie musiał ustąpić, zwolni się miejsce w parlamencie, a wtedy spróbuję swoich sił w wyborach uzupełniających. Jeśli wygram, stanę się wystarczająco znany, by kandydować w wyborach przedstawicieli. Sądzę, że bez trudu mógłbym pełnić obie te funkcje.

— W takim razie lepiej się szykuj — stwierdził Ben. — Buchanan będzie musiał zrezygnować. Jest naprawdę w złym stanie. Przypuszczam, że straci stopę. A nawet jeśli nie, to i tak długo nie wróci do miasta.

— Nie będę udawać, że mnie to nie cieszy. A więc czas brać się do roboty!

457

PATRICIA SHAW

— Dobrze. A teraz ja mam dla ciebie kilka nowin. Postanowiłem sprzedać stajnię i siodlarnię i kupić farmę Winnaroo, niedaleko Charleville. To przepiękne miejsce.

— Co?

— Liczę, że jako mój prawnik zajmiesz się wszystkimi szczegółami. Obiecuję uregulować rachunek.

— A co na to Phoebe?

— Na razie o niczym nie wie, ale sądzę, że chętnie tam zamieszka. Tam będziemy wolni, a jako właściciel farmy nie powinienem mieć problemów ze względu na kolor skóry.

— Sądziłem, że tam na zachodzie są na tym punkcie bardziej czuli.

— Wczoraj rano rozmawiałem o tym z pośrednikiem, niejakim Monaghanem — roześmiał się Ben. — W tamtych okolicach mieszka przynajmniej kilku farmerów o kolorze skóry zbliżonym do mojego, co jednak nikomu nie przeszkadza. Farmerzy dają ludziom pracę i są dla tych małych miasteczek darem niebios. Liczą się przede wszystkim pieniądze, Barnaby. Poza tym życie w mieście po prostu mi się znudziło.

— A co z domem?

— Nie wyrzucę cię. Chcesz go wynająć?

Tego wieczora Ben zdecydował, że na razie nie powie Phoebe o swoich planach dotyczących Winnaroo. Na tym etapie mogłaby pomyśleć, że próbuje ją przekupić, tak jakby dawał jej kryjówkę przed światem. Dla niego natomiast ta farma stanowiła szansę zostania pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. Wychowywaliby dzieci, ani przez chwilę się nie nudząc. Postanowił, że Winnaroo będzie ślubnym prezentem dla Phoebe.

— Nie będę siedzieć w domu jak jakiś więzień — stwierdziła Lalla. — Przecież nie mamy się czego wstydzić. Zawsze chodziliśmy na Puchar Brisbane, Williamie, więc w tym roku też pójdziemy.

— Ja także idę — oświadczyła Phoebe.

— Dobrze.

— Z Benem.

Lalla westchnęła i ciężko opadła na krzesło.

— Dobrze, rób, co chcesz. Na teren klubowy na pewno go nie wpuszczą, pozostaje mi więc życzyć wam świetnej zabawy w towarzystwie ladacznic i łobuzów.

Dla Phoebe pogardliwa reakcja matki była kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Tym bardziej że Lalla miała rację. Przez resztę

458

OGNIE FORTUNY

dnia Phoebe zamartwiała się, spacerując bez celu po ogrodzie. Kocha Bena, bardzo go kocha, ale czy zdoła to wszystko wytrzymać? Presja stawała się nie do zniesienia, a wyjazd do Sydney coraz bardziej ją kusił, wydawał się bowiem okazją do ucieczki od całej tej zawieruchy. Ben musi jej dać jeszcze trochę czasu, chyba ma prawo go o to prosić? Jeśli naprawdę ją kocha, na pewno nie odmówi. Jest przecież tak wiele spraw, które musi przemyśleć.

Usiadła na ławce i wpatrywała się w rzekę, czując dotkliwy, przejmujący smutek.

Dzięki Bogu, rodzice już wyszli. Tego dnia Phoebe nie zniosłaby chyba żadnych dalszych nieprzyjemności.

Był piękny dzień, idealna zimowa pogoda, świeciło słońce, kwitły akacje, w powietrzu unosił się cudowny łagodny zapach eukaliptusa, a gdzieś w pobliżu śpiewała sroka, produkując nuty tak czyste, jakby to grały kuranty. Phoebe stała na ganku i wpatrywała się w ogród z zachwytem tym większym, iż wkrótce przyjdzie jej na zawsze go opuścić.

Patrzyła, jak Ben zajeżdża pod sam dom nowym wytwornym gigiem.

„Wydawałoby się, że wszystko jest jak najbardziej normalne

— pomyślała ze smutkiem. — Młody mężczyzna przyjeżdża pod dom swojej ukochanej, zeskakuje na ziemię, by pomóc jej wsiąść do powozu, za siedzeniami stoi duży kosz z jedzeniem. Tymczasem nic nie jest normalne, nic nie jest prawdziwe. Ani dom, ani Ben, wszystko to jedynie fasada, która za chwileczkę się zawali."

— Powinieneś być pozwolić, żeby Biddy przygotowała jedzenie

— rzekła.

— Nie martw się — odparł z uśmiechem. — Wszystko jest jak trzeba, z pozdrowieniami od Kathleen O'Neill. Ona naprawdę dobrze gotuje. Z tego, co widzę i czuję, mamy kurczaka, coś pikantnego, ciasteczka i ciasto. No i oczywiście szampana. Są nawet obrusy i serwetki — dodał entuzjastycznie.

Na wzmiankę o Kathleen O'Neill Phoebe poczuła lekkie ukłucie zazdrości — Ben często o niej mówił — postanowiła wszakże o tym nie myśleć, podjęła już bowiem decyzję.

— Jestem pewna, że piknik będzie cudowny. Ale powiedz, Ben, czy będziesz miał coś przeciwko, jeśli nie pojedziemy na te wyścigi?

Spojrzał na nią zdziwiony, wyprowadzając gig za bramę i poganiając konia.

459

PATRICIA SHAW

— Ależ skąd. Co w takim razie będziemy robić?

— Może pojedziemy nad rzekę? Kawalek za mostem jest kilka uroczych miejsc.

— Twoja prośba to dla mnie rozkaz — uśmiechnął się. — Mamy piękny dzień, miło będzie posiedzieć nad rzeką. Tylko we dwoje. Po co nam hałas i kurz wyścigów?

Znalazł ładną trawiastą polanę na porośniętym drzewami brzegu burozółtej rzeki, tak cichą i spokojną, że ogarnął go zachwyty. Zszedł nad sam brzeg, by popatrzeć na wartki nurt, podczas gdy Phoebe rozpakowywała lunch.

— To jednak potężna rzeka, prawda? — krzyknął do niej. — Z cypla wydaje się dużo węższa.

Phoebe przytaknęła i usiedli na ziemi, by rozkoszować się przygotowanym przez Kathleen posiłkiem. Phoebe musiała przyznać, że jedzenie jest naprawdę przepyszne. Podobnie jak szampan.

— Za nas — cicho powiedział Ben. — Za nas, Phoebe.

Rozmawiali o tym i o tamtym. Ben wspomniął krótko o Buchananie, więcej czasu poświęcił Barnaby'emu i jego coraz bardziej prawdopodobnej karierze politycznej. Oznajmił, że stajnie i siodłarnię postanowił sprzedać Rodowi Callaghanowi na bardzo korzystnych warunkach. Phoebe słuchała, zatopiona w swoich myślach, i nawet nie przyszło jej do głowy zapytać, co w takim razie Ben zamierza robić. Wyciągnięty wygodnie na trawie tuż obok niej, był taki przystojny, taki odprężony, że najchętniej zostałaaby z nim na zawsze. Lecz to było niemożliwe. Podły świat czyha na nich, czekając na pierwszą sposobność, by wszystko zniszczyć, by unicestwić ich miłość.

— Cudowny dzień — odezwał się Ben, sięgając na samo dno kosza. — Moja miła, mam tutaj coś dla ciebie.

Serce jej zamarło, kiedy wręczył jej małe welurowe pudełeczko. Otworzyła je powoli i ujrzała piękny złoty pierścionek z szafirem.

— Och, Ben — wyjąkała. — Nie mogę go przyjąć.

— Dlaczego nie? Jeśli ci się nie podoba, możemy go wymienić na inny. W ten sposób chcę cię prosić, byś wyznaczyła datę ślubu. To pierścionek zaręczynowy.

Phoebe wpatrywała się ponuro w pierścionek.

— Ben, przepraszam cię, ale wyjeżdżam z rodzicami do Sydney.

— Rozumiem — odparł krótko. — Przez cały czas miałem wrażenie, że coś nie daje ci spokoju. Na jak długo?

— Nie wiem.

460

OGNIE FORTUNY

Był wstrząśnięty i zdruzgotany. Phoebe chciała zarzucić mu ręce na szyję i wytłumaczyć, że tak będzie najlepiej, lecz wiedziała, że nie wolno jej pozwolić sobie na bliskość. Tego dnia, kiedy toczyła ze sobą bój, starając się być stanowcza, Ben pociągał ją bardziej niż kiedykolwiek. Jakby na przekór wszystkiemu, dziko pragnęła, żeby się z nią kochał, ten pierwszy i ostatni raz, na tej cudownej odludnej polanie, tak by mogła pożegnać się z nim raz na zawsze. I nie usychać z tęsknoty.

— Dlatego nie chciałaś iść na wyścigi?

— Po części.

— Nie chciałaś, żeby mnie z tobą widziano?

— Nie o to chodzi. Nie mogę patrzeć, jak ciągle ktoś cię rani. Tak jak w Charleville.

— Mnie nikt nie zranił, Phoebe. Jeśli już kogoś, to ciebie. Bałaś się, że na wyścigach też może mnie spotkać jakiś afront, prawda?

— Tak.

— Ludzi spotykają afronty z różnych powodów — odparł. — Wspomniałaś, że twoja matka uparła się, by iść dzisiaj na te wyścigi. Założę się, że zdaje sobie sprawę, że czeka ją tam sporo nieprzyjemności, a mimo wszystko nie zabrakło jej odwagi, by stawić im czoło.

Phoebe nie kryła zdumienia.

— Nie mogę uwierzyć, że stawiasz mi ją za przykład. Przecież ona cię nienawidzi.

Ben chwycił ją za rękę.

— Ile razy mam powtarzać, że cię kocham? Phoebe, przecież przeciwności dadzą się przezwyciężyć. Mam dla nas plany na przyszłość...

— Nie chcę więcej słuchać o twoich planach, Ben. Już dłużej nie mogę. Z tego po prostu nic nie będzie. Wiem, że zachowuję się samolubnie, możesz nawet powiedzieć, że stchórzyłam, ale nie mogę wyjść za ciebie. Nie potrafiłabym znieść tych wszystkich kłopotów i ludzkiego gadania. Nie jestem do tego przyzwyczajona. I nigdy się nie przyzwyczaję.

Kręcił głową, nie wierząc własnym uszom.

— Powiedz mi, że mnie nie kochasz.

Phoebe wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego policzka.

— Nie każ mi tego mówić. Zawsze będzie mi na tobie zależeć. Przypomniała sobie jednak pełne cynizmu słowa matki, wypowiedziane zaledwie poprzedniego wieczora:

461

PATRICIA SHAW

— Och, na litość boską, Williamie, skoro uparła się go poślubić, niech to zrobi! Powiedz jej, że się zgadzasz, o ile ten człowiek przystanie na nasze warunki.

Przerażona, że Lalla zamierza upokorzyć ją jeszcze bardziej, Phoebe postanowiła ją zaskoczyć:

— Daruj sobie — rzekła kwaśno. — Postanowiłam jechać do Sydney. Barnaby twierdzi, że to wspaniałe miasto. Nie mogę się doczekać, kiedy je wreszcie zobaczę!

William był zachwycony.

— Och, kochane dziecko! — wykrzyknął. — To cudownie. Lalla tylko wzruszyła ramionami.

— Typowe! Zawsze robi mi na przekór. Zawsze na odwrót. Popęłniła niewybaczalny błąd, dotykając jego twarzy. Ben wyczuł

w tym geście czułość i natychmiast przyciągnął ją do siebie. Całował ją i szeptał jej do ucha:

— Nie możesz mnie zostawić. Nie pozwolę ci.

Phoebe namiętnie odwzajemniała pocałunki, wiedząc, że do końca życia zapamięta gorzką słodycz tych chwil, a kiedy położył ją na miękkim kocu, wtuliła się w niego. Cała jej miłość znalazła teraz ujście i czuła niewysłowioną rozkosz, kiedy jej najdroższy kochał się z nią w popołudniowej ciszy.

Słońce zaczynało znikać za horyzontem, równie szybko umykał dany im czas. Phoebe klęczała, pakując rzeczy do kosza i składając koce.

Ben leżał na trawie i obserwował ją z brodą wspartą o dłoń.

— Czy to było pożegnanie? — odezwał się w końcu. Phoebe unikała jego spojrzenia i nie odpowiadała.

— Tak przypuszczałem. Czy jest coś, co mogę powiedzieć albo zrobić, żeby skłonić cię do zmiany decyzji?

Pokręciła głową.

Robiło się coraz chłodniej. Nadszedł czas, by wracać.

Phoebe wręczyła Benowi pudełeczko z pierścionkiem.

— Przepraszam — rzekła.

— Nie. Weź go. Chcę, żebyś go zatrzymała. Niech to będzie prezent pożegnalny. I niech Bóg ma cię w opiece.

W sobotę Goldie wybrała się na wyścigi i wcale nie przeszkadzały jej krytyczne spojrzenia zebranych tam snobek. W towarzystwie Caleba Moretona, starego łajdaka, dość jednak bogatego, by mieć wszystkich w ciężkim poważaniu, nie czuła się ani trochę gorsza od

462

OGNIE FORTUNY

innych kobiet przebywających na terenie przeznaczonym tylko dla członków klubu. To był męski klub i wpuszczono je tam tylko dlatego, że zabrali je ze sobą mężowie, jakim więc prawem próbowały się wywyższać? Goldie włożyła najlepszą zieloną suknię z lekką turniurą oraz ogromny kapelusz, ozdobiony srebrno-zielonymi sztucznymi różami, by sprawić Calebowi przyjemność. Były to barwy jego dżokeja. Wyglądała zresztą niezwykle ponętnie, o czym świadczyły ukradkowe, pełne podziwu spojrzenia innych mężczyzn. Goldie i Caleb świetnie się bawili, grając o wysokie stawki i popijając szampana przy stojącym na trawie stoliku.

Głównym tematem rozmów był Buchanan. Mówiono, że zapadła już ostateczna decyzja.

Lekarze uznali, że konieczna będzie amputacja stopy, tak więc paru chirurgów szykowało się do drogi, albowiem operację ze względu na stan pacjenta, wykluczający podróż do Brisbane, należało przeprowadzić w Charleville. Wszyscy uzalali się nad losem Buchanana, czemu Goldie przysłuchiwała się z niesmakiem. Ona wcale go nie żałowała. Buchanan wyjechał z miasta, nie zapłaciwszy rachunku. Zresztą nie po raz pierwszy. Był skąpy jak mało kto, ale ponieważ nie mogła mu wysłać rachunku, musiała czekać, aż znowu się u niej zjawi. O ile w ogóle to nastąpi.

Z zainteresowaniem i zdziwieniem przeczytała, że Buchanana uratował od śmierci młody Ben, syn Diamond, i zastanawiała ją, jak do tego doszło. Żadna z gazet nie wspomniała ani słowem o ich pokrewieństwie, wyglądało na to, że Buchanan nadal je utrzymuje w tajemnicy. Jego żona mówiła o długu, jaki mają wobec „tego młodego człowieka”, najwyraźniej zatem ona również nie знаła prawdy.

Im więcej spekulowano na temat szans nieszczęsnego Buchanana, tym bardziej Goldie była poirytowana. Wszyscy kreowali go niemal na świętego, ona tymczasem dobrze wiedziała, co to za typ. Niektóre z jej dziewcząt przekonały się o tym na własnej skórze.

Spostrzegła, że przy sąsiednim stoliku siedzą Thurlwellowie, kolejny temat plotek. Ich nazwiskiem wycierano sobie usta, odkąd Edgar, stary łajdak, zwiął z pieniędzmi firmy i utonął, mimo to jego brat z małżonką nadal udawali osobistości — on w lśniącym cylindrze, ona w szarym jedwabnym kapeluszu dobranym idealnie do koloru sukni. Goldie zastanawiała się, jak to możliwe, że niektóre kobiety ubierają się tak prosto, a wyglądają tak szykownie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że doktorostwo Thurlwellowie niespecjalnie się bawią. Doktor wyglądał wręcz żałośnie, jak ryba

463

PATRICIA SHAW

wyjęta z wody, pewnie dlatego że tylko nieliczni nie udawali, że go nie znają, za to Lalla Thurlwell trzymała głowę wysoko. Goldie to zaimponowało. Zawsze stawała po stronie przegranych. Odwróciła się ku pani Thurlwell i posłała jej szeroki uśmiech, ta wszakże po prostu ją zignorowała.

„Ha! — pomyślała Goldie. — Diabli z tobą!”

Kiedy ujrzała tę okropną panią Crawford, która zbliżała się do gwarne go stolika Caleba, wymachując białą parasolką, jakby chciała iść szybciej, ogarnął ją niepokój. Oto jedyna osoba, która może popsuć jej zabawę. Jako przewodnicząca Komitetu Anglikanek pani Crawford uparcie przygotowywała i słała kolejne petycje z żądaniem natychmiastowej likwidacji Błękitu Niebios, a kilka razy dopięła swego, zmuszając Goldie do wręczania łapówek i wywierania nacisku na najbardziej wpływowych klientów. Goldie przysięgała sobie w duchu, że jeśli tym obłąkanym kobietom uda się doprowadzić do zamknięcia jej lokalu, uczyni wszystko, by ich mężowie zostali wystawieni na pośmiewisko. Dziesiątki pamflicistów gotowych było zapłacić każdą cenę za listę jej klientów.

Jednakże, parsknąwszy tylko w stronę Goldie, pani Crawford poszła dalej i zatrzymała się przy stoliku Thurlwellów. Goldie w obawie, że kobieta zacznie na nią pomstować, nadstawiła ucha.

— Dzień dobry, doktorze. Witaj, Lallu — zaczęła pani Crawford słodkim głosem. — Proszę nie wstawać — zwróciła się do doktora, który próbował podnieść się z chybotliwego krzesła.

— Co u ciebie słychać, Lallu? — spytała.

— Wszystko w porządku, dziękuję. Mam nadzieję, że u ciebie również?

— Prawdę mówiąc, po ostatniej operacji nie czuję się najlepiej, ale jak państwo wiecie, nie mam zwyczaju narzekać.

— Wygląda pani na całkiem zdrową — odparował Thurlwell.

— No cóż, na tym właśnie polega cały kłopot. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak strasznie cierpię.

— Biedactwo! — wykrzyknęła Lalla z przekąsem, a Goldie pociągnęła solidny łyk szampana, żeby nie parsknąć śmiechem. To ci dopiero odprawa!

Pani Crawford zachnęła się. Chociaż przy stoliku Thurlwellów były wolne krzesła, nie zaproponowali jej, by usiadła, a złośliwość Lalli Thurlwell jeszcze pogorszyła sytuację.

— A właśnie, doktorze — rzekła. — Miałam rację, nieprawdaż?

— W jakiej sprawie?

464

OGNIE FORTUNY

— W sprawie tego, mój drogi, o czym mówiłam panu w szpitalu! Że pańska córka ma romans z tym Beckmanem.

— Moja córka nie ma z nikim romansu — odparła Lalla Thurlwell lodowatym głosem.

— No, może to niewłaściwe słowo, choć musi pan przyznać, że to ja pierwsza pana oświeciłam, nieprawdaż? Że spotyka się z tym kolorowym. Słyszałam, że zamierzają się pobrać.

Tym razem doktorowi udało się wstać.

— Moja córka nie ma nic wspólnego z tym obibokiem! A jeśli natychmiast nie zaprzestanie pani tych pomówień, obiecuję, że spotkamy się w sądzie!

Cała sprawa skończyła się dosłownie w mgnieniu oka. Pani Crawford oddaliła się, Thurlwellowie milczeli. Po chwili Lalla zamówiła następny kieliszek wina i zaczęła studiować program wyścigów, a jej mąż wpatrywał się w popołudniowe słońce.

„Obibok. Czyżby? — rozmyślała Goldie. — Czy jego stajnie były kiedykolwiek w tarapatkach? Czy nie przywrócił ich do dawnej świetności po śmierci Casha, który był prawdziwym nierobem? Młody Beckman to człowiek godny szacunku, dobry dzieciak, nieodrodny syn swojej matki! Jak ci oszuści w ogóle śmiały nazywać go obibokiem, skoro ogłocili pół miasta z oszczędności?”

A jeśli nawet młody Beckman jest obibokiem, to jak w takim razie określić Buchanana? On oczywiście jest powszechnie akceptowany. Filar społeczeństwa? Przypomniała sobie plotki o rzekomym romansie Buchanana z panią Thurlwell i obserwując ją teraz — atrakcyjną, pociągającą kobietę z nudnym, nijakim mężem — przestała się jej dziwić.

W opowieści starej Crawford na temat ich córki i Bena z pewnością musiało być przynajmniej ziarno prawdy. Na pewno się znali, w końcu byli sąsiadami.

Tego wieczora, choć w Błękanie Niebios panował ogromny ruch po wyścigach, Goldie jeszcze raz spróbowała to wszystko rozwikłać.

Nazajutrz lunch zjadła w łóżku, a kiedy w końcu wstała, stwierdziła, że służące dobrze wywiązały się ze swoich obowiązków. W domu panował idealny porządek. Nadal była wściekła na ludzi, którzy tak pogardliwie wyrażali się o młodym Benie, a ten gniew wkrótce przeniósł się na Buchanana. Parlamentarzystę, człowieka niemal wszechmocnego, który tak niegodnie traktował jej dziewczęta. Który złamał Diamond serce. Diamond — jej przyjaciółce.

30 Ognie fortuny

465

PATRICIA SHAW

Goldie wciąż jeszcze była trochę pijana, poza tym męczył ją potężny kac. A jednocześnie jasno jej się myślało. Bardzo dobrze wiedziała, że ten kutwa Buchanan nigdy w życiu nie zgodziłby się łożyć na utrzymanie Diamond i jej syna, zaczęła się więc zastanawiać, w jaki sposób Diamond zdołała się tak wzbogacić. Wreszcie wszystko zrozumiała. Cooktown. Rzeka Palmer. Złoto! To było chyba jedyne wiarygodne wyjaśnienie! Buchanan porzucił Diamond, ona tymczasem wróciła do Brisbane bajecznie bogata. Bo przecież każdy, kogo stać na to, by podarować przyjacielowi pięćdziesiąt funtów, musi, po prostu musi być bogaty! Diamond znalazła złoto i czym prędzej zniknęła z tamtych stron. Zapewne przechytrzyła nawet celników. Komu zresztą przyszło do głowy spytać czarną dziewczynę, wsiadającą na pokład statku płynącego na południe, czy ma coś do oclenia?

Pokojówka przyniosła kawę z odrobiną brandy, którą Goldie wypila z prawdziwą wdzięcznością. Czowała, że powinna coś zrobić dla syna Diamond. Świat musi się dowiedzieć, że jego ojcem jest Buchanan. Lecz z drugiej strony chłopakowi mogłoby się to nie spodobać. Zostałby przecież uznany za nieślubne dziecko, podczas gdy dotąd uchodził za wnuka szanowanej pani Beckman.

Nie. Jest inny sposób pokonania Buchanana, ostatecznego ustalenia reguł gry, który nie narazi młodego Bena na żadne nieprzyjemności. I kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, Goldie się tym zajmie. A na razie lepiej wróci do łóżka.

Clara przesiadywała przy jego łóżku już od tygodni. Ben nie był łatwym pacjentem. Aż do ostatniej chwili nie chciał się zgodzić na amputację stopy, a przez wiele dni po operacji zachowywał się jak szaleniec, wyrzaskując obelgi pod adresem lekarzy i pielęgniarek. Głównie pielęgniarek. Czasami tylko płakał, domagając się, by zajął się nim ktoś, kto naprawdę potrafi to robić. Ktoś — krzyczał jak oszalały — komu na nim zależy.

— Diamenty — szepnęła pielęgniarka do Clary. — Chce wiedzieć, gdzie są jego diamenty. Uważa, że je ukradłyśmy.

— Proszę się nie przejmować — odrzekła Clara. — Niech pani spróbuje to wytrzymać. Nie ma żadnych diamentów.

Stopniowo ta katorga dobiegała końca, Buchanan zaczął bowiem wracać do zdrowia, ponieważ jednak prawe płuco miał przebite, musiał jak najwięcej wypoczywać. Złamana ręka zrastała się dobrze, nie gorzej goiły się rany twarzy, chociaż nie ulegało wątpliwości, że pozostaną po nich blizny. Ilekroć Clara spoglądała na jego złamany nos i czerwoną

466

OGNIE FORTUNY

pręgę ciągnącą się od brwi aż do brody, miała ochotę płakać z żalu po swoim przystojnym mężu. Inną sprawą była amputowana stopa. Lekarze obiecywali zrobić protezę, Ben wszakże uważał ten pomysł za absurdalny i twierdził, że prędzej umrze, niż coś takiego przypnie. Tak oto wyglądała sytuacja, kiedy nadszedł czas, by zapakować Bena do solidnego wygodnego wozu i zawieźć do domu, do Fairmont. W ciągu pierwszych dni reporterzy z różnych gazet tłoczyli się w okolicach szpitala, irytując personel i rodzinę, później ze wszystkich stron zaczęły napływać listy do Bena z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Clara spędzała długie wieczory w hotelu Royal, starając się na wszystkie odpowiedzi. Napisał nawet premier, co było ładnym gestem z jego strony, zważywszy, że Ben należał do czołowych przedstawicieli opozycji.

Chcąc uniknąć dalszych awantur, Clara poprosiła lekarza, żeby delikatnie zasugerował Benowi rezygnację z pracy w parlamencie, okazało się to jednak niepotrzebne.

Doktor poinformował, że Ben sam nosi się z takim zamiarem.

— Chyba nie oczekują — miał powiedzieć, gdy tylko ten temat został poruszony — że w takim stanie będę dalej pełnił swoje obowiązki. Niech idą do diabła! Gdyby wybrali mnie liderem opozycji, kiedy mi się to należało, zapewne rozważałbym ewentualność dalszej pracy i wrócił do Brisbane tak szybko, jak tylko byłoby to możliwe. Ale nie teraz. Złożę rezygnację i niech się męczą z wyborami uzupełniającymi. Mam zresztą nadzieję, że przegrają je z kretesem.

— Łatwo to poszło — skomentował lekarz. — Do pana Buchanana jeszcze chyba nie dotarło, że wyjazd do Brisbane bardzo długo nie będzie wchodził w grę.

W dniu planowanego powrotu do Fairmont Clara odebrała na poczcie korespondencję. Czekając, aż pielęgniarki przyszykują Bena do drogi, z nudów zaczęła ją przeglądać. W większości były to listy z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, kilka dotyczyło interesów, dwa czy trzy adresowane były do Belle, jeden natomiast do niej. Charakter pisma nadawcy wydał się jej zupełnie nieznamy.

Kiedy otworzyła ten list, napisany na kolorowym papierze, zdziwiła się i trochę zaniepokoiła, stwierdziwszy, że nie został on podpisany. A przecież anonimy to okropna rzecz. Pomyślała jednak z nadzieją, że być może nadawca po prostu zapomniał się podpisać. List zaczynał się całkiem przyjemnie, chociaż autor nie był mistrzem ortografii.

467

PATRICIA SHAW

Droga Pani Buchanan,

W gazetach dożył pismo opanimienża wypadku i o młodym człowieku Beckmanie który zrobił rzecz bochaterską i go uratował spod kopyt tych dzikich koniów. Pan Beckman to

bardzo po żądny człowiek i powinna pani o tern wiedzieć. Ludzie, co nie powinny rzucać kamieniem, nie powinny patrzeć na niego z góry.

„O Boże — uśmiechnęła się Clara. — Gdybym знаła nadawcę, mogłabym odpisać i zapewnić, że nikt nie patrzy na Bena z góry.”

Nagle jednak ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Czyż nie powiedziała Phoebe, że ten człowiek nie jest dla niej właściwym kandydatem na męża?

„Ale to przecież całkiem inna sprawa” — pomyślała i wróciła do lektury.

Pan Beckman był dobrze wychowany przez swoją matkę co się ona nazywała Diamond.

Aborygenka, ale wykształcona. Żadna tam czarna z buszu. Pani mąż jest jego ojcem, Ben Buchanan. Nazwała chłopca Ben właśnie po nim. To nie kłamstwo. Nie chcę nic, tylko żeby chłopak był bardziej szanowany.

Clara wpatrywała się w krzywe litery, czytając list od nowa i od nowa. To nieprawda! Podłe, nikczemne, tchórzliwe kłamstwo!

Ale co w malignie wykrzykiwał Ben? Diamenty! A może jeden diament? Diamond? Czyżby ją wzywał? Na pewno nie.

Chowając list do torebki, rozejrzała się po poczekalni. Zdawało się jej, że wszyscy mierzą ją wzrokiem, niczym oburzeni sędziowie. Wstrząśnięta do głębi, nie wiedziała, co robić. Ani co powiedzieć. Przecież nigdy nie zdobędzie się na to, by porozmawiać o tym z mężem.

Przez całą drogę do domu ścisła torebkę w obawie, że list wypadnie albo w jakiś inny sposób trafi w niepowołane ręce. Co by było, gdyby przeczytała go jej matka? Gdyby się o tym dowiedziała? Na pewno domagałaby się natychmiastowych wyjaśnień. Belle uwielbiała konfrontacje z Benem, Clara ich nie znosiła.

Po przyjeździe do domu, kiedy Ben leżał już w pokoju, Clara skorzystała z pierwszej nadarzącej się okazji, wymknęła się do kuchni i wrzuciła przerażający list do pieca, a następnie tak długo dźgała go pogrzebaczem, aż kartka zmieniła się w popiół.

468

OGNIE FORTUNY

To wszakże na niewiele się zdało, bulwersujące oskarżenie wciąż nie dawało jej spokoju.

Jakże nienawidziła osoby, która je przysłała. Któż taki domagał się szacunku dla Bena Beckmana? Czy to możliwe, że to on sam? Że uczynił to, aby napsuć im krwi? Jakoś nie potrafiła w to uwierzyć. A czy wiedziała o tym Phoebe? W to również Clara wątpiła.

Dziewczyna z pewnością nie omieszkaby wykorzystać tak potężnej broni, bez namysłu rzuciłaby im ten argument prosto w twarz!

Tak. Lecz to wszystko nieprawda. Nie może dopuścić, by ten dziwaczny list burzył jej spokój.

Parę dni później natknęła się w pralni na czarną gosposię, starą Ruby. Odkąd Clara nauczyła się prowadzić dom przy pomocy kucharki i dwóch pokojówek, Ruby praktycznie już nie pracowała.

— Pan Ben — powiedziała Ruby ze smutkiem. — Jak on sobie poradzi bez stopy?

— Przyzwyczai się — odrzekła Clara. — Tak jak inni. A kiedy dojdzie do siebie, będzie mógł jeździć konno.

Patrzyła, jak długim kijem kobieta wyciąga z kotła parujące prześcieradła, a następnie wrzuca je do balii z zimną wodą. Były bardzo ciężkie.

— Może ci pomóc? — zaproponowała. Ruby uśmiechnęła się szeroko.

— Jeszcze mam obie ręce, psze pani.

— To prawda — zgodziła się Clara. — I to silne ręce. Pracujesz dla rodziny mojego męża od wielu lat, prawda?

— Odkąd byłam małym bobasem — z dumą odparła Ruby. Zawsze bardzo ten fakt podkreślała, gdyż dzięki niemu czuła się lepsza od innych czarnych mieszkańców farmy.

— W czasie choroby wołał kogoś o imieniu Diamond. Nie wiesz przypadkiem, kto to taki?

— spytała Clara.

Ruby natychmiast dziwnie zeszywniała i odwróciła się.

— Nigdy nie słyszałam o Diamond.

— Wiesz, gdzie teraz mieszka? — Pytanie było podstępem, i to niezbyt czystym, bo Ruby była w gorszej sytuacji, musiała zmagać się z obcym językiem. Cel został jednak osiągnięty.

— Diamond dawno odeszła — rzekła Ruby rozdrażniona. — Dawno temu.

— Ale ją znałaś?

Ruby milczała, wpychając pozostałą pościel do kotła.

469

PATRICIA SHAW

Dzięki uważnej obserwacji Clara nauczyła się, jak pokonać tę twardą kobietę. Zaczęła łaskotać Ruby po szyi, aż ta zgięła się w pół, chichocząc:

— Niedobra pani, tak jak one, te głupie dziewczuchy.

— Och, daj spokój! Przecież to lubisz — roześmiała się Clara. — Na farmie Caravale znałaś chyba każdego. Czy Diamond też tam pracowała? No już, powiedz mi szybko, bo będę dalej łaskotać!

— Nie! Nie! — zachichotała Ruby, po czym wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. — Ta Diamond! Ona dla nikogo nie pracowała! Ona lepsza niż inne czarne dziewczyny. Z wyglądu czarna. Mówiła jak biała. — Ruby uśmiechnęła się, uwielbiała historie przekazywane z pokolenia na pokolenie. — Czarownicy mówili, że Diamond to córka wodza plemienia z północy. Pani wie, w gorących stronach.

— Nad rzeką Palmer? — spytała Clara, czując, jak serce w niej zamiera. Ben często opowiadał, ile wycierpiał podczas nieudanych poszukiwań złota. Twierdził, że gdyby wtedy nie zachorował, wróciłby jako milioner.

— Nie wiem — wzruszyła ramionami Ruby.

Clara wiedziała, że musi uważać na każde słowo, bo Ruby może bardzo szybko stracić chęć do dalszych zwierzeń. Próby rozmowy na temat Palmer nie miały sensu, Clara wróciła więc na terytorium Ruby, na farmę Caravale.

— A starsza pani, matka mojego męża? Pewnie nie lubiła czarnej dziewczyny, która nie pracowała?

— Ona bardzo zła — stwierdziła Ruby, wywracając oczyma. — Nienawidziła Diamond. Clara zwróciła uwagę, że Ruby stara się nie wspominać ani słowem o związku łączącym jej ukochanego Bena z ową Diamond. Lecz co mogła robić na farmie czarna niepracująca dziewczyna? Aborygenka z dalekiego plemienia? Na pewno nie miała tam krewnych ani współplemieńców.

Coś w tej historii przerażało Clare. Usłyszała już wystarczająco dużo.

— A więc Diamond odeszła i nigdy więcej nie wróciła? — odezwała się pogodnie, starając się jak najszybciej zmienić temat, lecz Ruby spojrzała na nią i wyszeptała:

— Złe gusa. Starsza pani wysłała złych ludzi, żeby oni zabili Diamond. Ale Diamond wróciła i rzuciła na panią czar. I ona oszalała. A potem spaliła dom.

470

OGNIE FORTUNY

— Diamond spaliła dom?

— Nie. Starsza pani oszalała jak dingo w potrzasku. On wtedy odgryza sobie nogę. Spaliła swój dom. Pani to zrobiła. Nigdy potem nie widzieliśmy Diamond.

— O mój Boże! A co zrobił Ben? Ruby wzruszyła ramionami.

— Też wyjechał. Szukać złota.

Clara zamknęła się w pokoju gościnnym, w którym jeszcze niedawno mieszkała Phoebe. Ben miał rację, że jej o tym wszystkim nie opowiedział. O tych okropnych rzeczach, mieszających obrazy mistyczne i prawdziwe. Podobnie jak on wiedziała co nieco na temat aborygeńskiej wiedzy, którą przyjmowała ze sporą rezerwą, czując jednakowoż, że lepiej się w ten temat nie

zagłębiać. A przesądna Ruby z pewnością wymyśliła historię z czarami, żeby jakoś sobie wytłumaczyć tamten pożar. W końcu pożar domu to nic szczególnego. Ot, weźmy farmę Winnaroo. Tam nikt nie twierdził, że istnieją jakieś inne przyczyny poza głupotą kucharza. Nie było mowy o żadnych czarach. Zwykły pożar.

Jednakże Ben zawsze nienawidził Winnaroo. Często, kiedy był pijany — i tylko wtedy — mówił, że to złowrogie miejsce, że zbyt wiele tam duchów, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Na trzeźwo zdawał się o tym nie pamiętać, choć z drugiej strony rzadko bywał na przyjęciach urządzanych dla gości w tym przepięknym malowniczym miejscu. O ile w ogóle, oczywiście poza pierwszym razem. Clara nie była pewna, nie potrafiła sobie przypomnieć. No i proszę, co go tam w końcu spotkało.

Clara zadrżała. Przeszła przez cały korytarz, a potem przez salon i jadalnię, po drodze zapalając lampy. Nie zamierzała pozwolić, żeby niepokoiły ją te przesady, blask światła sprawił, że poczuła się lepiej. Po co się martwić zdarzeniami sprzed wielu lat, po co się przejmować jakimś anonimowym listem? Cieszyła się, że go spaliła, i obiecała sobie, że nigdy nie powie o nim Benowi. To, co się zdarzyło, zanim się poznali, nie miało dla niej żadnego znaczenia.

W tym momencie z salonu dobiegło wołanie matki:

— Claro, chodź tutaj. To ci dopiero wiadomość! ' '

— Co takiego?

— Na pierwszej stronie miejscowej gazety piszą, że farma Winnaroo została sprzedana.

— Naprawdę? To dobrze. Piszą, kto ją kupił?

471

PATRICIA SHAW

— A pewnie. Ben Beckman.

— Z Brisbane? Ten ze stajni?

— Tak właśnie piszą. Przyjaciół Phoebe. Co o tym sądzisz? Clara opadła na krzesło.

— Sama nie wiem, co o tym myśleć.

— Jak ci się wydaje, czy Phoebe przyjedzie razem z nim?

— Nie mam pojęcia.

— Oczywiście nie będziesz się z nim zadawać. Clara westchnęła.

— Mamo, skoro ma być naszym sąsiadem, będziemy go traktować... jak każdego innego sąsiada. — O mało nie powiedziała „z należnym mu szacunkiem”. — Sama wiesz, że dobre stosunki pomiędzy sąsiadami są w tych stronach bardzo istotne.

— Twój mąż chyba nie będzie z tego zadowolony.

— Nie będzie miał nic do powiedzenia — syknęła Clara. — Już i tak jest dłużnikiem pana Beckmana, lepiej więc, żeby nauczył się przynajmniej milczeć.

„Coś mi mówi, że nie będzie miał wielkiego wyboru — uśmiechnęła się do siebie, idąc do sypialni, by sprawdzić, czy mężowi przypadkiem niczego nie brakuje. — Nie pozwolę na żadne dalsze zatargi z panem Beckmanem. Wydaje mi się, że będzie bardzo dobrym sąsiadem.”

Nowy dom na farmie Winnaroo uchodził za wyjątkowo elegancki, toteż sierżant Paddy Reilly, który przejął okręg po przejściu McAlis-tera na emeryturę, cieszył się, że wreszcie będzie miał okazję go zobaczyć. Wieść niosła, że właściciel, Ben Beckman, to twardy charakter. Pracował w oszalałym tempie, by przywrócić farmę do życia, tego samego wymagał od swoich ludzi i nie znosił najmniejszego sprzeciwu. Oczywiście, mówiono, jako mieszaniec musi być zdecydowany, bo w przeciwnym razie pracownicy szybko wleźliby mu na głowę.

Jednakże Reilly rozmawiał w Charleville z kilkoma pracownikami farmy Winnaroo i żaden z nich nie narzekał.

— Baraki są nowe, żarcie smaczne, a do tego nieźle płaci — mówili. — Okazał się całkiem przyzwoitym facetem.

Po drodze Reilly kilkakrotnie spoglądał na mapę. Ostrzeżono go, że jeśli na rozstajach dróg wybierze zły kierunek, zamiast do Winnaroo trafi na farmę Fairmont. Tyle tylko że nie bardzo pamiętał, który kierunek jest właściwy.

472

OGNIE FORTUNY

Na szczęście jednak ktoś wpadł na mądry pomysł i zawiesił na drzewie drogowskaz, z którego Reilly dowiedział się, że aby dotrzeć na farmę Winnaroo, musi skrócić w prawo.

Przy bramie wjazdowej spostrzegł grupę robotników stawiających ogrodzenie.

— Dzień dobry, chłopcy! — zawołał. — Gdzie mogę znaleźć szefa?

— To ja — odparł wysoki mężczyzna, wychodząc mu na powitanie.

Ubrany we flanelową kamizelkę i byle jakie spodnie, Beckman wyglądem nie różnił się od pozostałych. Reilly zsiadł z konia i przedstawił się.

— Mam dla pana wiadomości, panie Beckman — rzekł.

— Od kiedy to policja dostarcza wiadomości? — uśmiechnął się Ben.

— Jestem tu nowy, muszę jakoś poznać mieszkańców. Co u pana słychać?

— Wszystko w porządku. Zorganizowanie tego wszystkiego na nowo trochę trwa, ale na szczęście mam dobrego człowieka, który kupuje dla mnie bydło, więc stado powoli rośnie. To ogromna posiadłość i dużo się jeszcze muszę nauczyć, ale sądzę, że powinienem sobie poradzić. Zostanie pan na lunch?

— Nie powiem nie. Proszę, tu jest telegram dla pana. Telegram był od Barnaby'ego, który pisał, że wkrótce wybiera się

do Charleville, by zabiegać o poparcie dla swojej kandydatury na reprezentanta

konstytucyjnego Queensland, i że już nie może się doczekać spotkania z Benem. Wspomniał także, że Bidy Donovan, pokojówka Thurlwellów, straciła pracę, może więc Ben zechciałby ją zatrudnić?

Ruszyli w stronę domu, a kiedy minęli zakręt i zaczęli wspinać się pod górkę, Reilly zagwizdał z uznaniem.

— No, no, piękne miejsce.

— Stary dom spłonął, a na nowy wybrałem inne miejsce. Bliżej rzeki.

Solidny budynek z tuczonego kamienia miał szerokie werandy i zabawną wieżę, która bardzo zaintrygowała policjanta.

— Dom musiałem zbudować tak wysoko, bo rzeka czasami wylewa. Ale ponieważ widok wciąż mnie nie satysfakcjonował, postawiłem tę wieżę. Z góry widać źródła Winnaroo.

Później panu pokażę.

473

PATRICIA SHAW

— To musi być wspaniały widok — rzekł Reilly, kiedy wchodzili do domu. — Uwielbiam zapach świeżego drewna. To cedr, prawda? — spytał, podziwiając gładkie podłogi.

— Tak. Dom nie jest jeszcze do końca umeblowany. Zajmę się tym w odpowiednim czasie. Na razie jestem zbyt zajęty.

Siedzieli w słonecznej kuchni, popijając piwo i czekając na posiłek.

— Człowiek nie może tutaj liczyć na żadną prywatność — stwierdził Reilly wesoło. —

Dostał pan telegram od pana Glassona.

— Zgadza się. Znalazł mi gosposię. Poza tym przyjeżdża z wizytą.

— Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Jest naszym przedstawicielem w parlamencie i kilku jego zwolenników planuje urządzać przyjęcie na jego cześć.

— To świetnie.

— Tak. Planują to przyjęcie w hotelu Royal. A ponieważ jest pan jego przyjacielem, chcieliby, żeby pan także przyszedł.

Ben pokiwał głową.

— A pan jest tutaj zapewne po to, żeby mi wystawić glejt na przebywanie w lokalach z licencją, czy tak?

— Czasy się zmieniają, panie Beckman. Mój poprzednik miał swoje zasady, a ja mam swoje. To prawda, że są czarni, którzy muszą udowodnić, że potrafią się odpowiednio zachowywać, zanim będzie ich można obsłużyć. Na to nie jestem w stanie nic poradzić. Musimy iść przed siebie z wyczuciem, krok po kroku. Ale jestem zwolennikiem przynajmniej odrobiny zdrowego rozsądku.

— To znaczy, że mogę zostać zaakceptowany?

— Nie. To znaczy, że moim zdaniem nie ma żadnego powodu, by poddawać pana jakiegokolwiek ocenie. Jest pan mieszkańcem tego okręgu i cieszę się, że mogłem pana poznać. A więc czy mogę im przekazać, że pan przyjedzie?

— Bardzo chętnie.

Siedząc przy długim stole w towarzystwie około dwudziestu dżentelmenów, z których większość nosiła brody, Ben bawił się całkiem nieźle, uważał jednak, że sobie na to zasłużył, musiał bowiem ścierpieć słowa powitania, skierowane do szanownego gościa, Barnaby'ego Glassona, następnie mowę jego samego, a później jeszcze dziesięć długich, pozbawionych głębszego sensu przemówień. Wyglądało na to, że każdy, oczywiście poza Benem, musi dostać szansę, by coś powiedzieć.

474

OGNIE FORTUNY

Stamtąd przeszli do sali na spotkanie z mieszkańcami Charleville, na którym Barnaby Glasson miał mówić o zjednoczeniu Australii. Lecz na scenie znalazł się nie tylko on, towarzyszyło mu czterech dżentelmenów, którzy słowo w słowo powtórzyli swoje poprzednie wystąpienia. Zanim nadeszła kolej Barnaby'ego, Ben z trudem opierał się senności i w żaden sposób nie mógł się pozbyć wrażenia, że mieszkańcom Charleville okropnie brakuje rozrywek. Mimo to słuchał uważnie, a przynajmniej umiejętnie udawał, a kiedy Barnaby skończył, pierwszy zaczął bić brawo.

— To był wspaniały wieczór, prawda? — rzekł Barnaby po powrocie do hotelu.

— Skoro tak twierdzisz.

— Och, daj spokój! Przecież dobrze się bawiłeś.

— Jeżeli tak właśnie wygląda polityka, to zachowaj ją dla siebie. Ja tam wolę patrzeć, jak rośnie trawa.

— Mój drogi, chciałbym ci zwrócić uwagę, że właśnie patrzysz na jednego z pierwszych senatorów Parlamentu Australii, naturalnie pod warunkiem że uda mi się utrzymać takie tempo. Przestań narzekać.

Biddy Donovan chodziła po tym nowiuteńkim domu, nie posiadając się z radości. To miał być jej dom, prawdziwy dom, z normalną sypialnią, a nie jakąś ciemną kłitką obok piwnicy z winami, jak to było u Thurlwellów.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy spotkało ją wiele złego. Doktor obiecał, że nowi właściciele Somerset House dadzą jej pracę, dlatego więc, choć reszta służby odeszła, ona została, by pomóc doktorostwu w wyprowadzce. Przy pożegnaniu obie z Phoebe płakały. Trudno się rozstać po tylu latach, zwłaszcza że Biddy zawsze traktowała Phoebe jak własną córkę. Później znalazła na stole w kuchni śliczną saszetkę, prezent pożegnalny od Phoebe. W środku znajdowała się koronkowa chusteczka, w niej zaś pięćofuntowy banknot.

Biddy bardzo się te pieniądze przydały. Zjawili się nowi właściciele Somerset i kazali jej się wyprowadzić, twierdząc, że doktor Thurlwell w ogóle nie rozmawiał z nimi na jej temat, a służące przywieźli ze sobą.

Przez lata odłożyła trochę pieniędzy; wynajęła małeńki pokoik i zaczęła szukać pracy. Wówczas jednak spadł na nią kolejny cios. Jej ojciec zmarł w więzieniu. Zrozpaczona Biddy uparła się, by wyprawić mu godny pogrzeb z prawdziwym nabożeństwem. Stojąc samotnie przy grobie, doszła do

475

PATRICIA SHAW

wniosku, że świat ma się ku końcowi. Jakoś sobie radziła, znajdując dorywcze zajęcia za kilka szylingów, lecz wreszcie wyczerpały się jej wszystkie oszczędności i zaczęła zalegać z czynszem.

Właśnie wtedy zobaczyła w gazecie fotografię pana Glassona i przypomniała sobie o dwóch przyjaciółach pani Phoebe, mieszkających na końcu cypla. Dwaj kawalerowie! Znają ją przecież, może będą mieli dla niej jakieś zajęcie.

Właśnie tak tu trafiła. Pan Glasson powiedział, że wprowadzie nie stać go na gosposię — czym zdziwił ją niepomiernie, albowiem zawsze była przekonana, że politycy śpią na pieniądzech — za to zna miejsce, gdzie Biddy na pewno się przyda. Na farmie Winnaroo, jako gosposia i kucharka pana Bena.

Biddy pilnowała się, by ani słowem nie wspominać o Phoebe. Słyszała wszystkie awantury w Somerset House i przez pewien czas sądziła nawet, że dziewczyna zbuntuje się przeciw woli rodziców i wyjdzie za Bena, los jednak najwyraźniej sprzyścił się przeciwko niej. A potem była ta okrutna propozycja jej matki. Cóż za podła kobieta! Wyjątkowo podła. Za zwitek banknotów sprzedałaby własną duszę, nie mówiąc już o córce. Ależ to była awantura! Największa ze wszystkich! Phoebe chwyciła wspaniały komplet kryształów — ulubiony komplet matki, miała zapakować go razem z ubraniami, żeby przypadkiem się nie potłukł — i cisnęła nim przez pokój, rozbijając wszystko w drobny mak.

— Nie waż się! — wrzasnęła na matkę, a Biddy przerażona czym prędzej zniknęła z widoku. Tak więc pan Glasson przywiózł ją pociągami do Charleville, gdzie czekał na nich pan Ben. Uspokajając, że ma się nie martwić kosztami, umieścił ją w hotelu Royal we wspaniałym pokoju, tak jakby była ich gościem, a potem wyszli w swoich sprawach. Jakaś uroczysta kolacja oraz spotkanie. Biddy sama chętnie by poszła, żeby posłuchać — widziała salę udekorowaną na zewnątrz ogromnym transparentem — lecz nie śmiała. Chciała, by wiedzieli, że zna swoje miejsce.

W porze kolacji zeszła do kuchni spytać, czy mogłaby dostać talerz zupy. Kucharki potraktowały ją z wielką uprzejmością. Powiedziały, że dżentelmeni, którzy wynajęli dla niej pokój, są teraz w drugiej, zarezerwowanej restauracji, a ona ma usiąść w głównej jadalni.

— Och, nie — skurczyła się Biddy. — Jeszcze nigdy nie jadłam w takim miejscu.

476

OGNIE FORTUNY

— Jest pani naszym gościem, nie gorszym od innych — stwierdziła kucharka. — Zaraz panią obsłużymy. A kim pani jest, jeśli wolno spytać?

Biddy z dumą wyjaśniła, że ma zostać gosposią na farmie Winnaroo. Skończyła już czterdzieści siedem lat, dotąd pracowała jako pokojówka, tak więc był to awans i nowe doświadczenie.

Cztery kobiety uwijały się w kuchni, a ponieważ nowo przybyli zawsze wzbudzali ich zainteresowanie, Biddy została wszystkim przedstawiona. Kucharka, prowadząc ożywioną rozmowę, sprawnie kroila trzy różne kawałki pieczeni, nakładała warzywa i polewała mięso sosem.

— Kiedy znowu przyjedziesz do miasta, Biddy — rzekła — wpadnij do nas z wizytą. Nie ma przecież powodu, żebyś była całkiem sama. A teraz idź na kolację. Smacznego.

Trochę zdenerwowana Biddy usiadła przy niewielkim stoliku. Po latach służby u możnych i bogatych maniery miała nienaganne; kiedy zdobyła się na odwagę i uniosła wzrok, dosłownie

zamarła. Wielu gości jadło jak świnie, wymachując sztucami niczym szablami. Nawet kobiety. Powoli wyprostowała się i uśmiechnęła. Pierwszy posiłek w równie wystawnym lokalu zaczął jej sprawiać prawdziwą przyjemność.

Okazało się, że z Charleville na farmę jest kawał drogi, którą pokonali niewielkim gigiem. Ben powoził, jego wierzchowiec biegł z tyłu. Biddy napawała się każdą chwilą tej podróży. Obaj mężczyźni żartowali, przekomarzali się i pytali ją o zdanie, ona wszakże odpowiadała bardzo ostrożnie, obawiając się zrobić złe wrażenie. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała z Brisbane, teraz w zachwyty wprawiała ją ogromne przestrzenie, na których nie było widać żywej duszy, nie licząc oczywiście kangurów, które przystawały i patrzyły na nich jak na jakieś wyjątkowe okazy w ogrodzie zoologicznym. Cóż za cudowny dzień!

Tego ranka Ben i Barnaby pojechali nad jakieś źródło. Pozostali mężczyźni, którzy, jak jej powiedziano, mają swoją kucharkę, również gdzieś zniknęli. Pewnie gonili bydło, chociaż Biddy nie bardzo rozumiała, po co to robią. Miała więc cały dom do swojej dyspozycji. Włożyła czarny fartuch i spacerowała od pokoju do pokoju pewnym, zdecydowanym krokiem, zwracając uwagę na każdy szczegół. Podstawowe, najbardziej potrzebne meble już stały, łóżka, stoły i tym podobne, za to salon i jadalnia były prawie nieumeblowane, nie wspominając już nawet o draperiach i zasłonach.

477

PATRICIA SHAW

— Zajmiemy się tym — powiedziała do siebie. — Jaka szkoda, że nie ma tu teraz panienki Phoebe. Zobaczyłaby, jaki śliczny dom pan Ben zbudował. To istny dom marzenia i taki przytulny. W dodatku jest tu naturalnie, nie potrzeba żadnych lokai w dziwacznych liberiach. Wspięła się po schodach do przeszklonego pokoju na szczycie wieży, w którym też nie było jeszcze sprzętów, i spojrzała w stronę wielkiej rzeki.

— Dobry Boże — modliła się. — Nigdy o wiele nie prosiłam, ale spraw, żebym dała sobie radę. Tu miałabym przecież i dom, i pracę, nie pozwól więc, żeby pan Ben mnie odesłał. Nie miałabym dokąd pójść.

Ben wiedział, że nadeszła pora, by odwiedzić Fairmont. Pojechał tam ze swoim głównym pasterzem, Julesem Manneringiem, który kiedyś pracował u Buchananów.

Pani Buchanan powitała ich uprzejmie, choć Ben odniósł wrażenie, że jest nieco spięta, po czym zaprosiła ich do biura, żeby przedyskutować problem ogrodzenia, dzielącego ich posiadłości. Ponieważ Jules i Clara Buchanan wiedzieli na ten temat zdecydowanie więcej niż on, Ben zaproponował:

— Czy mogę zostawić tę sprawę na waszych głowach? Chciałbym odwiedzić pana Buchanana.

— Mąż nie czuje się dobrze — rzekła Clara ostro.

— Będę bardzo cicho.

Clara spojrzała na niego, po czym zwróciła się do Julesa:

— Zaraz wracam. — Wyszła z Benem na dwór. — Proszę posłuchać, panie Beckman...

— Ben.

— Dobrze, Ben. Nie ma co owijać w bawełnę, to zresztą nie leży w mojej naturze. Poza tym chcę to mieć raz na zawsze z głowy. Czy twoja matka miała na imię Diamond?

— Tak.

Wstrzymała oddech, jakby ktoś ją uderzył, zaraz wszakże podjęła:

— A więc? Co zamierzasz? Chcę znać prawdę. Objął ją i poprowadził dalej od domu.

— Oboje słyszeliśmy tylko niewielką część tej historii. Twój mąż znał moją matkę. To wszystko, co wiem, i więcej ani ty, ani ja wiedzieć nie musimy. Przed tym wypadkiem w Winnaroo rozmawialiśmy. Orientował się, kim jestem, i bardzo się bał, że mógłbym go o coś oskarżyć. Tymczasem ja nigdy bym tego nie zrobił, nie widzę takiej potrzeby. Dlatego musisz mi pozwolić z nim porozmawiać. To, że

OGNIE FORTUNY

kupiłem Winnaroo, nie ma z nim nic wspólnego. Po prostu podoba mi się to miejsce, uwielbiam je. Znudziło mi się życie w mieście, nie miałem tam już czego szukać. Szara codzienność stała się nie do zniesienia. Chyba potrafisz to zrozumieć?

— Tak, oczywiście. Przepraszam cię. To wszystko jest takie skomplikowane. Może jednak porozmawiasz z nim innym razem?

— Nie. Ja też chcę mieć to z głowy. Zawahała się, po czym ustąpiła.

— No dobrze. Sprawdzę tylko, czy w pokoju jest porządek. Czekając na jej powrót, Ben zastanawiał się, czy postępuje słusznie.

Miał nadzieję, że tak. Wprawdzie przysiągł sobie, że nigdy nie przekroczy progu tego domu, lecz sytuacja się zmieniła i jeśli chce uniknąć niepotrzebnych kłopotów w prowadzeniu farmy, musi współpracować z sąsiadami. A przynajmniej z Clarą Buchanan.

Przez podwórze szła powoli czarna kobieta, dźwigając kosz. Nagle zastygła w bezruchu i utkwiała wzrok w Benie. Po chwili zbliżyła się, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, tak jakby go znała.

Ben skinął jej głową, lecz bez słowa ruszyła dalej, wciąż uśmiechnięta.

Wróciła Clara.

— Gotowe. Ale nie mówiłam mu, że tu jesteś. Na pewno chcesz się z nim widzieć?

Buchanan leżał w szlafroku na łóżku, wsparty na poduszkach i przykryty puszystą kołdrą.

— Wynoś się z mojego domu! — warknął na widok Bena.

— Tak traktujesz człowieka, który ocalił ci życie?

— Łżesz! Byłeś za bardzo zajęty ratowaniem własnej skóry. Przyszedłeś nacieszyć wzrok, co?

— Tak. Czemu nie?

— Wynoś się!

— Zaraz. Słyszałeś już, że kupiłem Winnaroo?

— Ciekawe, skąd wzięłeś pieniądze. Ukradłeś?

— Nie twoja sprawa. I właśnie to przyszedłem ci powiedzieć. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, oczywiście z wyjątkiem tego, na co jako sąsiedzi jesteśmy skazani. Ale wolałbym załatwić wszystkie sprawy z panią Buchanan.

— Napędziłem ci strachu, co?

— Nie łudź się, ty przekłety durniu! A jeśli planujesz strzelić mi w plecy, lepiej o tym zapomnij. W sejfie w banku złożyłem swoje świadectwo urodzenia. Jest na nim twoje nazwisko. Są tam też

PATRICIA SHAW

drobiazgowo opisy twoich napadów na mnie, potwierdzone przez świadków, oraz instrukcja na wypadek gdyby coś mi się przytrafiło. Wówczas wszystkie te dokumenty zostaną przekazane policji. Lepiej więc módl się, Buchanan, żebym żył długo i szczęśliwie.

— Szantażujesz mnie, co?

— Jesteś tak samo głupi, jak byłeś. Niczego się nie nauczyłeś. Nie masz nic, na czym by mi zależało. Nic, rozumiesz? I trzymaj się z dala od mojej farmy, bo może ci się zdarzyć następny nieszczęśliwy wypadek.

To rzekłszy, wyszedł z pokoju. Rozmawiając z Buchananem, zauważył, że tam, gdzie powinna się znajdować stopa, kołdra jest płaska, nie widział jednak sensu, by o tym wspominać.

— Jak się czuje? — spytała Clara.

— Jest trochę wściekły — uśmiechnął się Ben — ale to nic poważnego. Przejdzie mu. Wygląda lepiej, niż się spodziewałem.

— Tak. Doktor powiedział, że niedługo będzie miał dość kul, a wtedy zrozumie, że powinien przywiązać protezę. Na początku na pewno będzie mu trudno, ale wszyscy chętnie mu pomogą. Przy pożegnaniu Ben powiedział:

— Musisz mnie kiedyś odwiedzić. Kiedy tylko będziesz miała ochotę.

— Chętnie, Ben. Miałaś jakieś wiadomości od Phoebe? Ben spochmurniał.

— Nie — odparł krótko. — A ty?

— Nie. Napisałam do Sydney, ale nie dostałam odpowiedzi. Mam nadzieję, że u niej wszystko w porządku.

Ben milczał. Dziękował Bogu za Winnaroo, za nawal zajęć, dzięki którym nie myślał o niej aż tak często. Było mu bardzo ciężko, długo walczył z przygnębieniem, powtarzał sobie jednak, że w przeszłości cierpiał dużo bardziej, a przecież jakoś udało mu się przetrwać.

— Masz wszystko, czego potrzebujesz? — spytał Julesa.

— Tak, pani Buchanan bardzo mi pomogła. — Jules rozmawiał z nią o hodowli bydła, jako że była ona prawdziwą znawczynią tego tematu.

Clara uściśniła im dłonie.

— Jestem pewna, że sobie poradzisz — rzekła. — A gdybyś potrzebował pomocy, po prostu daj mi znać.

W drodze do domu Ben uśmiechał się do siebie. Rozmowa z Buchananem była konieczna, ten człowiek musiał się dowiedzieć, gdzie jego miejsce. Nie było żadnych dokumentów w banku ani tym

480

OGNIE FORTUNY

bardziej świadectwa urodzenia. Kiedy przed wyprawą z domu na Kangaroo Point pakował swoje rzeczy, w skrzyni Diamond znalazł wycinek z gazety. Było to zdjęcie Bena Buchanana, na którym Oma napisała: „Ojciec Bena Beckmana”. Ben spalił je bez chwili wahania.

To Clara podsunęła mu pomysł, by wyprawił przyjęcie.

— Wybrałaś wspaniałe miejsce — powiedziała, kiedy zjawiała się z wizytą. — W lecie będziesz miał większe szanse na wiatr. A dom jest po prostu śliczny. Sam go zaprojektowałeś?

— Nie, plany sporządził człowiek, który go budował. Ja tylko wskazałem lokalizację i powiedziałem, że chcę, by pokoje były przestronne i wysokie. Nie należę do niskich, stwierdziłem więc, że skoro mogę sobie na to pozwolić... Ale nie są za duże, prawda? Przeszła przez dwa frontowe pokoje z dużymi kominkami, po czym odrzekła:

— Nie, ależ skąd. Są w sam raz.

— Właściwie nie wiem, po co mi dwa salony — stwierdził tonem niemal przeproszającym, gdyż bardzo mu zależało na uznaniu Clary. Dom z pewnością nie był tak imponujący jak Buchanarów, lecz wydawał się bardziej wiejski. — Budowniczy powiedział, że zrównoważą całą konstrukcję.

— Rzeczywiście — zgodziła się. — To wymarzone miejsce na przyjęcia. Kiedy pootwiera się te podwójne drzwi, będzie się gdzie bawić.

Ben wzruszył ramionami.

— Jakoś nie wyobrażam sobie, że miałbym organizować przyjęcia.

— A czemuż nie? Wam, ludziom z miasta, wydaje się chyba, że my tutaj nie robimy nic innego, tylko uganiamy się za bydłem i jeździmy konno. A my naprawdę potrafimy się bawić, Ben. I wierz mi, robimy to. Na twoim miejscu wstawiłabym tutaj pianino.

— Pianino? — spytał zdumiony. — A kto by na nim grał?

— Zawsze znajdzie się ktoś, kto umie grać. Wiesz, chyba powinieneś urządzić przyjęcie. Taki piękny dom trzeba ochrzcić.

— To chyba nie jest najszcześniejszy pomysł — odparł Ben niepewnie. — To znaczy...
dziękuję ci, że to zaproponowałaś, ale nie wiedziałbym nawet, kogo zaprosić.

— Nie masz w Brisbane żadnych przyjaciół?

— Mam paru.

3 | Ognie fortuny

481

PATRICIA SHAW

— Świetnie. Zaproś ich. Dom jest obszerny, będą mieli gdzie spać. Ludzie uwielbiają wyjazdy na wieś. A sierżant Reilly mówił mi, że w mieście zrobiłeś bardzo dobre wrażenie. Powinieneś też poznać okolicznych farmerów. Uwierz mi, jeśli ich zaprosisz, przejadą choćby sto mil. Część z nich mogłaby przenocować u mnie.

— Oho! — wykrzyknął. — Nie tak szybko, Claro, zwolnij, bo nie nadażam. To chyba przesada. Spójrzmy prawdzie w oczy. Wcale nie jest powiedziane, że ktokolwiek będzie miał ochotę mnie poznać.

— Jeśli nie spróbujesz, to nigdy się nie dowiesz. A jak będziesz unikać ludzi, gotowi pomyśleć, że jesteś szalonym pustelnikiem. Przyjęcia wcale dużo nie kosztują, Ben, a ludzie bardzo cenią gościnność.

— Tu nie chodzi o pieniądze.

— Więc o co?

— Nie wiem — odparł. — Zapytam Biddy. To ona prowadzi dom. „Biddy? — pomyślała Clara, kiedy zniknął w głębi domu. — A któż

to taki? To interesujące, że samotny mężczyzna mieszka z kobietą.” Clara miała tylko nadzieję, że mówiąc o przyjęciu, nie weszła z butami w nie swoje sprawy.

Minęło już parę tygodni od rozmowy Bena z jej mężem. W tym czasie Clara kilka razy wysyłała Mossa, by pomógł Julesowi sprawdzić, czy zakupione bydło nie jest chore. Wszak współpraca pomiędzy sąsiadującymi farmami to rzecz absolutnie niezbędna. Co dziwne, jej mąż niewiele mówił na temat swojego niespodziewanego gościa, oznajmił tylko, że nie życzy sobie, by ten mieszaniec mu się narzucał.

— Na to akurat są raczej małe szanse — stwierdziła krótko Clara i idąc za radą Beckmana, dała tej sprawie spokój. Miał rację. Najlepiej po prostu o tym zapomnieć.

Teraz już nie wątpiła, że Ben to syn jej męża. Jej pasierb. Po ojcu odziedziczył rysy twarzy i proste włosy. Nigdy przedtem nie zwróciła na to uwagi, ale czy to dziwne?

Skoro jednak ani ojciec, ani syn nie chcieli się do niczego przyznać, sprawa właściwie nie istniała. Może poza tym, że Clara zawsze pragnęła dziecka, lecz nie mogła zająć w ciążę. Zrobiło się jej smutno na myśl, że przez cały czas było jakieś dziecko. Kolorowe czy nie, chętnie byłaby mu matką. I proszę, na jakiego mężczyznę wyrósł! Jakżeby chciała, by był jej synem. A może ta kobieta, Diamond, nie miałaby nic przeciwko, żeby zainteresowała się swoim pasierbem? Może nawet byłaby temu przychylna?

482

OGNIE FORTUNY

— Jestem po twojej stronie, Diamond — rzekła na głos Clara, jakby chciała przepędzić złe moce.

W końcu Ben wrócił.

— Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać, ale Biddy pracowała w ogrodzie i uparła się, że musi się umyć i przebrać.

Kiedy do pokoju weszła Biddy, pośpiesznie wpychając białą bluzkę w długą czarną spódnicę, Clara nie posiadała się z radości. Podbiegła do niej i zarzuciła jej ręce na szyję.

— O Boże! Jak cudownie cię widzieć! Nie miałam pojęcia, że tu jesteś, Biddy. Skąd się tutaj wzięłaś?

Podczas gdy one rozmawiały, Ben walcząc z przygnębieniem, stał wpatrzony w palenisko, które jeszcze nie widziało ognia. Czy kiedykolwiek zdoła uwolnić się od Phoebe? Od jej

przeklętej rodziny? Kiedy kobiety zaczęły wspominać dawne czasy w Somerset House, ogarnęła go rozpacz. Po co w ogóle była ta rozmowa o przyjęciu? Chyba po to, żeby mu pokazać, kim naprawdę jest. A właściwie kim nie jest. Lecz przecież jest teraz panem własnego losu i nie musi się narażać na upokorzenie. Najlepiej niech mu dadzą święty spokój. To wszakże najwyraźniej nie wchodziło w grę. Kobiety postanowiły inaczej. Biddy uznała, że przyjęcie to świetny pomysł.

— Panie Ben, chętnie je przygotowuję — rzekła. — Poradzę sobie, może mi pan zaufać. Nie zawiodę pana. Będzie pan dumy, obiecuję.

W końcu jakoś go przekonały, żeby się zgodził, choć oczyma wyobraźni już widział tę klęskę i przygotowywał się duchowo na pierwsze i ostatnie przyjęcie w Winnaroo.

Tego wieczora Biddy była bardzo podekscytowana. Później uświadomiła sobie, że za bardzo, bo w swoich wysiłkach, by rozweselić Bena, zaczęła mówić zbyt wiele. On jednak słuchał z zainteresowaniem.

— Ależ to był dla nich wstrząs — mówiła — kiedy stary Edgar utonął.

— Czy to prawda — spytał Ben — że uciekł z pieniędzmi firmy? Jak do tego doszło?

— Nie mam pojęcia. Ale oszukał wielu ludzi, w tym własną rodzinę. Podrobił podpis ojca Phoebe i pożyczył pieniądze pod zastaw Somerset. A pieniądze zabrał. Właśnie dlatego sprzedali dom.

— Nigdy nie rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi.

— Och, jakie były o to awantury — ciągnęła Biddy. — Zrobiła doktorowi prawdziwe piekło!

— Kto? Pani Thurlwell?

— A któż by inny?

483

PATRICIA SHAW

— To oszust. Zasłużył sobie.

— To nie oszust, tylko pijak. Przez pół dnia w ogóle nie wie, co się dzieje. A panienka Phoebe zawsze dostawała się w sam środek ich awantur... Przepraszam, wiem, że pan nie lubi, żebym mówiła o panience.

— Nie szkodzi — odparł cicho i rozparł się na krześle. Śniadanie i lunch jadał z pracownikami, natomiast kolację z Biddy, żeby nie czuła się samotna. Czasami zastanawiał się, po co mu te wszystkie piękne pokoje. — Napijesz się czerwonego wina?

— Jeśli mogę prosić.

Biddy wypiła łyk wina i wzdrygnęła się.

— Trochę kwaśne. Na przyjęcie będziemy potrzebowali czegoś lepszego. No więc jak już mówiłam, panienka Phoebe zawsze trafiała w sam środek tych kłótni. Jej mama traktowała ją jako broń przeciwko mężowi.

Ben słuchał jej opowieści i zdawało mu się, że widzi Phoebe tamtego ostatniego popołudnia. Marzył o niej, czuł jej bliskość. Ten jeden raz pozwolił, by zagościła w jego myślach.

— Słyszałam tamtą awanturę o pana — kontynuowała Biddy. — Panienka walczyła, niech pan nigdy nie wierzy, że było inaczej, ale jej matka doskonale wiedziała, gdzie uderzyć.

Kucharka zawsze powtarzała, że gdyby grała w rzutki, to na pewno zostałaby mistrzynią.

— Teraz to już skończone.

— Jeśli tak, to tym większa szkoda. Ale kiedy pani Thurlwell powiedziała mężowi, że powinien zgodzić się na wasze małżeństwo, to myślałam, że się przewrócę. Tylko że wiedziałam, że tam musi być jakiś haczyk.

Ben natychmiast otrząsnął się ze wspomnień.

— Naprawdę matka Phoebe coś takiego zasugerowała?

— Tak. Nie mówiła o panu zbyt dobrze, wybaczy pan te słowa, ale twierdziła, że doktor powinien się zgodzić. W zamian za zadośćuczynienie.

— To znaczy za co?

— Za pieniądze. Jakby wiano, tylko w drugą stronę. Mówiła, że należy im się zadośćuczynienie i że pana na nie stać. „Niech zapłaci tyle, ile jest warta”, mówiła doktorowi. Wtedy właśnie panna Phoebe wpadła w szal. Zaczęła wrzeszczeć na matkę i tłuc kryształ.

— Phoebe?

— Och, ta dziewczyna ma charakter.

484

OGNIE FORTUNY

— Zauważyłem. Ale Biddy, czy jesteś pewna, że wszystko dobrze zrozumiałaś?

— Jak mi Bóg miły!

Tego wieczora Ben poszedł na długi spacer i w końcu postanowił, że przyjęcie musi trochę poczekać. Na razie ma do załatwienia ważniejsze sprawy.

Na farmie wszyscy sądzili, że szef wybrał się do Brisbane w ważnych interesach, w rzeczywistości jednak Ben pojechał znacznie dalej. Sydney okazało się wielkim miastem. Pojazdy hałasowały, przechodnie przytrzymywali kapelusze na wietrznych ulicach, uliczni handlarze zachwalali swoje towary, w wejściu do ogromnego centrum handlowego tłoczyli się wchodzący i wychodzący. Ben przez kilka przecznic biegł za automobilem, podziwiając cudowną czarno-czerwoną maszynę i zazdroszcząc ubranemu na biało dżentelmanowi, który z dumną miną ścisnął kierownicę.

Zawrócił niechętnie, wiedział jednak, że nie ma teraz czasu zajmować się niczym innym, choćby nawet były to automobile.

Przed bramą zaczepił jakąś parę, pytając, czy to Hyde Park.

— Tak — odparł dżentelman, a Ben uchylił kapelusza, po czym ruszył zacięzionymi alejkami, wypatrując pomnika kapitana Cooka, który — jak zapewnił portier w hotelu, puszczając do niego oko — jest nie najgorszym miejscem na randkę.

— A dlaczego właściwie nie umówił się pan w naszym ogrodzie?

— zapytał portier. — Spotykają się tutaj najznamienitsze osobistości.

— Proponowałem to w liście — odparł Ben. — Ale dama się nie zgodziła. Wolą Hyde Park.

— Na pewno pan trafi. To tylko parę przecznic w tamtą stronę

— wskazał Benowi kierunek.

Ben znalazł pomnik, obszedł go kilka razy dookoła, spoglądając z szacunkiem na przystojną, szlachetną twarz wielkiego żeglarza, później stanął po słonecznej stronie i czekał. Spóźniła się.

W ten piątkowy poranek było tu pustawo. Ledwie paru spacerowiczów: starsi dżentelmeni siedzący na ławkach, niania z dwójką małych dzieci opatulonych jak pulchne lalki. Zdaniem Bena słynny park był w rzeczywistości dość skromny i brakowało mu bogactwa roślinności Queensland, lecz przecież każdy ma to, co lubi.

Chociaż ze zdenerwowania miał ściśnięty żołądek i bardzo obawiał się o rezultat czekającego go spotkania, napawał się każdą chwilą krótkiej podróży parowcem. Zaufał też radzie pewnego poznanego na

485

PATRICIA SHAW

statku dżentelmena, który polecił mu hotel Australijski. Zresztą wszyscy, których spotykał, chętnie służyli mu pomocą i Ben od razu polubił to miasto.

Już w parę godzin po przyjeździe do Sydney wysłał posłańca z listem do Phoebe. Adres podała mu Biddy.

Był to długi i samotny dzień. Ben uśmiechnął się ponuro, wspominając, jak wypatrywał jej przyjaciela, czekał na jakąś odpowiedź.

Zamiast niej wszakże zjawił się posłaniec z wiadomością, żeby następnego ranka przyszedł do Hyde Parku. Ben odpowiedział, że się zgadza. Był to przynajmniej jakiś początek, udało

mu się nawiązać kontakt. Gdyby wyznaczyła mu spotkanie na końcu świata, też by pojechał. Gdziekolwiek.

W tym momencie zobaczył ją, jak zmierza w jego stronę, elegancka, w modnym kapeluszu ze strusimi piórami falującymi na wietrze, z zarzuconą niedbale na ciepły szary żakiet połyskliwą futrzaną etolą. Wszyscy się za nią oglądali. Ben nie mógł oderwać od niej wzroku. Czy zdoła stawić czoło tej kobiecie?

— Dzień dobry, pani Thurlwell — powiedział. Wydała mu się wyższa niż dawniej, lecz przypuszczał, że włożyła buty na wysokim obcasie, niewidoczne pod długą spódnicą. Tylko skinęła głową, nie wyciągnęła dłoni w rękawiczce.

— Może usiądziemy? — zaproponował, wskazując pobliską ławkę.

— Pewnie będzie to konieczne — odparła i usiadła na drugim końcu. — Zimno tu.

— To był pani pomysł. Czy zawsze otwiera pani listy swojej córki?

— Kiedy uważam to za stosowne. Poza tym Phoebe nie mieszka już z nami. Myślałam, że to coś ważnego.

— A gdzie mieszka?

— Jej adres to sprawa, o której możemy dyskutować.

— Nie zamierza mi pani powiedzieć?

— Kto wie?

Ben wolałby stać. Ta kobieta bardzo go peszyła.

— Jak się miewa Phoebe?

— Bardzo dobrze. Skąd pan wiedział, gdzie nas szukać?

— Od Biddy. Pracuje teraz u mnie.

— No tak — wzruszyła ramionami. — Służący zawsze wszystko wiedzą.

— Biddy powiedziała mi również, że byłaby pani gotowa zaakceptować moje małżeństwo z Phoebe w zamian za pewne zadośćuczynienie.

486

OGNIE FORTUNY

— O ile ona pana zechce — odparła bez mrugnienia.

Jej pewność siebie, a właściwie czysta beczelność, doprowadzała go do szału, starał się jednak hamować złość. Miał pewien plan i gotów był na wszystko, byleby tylko wprowadzić go w życie.

— Zobaczymy. A więc gratyfikacja nie byłaby nie na miejscu?

— A czemuż by nie? Naraził nas pan na wiele nieprzyjemności.

— I dlatego pani tu przyszła? Dobrze, a więc gdzie mieszka Phoebe?

Obracała w palcach mały srebrny kolczyk, obserwując psa bawiącego się piłką. Ben roześmiał się.

— Zapewne obawia się pani, że porwę Phoebe i nigdy nie zobaczy pani tych pieniędzy?

— Nie ufam wam. Ani panu, ani jej.

— Poprawia mi pani samopoczucie. Z pani słów wynika, że Phoebe jeszcze o mnie nie zapomniała. — Z wewnętrznej kieszeni wyjął zaklejoną kopertę. — W środku znajduje się czek na pięć tysięcy funtów. Na więcej nie mogę sobie pozwolić. Miałem ostatnio bardzo dużo wydatków. Poproszę adres.

Wyjęła niewielki notes z doczepionym ołówkiem i westchnąwszy z rezygnacją, jakby do czegoś ją zmuszał, napisała adres Phoebe. Następnie schowała kopertę głęboko do torebki.

— Czy może mi pan zaręczyć, że to nie jest czek bez pokrycia?

— Oczywiście.

— A jeśli Phoebe nie zgodzi się za pana wyjść?

— Wtedy czek wróci do mnie. To chyba naturalne?

— Tak — odparła sztywno. — Oczywiście. Może jej pan powiedzieć, że skoro już musi za pana wyjść, to ma na to pozwolenie ojca.

— A pani?

— Ona nigdy nie przejmuję się moim zdaniem. — Wstała, wyprostowała się i pogodnie rozejrzała po parku. — Na mnie już czas. Jestem umówiona na lunch.

— Jeszcze jedno. Gdzie jest Manly?

— To taka mała plaża po przeciwnej stronie portu. Mieszka tam z przyjaciółmi. Dziwaczne indywidua, lecz w końcu ona zawsze lubiła takie towarzystwo!

Płynąc promem na drugą stronę portu, Ben siedział na pokładzie i rozglądał się dookoła, byleby tylko nie myśleć o stojącym przed nim wyzwaniu. Przecież niewykluczone, że Phoebe w ogóle nie zechce

487

PATRICIA SHAW

z nim rozmawiać. Jest w końcu atrakcyjna, w jej życiu może już być inny mężczyzna. To właściwie prawie pewne! Doszedł jednak do wniosku, że warto spróbować i jeszcze raz poprosić ją o rękę.

„Szczerze mówiąc — rozmyślał — już samo to, że ją zobaczę, będzie dla mnie nagrodą za wszelkie trudy.”

O matce Phoebe szybko zapomniał. Spotkanie z nią nie okazało się wcale trudne. W pewnym sensie Ben trochę nawet jej współczuł. Nic nie było w stanie zamaskować zwykłej chciwości kobiety, która zniżyła się do równie nikczemnej transakcji. A uczucia Phoebe zupełnie jej nie obchodziły. Nic dziwnego, że dziewczyna była taka przewrażliwiona i zagubiona. Potrafiła upierać się w najbardziej błahej sprawie, a zaraz potem równie gwałtownie żądać od Bena, by zgodził się na kompromis. Przypuszczał, że zawsze przegrywała z matką i straciła wiarę w zwycięstwo. Chciała za niego wyjść, lecz w ostatniej chwili presja okazała się zbyt silna i ustąpiła.

— Tym razem — rzekł do siebie, kiedy prom zbliżał się do nabrzeża, a pasażerowie zaczęli się szykować do zejścia na ląd — Lalla Thurlwell przegrała. Zobaczymy, jaki to będzie miało wpływ na jej córkę.

Siedział na schodach prowadzących do drewnianego domku, kiedy zobaczył ją idącą od strony plaży, bosą, z kapeluszem w dłoni. Zebrał się w sobie. Jej pierwsza reakcja może wyjaśnić wszelkie wątpliwości. Wahanie, wymuszony uśmiech albo — uchowaj Boże — konsternacja i przerażenie będą oznaczały, że może się pakować i wracać do domu.

Phoebe przeszła przez ulicę, spostrzegła, że ktoś siedzi przed domem, zmrużyła oczy i jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

— Ben! To ty! Ben! Skąd się tutaj wzięłeś?

Ruszyła biegiem i po chwili padła mu w ramiona. Pierwsza przeszkoda została wzięta. Phoebe zaparzyła herbatę, w kuchni znalazła jakieś bułeczki z rodzynkami, a Ben zaniósł tacę na chybocliwy stolik, ustawiony w zarośniętym ogrodzie. Phoebe opowiadała o swoich przyjaciółach, młodym małżeństwie, właścicielach składu towarów tekstylnych.

— Chodziłam z Dolly do szkoły — tłumaczyła. — Któregoś dnia spotkałam ją na promie. Zaproponowała, żebym z nimi zamieszkała. Dobrze mi tutaj. Musisz pójść ze mną na plażę i pochodzić po falach. Cudowne uczucie. A w nocy można leżeć w łóżku i słuchać, jak fale rozbijają się o brzeg...

— Chętnie — odparł Ben. — Pod warunkiem że z tobą... Uśmiechnęła się, trochę zakłopotana.

488

OGNIE FORTUNY

— Wracaj ze mną.

— Och, Ben. Sama nie wiem. Rozstaliśmy się. Niech tak zostanie. — Nagle drgnęła. Spojrzała mu w oczy. — Jak mnie znalazłeś?

— Bidy pracuje teraz u mnie. Dała mi wasz adres na Bellevue Hill, a twoja matka skierowała mnie tutaj.

— Dobry Boże! Cóż takiego sprawiło, że stała się nagle taka zgodna?

— Przekonało ją pięć tysięcy funtów.

— Co?! — Phoebe pobladła i odsunęła krzesło od stołu. — Jak śmiałeś! Wydaje ci się, że można mnie kupić? Albo sprzedać?

— Uspokój się, Phoebe. Niepotrzebnie zmieniamy temat. Zapomnijmy o tym na chwilę, dobrze?

— Nie!

— Powiedziałem: na chwilę! Byłem głupi. Miałem dla ciebie niespodziankę, ale trzymałem ją w tajemnicy. A o sugestii twoich rodziców dowiedziałem się od Bidy.

— Nie powinna była ci mówić!

— Usiądź! Kiedy ostatnio się widzieliśmy, właśnie kupowałem farmę Winnaroo, ale nie mówiłem ci o tym, bo się bałem, że pomyślisz...

— Że próbujesz mnie przekupić? Że w ten sposób chcesz mnie skłonić, bym za ciebie wyszła?

— Coś w tym rodzaju. A może nawet trochę gorzej. Bałem się, że możesz uznać to za propozycję ucieczki przed światem.

Wgryzła się wściekle w bułkę.

— Dziękuję ci bardzo.

— Ty powinnaś była mi powiedzieć o genialnym pomysle twojej matki, a ja powinienem był ci powiedzieć o Winnaroo. Tylko że byliśmy za bardzo zajęci roztrząsaniem każdego drobiazgu, zamiast po prostu żyć. Przepraszam cię za to.

— Och, nie obwiniaj się — odparła jakże dobrze mu znanym przygnębionym głosem osoby pokonanej. — To ja uciekłam, Ben. Nie wierzyłam, że podołam wszystkiemu, co się wiąże z mieszanym małżeństwem, jak to się delikatnie określa.

— A teraz? Kiedy miałaś dość czasu, by to przemyśleć?

— Teraz? — odparła chłodno. — Mogę ci powiedzieć. Tak strasznie za tobą tęskniłam, że na początku było mi bardzo trudno. Ale jakoś przywykłam. Miałam dość domu mojej ciotki, wyprosiłam więc od ojca pozwolenie na przeprowadzkę. Dolly i jej mąż są normalni w porównaniu z tymi snobami, wśród których się wychowywałam

489

PATRICIA SHAW

i teraz czuję się dużo silniejsza. — Roześmiała się. — Powiedzmy, że przeszłam kurs pokonywania własnego ego i wyszło mi to na dobre.

— Lubilem twoje ego. Nie pozbywaj się go do końca. Może pójdziemy do twojej sypialni i sprawdzimy, czy jeszcze mnie kochasz?

— Nie, Ben, jest już za późno. Naprawdę się cieszę, że cię widzę, ale jestem wściekła, że dałeś mojej matce te pieniądze. Dlaczego nie spytałeś mnie o zdanie?

— Nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. A poza tym Bidy mówiła, że bardzo się wtedy zdenerwowałaś, więc wołałem zająć twoje miejsce. Przejść przez to i zdobyć zgodę twojego ojca. O ile mówili poważnie.

— I jej zapłaciłeś. Czy kupiłeś Winnaroo?

— Tak. Często odwiedza mnie Clara. Buchanan siedzi w domu. Hoduję bydło, mam nadzorcę, niejakiego Julesa, a Bidy jest gosposią. Oprócz nich zatrudniam jeszcze dziesięciu ludzi. Za jakiś czas planuję zająć się także hodowlą koni. Ale przede wszystkim powinnaś zobaczyć dom. Jest wspaniały. Stoi na wzgórzu i ma wieżę. To naprawdę cudowne miejsce, Phoebe. Jedź ze mną.

— Zapłaciłeś mojej matce! Nigdy ci tego nie wybaczę. Dopięła swego. Już mi się zdawało, że się od niej na dobre uwolniłam, tymczasem wcale nie. Ależ się teraz musi śmiać!

— Nie sędzę.
— Jak to nie? Jak w ogóle mogłeś się zniżyć do czegoś tak obrzydliwego?
Ben oparł się wygodnie, uśmiechnięty od ucha do ucha.
— Uważaj! Znowu odzywa się twoje ego\ To wcale nie było takie trudne. Zdobyłem zgodę twojego ojca na nasz ślub, a także twój adres. I odnalazłem ciebie.
— Zapłaciłeś za mnie.
— Dałem jej czek.
— To dobrze. Zanim wybierze się do Queensland, żeby go zrealizować, może zdążysz go unieważnić.
— Nie mogę.
— Dlaczego?
— Bo twoja matka nie zadała sobie trudu, by go sprawdzić. Na to zresztą liczyłem. Przypuszczam, że byłoby to poniżej jej godności. Po prostu wzięła kopertę i schowała do torebki. Być może przywykła obcować z dżentelmenami, ale przecież ja nie jestem dżentelmenem. Na czeku widnieje twoje nazwisko, co więcej, przed wyjazdem na

490 OGNIE FORTUNY

wszelki wypadek dwa razy powtarzałem w swoim banku, że tylko ty jedna masz prawo go zrealizować. Nikt inny.

— Co?!
— To, co słyszałaś.
— Więc dostała bezużyteczny czek?
— Nie, ma w torebce twój prezent ślubny i liczę, że go zrealizujesz. Phoebe wybuchnęła śmiechem. Chwyliła resztki bułek i rzuciła je wysoko w powietrze, po czym obiegła stół dookoła i zarzuciła Benowi ramiona na szyję, przewracając go na trawę. W drzwiach stanęła Dolly.
— Czy kogoś tutaj napadnięto?
— Tak, jego — odparła Phoebe i rozciągnęła się na ziemi. — Oto mój przebiegły przyjaciel i narzeczony, Ben Beckman.

KODA

W całym domu paliły się światła, do ogrodu przez otwarte okna dobiegały dźwięki walca Straussa. W środku, ignorując upał, pary kołysały się w rytm romantycznej muzyki, pozostali na werandzie wyczekiwali na lekki podmuch orzeźwiającego wiatru.

Przez te wszystkie lata Phoebe Beckman gościła w Winnaroo wielu przyjaciół, jednakże ten wieczór był wyjątkowy. Mieszkańcy całego kraju świętowali pierwszego sylwestra nowego stulecia, po którym nastąpić miał niezwykle ważny i ekscytujący dzień: i stycznia 1901 roku. Ogromne ogniska czekały gotowe do zapalenia we wszystkich miastach, miasteczkach i wioskach, nawet w głębi buszu; na podwórzach i w parkach, a także wzdłuż wybrzeża; w dolinach i na zboczach gór, wszędzie, gdzie można było się zgromadzić. Wielu twierdziło, że kiedy wszystkie te ognie zapłoną, widać je będzie z gwiazd, i nikt temu nie zaprzeczał. Nikt nie chciał zaprzeczać, bo przecież była to noc marzycieli, ludzi pełnych wiary w pomyślną przyszłość, a nisko nad ich głowami wisiał Krzyż Południa, symbol, zdawało się, ich nadchodzącej państwowości.

Tuż przed północą, kiedy zaczęło się głośnie odliczanie, Ben i Phoebe przyprowadzili do zatłoczonego salonu dwójkę swoich dzieci, żeby one także miały udział w tej powszechnej radości. Odśpiewano „Auld Lang Syne”, później sierżant Reilly, pełniący funkcję mistrza ceremonii, wystąpił do przodu.

— Panie i panowie! Proszę, byście ponownie napełnili kieliszki. Dzisiaj w parku Centennial w Sydney będzie miało miejsce wielkie wydarzenie. Zostanie proklamowana federacja. Wszystkie australijskie kolonie zjednoczą się i na światowej scenie pojawi się nowy naród.

OGNIE FORTUNY

Wznoszę więc najwspanialszy toast, jaki kiedykolwiek było mi dane wznieść. Za Australię! Strzeliły korki, ogłoszono kolejne toasty. Reilly, który traktował swą rolę bardzo poważnie, ponownie spojrzął na kartkę.

— I jeszcze jedno — zawołał. — Nasi gospodarze prosili, byśmy życzyli Barnaby'emu Glassonowi powodzenia w nadchodzących wyborach. Barnaby, zechciej powiedzieć kilka słów.

Barnaby odstawił kieliszek, zwlekając. Nagle ogarnął go dziwny niepokój. Od miesiący podróżował po całym kraju, miał za sobą wiele przemówień, krótkie wystąpienie nie powinno mu sprawić kłopotu. Zbliżała się jednak chwila prawdy, a on zaczynał się obawiać, że przyjaciele przeceniają jego możliwości. Wyjdzie na głupca, jeśli przegra, zdobywając zaledwie kilka głosów. A nawet jeśli zostanie wybrany, czy będzie umiał podołać czekającym go zadaniom? Co za lichy go podkusiło, żeby w ogóle kandydować?

Mówił cicho. Skromnie. Podziękował za wsparcie.

— Ale — kontynuował — w porównaniu z dzisiejszymi obchodami zawiązania Wspólnoty Australijskiej w Sydney jestem tylko małym ziarenkiem piasku. To przede wszystkim wielki dzień Australii. Nie mój...

Przerwał mu cieniutki głos dziecka.

— Kiedy zapalimy ognisko? — spytał sześciolatek syn Bena.

— Widzicie — roześmiał się Barnaby. — Oto najlepszy dowód. Ten młody człowiek wie, co jest w tej chwili najważniejsze. Nie powinniśmy tu stać, czas dołączyć do wszystkich Australijczyków i rozpalić ogień. Chodźmy!

Wyszli na dwór i podłożyli ogień pod ogromny stos drewna, wysoki na około dwadzieścia stóp, po czym cofnęli się, splatając ramiona, podczas gdy ogień zajmował najpierw chrust i gałęzie, później grube kłody, by po chwili wystrzelić wysoko w niebo.

Dzieci biegały jak oszalałe, dorośli próbowali je złapać, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, kiedy ogromny stos zacznie się walić, tryskając dookoła snopami iskier. Wreszcie ogień zaczął dogasać i postanowili wracać do domu, na kolację.

Phoebe pocałowała Bena.

— Cudowne przyjęcie, prawda?

— Ty też jesteś cudowna, pani Beckman. — Wziął ją w ramiona, nie zważając na gości.

— Wciąż się kochacie — rzekł Barnaby, idąc za nimi. — Powinienem wam zazdrościć, ale cieszę się waszym szczęściem.

PATRICIA SHAW

Phoebe odwróciła się w jego stronę.

— Chyba pora, żebyś i ty się ożenił, Barnaby.

— Moja droga, wszystko w swoim czasie. Po kolei. Ostatnio strasznie dużo podróżowałem i nigdzie nie zagrzałem miejsca na tyle długo, żeby kogokolwiek poznać, nie mówiąc już o zalecaniu się do młodej damy.

— Radzę ci, ożeń się z córką sąsiadów — roześmiał się Ben.

— Uważam, że to dobre rozwiązanie.

— Daruj mi! — wykrzyknął Barnaby. — Ci ludzie, którzy mieszkają teraz w waszym dawnym domu — zwrócił się do Phoebe

— rzeczywiście mają córkę. Ma trzydzieści lat i jest wielka jak szafa. To wdowa, a na dodatek fanatyczka religijna. Przynosi mi sterty tekstów do przeczytania i proponuje wspólną modlitwę. Zastanawiam się, czy nie zacząć zamykać bramy na łańcuch.

— To nic nie da — stwierdził Ben. — Przejdzie przez płot. Tak jak Phoebe.

— Żartownisi — roześmiała się Phoebe. — Ja tylko spadłam z drzewa.

Nieco później Barnaby i Ben znaleźli chwilę czasu, by spokojnie porozmawiać.

— I co teraz? — spytał Ben.

— Cóż... Za parę tygodni Barton ogłosi rozpoczęcie kampanii wyborczej do parlamentu federalnego. Na razie mamy tylko radę wykonawczą, której przewodniczy, a teraz naród musi wybrać przedstawicieli.

— Podobno w Queensland silną pozycję mają laburzyści?

— To prawda, ale mnie jest bliższa partia Bartona. To centry sta, ma spore szanse utworzyć rząd. A ja nie chciałbym zaczynać kariery parlamentarzysty w opozycji. O ile w ogóle ją zacznę.

— Wygrasz czy przegrasz, Barnaby, spróbować warto. Kiedy wybory?

— Około trzydziestego marca. Do tego czasu pewnie się już nie zobaczymy. Będę musiał pracować jeszcze więcej niż dotychczas.

— Uda ci się, zobaczysz. Ale oczekiwanie na wyniki będzie z pewnością bardzo emocjonujące. Chyba zbuduję następne ognisko. Specjalnie dla ciebie. Jeśli zwyciężysz, zrobimy sobie małą fetę.

— A jeśli przegram?

— Wtedy będziemy się zastanawiać, co dalej. Gdzie będziesz?

— W Brisbane, w swoim biurze. Pewnie przynajmniej przez tydzień będę się bał wyjść na ulicę.

494

OGNIE FORTUNY

Przyjaciółom Barnaby'ego czas dłużył się niemiłosiernie, a kiedy wreszcie nadeszły wybory, trzeba było długo czekać na wyniki z najbardziej odległych okręgów. Beckmanowie nie zdołali wprawdzie zorganizować przyjęcia, lecz by zrobić dzieciom przyjemność, Ben zbudował nowe ognisko.

Wreszcie późnym popołudniem zjawił się Reilly i przywiózł nie podpisany telegram.

— Od kogo to? — spytał, zżerany przez ciekawość. Ben uśmiechnął się z dumą.

— Od senatora Glassona.

— Dostał się! — wykrzyknęła Phoebe. — Skąd wiesz? Co pisze?

— Tylko trzy słowa: „No to zapalajcie”.

na fi

3" o

ta ? tu

al

4

N 5?

C lu"

• a

s §

O. 3

l|

*~0 f?

?

?

fak tel. t

<3 —. o hj a

o u» O ?

O OJ \D 1 *

W b> * <i o

i 757 --4 ! ctwo ańcó

-22- 22-1 i S -«?
<3 iiazi /40

•

I

OGNIE FORTUNY

Diamond, wychowana wśród białych Aborygenka, żyła na granicy dwóch światów: tego, z którym łączył \A kolor skóry, i tego, w którym wzrastała. Nie potrafiła z żadnym się rozstać na dobre, lecz kiedy Ben Buchanan, jej ukochany, wbrew uczuciom zdecydował się poślubić białą kobietę, Diamond odeszła do swego plemienia. Pobratymcy wskazali jej na złotoñonych polach miejsce, gdzie znalazła cenny kruszec, tam też znowu spotkała Bena. Raz jeszcze porzucona, wróciła między białych, do Brisbane, gdzie urodziła jego syna. Piętnaście lat później Ben dowiaduje się, że ma potomka...

Patricia Shaw urodziła się w Melbourne. Pracowała jako nauczycielka i publicystka, zanim odkryta, że największą jej pasją i powołaniem jest pisanie książek. Ognie fortuny to dzieje potomków bohaterów Rzeki Słońca po mistrzowsku splecione z obrazem niepokojów i przemian, jakie wstrząsały Australią końca XIX wieku.

W sprzedaży RZEKA SŁOŃCA

W przygotowaniu PIÓRO I KAMIENÍ

ISBN 83-7132-351-4

????I

I fi

III I

Cenn uet. 26.00 zł

788371"323515">